

Francesca Haig



MAPA KOŚCI

NAWET POPIOŁY PRZESZŁOŚCI
NIE UKRYJĄ PRAWDY NA ZAWSZE.

Francesca Haig

Mapa kości

Przekład
Marcin Mortka



Tytuł oryginału: *The Map of Bones*

Copyright © De Tores Ltd. 2016

Francesca Haig asserts the moral right to be identified as the author of this work.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Marcin Mortka, MMXVII

Wydanie I

Warszawa, MMXVII

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy

Rozdział dwudziesty ósmy

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Rozdział trzydziesty

Rozdział trzydziesty pierwszy

Rozdział trzydziesty drugi

Rozdział trzydziesty trzeci

Rozdział trzydziesty czwarty

Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty

Rozdział trzydziesty siódmy

Rozdział trzydziesty ósmy

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Podziękowania

Książkę tę dedykuję, z wyrazami wdzięczności i miłości, moim rodzicom, Alanowi i Sally, którzy podzielili się ze mną swą nieustającą miłością do słów.

Prolog

Za każdym razem, gdy nawiedzał moje sny, widziałam go takim jak za pierwszym razem – unosił się. Był sylwetką o kształtach rozmytych przez grube szyby zbiornika i lepki płyn, w którym go zanurzono. Widziałam jedynie przebłyski – opadającą głowę wspartą o ramię, krągłość jego policzka. Nie dostrzegałam dokładnie rysów twarzy, ale wiedziałam, że to on, tak jak rozpoznałabym ciężar jego ramienia, przerzuconego przez moje ciało, czy odgłos jego oddechu w ciemnościach.

Tors Kimy przechylił się do przodu, a jego nogi wisały. Ciało układało się na podobieństwo znaku zapytania, ale nie znałam odpowiedzi.

Nie znosiłam tych snów, wołałabym cokolwiek innego, nawet wspomnienie jego skoku. To ostatnie zresztą nawiedzało mnie często, również w środku dnia. Widziałam lekkie wzruszenie ramionami, nim skoczył, a potem długi upadek i podłogę silosu, która stała się dnem mózdzierza, zamieniającego jego kości w miazgę.

Sny o nim w zbiorniku były koszmarem zupełnie innego rodzaju. Nie przerażała mnie w nich krew rozlewająca się na dnie silosu, ale czysta, perfekcyjna tortura, będąca dziełem rurek i drutów. Przecież uwolniłam go z tego zbiornika całe miesiące temu. Od chwili, gdy stałam się świadkiem jego śmierci, niemalże każdej nocy moje sny więziły go w szklanym zbiorniku.

Sen zaczął się przeobrażać. Kima znikł i widziałam teraz śpiącego Zacha. Wyciągnął jedną rękę ku mnie. Widziałam ogryzione skórki wokół paznokci, widziałam jego szczękę, szorstką od zarostu.

Gdy byliśmy mali, spaliśmy w jednym łóżku, co noc przytuleni do siebie. Gdy dorosliśmy, a on nauczył się mnie bać i mną pogardzać, nasze ciała nigdy nie oduczyły się bliskości. Gdy wyrosliśmy ze wspólnego łóżka, przewracałam się w moim i patrzyłam, jak Zach, leżący pod przeciwległą ścianą, również się odwraca.

Wpatrywałam się teraz w jego śpiącą twarz. Nie widziałam w niej niczego, co wskazywałoby na to, czego się dopuścił. To ja byłam tą naznaczoną, ale jego oblicze również powinno nosić jakiś ślad. Jak mógł zbudować te zbiorniki i zarządzić masakrę na Wyspie, a mimo to nadal spać tak niewinnie, z otwartymi ustami, niepomny na nic? Na jawie nigdy nie siedział bez ruchu. Pamiętam jego dłonie, poruszające się bez ustanku, splatające niewidzialne węzły w powietrzu. Teraz leżał bez ruchu. Jedynie jego powieki drgały, jakby śledził wydarzenia w swoich snach. Na szyi pulsowała mu żyła, nadzorując bicie jego serca. Mojego zresztą też – wszak były tym samym. Gdyby jego serce przestało bić, moje umarłoby również. Zdradzał mnie przy każdej sposobności, ale nasza wspólna śmierć była jedyną obietnicą, której nie mógł złamać.

Otworzył oczy.

– Czego chcesz ode mnie? – spytał.

Uciekłam przed nim aż na Wyspę, a potem do wyludnionych krain na wschodzie, ale stał teraz przede mną, mój bliźniak, i wpatrywał się we mnie w ciszy mego snu. Miałam wrażenie, że łączy nas lina – im bardziej się od siebie oddalaliśmy, tym bardziej się rozciągała.

– Czego chcesz ode mnie? – powtórzył.

– Chcę cię powstrzymać – rzekłam.

Kiedyś powiedziałabym, że chcę go ocalić. Ale może to jedno i to samo.

– To niemożliwe – rzekł. W jego głosie nie brzmiał tryumf, jedynie pewność twarda jak kamień.

– Co ja ci zrobiłam? – spytałam. – Co ty zrobiłeś nam?

Zach nie odpowiedział. Wyręczyły go w tym płomienie. Biały błysk przebił się przez sen, rozszarpał go na strzępy, ukradł świat i zastąpił go ogniem.

Rozdział pierwszy

Wyrwałam się ze snu pełnego ognia. Ku ciemniejącemu niebu pomknął mój krzyk. Odwróciłam się w stronę Kimy, ale znalazłam jedynie mój koc, przybrudzony od popiołu. Każdego dnia musiałam się na nowo przyzwyczajać do jego nieobecności. Budziłam się i odkrywałam, że moje niepamiętające niczego ciało przetacza się w kierunku jego ciepła.

Leżałam wsłuchana w echo własnego krzyku. Coraz częściej śniłam o Wybuchu. Powracał do mnie we śnie, a czasami również na jawie. Coraz lepiej rozumiałam, dlaczego tak wielu wizjonerów traciło poczytalność. Ich dolę można było przyrównać do spaceru po zamrożonym jeziorze, gdzie każda kolejna wizja wywoływała nowe pęknięcie lodu pod nogami. Tak często byłam pewna, że krucha powierzchnia mojej poczytalności pęknie, a ja runę w dół.

– Jesteś spocona – powiedział Kobziarz.

Oddychałam szybko i głośno. Nie mogłam się uspokoić.

– Wcale nie jest gorąco – dodał. – Masz gorączkę?

– Ona jeszcze nie może mówić – powiedziała Zoe, siedząca po drugiej stronie ogniska. – Zaraz skończy.

– A właśnie, że gorączkuje! – rzekł Kobziarz i położył mi dłoń na czole. Zawsze tak reagował, gdy miałam wizję. Natychmiast dosiadał się do mnie i zasypywał mnie pytaniami na długo, nim wizje zdażyły się rozwiązać.

– Nic mi nie dolega! – Usiadłam, odepchnęłam jego dłoń i otarłam twarz. – To tylko znów ten Wybuch.

Przetrwałam już wiele wizji, ale jak dotąd nie wypracowałam sposobu, by się na nie przygotować bądź osłabić ich oddziaływanie. Sprawiały, że moje zmysły zlewały się ze sobą. Brzmiały jak całkowity mrok, jak kolor tak skrajnie biały, że krzyczał mi prosto w ucho. Było tak gorąco, że przestawałam odczuwać ból, a płomienie wydawały się bezkresne. Pochłaniały cały horyzont, ba, cały świat zniknął, zawładnięty w okamgnieniu ogniem, który trwał wiecznie.

Zoe wstała i zrobiła krok nad dopalającym się ogniskiem, by podać mi butelkę z wodą.

– Nawiedzają cię coraz częściej, prawda? – powiedział Kobziarz.

Wzięłam butelkę od Zoe.

– A co? – spytałam. – Prowadzisz statystyki?

Nie odpowiedział, ale przyglądał mi się, gdy piłam. Wiedziałam, że nie wrzeszczałam ani razu przez długie tygodnie. Ciężko nad tym pracowałam. Unikałam snu, uspokajałam konwulsyjny oddech, gdy pojawiała się wizja, zaciskałam zęby najmocniej, jak mogłam, aż miałam wrażenie, że zaraz zetnę je w pył. Mimo to Kobziarz wszystko zauważył.

– Przyglądasz mi się?

– Tak – odparł, bez trudu wytrzymując moje spojrzenie. – Robię to, co należy, dla ruchu oporu. Ty masz cierpliwie znosić swoje wizje, a ja decyduję, w jaki sposób je wykorzystamy. Tak wyglądają nasze zadania.

To ja pierwsza odwróciłam spojrzenie i odtoczyłam się od niego.

Od wielu tygodni nasz świat składał się z popiołów. Opuściliśmy już Pustkowie, ale wiatr nadal wiał ze wschodu i nasyczał chmury tumanami czarnego pyłu.

Gdy jechałam za Kobziarzem czy Zoe, widziałam, jak popiół osadzał się nawet na ich kształtnych uszach. Gdybym wybuchła płaczem, po moich policzkach popłynęłyby czarne łzy. Nie miałam jednak czasu na płacz. Poza tym za kim miałabym płakać? Za Kimą? Za tymi, którzy zginęli na Wyspie? Za uwięzionymi w Nowym Hobarcie? Za tymi zawieszonymi poza czasem w zbiornikach? Było ich zbyt wielu, a moje łzy na nic by im się nie przydały.

Już wiedziałam, że przeszłość jest toksyczna. Wspomnienia kasały mą skórę, nieubłagalne niczym kolce ciernistych krzewów, które rosły przy czarnej rzece płynącej przez Pustkowie. Nawet gdy próbowałam przypomnieć sobie jakieś szczęśliwe chwile – gdy siedziałam z Kimą na parapecie, na Wyspie, bądź gdy śmiałam się z Elszą i Niną w kuchni w Nowym Hobarcie – mój umysł zawsze wracał do tego samego miejsca: do podłogi silosu. Znow widziałam te ostatnie minuty. Znow widziałam Spowiedniczkę i słyszałam jej słowa o przeszłości Kimy. Widziałam jego skok i ciało leżące na betonie.

Złapałam się na tym, że zazdrościłam mu amnezji, w efekcie czego rozwinęłam w sobie umiejętność niezapamiętywania. Trzymałam się kurczowo chwili obecnej i ciepła oraz poczucia pewności, jakie dawał mi koński grzbiet pode mną. Chwil, gdy pochylałam się z Kobziarzem nad mapą wyrysowaną na ziemi, by obliczyć dystans do kolejnego celu. Niemożliwych do odcyfrowania wiadomości, pozostawianych przez jaszczurki wlekących swe brzuchy po spustoszonej ziemi.

Gdy miałam trzynaście lat i zostałam świeżo naznaczona, wpatrywałam się w gojącą się ranę w lustrze i mówiłam sobie: „Oto czym jestem”. Teraz robiłam to samo z moim nowym życiem. Próbowałam jakoś je opanować, tak jak nauczyłam się kiedyś mieszkać w moim naznaczonym ciele. „Oto moje nowe życie” – mówiłam sobie każdego poranka, kiedy Zoe potrząsała mnie za ramię i budziła, bym przejęła wartę, lub gdy Kobziarz kopnięciem zasypywał ognisko i mówił, że pora ruszać w drogę. Oto było moje nowe życie.

Po naszym ataku na silos w całym rejonie Wyndham zaroilo się od patroli Rady, przez co zanim skierowaliśmy się na zachód, musieliśmy udać się na południe, przedzierając się przez Pustkowie, wrzód na powierzchni planety.

W końcu musieliśmy wypuścić nasze konie – w przeciwieństwie do nas nie były w stanie przeżyć, jedząc larwy i mięso jaszczurek, a trawy nie było jak okiem sięgnąć. Zoe zasugerowała, byśmy je zjedli, ale poczułam wielką ulgę, gdy

Kobziarz zwrócił uwagę, że są równie wychudzone jak my. Miał rację – ich kręgi sterczały niczym wysklepione kręgosłupy jaszczurek. Zoe odwiązała je więc, a te pogalopowały na zachód na wychudzonych, cieniutkich nogach. Nie miałam pojęcia, czy uciekają od nas, czy też chcą jak najszybciej umknąć z Pustkowi.

Wydawało mi się, że wiem o zniszczeniach wyrządzonych przez Wybuch, ale przez ostatnie tygodnie na nowo ujrzałam skalę kataklizmu. Ujrzałam miejsca, gdzie skóra ziemi cofnęła się niczym powieka, odsłaniając pył i kamienie. Ludzie mówili, że po Wybuchu tak wyglądał cały świat. Słyszałam, jak bardowie śpiewali o Długiej Zimie, podczas której popiół zasłonił go na długie lata i nic nie rosło. Teraz, kilkaset lat później, Pustkowie przesunęły się na wschód, ale podczas naszej podróży nauczyłam się lepiej rozumieć strach i wściekłość, które pchały ocalałych ludzi do niszczenia maszyn pozostałych po Wybuchu. Tabu otaczające ostatnie maszyny nie wynikało z prawa, lecz raczej z instynktownego lęku. Wszelkie plotki i opowieści o tym, co maszyny kiedyś potrafiły, przyćmiewały przykłady ich ostatecznych osiągnięć – ogień oraz popiół. Rada ogłosiła surowe kary za złamanie tabu, ale nigdy nie musiała ich stosować. Przestrzegaliśmy prawa, gdyż się baliśmy i czuliśmy obrzydzenie. Wzdrygaliśmy się na widok zagrzebanych w piachu fragmentów maszyn, na które czasami natrafialiśmy.

My – Omegi w ciałach naznaczonych Wybuchem – również budziliśmy lęk. Był to ten sam lęk przed Wybuchem i skażeniem, który skłonił Alfę do wyrzucenia nas. Dla nich nasze ciała przypominały Pustkowie – były bezpłodne i zniszczone. Byliśmy niedoskonałymi bliźniakami, obnosiliśmy się ze skazami po Wybuchu, równie widocznymi jak na ziemiach na wschodzie. Przepędzili nas z miejsc, gdzie mieszkaliśmy i zajmowaliśmy się rolnictwem, i skazali na walkę o przeżycie na nieurodzajnych, jałowych pustkowiach.

Kobziarz, Zoe i ja opuściliśmy wschód niczym poczerńnięte duchy. Po pierwszej kąpieli wody strumienia spłynęły czernią, a przestrzeń między moimi palcami była nadal pokryta szarymi plamami. Ciemna skóra Kobziarza i Zoe również nabrała szarawego odcienia, którego nie dało się zmyć – odcienia głodu i wyczerpania. Niełatwo było zostawić Pustkowie. Jadąc na zachód, wciąż strzepywaliśmy popiół z naszych koców, gdy je rozkładaliśmy wieczorem, i nadal wykastywałyśmy go rano.

Kobziarz i ja siedzieliśmy przy wejściu do jaskini i patrzyliśmy, jak słońce otrzepuje się z nocy. Miesiąc wcześniej, gdy byliśmy w drodze do silosu, spaliśmy w tej samej ukrytej jamie i siedzieliśmy na tym samym kamieniu. Na skale obok mego kolana nadal widziałam wyżłobienia pozostawione przez ostrzącego nóż Kobziarza.

Spojrzałam na niego. Po gojącym się cięciu na ramieniu pozostał jedynie

otoczony różową aureolą, wypukły, woskowaty strup, pomarszczony w miejscach, gdzie brzegi rany łączył szew. Rana, którą na mojej szyi pozostawił nóż Spowiedniczki, również się już zagoiła. Na Pustkowiach było to otwarte skaleczenie, a na jego brzegach osiadał popiół. Czy ów popiół nadal znajdował się we mnie? Czy pod zwartą tkanką zabliznionej rany pozostały drobinki czerni?

Kobziarz wyciągnął kawałek króliczego mięsa, nabitego na czubek noża. Zostało nam z zeszłej nocy, szare, łykowate, pokryte zimnym tłuszczem. Pokręciłam głową i odwróciłam się.

– Musisz coś zjeść – powiedział. – Podróż do Zatopionego Wybrzeża zabierze nam jeszcze trzy tygodnie, a dotarcie na zachodnie wybrzeże potrwa jeszcze dłużej, jeśli mamy szukać statków.

Wszystkie nasze rozmowy zaczynały się od tematu statków i na nim kończyły. Ich nazwy przeistoczyły się w zaklęcia przynoszące szczęście: „Rosalind”, „Evelyn”... Czasami miałam wrażenie, że jeśli te statki nie ulegną niebezpieczeństwu, czekającym na nieznanymi morzach, być może utoną pod ciężarem naszych oczekiwań. Były teraz dla nas wszystkim. Udało nam się uwolnić od Rady, Spowiedniczki i maszyny, którą wykorzystywała, by tropić Omegi, ale to nie wystarczało, zwłaszcza po masakrze na Wyspie. Może i udało nam się spowolnić Radę i odebrać jej dwie najpotężniejsze bronie, ale zbiorniki były ciepłe. Widziałam to zarówno w wizjach, jak i w rzeczywistości, która była przerażająco precyzyjna i materialna. Widziałam niekończące się rzędy zbiorników, a każdy z nich był czystym, nieskalanym piekłem.

Tak wyglądał plan, który ułożyła dla nas Rada. Gdybyśmy nie mieli własnego, gdyby zabrakło nam celu, do którego możemy dążyć, pozostałoby nam jedynie niekończące się grzebanie w ziemi. Może i udało nam się uniknąć zbiorników na jakiś czas, ale na tym się nasze osiągnięcia kończyły. Kiedyś Wyspa była naszym celem, ale skończyło się na pożodze i rozlewie krwi. Szukaliśmy więc statków, które miesiąc temu Kobziarz wysłał z Wyspy w poszukiwaniu Zamorza.

Bywało, że ów plan wydawał mi się bardziej marzeniem niż czymkolwiek innym.

Podczas następnej pełni miały upłynąć cztery miesiące od chwili, gdy statki wyruszyły w drogę.

– Na morzu to naprawdę mnóstwo czasu – powiedział Kobziarz, gdy siedzieliśmy na kamieniu.

Nie wiedziałam, jak go pokręcić na duchu, a więc nie odezwałam się ani słowem. Prawdziwy problem nie polegał na tym, czy Zamorze naprawdę gdzieś istniało. O wiele ważniejsze było to, co może nam zaoferować, jeśli naprawdę istnieje, co jego mieszkańcy wiedzą bądź co potrafią. Nie wystarczało nam, by Zamorze okazało się po prostu kolejną Wyspą bądź miejscem, gdzie moglibyśmy się skryć przed Radą. Nie, ono musiało być czymś więcej – jakąś realną

alternatywą.

Jeśli statki odnalazły Zamorze, czekał je powrót przez zdradzieckie wody. Jeśli przetrwały rejs i nie zostały zatrzymane podczas próby powrotu do zajętej Wyspy, powinny być w drodze do wyznaczonego punktu przy Ponurym Przylądku na północno-zachodnim wybrzeżu.

Szansa była znikoma. „Jeśli” goniło „gdyby”, a każda kolejna nadzieja wydawała się bardziej krucha od poprzedniej, podczas gdy zbiorniki Zacha były materialne, solidne, z każdym mijającym dniem coraz liczniejsze.

Kobziarz wiedział już, że nie wolno naciskać mnie pytaniami, gdy milczę. Wpatrując się we wschód słońca, powiedział:

– Wysyłaliśmy już statki w przeszłości. Niektóre wracały na Wyspę po wielu miesiącach z poobijanymi kadłubami i załogami cierpiącymi na szkorbut, a dwa nie wróciły wcale.

Milczał przez moment, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– To nie kwestia odległości, a nawet burz. Niektórzy żeglarze powrócili z opowieściami o rzeczach, które trudno sobie wyobrazić. Kilka lat temu jeden z naszych najlepszych kapitanów, człowiek o imieniu Hobb, poprowadził trzy statki na północ. Nie było ich przez dwa miesiące. Nadchodziła już zima, gdy Hobb powrócił, już tylko z dwoma statkami. Zimowe burze, do których przywykliśmy na zachodnim wybrzeżu, są paskudne – jeśli to możliwe, unikamy w ogóle podróży na Wyspę – ale Hobb powiedział, że dalej na północy zamarza całe morze. Lód zmiażdżył jeden ze statków, o, tak!

Rozłożył palce i zacisnął pięść.

– Utraciliśmy całą załogę – dodał i znów przerwał. Oboje wpatrywaliśmy się w trawę sztywną od mrozu. W istocie nadchodziła zima.

– Czy ty wciąż wierzysz – podjął – że „Rosalind” i „Evelyn” nadal mogą na nas czekać? Choć minęło tyle czasu?

– Nie wiem, czy w to wierzę – powiedziałam. – Ale mam nadzieję, że tam są.

– I to ci wystarcza?

Wzruszyłam ramionami. Co tak naprawdę oznaczało słowo „wystarcza”? I na ile miało to wystarczać? Cóż, nadzieja sprawiała, że nadal miałam ochotę brnąć naprzód, że nadal składałam koc po całodziennym odpoczynku, wpychałam go do plecaka i ruszałam w ślad za Kobziarzem i Zoe na kolejną nocną wędrówkę przez równinę. Kobziarz raz jeszcze podał mi kęs mięsa, ale podziękowałam.

– Musisz z tym skończyć – powiedział.

Nadal odzywał się tak jak kiedyś, jakby mógł rozkazywać całemu światu. Gdybym zamknęła oczy, wciąż mogłam sobie wyobrazić, jak stoi w auli Zgromadzenia i wydaje polecenia, a nie siedzi obok mnie na kamieniu w podartych, poplamionych rzeczach. Bywały chwile, kiedy podziwiałam jego

pewność siebie i śmiałość w obliczu świata, który za wszelką cenę próbował nam pokazać, że jesteśmy pozbawieni wszelkiej wartości. Zdarzało się też, że jego charakter mnie zdumiewał i zaskakiwał. Czasami przyglądałam się temu, jak się porusza. Przez ostatnie tygodnie schudł mocno, a jego skóra wydawała się nieco mocniej opinać kości policzkowe, ale nie wpłynęło to na jego postawę. Nadal wyzywająco unosił podbródek i chodził szeroko, bez wahania zajmując przestrzeń.

– Z czym mam skończyć? – spytałam, nie patrząc mu w oczy. Miałam wrażenie, że jego ciało przemawia językiem, którego moje nigdy się nie nauczy.

– Wiesz, o co mi chodzi. Nie jesz. Ledwie co śpisz. Mało się odzywasz.

– Ale nadażam za tobą i Zoe, prawda?

– Nie powiedziałem, że nie. Ale nie jesteś już sobą i to mnie martwi.

– A od kiedy niby tak dobrze wiesz, jaka jestem? Przecież prawie w ogóle mnie nie znasz.

Mój głos niósł się daleko w porannej ciszy. Wiedziałam, że nie powinnam na niego naskakiwać – to było nie w porządku, tym bardziej że Kobziarz miał właściwie rację. Jadłam o wiele mniej, nawet teraz, gdy opuściliśmy Pustkowie i polowanie stało się łatwiejsze. Jadłam tyle, ile należało, by zachować siły i szybko iść. Podczas chłodnych dni zrzucałam z ramion koc i wystawiałam się na zimno.

Nie potrafiłabym im tego wytłumaczyć, bo wówczas musiałabym powiedzieć o Kimie. Jego imię, choć składające się raptem z dwóch sylab potrafiło mi stanąć w gardle niczym ość.

O jego przeszłości również nie byłam w stanie mówić. Nikomu nie zdradziłam tego, co się wydarzyło w silosie, a Spowiedniczka opowiedziała mi wówczas wiele o tym, kim Kima był przed zamknięciem w zbiorniku. Potrafiłam dotrzymywać sekretów. Moje wizje ukrywałam przed rodziną przez trzynaście lat, aż rozpracował mnie Zach. Przez cztery lata niewoli w Przechowalni tałam przed Spowiedniczką moje wizje związane z Wyspą, a na samej Wyspie przez długie tygodnie kryłam tożsamość bliźniaka przed Kobziarzem i Zgromadzeniem. Teraz tałam wiedzę o Kimie. Nikomu nie powiedziałam o tym, że znęcał się nad Spowiedniczką jako dziecko i był zachwycony, gdy tę naznaczono i wygnano. Ukrywałam też to, że jako dorosły próbował ją wytropić i doprowadzić do zamknięcia w Przechowalni dla swego własnego bezpieczeństwa.

Jak to możliwe, że w ogóle go nie znałam, skoro mogłam rozpoznać dotykiem każdy z jego kręgów i znałam dokładnie kształt kości jego bioder, uderzających o moje?

Ale mimo wszystko w silosie wołał zginąć, by mnie uratować. Miałam wrażenie, że dar śmierci był jedynym, który potrafilibyśmy sobie nawzajem ofiarować.

Rozdział drugi

W połowie drogi do Zatopionego Wybrzeża Zoe zaprowadziła nas do kryjówki na skraju równiny. Był to pusty dom, w którym mieszkał jedynie wiatr, trzaskający otwartymi, frontowymi drzwiami.

– Uciekli czy zostali pojmani? – spytałam, chodząc po pustych pokojach.

– Tak czy owak opuścili dom w pośpiechu – odparła Zoe.

Na kuchennej podłodze leżały skorupy rozbitego glinianego dzbanka. Na stole stały dwie nieumyte miski, obrosnięte zieloną pleśnią. Kobziarz nachylił się nad zamkiem.

– Drzwi otwarto kopniakiem z zewnątrz – rzekł, prostując się. – Musimy się stąd wynosić.

Miałam wielką ochotę przespać się pod dachem, ale z ulgą opuściłam pokoje, w których wszelkie odgłosy tłumił kurz. Szliśmy długo wśród wysokich traw, a obozowisko rozbiliśmy dopiero kilka godzin po zapadnięciu zmroku.

Zoe klęczała nad królikiem, którego upolowała dzień wcześniej, i obierała go ze skóry, a ja i Kobziarz rozpalaliśmy ognisko.

– Jest gorzej, niż myśleliśmy – rzekł Kobziarz i pochylił się, by podmuchać na nieśmiałe promyki. – Spenetrowali połowę siatki.

Nie była to pierwsza zrujnowana kryjówka, na którą się natknęliśmy. W drodze do silosu mijaliśmy inny bezpieczny dom, z którego pozostały jedynie poczerniałe, wciąż dymiące belki. Rada łapała na Wyspie więźniów i wydzieriała im sekrety ruchu oporu.

Siedziałam w milczeniu, podczas gdy Zoe i Kobziarz analizowali sytuację. Nie chodziło bynajmniej o to, że wyłączyli mnie ze swoich rozmów – po prostu bez przerwy nawiązywali do znanych sobie osób, miejsc i faktów, o których ja nie miałam pojęcia.

– Nie ma sensu iść do Evana – powiedział Kobziarz. – Jeśli wzięli Hannah żywcem, jego również pojмали.

Zoe, wciąż pochylona nad królikiem, nie podniosła głowy. Odwróciła zwierzę na grzbiet, złapała je mocno jedną ręką i przeciągnęła ostrze noża po odsłoniętym białym futrze. Podbrzusze otworzyło się równie płynnie jak dwie rozchylające się dłonie.

– A nie powinni w pierwszej kolejności dopaść Jess? – spytała.

– Nie. Nigdy nie kontaktowała się bezpośrednio z Hannah, więc raczej nic jej nie grozi. Niemniej Evan był kontaktem Hannah i jeśli ją pojmano, to już po nim.

Siatka ruchu oporu na stałym lądzie była większa i bardziej złożona, niż sądziłam. W ilu domach jej członków drzwi z wyłamanymi zamkami otwierały się na puste pomieszczenia? Siatka przypominała wełniany sweter z wieloma luźnymi

nitkami. Wystarczyło pociągnąć za jedną, by zagrozić kolejnym i zniszczyć całość.

– Wszystko zależy od tego, jak długo Hannah wytrzymała – powiedziała Zoe. – Być może zdobyła dla niego nieco czasu i zdołał uciec. Julia wytrzymała trzy dni po aresztowaniu.

– Hannah nie jest tak silna jak Julia. Nie możemy liczyć na to, że wytrzyma równie długo.

– Ale Sally również nie miała kontaktu z Hannah. Niektóre z zachodnich komórek także powinny pozostać nietknięte – ciągnęła Zoe. – Ich członkowie odpowiadali bezpośrednio przed tobą. Nie mieli żadnej styczności ze wschodnią siatką.

– Nie zdawałam sobie sprawy, jak wielki jest ruch oporu na stałym lądzie – rzuciłam.

– Sądziłaś, że liczy się tylko Wyspa? – spytała Zoe.

Wzruszyłam ramionami.

– Wydawało mi się, że to najważniejsza sprawa.

Kobziarz zacisnął usta.

– Widzisz, jeśli chodzi o Wyspę, ważne było to, że istniała. Stanowiła symbol, nie tylko dla ruchu oporu, ale także dla Rady; sygnał, że życie może wyglądać inaczej. Ale nie była przecież na tyle duża, by pomieścić nas wszystkich. Nawet podczas ostatnich miesięcy musieliśmy odrzucać prośby wielu uchodźców, gdyż nie mogliśmy im pomóc. Musieliśmy rozbudować flotę i rozwiązać problemy zaopatrzeniowe.

Ponuro pokręcił głową.

– Wyspa nigdy nie miała być ostatecznym rozwiązaniem.

– Większość ludzi z Wyspy nigdy niczego nie zrobiła – przerwała mu Zoe. – Uważali się za wielkich buntowników, bo na niej mieszkali, ale na tym się kończyło. Mogli dołączyć do straży lub odsłużyć kilka tur na stanowiskach obserwacyjnych, ale mało kto dał coś z siebie. A mogli pomagać w misjach ratunkowych, utrzymywaniu sieci kryjówek i bezpiecznych domów czy śledzeniu działań Rady. Nawet ci, którzy należeli do Zgromadzenia z Kobziarzem, byli przeszcześliwi, gdy nie musieli opuszczać auli. Siedzieli, wpatrywali się w mapy i gadali o strategii, ale połowa z nich ani myślała o jakichkolwiek wyprawach. Najwięcej do zrobienia było na stałym lądzie, ale ci, którzy docierali na Wyspę, już raczej tam nie wracali.

– Inaczej bym to wyraził, ale Zoe ma rację – rzekł Kobziarz. – Większość mieszkańców Wyspy była bardzo zadowolona ze swego życia. Wielu z nich uważało, że niczego już nie muszą robić. To ci na lądzie stałym bądź na statkach kursujących między dwoma brzegami wykonywali większość pracy. Zoe ma więcej dokonań na koncie niż większość naszych, a nigdy na Wyspie nie była.

Uniosłam szybko głowę.

– Naprawdę? A sądziłam, że tak.

– Nigdy nie chcieli, by jakakolwiek Alfa postawiła tam stopę. Nawet ja rozumiałam powody – rzekła Zoe, nadal nachylona nad królikiem. Ściągnęła z niego skórę równie łatwo jak rękawiczkę z własnej dłoni. – Dlaczego sądziłaś, że tam byłam?

– Chyba dlatego, że przez cały czas marzysz o morzu.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że o tym wiem. Uświadomiłam to sobie, dopiero gdy usłyszałam własne słowa. Podczas wszystkich tych nocy, kiedy to spałyśmy blisko siebie, dzieliłam się z nią snami w ten sam sposób co wodą czy kocem i wiedziałam, że jej sny przepelniał ocean. Być może dlatego właśnie nigdy wcześniej mnie to nie uderzyło – byłam przyzwyczajona do tego, wszak sama od wielu lat śniłam o Wyspie. Byłam przyzwyczajona do niepokoju morza, do ruchomych pasm szarości, czerni i błękitu. W snach Zoe nie widziałam jednakże Wyspy ani w ogóle żadnego lądu, jedynie wzburzone, kotłujące się morze.

Zoe, która ułamek sekundy wcześniej klęczała przy ogniu z miękkim, zwiotczałym ciałem królika w ręku, była teraz przy mnie i mierzyła ostrzem noża w mój żołądek.

– Grzebiesz mi w snach?

– Uspokój się – odezwał się Kobziarz. Nie krzyknął, ale tak czy owak był to rozkaz.

Ostrze nawet nie drgnęło. Druga dłoń Zoe zacisnęła się na moich włosach, aż jej kłykcie wpijały się mi w czaszkę. Trzymała mnie nieruchomo, a jej ostrze, które przebiło sweter i koszulę, dotykało mego brzucha. Czułam jego chłodny dotyk na skórze. Zoe odciągnęła mi głowę do tyłu, a potem w bok. Widziałam upuszczonego przez nią królika, leżącego na ziemi, jego przetrącony kark i otwarte oczy.

– Co ty, do cholery, ze mną robiłaś? – syknęła, pochylając się bliżej. Ostrze naparło mocniej. – Co widziałaś?

– Zoe! – ostrzegł ją Kobziarz. Otoczył ramieniem jej szyję, ale nie próbował jej odciągnąć. Trzymał i czekał.

– Co widziałaś? – powtórzyła.

– Już powiedziałam. Tylko morze. Mnóstwo fal. Przepraszam, ale nie jestem w stanie tego zatrzymać. Nawet nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero teraz uświadomiłam sobie prawdę.

Nie umiałam jej wyjaśnić, jak to działa. Nie potrafiłam wytłumaczyć, że moja świadomość cudzych snów nie ma nic wspólnego z podsłuchiowaniem, tak jak przebywając na Wyspie, nie byłam w stanie podsłuchiwać morza. Odbierałam cudze sny jako zakłócenia w tle.

– Powiedziałaś, że to tak nie działa! Że nie możesz czytać ludziom w myślach! – mówiła.

Czułam na twarzy jej gorący oddech.

– Bo nie mogę. Mój dar w istocie działa inaczej. Bywa, że czasami odbieram jakieś wrażenia. Nie chcę tego, ale tak się dzieje.

Zoe mnie odepchnęła. Nabrałam tchu i dotknęłam dłonią brzucha. Palce były czerwone.

– To krew królika – powiedział Kobziarz.

– Tym razem – syknęła Zoe.

– Jeśli ma to dla ciebie jakieś znaczenie – odparowałam – sama również wiesz, o czym śnię.

– Tak się rzucasz i wrzeszczysz we śnie, że wszyscy w promieniu dziesięciu mil to wiedzą. – Zoe upuściła nóż obok obranego częściowo królika. – To nie daje ci prawa, by grzebać mi w głowie.

Wiedziałam, co czuje. Sądziłam, że nigdy nie zapomnę uczucia pogwałcenia, które pozostawiły po sobie przesłuchania Spowiedniczki. Miałam wrażenie, że cały mój umysł został skalany jej sondowaniem.

– Przepraszam! – zawołałam w ślad za Zoe, która odchodziła już w kierunku rzeki.

– Daj jej spokój – rzekł Kobziarz. – Nic ci nie jest? Pokaż mi brzuch – polecił i wyciągnął rękę, by unieść mój sweter, ale odtrąciłam jego dłoń.

– O co jej chodziło? – spytałam, patrząc na plecy Zoe.

Kobziarz podniósł królika i otrzepał go z brudu.

– Nie powinna była tak się zachować. Pogadam z nią.

– Nie musisz nic dla mnie robić. Ja chcę się po prostu dowiedzieć, o co w tym chodzi. Dlaczego tak zareagowała? Dlaczego tak się zachowuje?

– Nie jest jej lekko – rzekł.

– A komu jest? Mnie na pewno nie, tobie zresztą również. Nikomu nie jest lekko.

– Odsuń się od niej. Daj jej trochę przestrzeni.

Machnęłam dłonią w kierunku otaczających nas równin, jasnych traw ciągnących się po horyzont i nieba tak rozległego, że wydawało się zalewać ziemię.

– Przestrzeni? Mamy wystarczająco dużo przestrzeni wokół nas. Zoe nie musi przez cały czas trzymać się mnie.

Jedyną odpowiedzią, jaką usłyszałam, był szelest trawy na wietrze, drapiącej niebo po brzuchu, i wilgotny chrzęst noża Kobziarza, tnącego ciało obranego królika.

Zoe wróciła dopiero po świcie. Zjadła swój posiłek w ciszy, a potem ułożyła się do snu za Kobziarzem, a nie jak zwykle między nami. Myślałam o tym, co od niej usłyszałam – ludzie, którzy docierali na Wyspę, już z niej na ogół nie wracali. Czy myślała o Kobziarzu, kiedy jej uspiomy umysł zalewało morze? To samo morze, które pokonał w drodze na Wyspę, pozostawiając ją na stałym lądzie? To morze, które ich rozdzieliło po tym, jak oddała tak wiele, by z nim być?

Rozdział trzeci

O Sally i Zatopionym Wybrzeżu usłyszałam jeszcze na Pustkowiach. Świtało, a ja zgłosiłam się na ochotnika, by objąć wartę jako pierwsza. Kobziarz i Zoe mieli odpoczywać, ale gdy usiadłam na czatach, usłyszałam ich podniesione głosy. Opuściłam więc stanowisko i wróciłam do ogniska.

– Nigdy nie chciałam wciągać w to Sally – powiedziała Zoe.

– Kogo? – spytałam.

Oboje odwrócili się ku mnie jednocześnie. Ich ruchy były identyczne, podobnie jak miny – widziałam jednakowo uniesione brwi, jednakowo taksujące spojrzenia. Nawet gdy się klócili, czułam się przy nich jak intruz.

– Potrzebujemy bazy – rzekł Kobziarz. – Bazy i kogoś, komu możemy zaufać. Siatka kryjówek i bezpiecznych domów się sypie. Sally udzieli nam schronienia, byśmy mogli zacząć odbudowywać ruch oporu i wysłać ludzi na Ponury Przylądek, by poszukali statków. Lub przygotowali nowe, jeśli zajdzie potrzeba.

– Już ci mówiłam. – Zoe odezwała się do Kobziarza, ignorując moją obecność. – Nie możemy angażować Sally. Nie możemy jej o to prosić. To zbyt niebezpieczne.

– Kim ona jest? – spytałam.

– Zoe mówiła ci o tym, jak się zeszliśmy? Po tym, jak rozdzielono nas w dzieciństwie?

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że wychowano ich na wschodzie, gdzie ludzie pozwalali bliźniakom zostać nieco dłużej. Kobziarz miał dziesięć lat, gdy został naznaczony i wygnany, a Zoe uciekła, by go odnaleźć. Kradli, pracowali i ukrywali się, od czasu do czasu korzystając z pomocy życzliwych Omeg, aż w końcu przystąpili do ruchu oporu.

– Sally była jedną z tych, którzy nam pomogli – powiedział. – Pierwszą. Wyciągnęła do nas rękę, gdy byliśmy naprawdę młodzi i najbardziej potrzebowaliśmy pomocy.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że Zoe i Kobziarz mogli potrzebować pomocy, ale przypomniałam sobie, jak młodzi wówczas byli, jeszcze młodszy ode mnie, kiedy zostałam wygnana przez własną rodzinę.

– Przygarnęła nas – rzekła Zoe. – Nauczyła nas wszystkiego, a miała z tym naprawdę sporo roboty. Gdy ją poznaliśmy, była już niemłodą osobą, ale wcześniej należała do czołówki agentów ruchu oporu. Działała w Wyndham.

– W Wyndham? – Myślałam, że się przesłyszałam. Omegom nie wolno było mieszkać w żadnym mieście Alf, nie mówiąc już o Wyndham, siedzibie Rady.

– Była infiltratorką – rzekł Kobziarz.

Patrzyłam to na Zoe, to na Kobziarza.

– Nigdy o nich nie słyszałam – powiedziałam.

Zoe uśmiechnęła się krótko.

– O to właśnie chodziło – rzekła.

– Był to najtajniejszy projekt ruchu oporu – dodał Kobziarz. – Dziś by się nie udało, ale wtedy można go było przeprowadzić, bo Rada nie przestrzegła tak surowo kwestii związanych z naznaczaniem, zwłaszcza na wschodzie. Dodam, że działało się to przynajmniej jakieś pięćdziesiąt lat temu. Ruch oporu zdołał zwerbować kilka nienaznaczonych Omeg z deformacjami na tyle nieznacznymi, że można je było ukryć bądź zamaskować. W przypadku Sally była to zdeformowana stopa. Mogła na nią naciągnąć normalny but i nauczyła się prosto chodzić. Bolało ją jak cholera, ale unikała wykrycia przez dwa lata. Infiltratorów było troje, a działali w siedzibie Rady, nie jako jej członkowie, ale doradcy czy asystenci. Trzymali rękę na pulsie. Wiedzieli o wszystkim. Dla Rady byli najbardziej nienawidzonym wrogiem. – Kobziarz uśmiechnął się przy tych słowach. – Nie chodziło nawet o informacje, które udawało im się zdobyć. Nienawidzono ich przede wszystkim za to, że udawało im się zakamuflować. Że czasami przez całe lata podawali się za Alfę. Stanowili żywy dowód na to, że mimo wszystko nie jesteśmy tak bardzo od siebie różni.

– Sally zaś była najlepsza z nich wszystkich – dodała Zoe. – Połowa obecnego ruchu oporu została zbudowana na informacjach, które zdobyła podczas infiltracji Rady.

Gdy Zoe mówiła o Sally, w jej głosie brakowało zwyczajowego sarkazmu, nie unosiła też brwi, czym potrafiła zamienić jedno słowo w ostrą broń.

– Ale bardzo się zestarzała – ciągnęła. – Ledwie chodzi o własnych siłach, a dla ruchu oporu nie pracuje już od wielu lat. Nie współpracowała z nimi już w chwili, gdy do niej dotarliśmy. Stało się to nazbyt ryzykowne. Przez długi czas znajdowała się na czele listy najbardziej poszukiwanych przez Radę, która ponadto znała jej wygląd. Nie chcę jej w to mieszać.

– Wszyscy jesteśmy w to wmieszani, bez względu na to, czy mamy na to ochotę, czy też nie – rzekł Kobziarz. – Rada wkrótce ją dopadnie i nikt się nie będzie wówczas przejmował tym, że jest kruchą staruszką.

– Udało jej się pozostać w ukryciu przez tyle lat – protestowała Zoe. – Nie możemy jej wciągać w tę awanturę.

Kobziarz przez chwilę milczał, a potem odezwał się cichszym głosem:

– Wiesz, że nigdy nie odmówiłaby nam pomocy.

– Tym bardziej nie powinniśmy o nią prosić. To nie w porządku!

– Nie mamy wyjścia. – Kobziarz pokręcił głową. – A na pewno po tym, co zrobiłem na Wyspie.

Znów to ujrzałam. Krew krzepnącą na kamieniach dziedzińca.

– Rada nie oszczędziłaby Wyspy, gdybyś oddał Cass i Kimę Spowiednicze

– rzekła Zoe.

– Wiem o tym – odparł Kobziarz. – Ale nie możemy zakładać, że reszta ruchu oporu to zrozumie. Widziałaś już raz ich reakcję. Gdy ginie tak wielu ludzi, pozostali zaczynają szukać winnych. Trudno powiedzieć, jak się zachowają, widząc nas ponownie, tym bardziej że nie ma z nami Cass. Jeśli więc mamy skontaktować się z ruchem oporu, musimy zacząć od kogoś, komu ufamy.

Zoe znów się ode mnie odwróciła, by spojrzeć na Kobziarza.

– Sally doświadczyła już wystarczająco dużo złego w życiu – powiedziała.

– Sama by chciała, byśmy się do niej udali – odparł Kobziarz.

– A może sam spróbujesz jej powiedzieć, czego chce? – spytała Zoe i uśmiechnęła się powoli. – Masz w sobie tyle odwagi?

Kobziarz odpowiedział uśmiechem. Wyglądał jak jej lustrzane odbicie.

W każdej osadzie, którą mijaliśmy w drodze na Zatopione Wybrzeże, rozpuszczaliśmy pogłoski o tym, że Rada zamierza umieścić Omegi w zbiornikach, ale przede wszystkim próbowaliśmy ostrzegać przed dobrowolnym zgłaszaniem się do punktów zbiorczych prowadzonych przez Radę. Owe wielkie, dobrze strzeżone przytułki miały rzekomo zapewnić zbłąkanym Omegom bezpieczeństwo. Tam każdy otrzymywał jedzenie i dach nad głową w zamian za pracę. Dla Omeg było to miejsce ostatniej szansy, a ze strony Alf akt dobrej woli, swoista gwarancja, że nie pozwolą Omegom umrzeć z głodu, choć nadal nie pozwalają im opuścić jałowych ziem i wciąż podnoszą im podatki. Upłynęło jednakże wiele lat i nikt spośród tych, którzy przekroczyli bramy przytułków, nie otrzymał zgody na wyjście. Przytułki jednocześnie rozrastały się szybko i przeistaczały w kompleksy zbiorników.

Niemniej jednak w wielu miejscowościach jedyną reakcją na nasze słowa były milczenie, nieufne spojrzenia i skrzyżowane ramiona. Pamiętam chwilę, gdy wraz z Kimą wywołaliśmy pożar przed Nowym Hobartem, pamiętam, jak płomienie powoli rozrastały się i potęgniały. Rozprowadzanie informacji o planach Rady przypominało próby rozpalenia ognia w deszczu, gdy do dyspozycji ma się jedynie wilgotne, zielone gałązki. Wieści, które chcieliśmy rozgłosić, w niczym nie przypominały historii, którą można by się podzielić z nieznanym w tawernie. Mogliśmy podjąć ten temat jedynie z ludźmi sympatyzującymi z ruchem oporu, a kto się przyzna do czegoś takiego po masakrze na Wyspie? Rada, która przez wiele lat utrzymywała, że Wyspy nie ma, teraz rozsiewała wieści o jej zagładzie oraz krwi na ulicach, by ostrzec ludzi przed pochopnymi działaniami.

Wychodziło na to, że opowieść odnosiła swój skutek. Ludzie byli ostrożniejsi niż kiedykolwiek wcześniej. Gdy zbliżaliśmy się do osad, pracujący na polach prostowali się i przyglądali nam czujnie, zaciskając dłonie na widłach i łopatach. Zawędrowaliśmy do Drury, wielkiej osady Omeg, i dwukrotnie

zajrzeliśmy do tawern, ale za każdym razem głośne rozmowy cichły niemalże natychmiast, jakby zgiełk można było zdmuchnąć niczym świecę. Ludzie przy każdym stole odwracali się ku drzwiom i przyglądali się nam uważnie, ścisząc głos do szeptu. Gwar już nie wracał. Niektórzy z zebranych odsuwali krzesła i wychodzili, ledwie ujrzeni twarz Zoe, na której nie było śladów naznaczenia. Kto miałby odwagę na rozmowę o ruchu oporu z trójką obszarpanych nieznajomych, a tym bardziej taką, w skład której wchodziła Alfa oraz wizjonerka?

Największą frustrację budzili w nas nie ci, którzy nie chcieli rozmawiać, lecz ci, którzy wydawali się nam wierzyć, ale mimo to niczego nie robili. W dwóch osadach ludzie wysłuchali naszych słów i odnieśliśmy wrażenie, że rozumieją, dlaczego Alfę nas tak traktują. Pojęli, że zbiorniki to cel, do którego Rada zmierza od kilku lat, ale pytanie, które słyszeliśmy za każdym razem, brzmiało: „I co mamy z tym zrobić?”. Nikt nie chciał obarczać się nowym ciężarem. Każdy miał wystarczająco dużo trosk. Widzieliśmy to wszędzie, dokąd się udaliśmy. Chude twarze i wydatne kości jarzmowe, tak ostre, jakby próbowały przebić skórę. Dziaśła i zęby czerwone od żucia orzecha areki, co miało oszukać głód. Wsie składające się z szalasów i lepianek wspierających się o siebie. Czego myśmy się po nich spodziewali? Jak mieli niby zareagować na usłyszane wieści?

Dwa dni po odnalezieniu opuszczonego bezpiecznego domu oraz mej kłótni z Zoe Kobziarz opuścił nas o świcie, by zakraść się do niewielkiej osady Omeg leżącej na zachodzie. Powrócił przed południem. Pomimo chłodu przód jego koszuli był ciemny od potu.

– Sędzia nie żyje – powiedział. – Cała wieś o tym mówi.

– To chyba dobre wieści, prawda? – odezwałam się.

Sędzia rządził Radą, odkąd sięgam pamięcią, ale od lat był pod kontrolą Zacha i jego sojuszników.

– Jeśli to tylko marionetka, cóż za różnica, że nie żyje?

– Jego stanowisko może teraz zająć ktoś o wiele okrutniejszy – rzekła Zoe. – W tej sytuacji to niedobra wiadomość.

– Jest o wiele gorzej – stwierdził Kobziarz i wyciągnął kartkę papieru z kieszeni. Zoe wzięła ją i rozprostowała.

Ukucnęłam na trawie obok niej, próbując nie myśleć o jej nożu, który nie tak dawno dotykał mojej skóry.

„Przywódca Rady zabity przez terrorystów Omegi” – głosił nagłówek.

Poniżej drobniejszym drukiem napisano:

„Podczas wczorajszej akcji członkowie samozwańczego »ruchu oporu« Omeg zamordowali bliźniaka pełniącego od wielu lat służbę przywódcy Rady, Sędziego”.

Spojrzała na Kobziarza.

– Czy to w ogóle możliwe?

Ten pokręcił głową.

– Wątpię – odparł. – Zach i jego kolesie trzymają bliźniaka Sędziego pod kluczem od ponad pięciu lat, dzięki czemu mieli nad nim kontrolę. To wszystko zostało zaaranżowane. Po prostu uznali, że już go nie potrzebują.

– A więc co się zmieniło? Zawsze mówiłeś, że potrzebny jest tylko i wyłącznie dlatego, że ludzie chcieli widzieć na czele Rady kogoś o bardziej umiarkowanych poglądach.

– Poczekaj. Posłuchaj lepiej tego.

Wziął plakat i odczytał na głos:

– Sędzia pełnił funkcję przywódcy Rady przez czternaście lat i dał się w tym czasie poznać jako zagorzały obrońca Omeg. Ostatni akt przemocy ze strony agitatorów Omeg zmusza nas do ponownego przemyślenia istotnej kwestii bezpieczeństwa ludzi pracujących dla Rady...

– Zupełnie jakby wszyscy od lat nie trzymali swoich bliźniaków pod kluczem, jeśli nie w zbiornikach – zadrwiła Zoe.

– ...oraz dla Alf – czytał dalej Kobziarz. – Atak na głowę rządu jest kolejnym dowodem na to, że dysydenci Omeg stanowią rosnące niebezpieczeństwo zarówno dla Omeg, jak i dla Alf. Pani Generał, która niechętnie zgodziła się zająć miejsce Sędziego, wyraziła swój smutek z powodu jego przedwczesnej śmierci. Dopuszczając się tego tchórzowskiego czynu, terroryści pozbawili Omegi wiernego sojusznika, a jednocześnie pokazali brutalność i bezwzględność tych, którzy rzekomo bronią samostanowienia Omeg. Wiemy już, że są gotowi zabijać własnych rodaków, by podkopać pozycję Rady.

Rzucił papier na trawę.

– Udało im się upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu – oznajmił. – Nie dość, że się go wreszcie pozbyli, to jeszcze zrzucili winę na nas i podsycili wszelkie resentymenty wobec Omeg. Wzmocnili swą pozycję w dyspucie ze zwolennikami umiarkowanego podejścia.

– A więc teraz rządzi Pani Generał – powiedziałam.

– „Niechętnie zgodziła się zająć miejsce Sędziego” – parsknęła Zoe. – Co za brednie. Od lat się starała o tę posadę. Reformator i Prowodyr siedzą w tej intrydze po uszy.

Nikt z członków Rady nie używał własnego prawdziwego imienia. Zaczęli stosować tytuły zamiast imion wiele lat temu, by ukryć swą tożsamość i uchronić się przed atakami na bliźniaków. Obecnie, gdy niemalże wszyscy członkowie więzili ich w Przechowalni – o ile nie w zbiornikach – ich wyszukane imiona były jedynie elementem pompy, sposobem na przekazanie całemu światu, czym się zajmują. Pamiętam trzy twarze z tabeli Kobziarza, które widziałam na Wyspie – troje młodych członków Rady, którzy dzierżyli prawdziwą władzę w Wyndham. Prowodyr, którego uśmiech częściowo przesłaniały bujne, czarne loki. Kanciasta

twarz Pani General z wystającymi kośćmi policzkowymi, zdradzającymi nieustępliwy charakter. No i Zach, Reformator, mój bliźniak, którego oblicze wydawało się wyczarowane kreską artysty. Człowiek, którego znam najlepiej na świecie, a zarazem wcale.

– Tak naprawdę to oni we troje od dawna kontrolują sytuację – rzekł Kobziarz. – Ale to, że postanowili zlikwidować Sędziego raz na zawsze, jest bardzo złym znakiem. Poczuli się tak pewni poparcia, że nie musieli się już kryć za nim.

– A to nie wszystko – podjęła Zoe. – Dokądkolwiek się udamy, wszędzie wyczuwa się niepokój i niepewność, wywołane doniesieniami o masakrze. Założę się, że nawet kilka Alf czuło się nieswojo na wieść o liczbie ofiar. Prowokacja taka jak ta z Sędzią ugruntowuje tylko ich poparcie. Społeczeństwo odnosi wrażenie, że toczą walkę w słusznej sprawie, a pozorna brutalność ruchu oporu Omeg usprawiedliwia ich własne brutalne taktyki.

Rada stworzyła siatkę strachów – nie tylko Omeg, ale też Alf – i doskonale nią zarządzała. Widziałam, jak ludzie odsuwali się od nas. Postrzegali nas jako żywe pozostałości Wybuchu, a nasze zdeformowane ciała kryły w ich oczach trujący osad. To, że moja mutacja nie była widoczna, wcale nie zmieniało postaci rzeczy. Gdy byłam nastolatką, wystarczał wypalony na mojej twarzy stygmat Omeg, by przechodzące obok Alfy opluwały mnie i obrzucały wyzwiskami. Nawet w dobrych czasach Alfy unikały kontaktu z nami. Gdy byłam dzieckiem, nadeszła susza i również Alfy chodziły głodne. Potem, gdy zbiory znów się nie udały, ludzie zaczęli zwracać się przeciwko sobie, kierując się gniewem i strachem. Rada dołożyła wszelkich starań, by wina za ów stan rzeczy spadła na Omegi. Kłamstwo na temat śmierci Sędziego było ostatnim rozdziałem opowieści, którą Rada budowała od lat, opowieści, w której byliśmy ich wrogami.

Podniosłam zgnieciony plakat, wciąż ciepły po wyjęciu z kieszeni Kobziarza.

– To wszystko nabiera tempa, no nie? Rada wzbudziła lęk w sercach wszystkich, zarówno Omeg, jak i Alf.

– Ale nie mają już Spowiedniczki – rzekł. – I jej maszyny. Nie zapomnij o tym, co osiągnęliśmy.

Zamknęłam oczy. W istocie, Zach nie miał już przy sobie Spowiedniczki o okrutnym, przenikliwym umyśle i powinnam się z tego cieszyć, ale nie potrafiłam o tym myśleć bez utraty tchu. Czułam wówczas tępy ból, jakby mnie ktoś kopnął w brzuch. Jej śmierć pociągnęła za sobą śmierć Kimy.

– Ile wiemy o tej Pani General? – spytałam.

– Niewiele – odparła Zoe. – Przyglądamy jej się od chwili, gdy pojawiła się na scenie, ale upłynęło wiele lat, odkąd nasi wysłannicy zdołali przeniknąć do fortu Rady. O wiele trudniej jest dziś dostać się do Wyndham, nie mówiąc już

o zbliżeniu się do Rady.

– Wiemy tylko złe rzeczy – rzekł Kobziarz. – To wojująca przeciwniczka Omeg, podobnie jak Prowodyr i Reformator.

Nadal bolało mnie, gdy słyszałam, jak Zach jest nazywany tytułem członka Rady. W silosie Spowiedniczka powiedziała, że kiedyś nosiła inne imię. Ciekawiło mnie, czy mój bliźniak nadal uważał się za Zacha. Przypuszczalnie nie. Podejrzywałam, że wolałby zostawić przeszłość za sobą, a w tym również dzieciństwo, które spędził ze mną.

– Pani Generał ma ponadto lepszą pozycję niż pozostali – ciągnął Kobziarz. – Wszyscy rozpoczęli kariery jako młodzi ludzie, co nie jest niczym szczególnym w Radzie. To miejsce przypomina jamę pełną węży i wielu członków Rady rychło ginie. Niemniej jednak Pani Generał jest z tej trójki najbystrzejszym politykiem. Na początku kariery pracowała dla Komandora i – jeśli wierzyć plotkom – otruła go, by zająć jego miejsce.

Pamiętałam tę śmierć. Ogłoszono ją, gdy nadal mieszkałam w osadzie. W biuletynie Rady było napisane, że umarł przedwcześnie, ale nie wyglądało na to, żeby Pani Generał szczególnie się zmartwiła.

– Pani Generał nigdy nie wracała do tego tematu – mówił Kobziarz. – Trudno więc ustalić, czy plotki były prawdziwe, ale na pewno dzięki nim budzi pełen lęku szacunek. Wszelkie starcia z opozycją kończą się źle dla jej przeciwników, a nigdy dla niej. Posługuje się skandalami i zniesławieniem, wbija oponentom nóż w plecy, czasem w przenośni, czasem dosłownie, a w efekcie wszyscy, którzy stanęli jej na drodze, zostali jeden po drugim wygnani albo uciszeni. Sędzia utrzymał się na pozycji tak długo tylko dlatego, że był dla całej trójki użyteczny jako popularna marionetka.

– Czemu ona stała się nową przywódczynią, a nie Prowodyr czy Zach? – spytałam.

Kobziarz kucnął, opierając łokieć na kolanie.

– Prowodyr wszedł do Rady dzięki wojsku – odparł. – Ma tłumy zwolenników wśród żołnierzy, ale nie jest takim intrygantem politycznym jak pozostała dwójka. Potrzebują go. Ma dłuższy staż w Radzie, wyczuwa nastroje społeczne, a żołnierze uważają go za równego sobie i są wobec niego lojalni. Mówi się jednak, że nie uchodzi za radykała. Nie odbierz moich słów na opak; to wciąż niebezpieczny człowiek. Po pierwsze, stoi na czele armii i dlatego od lat aktywnie działa na rzecz wzmocnienia roli Rady. Choć jest brutalnym człowiekiem, to nie on stoi za największymi reformami. Większość najgorszych zmian, jak choćby spychanie osad coraz dalej od przyzwoitych ziem czy podnoszenie należności, to najprawdopodobniej dzieło Pani Generał. Za zaostrzonymi procedurami rejestracji stoi zaś Reformator i przypuszczalnie Spowiedniczka, która wraz z nim działała za kulisami.

– A co wiecie o udziale Zacha w tym wszystkim?

– Chyba mniej od ciebie – rzekł Kobziarz.

Kiedyś bym się z nim zgodziła. Uważałabym, że nikt nie zna Zacha tak dobrze jak ja, ale teraz pojawił się między nami dystans, którego nie umiałam pokonać. Między nami leżały ciała Spowiedniczki i Kimy, a w zbiornikach wokół nas unosiły się sylwetki milczących ludzi.

– Reformator zawsze wydawał się kimś z zewnątrz – opowiadał Kobziarz. – Nie dość, że przystąpił do Rady nieco później, to jeszcze wychował się gdzieś indziej, nie w Wyndham jak pozostali dwoje. Miał jednak Spowiedniczkę, a to czyniło go potężnym. Myślę, że zbiorniki są jego ulubionym projektem, podobnie jak baza danych. Nigdy nie był dyskretną osobą jak Pani Generał, która potrafi zarówno oczarować, jak i zastraszyć. Reformator jest równie bezwzględny jak ona, ale okazuje to w inny sposób.

– Nie musisz mi tego mówić – odezwałam się.

Kobziarz pokiwał głową.

– Teraz jednakże, po śmierci Spowiedniczki, sojusze i układy mogły ulec zmianie.

Przypomniało mi się, że po śmierci Kimy i Spowiedniczki Zach pozwolił mi uciec. Nadal słyszałam wahanie w jego głosie, gdy krzyczał do mnie, bym uciekała, bo żołnierze są już w drodze. Nie chciał, by dowiedzieli się, że to ja maczałam w tym palce. Nie chciał, by powiązali to wszystko z nim. Kogo się bał? Pani Generał czy Prowodyra, a może obojga? Przed wydarzeniami w silosie byłabym w stanie uwierzyć, że Zach w jakiś sposób chciał mnie uwolnić, ale resztki mojej wiary roztrzaskały się o podłogę silosu wraz z ciałem Kimy.

– Musimy jak najszybciej dotrzeć do Sally – rzekł Kobziarz. – Nie mamy wyboru. Tam zaczniemy reorganizację ruchu oporu i poszukiwanie statków. Rada urządziła masakrę na Wyspie, pozbyła się Sędziego, a teraz po kawałku rozmontowuje siatkę ruchu oporu.

Wydawało się, że niebo nad nami, zasłonięte ponurymi chmurami, nas przytłacza. Miałam wrażenie, że jesteśmy drobnymi niczym pyłki, trójka małych ludzi na owiewanej wiatrami równinie, mająca przeciwko sobie machinacje całej Rady. Co noc, gdy wyruszaliśmy w mozolną wędrówkę wśród traw równiny, w przytułkach powstawały coraz to nowe zbiorniki. Któż mógł wiedzieć, ile z nich już znalazło lokatora. Nie mogłam utrzymywać, że znam Zacha – co do tego nie było wątpliwości – ale jednej rzeczy byłam pewna: on na tym nie poprzestanie. Nie spocznie, póki nie wylądujemy tam wszyscy.

Rozdział czwarty

Jakiś czas po północy zaczęłam coś wyczuwać. Szliśmy przed siebie, a ja, roztrzęsiona, rozglądałam się dookoła i próbowałam przeniknąć ciemności. Pewnego razu, gdy wraz z Zachem byliśmy jeszcze dziećmi, osy zbudowały sobie gniazdo pod okapem naszego domu, tuż obok sypialni. Nim tato je odnalazł, minęło kilka dni, a przez ten czas bzyczenie owadów nie pozwalało nam zasnąć. Leżeliśmy w naszych małych łóżeczkach i szeptem opowiadaliśmy sobie historie o duchach. Czułam się teraz podobnie – wychwytywałam ostry, przenikliwy szum gdzieś na granicy słyszalności, wiadomość, której nie potrafiłam zinterpretować, lecz która plugawiła nocne niebo.

Potem natknęliśmy się na pierwsze ślady przytułku. Znajdowaliśmy się w połowie drogi między Wyndham a południowym wybrzeżem. Próbowaliśmy trzymać się z dala od szlaku preferowanego przez wozy, ale znaleźliśmy się wystarczająco blisko, by ujrzeć drogowskaz. Podkradliśmy się bliżej i odczytaliśmy wielkie, białe litery, wymalowane na drewnianych deskach.

„Wasza Rada wita was w Przytułku, który znajduje się 6 mil na południe stąd”.

„Troszczymy się o nasz wspólny dobrobyt”.

„Oferujemy bezpieczeństwo i dostatek, za co zapłacisz uczciwą pracą”.

„Zapewniamy schronienie w trudnych czasach!”.

Omegi nie miały prawa uczęszczać do szkoły, ale wielu z nas opanowało podstawy sztuki czytania w domach rodzinnych lub – tak jak ja – w nielegalnych szkołach. Ciekawe, ile Omeg, które miały ten drogowskaz, było w stanie odczytać jego treść, a ile uwierzyło w jego przekaz.

– W trudnych czasach – parsknął Kobziarz. – Gdyby nie rosnące podatki czy spychanie Omeg na inne ziemie, czasy nie byłyby takie trudne. Szkoda, że nie wspomnieli o własnym w tym udziale.

– Lub o tym, że jeśli trudne czasy miną, nie będzie to miało żadnego znaczenia – dodała Zoe. – Bo ludzie trafiają do przytułków na dobre i nigdy z nich nie wychodzą.

Wszyscy wiedzieliśmy, co to oznacza. Oczami wyobraźni widzieliśmy Omegi, które unosiły się w zbiornikach w stanie zbliżonym do śmierci. Były uwięzione w przerażającym azylu szklanych brzuszysk, podczas gdy ich rodacy, Alfy, bez przeszkód żyły nadal swoim życiem.

Szliśmy wzdłuż drogi, ale trzymaliśmy się z dala od niej, kryjąc się wśród drzew i parowów. W miarę jak zbliżaliśmy się do przytułku, łapałam się na tym, że zwalniam, a moje ruchy stają się coraz bardziej ociężałe. Zbliżaliśmy się do źródła mego niepokoju. O świcie, gdy przytułek znalazł się w polu widzenia, miałam wrażenie, że brnę w górę rzeki. W świetle budzącego się dnia podkradliśmy się

najbliżej, jak się odważyliśmy. Zaszyliśmy się wśród drzew na szczycie wzniesienia, które znajdowało się zaledwie kilkanaście kroków od kompleksu budynków.

Przytułek okazał się większy, niż mogłam sobie wyobrazić – wielkością dorównywał niewielkiemu miasteczku, a otaczający go mur był wyższy nawet od tego, który opasał Nowy Hobart. Liczył sobie piętnaście stóp wysokości, a zbudowano go nie z drewna, ale z cegieł, a wzdłuż jego szczytu ciągnęły się pasma splątanych drutów przypominających gniazda wite przez gigantyczne ptaki. Za murem widzieliśmy dachy rozmaitych budowli.

Kobziarz pokazał wielki budynek przy zachodnim murze. Gmach ciągnął się przez połowę ogrodzonego obszaru, a jego ściany nadal były lekko żółtawe, co oznaczało, że wzniesiono je z niedawno ściętych pni sosny. Ich barwa kontrastowała z szarością starszych budynków, podniszczonych przez żywioły.

– Nie ma okien – odezwała się Zoe.

Doskonale wiedzieliśmy, co oznaczają te nieliczne sylaby. Wewnątrz tego budynku stoją rzędy zbiorników, niektóre puste, inne nadal w trakcie budowy, ale młodości podpowiadały mi, że wiele z nich zostało już wykorzystanych. W gęstym, lepkiem płynie zanurzono setki ludzkich istnień. Jego przesycona słodycz wdzierала się do oczu, uszu, nosów i ust. Ludzie obumierali, słysząc jedynie szum maszyn.

Niemalże cały kompleks został opasany murami niczym grobowiec, ale przy wschodniej ścianie ciągnęły się pola uprawne, obwiedzione drewnianym płotem. Był zbyt wysoki, by się na niego wspiąć, a sztachety umieszczono na tyle blisko siebie, by nikt nie zdołał się między nimi prześlizgnąć, ale mimo to udało im się dojrzeć równo posadzone rośliny i robotników z motykami, uwijających się przy burakach i dyniach. Było ich około dwudziestu, co do jednego Omegi, pochyleni nad pracą. Dynie były dorodne – każda z nich była większa od wszystkich posiłków, które zjedliśmy z Zoe i Kobziarzem przez ostatnie dni.

– Przynajmniej nie zamknięto ich w zbiornikach – powiedziała Zoe. – Na razie.

– Ile my tu mamy? – zastanawiał się Kobziarz. – Sześć akrów? Spójrzcie, jakie wielkie jest to miejsce, zwłaszcza teraz, po postawieniu nowego budynku. Wedle danych zbieranych na Wyspie co roku do przytułków zgłaszały się tysiące ludzi, więcej niż kiedykolwiek wcześniej, zważywszy na złe zbiory i wysokość podatków. Ten przytułek pomieściłby ponad pięć tysięcy ludzi. Nic dziwnego, że karmi się ich zbiorami z tych pól – wystarczyłoby ledwie do wykarmienia straży.

– To tylko na pokaz – powiedziałam. – Wiecie, coś na kształt popisu minstrela. Rada chce, by ludzie tak właśnie postrzegali przytułki i tym chętniej się do nich zgłaszali.

Było w tym miejscu coś, co budziło we mnie niepokój. Długo szukałam jego źródła, aż uzmysłowiłam sobie, że przyczyną nie jest obecność jakiegoś nowego

elementu, ale raczej jego brak. Panowała tu mianowicie niemalże całkowita cisza. Kobziarz twierdził, że te mury kryją tysiące ludzi. Przypomniały mi się odgłosy rynku Nowego Hobartu czy ulic na Wyspie. Przypomniał mi się nieustający gwar czyniony przez dzieci w sierocińcu Elsy. Tymczasem jedynymi odgłosami, jakie teraz do nas docierały, były uderzenia motyk o ziemię stwardniałą od przymrozków. Nie słyszeliśmy gwaru rozmów, nie dostrzegałam też ruchu między budynkami. Myślami wróciłam do pomieszczenia ze zbiornikami, które widziałam w Wyndham, gdzie jedynym odgłosem był nieprzerwany szum Elektryki, a dziesiątki gardeł zapchanych drutami przypominały zakorkowane szyjki butelek.

Nagle dostrzegłam jakiś ruch na drodze, która prowadziła do wschodniego muru. Nie byli to konni żołnierze, ale trzech pieszych wędrowców, którzy szli powoli przed siebie, uginając się pod ciężarem bagaży.

Gdy podeszli bliżej, widać było, że to Omegi, dwóch mężczyzn i dziecko. Ręka niższego z dorosłych kończyła się na wysokości łokcia, a drugi utykał mocno – jedna z jego nóg była poskręcana niczym konar wyrzucony przez morze. Chłopiec idący między mężczyznami mógł mieć około siedmiu, ośmiu lat, choć był tak wychudzony, że trudno było stwierdzić. Szedł z pochyloną głową, prowadzony za rękę przez wysokiego mężczyznę. Ich głowy wydawały się zbyt duże w stosunku do mizernych ciał, ale najbardziej zabołał mnie widok ich bagaży. Zawartość ich mocno zawiązanych tobołków z pewnością została starannie dobrana. Nieśli ze sobą nieliczne cenne przedmioty, które ich zdaniem mogły się przydać w przyszłym życiu, które właśnie mieli rozpocząć. Wyższy z dwóch wędrowców niósł łopatę, a z plecaka jego towarzysza zwisały dwie patelnie, stukające o siebie z każdym jego krokiem.

– Musimy ich powstrzymać – powiedziałam. – Musimy im powiedzieć, co tam na nich czeka!

– Za późno – rzucił Kobziarz. – Strażnicy nas zobaczą i będzie po wszystkim.

– A nawet gdyby jakoś udało nam się podkraść do nich niepostrzeżenie, co byśmy im powiedzieli? – spytała Zoe. – Uznaliby nas za szaleńców! Spójrz tylko na nas!

Zerknęłam najpierw na Zoe, potem na Kobziarza, a na końcu na siebie. Byliśmy brudni i zagłodzeni, a nasze podarte ubrania nadal nosiły szary osad z Pustkowi.

– Dlaczego mieliby nam zaufać? – odezwał się Kobziarz. – I co moglibyśmy im zaproponować? Kiedyś naszym atutem było bezpieczeństwo na Wyspie albo przynajmniej schronienie, udzielone przez ruch oporu. Tymczasem Wyspa już przepadła, a ruch oporu rozsypuje się z dnia na dzień.

– Wszystko jest lepsze od życia w zbiorniku – powiedziałam.

– Wiem – rzekł Kobziarz. – Ale oni nie zdają sobie z tego sprawy. Nie wiem,

jak mielibyśmy w ogóle zacząć im to wszystko tłumaczyć.

Brama w kamiennym murze otworzyła się i trzech żołnierzy Rady w czerwonych tunikach wyszło na zewnątrz, by poczekać na przybyszów. Stali w swobodnych pozach, z rękami założonymi na piersiach, czekali. Mnie zaś ponownie uderzyła bezwzględna skuteczność planu Zacha. Wysokie podatki załatwiały sprawę za nich. Zmuszały zdesperowane Omegi, by zgłaszały się do przytułków, zbudowanych właśnie za wpływy z podatków. W środku zaś czekały na nich zbiorniki, których nigdy już nie mieli opuścić.

Na wschodzie, na polach obwiedzionych drewnianym ogrodzeniem, dostrzegłam nagły ruch. Jeden z robotników przypadł do płotu i machał jak szalony ręką do wędrowców. Wskazywał drogę, którą właśnie nadeszli. Nie było wątpliwości, jak należy zrozumieć ów gest: „Uciekajcie stąd! Jak najdalej!”. Rozpaczliwe gesty ostro kontrastowały z ciszą, z jaką protestował. Nie miałam pojęcia, czy jest niemy, czy może nie chce zwrócić na siebie uwagi strażników. Pozostali robotnicy przyglądali mu się uważnie. Któraś z kobiet zrobiła kilka kroków ku niemu – może chciała mu pomóc, a może powstrzymać – ale zamarła i spojrzała przez ramię.

Z drewnianego budynku za polami nadbiegał właśnie żołnierz, który błyskawicznie powalił sygnalizującego mężczyznę ciosem w tył głowy. Nim przypadł do nich drugi żołnierz, Omega leżał już na ziemi. Wspólnie odciągnęli jego bezwładne ciało gdzieś na tył. Na polu pojawiło się trzech kolejnych – jeden szedł wzdłuż ogrodzenia i spoglądał surowo na pozostałych robotników, którzy pospiesznie wrócili do pracy. Z daleka zajście przypominało teatr cieni, gdyż rozegrało się szybko i w kompletnej ciszy.

Reakcja żołnierzy była tak błyskawiczna, że przybysze przypuszczalnie niczego nawet nie zauważyli. Nadal szli z pochylonymi głowami w stronę ludzi czekających przy bramie, w odległości zaledwie kilkunastu kroków. Nawet jeśli dojrzeliby ostrzeżenie, cóż by im ono dało? Czy zdążyliby uciec? Strażnicy przecież obezwładniliby ich bez trudu, nawet pieszo. Ostrzeżenie być może było więc daremne, ale mimo to podziwiałam odwagę tego człowieka. Skrzywiłam się na myśl o tym, co się teraz z nim dzieje.

Mężczyźni i chłopiec dotarli do bramy. Zatrzymali się tam i odbyli krótką rozmowę ze strażą. Jeden ze strażników uniósł rękę po łopatę, niesioną przez wyższego z wędrowców, który mu ją oddał. Następnie cała trójka przeszła przez bramę, a żołnierze zaczęli zamykać skrzydła. Wyższy Omega odwrócił się i spojrzał na równinę. Z pewnością nie mógł mnie dojrzeć, ale mimo to uniosłam rękę i powtórzyłam rozpaczliwy apel robotnika zza ogrodzenia. „Uciekajcie! Uciekajcie!”. Był to pozbawiony sensu odruch, daremny, choć niemożliwy do powstrzymania. Zachowałam się jak tonący, który wciąż próbuje nabrać tchu, choć jest już pod wodą.

Bramy już się zamykały, a mężczyzna odwrócił się i wkroczył do przytułku. Rozległ się huk zatraskujących się wrót.

Nie mogliśmy ich ocalić, a w drodze byli już kolejni. Ludzie w okolicznych wsiach rozważali decyzję udania się do przytułku i zastanawiali się, co należy zabrać. Zamykali drzwi i okna domów, do których nigdy już mieli nie wrócić. A przecież w całym kraju było takich ośrodków więcej, a każdy z nich dysponował zbiornikami. Wedle mapy Kobziarza, którą widziałam na Wyspie, było ich prawie pięćdziesiąt. Każdy z nich stanowił teraz magazyn żywych trupów. Nie mogłam oderwać wzroku od nowego budynku. Budziłby we mnie grozę, nawet gdybym nie wiedziała, co skrywa. Teraz, gdy jego przeznaczenie nie było dla mnie tajemnicą, spoglądałam na niego niczym na pomnik wzniesiony ku czci grozy. Otrząsnęłam się, gdy Kobziarz trącił mnie łokciem. Wraz z pozostałymi wycofałam się w głąb zagajnika i wtedy dopiero, drżąc na całym ciele, nabrałam tchu.

Kilka mil za przytułkiem Kobziarz miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch w zaroślach ciągnących się na wschodzie, ale gdy tam dotarliśmy, naszym oczom ukazała się jedynie zdeptana trawa. Nie odnaleźliśmy żadnych śladów. Następnego dnia jednakże, gdy Zoe pełniła wartę, a ja i Kobziarz spaliśmy w niecce, rozległ się wrzask zięby. Zoe obudziła nas oboje i szepnęła, że to zły znak. Na początku zimy zięby rzadko bowiem śpiewały, a na ogół przekazywały sygnały pogwizdywaniem. Wyciągnęłam nóż, a Zoe i Kobziarz okrążyli obóz, lecz niczego nie znaleźli. Zwinęliśmy się wcześniej i ruszyliśmy w drogę przed zachodem słońca. Unikaliśmy otwartej przestrzeni nawet po nadejściu nocy.

Okolo północy przemierzyliśmy dolinę najeżoną sterczącymi z ziemi metalowymi prętami, pochodzącymi sprzed Wybuchu. Liczące sobie czterdzieści stóp wysokości pordzewiałe żebra, powyginane przez kataklizm, zakrzywiały się wysoko nad nami. Miałam wrażenie, że idziemy przez szkielet dawno nieżyjącego potwora. Porywisty wiatr, który atakował nas przez całą noc i utrudniał rozmowy, tu w dolinie rozbijał się o słupy i stał się przez to jeszcze głośniejszy.

Wspinaliśmy się właśnie po zboczu doliny, gdy zza zardzewiałych słupów wyskoczył jakiś mężczyzna. Złapał mnie za włosy i nim zdążyłam krzyknąć, obrócił mnie ku sobie i przycisnął nóż do mego gardła.

– Szukałem cię! – oznajmił.

Oderwałam wzrok od rękojeści jego sztyletu. Kobziarz i Zoe znajdowali się zaledwie kilka kroków za mną. Oboje trzymali już noże, gotowi do rzutu.

– Puść ją albo zginiecie! – rzekł Kobziarz.

– Każ swoim ludziom odłożyć broń – odezwał się mężczyzna. Mówił spokojnym tonem, jakby uzbrojeni po zęby Zoe oraz Kobziarz nie stanowili żadnego powodu do zmartwienia.

Zoe przewróciła oczami.

– Nie jesteśmy jej ludźmi.

– Doskonale wiem, kim jesteście – odparł.

Ostrze jego noża dotykało blizny pozostawionej przez broń Spowiedniczki. Czy to zgrubienie spowolni jego ostrze, jeśli zdecyduje się mnie zranić? Odchyliłam nieco głowę, by przyjrzeć się jego twarzy, ale widziałam jedynie jego grzywę ciemnych loków, luźnych, nie tak ciasnych jak u Kobziarza czy Zoe. Włosy przesłaniały całą jego twarz i łaskotały mnie w policzek. Jego nóż dotykał mej skóry, ale mężczyzna nie zwracał na mnie uwagi. Powoli odwracałam głowę coraz dalej – napór ostrza na skórę narastał, ale przynajmniej udało mi się ujrzeć jego oczy, wbite w Kobziarza i Zoe. Był od nas starszy, ale chyba nie ukończył jeszcze trzydziestu lat. Gdzieś go już kiedyś widziałam, choć nie miało to dla mnie w tej chwili większego znaczenia.

Kobziarz rozgryzł to pierwszy.

– Myślisz, że nie wiemy, kim jesteś? – spytał. – Nazywają cię Prowodyrem.

I nagle przypomniałam sobie, gdzie go widziałam – pokazywano mi jego podobiznę na Wyspie. Kilka kresk na kartce papieru naraz stało się ciałem. Patrzyłam na pełne usta i zmarszczki wokół oczu, pozostawione przez uśmiech. Z bliska każda z nich przypominała szczelinę wypełnioną blaskiem księżyca na pociemniałej twarzy.

– Odłóżcie broń – powtórzył Prowodyr. – Albo ją zabiję.

Z ciemności za plecami Zoe i Kobziarza wyłoniło się trzech mężczyzn – dwóch uzbrojonych w miecze, a trzeci w łuk. Słyszałam skrzypnięcie napinanej cięciwy, ujrzałam grot wycelowany w plecy Kobziarza. Ten nawet nie drgnął, choć Zoe odwróciła się ku nowo przybyłym.

– A jeśli rzucimy broń, co cię powstrzyma od zabicia jej? – Kobziarz spytał spokojnym głosem. – Jej i nas wszystkich?

– Nie zabiję jej, chyba że będę musiał. Chcę z wami porozmawiać. Jak myślisz, dlaczego pojawiłem się tu bez wielkiej eskorty? Podjąłem niemałe ryzyko, próbując was znaleźć i z wami porozmawiać.

– Co ty tu w ogóle robisz? – W głosie Kobziarza pobrzmiwało znudzenie i niecierpliwość, jakby rozmawiał z uciążliwym towarzyszem w tawernie. Widziałam jednak ścięgną jego dłoni, napiętą, twarde jak stal, i nadgarstek ułożony do rzutu nożem. Samo ostrze wydawało się ostrym promykiem srebra w blasku księżyca. Gdybym nie widziała, jak nimi włada, uznałabym, że wygląda pięknie.

– Chcę porozmawiać z wizjonerką o jej bliźniaku – rzekł Prowodyr.

– Zawsze rozpoczynasz rozmowę od przyłożenia komuś noża do gardła? – spytał Kobziarz.

– Obaj wiemy, że to nie jest zwykła rozmowa. – Prowodyr za moimi plecami ani drgnął, ale widziałam, jak jego ludzie przemieszczają się dyskretnie. Światło

księżycyca przysunęło się na klindze jednego z mieczy, gdy żołnierz zbliżył się ostrożnie do Kobziarza. Łuk trzymany przez jego towarzysza zadrżał lekko, gdy ten odciągnął mocniej cięciwę.

– Nie ma mowy o rozmowie dopóty, dopóki nam czymś grozisz – powiedziałam. Artykułując każde słowo, czułam napór ostrza na moją skórę.

– A wy musicie zrozumieć, że nie jestem człowiekiem, który rzuca groźby bez pokrycia.

Przesunął ostrze ku górze, zmuszając mnie do uniesienia głowy. Czułam, jak moja skóra pulsuje pod naporem klingi, z początku zimnej, ale teraz coraz cieplejszej. Zoe przesuwiała się powoli, stopniowo, aż stanęła tyłem do pleców Kobziarza, a twarzą do ludzi Prowodyra. Od łuczника, który mrużył oko i mierzył w jej pierś, dzieliło ją zaledwie kilka kroków.

Nagle Kobziarz się poruszył. Miałam wrażenie, że czas zwolnił. Widziałam, jak wypuszcza ostrze i wyciąga ramię, celując w Prowodyra palcem, jakby obarczał go winą. Zoe zerwała się w tej samej chwili. Oba jej noże pomknęły w kierunku łuczника, a ona sama uskoczyła w bok. Uwolniona strzała przecięła miejsce, gdzie stała przed chwilą.

Prowodyr odbił nóż Kobziarza własną bronią. Dźwięki następowały błyskawicznie po sobie – zgrzyt zderzających się ostrzy, krzyk łuczника ranionego jednym z jej noży i brzęk zardzewiałego słupa, trafionego drugim. Strzała przemknęła nad moim ramieniem i znikła w mroku.

– Stać! – krzyknął Prowodyr do swoich ludzi.

Przyłożyłam dłoń do miejsca, gdzie przed sekundą czułam jego ostrze. Czekałam na ból i strumień gorącej krwi, ale nic takiego się nie zdarzyło. Wyczułam jedynie starą bliznę i szaleńcze pulsowanie żył.

Rozdział piąty

Przez kilka sekund żadne z nas nawet nie drgnęło. Prowodyr klęczał przede mną i mierzył ostrzem w Kobziarza, którego broń zastygła tuż przed sztyletem wroga. Zoe, która zdążyła dobyć kolejne dwa noże do rzucania, nadal stała zwrócona plecami do Kobziarza. Za nią widać było krzywiącego się z bólu łuczника, który zaciskał dłoń na rękojeści noża tkwiącego pod jego obojczykiem. Żołnierze uzbrojeni w miecze trzymali się w bezpiecznej odległości.

Sięgnęłam po własną broń przy pasie, ale nagle znów zgrzytnęła stal. Prowodyr schował swą broń.

– Cofnijcie się – nakazał swoim ludziom.

Ci wykonali polecenie. Ranny nadal przeklinał – nie widziałam jego krwi, ale czułam jej zapach. Była to jedyna w swoim rodzaju surowa woń, która przywodziła na myśl obłupione ze skóry króliki oraz trupy na Wyspie.

– Myślę, że rozumiemy się nawzajem – rzekł Prowodyr. – Chcę porozmawiać, ale jeśli chwycimy za noże, nie dam sobie w kaszę dmuchać.

– Dotknij jej jeszcze raz, a wytnę ci język – obiecał Kobziarz. – Wtedy już sobie nie pogadamy.

Wyminął Prowodyra, złapał mnie za ramię i odciągnął ku Zoe. Ta opuściła noże, ale nie schowała ich do pochew.

– Zostawcie nas! – wykrzyknął do swoich ludzi Prowodyr i machnął niecierpliwie. Ci wycofali się, aż skryła ich ciemność i nie słyszałam już chrapliwego oddechu rannego łucznika.

– Nic ci się nie stało? – spytał Kobziarz.

– Mógł mi poderznąć gardło, gdy rzuciłeś nożem – szepnęłam, nie puszczając szyi.

– Nie miał zamiaru cię zabić – odparł Kobziarz. – Włożył wiele trudu w to, by się z nami spotkać. Chciał tylko zrobić na nas wrażenie – dodał odpowiednio głośno, by usłyszał go Prowodyr. – Chciał pokazać, jaki jest ważny i groźny.

Spojrzałam na Kobziarza, a w duchu zadałam sobie pytanie, jak można być tak bardzo wszystkiego pewnym.

Zoe rozglądała się dookoła.

– Gdzie reszta wojska? – spytała Prowodyra.

– Już wam mówiłem, że zabrałem jedynie zwiadowców. Zdajecie sobie sprawę z tego, co by się wydarzyło, gdyby ktoś się dowiedział o moim spotkaniu z wami?

Odwróciłam się. Jego ludzie przyglądali nam się czujnie z odległości kilkunastu kroków, nadal nie schowawszy broni. Ranny upuścił łuk i oparł się o jeden z zakrzywionych metalowych słupów, ale wyprostował się niespodziewanie, jakby dotyk tabu zabolął bardziej od sztyletu w ranie.

– Jak nas znalazłeś? – Odwróciłam się ku niemu. – Rada przecież szuka nas od miesiący. Jak to możliwe, że znalazłeś nas akurat ty, i to właśnie teraz?

– Twój brat wraz z Panią Generał uważają, że ich maszyny pozwalają im wytropić każdego. Być może w istocie działały, gdy mieli do dyspozycji Spowiedniczkę i jej wizje. Do starszych, bardziej tradycyjnych metod nie mają serca. Mogliby się wiele nauczyć od starszych członków Rady bądź choć bardziej doświadczonych żołnierzy, gdyby tylko chciało im się słuchać tak jak mnie. Od lat płacę ulicznikom w połowie osad między Wyndham a wybrzeżem. Kiedy potrzeba aktualnych informacji, chciwy dzieciak z perspektywą zarobienia srebrnej monety zdoła o wiele więcej od jakiegokolwiek maszyny. Czasem to strata pieniędzy, gdyż dostarczają mi jedynie plotki i podnoszą fałszywe alarmy, ale zdarza się, że uśmiechnie się do mnie szczęście. Rzekomo widziano was w Drury. Potem ktoś mi doniósł, że widziano trzech nieznajomych w Windrush. Zaciekawilo mnie to, że była to dziewczyna Alfa z dwoma Omegami. Moi zwiadowcy tropią was od czterech dni.

– Dlaczego? – przerwał mu Kobziarz.

– Bo mamy wiele wspólnego.

Kobziarz parsknął śmiechem, który z jakiegoś powodu w ciemnościach wydał się głośniejszy.

– My? Spójrz tylko na siebie!

Prowodyr przebył długą drogę z Wyndham, ale nadal miał wymuskany wygląd członka Rady. Gdzieś niedaleko stąd stał namiot, przyniesiony i rozłożony przez jego żołnierzy, a w nim wygodne łóżko z pościelą. My podróżowaliśmy pieszo po kostki w popiele bądź zdzieraliśmy sobie stopy na kamienistych wzgórzach, a on prawdopodobnie jechał konno. Żołnierze przypuszczalnie przynosili mu wodę do mycia, gdyż na jego rękach i twarzy nie było ani śladu brudu, który nas obrósł. Jego zaokrąglone policzki zaś zdradzały, że nigdy nie musiał obierać grzyba, który był jedynym posiłkiem po długiej, nocnej wędrówce, czy przez dziesięć minut zdrapywać resztek mięsa z żyłastego ciała jaszczurki. Nasz głód stał się szatą, której nie byliśmy w stanie zdjąć. Patrząc na jego twarz dobrze odżywionego człowieka, nie mogłam się powstrzymać i również parsknęłam śmiechem. Stojąca za mną Zoe splunęła na ziemię.

– Wiem, skąd się bierze wasza wesołość – rzekł Prowodyr. – Ale mamy więcej wspólnego, niż wam się wydaje. Pragniemy mianowicie tej samej rzeczy.

Tym razem to Zoe parsknęła śmiechem.

– Gdybyś wiedział, co mam ochotę zrobić tobie i reszcie tych łajdaków z Rady, powstrzymałbyś się z takimi wyznaniem.

– Już raz mówiłem, że popełniasz błąd, jeśli sądzisz, że jesteśmy tacy sami.

– Co noc kładziesz się do snu w puchowej pościeli – odezwał się Kobziarz – a Omegi tymczasem cierpią. Jakie znaczenie dla nas ma to, że kłócicie się między

sobą, w jaki sposób najlepiej nas wykorzystać? Raz na jakiś czas któryś z was zabija rywala, ale co z tego wynika dla nas?

– Pewne sprawy uległy zmianie.

– Niech no zgadnę – odezwał się Kobziarz. – Nagle zaczęło ci zależeć na Omegach?

– Nie. W ogóle mi na was nie zależy.

Jego szczerość zaskoczyła nawet Zoe, która już chciała mu przerwać.

– Zależy mi na Alfach – ciągnął Prowodyr, nawet nie udając zażenowania. – Chcę, by wszystko, co robię, przynosiło im korzyść. To moje zadanie, podobnie jak waszym jest działanie w interesie waszych ludzi.

– Nie stoję już na czele Zgromadzenia – rzekł Kobziarz i wskazał na siebie, na swe złachmanione ubranie i brudną twarz. – Czyżbym w twoich oczach wyglądał na przywódcę ruchu oporu?

Prowodyr go zignorował.

– To, co Reformator i Pani Generał robią bądź próbują robić, zagraża nam wszystkim, zarówno Alfom, jak i Omegom.

– O czym ty mówisz? – spytałam.

– Nie kpij – rzekł. – Uciekając z fortu Wyndham, widzieliście pomieszczenie ze zbiornikami. Wiesz, że oni wskrzeszają maszyny i Elektrykę. I podejrzewam, że wiecie więcej, niż chcecie przyznać, na temat bazy danych Spowiedniczki. Jakoś nigdy nie uwierzyłem w historię Reformatora, jakoby Spowiedniczka została zabita przez swego bliźniaka.

Nie odezwałam się ani słowem.

– Od lat współpracuję ściśle z Panią Generał oraz z Reformatorem – rzekł. – Zniósłbym nawet jego bliskość ze Spowiedniczką.

Przy tych słowach ścięgnął nieco wargi, by okazać niesmak.

– Była przynajmniej użyteczna. Doszło jednak do tego, że nasze cele zaczęły od siebie odbiegać. Nabrałem pewności, że twój bliźniak oraz Pani Generał nie chcą już przestrzegać tabu. Widziałem, że mówią jedno, a robią drugie, bo wiedzą, że tego oczekuje opinia publiczna. Przesadzają. Naprawdę przesadzają. Próbowali zachować swe działania w tajemnicy, ale takich rzeczy nie byli w stanie zrobić w pojedynkę. Przez ostatni rok przejąłem paru żołnierzy z ich osobistych oddziałów przybocznych. Widzieli rzeczy, których pilnowali. Widzieli zbiorniki i bazy danych. W przeciwieństwie do Reformatora czy Pani Generał, choć ta zaczerpnęła tytuł z hierarchii wojskowej, ja zdobyłem swą pozycję dzięki armii. Rozumiem żołnierzy, rozumiem zwykłych ludzi. Zdaję sobie sprawę z tego, jak głęboko zakorzenione jest tabu. Twój bliźniak oraz Pani Generał są tak zauroczeni własnymi pomysłami, że całkiem zapomnieli o tym, jak bardzo większość ludzi boi się i nienawidzi maszyn.

– Boją się maszyn bardziej niż Omeg? – spytałam.

– To jedno i to samo – odpowiedział. – Ludzie o tym wiedzą. To maszyny spowodowały Wybuch oraz doprowadziły do rozpoczęcia plagi bliźniactwa oraz powstania Omeg.

A więc w ten sposób nas postrzegał? Byliście dlań aberracją, rzeczą równie przerażającą jak Wybuch. Byliście problemem do rozwiązania.

– Kiedy Spowiedniczka została zabita, a jej baza danych zniszczona, miałem nadzieję, że może to już koniec. Ale entuzjazm twego brata oraz Pani Generał wobec maszyn bynajmniej nie słabnie. Za daleko już zabrnęli. Sędzia był ostatnim członkiem Rady na tyle potężnym, by móc sprzeciwić się im otwarcie. Choć uwięzili jego bliźniaka, nadal stanowczo bronił kwestii tabu, bo wiedział, że w przeciwnym razie ludzie również są gotowi zmienić zdanie. Zabili więc jego bliźniaka, a później, gdy doszli do wniosku, że nie potrzebują już Sędziego, zgładzili również jego.

– A co z innymi członkami Rady? – spytał Kobziarz. – Wiedzą o tym, co robi Pani Generał z Reformatorem? Jakie są ich zamiary?

– Mało kto jest zaniepokojony ich działaniami. Większość członków wyraża milczącą aprobatę i nie patrzy tej dwójce na ręce. Nie będą mieli nic przeciwko osobistym korzyściom, jeśli plan wypali, ale nie chcą być wmieszani, jeśli coś pójdzie nie tak.

„Jak cudowną rzeczą jest ignorancja – pomyślałam. – Jak wspaniale byłoby zrzucić z barków ciężar wiedzy”.

– Są też i tacy, którzy nie mają wyboru – ciągnął Prowodyr. – Ci, którzy nie zdążyli uchronić swych bliźniaków przed Reformatorem i Panią Generał.

– A co z twoim?

– Przejąłem ją w samą porę – odparł. – Nie trzymam jej w Przechowalni, ale pod strażą, z żołnierzami, którym naprawdę mogę zaufać.

Napięłam mięśnie szyi, usiłując opanować drżenie. Bywało, że wciąż śniłam o celi w Przechowalni, o upływie bezkształtnych, identycznych dni, o swym uwięzieniu na wieczność.

– To lepsze niż Przechowalnia? – spytałam.

– Bezpieczniejsze – rzekł. – Dla mnie i dla niej. Rozwój sytuacji wyraźnie wskazuje na to, że w Wyndham bym jej nie uchronił. Nawet w Przechowalni.

– Czemu nas odnalazłeś? – spytałam.

– Od kilku lat, od chwili, gdy uzmysłowiłem sobie ich obsesję na punkcie maszyn, próbuję zebrać informacje i poznać jak najlepiej ich plany. Próbowałem korzystać z pomocy innych wizjonerów, choć nie ma ich wielu, a ich moce różnią się od siebie. Niektórzy nie są w stanie w żaden sposób pomóc, a większość została złamana.

Powiedział to tak obojętnie, jak gdyby wizjoner, u którego uwalnia się szaleństwo, był tyle wart co wózek z pękniętą osią czy zardzewiała łopata.

– Ty jednakże – odwrócił się ku mnie – z tego, co słyszałem, mogłabyś się przydać. A skoro współpracujesz z ruchem oporu – skinął na Kobziarza i Zoe – moglibyśmy na tej współpracy jeszcze bardziej skorzystać.

– Już ci mówiłem – Kobziarz dobitnie, powoli artykułował każdą sylabę – że już nie stoję na czele ruchu.

– Nie chcesz pomóc w zatrzymaniu tego szaleństwa ze zbiornikami?

– Czego ty właściwie od nas chcesz? – przerwałam im.

Okrażaliśmy się nawzajem, prowadząc ostrożny, nieufny taniec wokół zardzewiałych słupów. Żołnierze przyglądali nam się z oddali.

– Potrzebuję waszej pomocy – odparł Prowodyr – w powstrzymaniu twego bliźniaka oraz Pani Generał. Muszę położyć kres ich fascynacji maszynami.

To wszystko wydawało się absurdem. Miałam przed sobą członka Rady, człowieka rozporządzającego wojskami i pieniędzmi, który dysponował niewyobrażalną dla nas, wychudzonych nędzarzy, władzą.

– Chcesz pomocy? – odezwał się Kobziarz. – To poproś o nią swoich koleśków z Rady.

Prowodyr parsknął śmiechem w odpowiedzi.

– Ty naprawdę myślisz, że jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną i przesiadujemy wspólnie w sali narad, poklepując się po plecach? – Odwrócił się ku mnie i rzucił: – Przed kim niby Reformator chronił cię, gdy przebywałeś w Przechowalni? Największym wrogiem członka Rady są ci, którzy jednocześnie są mu najbliżsi, ci, którzy mogą najwięcej zyskać, gdy powinie mu się noga. Weźmy na przykład Sędziego.

– A po co mielibyśmy ci pomóc w intrydze wymierzonej w nich? – spytał Kobziarz. – Przybyłeś do nas, bo jesteś zdesperowany i pozbawiono cię władzy.

– Pozbawiono władzy? – Prowodyr spojrział Kobziarzowi w oczy. – Dobrze znasz to uczucie, prawda?

– Nim poróżniła was kwestia maszyn, byłeś oddanym członkiem Rady – przerwałam im. – Dlaczego mielibyśmy współpracować z kimś, kto nienawidzi Omeg?

– Bo mogę zaoferować twoim rodakom inne, lepsze perspektywy niż zbiorniki. System przytułków działa skutecznie od wielu dekad jako humanitarny sposób radzenia sobie z problemem Omeg. Pieniądze na przytułki idą z podatków i wszystko świetnie działa. Gdyby Pani Generał oraz twój brat znikli, wszystko mogłoby wrócić do poprzedniego stanu rzeczy.

– To dlatego nie mogę połączyć z tobą sił – powiedziałam. – Nie ma czegoś takiego jak problem Omeg. Jedynymi problemami są te, które stworzyła dla nas Rada: podatki, spychanie nas na coraz bardziej jałowe ziemie, gdzie prawie nic nie rośnie, naznaczanie nas i wszelkie inne restrykcje, które zamieniają nasze życie w koszmar.

– To wszystko nie ma teraz znaczenia. Oboje wiemy, że kwestią priorytetową jest teraz powstrzymanie rozbudowy systemu zbiorników.

– Czemu więc nie wzięłeś większej liczby żołnierzy? – spytałam. – Mógłbyś nas wówczas aresztować i zabrać do Wyndham. Mając mnie w niewoli, zmusiłbyś Zacha do zrobienia wszystkiego, na co miałbyś ochotę.

– Wziąłbym więcej ludzi, ale uznałem, że na nic mi się to nie przyda. Przyszło mi też do głowy, że mógłbym cię zabić, by mu dopiec.

Był równie bezlitosny jak nóż, który trzymał mi przy gardle. Nadal piekło mnie w miejscu, którego dotykał.

– Taka akcja udałaby się kilka miesięcy temu – ciągnął. – Ale w tej chwili nie chodzi już tylko o twego brata. Po śmierci Spowiedniczki okazało się, że zawarł z nią zbyt ściśle przymierze i osłabił w ten sposób swą pozycję. Pani Generał działa dłużej od niego i ma wyższy status w Radzie. Gdy oboje zabili Sędziego, Generał przejęła władzę i nie ma zamiaru z niej zrezygnować. Gdybym zagroził Reformatorowi albo nawet go zabił, niczego bym w ten sposób nie wskórał, a gdyby Pani Generał choćby nabrała podejrzeń, że wykorzystujemy cię jako zakładniczkę, by wywierać wpływ na twego brata, zabiłaby go sama.

Przed ucieczką z Wyndham Zach powiedział mi: „Rozpocząłem coś i chcę to skończyć”. Niemniej wpadł teraz w pułapkę, zupełnie jakby uwiązł w trybach któregoś ze swoich maszyn.

– Tak czy owak – ciągnął Prowodyr – jesteś o wiele cenniejsza w terenie, gdzie stanowisz ogniwo łączące z ruchem oporu.

– Nie pozwolę się wykorzystać.

Myślałam o Kobziarzu i o tym, co mi powiedział kilka dni temu: „Ty masz cierpliwie znosić swoje wizje, a ja decyduję, w jaki sposób je wykorzystamy”. Miałam już dosyć tego, że mężczyźni uważają mnie za swoje narzędzie.

– Moglibyśmy sobie nawzajem pomóc – rzekł Prowodyr. – Chcemy tego samego.

– Nie, nie chcemy – odparłam. Jego oskarżenie zabolalo mnie bardziej niż ranka pozostawiona przez nóż. – Chcesz się nas pozbyć podobnie jak Zach, ale nie podobają ci się jego metody.

– Być może nasze cele kiedyś staną się rozbieżne, ale na razie wszyscy chcemy powstrzymać rozbudowę systemu zbiorników. Moje pytanie brzmi: czy to ważne dla ciebie?

– Nie pomogę ci.

– Gdybyśmy mieli ci pomóc – podjął za mnie Kobziarz – co obiecałbyś nam w zamian?

– Informacje. Poufne informacje, które mogłyby pomóc ruchowi oporu w powstrzymaniu rozbudowy systemu zbiorników. Pani Generał i Reformator wypchnęli mnie poza nawias, ale nadal mam dostęp do informacji, o których nawet

wam się nie śniło.

– Informacje to za mało, skoro nie możemy ich nawet wykorzystać – powiedziałam. – Być może kiedyś były czasy, kiedy wystarczało nam ukrywanie się i potajemne zbieranie danych, ale zbyt wielu naszych zginęło na Wyspie. Jeśli naprawdę chcesz powstrzymać proces umieszczania ludzi w zbiornikach, zbierz lojalne sobie wojska i pomóż nam.

– Prosisz o zbyt wiele – odparł. – Jeśli chwycę za broń przeciwko twojemu bratu i Pani General, dojdzie do otwartej wojny. Zaczną ginąć ludzie, zarówno twoi rodacy, jak i moi.

– Już zginęło wielu ludzi – powiedziałam. – A jeszcze więcej trafi do zbiorników. W końcu ten los, gorszy od śmierci, czeka wszystkie Omegi.

– Jestem gotów pomóc wam to powstrzymać. Dlaczego nie chcecie odwzajemnić się tym samym?

Jego głos był stanowczy i przekonujący. Bez trudu mogłam go sobie wyobrazić, jak peroruje na posiedzeniu Rady.

– Nikt nie potrafi w pełni pojąć potęgi tych maszyn – ciągnął. – Któż może wiedzieć, czym się skończy dla nas zamykanie ludzi w zbiornikach?

Spoglądał mi prosto w oczy i zrozumiałam, że jego troska nie jest udawana. Wiedziałam jednak, że martwi się tylko o los Alf. Jego „nas” nie obejmowało Omeg zamkniętych w zbiornikach. Dla niego byliśmy równie istotni jak szum w tle. Przypomniałam sobie także, że kontrolował część armii. W myślach znów ujrzałam żołnierzy, których widziałam w Nowym Hobarcie, którzy bili więźnia Omegę, aż skóra na jego plecach przypominała splekany, przejrzały owoc. Ujrzałam żołnierzy, którzy zaatakowali Wyspę. Czy podlegali mu? Czy wypełniali jego rozkazy?

– Powinieneś być przeciwnikiem zbiorników dlatego, że nie powinno się torturować ludzi – powiedziałam. – Trzymanie ich na pół martwych pod wodą to okrucieństwo! To niesłychane przestępstwo! Ty tymczasem chcesz się ich pozbyć, bo boisz się potencjału maszyn. Bo ktoś naruszył tabu.

– Nie jestem człowiekiem pozbawionym współczucia – rzekł Prowodyr. – Powstrzymanie maszyn przyniesie korzyści również Omegom. Przecież to twoi ludzie przede wszystkim padają ich ofiarami.

Spojrzał znacząco na lewe ramię Kobziarza.

– Nie należę do idiotów, którzy święcie wierzą w zapewnienia Rady, jakoby Omegi były ogarniętymi złem szaleńcami. Wiem, że zasługujecie raczej na współczucie niż na nienawiść.

– Nie chcemy i nie potrzebujemy twego współczucia – rzekł Kobziarz. – Potrzebujemy twojej pomocy. Twoich mieczy i ludzi.

– Obaj wiemy, że to niemożliwe.

– A więc nie mamy o czym rozmawiać – oznajmiłam.

Prowodyr przyjrzał mi się uważnie. Nie odwróciłam wzroku.

– Zmienisz zdanie – oznajmił. – Gdy tak się stanie, przyjdź do mnie.

Odwrócił się, by odejść, ale zawołałam za nim:

– Chcesz, byśmy ci zaufali, a nie zdradziłeś nam nawet swego imienia!

– Znacie je – odpowiedział.

– Nie chodzi o tytuł, którego używasz w Radzie, ale o prawdziwe imię.

– Już ci powiedziałem – rzekł. Jego głos był całkowicie pozbawiony jakichkolwiek emocji. – Czy zmieniłoby to coś, gdybym zdradził ci imię nadane mi przez rodziców? Czy byłoby ono w jakimkolwiek stopniu prawdziwsze od tego, które wybrałem dla siebie?

Nie pozwoliłam mu się zbyć.

– Dlaczego więc nazwał się Prowodyrem?

Mój rozmówca uniósł lekko podbródek, przyglądając mi się uważnie.

– Gdy byłem dzieckiem – rzekł – do mojej osady przybyła trupa minstrela.

Towarzyszili im żonglerzy oraz akrobaci i razem dali naprawdę niezłe przedstawienie. Widziałem konia, który stanął na tylnych nogach i tańczył do rytmu muzyki, i człowieka, który wytresował węże, by pełzały po całym ciele. Miałem wrażenie, że połowa miasteczka zebrała się, by to obejrzeć. Nigdy w życiu nie widziałem niczego równie wspaniałego, ale gdy wszyscy wzdychali i rozplýwali się w zachwytach, oglądając tańczącego konia i człowieka na szczudłach, ja przyglądałem się temu, który ich przedstawiał. Widziałem, jak budował atmosferę i wywoływał entuzjastyczne reakcje po każdym występie. Zauważyłem też, że przerywał numery, które nie wywoływały naszego zachwytu. Sterował całym występem i choć artyści byli znakomici, to on w rzeczy samej prowadził przedstawienie. Miał widzów całkowicie pod kontrolą – ci podskakiwali równie ochoczo jak ów tańczący koń, a po zakończeniu występu bez wahania napełnili jego kapelusz monetami.

Pochylił się, jakby chciał zdradzić mi sekret.

– Nigdy nie chciałem zostać człowiekiem na szczudłach czy zaklinaczem węży. Chciałem być Prowodyrem albo jeszcze lepiej, prowodyrem, człowiekiem, który steruje przebiegiem wypadków. I tak oto nim zostałem. Lepiej sobie to zapamiętaj.

Odwrócił się i ruszył w kierunku swoich ludzi, którzy czekali na niego, ledwie widoczni w ciemnościach.

– Daj mi jeden powód, dla którego nie powinniśmy cię teraz zabić! – krzyknęła za nim Zoe.

– Tak postąpiłby twój bliźniak – odparł Prowodyr, odwróciwszy się ku mnie.

– Reformator wbiłby mi nóż w plecy, ledwie uszedłbym trzy kroki.

Uśmiechnął się krzywo, jego białe zęby błysnęły w ciemnościach niczym ostrze noża.

– Ciekawe, ile macie ze sobą wspólnego – dodał.

Odwrocenie się od nas w tej sytuacji świadczyło o odwadze. Jego ludzie byli zbyt daleko, by w razie czego przyjść mu z pomocą. Zginałby w okamgnieniu. Widziałam, jak Kobziarz mierzy się do rzutu. Oczywiście wyobraźni ujrzałam, jak rozprostowuje ramię i nie tyle rzuca, ile uwalnia ostrze, a to mknie niechybnie ku karkowi Prowodyra.

– Nie rób tego! – Złapałam Kobziarza za ramię. Nawet nie drgnął, gdy moje dłonie zacisnęły się na napiętych mięśniach jego przedramienia. Jego nóż był nadal uniesiony, a wzrok śledził Prowodyra, idącego między zardzewiałymi słupami.

– Daj mi jeden dobry powód, dla którego powinienem zostawić go przy życiu – rzekł.

– Nie.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, jakby usłyszał mnie po raz pierwszy w życiu.

– Nie mam zamiaru grać w tę grę – ciągnęłam. – O to samo prosiłeś na Wyspie, gdy pozostali chcieli mojej śmierci. Nie będę decydować o niczyim życiu!

– Ten człowiek stanowi dla nas zagrożenie – rzekł Kobziarz. – Zostawiając go przy życiu, narażamy się wszyscy na niebezpieczeństwo. To członek Rady, do licha! Straszny człowiek!

Miał rację we wszystkim, ale mimo to nie puszczałam jego ręki.

– Świat jest pełen strasznych ludzi, a on przyszedł tu, by z nami rozmawiać, a nie nas krzywdzić. Co daje nam prawo do zgładzenia jego oraz jego bliźniaka?

W ciszy, która nastąpiła, wciąż rozbrzmiały słowa Prowodyra: „Ciekawe, ile macie ze sobą wspólnego?”.

Prowodyr niemalże zrównał się ze swymi ludźmi, gdy Kobziarz strząsnął moją rękę i ruszył w ślad za nim.

– Zaczekaj – rozkazał mi.

Żołnierze członka Rady natychmiast go otoczyli, a Prowodyr odwrócił się ku niemu. Jego podwładni trzymali nagie miecze, nawet łucznik, który nadal zaciskał dłoń na nożu wbitym w ramię, wyszarpnął drżącą lewą dłonią sztylet.

– Masz coś, co należy do nas – rzekł Kobziarz, nachylił się i ze spokojem wyciągnął sztylet Zoe z ciała łucznika. Ten gwałtownie wyciągnął powietrze i stłumił przekleństwo, ale widząc nieporuszone spojrzenie Prowodyra, nie zareagował, zacisnął jedynie mocniej dłoń na ranie. Spomiędzy jego palców wypłynęła świeża krew.

Prowodyr skinął głową Kobziarzowi, a potem spojrzał na mnie.

– Kiedy zmienisz zdanie, przyjdź do mnie – rzekł, a potem odwrócił się i odszedł, wołając swoich ludzi.

Rozdział szósty

– Musisz się nauczyć walczyć – powiedziała Zoe następnego ranka.

Kobziarz pełnił wartę, a ja i Zoe miałyśmy odpoczywać, ale nadal byłyśmy podenerwowane po spotkaniu z Prowodyrem.

– Nie potrafię – odparłam.

– Nikt nie mówi, że masz się stać superzabójczynią – powiedziała. – Ale Kobziarz i ja nie możemy co pięć minut przychodzić ci z pomocą.

– Ale ja nie chcę zabijać!

Pamiętałam zapach krwi z bitwy na Wyspie. Pamiętałam też to, że podwójnie przeżyłam każdą śmierć, gdyż wizje ukazały mi nie tylko zabitych w starciu, ale również wywołaną w ten sposób śmierć ich bliźniaków.

– Nie masz wyboru – powiedziała. – Ludzie tacy jak Prowodyr ci nie odpuszczą. Musisz umieć się obronić, bo ja czy Kobziarz nie będziemy mogli wiecznie cię strzec.

– Nie podoba mi się ten pomysł, i to bardzo – stwierdziłam. – Nie chcę zabijać. Nawet żołnierzy Rady. A co z ich bliźniakami?

– Myślisz, że mi się to podoba? – spytała cicho Zoe.

Milczałam przez moment, aż rzekłam:

– Nie będę z nimi walczyć, chyba że zostanę zaatakowana.

– Czyli, zważywszy na to, co się ostatnio dzieje, kilka razy na tydzień.

Zoe uniosła brew tak, jak robił to Kima.

– Wyciągnij nóż – powiedziała.

Dobryłam sztyletu, który Kobziarz wręczył mi na Wyspie. Klinga, zaostrzona na obu krawędziach, miała długość mojego przedramienia i zwężała się ostro w niebezpieczny szpic. Rękojeść owinięto mocno paskami skóry, pociemniałymi od potu do tego stopnia, że były niemalże czarne.

– Mogłabym się nauczyć rzucać czymś takim tak jak ty i Kobziarz?

Zoe roześmiała się i wzięła ode mnie broń.

– Prędzej odciąłabyś sobie nim ucho. To nie jest nóż do rzucania. Nie został dobrze wyważony.

Obracała go bez wysiłku między kciukiem i palcem wskazującym.

– A moich noży z pewnością nie dostaniesz. Nauczę cię jednak podstaw, żebyś umiała się zachować, gdy nas nie będzie w pobliżu.

Spojrzałam na nią. Często się kłóciłyśmy, ale trudno było sobie wyobrazić życie bez niej u boku. Przywykłam do jej sarkastycznych komentarzy, podobnie jak do widoku jej szerokich ramion i niespokojnych dłoni. Gdy siedzieliśmy w nocy przy ogniu, zgrzyt jej ostrzonego noża był czymś równie normalnym jak odgłosy wydawane przez cykady.

– Chcesz odejść?

Pokręciła głową, ale unikała mojego wzroku.

– Powiedz prawdę!

– Skup się – rzekła. – Musisz się tego wszystkiego nauczyć.

Upuściła mój sztylet na ziemię.

– Na razie nie będziesz tego potrzebować. Zapomnij też o wysokich kopnięciach, saltach do tyłu i innych spektakularnych manewrach. Walka to głównie ostre, nieprzyjemne zwarcia, w których nie ma nic pięknego.

– Wiem – odparłam. Widziałam to na Wyspie. Niezdarność zrodzona przez rozpacz. Miecze wyslizgujące się z zakrwawionych dłoni. Ciała, które stały się poszlachtowanymi, pozbawionymi krwi ochłapami.

– Dobrze – powiedziała. – To zaczynamy.

Przez kilka pierwszych godzin nie pozwoliła mi w ogóle chwycić za broń. Zamiast tego pokazała mi, w jaki sposób należy wykorzystywać łokcie i kolana podczas walki w zwarcu. Pokazała mi, jak należy wbić łokieć w żołądek przeciwnika, który obezwładnił mnie od tyłu, i jak odrzucić głowę, by uderzyć go w nos. Nauczyła mnie, jak wbić kolano w krocze napastnika i jak wzmocnić siłą całego ciała uderzenie łokciem w szczękę.

– Nie uderzaj w ciało – pouczała mnie. – Nie odniesie to odpowiedniego skutku. Trzeba walić tak, by cios przeszedł przez ciało. Włóż w uderzenie całe serce i celuj w punkt, znajdujący się sześć cali pod skórą.

Byłam zmęczona i spocona, nim Zoe w ogóle pozwoliła mi wyciągnąć nóż, a i tak skupiła się na początku tylko i wyłącznie na obronie. Pokazywała mi, jak ostrzem blokować uderzenia i jak zasłonić rękę rękojęścią, jak ustawić ciało bokiem, by stać się mniejszym celem, i jak rozstawić ugięte nogi, by przeciwnik nie zdołał mnie łatwo przewrócić.

Dopiero po tym zaczęła mi przedstawiać technikę walki nożem. Jak zaatakować niespodziewanie, nie zdradzając intencji. Jak przeciąć tętnicę między kroczeniem a udem. Jak ciąć w brzuch i jak przekręcić wyszarpywane ostrze.

– Nie chcę tego wiedzieć – powiedziałam, krzywiąc się.

– Przecież widzę, że ci się to podoba – odparła. – Wreszcie nie snujesz się z kwaśną miną. Od wielu tygodni nie byłaś tak ożywiona.

Ciekawe, czy nie przesadzała. W istocie, opanowywanie kolejnych sztuczek i nabywanie wprawy dawało mi wiele satysfakcji, ale z drugiej strony czułam obrzydzenie na myśl, że moje ostrze może kogoś wypatroszyć. Czy naprawdę istniała tak istotna granica między czynami a ich konsekwencjami? Techniki, których się uczyłam od Zoe, nie zostawiały miejsca na niepewność czy wahanie. Każdy ruch należało po prostu wykonać, i tyle. Ćwiczyłyśmy przez cały poranek, bez przerwy. Trening przynosił ten sam rodzaj ukojenia co ogryzanie paznokci – składał się wszak z serii niewymagających myślenia ruchów, które przynosiły wytchnienie umysłowi. Ogryzanie paznokci jednakże pozostawiało po sobie

jedynie piekące ranki na palcach, a dzięki szkoleniu Zoe mogłam kiedyś rozdzielić parę bliźniaków i obrabować ich z krwi. Zabiję człowieka, a niedługo później w ślad za nim wykrwawi się jego bliźniak. To ja będę odpowiedzialna za podwójne zabójstwo.

Zoe przyjęła pozycję do walki i czekała, aż zrobię to samo.

– Jeśli nie będziesz ćwiczyć, wszystko to mija się z celem – powiedziała. – Twój nóż musi się znaleźć w twojej dłoni, nim w ogóle przyjdzie ci do głowy, że go potrzebujesz. Ruch musi być płynny. Masz reagować, a nie myśleć.

Widziałam, jak się oboje poruszali i walczyli. Ich płynne ruchy nie reagowały na myśli, ale stawały się nimi. Pamiętałam jej słowa, że w walce w istocie nie ma niczego pięknego – i zgadzałam się z nimi. Ruchy ich obojga, choć uderzająco piękne, zawsze kończyły się tym samym: krwią, śmiercią, rojami much nad lepкими ciałami. Mimo to nadal podziwiałam niezachwianą pewność, z jaką się poruszali, z jaką wycinali nożami odpowiedzi na okrucieństwo świata.

Trening zakończył się dopiero około południa.

– Dość – powiedziała Zoe, kiedy niezgrabnie zablokowałam jej ostatni cios. – Jesteś zmęczona, a wtedy człowiek robi głupie błędy.

– Dziękuję – odparłam, wsunęłam nóż za pas i uśmiechnęłam się do niej.

– Nauczenie cię radzenia sobie z problemami leży w moim interesie. – Zoe wzruszyła ramionami. – Dobrze by było, byś wreszcie sama zaczęła się o siebie troszczyć.

I odeszła. Była niczym drzwi, które zawsze zatrzaśkiwały się tuż przed moją twarzą.

– Dlaczego się tak zachowujesz? – zawołałam za nią. – Dlaczego zawsze mnie zbywasz z lekceważeniem i odchodzisz?

Zoe się odwróciła.

– A czego ty jeszcze ode mnie oczekujesz? Mam cię trzymać za rękę i zapłatać ci warkoczyki? Czy ja i Kobziarz nie daliśmy ci już wystarczająco dużo?

Nie potrafiłam odpowiedzieć na to pytanie. Zoe kilkakrotnie udowodniła, że jest gotowa zaryzykować własne życie, by mnie ochronić, i narzekając, że nie chce ofiarować mi przyjaźni, wychodziłam na idiotkę.

– Nie chciałam wejrzeć w twoje sny – powiedziałam. – Ale nic na to nie mogłam poradzić. Nie masz pojęcia, jak to jest być wizjonerką.

– Nie jesteś pierwszą z nich – odparła i odeszła. – I nie sądzę, byś miała być ostatnią.

Bardowie nadeszli dwa dni później o świcie, kilka godzin po tym, jak rozbiliśmy obóz w miejscu znanym Zoe i Kobziarzowi. Było to porośnięte lasem wzgórze, z którego rozciągał się widok na drogę. Niedaleko płynął strumień. Od

momentu, gdy wpadliśmy w zasadzkę Prowodyra, zachowywaliśmy nieustannie czujność i podskakiwaliśmy przy każdym głośnym dźwięku. Co gorsza, od dwóch dni nie przestawało padać. Mój przemoczony koc, przytroczony do plecaka, ciążył mi tak bardzo, że paski wrzynały mi się w ramiona. Tuż przed rozłożeniem obozu deszcz zelżał i przeistoczył się w mżawkę, ale wszechobecna wilgoć i tak uniemożliwiała rozpalenie ognia. Kobziarz objął wartę jako pierwszy i szybko dostrzegł bardów w niewyraźnym blasku świtu. Było ich dwóch, a wędrowali w kierunku przeciwnym do naszego. Zoe właśnie wróciła z polowania, niosąc dwa zabite przed chwilą króliki, a ja zawińłam się w koc pod drzewem, gdy Kobziarz przywołał nas do siebie.

Gdy usłyszeliśmy muzykę, przybysze byli nadal drobnymi postaciami daleko na drodze. Kiedy wyłonili się z rzadziejającej mgły, ujrzelśmy, że jeden z bardów, kobieta, uderza palcami w bębenek wiszący u jej boku, wybijający rytm marszu. Jej towarzysz, brodaty mężczyzna z laską, trzymał drugą ręką organki przy ustach i odgrywał fragmenty jakiegoś utworu.

Trakt omijał wzgórze, lecz wędrowcy zeszli z niego i ruszyli w stronę lasów, w których się kryliśmy.

– Musimy wiać! – oznajmiła Zoe, wpychając już butelkę do plecaka.

– Skąd oni znają do miejsce? – spytałam.

– A skąd my je znamy? – odparł Kobziarz. – Przemierzyliśmy tę drogę wiele razy. Przecież to bardowie, a oni zawsze podróżują. Co więcej, na przestrzeni wielu mil nie ma żadnego strumienia. Kierują się prosto ku niemu.

– Pakuj się! – poleciła mi Zoe.

– Powoli! – sprzeciwiłam się. – Przecież moglibyśmy z nimi porozmawiać! Podzielić się tym, co wiemy!

– Kiedy ty się wreszcie nauczysz, że powinniśmy zachować większą ostrożność? – odezwała się Zoe.

– Bo wieści mogą się roznieść? – spytałam. – Czyż nie o to nam chodzi? Próbujemy przekazać ludziom to, co wiemy, od chwili, gdy opuściliśmy Pustkowie, i jak dotąd niczego nie osiągnęliśmy.

– Wieści o uchodźcach to jedno – rzekł Kobziarz. – A informacje o miejscu naszego pobytu to co innego. Gdyby odnalazł nas Zach, a nie Prowodyr, siedzielibyśmy już w celach lub bylibyśmy martwi. Próbuję cię ochronić i ocalić nas wszystkich przed śmiercią. Nie wiemy, komu możemy zaufać.

– Ale widziałeś, co się wydarzyło u bram tamtego przytułku – odparłam. – Coraz więcej ludzi zgłasza się do nich w nadziei, że trafiają do bezpiecznego miejsca. Moglibyśmy ich powstrzymać, gdyby tylko udało się rozpuścić wieści o tym, co tam się naprawdę wyrabia.

– I sądzisz, że dwoje nieznajomych zrobi to lepiej od nas? – spytał Kobziarz.

– Tak – odparłam. – Potrzebujemy ludzi, którzy podróżują i nie budzą przy

tym niczych podejrzeń, którzy ściągną tłumy wszędzie tam, gdzie się pojawią. Ludzi, dzięki którym wieści niosą się same.

Bard Omega mógł liczyć na ciepłe przyjęcie w każdej osadzie Omeg, a bard Alfa zostałby mile przyjęty w każdej społeczności Alf. Członkowie tej grupy byli wędrującą pamięcią świata. Snuli opowieści, które w przeciwnym razie zostałyby pogrzebane wraz ze swoimi bohaterami. Ich pieśni opowiadały o pojedynczych ludziach i o całych rodzinach, o historii wsi, miast i całych rejonów. Śpiewali też o rzeczach, które sami wymyślili – o wielkich bitwach i fantastycznych wydarzeniach. Występowali podczas uczt i na pogrzebach, a ich pieśni były walutą akceptowaną na całym świecie.

– Nas nikt nie słucha – powiedziałem. – Ludzie słuchają bardów. Wiesz, jak to działa. Pieśni niosą się niczym ogień czy choroba.

– Ogień czy chorobę trudno nazwać czymś dobrym – wytknęła Zoe.

– Ale z jednym i drugim trzeba się liczyć – odparłam.

Kobziarz przyglądał mi się z uwagą.

– Nie wiem, czy możemy zaufać bardom – powiedział. – Ale nie wiem też, czy możemy prosić ich o tak dużo.

– Niech sami zadecydują – powiedziałam.

Kobziarz i Zoe nie odzywali się przez dłuższą chwilę, ale przestali się pakować. Muzyka brzmiała coraz bliżej. Odwróciłam się, by spojrzeć na zbliżającą się parę. Brodacz nie opierał się na lasce, ale zataczał nią łuki przed sobą, szukając przeszkód. Był niewidomy.

Gdy dotarli na skraj lasu, Kobziarz pozdrowił ich głośno. Muzyka urwała się gwałtownie. Odgłosy lasu wydawały się osobliwie głośne w powstałej ciszy.

– Kto tam? – zawołała kobieta.

– Wędrowcy tak jak i wy – rzekł Kobziarz.

Nieznajomi wkroczyli na polanę. Kobieta była młodsza od nas, a jej rude włosy, splecione w warkocz, sięgały pasa. Nie widziałam żadnej mutacji, choć dostrzegłam oznaczenie.

– Idziecie na północ? Na rynek Pullmana? – spytał brodacz.

Nadal jedną ręką trzymał organki przy ustach, a drugą laskę. Teraz dopiero widziałam, że nie był ślepy, ale nie miał w ogóle oczu. Skóra gładko wypełniała oczodoły pod znakiem wypalonym na czole. Zauważyłam też, że z kłykci jego dłoni wyrastały dodatkowe, niesforne palce przypominające pędy ziemniaka. Każda dłoń miała przynajmniej siedem palców.

– Ruszamy w dalszą drogę po zmroku. – Kobziarz nie odpowiedział na jego pytanie. – Macie polanę dla siebie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Skoro podróżujecie pod osłoną ciemności, nie powinienem się dziwić, że nie chcecie powiedzieć, dokąd się wybieracie – rzekł.

– Wy także wędrujecie nocą – zauważyłam.

– Teraz idziemy zarówno za dnia, jak i w nocy – odparła dziewczyna. – Jarmark zaczyna się za dwa dni, a my jesteśmy spóźnieni. Powódź zniszczyła most w Abberley.

– A ja zawsze podróżuję w nocy, nawet jeśli słońce świeci. – Brodacz wskazał swe oczodoły. – Jakże mógłbym was z tego powodu osądzać?

– Nic ci do tego, dokąd się wybieramy – rzekła Zoe.

Dziewczyna wbiła w nią wzrok. Z pewnością zauważyła brak znamienia i ciało Alfego. Zastanawiałam się, czy ja również tak uważnie przyglądałam się obu bardom.

– W porządku – rzekł mężczyzna, nieporuszony tonem Zoe.

Oboje stanęli na środku polany. Idąc, mężczyzna nie opierał się na ramieniu towarzyski, ale badał teren przed sobą za pomocą laski. Jego zmagania z niewidocznym dla siebie światem przypomniały mi o blaskach i cieniach doli wizjonerki. Gdy badałam rafę czy jaskinie pod Wyndham, mój umysł wybiegał naprzód i rozglądał się w poszukiwaniu wskazówek dokładnie tak jak laska ślepcy.

– Jednego nie rozumiem – rzekł bard, siadając na pniu przewróconego drzewa. – Skoro podróżujecie nocą, zależy wam na uniknięciu patroli Rady. Ale nie poruszacie się jak Omegi.

– Jedno z nich nie jest Omegą – odezwała się dziewczyna, obrzuciwszy spojrzeniem Zoe.

– Ona jest z nami – powiedział szybko Kobziarz.

– Nie chodzi tylko o nią. – Ślepiec zwrócił się ku Kobziarzowi. – Ale także o ciebie.

– Jestem Omegą – odparł Kobziarz. – Podobnie jak moja druga towarzyszka. Twoja przyjaciółka to potwierdzi. Zaś jeśli chodzi o pierwszą z dziewcząt... Cóż, nie jest Omegą, ale nie szuka kłopotów i wędrujemy razem.

– Nie poruszają się jak Omegi? – spytałam. – Co to oznacza?

Bard odwrócił ku mnie głowę.

– Ktoś, kto nie ma oczu, wykształca dobry słuch. Nie chodzi mi o takie oczywistości jak to, że nie słyszę, byście utykali czy chodzili o kulach. Widzisz, Omegi chodzą w szczególny sposób. Większość z nas się garbi. Przyjęliśmy wiele ciosów i nieraz nie mieliśmy co do ust włożyć, przez co nauczyliśmy się chodzić z pochyloną głową. Większość z nas, co zapewne sama usłyszysz, nie chodzi wyprostowana ani na szeroko rozstawionych nogach. My snujemy się, powłóczymy nogami, czasem wzdragamy. A oni – wskazał Kobziarza i Zoe – wcale tak nie robią, to słyszać.

Byłam zaskoczona tym, że bard potrafi wyczytać tak wiele z odgłosów, jakie wydawali, poruszając się, ale wiedziałam, o co mu chodzi. Zauważyłam to samo, gdy po raz pierwszy spotkałam się z Kobziarzem na Wyspie – chodził ze

swobodą, bez skrępowania. Większość ludzi na Wyspie pozbywała się zahukania i braku wiary w siebie, które wpoił w nich kontynent, ale Kobziarz zawsze był wolny od tych zahamowań. Nawet teraz, choć był wychudzony, a jego brudne spodnie strzępiły się na kolanach, poruszał się z tą samą swobodą i pewnością siebie co zawsze.

Ślepiec zwrócił się do Kobziarza:

– Twój sposób poruszania się w niczym nie przypomina Omegi. Niczym się nie różnisz od owej pani z Alf, ale skoro wyruszyłeś w drogę z jedną z ich rodzaju, wygląda na to, że masz niezwykłą historię do opowiedzenia.

– Słyszałeś, co mówili. Nic nam do tego – odezwała się jego towarzyszka i pociągnęła go za ramię. – Powinniśmy już iść.

– Ale chyba pokonaliśmy już wystarczająco dużo drogi, prawda? – Bard wbił łaskę w ziemię. – Zasłużyliśmy sobie na odpoczynek.

– Czemu tak bardzo ci zależy, by tu zostać? – spytała Zoe. – Większość Omeg woli się trzymać od nas z daleka. Przynajmniej ode mnie.

– Już ci powiedziałem. Jestem bardem. Zbieram opowieści tak, jak inni ludzie zbierają monety czy błyskotki. Na tym polega mój fach. A nawet ślepiec jest w stanie wykryć, że kryje się tu ciekawa historia.

– Nie możemy się nią podzielić z byle kim – rzekł Kobziarz. – Nasza opowieść mogłaby ściągnąć na was kłopoty.

– Nie mam w zwyczaju rozmawiać z patrolami Rady, jeśli o to ci chodzi – rzekł mężczyzna. – Nawet bardowie nie mogą się spodziewać życzliwego przyjęcia ze strony Rady. Ci ludzie nie są moimi przyjaciółmi.

– Słyszeliśmy, że Rada chce wzbronić Omegom dostępu do kariery barda – dodała jego towarzyszka. – Nie podobają im się nasze wędrówki. Woleliby mieć nas pod kontrolą.

– Jestem gotów rzucić wyzwanie największym bardom wśród Alf. – Niewidomy wędrowiec pokazał swe dodatkowe palce. – Ciekawe, czy potrafią grać równie dobrze jak ja.

– Żołnierze odrąbaliby ci je wszystkie, gdyby usłyszeli twoje słowa – rzekła kobieta.

– Niczego im nie powiemy – rzekł Kobziarz. – A jeśli ty potrafisz dochować tajemnicy i nie zdradzić nikomu, że nas widziałeś, nie widzę powodu, dla którego nie możemy dziś razem obozować.

Towarzyszka ślepca oraz Zoe wydawały się nadal nieprzekonane, ale bard się uśmiechnął.

– No to rozłóżmy obóz. Mam wielką ochotę odpocząć. Nazywam się Leonard, nawiasem mówiąc, a moja towarzyszka to Eva.

– Nie mogę ci zdradzić naszych prawdziwych imion – rzekł Kobziarz. – Wiedz, że te, które ci podam, są fałszywe. Nie będę cię okłamywał.

– Cieszę się – rzekł Leonard.

Eva usiadła obok niego i zaczęła wyciągać różne rzeczy z plecaka. Miała przy sobie kilka suchych grudek węgla, opakowanych w nawoskowany papier.

– Świetnie – rzekła Zoe. – Ale posiłek musimy przygotować szybko. Jesteśmy nadal zbyt blisko drogi i nie chcę rozpalać ognia po opadnięciu mgły. To zbyt duże ryzyko.

Kobziarz zabrał się do rozpalania ogniska, a Zoe przystąpiła do ostrzenia noży. Ja zaś usiadłam na kłodzie obok Leonarda.

– Powiedziałaś, że moi towarzysze nie poruszają się jak Omegi – usiłowałam mówić cicho, by pozostali mnie nie usłyszeli. – A ja?

– Ty również nie – odparł.

– Ale przecież tak bardzo różnię się od nich! Oni zawsze są tacy... – urwałam. – Tacy pewni siebie. Tak przeświadczeni o swojej racji w każdej sprawie.

– Nie powiedziałem, że jesteś do nich podobna. Utrzymuję tylko, że nie chodzisz tak jak inne Omegi. – Bard wzruszył ramionami. – Dziewczyno, przecież ty ledwie istniejesz!

Urwał i parsknął śmiechem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Stąpasz tak, jakbyś była przekonana, że ziemia nie życzy sobie, byś po niej stąpała.

Przypomniał mi się moment śmierci Kimy, kiedy Zach znalazł mnie skuloną na platformie nad silosem. Powietrze było wówczas takie ciężkie. Gdyby Zach nie przekonał mnie, bym uciekła, raczej nie zdołałabym się podnieść i opuścić tego miejsca. Minęło wiele tygodni, przebyliśmy dziesiątki mil, a ja nadal nie zdawałam sobie sprawy z tego, że z każdym krokiem dźwigam na swych barkach ciężar całego nieba.

Rozdział siódmy

Zjedliśmy króliki, a wraz z nimi jakieś grzyby i warzywa, które Eva wyciągnęła z torby.

– Czy ty też jesteś wizjonerką? – zapytałam ją podczas posiłku.

– Skądże – parsknęła w odpowiedzi.

– Przepraszam – odparłam. Nikt nie chciał, by przez pomyłkę wzięto go za wizjonera. – Po prostu nie widziałam twojej mutacji.

Na twarzy Leonarda pojawiła się powaga.

– Nie ma straszliwszej mutacji od tej, którą naznaczona jest Eva – rzekł. – Dziwię się, że jeszcze jej nie zauważyliście.

Nastąpiła długa przerwa. Przyjrzałam się Evie ponownie, ale nie zauważyłam niczego niezwykłego. Czy ludzie bali się czegoś bardziej niż daru wizjonerskiego, który zwiastował szaleństwo?

Leonard pochylił się do przodu.

– Rude włosy – oznajmił scenicznym szeptem.

Nasz śmiech wystraszył dwa kosy, które odleciały z wrzaskiem.

– Przyjrzyj się uważnie – powiedziała Eva. Obróciła głowę i uniosła gruby warkocz, a wtedy ujrzałam drugą parę ust na jej szyi. Wargi rozchyliły się na moment, odsłaniając dwa krzywe zęby.

– Szkoda tylko, że nie mogę nimi śpiewać – powiedziała, opuszczając warkocz. – Nie potrzebowałabym wówczas Leonarda i jego harmonijki i nie musiałabym słuchać jego marudzenia.

Gdy ogień wygasł i wzeszło słońce, Leonard starannie umył dłonie.

– Króliczy tłuszcz źle oddziałuje na struny – powiedział, oczyszczając palce chusteczką, a potem ujął gitarę.

– Jeśli masz zamiar robić hałas, stanę lepiej na czatach – rzekła Zoe. – Możliwe, że ktoś będzie wędrował traktem. Wolę go zauważyć, nim nas usłyszy.

Spojrzała na drzewo rosnące obok nas. Kobziarz opadł na jedno kolano, a Zoe bez słowa stanęła na jego ugiętej nodze, złapała równowagę, chwytając go za ramię, i podskoczyła, by uczepić się gałęzi, a potem sprawnie podciągnęła się w górę. W pełni rozumiałam, co Leonard miał na myśli, gdy mówił o sposobie poruszania się bliźniaków. W ich ciałach kryła się niezwykła lekkość. Zazdrościłam Zoe, ale nie chodziło mi o jej twarz wolną od piętna, jej pewność siebie ani nawet wolność od wizji, które rozszarpywały mi umysł. Zazdrościłam jej tego, że ona oraz Kobziarz działali wspólnie, bez słowa. Zazdrościłam im bliskości, która nie wymagała słów. Kiedyś ja i Zach zachowywaliśmy się identycznie, na długo, nim zwrócił się przeciwko mnie. Po tym, co się stało, nasza zażyłość ze wspólnego dzieciństwa wydawała się teraz równie odległa jak sama Wyspa – miejsce, do którego nie można powrócić.

Eva ujęła bęben, a Leonard trącał struny prawą dłonią, delikatną pieśczołą wywabiając z instrumentu muzykę; palce lewej dłoni poruszały się wolniej. Wiedziałam, że się nie myli, gdy powiedział mi o mych niepewnych krokach. Nie miałam dla siebie litości. Głodziłam i ziębiłam swe ciało, unikałam też wszelkich pociech, gdyż dla martwych, których pozostawiłam za sobą, żadnej pociechy nie było. Muzyka jednakże pozostawała rozkoszą, której uniknąć nie mogłam. Od muzyki nie potrafiłam się uwolnić, tak jak od popiołu, który prześladował nas na wschodzie.

Oparłam się o drzewo i uległam jej magii. Od wielu tygodni nie pozwoliliśmy sobie na taką ilość głośnych dźwięków. Żyliśmy w tak nieprawdopodobnej ciszy! Przekradaliśmy się przez noc, podskakiwaliśmy, słysząc trzask gałęzi pękających pod naszymi stopami, ukrywaliśmy się przed patrolami, bywało, że rozmawialiśmy szeptem. Przez cały czas znajdowaliśmy się w niebezpieczeństwie, aż zaczęliśmy mieć wrażenie, że dźwięk to zasób, który należało racjonować. Teraz nawet najbardziej niewinna pieśń barda wydawała się pogwałceniem dotychczasowych naszych zasad – przecież słyszeliśmy głośną muzykę! Przecież pozwoliliśmy sobie na coś więcej nad próbę przeżycia kolejnego dnia. Niektóre z pieśni były powolne i smutne, a inne huczne i wesołe – wydawało się wręcz, że nuty skwierczą i podskakują jak kukurydza na gorącej patelni. Kilka z nich miało sprośne teksty, co wyzwoliło w nas wybuchy śmiechu.

Gdy odwróciłam wzrok od ognia, ujrzałam, że nawet Zoe, która siedziała na gałęzi, porusza stopami do rytmu.

– Czy twój bliźniak również miał talent muzyczny? – spytałam Leonarda, gdy wraz z Evą przerwali grę, by się napić.

– Pozostało mi po niej jedynie imię w dokumentach rejestrujących. – Bard wzruszył ramionami. – I nazwa miasta, w którym się urodziłam.

Wyciągnął pomietą kartkę papieru z torby i pomachał nią ze śmiechem.

– Rada nie może się zdecydować, jak widać. Z jednej strony próbują nas rozdzielić, co się nie udaje, a z drugiej – zmuszają, byśmy nosili bliźniaków po kieszeniach.

Przesunął palcami po papierze, jakby był w stanie w ten sposób odczytać słowa.

– Elise, jak mówi dokument. Tak powiedziała mi Eva, która umie trochę czytać. Tak brzmi imię mojej bliźniaczki, która gdzieś tam jest.

– Nie pamiętasz jej wcale?

Bard znów wzruszył ramionami.

– Byłem dzieckiem, gdy mnie odesłano. Wiem tylko tyle, co wiem. Pozostały mi po niej znaczki na papierze, których nawet nie widzę.

Znów pomyślałam o Zachu. Co mi po nim pozostało? Miałam trzynaście lat, gdy zostałam naznaczona i odesłana. Trzynaście lat – za krótko dla mnie i zbyt

długo dla niego. Odwiedzał mnie czasem podczas lat spędzonych w Przechowalni, ale czynił to rzadko. Gdy widziałam go po raz ostatni, w silosie po śmierci Kimy i Spowiedniczki, wydawał się rozpalony, ogarnięty gorączką, szaleństwem niemalże. Syczał niczym elektryczne kable, które przecięliśmy wraz z Kimą.

Gdy bard rozpoczął kolejną pieśń, ja myślami wciąż byłam z Zachem w silosie i nadal rozpamiętywałam przerażenie drżące w jego głosie, gdy kazał mi uciekać. Eva odłożyła bęben i ujęła flet, przez co Leonard śpiewał teraz sam. Nastął już poranek i na polankę padały promienie słońca, przebijające się między konarami drzew. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, o czym śpiewa Leonard.

Na ciemnych okrętach przybyli

Po morzu nocą skrywanym

Pocałunek Spowiedniczki przynosili

Na gardłach Wyspiarzy wycinany.

Kobziarz się poderwał. Zoe w ciszy zeskoczyła z gałęzi na ziemię i podkrađła się do nas.

– Słyszałem, że nie zabili wszystkich – rzekł Kobziarz.

Leonard przestał śpiewać, ale nadal trącał struny, uwalniając kolejne takty.

– Naprawdę to słyszałeś? – spytał, wciąż grając. – Pieśni wszystko wyolbrzymiają.

Mówili, że nie ma Wyspy żadnej

Że nie ma jej na morzu ni w niebie

Lecz wystali ku niej okręty czarne

A teraz dopadną też ciebie.

– Lepiej uważaj, kto słucha, gdy wykonujesz tę pieśń – powiedziała Zoe. –

Możesz ściągnąć na siebie problemy.

– A wy przypadkiem nie macie ich już w bród? – Leonard się uśmiechnął.

– Kto ci powiedział o Wyspie? – spytał Kobziarz.

– Sama Rada rozpuszcza te wieści – odparł bard. – Opowiadają o tym, jak odnaleźli Wyspę i zmiażdżyli opór.

– Jakoś mi się nie wydaje, byś przedstawił nam wersję pieśni rozpowszechnianą przez Radę – rzekł Kobziarz. – Co wiesz o tym, do czego tam doszło?

– Ludzie chętnie rozmawiają z bardami – odparł Leonard. – Chętnie powierzają nam sekrety.

Tracił kilka strun.

– Mam jednak wrażenie, że tobie nie trzeba mówić o Wyspie. Chyba wiesz więcej ode mnie o tym, do czego tam doszło.

Kobziarz nie odezwał się ani słowem. Wiedziała, że wspomina tragedię. Ja też często ją widywałam, a do tego słyszałam krzyki i jęki, czułam smród krwi na ulicach.

– Nie ma takiej pieśni, która mogłaby to opisać – rzekł Kobziarz. – Ani tym bardziej zmienić.

– Może nie – odezwał się Leonard. – Ale dzięki niej ludzie przynajmniej poznają prawdę. Powiemy im, co Rada zrobiła tym ludziom. Ostrzeżemy ich przed tym, do czego Rada jest zdolna.

– I dacie im do zrozumienia, by nie zadzierali z ruchem oporu? – spytała Zoe.

– Niewykluczone – rzekł Leonard. – Rada rozpowiada swoją wersję wydarzeń z tego właśnie powodu i chciałbym wierzyć w to, że moja pieśń mogłaby coś zmienić. Być może pomogłaby ludziom uzmysłwić sobie, dlaczego wszyscy potrzebujemy ruchu oporu. Mogę jedynie opowiadać historie, nic innego nie potrafię, a to, czy ludzie wyciągną z nich wnioski, czy też nie, nie zależy już ode mnie.

– A gdybyśmy podsunęli ci inną opowieść – odezwałam się – mogłoby się to dla ciebie źle skończyć.

– O tym już sami zadecydujemy – rzekła Eva.

Kobziarz i Zoe nie odezwali się ani słowem, ale dziewczyna zrobiła kilka kroków i stanęła obok brata. Ten zaś nabrał tchu i zaczął opowiadać. Zasłuchani bardowie odłożyli instrument. Gitara Leonarda leżała na jego kolanach, a ja, wpatrzona w nią, wyobrażałam sobie, że jest magicznym pudełkiem, do którego wpadają słowa. Nie opowiedzieliśmy im o mojej więzi z Zachem, ale podzieliliśmy się wszystkimi innymi szczegółami. Dowiedzieli się od nas o zbiornikach, szklanych naczyniach przepelnionych przerażeniem. Dowiedzieli się o zaginionych dzieciach i ich malutkich czaszkach w grotcie za pomieszczeniem ze zbiornikami

w Wyndham. O rozrastających się przytułkach i maszynach, które zniszczyliśmy ze Spowiedniczką.

Gdy skończyliśmy, zapadła głucha cisza.

– Są też dobre wieści – powiedział cicho Leonard. – O Spowiednicze. W zeszłym tygodniu mijaliśmy Zatopione Wybrzeże. Ludzie mówią, że stamtąd właśnie pochodziła, a więc sporo mówiono tam o jej rzekomej śmierci. Ja jednakże nie ośmieliłem się w to wszystko uwierzyć.

– Ale to prawda – rzekłam, odwracając wzrok od niego. Nie chciałam widzieć uśmiechu Leonarda. Nie wiedział, jaką cenę zapłacił Kima za te dobre wieści. Cenę, jaką ja nadal płaciłam.

– A reszta... To o zbiornikach... Czy to prawda? – spytała Eva.

– Tak. – Leonard odpowiedział jako pierwszy. – To wszystko prawda. To piekło na ziemi, zbyt szalone, by ktokolwiek mógł to wymyślić. – Potarł niewidzące oczy. – To wszystko wyjaśnia – dodał. – Nagle już wiemy, dlaczego Rada od kilku dni ciągle podnosi podatki i ogranicza dostęp do ziemi. Zmuszają nas, byśmy wstępowali do przytułków.

– Sądzisz, że jesteś w stanie ułożyć o tym pieśń? – spytałam.

Bard położył dłoń na gryfie gitary.

– W waszej opowieści bez dwóch zdań kryje się pieśń, ale nie będzie ona piękna – rzekł.

Uniósł instrument i pogładził struny palcem, jakby budził go do życia.

– Cass mówiła, że rozsiewanie wieści okaże się niebezpieczne – stwierdził Kobziarz, a Leonard pokiwał głową.

– Trudno się nie zgodzić, ale jeśli wieści o przytułkach i zbiornikach nie rozniosą się odpowiednio daleko, wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie.

– Prosimy cię o bardzo wiele – oznajmiłam.

– O nic mnie nie prosicie – rzekł Leonard. Tym razem w jego głosie nie było już muzyki, a słowa okazały się ciche i poważne. – Ale powiedzieliście mi to, co wiedzieliście. A ja, skoro was wysłuchałem, mam nowy obowiązek.

W trakcie mojej warty, która trwała kilka godzin, Leonard i Eva pracowali nad pieśnią. Najpierw ułożyli do niej melodię. Od czasu do czasu dochodziły do mnie pojedyncze zdania w stylu: „Nie, spróbuj w ten sposób. Zmienimy rytm dopiero podczas refrenu!”. Przez większość czasu zachowali jednak ciszę. Ich muzyka mówiła za nich. Leonard wybierał kilka dźwięków, a Eva je naśladowała, a potem wypróbowała. Zmieniali melodię, dodawali do niej nowy element, przez kilka godzin przekazywali ją sobie nawzajem. Eva w końcu udała się na spoczynek, ale Leonard nie przestawał pracować, tym razem nad tekstem. Śpiewał powoli, wypróbował nowe wersje słów, dopasowywał je do krzepnącej melodii,

jakby nawlekał je jak koraliki na nitkę, czasami zmieniając, czasami zastępując innymi.

W końcu Kobziarz zwolnił mnie z warty i zasnęłam wsłuchana w niski, nieco ochryply głos Leonarda. Gdy się obudziłam, na ciemniejącym niebie wisiał księżyc, a Leonard nadal grał. Udałam się nad strumień. Muzyka towarzyszyła mi przez całą drogę, co zapewne było przyczyną, dla której Zoe mnie nie usłyszała. Ujrzałam, że stoi w miejscu, w którym woda tryskała ze skały, jakieś kilkanaście kroków ode mnie. Opierała się o drzewo, otaczając je swobodnie jedną ręką i spoglądając ku niebu. Kołysała się lekko do rytmu melodii, która docierała tu między drzewami. Miała zamknięte oczy.

Widziałam Zoe naga, gdy myłyśmy się w rzece. Widziałam ją, jak śpi. Wniknęłam nawet w jej sny, które okazały się oknem otwartym na morze. Nigdy jednak nie widziałam jej tak bezbronnej jak w tej chwili. Odwróciłam się, jakbym ujrzała coś wstydliwego, i zaczęłam się cofać, ale wtedy Zoe otworzyła oczy.

– Szpiegujesz mnie? – spytała.

– Chciałam nabrać wody – odparłam i uniosłam pusty bukłak niczym flagę kapitulacji.

Zoe odwróciła się w stronę strumienia.

– Był kiedyś pewien bard – odezwała się, nie patrząc na mnie – który kilka razy na rok odwiedzał wieś naszych rodziców. Nikt nie potrafił grać na skrzypcach tak jak on. Kobziarz i ja byliśmy jedynie małymi dziećmi i wymykaliśmy się z łóżek, by go posłuchać.

Umilkła.

Nie wiedziałam, czy mogę się odezwać – doskonale pamiętałam ostrze przy moim brzuchu chwilę po tym, jak przyznałam się, że widzę jej sny – ale przemogłam się.

– Jeśli chcesz pogadać... – zaczęłam.

– Ponoć jesteś specjalistką od widzenia przyszłości – przerwała, podeszła do mnie i wyrwała mi bukłak. – Skup się więc na tym. Po to jesteś nam potrzebna. Wara ci od mojej przeszłości.

Nachyliła się przy strumieniu, wyrwała korek i napełniła bukłak. Potem odwróciła się twarzą w moją stronę. Patrzyłam, jak woda ścieka z jej mokrych dłoni, i próbowałam ułożyć jakiegokolwiek zdanie, którego ta nie spróbuje wepchnąć mi z powrotem do gardła, ale wtedy muzyka gwałtownie się urwała. Kobziarz zawołał nas ze szczytu wzgórza. Zoe przeszła obok mnie i nawet na mnie nie spojrzała.

– Pieśń nie jest jeszcze gotowa – uprzedził nas Leonard, gdy zgromadziliśmy się wokół niego i Evy. Wraz z zapadającym zmrokiem podniosła się również mgła i Kobziarz podsycił na nowo płomienie. – Co więcej, zmieni się w trakcie naszych wędrówek, gdy podchwycą ją inni bardowie – dodał. – Jeśli pieśń zyska własne

życie, zacznie się zmieniać.

W istocie słyszałam różne wersje tej samej pieśni, na przykład pieśni o Wybuchu, która zmieniała się przekazywana z barda na barda czy nawet z jednej pory roku na drugą. Leonard zaczął śpiewać cicho, brzdąkając przy tym niemalże radośnie. Jego gra w niczym nie przypominała skomplikowanych utworów, którymi wcześniej wywarł na mnie tak wielkie wrażenie.

– Zdecydowałem się na prostą melodię – powiedział, jakby czuł, że spoglądam na jego palce. – Jeśli ma się stać popularna, każdy bard powinien umieć ją zagrać, nie tylko taki, który ma piętnaście palców.

Z każdą chwilą w pieśni pojawiała się coraz więcej melancholii, która wkradała się cicho i skrycie, aż przy refrenie pieśń stawała się smutna i gorzka. Melodia Ewy oddzieliła się od Leonarda – jej głos wzbijał się na coraz wyższe, coraz bardziej żałobne rejestry, podczas gdy on nadal śpiewał równo i nisko. Ich głosy stanowiły dla siebie przeciwwagę i rozbrzmiewały takimi emocjami, że przestrzeń między nutami wypełniła ciężka tęsknota.

Nie szukaj wytchnienia w przytulkach

Nie łudź się, że łaska tam spływa

Bramy wcale nie kryją raj

Lecz zbiorniki, a w nich śmierć żywa

Wrzucą cię do szklanej klatki

Gdzie nie zaznasz ni śmierci, ni życia

I uwiężą cię w płynnym piekle

Gdzie nikt nie usłyszy twego wycia.

Och, nigdy nie zaznasz głodu ni pragnienia

A Rada nie ma litości ni sumienia

Nie grozi ci tam zimno, zapomnij o zmęczeniu

Nie ma nawet mowy o starzeniu

Lecz ceną do zapłacenia

Będzie twe życie, jedyna rzecz do stracenia

Wyganiają nas na jałowe ziemie

Podatki z nas wyszarpują

A gdy udasz się do przytułku

Z życia bez litości cię obrabują.

Pamięci o tabu już nie ma

Za przytułku murami i bramami

Maszyny przebudziły się do życia

A Rada czeka ze zbiornikami.

Och, nigdy nie zaznasz głodu ni pragnienia

A Rada nie ma litości ni sumienia

Nie grozi ci tam zimno, zapomnij o zmęczeniu

Nie ma nawet mowy o starzeniu

Lecz ceną do zapłacenia

Będzie twe życie, jedyna rzecz do stracenia.

Gdy Leonard i Eva grali dla nas rano, pokrzykiwaliśmy radośnie przy szybszych fragmentach i klaskaliśmy, gdy Leonard przyspieszał jeszcze bardziej. Teraz jednakże siedzieliśmy w ciszy, aż ostatnie dźwięki znikły między drzewami, które otaczały nas niczym tłum. Nasze milczenie było najlepszym dowodem na moc pieśni. Chciałam wypuścić na świat coś, co nie było ogniem, krwią czy stalowym ostrzem. Nazbyt wiele moich działań prowadziło ostatnio do rozlewu krwi. A ta pieśń była czymś innym. Stanowiła dowód na to, że potrafimy nie tylko niszczyć, lecz również budować. Mimo to wiedziałam, że ponosimy wielkie ryzyko. Gdyby Leonard został złapany, pieśń bez wątpienia zaprowadziłaby go na szafot, podobnie jak każda inna forma sabotażu. Gdyby żołnierze Rady usłyszeli, jak śpiewa, albo znaleźli dowody na jego zdradę, szybko zarzuciliby mu pętlę na szyję, podobnie zresztą jak Evie i ich bliźniakom.

– Okazujecie wielką odwagę – powiedziałam do Leonarda, gdy zwijaliśmy obóz w ciemnościach.

– Ludzie na Wyspie walczyli i umierali – parsknął. – Ja jestem tylko starcem z gitarą.

– Istnieją różne rodzaje odwagi – rzekł Kobziarz i wylał zawartość bukłaka na ognisko, by mieć pewność, że nie zostaną po nas żadne żarzące się węgle i nic nie zwróci uwagi przygodnego obserwatora.

Na drodze pożegnaliśmy się z bardami. W ciemnościach szybko wymieniliśmy uściski dłoni i ruszyliśmy dalej na zachód. Leonard, który wraz

z Evą skierował się na wschód, grał na harmonijce ustnej, ale odległość szybko zatarła dźwięki.

Przez następnych kilka dni nuciłam refren jego piosenki podczas ostrzenia noża. Starłam się, by zgrzyt ostrza dopasowywał się do rytmu. Pogwizdywałam tę melodię podczas zbierania drewna na ognisko. Była to tylko piosenka, ale zakorzeniła się w moim umyśle niczym chwasty, które nie chciały opuścić ogródka mojej mamy.

Rozdział ósmy

Nigdy nie widziałam czegoś takiego jak Zatopione Wybrzeże. Gdy przybyliśmy na miejsce po pięciu dniach wędrówki, trwał właśnie świt. Kiedy spojrzałam w dół, odniosłam wrażenie, że morze w tym miejscu stopniowo zagarniało ląd, a ten poddawał się w nieskoordynowany, chaotyczny sposób. Nie było wyraźnej granicy między morzem a lądem, takiej jak strome klify, które wraz z Kimą widzieliśmy na południowo-zachodnim wybrzeżu czy choćby w zatoczkach niedaleko rzeki Miller. Zamiast tego widziałam jedynie płataninę półwyspów i cypli, podzielonych zatoczkami, które zagarniały ląd niczym palce morza. Tu i ówdzie ląd nie ustąpił jeszcze całkiem morzu, ale zamienił się w podmokłe płycizny. W innych miejscach ciągnęły się niskie wysepki zasłane splątanymi szarozielonymi roślinami, które mogły być zarówno trawą, jak i wodorostami.

– Trwa odpływ – rzekł Kobziarz. – W południe połowa tych wysp zniknie pod wodą. Płycizny przy półwyspach również. Jeśli morze odetnie cię w niewłaściwym miejscu, masz wielkie kłopoty.

– Sally naprawdę tu żyje? Przecież Omegom nie wolno mieszkać na tym wybrzeżu od lat!

– Spójrz tam! – Kobziarz wskazał najdalszy fragment poszarpanego wybrzeża, gdzie drobne splachetki lądu ginęły wśród nadciągających morskich fal. Rząd niemal niewidocznych wysepek ledwie utrzymywał się nad poziomem wody. – Na niektórych wysepkach ziemia jest zbyt słona, by ją uprawiać, a okolice zbyt bagniste, by móc łowić ryby, ścieżki zaś znikają podczas każdego pływu i pojawiają się na nowo w innych miejscach. Żaden Alfa za żadne pieniądze by się tam nie osiedlił. Nikt się tam nie zapuszcza. Sally kryje się tam od wielu lat.

– Nieprzyjazny teren to jedno – dodała Zoe. – A teraz popatrz tam.

Wskazała jeszcze odleglejsze miejsce. Coś połyskiwało w wodzie daleko za niziutkimi wysepkami i odbijało blask świtu. Zmrużyłam oczy i wyteżyłam wzrok. W pierwszej chwili wydawało mi się, że widzę maszty jakiejś flotylli, ale te sterczały pionowo, ignorując ruchy fal. Znów coś zamigotało. Szkło?

To było zatopione miasto. Ku niebu celowały wieżyczki, z których najwyższa wystawała jakieś trzydzieści stóp ponad powierzchnię wody. Inne były ledwie zauważalne, ale ich kształty były zbyt proporcjonalne jak na skały. Miasto ciągnęło się daleko – część wież sterczała samotnie, inne łączyły się w grupki. Wydawało się, że niektóre mają przeszklone okna, inne zaś zamieniły się już w konstrukcje ze stali, klatki dla wody i nieba.

– Kiedyś wsiadłem na łódź Sally i popłynąłem tam – powiedział Kobziarz. – Ciągnie się naprawdę daleko. To największe miasto sprzed Wybuchu, jakie kiedykolwiek widziałem. Trudno sobie wyobrazić, ilu ludzi tam kiedyś mieszkało.

Nie musiałam sobie niczego wyobrażać. Czułam to, wpatrując się

w połyskliwe morze. Spod wody dobiegał ryk obecności oraz pustki. Zginęli od ognia czy też utonęli? Co pojawiło się jako pierwsze?

Przespaliśmy dzień na klifie, z którego rozciągał się widok na labirynt wody i wysp. Śnił mi się Wybuch i gdy się przebudziłam, nie miałam pojęcia, gdzie jestem i jaki to dzień. Zoe podeszła do mnie, by zbudzić mnie na ostatnią wartę przed zapadnięciem zmroku, ale ja już nie spałam. Siedziałam opatulona kocem, zaciskając mocno dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Wiedziałam, że na mnie patrzy, gdy szłam w stronę punktu obserwacyjnego. Poruszałam się nerwowo, nieźbornie, a w moich uszach nadal huczały żarłoczne płomienie.

Woda stała wysoko i morze pochłonęło większość najdalszych wysepek, po których pozostały jedynie niewielkie wzgórki i sterczące skały. Powierzchnia upstrzona była kawałkami lądu. Zatopione miasto znikło całkowicie. Nadchodził już zmrok i przyływ zaczynał ustępować. We wsiach Alf, ciągnących się na wzgórzach pod nami, zamigotały już światła. Siedziałam pogrążona w zadumie i wpatrzona w przypływ, który cofał się chyłkiem niczym lis uciekający z kurnika. Nie myślałam jednak o podwodnym mieście, ale o pewnej uwadze Leonarda, którą wygłosił mimochodem. Powiedział, że Spowiedniczka pochodziła z Zatopionego Wybrzeża. Gdzieś tu, zaledwie kilka mil wzdłuż zbroczy wybrzeży, znajdowało się miejsce, w którym wychowywała się wraz z Kimą. Pewnie została odesłana w momencie ich rozdzielenia, ale Kima przypuszczalnie tu został. Ta dziwaczna kraina była jego ojczyzną. Jako dziecko włóczył się pewnie wśród tych wzgórz. Może nawet wspiał się na ten właśnie klif i patrzył na cofający się przypływ tak jak ja teraz. Fale odsłaniały coraz więcej ziemi, połyskującej w blasku księżyca.

Gdy zapadły całkowite ciemności, obudziłam Zoe i Kobziarza.

– Wstawajcie – powiedziałam.

Zoe jęknęła cicho, przeciągając się, ale Kobziarz nawet nie drgnął. Pochyliłam się, zerwałam z niego koc i rzuciłam mu go do stóp, a potem wróciłam na punkt obserwacyjny.

Rozpalenie ognia stanowiło zbyt wielkie ryzyko, gdyż przebywaliśmy w zasięgu wzroku mieszkańców wioski w dole, a więc zjedliśmy trochę zimnego mięsa. Podczas gdy Kobziarz i Zoe pakowali swoje rzeczy, ja stałam z założonymi ramionami i kopałam pień drzewa. W końcu ruszyliśmy w dół zbocza, ku soczyście zielonym wzgórzom, ciągnącym się przy najdalszych zatoczkach. Szliśmy w milczeniu. Kiedy po paru godzinach marszu Kobziarz podał mi bukłak, przyjąłam go bez słowa.

– Skąd ten paskudny nastrój? – spytała Zoe.

– Nie mam paskudnego nastroju – odparłam.

– Przy tobie Zoe wydaje się pogodna niczym letni poranek – oznajmił Kobziarz. – Miła odmiana.

Nie powiedziałam ani słowa. Zaciskałam mocno zęby od chwili, gdy

ujrzeliśmy morze. Dobrze pamiętałam dzień, kiedy wraz z Kimą zobaczyliśmy je po raz pierwszy. Siedzieliśmy razem wśród długich traw na skraju klifów i wpatrywaliśmy się w fale omywające skraj świata. Jeśli on widział to wcześniej, nie przypominał sobie – dla nas obojga było to coś nowego.

Teraz wiedziałam, że dla niego morze było codziennym widokiem. Był do niego przyzwyczajony i przypuszczalnie nawet na nie nie spojrzął, gdy zajmował się codziennymi sprawami. To samo morze, które podziwialiśmy wspólnie, było dla niego czymś tak codziennym jak kryte strzechą dachy w jego wsi.

Wyglądało na to, że straciłam nie tylko Kimę. Wyszarpnięto mi również wspomnienia naszych wspólnych chwil, które po tym, czego się o nim dowiedziałam, okazały się fałszywe.

„Najlepiej niczego nie pamiętać – powtarzałam sobie, przyspieszając kroku. – Najlepiej nie wkraczać do zatopionego miasta moich wspomnień”.

Powoli i ostrożnie przedzieraliśmy się przez nieubłaganą krainę. Unikaliśmy nie tylko wsi Alf, ale również szczelin i przepaści, które wdzierały się daleko w wysokie zbocza. Kilkakrotnie musieliśmy się zatrzymać, gdyż przed nami otwierało się pęknięcie wypełnione ciemną wodą. Szliśmy przez całą noc i tylko o świcie zrobiliśmy sobie krótką przerwę. Dopiero koło południa minęliśmy ziemie Alf i dotarliśmy do ciągnących się daleko równin i słonych bagnisk. Zatrzymałam się i raz jeszcze spojrzałam na wsie Alf za naszymi plecami.

– Ja też to usłyszałam – odezwała się Zoe. – Też słyszałam, jak Leonard mówi, że Spowiedniczka pochodziła z tych okolic.

Kobziarz szedł przed nami i nie słyszał naszych słów. Zoe, która oparła jedną stopę na kamieniu, czekała na mnie.

– Wiedziałaś, że będziesz ciekawa, gdy tu dotrzemy – dodała.

– Nie chodzi tylko o to – odparłam.

Pamiętałam wyraz jej twarzy, gdy ujrzałam ją, jak kołysze się do rytmu muzyki. Zrównałam się z nią i wbiłam wzrok w ziemię. Wtedy, po raz pierwszy w życiu, odważyłam się powiedzieć na głos, co Spowiedniczka wyjawiała mi na temat przeszłości Kimy. Musiałam się tym podzielić. Mój sekret był niczym przeprosiny za to, że wkradłam się do jej tajnych snów.

Opowiedziałam jej o wszystkim, co usłyszałam od Spowiedniczki – o tym, że Kima okazywał jej okrucieństwo i z wielką przyjemnością naznaczył go i wygonił. O tym, jak później, gdy mógł sobie na to pozwolić, wytropił ją i usiłował doprowadzić do zamknięcia jej w Przechowalni dla własnego bezpieczeństwa.

Opowiedziałam Zoe o tym, jak przeszłość Kimy zagmatwała wszystko, co czułam. Gdy spoglądałam na Zatopione Wybrzeże, nie potrafiłam wyobrazić sobie jego dzieciństwa. Zamiast niego widziałam w moich myślach Zacha. Obaj,

zarówno Zach, jak i Kima, byli w tym samym stopniu wzburzeni i zniesmaczeni tym, że ich bliźniaczką była wizjonerka, i nie chcieli się z nią rozstać. Ja uciekałam przed Zachem, ale teraz, gdy myślałam o przeszłości Kimy, widziałam w nim coraz więcej z Zacha. A Spowiedniczka... Jej obawiałam się najbardziej, ale gdy usłyszałam o jej dzieciństwie, ujrzałam w nim moją własną historię. Została naznaczona i wygnana dokładnie tak jak ja.

Wszystko było na opak. Wszystko było zdublowane – lustro stało naprzeciwko lustra, a obraz zmniejszał się w nieskończoność.

Gdy wyrzuciłam z siebie wszystko, Zoe zatrzymała się i odwróciła ku mnie, zagradzając mi drogę.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć po takim wyznaniu? – spytała.

Nie miałam odpowiedzi.

– Sądziłaś, że dam ci się wyplakać na ramieniu? – ciągnęła. – I że powiem ci, iż wszystko gra?

Złapała mnie i potrząsnęła mną lekko.

– Cóż to właściwie za różnica? – spytała. – Czy to, jakim on był człowiekiem, ma jakiegokolwiek znaczenie? A Spowiedniczka? Czemu mam się nią przejmować? To nie moment na wywnętrzanie się i szukanie bratniej duszy. Próbuje cię uratować i samemu ocalić życie. Nie uda nam się, jeśli będziesz oddawać się cikliwym rozważaniom. Ponadto coraz głębiej zapadasz się w swoje wizje. Oboje to widzieliśmy. Oboje widzieliśmy, że nie pozostaje to bez wpływu na ciebie. Wrzeszczysz i trzęsiesz się, gdy widzisz Wybuch. – Pokręciła głową. – Widziałam już takie objawy. Musisz to zwalczyć, ale na pewno nie uda ci się to, jeśli będziesz nadal pograżać się w obsesji na temat Kimy. Ty żyjesz, a on nie. Co więcej, wygląda na to, że nie jest to wcale tak wielka strata.

Uderzyłam ją z całej siły w twarz. Już kiedyś jej przyłożyłam, kilka miesięcy temu, gdy wygłosiła równie lekceważący komentarz na temat Kimy, ale wówczas była to jedynie chaotyczna szarpanina w półmroku. Teraz wymierzyłam celniejszy cios. Nie wiem, która z nas była bardziej zaskoczona, ale instynkty jej nie zawiodły – zrobiła unik w lewo, a moja pięść otarła się o jej policzek i ucho, ale mimo to moje kłykcie zahaczyły o coś twardego, być może kość policzkową lub żuchwę. Usłyszałam własny okrzyk bólu.

Nie oddała ciosu. Stała, dotykając dłonią boku twarzy.

– Musisz więcej ćwiczyć – powiedziała, potarła policzek i otworzyła usta, by ocenić rozmiary bólu. Widziałam czerwoną plamę, rozlewającą się w miejscu, w które trafiłam. – Wciąż nie stosujesz się do moich rad.

– Zamknij się – syknęłam.

– Otwórz pięść i ponownie ją zamknij – rozkazała mi.

Spełniłam jej polecenie. Zoe przyjrzała się uważnie mojej dłoni, a potem ujęła ją i metodycznie zgięła każdy z moich palców.

– Jest tylko trochę posiniaczona – stwierdziła.
– Nie odzywaj się do mnie! – warknęłam i wyrwałam rękę. Potrząsnęłam nią, przeświadczona, że usłyszę klekot połamanych kości.
– Cieszę się, że ulegasz gniewowi – powiedziała z uśmiechem. – Wszystko jest lepsze od tego twojego wisielczego nastroju. Mam wrażenie, że snujesz się za nami jak duch.
Przypomniało mi się to, co powiedział do mnie Leonard: „Dziewczyno, przecież ty ledwie istniejesz”.
– Chociaż przecież to nie na mnie jesteś zła – dodała.
– Nie wiesz, o czym mówisz – oznajmiłam i przepchnęłam się obok niej, by podążyć za Kobziarzem, który już prawie zniknął z widoku.
– Jesteś zła na Kimę! – zawołała za mną Zoe. – A to nawet nie ma związku z jego przeszłością. Jesteś zła, bo on skoczył i cię porzucił.

Szliśmy w milczeniu przez godziny. Półwysep, ku któremu wiódł nas Kobziarz, okazał się rzędem wysp, które łączyły cienkie pasemka łądu. Przyplływ znów nacierał na przesmyki i pozostawiał wąziutkie przejścia między jedną wyspą a drugą. Po południu przeszliśmy po kamieniach na ostatnią z wysp. Nadal wydawała się imponująco wysoka, choć przyplływ zagarnął już jej najniższe brzegi. Jediną drogą dostępu była wąska naturalna grobla, przy czym kamienie były już mokre i śliskie od bryzgów.

Kobziarz nadal szedł przed nami i był już w połowie drogi do wyspy. Odwróciłam się ku idącej za mną Zoe.

– Kiedy mu opowiesz o Kimie?
– Idź naprzód – odparła. – Za chwilę ścieżka zniknie pod wodą.
Nawet nie drgnęłam.
– Kiedy mu powiesz?
Fala omyła mi stopy. Poczułam ukłucie zimna.
– Myślę, że wkrótce sama to zrobisz – odpowiedziała Zoe, a potem precisięła się obok mnie i zaczęła piąć naprzód po śliskiej skale.

Powinłam była poczuć ulgę, ale teraz, gdy sekret znów należał tylko do mnie, stał się także moją odpowiedzialnością. Musiałam opowiedzieć mu o wszystkim sama. Trudno mi się było oprzeć wrażeniu, że jeśli wypowiem to wszystko na głos, moje słowa zabrzmiały jak zaklęcie, które uczyni przeszłość Kimy bardziej realną.

Rozdział dziewiąty

Kobziarz i Zoe zatrzymali się na skraju ostatniej wyspy. Kobziarz przyklęknął w miejscu, gdzie przesmyk graniczył z zalesionym zboczem. Chciałam prześlizgnąć się obok niego, ale ten podniósł się, złapał mnie za bluzę i powstrzymał szarpnięciem.

– Zaczekaj – powiedział.

– Co ty robisz? – spytałam i strząsnęłam jego rękę.

– Spójrz – rzekł i znów przyklęknął. Wpatrywał się w ścieżkę. Pochyliłam się, by sprawdzić, co przykuło jego uwagę, a wtedy Kobziarz pokazał mi cienki drut przeciągnięty w poprzek ścieżki. Wisiał jakieś sześć cali nad nią.

– Nie podnoś się – rozkazał.

Zoe przykucnęła na piętach obok niego. Kobziarz wychylił się do przodu i pociągnął za drut. Tuż obok naszych głów śmignęła strzała, która znikła w morzu. Kobziarz podniósł się, rozpromieniony. Gdzieś przed nami odezwał się dzwon. Jeszcze raz spojrzałam na wodę. Strzała nawet nie wzburzyła powierzchni. Gdybyśmy stali, przebiłaby kogoś z nas.

– Ale będzie wiedziała, że nadchodzimy – powiedziała Zoe. – Nie będzie uszczęśliwiona tym, że zmarnowałeś jej strzałę.

Kobziarz pochylił się i zaczął ciągnąć za drut: dwa razy powoli, dwa razy szybko i znów dwa razy powoli. Dzwon na wzgórzu odtworzył melodię.

Kobziarz i Zoe jeszcze trzy razy zatrzymywali się i pokazali mi drut, nad którym należało przestąpić. Za czwartym razem sama wyczułam pułapkę, jeszcze nim Zoe kazała mi zejść ze ścieżki. Gdy pochyliłam się, by przyjrzeć się ziemi, miałam wrażenie, że wyczuwam coś niematerialnego, jakby proporcja ziemi i powietrza została zaburzona. Ukłękłam i ujrzałam warstewkę długich wierzbowych witek, które zostały splecione ze sobą, a potem przykryte liśćmi.

– Tu znajduje się dziura o głębokości sześciu stóp – oznajmił Kobziarz. – A do tego z dna sterczą zaostrome żerdzie. Sally kazała mnie i Zoe wykopać tę jamę, gdy byliśmy nastolatkami. Aleśmy się urobili...

Wysforował się przede mnie i rzucił:

– No, dalej!

Przemierzenie całej wyspy zabrało nam niemalże godzinę. Przedzieraliśmy się w górę zalesionego zbocza, unikając po drodze pułapek, aż dotarliśmy na południowy, wyniesiony wysoko skraj wyspy. Staliśmy na krawędzi klifu, a przed sobą widzieliśmy morze. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się fale, których monotonię tu i ówdzie przerywały osobliwe kształty zatopionego miasta.

– Tam! – powiedział Kobziarz, pokazując ostatnie drzewa. – Tam mieszka Sally.

Nie widziałam niczego poza jasnymi pniami drzew, tu i ówdzie upstrzonymi

brązowymi plamami niczym dłonie starych ludzi. Dopiero po chwili ujrzałam drzwi, niskie i częściowo ukryte za głazami, których wiele leżało wzdłuż krawędzi klifu. Znajdowały się niewiarygodnie blisko urwiska, zupełnie jakby wiodły donikąd. Po wielu latach opierania się morskim wichrom drewno spłóśniało do tego stopnia, że niewiele różniło się kolorem od okolicznych traw, oblepionych solą. Budowniczem domu zapewne zależało na wykorzystaniu osłony, jaką stanowiły wielkie głazy, przez co zapewne budowla powstała nad samym klifem. Zoe zagwizdała tę samą melodię, którą Kobziarz wydobyl z dzwonu – dwa dłuższe dźwięki, dwa krótkie i znów dwa dłuższe.

Kobieta, która otworzyła drzwi, z pewnością była najstarszą osobą, jaką widziałam na oczy. Jej włosy były tak rzadkie, że dostrzegłam prześwitującą między nimi łysinę, a na szyi układały się fałdy pomarszczonej skóry. Nawet jej nos znamionował zmęczenie – jego czubek opadał w dół niczym zastygły воск. Wydawało mi się, że na jej czole nie było żadnego znamienia, ale nie miałam pewności, gdyż przecinały je grube bruzdy zmarszczek. Obwisłe powieki niemalże zakrywały jej oczy, które przypuszczalnie całkiem zniknęły, gdy się uśmiechała.

Na razie jednak o uśmiechu nie było mowy. Patrzyła prosto na nas.

– Miałam nadzieję, że się zjawicie – oznajmiła.

– Ciebie również miło ujrzyć – powiedziała Zoe.

– Byłam przekonana, że zjawicie się, gdy was przyciśnie – ciągnęła kobieta.

Zrobiła krok naprzód, utykając. Jej obie nogi były powykrzywiane w stawach. Objęła najpierw Zoe, która zamknęła wówczas oczy, a potem Kobziarza. Próbowałam sobie wyobrazić Zoe i Kobziarza, gdy byli zaledwie dziesięcioletnimi uciekinierami. Wszak to wtedy natknęli się na Sally. Ciekawe, ile zmian staruszka w nich widziała. Świat był przecież krzemieniem, który uformował ich i naostrzył.

– To naprawdę ta wizjonerka? – spytała Sally.

– Ma na imię Cass – rzekł Kobziarz.

– Udało mi się przeżyć tyle lat właśnie dlatego, że nie zapraszałam obcych pod swój dach – oznajmiła.

Trudności z oddychaniem sprawiły, że jej słowa padały powoli. Czasami robiła przerwy między sylabami, by nabrać tchu. Każdy oddech był niczym westchnienie.

– Możesz mi zaufać – powiedziałam.

Sally znów wbiła we mnie spojrzenie.

– Wkrótce się przekonamy.

Weszliśmy w ślad za nią do domu. Zatrzasnęła za nami drzwi z taką siłą, że zatrzęsł się cały budynek. Pomyślałam raz jeszcze o klifie pod naszymi nogami i falach omywających skały.

– Spokojnie – rzekł Kobziarz. Nawet sobie nie uświadamiałam, że trzymam się kurczowo futryny. – Ten dom istnieje od wielu dekad. Nie zawali się dziś.

– Choć nieproszony gość sprawia, że staje się cięższy – dodała Sally, odwróciła się i poczłapała do kuchni. Jej stopy dudniły, co oznaczało, że pod drewnianą podłogą nie ma już nic. – Skoro już tu jesteście, rozumiem, że mam przygotować coś do jedzenia – burknęła i zakrzętnęła się wokół stołu. Spojrzałam na zamknięte drzwi przy piecu. Nie dobiegał spoza nich żaden dźwięk, ale byłam przekonana, że ktoś tam się kryje. Wyczuwałam obecność jeszcze jednej osoby niczym przeciąg na karku.

– Kto tam jest? – spytałam.

– Xander odpoczywa – rzekła Sally. – Był przez całą noc na nogach.

– Xander? – spytałam.

Staruszka uniosła brew, spoglądając na Kobziarza.

– Nie opowiedziałeś jej o Xanderze?

– Jeszcze nie – odparł mężczyzna i odwrócił się ku mnie. – Pamiętasz, jak powiedziałem ci na Wyspie, że mamy dwoje innych wizjonerów? I że młodszy z nich został sprowadzony na Wyspę przed naznaczeniem?

Pokiwałam głową.

– Xander sprawdzał się podczas tajnych operacji – ciągnął Kobziarz. – Ale nie chcieliśmy go wciągać w nic naprawdę ważnego.

– Był za młody?

– Oszczędzanie młodości to luksus. Naprawdę myślisz, że stać nas na coś takiego? – Kobziarz parsknął śmiechem. – Niektórzy z naszych zwiadowców na Wyspie mieli ledwie kilkanaście lat. Nie, nie chodziło ani o wiek, ani o zaufanie. Nigdy nie sądziliśmy, że jest zdolny do zdrady, ale zawsze był bardzo nerwowym człowiekiem.

– W ostatnich latach przybrało to na sile – podjęła wątek Zoe. – Ale zawsze był rozchwiany. Płoszył się jak koń na widok węża w trawie.

– Wielka szkoda – rzekł Kobziarz.

– Dlaczego? Dlatego, że przechodził przez taki stres? – spytałam. – Czy może to wy żałujecie, że nie możecie go wykorzystać tak, jak byście chcieli.

– A nie może chodzić o jedno i drugie? – spytał Kobziarz. – Tak czy owak, robił, co mógł. Przydzieliliśmy go na kontynent. Dobrze było mieć kogoś nienaznaczonego, kto mógł uchodzić za Alfę, ale jego wizje również się czasami przydawały. W końcu jednak musieliśmy go tu ściągnąć. Nie mógł już dłużej nam pomagać, a Sally powiedziała, że go przygarnie.

– Czemu mówisz o nim w czasie przeszłym? Przecież on tu jest, prawda?

– Zaraz się przekonasz – powiedziała Sally i pokuśtykała do drzwi, po czym otworzyła je na oścież.

Na łóżku siedział chłopak odwrócony do nas plecami. Miał ciemne, gęste

włosy, podobne do czupryny Kobziarza, ale mocno kręcone, dłuższe, sterczące na wszystkie strony. Okno nad łóżkiem wychodziło na wodę. Chłopak nie odwrócił się, gdy weszliśmy.

Podeszliśmy bliżej. Kobziarz usiadł obok niego na łóżku i dał mi znać, bym zrobiła to samo. Xander mógł mieć około szesnastu lat. Jego rysy twarzy zachowywały dziecięcą łagodność. Podobnie jak Sally, nie byłznaczony. Kobziarz pozdrowił go, ale Xander nie spojrzał na nas ani nie zareagował w żaden inny sposób. Wodził wzrokiem z miejsca na miejsce, jakby śledził lot niewidzialnego owada nad naszymi głowami.

Nie miałam pewności, czy pozostali wiedzą to, co wyczuwam, czy może jest to zauważalne jedynie dla wizjonerów. Wykryłam w nim skrajne załamanie. Sally powiedziała, że odpoczywał, ale ja nie wyczuwałam w nim żadnego relaksu. Widziałam jedynie przerażenie. W jego umyśle trwał nieustanny, chaotyczny szum, przypominający bzyczenie osy uwięzionej w słoju.

Zoe stała w progu. Widziałam, jak sznuruje usta, gdy patrzy na długie palce Xandera, zaciskające się bezustannie, jakby ugniatał powietrze. Przypominałam sobie wówczas, co mi powiedziała o wpływie, jaki wizje na mnie wywierają.

„Widziałam już takie objawy”.

Kobziarz nakrył dłoń Xandera własną i uspokoił ją.

– Cieszę się, że cię znów widzę, Xander.

Chłopak otworzył usta, ale nie usłyszeliśmy żadnych słów. W głuchoj ciszy niemalże słyszałam chaotyczne brzęczenie jego umysłu.

– Masz dla nas jakieś wieści? – spytał Kobziarz.

Xander pochylił się, aż jego twarz znalazła się tuż naprzeciwko Kobziarza.

– Niekończący się ogień – szepnął. – Gorący huk. Płonące światło.

Słowa padały jedno po drugim.

– Coraz częściej widzi Wybuch – rzekła Sally. – Zarówno w dzień, jak i w nocy.

– Jest z nim gorzej niż kiedykolwiek wcześniej – stwierdził Kobziarz. – Co się zmieniło?

– Odsuń się – poprosiłam Kobziarza.

– Labirynt kości – wymamrotał Xander.

Spojrzałam na Sally.

– Co to znaczy?

– A skąd mam wiedzieć? – odparła. – Czasami odzywa się niemalże normalnie, ale potem wyskakuje z czymś takim. Na ogół gada o ogniu. Czasem o kościach.

– Hałas w labiryncie kości – rzekł Xander.

Jego oczy przestały wodzić wszędzie dookoła i wbił wzrok w sufit. Oparłam dłoń na jego skroniach i spojrzałam mu w oczy. Nie chciałam się na siłę wbijać

do jego umysłu. Wciąż zbyt dobrze pamiętałam chwile, kiedy Spowiedniczka próbowała sondować moje myśli w Przechowalni. Po każdej takiej sesji miałam wrażenie, że mój umysł został potraktowany jak domek dla lalek, który podnoszono i podrzucano, którym potrząsano do chwili, aż nic już nie było na swoim miejscu. Rozumiałam furję Zoe, gdy ta dowiedziała się, że przypadkowo wniknęłam w jej sny. Musiałam jednak przyznać, że byłam ciekawa, co odkryję u Xandera. Byłam gotowa zrobić wszystko, by dowiedzieć się, czy ujrzał to samo co ja. Miałam nadzieję, że upewnię się, iż nie jestem jedyną, którą dręczą wizje ognia. Nie miałam pojęcia, czego szukam w jego rozbieganym, nieuporządkowanym umyśle, ale chyba był to jakiś przebłysk mnie samej.

W oczach Xandera nie pojawił się nawet błysk, kiedy ostrożnie sięgnęłam w kierunku jego myśli. Od czasu do czasu otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale nie usłyszałam żadnych słów. Zamierały na jego ustach, niewydarzone, puste kształty nieobleczone w dźwięk.

Jego umysł był wypalony, szerniał, pusty. Wszystko, co w nim kiedyś było, zamieniło się w pył i kurz. Płomienie eksplodowały tam zbyt wiele razy, by cokolwiek mogło przetrwać. Natrafiłam jedynie na popiół, dym i słowa odarte ze znaczenia, włóczące się po umyśle bez ładu i składu.

– To wizje Wybuchu – powiedziałam. – To wszystko przez nie.

Poczułam w sobie niepokój, nie dlatego, że stan Xandera był czymś dziwnym, ale raczej przez to, że wydał mi się skądś znajomy. Sama również odczuwałam to szaleństwo, które buszowało na skraju mego umysłu niczym szczury myszujące wśród belek. Nigdy mnie nie opuszczało. Czasami, zwłaszcza w Przechowalni, lub gdy wizje Wybuchu stawały się częste, szaleństwo potęgowało się i niemalże stawało się materialne.

– Błysk. Ogień. Wieczny ogień – wyrzucił z siebie Xander.

Nie, to nie on powiedział te słowa. To one wypowiedziały jego. Przy każdym z nich przeszły go konwulsje. Wydawał się zaskoczony i wystraszony słowami, które wydobyły się z jego własnych ust.

– Wiesz, co się prędzej czy później dzieje z wizjonerami – powiedziałam, robiąc wszystko, by mi głos nie zadrżał. Ta wiedza towarzyszyła mi przez całe życie, ale kontakt z resztkami umysłu Xandera sprawił, że przeszył mnie chłód. Zacisnęłam pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mi się w skórę.

Chłopak otoczył kolana ramionami i kołysał się teraz w przód i w tył. Widziałam w nim próżną nadzieję na to, że może w ten sposób zdoła umknąć wizjom, zupełnie jakby te miały zignorować mniejsze ciało. Jako dziecko też się w ten sposób kuliłam, przyciskając głowę do klatki piersiowej i zaciskając powieki. Oczywiście nic mi to nie dawało. Xander miał rację. Wieczny ogień. Przecież to szaleństwo nigdy nie ustąpi. Wybuch zawsze będzie prześladować nas, wizjonerów. Ale dlaczego pojawiał się w naszych snach coraz częściej, co

doprowadziło Xandera do takiego stanu?

– Daj mu odpocząć. – Sally podeszła bliżej i ujęła podbródek chłopaka. Podniosła koc, który się z niego zsunął, i otuliła nim jego ramiona.

Gdy wychodziliśmy, chłopak otworzył na chwilę oczy i wbił we mnie wzrok.

– Lucia?

Spojrzałam na Kobziarza w nadziei, że mi coś wyjaśni. Ten jednakże spojrzał na Zoe, która unikała jego wzroku. Założyła ramiona na piersi i zrobiła zaciętą minę.

– Lucia? – powtórzył Xander.

Kobziarz spojrzał na mnie.

– Pewnie wie, że jesteś wizjonerką. Lucia też nią była.

Miał na myśli ową starszą, naznaczoną wizjonerkę z Wyspy. Kobziarz mówił, że utonęła wraz z okrętem podczas burzy, w drodze na Wyspę.

– Lucii już nie ma – wyjaśnił Xanderowi Kobziarz. – Jej okręt zatonął ponad rok temu. Przecież sam wiesz.

Jego głos był zbyt głośny, zbyt energiczny. Próbował zdobyć się na jowialność, ale nie był w tym przekonujący.

Wyszliśmy, pozostawiając Xandera wpatzonego w morze zmieniające kolory w blasku słońca. Nie przestawał zaciskać i rozwierać rąk. Przypomniały mi się dłonie Leonarda na strunach gitary. Xander również wygrywał własne melodie na niewidzialnym instrumencie szaleństwa.

– Co z nim poczniecie? – spytałam, gdy zamknęliśmy drzwi do pokoju chłopaka.

– Pocznijemy? – Staruszka parsknęła śmiechem. – A mamy jakiś wybór? Możemy jedynie próbować jakoś przeżyć i zrobić przy tym wszystko, by nic mu się nie stało.

Choć chłopak znajdował się w sąsiednim pokoju, jego obecność mnie wykańczała. Chaos w jego głowie, nawet pomimo zamkniętych drzwi, sprawiał, że robiło mi się niedobrze. Gdy Sally wysłała nas po chrust i grzyby, poczułam natychmiast ulgę, choć tuż po tym obudziły się we mnie wyrzuty sumienia.

Uklękałam wraz z Kobziarzem wśród korzeni drzew, gdzie rosło sporo grzybów. Zoe zbierała chrust w pobliżu.

– Widziałaś Xandera – odezwał się cicho Kobziarz, by Zoe go nie usłyszała. – I wiesz, jakie niebezpieczeństwa grożą wizjonerom.

Zerknął na Zoe, która znajdowała się kilkanaście kroków dalej, i jeszcze bardziej ściszył głos:

– Z Lucią było tak samo.

Na wspomnienie nieżyjącej wizjonerki głos uwiązł mu na moment w gardle, a oczy się zaszklily. Przez chwilę miałam wrażenie, że stoimy na różnych wyspach, a nagły przyryw pochłonał łączącą nas groblę.

– Pod koniec – dodał, a potem spojrzął z powrotem na mnie i podjął: – A teraz wizje Wybuchu przytrafiają się coraz częściej również tobie. Dlaczego nie podzielasz ich losu?

Sama również się nad tym zastanawiałam. Bywały chwile, kiedy moja poczatalność wydawała się równie niepewna jak ruszający się ząb. Gdy raz za razem wybuchwały we mnie płomienie, zastanawiałam się, jak to możliwe, że jeszcze mogę funkcjonować. Widziałam, jak słowa padają z usta Xandera niczym woda kipiąca z rozgrzanego garnka, i zadawałam sobie pytanie, kiedy moje własne wizje sprawią, że zagotuję się od środka. Ile miałam czasu? Lata? A może miesiące? Czy będę wiedzieć, jeśli to się zacznie?

Gdy zastanawiałam się, czy już aby do tego nie doszło, zawsze dochodziłam do tego samego wniosku, którym jednak nie mogłam się podzielić z Kobziarzem. Chodziło o Zacha. Owa odrobina pewności, owo coś, co sprawiało, że udawało mi się przetrwać, gdy wizje usiłowały mnie rozszarpać na strzępy, musiała mieć związek z Zachem. Moja siła brała się z upartej wiary w to, że to on mi ją dał. Zach był bowiem stałym punktem w moim życiu. Nie był siłą dobra – widziałam zbyt wiele, by nadal w to wierzyć – ale pozostawał siłą. Wiedziałam, że nie było we mnie nic, co nie zostałoby uformowane przez niego lub przeciwko niemu. Gdybym zaś pozwoliła, by pochłonęło mnie szaleństwo, nie zdołałabym ani go powstrzymać, ani ocalić. Byłoby wkrótce po wszystkim.

Po powrocie pomogliśmy w przygotowaniu posiłku. Od czasu do czasu słyszeliśmy Xandera, który ciskał kolejnymi sylabami w nocne powietrze. Przez szczelinę pod schodami co chwila prześlizgiwały się kolejne „kości” bądź „ogień”. Może i był szalony, ale doskonale wiedział, co Wybuch zrobił z naszym światem. Pozostawił jedynie kości oraz ogień.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – spytałam Sally podczas skubania gołębi. Przy wrywaniu piórek skóra ptaka naprężała się, a na moich palcach pozostawała lepka maź.

– Od lat. Dekad właściwie. Czas staje się śliską materią, gdy masz tyle lat co ja.

Chciałam powiedzieć, że dla nas, wizjonerów, czas również nie jest niczym wyraźnym. Ja tkwiłam rozdarta między dwoma okresami i nie miałam na to żadnego wpływu. Po każdej wizji zrywałam się, ciężko dysząc, zupełnie jakby przyszłość była jeziorem, które mnie wciągało. Gdy docierałam na powierzchnię, ta okazywała się terażniejszością.

– Czasami się zastanawiałam, czy stąd nie odejść. To nie jest miejsce dla staruszki. Kiedyś udawało mi się zleźć na sam dół i łowić ryby, ale teraz zastawiam jedynie pułapki i sadzę, co się da. Na widok ziemniaków robi mi się niedobrze. Ale

na razie jest tu bezpiecznie. Rada szuka kalekiej staruszki i pewnie nikomu tam nie przyjdzie do głowy, by zajrzeć tutaj.

– A twój bliźniak?

– Spójrz na mnie – powiedziała. – I wiesz, że jestem starsza, niż na to wyglądam. Gdyby istniały jakieś rejestry w czasach, gdy ja i Alfie zostaliśmy rozdzieleni, Rada bez wątpienia dotarłaby już w ten sposób do mnie. Wówczas jednakże wszystko inaczej wyglądało. Nie byliśmy wszyscy spisani w ich archiwach tak jak teraz. Nie wiem, gdzie jest mój brat, ale miał na tyle zdrowego rozsądku, by się nie wychylać. Zajął się sobą.

Wstała i podeszła do piecyka. Kiedy mijala Kobziarza, jej dłoń opadła na jego szerokie ramię. Gdy wzięła go pod opiekę w dzieciństwie, ich dłonie przypuszczalnie były równie drobne. Ba, być może jego była nawet mniejsza? Teraz Sally z trudem dosięgała jego ramienia, a jej dłoń wydawała się wówczas drobna niczym ćma na konarze.

Podczas posiłku Xander usiadł przy końcu stołu, gdzie machał nogami i wpatrywał się w sufit. Kobziarz pokroił gołębie, odcinając skrzydła długim, zakrzywionym nożem. Patrząc na niego, nie mogłam nie myśleć o broni, którą zawsze przy sobie nosił, o rzeczach, które widział i robił.

Na widok jedzenia zapomniałam jednakże o całym świecie. Sally nadziała gołębie szalwią i cytryną, a mięso było miękkie i soczyste. W niczym nie przypominało porcji, którymi posilaliśmy się po drodze, opiekanych w pośpiechu nad rozpalanymi skrycie ogniskami, przypalonymi na zewnątrz, a w środku nadal zimnych i krwistych. Nie rozmawialiśmy wiele, aż z obiadu pozostała jedynie kupka kości, a księżyc przemierzył niebo za okienkiem i znalazł się nad chatą.

– Kobziarz opowiadał mi o tym, jak przeniknęłaś do Rady – odezwał się do Sally. – Nie mówił jednakże, dlaczego przestałaś.

Staruszka nie odpowiedziała.

– Zostali odkryci – odparła Zoe. – Nie Sally, ale dwóch innych konspiratorów, współpracujących z nią.

– Co się z nimi stało?

– Zostali zabici – rzekł Kobziarz bez ogródek i wstał, żeby pozbierać talerze.

– Rada ich zabiła? – pytałam.

– Tego nie powiedział – warknęła Zoe, zaciskając mocno usta.

– Zoe! – ostrzegł ją Kobziarz.

– Rada prędzej czy później by ich zabiła – rzekła Sally. – Darzyli wielką nienawiścią infiltratorów i nigdy nie pozwoliliby im ujść z życiem, nawet po tym jak wydobyliby już z nich wszystkie informacje za pomocą tortur. Na szczęście z Lachlanem im się nie udało, bo zdążył zażyć truciznę. Wręczono nam kapsułki, które mieliśmy zażyć, gdyby nas schwytano. Niestety, Eloise została przeszukana i odebrano jej kapsułkę.

– Co się z nią stało?

Kobziarz przestał sprzątać. Wraz z Zoe wpatrywali się w Sally, a ta patrzyła prosto na mnie.

– Zabiłam ją.

Rozdział dziesiąty

– Sally – odezwał się cicho Kobziarz. – Nie musisz o tym mówić.

– Nie wstydzę się tego, co zrobiłam – rzekła staruszka. – Wiem, co by z nią zrobili. Czekali ją los gorszy od śmierci, o wiele gorszy, a potem i tak by ją zabili. Zналиśmy konsekwencje w przypadku schwytania. Byliśmy w samym sercu całej sieci wywiadowczej i wiedzieliśmy, że jeśli my wpadniemy w ich ręce, połowę siatki trafi szlag. Utraciliśmy wszystkie kontakty, kryjówki i informacje, które gromadziliśmy i przekazywaliśmy dalej od lat. Byłaby to kompletna klęska. Dlatego właśnie nosiliśmy kapsułki.

Nadal wpatrywała się we mnie. Chciałam jej powiedzieć, że rozumiem ten wybór, ale z pewnością Sally nie potrzebowała mojej wyrozumiałości. Nie szukała wybaczenia, ani mojego, ani kogokolwiek innego. Podjęła decyzję być może o wiele trudniejszą niż Kima, gdyż musiała odebrać życie nie sobie, ale innemu człowiekowi. Przypomniały mi się słowa, które Kobziarz wygłosił do Leonarda: „Istnieją różne rodzaje odwagi”.

– Zostali zdemaskowani w głównej siedzibie Rady – opowiadała. – Byłam na galerii, gdy do tego doszło. Lachlan i Eloise nie mieli szans na ucieczkę. Żołnierze opadli ich ze wszystkich stron, po czterech na jednego. Lachy sięgnął po kapsułkę, gdy tylko został otoczony – nosił ją na rzemyku wokół szyi jak wszyscy z nas. Padł na ziemię w drgawkach, a na ustach pojawiła mu się piana. Żołnierze Rady natychmiast uświadomili sobie, co jest grane, i bezzwłocznie obezwładnili Eloise.

Mówiła spokojnym, wyważonym głosem, ale ręce drżały jej tak bardzo, że gdy odsuwała talerz, nóż i widelec zabrzęczały.

– Czekałam, aż skoczą również na mnie – ciągnęła. – Wsunęłam już własną kapsułkę do ust i trzymałam ją między zębami, gotowa w każdej chwili przegryźć.

Widziałam, jak dotyka językiem wewnętrznej strony policzka, jakby przypominała sobie smak wspomnień.

– Tymczasem nigdy do tego nie doszło. Byłam na to gotowa. Gdyby ktokolwiek na mnie wówczas patrzył, od razu by się domyślił, że coś się ze mną dzieje. Nikt jednak nie zwrócił na mnie uwagi. Wszyscy wpatrywali się w chaos pod nami. Lachy leżał na podłodze, wił się i miotał, a z jego ust płynęła krew. Trucizna nie przynosi łatwej śmierci. Czterech innych żołnierzy przytrzymało Eloise. Wpatrywałam się w nich jak pozostali i nagle zrozumiałam, że nikt nie zamierza rzucić się na mnie. Ten, który odkrył prawdę o moich przyjacielach, nie odkrył, że było nas troje.

Kobziarz położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie musisz przez to raz jeszcze przechodzić!

– Jeśli ona chce się przyłączyć do ruchu oporu, musi wiedzieć, co się tu

dzieje. – Sally wskazała na mnie. – Musi wiedzieć, jak tu jest naprawdę.

Potem odwróciła się i spojrzała prosto na mnie.

– Zabiłam ją – powtórzyła. – Rzuciłam nożem i trafiłam ją prosto w serce. Przypuszczalnie umarła szybciej niż Lachy, ale nie widziałam jej końca. Nie mogłam. Udało mi się uciec tylko dlatego, że stałam na galerii, a na dole panowało zamieszanie, ale i tam musiałam przebić się przez witraż i zeskoczyć kilkanaście metrów w dół.

– To wtedy rozwaliła sobie stopę – rzekła Zoe. – Tę zdrową stopę. Nigdy się nie zagoiła. Udało jej się jednak wspiąć na konia i opuścić Wyndham, a potem jakoś dotrzeć do najbliższej kryjówki.

Położyła dłoń na drugim ramieniu Sally. Wraz z Kobziarzem otaczali teraz staruszkę z obu stron.

– Z trudem dotarła na miejsce, krwawiąc i potykając się – ciągnęła Zoe. – Podobno dopiero wtedy wypluła kapsułkę z trucizną, którą trzymała cały czas między zębami, na wypadek gdyby została pojmana.

– Szukali jej przez wiele lat. – Kobziarz podjął opowieść Zoe. – Wszędzie wisiały plakaty. Nazywali ją Wiedźmą. – Zaśmiał się ponuro. – Zupełnie jakbyśmy potrzebowali czarnej magii, by uchodzić za Alfę. Zresztą myśl o tym, że władamy magią, wydawała im się mniej groźna niż świadomość, że tak naprawdę niewiele się od nich różnimy.

Zoe również parsknęła śmiechem, ale ja przyglądałam się Sally. Staruszka nie dzieliła ich wesołości. Czy strzaskana stopa była jedyną raną, którą wówczas odniosła? Czy można być tym samym człowiekiem po tym, jak wbijesz przyjaciółce sztylet w pierś?

– To ty nauczyłaś tych dwoje sztuki rzucania nożami? – spytałam.

Sally pokiwała głową.

– Pewnie trudno ci w to teraz uwierzyć, ale kiedyś byłam w stanie trafić w czereśnię z odległości prawie trzydziestu metrów.

Wiedziałam, jak straszną bronią stawały się noże w rękach Kobziarza i Zoe. A więc to od Sally nauczyli się sztuki zabijania. Nie miałam pojęcia, czy był to dar, czy może klątwa.

Tej nocy, po tym jak Sally ułożyła Xandera do snu, opowiedzieliśmy jej wszystko o tym, co się wydarzyło do czasu tragicznego losu Wyspy. Podzieliliśmy się z nią również wiedzą na temat planów Rady. Słuchała nas uważnie, czasami zamykając oczy. Za każdym razem, gdy zastanawiałam się, czy już zasnęła, rozchyłała nagle powieki niczym sowa i zadawała kolejne pytanie – precyzyjne i dokładne. Ile czasu minęło, odkąd widzieliśmy spaloną kryjówkę? Ilu strażników naliczyliśmy w przytułku? Na ile patroli natknęliśmy się od opuszczenia Pustkowi?

Co Prowodyr powiedział o sojuszu między Panią Generał a Reformatorem?

Było już po północy, gdy udaliśmy się na spoczynek. Rozłożyliśmy koce niedaleko piecyka. Próbowałam nie myśleć o cienkich deskach, które broniły nas przed upadkiem w przepaść, na dnie której było morze. Z pokoju, w którym spali Sally i Xander, nie dochodziły żadne odgłosy, ale pomimo zamkniętych drzwi słyszałam chaos jego umysłu. Gdy wreszcie zapadłam w sen, śniłam o Kimie unoszącym się w zbiorniku. Zbudziłam się z żalem równie ciężkim i gęstym jak płyn, który wypełniał jego uszy i usta. Siedziałam w absolutnej ciszy, rozbita, niezdolna nic powiedzieć ani nawet krzyknąć. W końcu uspokoiłam oddech, a wówczas wstałam i podeszłam do niewielkiego okienka przy oknie.

– Nie musimy wystawiać warty – szepnął Kobziarz. – Przyptyw będzie trwał aż do świtu, a gdyby ktoś przybył tu łodzią, zaskoczą go pułapki.

– Nie chodzi o to – odparłam. – Po prostu nie mogę spać.

Widziałam w mroku jego sylwetkę. Patrzyłam, jak się podnosi, przestępuje nad Zoe, która odwraca się na bok z niecierpliwym pomrukiem, i przechodzi przez izbę. Stał ze mną przy oknie.

– Musisz odpocząć – powiedział.

– Przestań się nade mną rozczulać. Nie jestem starszą panią.

Kobziarz zachichotał.

– Sally jest starszą panią, a nie miałbym odwagi rozczulać się nad nią.

– Wiesz, o co mi chodzi. Zawsze się nade mną pochylasz, zawsze się martwisz.

– Troszczę się o ciebie. Tak jak to kiedyś robił Kima, prawda?

Nie odpowiedziałam.

– To w sumie nic złego – podjął Kobziarz – gdy ktoś nie spuszcza cię z oczu.

Za każdym razem, gdy myślałam o kimś, kto nie spuszcza ze mnie oczu, przychodziła mi do głowy Spowiedniczka i jej bezlitosne, badawcze spojrzenie.

– Nie chcę, by ktoś na mnie patrzył – odpowiedziałam. – Chcę być sama, to wszystko.

– Widzę, jak się sama karzesz – rzekł cicho Kobziarz. – Nie musisz w żaden sposób zadośćuczynić za to, co się wydarzyło. To nie do ciebie należy.

Przysunęłam się nieco. Nie chciałam, by Zoe nas usłyszała, ale mój szept przypominał syk tłuszczu na patelni.

– A za co niby nie muszę zadośćuczynić? Za ludzi, którzy zginęli na Wyspie? Za tych uwięzionych w Nowym Hobarcie? Za Kimę, który zginął, próbując mnie ocalić? A może za wszystkich, którzy cierpieli z ręki Zacha? A może chcesz mi zaoferować jakieś magiczne odkupienie dla nich wszystkich?

Tym razem to on się zdenerwował.

– Przypisujesz sobie zbyt wiele dokonań – rzekł. – Przecież w tym wszystkim nie chodzi wcale o ciebie ani nawet o Zacha. Przecież to nie on stoi na

czele Rady, ale Pani General. Ponadto trwa wojna. Ludzie, którzy zginęli na Wyspie, wiedzieli, że przynależność do ruchu oporu pociąga za sobą ryzyko, a Kima? Cóż, nawet Kima podjął własną decyzję. Uważasz się za osobę bezinteresowną i bierzesz wszystko na siebie, ale tak naprawdę zachowujesz się jak ostatnia arogantka. W jaki sposób ktokolwiek ma zyskać na tym, że użalasz się nad sobą i nie masz dla siebie litości?

Pochylił się ku mnie, ale ja unikałam jego spojrzenia.

– To nadal twoje życie – powiedział. – A nie następstwa twego życia.

Z całego serca pragnęłam, by nie miał racji. Czułabym się o wiele lepiej, gdybym mogła na niego naskoczyć, ale w moim umyśle utkwilo jedno z wypowiedzianych przez niego słów, równie niezaprzeczalne jak ból zęba. Następstwa. Tak, ja nie żyłam. Ja brnęłam z trudem przed siebie, zataczając się i chwiejąc. Z trudem wydostałam się z silosu i nadal się potykałam.

Patrzyłam przez okno. Śledziłam wzrokiem gwiazdy, które przemykały przez niebo, ciągnąc za sobą smugi światła.

– Nie wiem, kiedy pogodzę się z tym, co nastąpiło – szepnęłam w końcu.

Usłyszałam, jak wzdycha.

– A jak myślisz, ile czasu mamy?

O świcie, gdy zasiedliśmy do śniadania, Kobziarz usiłował wyciągnąć od Sally jakieś informacje o ostatnich posunięciach ruchu oporu.

– Jest źle, ale o tym już wiesz – odparła. – Ludzie ze statków, którym udało się szczęśliwie dotrzeć na miejsce, są porzuceni na sporym obszarze. Ponadto doszło do kilku udanych interwencji sił Rady. Wiesz, jak to działa. Każdy udany nalot kończy się pojmaniem nowych ludzi, a ich zeznania prowadzą do kolejnych interwencji.

Jej osobowość zupełnie nie pasowała do jej ciała. Słowa były ostre i dosadne, ale wymawiała je z trudem i nieco zniekształcała. Teraz oparła się o stół i wstała, rozprostowując nogi z cichym westchnieniem.

– Zawsze zachowywaliśmy wielką ostrożność – odpowiedział Kobziarz i potarł twarz. – Dbaliśmy o to, by każda komórka działała osobno. Ograniczaliśmy kontakty. Rada nie powinna być w stanie dokonać aż tak wielkich spustoszeń.

– Utrzymywaliście wzorowy porządek. – Sally pokiwała głową. – Chyba nawet lepszy niż za moich czasów. Niemniej jednak nie ma systemów idealnych. Na razie wszyscy otrzymali informacje, by trzymać się z dala od starych kryjówek i zapomnieć o dawnych ustaleniach.

– Kto wydał ten rozkaz? – spytała Zoe. – Kto stoi na czele Zgromadzenia?

– Zgromadzenia? Od czasu tragedii na Wyspie nie mamy już formalnego dowództwa. Ruch oporu jest rozproszony, a wielu spośród ocalałych opuściło

nasze szeregi. Po tym, co się wydarzyło, są zbyt przerażeni, by nadal nas wspierać. Ci, którzy pozostali, podlegają Simonowi.

Jeśli Kobziarz kiedykolwiek się uśmiechnął od czasu tragedii na Wyspie, był to przelotny, stłumiony grymas, ale teraz uśmiechał się szeroko.

Pamiętałam Simona. Ze wszystkich członków Zgromadzenia wydawał się najbliższym Kobziarza. Czasami, gdy ten przywoływał mnie do siebie, zastawałam ich razem, pochylonych nad mapami i zwojami, pogrążonych w rozmowie. Podobnie jak Kobziarz wydawał się bardziej żołnierzem niż dworzaniem, a jego trzy ramiona były muskularne i poblížnione. Podczas gdy inni członkowie Zgromadzenia przywdziewali dostojne szaty, Simon zawsze ubierał się w wyświechtaną tunikę ze skórzanymi łatami. To on dowodził obroną północnego tunelu i wytrwał na posterunku długo po tym, jak znikły resztki nadziei na odparcie inwazji. Choć wraz z resztą Zgromadzenia był przeciwny naszej ucieczce, dzięki jego walecznej obronie zyskaliśmy z Kimą niezbędną na nią czas.

– Gdy widziałem go po raz ostatni, walnął mnie w głowę – rzekł Kobziarz. – Było to na Wyspie, chwilę po tym, jak powiedziałem Zgromadzeniu, że pozwoliłem wam uciec.

– A mimo to cieszysz się, że nadal dowodzi? – spytałam, ale znów ujrzałam szeroki uśmiech.

– Znam takich, którzy zareagowaliby o wiele ostrzej. Niektórzy twierdzili, że trzeba mnie zostawić na Wyspie, na łasce żołnierzy Rady. Simon się temu sprzeciwił, zapewne dlatego, że potrzebował jak najwięcej dobrych wojowników i żeglarzy, by móc kontynuować ewakuację Wyspy. Przemówił w mojej obronie, gdy reszta się ode mnie odwróciła, ale potem doszło do szamotaniny o ostatnie łodzie i później już go nie widziałem. Nie znalazł się na łodzi, którą dotarłem na ląd. Ba, nie miałem nawet pewności, że w ogóle mu się to udało.

– Gdzie jest teraz? – spytała Zoe.

– Simon nie jest na tyle głupi, by zatrzymać się w jednym miejscu na długo – odpowiedziała starszka. – Tym bardziej że nasze bezpieczne domy już wcale nie są bezpieczne.

– Ale jesteś pewna, że żyje? Wiesz, gdzie go szukać?

– Tydzień temu odwiedziła mnie Elena, która kierowała się dalej na wschód. Niedawno go widziała.

– Gdzie?

Sally zignorowała pytanie Kobziarza.

– Jesteś pewien, że Simon będzie chciał się z tobą zobaczyć? Nie jesteś szczególnie popularnym człowiekiem, a na pewno nie po tym, co się wydarzyło na Wyspie.

– Nie spodziewam się powitania z szeroko otwartymi ramionami. Wciąż mogę pomóc.

– A jeśli zostaniesz powitany ostrzami? – spytała Sally. – Słyszałam, do czego tam doszło. Skoro świadomie odwróciłeś się od Zgromadzenia, liczą się z tym, że ruch oporu może się odwrócić od ciebie.

– Istnieje taka możliwość – powiedział ze spokojem Kobziarz. – Ale nie będę rozmawiał z nimi sam. Udasz się tam wraz ze mną.

– Ja już się wycofałam. – Sally pokręciła głową. – Sam dobrze wiesz. Zajmowanie się Xanderem to w tej chwili szczyt moich możliwości.

– My wszyscy nadal należymy do ruchu oporu! – rzekł Kobziarz. – A nasza organizacja, jak sama powiedziałaś, słabnie. Tracimy kryjówki, jedną po drugiej. Myślisz, że nigdy cię tu nie znajdą? Twoje pułapki nie zapewnią ci bezpieczeństwa po wsze czasy. Chodź z nami, a ja cię ochronię. Xandera również.

Sally taksowała go przez moment wzrokiem, a potem parsknęła cichym śmiechem.

– Dobrze cię wyszkoliłam – oznajmiła.

– O czym mówisz?

– Zawsze masz jakiś plan. Możesz sobie wygadywać co dusza zapragnie o tym, jak bardzo chcesz mi pomóc i ochronić mnie i Xandera, ale tak naprawdę po prostu mnie potrzebujesz. Bez mego wstawiennictwa ruch oporu może cię przegonić.

Kobziarz nie zaprzeczył.

– Wiesz, jaką cieszysz się reputacją. Jesteś bohaterką infiltratorów. Możesz pomóc w odbudowaniu ruchu oporu!

– Byłam tym, kim byłam, a teraz jestem tylko staruszką – odparła. – Prosisz mnie, bym opuściła mój dom, a przecież oboje wiemy, że tylko głupiec może utrzymywać, że zapewni mi bezpieczeństwo. Nie ma już czegoś takiego. W tych czasach nie ma już bezpiecznych miejsc.

Spojrzała na mnie.

– Te rzeczy, o których mówili Kobziarz i Zoe – powiedziała. – Te zbiorniki i przytułki... Widziałaś je?

Pokiwałam głową.

– W wizjach? Takich jak u Xandera?

Chciałam zaprotestować i wyjaśnić, że moje wizje polegają na czymś innym, ale było to kłamstwo. Jedyna różnica między naszymi wizjami polegała na tym, że ja potrafiłam w ich trakcie utrzymywać głowę nad powierzchnią, podczas gdy Xander już utonął.

– Tak – odparłam. – Choć widziałam je również na własne oczy, pod Wyndham. W wizjach natomiast ujrzałam całą resztę. Setki zbiorników. Tysiące.

Sally powoli pokiwała głową.

– Lucia zawsze mówiła, że jej wizje nie były oczywiste.

– Bywała tutaj? Lucia?

– Kobziarz i Zoe przyprowadzili ją tu raz kilka lat temu, ale traciła już wówczas zmysły.

– Przez wiele lat wiernie wspierała ruch oporu. – Kobziarz walnął pięścią w stół. – Zajmujesz się Xanderem wystarczająco długo, by wiedzieć, jak wiele trzeba za to zapłacić.

– Przestań – wtrąciła Zoe. – Nie mamy teraz czasu na takie wywody.

– Lucia miała rację – zwróciłam się do Sally. – Wizje nie są wyraźne i przejrzyste. Widzę różne rzeczy, ale nie mam do końca pewności, czym one są. Ani też kiedy się wydarzyły.

– Ale co do zbiorników masz pewność?

– Tak. Widziałam je.

Sally przeniosła spojrzenie na Xandera, który dalej siedział na swoim miejscu. Na jego talerzu spoczywał nietknięty kawałek chleba, a dłonie dalej układały tajemną choreografię.

– Wasza towarzyszka wydaje się w miarę poczytalna – powiedziała Sally do Zoe i Kobziarza.

– Siedzę tutaj – odezwałam się. – Nie mówcie o mnie w trzeciej osobie. Nie jestem dzieckiem.

– Wybacz, ale to ważna sprawa. Manierami będziemy się przejmować przy innych okazjach – warknęła Sally. – Prosisz ludzi o to, by położyli na szali wszystko, co mają, tylko i wyłącznie dlatego, że masz jakieś wizje?

– A czy ty zdajesz sobie sprawę z tego – starałam się nie podnosić głosu – co się stanie z nami wszystkimi, jeśli mi nie uwierzysz?

– Uczestniczę w tej wojnie od ponad osiemdziesięciu lat. – Sally mówiła do Kobziarza, ale nie spuszczała wzroku ze mnie. – Myślisz, że jedna dziewczyna jest w stanie przechylić szalę?

– Nie – odparł bez ogródek Kobziarz. Zapewnie udzieliłabym tej samej odpowiedzi, ale to jedno słowo z jego ust, wypowiedziane rzeczowo i bez emocji, wstrząsnęło mną do głębi. – Na pewno nie sama – ciągnął. – Będzie potrzebować naszej pomocy. Mojej i Zoe. Ale to nie wystarczy. Będziemy również potrzebować ciebie, byśmy wspólnie mogli zreorganizować ruch oporu i odnaleźć okręty. Może wysłać nowe. Nie wiem, czy Cass jest w stanie odnaleźć Zamorze, czy zniszczyć Radę, ale uważam, że lepsza szansa się nie nadarzy. A co do tego, że sama temu nie podoła, nie mam najmniejszych wątpliwości.

Sally nadal wpatrywała się we mnie. Powinnam była już dawno przyzwyczaić się do takich spojrzeń, bo sama wychowałam się w domu, w którym panowała atmosfera gęsta od podejrzeń. Zach nie spuszczał oczu ze mnie, a nasi rodzice z nas obojga. Nawet teraz Kobziarz obserwował każdy mój ruch. Niemniej jednak spojrzenie Sally przenikało mnie na wskroś. Patrzyła na mnie, a ja wiedziałam, że widzi Xandera, patrzy na jego niespokojne dłonie, słyszy

poszatkowane zdania.

– A więc powinniśmy wyruszyć o świcie – powiedziała. – Simon zaszył się niedaleko wybrzeża, w zawałonym kamieniołomie niedaleko Hawthornden, gdzie na kotwicy stoi połowa floty. Popłyniemy łodzią, przynajmniej na początku. I myślę, że trzeba by wtajemniczyć ją w sprawę Arki.

Rozdział jedenasty

– O czym ty mówisz? – spytałam.

– Natknęłam się na tę sprawę czterdzieści lat temu, gdy działałam w Wyndham pod przykrywką – powiedziała Sally.

Wstała i podeszła do kominka, gdzie uklękła. Chciałam jej pomóc, ale powstrzymał mnie Kobziarz, który dotknął mego ramienia. Chciał, by staruszka zrobiła to sama. Patrzyłam, jak ta odsuwa kamień narożny i wydobywa spod niego wielką kopertę, zbrązowiałą i podniszczoną od upływu czasu. Sally podniosła się powoli i wróciła do stołu. Przez chwilę szperała wśród wielu wydobytych ze środka papierów, aż odnalazła ten właściwy i ułożyła go na stole między mną a Zoe.

– Kiedyś udało mi się wślizgnąć na godzinę do biura Komandora, gdzie natrafiłam na to – powiedziała.

Zaledwie kilka dni temu Kobziarz wspomniał Komandora, gdy mówił o Pani Generał. Powiedział wówczas, iż był on jej mentorem, choć wedle plotek to właśnie Pani Generał go zabiła.

– Udało mi się wówczas skraść klucz do jego skrzyni z dokumentami.

Wygładziła sztywny papier, który zaszeleścił pod jej dłońmi.

– To kopia – opowiadała. – Oryginał był niezwykle starym dokumentem, nigdy nie widziałam czegoś tak archaicznego. Sporządzono go też na bardzo dziwnym papierze, niezwykle cienkim i tak zniszczonym, że tu i ówdzie toczyła go pleśń. Niektórych fragmentów brakowało, innych nie dało się odczytać. Nawet same litery, drobne i precyzyjne, różniły się od tych, które znam. Kradzież wiązałaby się z wielkim ryzykiem – nie chodziło nawet o to, że Komandor szybko by zauważył stratę, ale po prostu bałam się, że dokument rozpadłby mi się w kieszeni. Przepisałam więc tyle, ile zdążyłam przed powrotem pokojówki Komandora.

Pochyliłam się nad kartką. Pospieszne pismo Sally było niedbałe, miejscami zamazane kleksami, ale nie to było przyczyną, dla której trudno je było odczytać. Prawdziwym powodem była duża liczba nieznanych mi słów:

5 cz. 6 Memorandum w sprawie rządu tymczasowego Arki: strategię wydajnościowe gatunku

Jak wspomniano w dodatku nr 2 („Raport w kwestii warunków panujących na powierzchni na zewnątrz Arki”), oddziaływanie detonacji na klimat przekroczy nawet najbardziej pesymistyczne symulacje przedwojenne, zarówno jeśli chodzi o skalę, jak i okres trwania nuklearnej zimy. Rozrzedzone światło przenika chmury pyłu przez 2 do 4 godzin dziennie, ale widoczność utrzymuje się na niezwykle niskim poziomie, a uprawa ziemi jest niemożliwa. Temperatura na powierzchni zanotowała spadek o...

Uniosłam wzrok.

– Tu jest mowa o Wybuchu! I o Długiej Zimie! – zawołałam. Nie wierzyłam we własne słowa, choć te odbiły się echem w kuchni i wróciły do mnie. – Ten dokument pochodzi z tych czasów?

Z Długiej Zimy pozostały jedynie opowieści i pieśni przekazywane przez bardów. Każda z nich różniła się nieco od pozostałych, ale wszystkie mówiły o chmurach tak gęstych, że przez długie lata ziemią rządziły jedynie pyły i mrok. Obumierały zboża, nie rodziły się dzieci, a nielicznym ocalałym z trudem udawało się przeżyć. Nie mogłam uwierzyć w to, że dokument skopiowany przez Sally pochodził z tych czasów.

– Co to za Arka? – spytałam. – Gdzie to zostało napisane?

– Czytaj dalej – powiedział Kobziarz.

Pochyliłam się nad dokumentem i wróciłam do lektury, przesuwając palec wzdłuż zdań.

...wcześniejsze ekspedycje zgłaszały głównie dotkliwe efekty promieniowania. Wśród nielicznych ocalałych odnalezionych przez Ekspedycję 3 stwierdzono drugorzędne objawy napromieniowania. Głównie wśród młodych ludzi zauważono między innymi silne owrzodzenie i martwicę skóry...

...a co ważne, również liczne przypadki raka (z niekiedy zauważalnymi guzami. Zważywszy na nieprzyjazne warunki panujące na powierzchni oraz nadal wysoki poziom promieniowania, nie ulega wątpliwości, że Arka pozostaje jedynym skutecznym sposobem na ocalenie gatunku...

Poziom promieniowania na zewnątrz potwierdza słuszność dotychczasowej polityki Rządu Tymczasowego, który zaleca zamknięcie Arki oraz ograniczenie ilości ekspedycji i wszelkich innych kontaktów z powierzchnią do czasu, gdy pozostawione tam czujniki wskażą zauważalną poprawę czynników środowiskowych wymienionych w dodatku F...

– Ciągłe piszą tu o powierzchni – powiedziałam. – Czyli nie ma ich tutaj. Obserwują nas z jakiegoś innego miejsca.

Spojrzałam na Kobziarza, a ten pokiwał głową.

– Ci ludzie wiedzieli, na co się zanosi – odparł. – Wiedzieli o Wybuchu i zbudowali Arkę, by ocalić siebie i swoich bliskich.

Ten mały kawałek papieru wszystko zmieniał. Przez całe swoje życie sądziłam, że Przedtem to punkt w czasie. Teraz wiedziałam, że to również jest miejsce.

– Gdzie oni mogli się ukryć? – spytałam. – Przecież cały świat spłonął.

Nikt lepiej ode mnie nie znał rozmiarów siły Wybuchu. Widziałam go wielokrotnie. Cały świat stanął w płomieniach.

– Pod ziemią – rzekł Kobziarz. – W dokumencie jest przecież mowa o wyprawach na powierzchnię. Zastanów się. Dysponowali technologią, której nie jesteśmy sobie nawet w stanie wyobrazić. Mieli też czas na przygotowania.

Sally pokiwała głową i dodała:

– Wydaje nam się, że było to dla nich coś na kształt schronu – dodała. – Przynajmniej dla części z nich. Przymuszczalnie rządzących.

– Ale to wcale nie jest najważniejszy fragment – rzekł Kobziarz i przewrócił stronę. – Spójrz na to!

Nadal podejmowane są wysiłki w celu nawiązania kontaktu z narodami sprzymierzonymi. Zarówno odbiorniki radiowe, jak i satelitarne odniosły znaczące uszkodzenia w trakcie eksplozji. Odbudowa nadajników i odbiorników jest możliwa, ale w chwili obecnej, zważywszy na rozmiary zniszczeń i trudne warunki na powierzchni, nie znalazło się to na liście priorytetów. Komunikacja zależy również od tego, czy nasi sprzymierzeńcy dysponują funkcjonującym sprzętem. Co więcej, wysoki poziom obecności pyłu w atmosferze w przewidywalnej przyszłości prawdopodobnie zakłóci komunikację radiową i satelitarną (patrz dodatek F).

Wyznaczono zatem zespół, którego zadaniem jest zbadanie możliwości eksploracji drogą powietrzną lub morską. Zniszczenie hangaru powietrznego Arki i wciąż nieugaszony pożar zapasów paliwa stwarzają kolejną (...)

(...) kolejnym utrudnieniem do przeprowadzenia zwiadu powietrznego jest duża ilość pyłów ograniczających widoczność.

Dot. zwiadu morskiego: Ekspedycja Powierzchniowa 3 potwierdziła całkowite zniszczenie portu w (...)

(...) doniosła, że jeden ze statków w Hangarze 1 przypuszczalnie będzie można odzyskać. By jak najszybciej dotrzeć do ocalałych z kataklizmu (zwłaszcza tych, którzy są w stanie zapewnić nam pomoc), należy w pierwszej kolejności skierować się do państw, które przypuszczalnie nie padły ofiarą bezpośrednich ataków. Na razie należy zarzucić próby dotarcia do (...)

Tak czy inaczej, jesteśmy przekonani, że jeśli na terytoriach narodów sprzymierzonych pozostali jacyś ludzie, będziemy w stanie wznowić kontakt...

Nie rozumiałam połowy słów, ale gdzieś w gąszczu niejasnych wyrażeń odnalazłam sens, którego uchwyciłam się niczym tonący rzuconej mu liny.

– Zamorze – powiedziałam.

– Wiedzieli o istnieniu tego miejsca. – Sally pokiwała głową. – Co więcej, wiedzieli, gdzie się znajdowało. Używają pojęcia „państwa sprzymierzone”, co oznacza, że było tych miejsc więcej. Ludzie z Arki próbowali nawiązać z nimi kontakt po Wybuchu.

A użyć do tego chcieli technologii, której my nie byliśmy nawet w stanie sobie wyobrazić. W dokumencie pojawiały się wzmianki o rzeczach takich jak satelity czy samoloty. Czy to możliwe, by dysponowali pojazdami, które mogły wznieść się ku niebu? Cóż za fantastyczna wizja! Wówczas przypomniały mi się słowa Prowodyra – trudno nam sobie wyobrazić, na czym polegała potęga tych maszyn. A skoro ludzie sprzed Wybuchu byli w stanie doprowadzić do kataklizmu, nie umiałam wyobrazić sobie granic ich potęgi.

– To, że kiedyś istniało jakieś Zamorze, wcale nie znaczy, że przetrwało – oznajmiła Zoe. – Spójrzcie tu, oni sami o tym piszą.

Stuknęła palcem w papier.

– O, tu. „Jeśli pozostali jacyś ludzie”. Nie mieli pojęcia, jak bardzo ucierpiało Zamorze.

Miała rację. Wyrażenie „bezpośrednie ataki” kojarzyło się z gwałtowną, masową śmiercią, choć minęło czterysta lat od czasów, gdy je napisano. Ponadto nie mieliśmy pojęcia, czy mieszkańcy Arki zdołali dotrzeć do mieszkańców Zamorza ani też, co tam zastali. Gdyby naszym statkom udało się dotrzeć do nowych wybrzeży, czy ujrzeliby krajobraz odmienny od poszarpanych Pustkowi?

– Jak do tej pory jest to nasz jedyny dowód na istnienie Zamorza – oznajmił Kobziarz. – Może teraz rozumiesz, dlaczego zawsze tak naciskałem na wysyłanie statków.

Na samą myśl o „Rosalind” i „Evelyn” poczułam, jak moje serce uskrzydla nadzieja. Nagle uświadomiłam sobie, że nie wyruszyły po to, by bez celu brnąć ku granicom map. Ich poszukiwanie miało swój cel.

– Jest tylko ta kartka? – spytałam, odwracając się do Sally. – Nic więcej?

– Ledwie udało mi się to przepisać, a zaraz musiałam uciekać – odparła starszuszka. – Ale tak, to był cały dokument. Znaczący przynajmniej tyle dawało się odczytać. Przejrzałam pozostałe dokumenty w jego skrzyni, ale nie natrafiłam na żaden, który przypominałby ten. W żadnym też nie wspomiano już Arki. Nigdy też nie słyszałam, by Komandor o tym mówił, ale nie miałam wstępu na spotkania na najwyższym szczeblu. Następnego dnia po południu, gdy byłam zajęta stenotypowaniem dla Komandora podczas sesji Rady, Eloise i Lachy mieli

przeszukać dokumenty w jego biurku, ale nie udało mi się spotkać z nimi i dowiedzieć, czy na coś natrafili. Zostali przecież zdemaskowani.

– Myślisz, że zauważono ich, jak przeszukiwali jego pokoje? – spytałam.

Sally wbiła wzrok w podłogę, a potem spojrzała na mnie.

– Minęło już tyle czasu, a nadal nie ma tygodnia, bym choć raz nie wróciła myślą do tamtych dni. W każdej chwili groziło nam wówczas niebezpieczeństwo i nigdy się już nie dowiem, co sprawiło, że zostali zdemaskowani.

– Podzieliłaś się z ruchem oporu wiedzą o tym dokumencie?

– Nie jestem głupia – odparła starszuszka. – Przesłałam pilny raport jeszcze tego samego dnia. Na czele Zgromadzenia stała wówczas kobieta o imieniu Rebecca. Tuż po mojej ucieczce przybyła z Wyspy na stały ląd, by się ze mną zobaczyć. Obie zdawałyśmy sobie sprawę z wagi znaleziska.

Nie mogłam oderwać wzroku od dokumentu. Na owej niewielkiej kartce papieru, rozłożonej na stole Sally, kryły się zupełnie inne czasy oraz inne światy. Arka, schronienie Sprzed Wybuchu, ukryta gdzieś Po Wybuchu, a także nowe krainy, leżące za Pustkowiami na wschodzie i bezlitosnym morzem na zachodzie. Nie mieliśmy jednak pojęcia, czy Zamorze przetrwało Wybuch, czy samo zamieniło się w pył i kurz.

– Co zrobiła Rebecca? – spytałam.

– A co mogła zrobić? – Sally wzruszyła ramionami. – Jak sama powiedziałaś, to tylko jedna kartka. Trochę za mało, by ułożyć jakikolwiek plan. Ja zbiegłam z Wyndham, a Lachy i Eloise nie żyli. Cóż nam po tym, że wiemy o istnieniu Arki, skoro nie potrafimy jej znaleźć? Każdy kolejny przywódca Zgromadzenia był wtajemniczany w sekret, a niektórzy nawet, podobnie jak Kobziarz, wysyłali okręty, by odnaleźć Zamorze, ale nikomu się nie poszczęściło.

– Jeden z naszych kontaktów w Nowym Hobarcie podsunął nam trop kilka lat temu – powiedziała Zoe. – Wysłał nam pilny meldunek o jakichś ujawnionych dokumentach, które mogły mieć związek z Arką. Rada jednakże wykryła plotkę mniej więcej w tym samym czasie, wykonała szybki manewr i zgarnęła całą komórkę. Od tej pory nie wiemy nic.

Przypomniała mi się Elsa, która przyjęła mnie i Kimę pod swój dach w Nowym Hobarcie. Nigdy nie powiedziała ani słowa o swym martwym mężu, z wyjątkiem sytuacji, gdy spytałam ją o Wyspę. Rzekła wówczas, że jej mąż również zadawał wiele pytań. Pamiętałam także atmosferę strachu, która pojawiła się w jej domu, gdy poruszyłam kwestię ruchu oporu. Pamiętałam spanikowaną Ninę, asystentkę Elsy, która wybiegła z pokoju, oraz samą Elsę, która nie chciała o tym rozmawiać.

Przypuszczalnie nigdy nie udałoby mi się spytać jej wprost, czy jej mąż był członkiem ruchu oporu. Rada przejęła Nowy Hobart. Ja i Kima zdołaliśmy uciec, ale miasto zostało zamienione w więzienie.

– Tylko nie zacznij się łudzić – rzekł Kobziarz. – Rada również poszukuje Arki i Zamorza, chyba że już je odnalazła. Co więcej, mają o wiele większe możliwości i przypuszczalnie więcej informacji.

Spojrzałam na dokument.

– A może ludzie w Arce nadal żyją? – odezwałam się. – Co o tym sądzicie?

Sally pokręciła głową.

– Minęło czterysta lat, a nikt nawet o nich nie słyszał, nie mówiąc już o tym, by ktoś ich widział. Na pewno już nie żyją.

– Labirynt kości – wymamrotał Xander, który siedział przy oknie. – Wieczny ogień.

Kobziarz oderwał wzrok od chłopaka i bacznie mi się przyjrzał.

– Czujesz coś? – spytał i pochylił się ku mnie. Czubki jego palców dotykały moich kolan. – Czy ten papier może ci wskazać miejsce, w którym znajduje się Zamorze? Albo Arka?

– Próbowaliśmy już z Lucią i Xanderem – oznajmiła Zoe. – Nie udało się.

– Ale ona jest inna – rzekł Kobziarz.

Zoe drgnęła podirytowana. Ciekawe, czy myślała o tym samym co ja: „Tylko na razie”.

Pewnego razu na Wyspie Kobziarz poprosił mnie, bym spojrzała na mapę i przekonała się, czy jestem w stanie znaleźć Zamorze. Nie udało mi się. Tym razem jednakże wynik mógłby być inny. Do tej pory mieliśmy jedynie nadzieję, że Zamorze istnieje. Teraz na tej pomiętej kartce znajdował się dowód na to, że to miejsce istnieje albo przynajmniej istniało. Podniosłam kartkę i zamknęłam oczy.

Próbowałam myśleć o lataniu. Nie miałam pojęcia, jak wyglądały latające pojazdy sprzed Wybuchu ani też jak działały, ale skupiłam się, by wyobrazić sobie, jak wzbijam się ponad ziemię i mknę nad morzami. Próbowałam sobie wyobrazić Wyspę taką, jaką ją zapamiętałam – jako plamkę pośród pustego bezmiaru morza – a potem pomknęłam ku północy, gdyż przypuszczałam, że tam właśnie ciągną się połacie lodu, o których opowiadał mi Kobziarz. Na zachodzie i na południu widziałam jedynie bezkresne morza. Wyteżyłam wyobraźnię, zmusiłam się, by dostrzec zarys kolejnego wybrzeża, które wyłania się gdzieś w dole.

Wtedy odkryłam, że nie lecę, ale tonę. Fale uniosły się wokół mnie i zamknęły się nad moją twarzą. Otworzyłam usta, by zacząć krzyczeć – spodziewałam się, że zaleje mnie słona woda, ale czułam jedynie słodczy, tak sztuczną, że wydała mi się ohydna. Doskonale znałam ten smak.

Nie mogłam nawet drgnąć. Wyteżyłam wzrok i dojrzałam jakąś twarz tuż przy swojej. Trudno było rozpoznać rysy w gęstym płynie, ale zauważyłam unoszące się włosy, zakrywające połowę twarzy. Potem ów płyn przeszył jakiś prąd i włosy umknęły w bok. Patrzyłam na Elbę.

Krzyknęłam. W tej samej chwili Kobziarz położył mi dłoń na ramieniu

i wróciłam do izby. Ręce mi drżały, a trzymany w nich papier łopotał niczym skrzydełka ćmy.

– Co widziałaś? – spytała Zoe.

Wstałam z trudem, przygnieciona ciężarem odkrycia.

– Wszystkich wsadzą do zbiorników – powiedziałam. – Zamknięcie miasta było jedynie początkiem. Wszyscy ludzie z Nowego Hobartu trafią do zbiorników.

– Tu nie chodzi o Nowy Hobart – odezwał się Kobziarz. – Skup się na Zamorzu. I na Arce.

– Nie mogę – odparłam. – Czułam to! Widziałam Elbę pod wodą!

– Chyba wiedziałaś, że do tego dojdzie, prawda? – odezwał się łagodnie Kobziarz. – Przecież nie przejęli miasta bez powodu. Nigdy nie mieli zamiaru ich wypuścić.

Miał rację. Zach z pewnością nie zamierzał poprzestać na stopniowym zamykaniu w zbiornikach wszystkich ludzi, którzy przychodzili do przytułków. To miasto właściwie już było więzieniem, a niebawem stanie się miastem duchów, podobnie jak miasto pod wodą niedaleko Zatopionego Wybrzeża.

– Wiem, że się martwisz o swoich przyjaciół – ciągnął Kobziarz – ale nie jesteśmy w stanie wyzwolić Nowego Hobartu. Oznaczałoby to otwartą wojnę, a w tej nie mamy szans. Jedyńm sposobem, w jaki możemy pomóc Elbie i pozostałym, jest odnalezienie Arki i Zamorza. Musisz się więc skoncentrować. To o wiele ważniejsze niż Nowy Hobart.

– Nowy Hobart – powtórzył Xander.

Wszyscy się odwróciliśmy. Nie słyszałam, jak podchodzi i staje za moim plecami.

– Żołnierze szukają – powiedział.

– W Nowym Hobarcie? – spytałam.

– Nowy Hobart – rzekł raz jeszcze, choć nie wiedziałam, czy to potwierdzenie moich słów, czy echo jego własnych.

– Nie martw się – rzekł Kobziarz. – Oni szukali Cass. Nie znaleźli jej, gdyż uciekła.

Pamiętałam plakaty z twarzą moją oraz Kimy, które rozwieszono w całym mieście.

– Nie – rzekł Xander z niecierpliwością, jakbyśmy byli dziećmi lub głupkami. Patrzył prosto na mnie. – Nie ciebie szukają.

Poczułam gorący rumieniec na policzkach.

– Masz rację. Nie chodziło o mnie lub tylko o mnie. Spowiedniczka szukała przede wszystkim Kimy.

Nigdy wcześniej sobie tego nie uświadomiłam. Całkiem zapomniałam o prawdziwej tożsamości Kimy.

– Ale już po wszystkim. Nie są już w stanie go skrzywdzić.

– Nie jest po wszystkim – upierał się Xander. Urwał, nadal patrząc na mnie, i przechylił głowę na bok. Przez chwilę się nie odzywał. Chciałam go złapać, szarpnąć, wycisnąć z niego słowa jak ostatnie krople soku z cytryny, ale on odwrócił się ode mnie i wyjrzał za okno.

– Labirynt kości – szepnęła i potem nie powiedział już ani słowa.

Tego popołudnia, gdy Kobziarz siedział z Xanderem, a Sally się pakowała, Zoe wzięła mnie na dwór, by poćwiczyć walkę. Pozwalała mi teraz częściej trenować ze sztyletem, choć miałam wrażenie, że co kilka sekund przerywa, by powiedzieć mi, co robię nie tak. „Patrz na moje ostrze, a nie własne”. „Szybciej”. „Uwaga na nadgarstek – wystarczy jeden taki blok, a go złamiesz”. „Zajmij pozycję wyżej!”. „Nie widzisz, że teren się podnosi? Nie chcesz chyba walczyć z kimś, kto ma przewagę wysokości”.

Nie byłam w stanie dorównać Zoe, której ostrze śmigało jak język żmii, ale przyzwyczaiałam się już do sztyletu podarowanego mi przez Kobziarza. Miałam wrażenie, że to już moja własna broń, a nie pożyczona. Przywykłam do jego wagi i znałam dobrze kąt między rękojeścią a ostrzem. Wiedziałam, jak mocno ścisnąć rękojeść przy bloku i do jakiego stopnia poluzować ścisk podczas ataku.

Naraz zauważyłam ruch przy oknie. Był to Xander, który stał z rozchyłonymi ustami i mętym wzrokiem. Patrzył w naszą stronę, ale wątpię, by nas widział. Zoe wykorzystała moment mojej nieuwagi i zaatakowała wściekle, zmuszając mnie do cofnięcia się kilka kroków w dół zbocza.

– Skup się – powiedziała. – Znów straciłaś przewagę wysokości.

Pokiwałam i zważyłam broń w dłoni, po czym znów zaczęłam okrążać Zoe.

Wtedy nastąpił Wybuch. Płomienie zasłoniły mi świat.

Trwał zaledwie chwilę, ale Zoe wykorzystała ten moment słabości. Jej ostrze delikatnie oparło się na mojej piersi.

– Jeśli dojdzie do tego podczas walki, zginiesz – oznajmiła i cofnęła się, opuszczając broń.

– To przez Wybuch – bąknęłam.

Nie miałam pojęcia, jak jej objaśnić, że gdy nachodziły mnie wizje, wszyscy byliśmy martwi, a świat zamieniał się w popiół.

– Myślę, że to przez bliskość Xandera – dodałam i zerknęłam w kierunku okna. – To on sprawia, że moje wizje pojawiają się częściej niż zwykle.

– No to skup się bardziej! – odparła Zoe.

Uniosłam ostrze i znów się okrążyłyśmy. Zaatakowała mnie, lecz zablokowałam jej cios. Cięłam ją w ramię, ale się cofnęła. Wtedy znów pojawiła się wizja – ujrzałam błysk bieli dotkliwy niczym atak bólu. Mój nóż upadł na ziemię.

Zoe opuściła broń.

– Trening z tobą w takim stanie mija się z celem – oznajmiła.

– Robię, co mogę – odparłam. – Nie wiesz, jak to jest, kiedy nachodzą mnie wizje.

Spojrzała w ślad za mną na okno.

– A ja próbuję ci pomóc – rzekła. – Chcesz skończyć tak jak on?

Podniosłam sztylet, a Zoe zrobiła to samo. Ćwiczyłyśmy prawie do zmierzchu, ale Zoe była cichsza niż zwykle, nie poprawiała mnie tak często i nie zmuszała do tak wielkiego wysiłku. Nie miało to sensu. Obie wiedziałyśmy, że z największym niebezpieczeństwem, które mi groziło, nie można było walczyć nożem.

Rozdział dwunasty

Żegluga przez zalane miasto po zmroku wiązała się ze zbyt wielkim ryzykiem, a więc wyruszyliśmy tuż przed świtem. Zabraliśmy ze sobą tyle żywności, ile byliśmy w stanie unieść. Sally nawet nie spojrzała za siebie, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Całą swą uwagę skupiła na uspokajaniu Xandera, który zaczął pojękiwać i szlochać zaraz po tym, jak wyprowadziliśmy go z domu. Zgodził się ruszyć za nami dopiero, gdy Sally ujęła go za rękę i pociągnęła za sobą.

Minęło sporo czasu, nim dotarliśmy do łodzi. Wąska, wijąca się wzdłuż ściany klifu ścieżynka, która prowadziła do celu, nie była używana od lat i tu i ówdzie była w fatalnym stanie. W końcu Kobziarz musiał wziąć Sally na rękę, choć ta zrzędziła i utrzymywała, że dałaby sobie sama radę, gdyby jej nie poganiano. Zoe i ja pomagałyśmy Xanderowi, który nie chciał patrzeć w dół, za krawędź ścieżki. Zaciskał powieki i brnął naprzód na sztywnych nogach. Trącane przez nas kamyki spadały z hurkotem, ale morze było tak daleko pod nami, że nawet nie słyszałam plusku, z jakim wpadały do wody. Dopiero o wschodzie słońca dotarliśmy do łodzi, schowanej w jaskini powyżej poziomu przypiływu. Nikt nie pływał w niej od lat. Gdy podnieśliśmy ją, by znieść na wodę, spod żagla umknęła rodzina myszy. Kobziarz sprawdził szczelność kadłuba i rozprostował zeszywniałe liny.

Łódź była większa od tych, z których korzystaliśmy wraz z Kimą, i dysponowała dwoma żaglami zamiast jednego. Sally i Xander usiedli na rufie. Chłopak uspokoił się już i spoglądał na ciche morze za burtą. Kobziarz i Zoe naradzili na wiosła i przeprowadzili łódź przez skały otaczające półwysep, po czym dziewczyna ujęła za ster, a jej brat sprawnie wciągnął żagle, wykrzykując do mnie rozkazy. Musieliśmy płynąć ostrożnie, by nie zderzyć się z którymś z zatopionych budynków, jak okiem sięgnąć wystających ponad powierzchnię czarnej wody. Woda stała wysoko i widać było jedynie najwyższe budynki. Przepłynęliśmy tak blisko jednej z wież, że ujrzałam nasze odbicie w oknach strzaskanej szyby, wciąż trzymających się zardzewiałej ramy. Na swej twarzy, bladej w blasku poranka, dostrzegłam strach.

Dopiero gdy wyslizgnęliśmy się z duszących objęć Zatopionego Wybrzeża, a łódź ruszyła z większą prędkością, zwróciłam uwagę na Zoe. Stała w milczeniu na rufie i zaciskała dłonie na rumplu z taką siłą, że widziałam, jak bieleją kłykcie jej ciemnych dłoni.

– Wszystko w porządku? – spytałam.

Nie miałam odwagi nawet pytać o jej sny o morzu. Wspomnienie furii, jaką w niej wówczas obudziłam, tkwiło niczym drzazga w moim sercu, zbyt bolesna, by jej dotknąć.

– Nie lubię być na morzu – powiedziała i odwróciła się ode mnie. Wbiła

wzrok w spienioną wodę za rufą.

Za dnia trzymaliśmy się z daleka od brzegu, by nikt nas nie spostrzegł, i zbliżyliśmy się do linii brzegowej dopiero po zachodzie słońca. Mieliśmy korzystny wiatr i sunęliśmy naprzód z wielką prędkością. Zoe milczała, ale za to co chwila odzywał się Xander, który wyrzucał z siebie serię chaotycznych słów. W pewnym momencie, późnym popołudniem, zaczął wrzeszczeć o ogniu, a gdy ucichł, wymamrotał coś o labiryncie kości. Jego słowa podsyciły płomienie w mej własnej głowie i chwilę później leżałam już na dnie łodzi z dłońmi przyciśniętymi do skroni. W moim umyśle huczały ściany ognia, a kołysanie łodzi tylko pogłębiało chaos. Kobziarz położył dłoń na moich plecach i trzymał ją tam do końca wizji, a ja próbowałam skupić wszystkie swoje myśli na tej jednej plamce ciepła, jedynej stałej rzeczy w rozchwytanym świecie.

Sally przez cały czas rozglądała się w poszukiwaniu okrętów patrolowych. Na samą myśl o czarnej flocie Rady przeszywał mnie dreszcz – nie mogłam zapomnieć widoku flotylii zbliżającej się do Wyspy. Gdy księżyc znalazł się w zenicie, Kobziarz opuścił żagle. Ujęliśmy we dwoje wiosła i skierowaliśmy się w stronę kamienistej plaży. Okrągłe kamienie zazgrzytały pod naszymi nogami, gdy ciągnęliśmy łódź ku wysokim trawom, gdzie mogliśmy ją ukryć.

Objęłam wartę jako pierwsza, ale nie mogłam zasnąć nawet po tym, jak Kobziarz mnie zmienił. Nie dość, że padała mżawka, przed którą nie było sposobu się ukryć, to jeszcze leżałam między Zoe oraz Xanderem. Przez całą noc jego sny o ogniu oraz sny Zoe o morzu szalały po moim umyśle. Wstaliśmy o świcie i ruszyliśmy w głąb lądu, a ja od razu wysforowałam się na czoło, chcąc znaleźć się jak najdalej od nich obojga.

Musieliśmy dostosować tempo marszu do Sally i gdy staruszka opadła z sił, Kobziarz i Zoe nieśli ją na zmianę. Patrzyłam, jak staruszka przywiera do pleców Kobziarza, a on cierpliwie poprawia jej pozycję – Sally co rusz zsuwała się bowiem na lewo, gdzie jego jedyne ramię nie mogłoby już jej pochwycić. Patrzyłam, jak jego twarda, poznaczona bliznami dłoń trzyma jej nogę, i nie mogłam się nadziwić jego delikatności.

Przed zmierzchem znaleźliśmy się na skalistej równinie. Sally nie mogła iść przez noc, a więc rozbiliśmy obóz w sosnowym zagajniku nad płytkim strumieniem. Podeszłam do wody, żeby się umyć, a gdy wróciłam do obozu z mokrymi włosami, ujrzałam Kobziarza, który klęczał przy ogniu z wzniesionym nożem. Zamarłam i rozejrzałam się dookoła w poszukiwaniu napastników kryjących się wśród drzew, ale nikogo nie zauważyłam. Widziałam jedynie Kobziarza, który wpatrywał się w coś niewidocznego. Potem nagle cisnął nożem i rozległ się tryumfalny okrzyk Zoe. Oboje się roześmiali. Wyszłam na niewielką polanę. Ich noże tkwiły w korze jednego z drzew, w samym środku narysowanej tarczy. Rozpromieniona Zoe wyciągała noże, a Sally i Xander siedzieli przy ogniu,

przyglądając się zabawie.

– A więc nie muszę pytać, kto wygrał – powiedziałam.

– To Kobziarz dzisiaj zastawia wnyki – oznajmiła Zoe i wytarła nóż o spodnie. – I pierwszy obejmuje wartość. Przegrał już dwa razy z rzędu. Rzuca tak kiepsko, że powinnaś się cieszyć, iż cię nie trafił.

Oddała bratu sztylet. Usiadłam obok Sally i Xandera, by wraz z nimi obejrzeć trzecią rundę zabawy. Zoe stanęła za linią wyrysowaną na ziemi, a Kobziarz cofnął się na skraj polany. Parsknął głośnym śmiechem, gdy jego siostra przesunęła niby przypadkiem stopę nad linią.

– Wcale nie oszukuję! – zaprzeczyła Zoe, ale po chwili zrobiła to ponownie.

Wówczas Kobziarz rzucił nożem i przygwoździł jej sznurowadło do ziemi, by tym razem nie zdążyła cofnąć stopy.

– No i co teraz? – powiedział do niej z uśmiechem.

Zoe pochyliła się, by wyciągnąć nóż, i zakłęta wściekle, gdy sznurowadło rozerwało się.

– Szkoda, że rzucanie do tarczy już ci tak dobrze nie wychodzi – zauważyła i oddała mu broń.

Kobziarz roześmiał się, a Zoe cofnęła się za linię. Przyłączyłam się do ogólnej wesołości, ale mimo to czułam się nieswojo, gdy przyglądałam się zawodom bliźniaków. Zoe śmiała się, ale przecież widziałam, jak podrzyna człowiekowi gardło i porzuca jego ciało. Kobziarz przewracał oczami, patrząc na wyczyny siostry, ale przecież słyszałam, z jaką łatwością mówi o zabijaniu ludzi, zupełnie jakby chodziło o oskubanie gołębia. Dla Kobziarza i Zoe nawet zabawa kojarzyła się z ostrzami.

Szliśmy przez cały następny dzień, aż około północy wspięliśmy się na wysokie wzniesienie i ujrzelśmy ciągnący się w dole kamieniołom. Była to wyrwa długości pół mili, przypominająca bliznę na paśmie wzgórz. Biała glina połyskiwała w blasku księżyca. Przy brzegach kamieniołomu był stosunkowo płytki, poznaczony dziurami i jeziorkami, ale jama na środku liczyła sobie z pewnością kilkadziesiąt metrów głębokości. Wzdłuż północnego skraju ciągnęły się ostre klify o czerwonych krawędziach. Od południa odgradzał go mur, który zawalił się w kilku miejscach i osunął w dół, grzebiąc drzewa i pozostawiając wielkie zwałowiska, zajmujące niemalże połowę przestrzeni. Jakąś milę na zachód zaczynała się szeroka, dobrze utrzymana droga, ale kamieniołom zapewne nie był używany od wielu lat, bo w miejscach oszczędzonych przez osunięcia ziemi nadal rosły gęsto drzewa.

Przemykając za drzewami i kryjąc się w rowach, podkradliśmy się najbliżej jak się dało wejścia do kamieniołomu, ale ostatnie kilkaset kroków musieliśmy

pokonać na otwartej przestrzeni. Po wschodniej stronie stało kilka budynków Omeg, za którymi ciągnęły się dawno skoszone pola uprawne, a po zachodniej – rosło jeszcze kilka rozrzuconych tu i ówdzie drzew. Nie było więc szans, by przedostać się bliżej niepostrzeżenie.

Wpatrywałam się w strome ściany kamieniołomu.

– Jeśli Rada zajęła to miejsce, wkroczymy prosto w pułapkę – powiedziałam.

– Nie sądzę, by Rada pozostawiła Omegi na warcie – rzekła cicho Zoe. – Spójrz.

Wskazała coś na zachodzie, ale Kobziarz dostrzegł to przede mną. Wysoko na dębie siedział człowiek, który przyglądał się drodze, ale raz na jakiś czas odwracał się ku lasom. Widziałam wówczas jego profil i wiedziałam, że to karzeł z łukiem przewieszonym przez plecy.

– To Crispin – rzekł Kobziarz. – I na pewno nie jest tu sam. Widzisz innych?

– Jeszcze nie – odparła Zoe. – Ale nie wiem, co robi tam to siano wiele miesięcy po zbiorach.

Wskazała stertę bel siana po wschodniej stronie.

– Jestem pewien, że tam też ktoś się kryje. Z tego miejsca widać cały wschodni perymetr.

– Nie po to włożyłem tyle trudu w szkolenie moich ludzi, by teraz spali na służbie – oznajmił Kobziarz. – Powinni byli już nas dostrzec.

– Ostrożnie – upomniała go Sally. – To już nie twoi ludzie, ale Simona.

– Nie sposób o tym zapomnieć – rzekł Kobziarz i ruszył w stronę wysokiego dębu, ostrożnie, lecz szybko. Podążyliśmy za nim od drzewa do drzewa. Dopiero gdy znalazł się w odległości kilkudziesięciu kroków, postanowił przerwać maskaradę i wyszedł z cienia.

– Crispin! – zawołał. – Daj znać Simonowi, że ma gości!

Wartownik odwrócił się błyskawicznie i nałożył strzałę na cięciwę. Perfekcyjnie zamaskował zaskoczenie.

– Ani kroku dalej! – zawołał.

Z miejsca, w którym się zatrzymaliśmy, widać było jego oblicze przecięte na pół cięciwą i mocno zmrużone oko.

Kobziarz pomachał do niego, a potem odwrócił się doń plecami i ruszył w stronę wejścia do kamieniołomu.

– Ani kroku dalej! – zawołał ponownie mężczyzna i odciągnął dalej drżącą cięciwę. – Już tu nie dowodzisz!

– Gdyby tak było – oznajmił Kobziarz – zostałbyś wychłostany za to, że nas nie zauważyłeś w porę!

Zoe dołączyła do brata. Oboje ruszyli w kierunku kamieniołomu tym samym długim krokiem.

– I przekaz swojemu koledze w stosie siana, by następnym razem wybrał

mniej łatwopalne miejsce! – zawołała dziewczyna. – Gdybym była żołnierzem Rady ze strzałą i zapalkami, już byłby usmażony!

Crispin zmienił pozycję. Zamarłam, przygotowana na brzęknięcie cięciwy i świst strzały, odgłos, który pojawiał się we wszystkich moich koszmarach od czasu masakry na Wyspie. Tymczasem karzeł opuścił łuk, otoczył dłońmi usta i trzykrotnie wydał odgłos naśladujący hukanie sowy. Z kamieniołomu dobiegła identyczna odpowiedź.

Ścieżka wiała się między jamami wypełnionymi gliną i wielkimi stertami ziemi. Mury, które zawałyły się i osunęły w dół z południowej krawędzi kamieniołomu, stawały się coraz wyższe i bardziej złowieszcze. Blask księżyca ledwie tu docierał i parokrotnie pośliznęłam się na mokrej glinie. Z kryjówek wśród pagórków i zwałowisk jeden po drugim wyłaniali się wartownicy, którzy ruszali biegiem ku nam. Rozpoznałam postać trójrekiego, uzbrojonego w topór Simona, który znalazł się na czele. Gdy zbliżył się na tyle, by ujrzeć moją twarz, odniosłam wrażenie, że nie przypomina człowieka, którego zapamiętałam. Na pierwszy rzut oka nic nie wskazywało na to, by odniósł ranę podczas bitwy na Wyspie, ale bez wątpienia wydarzyło się coś, co wywarło na niego wpływ. W blasku księżyca dostrzegłam, że jego twarz jest szara i opuchnięta. Nie kroczył z żołnierską energią, ale brnął przed siebie powoli, z determinacją, jakby zmagał się z przyptywem.

Wśród zbierających się wokół nas ludzi rozległy się szepty, a potem ujrzałam, jak podnoszą dłonie do czoła. Z początku myślałam, że salutują Kobziarzowi, jak to bywało na Wyspie, ale zauważyłam, że nie patrzą na niego. Ich uwaga skupiała się na Sally, która kuśtykała obok mnie. Xander wspierał się na jej ramieniu. Jeśli staruszka zauważyła honory, nie dała tego po sobie poznać.

Simon zbliżył się o kilka kroków. Pozostali – sześciu, siedmiu żołnierzy – otaczali nas ze wszystkich stron. Już nie salutowali. Widziałam, że wszyscy są uzbrojeni. Kobieta przy mnie miała w ręku krótki miecz z głęboką szczerbą, ewidentnie pozostałością po starciu z innym ostrzem.

– Jest was tylko pięcioro? – spytał Simon Kobziarza.

Ten pokiwał głową.

– Mamy ważne informacje, które ci się przydadzą.

– Przyszliście mi powiedzieć, co mam zrobić? – spytał Simon.

– To ja go tu sprowadziłam – westchnęła Sally. – Wysłuchaj go.

– Czy ona wie, co ty zrobiłeś? – Przywódca ruchu oporu zwrócił się do Kobziarza. – Wie o tym, co się stało na Wyspie?

Wpatrywał się teraz we mnie. Stałam się synonimem masakry. Jego spojrzenie nie pozostawiało wątpiwości. I ociekało krwią.

– Wie – odparł Kobziarz. Nadal wbijał wzrok w Simona i buńczucznie wysuwał podbródek.

– Mało brakuje, a urządzicie zawody w tym, który dalej nasika – warknęła niecierpliwie Sally. – Czeka nas walka, w której wszyscy będziecie potrzebni.

Simon przeniósł spojrzenie na Kobziarza. Dzielił ich od siebie niecały metr. Na Wyspie widywałam ich niejednokrotnie razem. Widziałam ich pogrążonych we wściekłej kłótni, ale nigdy dotąd nie wyczułam między nimi takiego napięcia. Przestrzeń między nimi wypełniała śmierć setek ludzi na Wyspie, a powietrze drżało od wciąż pamiętanych wrzasków i świstu strzał.

– To zdrajca – mruknął jeden z ludzi obok Simona.

– Myśli, że może sobie tu po prostu wejść? – dodała kobieta obok niego. – Po tym wszystkim, co zrobił?

Byliśmy otoczeni ze wszystkich stron. Zoe stała z rękami opartymi na biodrach. Sprawiała wrażenie rozluźnionej, ale wiedziałam, jak błyskawicznie potrafi porwać za noże u pasa i zacząć siać śmierć. Mimo to nie było wątpliwości, że tamci mają nad nami przewagę liczebną. Znów zerknęłam na Simona. Choć wydawał się wyczerpany, ramiona miał nabrzmiałe od mięśni. Stylisko jego topora owinięte było poczerniałą skórą. Dobrze pamiętałam smak krwi, który wypełnił krater na Wyspie, i wiedziałam, że w skórę wsiąkał nie tylko pot.

– Nie przyszedłem tu, by się przed tobą korzyć – Kobziarz patrzył prosto na Simona, ale mówił głośno, by jego słowa dotarły do wszystkich. – Nadal uważam, że podjąłem właściwą decyzję. Widzieliście, do czego zdolna jest Rada! Ci ludzie nigdy nie mieli najmniejszego zamiaru pozwolić Wyspie istnieć, bez względu na to, czy oddam Cass i Kime, czy nie.

– Zapłaciliśmy bardzo wysoką cenę jak za jedną wizjonerkę – rzekł Simon.

– Przegramy w chwili, gdy zaczniesz myśleć o ludziach przez pryzmat cen – powiedziałam. – Poza tym nie chodziło tylko o mnie, ale również o Kime.

– A cóż to za różnica? – spytał Simon.

– Zabił Spowiedniczkę – odparłam. – Zapłacił za to własnym życiem, ale mimo to się nie zawahał. Poza tym zniszczyliśmy maszynę, której Rada używała, by nas śledzić i decydować, kto ma żyć, kto umrzeć, a kto trafić do zbiornika.

Simon odwrócił się ku Sally.

– Słyszałem plotki o śmierci Spowiedniczki. Czy to prawda?

– Wierzę im. – Staruszka pokiwała głową. – Ona nie żyje. Ta jej maszyna również nie działa.

– Mimo to jednak zdradziłeś Zgromadzenie. – Simon znów skupił uwagę na Kobziarzu. – Nic tego nie zmienia, ani śmierć Spowiedniczki, ani to, że przywlokłeś tu Sally.

Staruszka strząsnęła z siebie ramię Xandera i podeszła bliżej Simona. Żołnierze opuścili nieco broń.

– Walczę w ruchu oporu od piętnastego roku życia i przez cały ten czas nikt nigdzie mnie nie przywlokł, Simon. Widziałam i robiłam rzeczy, których nie jesteś

sobie w stanie wyobrazić, i nieraz musiałam podejmować trudne decyzje. – Urwała, by nabrać tchu. – Kobziarz na Wyspie dokonał trudnego wyboru, ale okazał się on słuszny. Przybyłam tu, by poręczyć za niego, choć to, że szepnę dobre słowo za niego czy Zoe, nie ma żadnego znaczenia.

Zauważyłam, że o mnie nawet nie wspomniała.

– Liczy się to, że ich potrzebujesz – zakończyła Sally.

– Ona ma rację. – Kobziarz zwrócił się do Simona. – Mam dla ciebie ważne informacje. To sprawy, o których trzeba porozmawiać i które trzeba załatwić.

Kobieta stojąca obok mnie zacisnęła mocniej dłoń na rękojeści miecza.

– Nie będziesz mi mówił, co mam robić – rzekł. – Ale wysłucham cię.

Odwrócił się.

– Wejdźcie do środka – rzucił.

Otoczający nas wartownicy cofnęli się. Zazgrzytała broń, niechętnie, powoli chowana do pochew. Simon, nadal trzymając topór, prowadził nas w głąb kamieniołomu.

W najgłębszej jego części stało kilka namiotów, osłoniętych przed wzrokiem przypadkowego obserwatora niskimi drzewami i wielkimi głazami. Simon i jego ludzie najwyraźniej mieszkali tu od jakiegoś czasu, gdyż zdążyli już wydeptać ścieżki w miękkiej, lepkiej glinie.

Nim kłapa namiotu Simona opadła za nami, zdążyłam zauważyć, że jego żołnierze zajęli pozycje przy wejściu. W środku Kobziarz i Zoe musieli się nachylić przed niskim, zwisającym dachem. Simon, który nie rozstawał się z toporem, stanął przy lampie przy przeciwnej ścianie i czekał.

Gdy tylko opadła kłapa, rzucił się na Kobziarza. Zoe złapała za nóż szybciej, niż ja nabrałam tchu, ale śmiech Kobziarza rozbroił nas obie. Wojownicy obejmowali się i poklepywali po plecach z radością.

– Przepraszam za to przedstawienie! – zawołał przywódca ruchu oporu, wskazując kciukiem drzwi. – Ale sam widziałeś, co myśli i czuje większość z nich. Jeśli mam utrzymać autorytet, muszą widzieć, że nie rozkładałam przed tobą czerwonego dywanu.

Raz jeszcze mocno ścisnął ramię Kobziarza.

– Miałem nadzieję, że wrócisz – dodał.

– Byś mógł raz jeszcze rąbnąć mnie w głowę? – spytał Kobziarz z uniesioną brwią.

– Siadajcie! – Simon wskazał nam tę część namiotu, w której stały ławy i stół z nieoheblowanego drewna. – I zjedzcie coś. Wyglądacie, jakby burczało wam w brzuchach.

– Przecież nie przyszliśmy tu na podwieczorek – oznajmiła Zoe.

– Mów za siebie – burknęła Sally.

Ławka skrzypnęła pod jej ciężarem, po czym staruszka sięgnęła po jedzenie.

Za jej przykładem wszyscy częstowaliśmy się chlebem i wodą. Ja również zmusiłam się do jedzenia, ale czułam takie znużenie, że głowa co rusz opadała mi na pierś. Nabrałam nieco wody w dłoń i przetręłam twarz.

Simon, który czekał, aż się posilimy, usiadł obok Kobziarza.

– Wiesz, że jestem przeciwny temu, co zrobiłeś.

– Powiedz, o co ci dokładnie chodzi – przerwałam mu. – Przestań owijać w bawełnę. Sam oddałbyś mnie chętnie Spowiednicze? Czy zabił własnymi rękami?

Simon po raz pierwszy spojrzął mi w oczy.

– Tak. Dokładnie to bym zrobił. Tego też oczekiwałem od Kobziarza.

– Ale wiesz, że nie ocaliliby to Wyspy? – rzekł Kobziarz. – Nie dość, że by ją pojмали, to jeszcze pozabijaliby resztę.

– Być może. – Simon oparł łokcie na kolanach i pochylił się, by potrząść twarzą. – Wielu ludzi zresztą w to wierzy, zwłaszcza po tym, jak ujrzeli taki pokaz okrucieństwa ze strony Rady. Być może zdołasz przekonać do tego więcej ludzi.

– Tym, co sądzą inni, zajmiemy się później. Na razie musisz usłyszeć, co Rada zamierza zrobić z Nowym Hobartem. I z tym, co widziała Cass...

– Na razie radziłbym ci nie mówić na głos o wizjonerach – oznajmił Simon.

– Nasi ludzie być może znów nauczą się ciebie akceptować, zwłaszcza jeśli dam im przykład. Ponadto mądrze zrobiłeś, przyprowadzając tu Sally, ale towarzystwo dwojga wizjonerów, w tym Cass oraz Alf, raczej ci nie pomoże. Po tym, co się wydarzyło, ludzie muszą mieć pewność, że jesteś jednym z nas.

– Przestań wygadywać bzdury – rzekł Kobziarz. – Mało kto zrobił tyle dla ruchu oporu co Zoe, a wizjonerzy to Omegi, podobnie jak reszta z nas.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedział Simon i omiótł mnie spojrzeniem, a jego wzrok mówił wszystko. Ludzie często tak na mnie patrzyli, gdy uświadamiali sobie, że moje znamię nie ma związku z żadną widoczną mutacją. Woleli trzymać się na dystans.

– Po tym, co się wydarzyło na Wyspie, ludzie mają jeszcze jeden powód, by bać się zarówno wizjonerów, jak i Alf.

Znów na mnie zerknął.

– Opowiedz mi o wszystkim. W jaki sposób Kima zabił Spowiedniczkę?

Przełknęłam ślinę i nabrałam tchu, ale nie mogłam wykrztusić ani słowa. Na szczęście zastąpił mnie Kobziarz, który pokrótce opowiedział Simonowi o wydarzeniach w silosie.

– Powiniennem był się domyślić, że mieliście z tym coś wspólnego – oznajmił tamten. – To ci na pewno pomoże zjednać sobie ludzi. Widzieli, co robiła Spowiedniczka na Wyspie. Jeśli się dowiedzą, że pomogłeś ją zabić, być może wybaczą ci twe grzechy. Może nawet przyzwyczają się do wizjonerki.

– Nie zależy nam na ich wybaczeniu – odezwała się Zoe. Nie było jej

podczas masakry na Wyspie, ale zauważyłam, że przejęła od Kobziarza zarówno poczucie winy, jak i zadziorność.

– Może i tego nie chcesz – rzekła Sally – co jednak nie oznacza, że tego nie potrzebujesz. Tu nie chodzi o twoje ego, ale o ponowne zjednoczenie ruchu oporu.

– To bez znaczenia – przerwał Kobziarz. – Nie możemy rozpowiadać o tym, że uczestniczyliśmy w zabiciu Spowiedniczki. Wedle oficjalnej wersji był tam tylko Kima. Jeśli Rada połączy jej śmierć z Cass, mogą skazać na śmierć Reformatora, by się jej pozbyć.

– Naprawdę chciałbym was powitać z ulgą i radością, ale wcale tego nie ułatwiacie – westchnął Simon.

– Chyba nie myślałeś, że sobie odpoczniesz po przejęciu dowództwa? – spytał Kobziarz.

– Nie przejąłem dowództwa. To ty nas opuściłeś, by ruszyć w ślad za wizjonerką, a ci, którzy pozostali, obrali mnie dowódcą. To nie był mój wybór.

Skrzywił się i potarł kark.

– A ta pieśń? To również wasza sprawka? Jeden z moich zwiadowców przyniósł informację o tym, że jakiś bard w Longlake śpiewa o przytułkach. Ostrzega ludzi, by tam nie szli.

– Ślepy bard? W towarzystwie młodszej kobiety? – spytałam.

– Nie, młody. – Simon pokręcił głową. – Jeśli wierzyć zwiadowcy, podróżował sam.

Spojrzelśmy z Kobziarzem po sobie i uśmiechnęliśmy się. Pieśń już się rozniosła.

– Nie cieszyłbym się z tego za bardzo – dodał Simon. – Każdy bard, który odważy się to zaśpiewać, praktycznie wsadza głowę w pętlę szubienicy.

– A czy twój zwiadowca mówił coś o bardach, których już uwięziono z powodu tej pieśni?

– Nie, ale to tylko kwestia czasu. Wieść się niesie.

– I o to chodzi – skwitowałam.

– A co z okrętami? – zapytał Kobziarz.

– Osiem stoi w pobliżu, na głębokim kotwiczowisku niedaleko półwyspu, ale Rada nasiliła przybrzeżne patrole, a więc będziemy musieli przenieść flotę dalej na zachód. Przynajmniej cztery nasze jednostki zostały przechwycone tuż po lądowaniu niedaleko ujścia rzeki Miller. Mamy meldunek o tym, że „Caitlin” zatonała dalej na północy. Dodatkowo pojawiło się niepotwierdzone doniesienie o „Juliet”, którą rzekomo widziano jeszcze dalej na północ. Niewykluczone, że Larson i jego załoga nadal żeglują. Nie wiemy, co z resztą.

– Przynajmniej mamy te osiem. Niemniej jednak nie o to pytałem. Co z okrętami wysłanymi na zachód?

– Ani widu, ani słyhu. – Simon pokręcił głową. – Zawsze ci mówiłem, że to

strata czasu.

– Na własne oczy widziałeś dokument Sally o Arce – rzekł Kobziarz. – Wiesz, że Zamorze istnieje. Przegłosowano cię.

– Wiemy, że istniało w czasach sprzed Wybuchu, co nie oznacza, że nadal gdzieś tu jest, a przegłosowano mnie dlatego, że Zgromadzenie jadło ci z ręki.

– Podjęli decyzję.

– Jakoś nie przypominam sobie, byś w kluczowych momentach szanował decyzje Zgromadzenia.

Kobziarz zignorował prztyczek.

– „Rosalind” i „Evelyn” nadal gdzieś tam są – powiedział.

– A skąd ta pewność? Wiemy tylko to, że jeszcze nie wróciły. Mogły zatonać już wiele miesięcy temu lub zostać przejęte przez okręty Rady.

Simon przerwał i podjął cichszym głosem:

– Wysłałem zwiadowców. Naprawdę. Nie łudzę się, że ktoś z nas kiedykolwiek odnajdzie Zamorze, ale potrzebujemy więcej statków, nie mówiąc już o ludziach, którzy stanowią ich załogi. Kazałem więc Hannah i dwóm innym, by wypatrywali ich na Ponurym Przylądku. Spędzili tam trzy miesiące i przez cały ten czas ani razu nie widzieliśmy ogni sygnałowych. Zauważyli jedynie patrolowce Rady. Tymczasem nadchodziły już zimowe wichry i jeśli nasze okręty nadal przebywały na morzu, nie było już dla nich nadziei. Potrzebuję moich ludzi tu, przy mnie. Nie widzę sensu w poszukiwaniu statków widm.

Jego głos brzmiał poważnie, a ja poczułam ulgę, że przynajmniej mówił nam to bez przyjemności. Kobziarz zamknął oczy, słuchając jego wywodu, ale po chwili znów je otworzył. Zaciskał teraz usta i wbijał wzrok w blat stołu. Widziałam, że już kalkuluje i planuje kolejne kroki.

– Zamorze to nadal jedyna rzecz, która naprawdę może nam coś dać – powiedziałam.

Pamiętałam, jak się czułam, gdy czytałam o sprzymierzonych narodach w dokumencie na temat Arki. Odniosłam wówczas wrażenie, że świat stał się naraz większy i bardziej rozległy, a puste przestrzenie, ciągnące się wzdłuż krawędzi naszych map, mogą kryć niejedną tajemnicę. Być może istniało na tym świecie miejsce, do którego Rada nie miała dostępu, gdzie nikt nie zmuszał nas do walki z własnymi bliźniakami i nie zabijał nas.

– Posłuchaj mnie uważnie – ciągnął Simon. – Póki ja tu dowodzę, nie ma mowy o wysłaniu choć jednego statku. Kolejne ekspedycje to wielkie ryzyko, które można by jeszcze jakoś usprawiedliwić w spokojniejszych czasach, ale nie teraz, gdy wszystko trafił szlag.

– A nie nadeszły właśnie czasy, kiedy Zamorze jest nam potrzebne jak nigdy wcześniej?

– Wybacz, ale nie pora na fantazje. Przez cały ten czas robiłem wszystko, by

ruch oporu przetrwał. Harowaliśmy dzień i noc: organizowaliśmy schronienie i jedzenie dla uciekinierów, odbudowywaliśmy komunikację i wybieraliśmy nowe kryjówki w miejsce utraconych na rzecz Rady. Ostrzegaliśmy wszystkich, którzy znajdowali się w niebezpieczeństwie. Śledziliśmy posunięcia zarówno oddziałów, jak i okrętów Rady. Odnaleźliśmy miejsce na południowym wschodzie, które mogłoby przyjąć pewną liczbę uchodźców. Grupa moich ludzi stawia tam teraz baraki, by pomóc im jakoś przetrwać zimowe miesiące.

– To za mało – stwierdziłam.

Simon odwrócił się ku mnie.

– Nie masz pojęcia, ile pracy muszę włożyć w to, by ruch oporu nadal funkcjonował – warknął głucho.

– Ktoś się musiał tego podjąć – odpowiedziałam. – I jestem przekonana, że doskonale sobie radzisz, ale to naprawdę za mało. Odbudowujesz jedynie to, co już mieliśmy, po to, by znów chować się i uciekać. Chcesz wznieść kolejny azyl dla uchodźców, tym razem bliżej Pustkowi. I czym się to skończy? Kolejnym atakiem Rady? Jak cokolwiek ma się zmienić, skoro bez przerwy uciekamy i chowamy się? Kiedy wreszcie ruszymy do kontrataku?

– Jak? – Simon rozłożył dłonie. – Straciliśmy połowę ludzi na Wyspie. Być może nadejdzie chwila, gdy będziemy mogli uderzyć na Radę, ale na razie to niemożliwe. Nasze oddziały zostały zdziesiątkowane, a cywile głodują i nie mają dachu nad głową.

– Lada moment będzie już za późno – powiedziałam. – Widzisz, na to właśnie liczy Rada. Chcą nas nękać i tłamsić, aż nie będziemy nawet w stanie pomyśleć o walce.

– No dobrze – rzekł Simon. – To jak sobie wyobrażasz ów kontratak?

– Na twoim miejscu posłałabym więcej ludzi na północ, by raz jeszcze poszukali okrętów. Zajęłabym się również wyposażaniem kolejnych, by były gotowe do wypłynięcia z chwilą nastania wiosny. Ale to nie wszystko. Wyzwoliłabym też Nowy Hobart.

Rozdział trzynasty

Simon grzmotnął pięściami w stół. Trącony talerz zawirował, z przewróconego kubka wylała się woda.

– Wyzwolenie Nowego Hobartu to ogromna operacja! Nigdy nie bylibyśmy w stanie jej przeprowadzić, zwłaszcza teraz, gdy ruch oporu jest w rozsypce. Mówisz o wydaniu przeciwnikowi otwartej bitwy! O zaatakowaniu pilnie strzeżonego miasta!

Opowiedziałam mu wówczas o tym, co widziałam w mojej wizji – o tysiącach ludzi jednocześnie umieszczonych w zbiornikach. Rada zamierzała wykorzystać w ten sposób ludność całego miasta, co było aktem o wiele bardziej zbrodniczym od tego, który miał miejsce w przytułkach. Oczywiście wyobraźni widziałam Elbę, jej dzieci i tłumy innych w otoczonym murami mieście, słyszałam rytmiczne mruczenie zbiorników zamiast wrzawy targowiska.

Simon zamiast do mnie zwrócił się do Kobziarza:

– Mam już dość tych szalonych pomysłów. Szukasz wiatru w polu, tyle ci powiem. Wysyłasz statki na zachód, kumasz się z wizjonerką, podsuwasz bardom jakąś cholerną pieśń, a teraz to. Przyłącz się do mnie i zajmij się czymś sensowym. Daj sobie spokój z fantazjami.

– Jednym z owych szalonych pomysłów było pozbycie się Spowiedniczki i jej bazy danych – rzekł Kobziarz. – Ze strategicznego punktu widzenia zyskaliśmy dzięki temu więcej, niż ruch oporu osiągnął przez lata.

– Ludzie, którzy tu przybywają, mają gdzieś strategię – odparł Simon. – Chcą jedynie przeżyć. Boją się i są głodni.

– Nie dziwię się, że się boją – odezwała się Sally. – Wszak Rada chce ich pozamykać w zbiornikach. Możesz pomóc im przeżyć, ale to nie powstrzyma Rady, nie sprawi też, że zagrożenie się zmniejszy. Musimy kontratakować. Nigdy dotąd nie było to równie istotne. Trzeba postawić wszystko na jedną kartę: wyzwolić Nowy Hobart i znaleźć okręty.

– Przecież działasz w ruchu oporu od dawna – rzekł Simon. – Dobrze wiesz, jak wielka spoczywa na mnie odpowiedzialność. Muszę wykorzystać wszystkie środki, by odbudować całą strukturę, znaleźć nowe kryjówki i zapewnić dach nad głową uciekinierom...

Kobziarz wpatrywał się w Simona w najwyższym skupieniu.

– Cass jest dla nas ważna i z tego powodu chronięm ją ze wszystkich sił. Jeśli zignorujesz jej słowa, ta ofiara pójdzie na marne.

Zamknęłam oczy. Kobziarz postępował tak samo jak Simon – przeliczał ludzkie życie na koszty i wartość. Wszystko sprowadzało się do kalkulacji.

– To była twoja ofiara – parsknął Simon. – Nie moja. Nie mam zamiaru poświęcać kolejnych ludzi dla kaprysu wizjonerki tylko po to, byś upewnił się, że

warto było ją ratować.

– A więc ofiara, jaką ponieśliśmy na Wyspie, pójdzie na marne.

– Nie mów mi o ofierze! – wykrzyknął niespodziewanie Simon, tak jak wcześniej Xander. – Byłem tam! Widziałem, jak umierają ludzie. Ale czy to jest ta ofiara, którą masz na myśli? A może chodzi ci o siebie samego? O to, że odebrano ci pozycję przywódcy?

– Nie, nie chodzi o mnie – rzekł Kobziarz. – Zupełnie nie.

– Jesteś tego pewien? – spytał Simon.

Zbliżał się świt, a my nie spaliśmy już prawie do bólu. Sally nie narzekała, ale widziałam, że jej dłonie wsparte o kolana lekko drżą. Xander, który siedział obok niej, zasnął z głową na blacie stołu.

– Musicie wszyscy odpocząć – rzekł Simon. – Później o tym porozmawiamy.

Z tymi słowami wstał i skierował się ku drzwiom. Poprowadził nas przez obóz w kamieniołomie. Pozostali żołnierze, których było około pięćdziesięciu, przebudzili się już i gromadzili wokół ognisk. Nasze pojawienie się przerwało ich rozmowy. Odwracali się jeden po drugim i śledzili wzrokiem naszą wędrówkę po błotnistych ścieżkach. Widok Sally wywoływał uśmiechy, a kilku starszych żołnierzy uniosło dłonie do salut, ale wszyscy natychmiast poważnieli, gdy ich spojrzenia przesunęły się na nas. Na mnie, Zoe i idącego między nami Xandera patrzyli uważnie i badawczo, ale mnie interesowało przede wszystkim to, jak zareagują na widok Kobziarza. Paru bojowników skinęło mu głową, ale wysoka, jednooka kobieta z rudymi włosami wpatrywała się w niego z wściekłością, a jakiś mężczyzna wsparty o kule splunął na ziemię i wymamrotał coś do towarzysza.

Simon zaprowadził nas do namiotu, z którego pospiesznie usunięto dobytek poprzednich mieszkańców. Nim się oddalił, uścisnął dłoń Kobziarza trzema swoimi.

– Cieszę się, że wróciłeś – powiedział. – Mimo wszystko.

Ruszył w stronę wyjścia, ale zawołałam go. Zatrzymał się, a ja ponownie spojrzałam na jego żółtawą skórę wokół oczu i przypomniałam sobie jego ciężki krok.

– Co się z tobą działo? – spytałam. – Od czasu bitwy?

Simon odetchnął ciężko.

– Poza tym, że przejąłem obowiązki Kobziarza, właściwie nic.

Spaliśmy zaledwie kilka godzin i wstaliśmy przed południem, zostawiając Sally i Xandera w namiocie, by odpoczęli dłużej. Udaliśmy się do Simona, któremu już towarzyszyło kilku doradców, a tam dowiedziałam się, na czym polegają codzienne obowiązki ludzi zajmujących się odbudową ruchu oporu. Co jakiś czas rozlegał się gwizdek oznaczający przybycie zwiadowcy lub posłańca. Co rusz

pojawiali się ludzie z informacjami o nowych nalotach, liczbie patroli i uchodźcach z Wyspy szukających schronienia. Zwiadowca ze wschodu zameldował o rozbudowie Przytułku Czternastego i plakatach zapowiadających zwiększenie podatku. Inny, który przybył z okolic Wyndham, przyniósł informacje o tarcich między Panią Generał, Reformatorem i Prowodyrem, które przybrały na sile po śmierci Sędziego. Opowiedzieliśmy wówczas o naszym spotkaniu z Prowodyrem. Informacje przyniesione przez zwiadowcę wydawały się zgadzać z tym, co od niego usłyszeliśmy. Prowodyr nadal cieszył się sporą popularnością w armii, ale w siedzibie Rady, gdzie rządziła Pani Generał z Zachem u boku, był coraz bardziej spychany na bok. Nie wiedzieliśmy wiele więcej ponad to – Rada obecnie utrzymywała swe działania w ścisłej tajemnicy i rzadko kiedy udawało się natknąć na cokolwiek oprócz plotek tawernianych, które docierały do osad Omeg.

Rozmawialiśmy i planowaliśmy przez całe długie popołudnie, ale za każdym razem, gdy padało imię Reformator, wszyscy spoglądali na mnie. Zach był problemem, a moje ciało podsuwało rozwiązanie. Przez cały dzień patrzyłam na to, jak Kobziarz i Zoe pilnowali mnie, odgradzając od reszty. Dłoń Kobziarza ani na moment nie odsunęła się od pasa ciężkiego od noży. Wieści na temat Rady uświadomiły mi jednakże, iż istniały zagrożenia, przed którymi nie mogli mnie ochronić. Na własne oczy widziałam, jak bardzo brutalne stawały się konflikty na łonie Rady. Mało komu udało się przeżyć tyle lat co Sędziego. Jeśli Zach miał potężnych wrogów w Wyndham, śmierć mógł mi przynieść zarówno zabójca, który wbija nóż w plecy Zacha, jak i taki, który przyczai się na mnie w tym kamieniołomie. Moja własna śmierć mogła nie mieć żadnego związku ze mną.

W ciągu tego i następnego dnia zaczęłam rozumieć, skąd się bierze znużenie Simona. Każdy kolejny meldunek oznaczał podjęcie decyzji, a potem działanie. Trzeba było wysłać lekarza na wschód, gdzie w nowo założonym obozie uchodźców pojawiła się dyzenteria, a wraz z nim pięciu żołnierzy, którzy mieli pomóc w przeniesieniu obozu w miejsce z czystszy ujęciem wody. Kobieta o imieniu Violet, należąca do grupy doradców Simona, została wysłana do obozu dzień drogi na północ, gdzie miała zająć się przesłuchiwaniami żołnierza Rady schwytanego niedaleko Nowego Hobartu.

– Poddacie go torturom? – spytałam Simona.

Sally przewróciła oczami.

– To nie jest dobry moment na cackanie się z nikim – oznajmiła. – Myślisz, że Rada ma jakieś skrupuły? Torturują nas w każdej możliwej sytuacji.

– I o to właśnie nam chodzi, tak? – odgryzłam się. – By upodobnić się do nich?

Nikt nie znalazł odpowiedzi na moje pytanie. Tymczasem pojawiali się nowi posłańcy i przynosili nowe wiadomości, przy czym na ogół dotyczyły one rodzin lub całych osad, które po roku zwiększonych podatków nie były w stanie

przygotować się na nadejście zimy. Ich ziemie przynosiły kiepskie plony i coraz więcej z nich decydowało się udać do najbliższego przytułku, nie wiedząc – a może nie wierząc w to, co ich tam czeka. Innych wyganiano z domów, przy czym winę za to ponosili nie żołnierze, ale zwykli Alfa, wzburzeni plotkami o tym, jakoby Sędzia zginął z ręki swego bliźniaka Omegi.

Simon siedział na honorowym miejscu przy stole, otoczony doradcami. Wydawał kolejne rozkazy z dużą pewnością siebie i zachowywał spokój, ale im dłużej się mu przyglądałam, tym bardziej przypominał mi człowieka usiłującego nabrać wodę ramionami. Odnosiłam wrażenie, że ruch oporu ugrzązł w niekończącej się serii małych kryzysów i nie miał szansy na stworzenie jakiegokolwiek większej strategii. Simon konsultował się z nami co chwila, a jego doradcy słuchali żarliwie Sally, a nawet tolerowali zdanie Kobziarza, ale gdy powróciliśmy do kwestii okrętów czy Nowego Hobartu, machał jedynie niecierpliwie dłonią i wracał do spraw bieżących: meldunku o najeździe na kolejną osadę czy raportu następnego zwiadowcy. Nawet Kobziarz przestał go intensywnie naciskać w kwestii statków. Nalegał co prawda na wysłanie kolejnych zwiadowców na północ, ale w jego głosie zabrakło zwykłego dlań przekonania. Pomyślałam o ciemnych falach, które musiałam pokonać w drodze na Wyspę, i próbowałam sobie wyobrazić, jak wyglądają smagane zimowymi sztormami i najeżone górami lodowymi. Spojrzałam na Kobziarza, na napięte mięśnie jego ramion oraz pochyloną głowę, i wiedziałam, że myśli o tym samym.

Co noc w swoim namiocie siadałam nad dokumentem na temat Arki. Znałam już jego treść na pamięć, ale mimo to znów brałam kartkę do rąk i wodziłam wzrokiem po liniijkach, jakby ów blaknący arkusz papieru był mapą, która mogłaby poprowadzić moje wizje ku Arce i Zamorzu. Nie udało mi się jednak odnaleźć niczego poza własnym strachem i wyobrażeniem płynów ze zbiorników, zalewających Nowy Hobart. Nie umiałam dopasować do siebie tych trzech elementów.

– Może Arka jest gdzieś tam? – spytała Sally. – Na przykład pod Nowym Hobartem. Może to jest aż tak proste? Niewykluczone przecież, że Rada przejęła miasto po to, by dostać się do Arki.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Byłam w Nowym Hobarcie przez wiele tygodni. Gdyby Arka znajdowała się gdzieś tam, wyczułabym to. Ze wszystkich rzeczy najwyraźniej zazwyczaj widzę miejsca.

Wyczułam wszak sale ze zbiornikami pod Wyndham oraz jaskinie i tunele przecinające góry.

– Arki nie ma w Nowym Hobarcie – powiedziałam.

Zamknęłam oczy i znów ujrzałam bezbronną Elbę i gęsty płyn ze zbiornika, który powoli zalewał jej otwarte szeroko usta, niczym język całującego ją intruza. Wizje nie ustępowały, aż do mojej świadomości przebijał się ból mocno

zaciśniętych szczęk. Uświadamiałam sobie, że siedzę spocona, choć ziemię pod moimi stopami skuł szron. Byłam tak spięta, że odgłosy wydawane przez moje ciało wydały mi się nienaturalnie głośne, jak choćby wciągnięcie powietrza nosem czy szelest pocieranych powiek.

– To nie koniec. – Xander sięgnął po dokument. – Labirynt kości.

– O czym ty mówisz? – warknęłam. – Powiedz mi, o co ci chodzi!

W moim głosie pojawiła się histeria. Sally stanęła między nami.

– Nie mów tak do niego! – wykrzyknęła, a ja wiedziałem, że ma rację.

Spojrzałam na chłopaka, który otwierał i zamykał usta niczym ryba. Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek inny, że wcale nie silił się na tajemniczość. Zdawałam sobie sprawę z tego, że wizje starły jego zdrowy rozsądek na pył, a teraz jego nieliczne myśli błąkały się po zgliszczach.

– Przepraszam – powiedziałam i wyciągnęłam rękę, by sięgnąć po jego dłoń, ale na drodze stanęła mi Sally, która odwróciła się do mnie plecami, by uspokoić Xandera.

Przez całą noc słyszałam jego mamrotanie, krzyki i serie okaleczonych słów, które wypadały z jego ust niczym połamane zęby.

To moja wina i moja przyszłość.

Trzeciego dnia po północy Simon gwałtownie podniósł połę naszego namiotu.

– Chodźcie natychmiast! – powiedział.

Odczekał, aż się podnieśliśmy i narzuciliśmy na siebie ubrania. Lampa kołysząca się w jego ręku huśtała bez litości cieniami na ścianach namiotu. Xander mamrotał do siebie, nie do końca rozbudzony, więc zostawiliśmy go na posłaniu.

Przed namiotem Simona stał strażnik trzymający konia. Szara sierść zwierzęcia pociemniała od potu, a z nozdrzy buchały kłęby pary. Simon wprowadził nas do środka i niecierpliwym gestem kazał usiąść kobiecie, która wstała na nasz widok. Plamki błota na jej twarzy sugerowały, że gnała co sił przez noc. Wiekiem była zbliżona do Simona, ciemne włosy ściągnęła w koński ogon. Wychudzona, acz silna sylwetka wskazywała osobę przyzwyczajoną do niewygód. Jej lewe ramię kończyło się kikutem zaokrąglonym niczym bułka.

– Opowiadaj, Violet – rzekł Simon.

Ta uniosła brew. Wpatrywała się we mnie, w Zoe i w Kobziarza.

– Przecież już ci wszystko powiedziałam!

Simon wstał i odepchnął krzesło.

– Im można zaufać – rzekł i zaczął niespokojnie krążyć po namiocie.

– Pojechałam na północ, by przekonać się, co można wyciągnąć z żołnierza złapanego przez ludzi Noah – zaczęła Violet. – Był to kurier, który wracał do

Nowego Hobartu z jednego z południowych garnizonów. Wieziona przez niego wiadomość nie była szczególnie interesująca; chodziło o sprzęt i uzupełnienia dla oddziałów, ale udało się wyciągnąć z niego coś więcej o samym mieście.

– Jak? – przerwałam. – Torturowaliście go?

– Mamy robotę do wykonania. – Simon spojrział na mnie z gniewem. – Nie ucz nas, jak się do niej zabrać.

Violet zignorowała nas oboje.

– Powiedział, że czegoś szukają. W obrębie Nowego Hobartu. Chodzi o jakieś dokumenty.

– I to tyle?

– Nie wiedział wiele ponad to – rzekła Violet. – Usłyszeliśmy, że tylko starsi oficerowie mają dostęp do szczegółów, ale ponoć wszelkie znalezione stare dokumenty należało natychmiast przekazywać do dowództwa. Jego jednostka już dwukrotnie przeszukiwała jakieś obszary, kierując się czymś donosem. Natrafili jedynie na sekretną szkołę, dla Omeg, a więc oczywiście nielegalną, ale Rada na ogół nie przejmowała się istnieniem takich miejsc. Tymczasem oddział otrzymał polecenie przeszukania całej szkoły, zebrania wszelkich dokumentów i zawiezienia ich do kwatery głównej. – Violet wzruszyła ramionami. – Przez cały czas wydawało mu się, że zbieranie kartek z alfabetem nagryzmołonym przez dzieci jest śmieszne. – Jej twarz spochmurniała. – Nie było mu już do śmiechu, gdy z nim skończyliśmy – dodała.

Zerwałam się gwałtownie, przyciągając uwagę wszystkich.

– Sprowadź tu Xandera – powiedziałam do Sally.

Violet przewróciła oczami.

– Nie wystarczy nam jedna wizjonerka? – spytała. – Po co nam tu ten szalenciec?

Chciałam się odezwać, ale ubiegł mnie Simon.

– Dziękuję ci na razie – rzekł. – Odpocznij, a pogadamy rano.

Violet wyszła, zerkając jeszcze przez ramię na Kobziarza. Sally również się podniosła.

– Dobrze, przyjdę tu z Xanderem – powiedziała, a ja odwróciłam się ku Kobziarzowi.

– Xander próbował nam to powiedzieć! Mówił, że to nie ja jestem poszukiwana w Nowym Hobarcie. Źle zrozumiałam jego słowa. Sądziłam, że daje mi do zrozumienia, iż Spowiedniczka szuka nie mnie, ale Kimy, ale jemu nie o to chodziło.

Mówił też, że to jeszcze nie koniec. Próbowałam jakoś połączyć wszystkie trzy elementy – Arkę, Elbę i Nowy Hobart – ale tak naprawdę to one stanowiły jedno, a Xander wiedział o tym od samego początku.

Sally przyprowadziła chłopaka, który narzucił sobie koc na ramiona. Zoe

podprowadziła go do ławki, a ja uklękałam przy nim.

– Czym jest labirynt kości? – spytałam najłagodniej, jak potrafiłam.

Xander nie odezwał się, a jego oczy jak zwykle podjęły bezcelowe przeszukiwanie sufitu.

– Powiedz mi!

– Już ci mówiłem – odparł.

– To prawda – zgodziłam się. – Ale nie zrozumieliśmy! Powiedz mi to jeszcze raz.

– Kiedyś odczuwałem to inaczej – powiedział. – Było to ciche miejsce. Pod ziemią.

Chciałam go ponaglić, jednak powstrzymałam się. Jego wzrok ponownie obiegł sufit namiotu. W dłoni Sally, nadal spoczywającej na ramieniu chłopaka, widziałam wielkie napięcie.

– A potem pojawił się tam hałas – ciągnął. – Ludzie klekoczą kości.

– Czy to Arka? – spytałam.

– To tylko dziura – wymamrotał. – Miejsce, gdzie ludzie tracą kości.

Labirynt kości.

– A teraz panuje tam hałas? Są tam ludzie?

Xander pokiwał głową.

– Dźwięki w ciemnym miejscu.

– Czy Rada znalazła to miejsce? Wiesz, gdzie ono jest?

Chłopak przechylił głowę z boku na bok.

– Głośno tam teraz. Ale dalej szukają kawałków. Kawałków papieru.

Papierowych kości sprzed Wybuchu.

– W Nowym Hobarcie? – pytałam.

Przypomniałam sobie, jak jakiś czas temu Zoe opowiedziała mi o dokumentach, które kiedyś odnaleziono w Nowym Hobarcie. Rada zmiażdżyła miejscową komórkę ruchu, nim cokolwiek więcej udało się znaleźć.

– Chodzi o papiery z Arki, takie jak ten, który skopiowała Sally? To tego tam szukają?

Xander pokiwał głową.

– Potrzebują ich – rzekł. – To jeszcze nie koniec.

Rozdział czternasty

Nie udało nam się wyciągnąć z niego nic więcej, ale to wystarczyło. Gdy chłopak znów zaczął wyrzucać z siebie serie chaotycznych sylab i słów pozbawionych sensu, odwróciłam się ku Simonowi.

– Jeśli nie poruszyło cię to, że Rada chce wrzucić tysiące ludzi do zbiorników, może teraz weźmiesz pomysł odbicia miasta na poważnie?

– Już lata temu dostaliśmy cynk z Nowego Hobartu odnośnie do Arki – odparł. – Ale nic to nie dało. Żołnierze Rady wyprzedzili nas i zmiotli całą komórkę.

– Nie wiem, co w ten sposób straciliśmy, ale na pewno było to ważne dla Rady – odparłam. – Ważne na tyle, że śmiało przystąpili do działania i nie wahali się zabijać. Nadal prowadzą poszukiwania! Jest jeszcze coś, czego nie znaleźli! Co więcej, wydaje mi się, że Elsa wie coś na ten temat.

Przypomniała mi się ponownie jej twarz, gdy stała w kuchni, a ja spytałam ją o ruch oporu. Wspomniała swego męża, ale nigdy nie zdobyła się na to, by mi powiedzieć, co się z nim stało. Jej opowieść była niczym haust powietrza, wciągnięty do płuc, ale nigdy niewypuszczony.

– Dała mi do zrozumienia, że jej mąż został zabity, bo zadawał zbyt wiele pytań. To możliwe, że był w to zamieszany?

Kobziarz pokręcił głową.

– Mieliśmy w Nowym Hobarcie sześciu ludzi. Osobiście znałem każdego z nich i żaden nie miał żony, która zarządzałaby sierocińcem. Nigdy nie usłyszałem nic, co wskazywałoby na jakikolwiek związek z Elszą.

– Wygodne, no nie? – odezwała się Zoe. – Mam na myśli to, że osoba, która może mieć dla ciebie kluczowe informacje, okazuje się tą, u której mieszkałaś.

Spojrzałam na Zoe, a potem na Kobziarza.

– To ty ciągle mówisz, jak ważne są moje wizje i ile dla nas znaczą. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że to może właśnie z tego powodu ze wszystkich ludzi w Nowym Hobarcie udałam się akurat do Elsy? Że coś mnie przyciągnęło do jej domu, nawet jeśli nie byłam tego świadoma? Przecież identycznie ułożyło się z Wyspą! Ale to nie wszystko. Od śmierci Kimy ciągle wracam myślami do szeregów zbiorników w owej komorze, którą odkryłam pod Wyndham. Dlaczego ze wszystkich zbiorników dotarłam akurat do tego, w którym znajdował się Kima? Czyżby coś mnie tam przywiodło? Czyżby strach przed Spowiedniczką przywiódł mnie nieświadomie do jej bliźniaka?

– To, czy twoja przyjaciółka miała z całą tą sprawą coś wspólnego, czy też nie, nie ma większego znaczenia – rzekł Simon. – Nie jesteśmy w stanie wyzwolić miasta. Oznaczałoby to wypowiedzenie Radzie otwartej wojny, na co jesteśmy zbyt nieliczni i za słabo wyposażeni.

– Wojna już trwa – odparłam. – Ale toczy się powoli. Co gorsza, przegrywamy. Rada szuka czegoś, co jest tak ważne, że miasto zostało otoczone kordonem. To coś pomoże nam odnaleźć Arkę lub nawet Zamorze, co ma dla nas wielkie znaczenie.

– Jak chcesz tego dokonać? – spytał Simon ze znużeniem. – Nawet jeśli uda się wyzwolić miasto i odnaleźć owe papiery, to co? Co nam da kilka zakurzonych świstków? Kolejne opowieści sprzed Wybuchu? Może obłożone tabu maszyny, których nie rozumiemy?

– Jakbym słuchała Prowodyra – powiedziałam. – Nie możemy zrezygnować z takiej szansy tylko dlatego, że boimy się maszyn. Zach i Pani Generał korzystają z nich od dawna. To jeden z najważniejszych elementów ich strategii. Oni już odnaleźli Arkę, a dokumenty mogą doprowadzić nas do niej bądź do Zamorza. Serio chcesz pozwolić na to, by Rada dotarła tam pierwsza? Im więcej mają informacji, tym są groźniejsi!

Spieraliśmy się przez godzinę, a argumenty o konieczności wyzwolenia Nowego Hobartu ścierały się z przeświadczeniem o tym, że to niewykonalne zadanie. Rozmowa zapętlała się niczym mur wokół miasta.

– Gdybyśmy przegrali tę bitwę – rzekł Simon – ruch oporu przestałby istnieć.

Sally, która siedziała w milczeniu i trzymała dłoń Xandera, odezwała się cicho:

– To na tym się teraz skupiamy, tak? Po masakrze na Wyspie wycofujemy się na wschód, czego sam dajesz przykład. Nazywaj sobie to, jak chcesz, ale to ucieczka. W którym momencie zapomnieliśmy o tym, o co walczymy? Uciekamy i chowamy się, a w rozmowach usiłujemy przewidzieć koniec ruchu oporu. Rozumiem wasz strach. Widzę, że sytuacja pogarsza się z dnia na dzień, i wiem, z kim przychodzi nam się mierzyć. Ale może Arka w istocie poprawi naszą sytuację? Może nadszedł czas, by przestać myśleć o końcu ruchu oporu i wreszcie porozmawiać o końcu Rady?

Przed świtem Simon wydał rozkaz zwinięcia obozowiska i wymarszu do Nowego Hobartu. Grupy bojowników zostały wysłane do lasu, by ukryte tam konie przyprowadzić do kamieniołomu, gdzie chciano je objuczyć sprzętem. W kamieniołomie miało zostać jedynie dwóch ludzi na straży. Biała glina przywierała do wszystkiego łącznie z namiotami, a konie ślizgały się po ścieżce, w której pojawiły się głębokie koleiny. Dwukrotnie próbowałam pomóc w załadunku, ale wystarczyło, bym się zbliżyła, by ludzie Simona odwracali się ode mnie i bez słowa odprowadzali konie.

Nasza grupa wyruszyła przed południem i zatrzymaliśmy się dopiero

w nocy. Kobziarz i ja znaleźliśmy się na czele pochodu obok Simona. Za nami jechała konno Sally z Xanderem, którego posadziła przed sobą, a za nią Zoe i dwóch zwiadowców. Po długiej wędrówce z Kimą, a potem z Kobziarzem i Zoe cieszyłam się z tego, że wreszcie mogę usiąść na końskim grzbiecie, a ktoś inny przepatruje drogę, pełni straż, rozbija obóz i gotuje. Podróżowaliśmy w niewielkich grupach, zwykle nocą, ale czasami, głównie w miejscach obranych na postój, łączyliśmy się z innymi oddziałami. Za każdym razem uświadamiałam sobie, że wszyscy na mnie patrzą. Znałam doskonale to spojrzenie, podobnie jak każda Omega. W ten oto sposób – z mieszaniną strachu i niesmaku – spoglądały na nas Alfy. Pewnego razu, gdy rozłożyliśmy obóz na polu usłanym gładzami, usłyszałam, jak któryś z bojowników parska na widok Kobziarza:

– Proszę, nic się nie zmieniło. Ciągłe łązi z Alfą i z wizjonerką.

– Bardziej go interesują od własnych pobratymców – dodała jakaś kobieta.

Zoe odwróciła się gwałtownie, ale Kobziarz złapał ją za rękę i poprowadził naprzód.

– Będziesz się na to godził? – spytała Zoe.

– Wszczywanie bójek we własnych szeregach nie pomoże nam odbić Nowego Hobartu – rzekł Kobziarz. – A przed nami jeszcze długa droga.

– Długa droga, długa droga! – wymamrotał Xander, powtarzając słowa, jakby te odbijały się od niego. Unosił i opuszczał ręce. Często się tak zachowywał, gdy wyczuwał gniew u innych. Odeszłam na bok, a Sally ujęła jego twarz w obie ręce i pochyliła jego głowę ku swojej, by przepędzić jego niepokój. Gdy już udało jej się go ukoić, spojrziała przez ramię na Kobziarza.

– Będziesz musiał wkrótce rozwiązać ten problem – powiedziała cicho. – Ci ludzie mają walczyć dla ciebie, a nie przeciwko tobie.

– Pozwól, że to ja wybiorę odpowiedni moment – odparł z lekkim uśmiechem Kobziarz.

Od czasu masakry na Wyspie ruchu oporu nie miał łatwego życia, ale pod dowództwem Simona nadal był dobrze zorganizowany i stanowił znaczną siłę.

W ciągu dwóch dni przebyliśmy Przełęcz McCarthy'ego, wąski przesmyk w łańcuchu gór, ciągnących się na skraju centralnych równin. Nocne niebo było czyste, a z wysokości, na której się znaleźliśmy, raz jeszcze ujrzelśmy morze na południu. Zeskoczyliśmy z koni, by je napić w pobliskim strumieniu. Dołączyłam do grupki, wpatrującej się w odległe morze, a wówczas ujrzałam, że Kobziarz stoi za mną.

– Ludzie mówią, że od czasu Wybuchu wszystko jest zniszczone – powiedział. – Oboje wiemy, że wiele rzeczy w istocie jest nie do odbudowania.

Istnieje wiele rozmaitych rodzajów zniszczenia. Zniszczone góry,

zamienione w hałdy żużlu. Zniszczone miasta i osady sprzed Wybuchu, kości świata. Zniszczone ciała, które widziałam, zbyt wiele, by móc je zliczyć.

– Ale spójrz na to – dodał Kobziarz i wskazał widok rozciągający się pod nami. Między skałami widać było pasma wzgórz, a dalej morze, które otulało krągłości wybrzeża niczym śpiący kochanek.

Kobziarz odwrócił się ku mnie. Na jego twarzy widziałam to samo co zwykle – zawziętość i całkowity brak jakiegokolwiek skrępowania.

– Łatwo czasem zapomnieć, że nie wszystko dookoła nas jest paskudne.

Trudno się było sprzeciwiać. Nie w obliczu oceanu obojętnego na ludzkie losy. Nie przed samym Kobziarzem. Patrzyłam na jego błyszczące, bladozielone oczy, rozjaśniające ciemną twarz, na jego łagodne kości policzkowe i wydatną, zgrabną szczękę. Świat zawsze mi pokazywał, że zostaliśmy starci na pył, ale gdy patrzyłam na Kobziarza, nie widziałam w nim ani śladu zniszczenia.

Dotknął mego policzka. Poczułam najpierw jego palce, stwardniałe od ciskania nożami i zakładania wnyków, a potem miękką skórę dłoni, która cofnęła się nieco, gdy przysunęłam do niej twarz. Była miękka jak policzek Kimy.

Cofnęłam się.

– Czego ode mnie chcesz? – spytałam.

– Niczego od ciebie nie chcę – odparł, marszcząc brwi. – Widzę, że zmagasz się ze swymi wizjami. Wiem, że nie czujesz się najlepiej, gdy patrzysz na to, co się stało z Xanderem. Próbuję cię tylko pocieszyć.

Nie miałam pojęcia, jak mu powiedzieć, że nikt nie jest w stanie podnieść mnie na duchu. Nie wiedziałam, jak mu przekazać, że choć on nie pozwolił światu na to, by go zniszczył, ja uległam wielokrotnie. Nie był w stanie pojąć tego, jak bardzo byłam zdewastowana. Gdyby ktoś rozciął moje ciało, ze środka buchnąłby ogień, a po nim wizje: Kimy w zbiornikach i Kimy spadającego na dno silosów. Istniały rzeczy, których nikt nie był w stanie naprawić.

Odeszłam, pozostawiając go samego wśród zgliszcz strzaskanej góry.

Dotarcie do Nowego Hobartu zabrało tydzień. Z początku wędrowaliśmy przez terytorium Alf, ale zwiadowcy Simona prowadzili nas z dala od wsi i patroli. Przemieszczaliśmy się głównie w nocy, aż dotarliśmy na jałowe równiny ciągnące się na południe od Nowego Hobartu. Nie było tam już osad Alf i mogliśmy wędrować za dnia. Przedzieraliśmy się przez wściekłe wichry, które wysuszały mi usta i podrażniały oczy. Nie rosło tam nic oprócz suchej trawy, a wiatr natychmiast zacierał nasze ślady. Zima powoli obejmowała rządy nad tą krainą.

Po minięciu niewielkiego miasteczka o nazwie Twyford rozpaliliśmy ogień, a dym rozlał się po niebie. Zziębnięty Xander spał między Zoe i Kobziarzem i cicho uskarżał się przez sen. Ja nie mogłam zasnąć, ale bynajmniej nie z powodu

jego jęków, lecz szaleństwa w jego umyśle. Raz, gdy byłam dzieckiem, do ucha wpęzła mi mrówka. Przez cały czas czułam, jak owad się porusza, a każdy jego ruch był spotęgowany dziesięciokrotnie w mojej głowie. Nie byłam w stanie wydostać jej na zewnątrz, choć przez dwa dni wierciłam w uchu palcem i potrząsałam głową. Towarzystwo Xandera wywierało na mnie identyczny wpływ.

W południe następnego dnia Sally zawołała Kobziarza. Staruszka, która nadal jechała na koniu wraz z Xanderem, trzymała się za nami, eskortowana przez jednego bojownika z każdej strony. Słyszając jej okrzyki, zawróciliśmy natychmiast konie i pognaliśmy ku niej, przeświadczeni, że wpadliśmy w pułapkę lub doszło do jakiegoś nieszczęścia. Powitało nas jednakże jedynie nieobecne spojrzenie Xandera. Siedząca za nim Sally ścisnęła oba jego ramiona.

– Powtórz to – powiedziała do chłopaka.

Ten otworzył usta, ale nie padł z nich żaden dźwięk. Ich koń przestępował nerwowo z nogi na nogę, jakby spłynął na niego niepokój Xandera.

– No, powtórz – zachęcała go Sally. – Powiedz Kobziarzowi to, co powiedziałeś mnie.

Xander nadal nie odezwał się ani słowem. Sally odwróciła się do Kobziarza.

– Jakie okręty wysłałeś na poszukiwanie Zamorza? – spytała.

– „Evelyn” i „Rosalind” – powiedzieli chórem Zoe i Kobziarz.

Sally uśmiechnęła się, zmuszając zmarszczki na twarzy do ułożenia się w całkowicie nową kompozycję.

– To właśnie powiedział „Rosalind”.

Raz jeszcze złapała Xandera za ramię.

– No, powiedz to Kobziarzowi – nalegała. – Powtórz.

Xander wydawał się zniecierpliwiony, ale powiedział:

– Już to raz mówiłem. „Rosalind”. „Rosalind” wraca.

Nie dało się go namówić, by powtórzył to raz jeszcze, ale te słowa wystarczyły, by w naszych sercach pojawił się nowy entuzjazm. Simon był nadal nieprzekonany i w końcu bąknął pod nosem, że przemyśli kwestię wysłania ludzi na Ponury Przylądek, by szukali statków, o ile uda się oswobodzić Nowy Hobart. Rozumiałam jego niechęć. Wszak okręty pozostały długo nieobecne, a na morzach szalały już burze, w obliczu czego nieliczne słowa wymamrotane przez Xandera wydawały się mało przekonujące.

Mimo to przez cały ten dzień i następny nie przestawałam myśleć o słowach Xandera. Tuliłam je w głowie niczym ptak swe jajko.

„Rosalind” wraca.

Na bagnach chłód okazał się jeszcze bardziej dokuczliwy. Gdyby nie naglił nas czas, moglibyśmy pozwolić sobie na wyminięcie najgorszych mokradeł, ale

trzeba było się spieszyć. Bywało, że przez pół dnia lub dłużej prowadziliśmy konie po kolana w wodzie. Sally w ogóle nie narzekała, ale w nocy, gdy wszyscy kuliliśmy się wokół ognisk, rozpalonych z wilgotnawych trzcin, widziałam, że z trudem utrzymuje jedzenie. Jej dłonie były tak zeszywniałe, że przypominały węzły nie do rozwiązania. Widziałam, że Kobziarz zaciska mocno zęby, by nimi nie szczekać, a Zoe naciąga rękawy na posiniałe dłonie.

Gdy znaleźliśmy się sześć mil na wschód od Nowego Hobartu, wciąż otoczeni bagnami, Simon zarządził rozbić obozu. Wokół rozciągały się sadzawki i trzęsawiska, między którymi wystawały pasma i wysepki ziemi. Woda, przy brzegach już pokryta lodem, była tu zbyt głęboka, by po niej brodzić, a trzcina przewyższała wysokością Kobziarza. Nieliczne grupki drzew były zniekształcone porywami wiatru, a ich konary powykręcane. Wokół sadzawek rosły mniejsze drzewa, których korzenie wślizgiwały się do wody. Przez cały dzień szukaliśmy najlepszego miejsca, aż Simon zdecydował się na niewielką wysepkę pośród cuchnących wód. Prowadziła do niej pojedyncza ścieżka, która wiła się przez wiele mil bagna. Powoli prowadziliśmy konie, które ostrożnie stawiały kopyta, testując wytrzymałość każdego skrawka terenu, a gdy znaleźliśmy się na miejscu, zbiły się w gromadę przy trzcinach i rżały z niepokojem. Robiły sporo hałasu, ale nie przejmowaliśmy się tym, gdyż trudno byłoby sobie wyobrazić jakichś przypadkowych wędrowców w tak nieprzyjaznym miejscu. Zwykły człowiek prędzej utonąłby w ciemnych, częściowo zamarzniętych wodach, niż natknął się na nasz obóz skryty wśród trzcin.

Zwiadowcy i posłańcy zostali już rozesłani, by wezwać pozostałych członków ruchu oporu, ale dotarcie do nas miało im zabrać wiele dni, jeśli nie tygodni. Zgromadziliśmy się w namiocie Simona i pochyliliśmy się nad mapą rejonu. Wyrysowane śmiałą kreską miasto, otoczone teraz murami Rady, wznosiło się na wzgórzu nad równiną. Jakąś milę na południe znajdował się las, spalony przeze mnie i Kimę. Na północy i zachodzie ciągnęły się równiny, tu i ówdzie przerywane rozpadlinami i niewielkimi grupkami drzew. Na wschodzie zaś zaczynały się bagna, w których się kryliśmy – wyspy błota wśród częściowo zamarzniętych wód i trzcin.

Wyszliśmy, by obejść obóz, w trakcie czego natknęliśmy się na Simona.

– Tylko się tu nie rozleniwiajcie – rzekł tamten. Zoe wymownie rozejrzała się po błotnistym skrawku ziemi, porośniętym trzcinami i nielicznymi, mizernymi drzewami. – Wysłałam ciebie i Zoe na zwiady. Będziecie przyglądać się miastu od południa. Violet wraz z dwoma innymi została wysłana, by obserwować północny perymetr. Interesuje mnie liczba żołnierzy i wszelkie szczegóły, które możecie zebrać na temat środków ostrożności stosowanych przez Radę, na przykład zachowania oraz trasy patroli i wszystko inne.

– Bierzemy Cass ze sobą – rzekł Kobziarz.

– To nie piknik na trawie – sprzeciwił się Simon. – Wysyłam ciebie i Zoe, bo jesteście najlepsi do takiej roboty. Cass będzie bezpieczniejsza w obozie.

– Nie mam zamiaru jej tu zostawiać – rzekł Kobziarz.

Zauważyłam, jak Zoe przewraca oczami.

– Znam Nowy Hobart – powiedziałam. – Z was wszystkich to ja ostatnia przemierzałam równiny wokół miasta oraz las.

– Las? – spytała Zoe. – Masz na myśli to, co z niego zostało, tak? Spaliliście go do cna!

Zignorowałam ją.

– Dobrze wiesz, że nikt mnie nie prześcignie, jeśli chodzi o znajdowanie i wykrywanie różnych rzeczy. Idę z nimi.

Simon przeniósł spojrzenie na Kobziarza, a potem znów na mnie.

– Dobra – zgodził się. – Ale miejcie na nią oko.

Odwrócił się. Nie miałam pewności, czy każe im mnie strzec, czy może szpiegować, ale w duchu czułam wdzięczność. Chciałam się stąd wyrwać. Wrogość żołnierzy Simona trochę zelżała – nadal mi nie ufali, ale przynajmniej się przyzwyczaili, czego nie dało się uniknąć podczas wspólnych podróży. Odzywali się do mnie uprzejmie, gdy prosili mnie o podanie butelki z wodą czy o wybranie najbezpieczniejszej drogi przez bagno, ale przez większość czasu unikali mnie i wodzili za mną z dala spojrzeniami. Podejrzewałam, że Simon również to widzi i doszedł do wniosku, że nasze zniknięcie poprawi morale.

Sally i Xander pozostali z resztą ludzi w obozie. Nigdy nie przyznałabym tego na głos, ale rozstanie z Xanderem sprawiło mi równie wielką ulgę jak opuszczenie całego oddziału. Po tym, jak zapowiedział powrót „Rosalind”, niewiele się już odzywał, ale za każdym razem, gdy widziałam jego rozedrgane dłonie lub słyszałam wyrzucony przezeń ciąg słów, zdawałam sobie sprawę z tego, że moje własne dłonie również są niespokojne, a mój przepełniony myślami umysł co chwila przeszywają wizje płomieni.

Przebycie bagna zabrało nam wiele godzin, ale wreszcie dotarliśmy do resztek lasu, który podpaliliśmy z Kimą pod koniec lata. W chwili obecnej widzieliśmy jedynie labirynt poczerniałych kikutów. Pożar strawił całkowicie wszystkie mniejsze drzewa i pozostały jedynie pnie tych większych. Wystarczyło mi dotknąć jednego z nich, by całkowicie pobrudzić dłonie.

Przed pożarem potrzebowalibyśmy latarni, by wędrować tu nocą, ale teraz wystarczył nam blask księżyca. Wędrowaliśmy wśród pni, których ostre końce oskarżycielsko celowały ku niebu.

Czy po kataklizmie cały świat tak wyglądał? Nie, pewnie przedstawiał się jeszcze gorzej. Nie było zgoła żadnych drzew. Czy gdziekolwiek przetrwał jakikolwiek las? Potęga Wybuchu zmiotła z tego świata wszystko, co żywe. Przypomniałam sobie idealną jałowość Pustkowi, gdzie po czterystu latach nadal

nic nie rosło, i zastanawiałam się, czy Zamorze nie będzie wyglądać podobnie.

Bliżej Nowego Hobartu część lasu ocalała przed pożogą. Stąd widać było już migoczące światła miasta, które znajdowało się zaledwie kilka mil dalej na północ. Rozłożyliśmy się tam na noc. Kobziarz objął wartę jako pierwszy, ale ja, choć już leżałam, również nie spuszczałam miasta z oczu. Dziwnie się czułam ze świadomością, że Elsa, Nina i dzieci są tak blisko. Po tym, co ujrzałam w wizji, każda związana z nimi myśl sprawiała, że serce zaczynało mi podskakiwać w piersi jak spłoszona żaba. Każdej nocy widziałam we śnie Elbę, unoszącą się w zbiorniku z rurą w bezwładnych ustach. Śniły mi się również ciała dzieci stłoczone w większym zbiorniku. Rozpoznawałam niektóre twarze. Alexa, który pękał ze śmiechu, gdy Kima go łaskotał. Louise, która wszędzie za mną chodziła, a raz zasnęła na moich kolanach. Dowiedziałam się wówczas, że waga śpiącego dziecka różni się nieco od jego wagi na jawie. Teraz, w moich wizjach, Wszyscy oni dryfowali, jakby zgoła nic nie ważyli, a włosy zasłaniały im twarze.

Zerwałam się ze snu z krzykiem.

– To ty chciałeś, by przybyła tu z nami! – Zoe syknęła do Kobziarza, który pochylił się nade mną, by mnie pocieszyć.

Nie mogłam odpowiedzieć. Z całej siły zaciskałam zęby, by nie zacząć wrzeszczeć ze wszystkich sił. Podczas snu rozdrapałam dłonią ziemię. Wpatrywałam się w bruzdy, które pozostawiłam na ciemnej glebie.

– To nie jej wina – odpowiedział chłodno Kobziarz, jednocześnie przyciskając dłoń do mego ramienia, by uspokoić moje dygotanie. – Sama dobrze o tym wiesz. Poza tym potrzebujemy jej.

– Ale patrolu, który ściągnie nam na głowę, raczej nie potrzebujemy – warknęła Zoe i odeszła.

Przez trzy dni przyglądaliśmy się miastu. Przed świtem opuszczaliśmy naszą kryjówkę w zwęglonym lesie i przekradaliśmy się na równinę. Powoli, kryjąc się w wysokiej trawie, przemykaliśmy do nielicznych wzniesień i zagajników, które oferowały jakiegokolwiek schronienie. Mur, pospiesznie wznoszony w chwili, gdy wraz z Kimą uciekałam z Nowego Hobartu, był już solidną strukturą wspartą o masywne pale. Czerwone Koszule, żołnierze Rady, patrolowali perymetr i strzegli wielkich bram. Zapamiętywaliśmy liczebność zarówno konnych, jak i pieszych patroli i godziny zmiany wart. Liczyliśmy wozy ze zbrojną eskortą, które wjeżdżały do miasta bądź wyjeżdżały z niego szerokim traktem, który wijąc się, przecinał południowe bagna i mknął ku Wyndham. Gdy któryś z nich wjeżdżał przez bramy, dokładnie przyglądaliśmy się całej procedurze. Było ich naprawdę wielu. Każdy dzień utwierdzał nas w przekonaniu, że Rada trzyma miasto żelazną ręką, a mur otacza ją niczym dłonie dusiciela.

Elsa, Nina oraz dzieci czekały na nas zaledwie kilka mil od miejsca, z którego prowadziliśmy obserwacje. Gdzieś tam, za tymi strzeżonymi murami,

znajdowały się też dokumenty, które mogły pomóc nam znaleźć Arkę i skrywane przez nią sekrety. Żołnierze prowadzili poszukiwania. Zbiorniki były napelniane. Godziny spędzane na obserwacji dłużyły się bardzo, ale z drugiej strony nigdy nie udawało się dostrzec tyle, ile chcieliśmy.

Co rano, tuż po świcie, około pięćdziesięciu Omeg wychodziło szeregiem przez wschodnią bramę. Eskortowani przez konnych strażników, szli na pola uprawne, ciągnące się na północny wschód od miasta. Tam pracowali, nadal pod okiem żołnierzy, aż pod wieczór wracali do miasta, pchając taczki wypełnione zbiorami.

W trakcie ich pracy żołnierze chodzili tam i z powrotem i rozmawiali ze sobą. Pewien starszy Omega potknął się i upuścił naręcze kabaczków, które właśnie miał załadować na wóz. Żołnierz, który powoził, odwrócił się i uderzył go batem, bez emocji i zaangażowania, niczym zwierzę, które odgania muchę ogonem, a potem popędził konia i odjechał. Omega nadal leżał na ziemi, przyciskając dłonie do twarzy. Nawet z tej odległości widać było krew spływającą po jego policzku. Pozostałe Omegi w pobliżu odwróciły się ku niemu, a któraś z kobiet pospieszyła zakrwawionej ofierze na pomoc, ale zatrzymał ją okrzyk innego żołnierza. Pochylona wróciła do pracy.

Zauważyliśmy również nowy budynek na zboczu wzgórza, wzniesiony od strony południowego muru. Była to długa, niska, pozbawiona okien konstrukcja, która wystawała ponad zbiorowisko starych domów. Gdyby nie to, że poznaliśmy zwyczaj Rady, uznalibyśmy ją za magazyn, ale wystarczył mi rzut oka, by wyczuć w środku zbiornik.

Rada okupowała Nowy Hobart zaledwie od paru miesięcy, a zbiorniki nie były łatwe do zbudowania. Widziałam komorę ze zbiornikami pod Wyndham i skomplikowaną plątaninę drutów, rur i migoczących światełek, które utrzymywały ludzi w stanie zbliżonym do śmierci. Czułam złożoną emanację Elektryki, śmigającej po przewodach. Ostatnio jednakże co noc widywałam twarze dzieci unoszących się w zbiornikach. Nie zostało im dużo czasu.

Trzeciego dnia naszej misji Zoe niespodziewanie przybiegła do nas ze swego stanowiska na niewysokim wzgórzu pośród mokradeł, z którego obserwowała zachodnią bramę Nowego Hobartu. Zdyszana, nie mogła wykrztusić słowa. Pochyliła się, oparła dłonie o kolana i po chwili wykrztusiła:

– Nie tylko my obserwujemy zachodnią bramę! Wokół punktu obserwacyjnego są ślady. Przynajmniej czterech, pięciu ludzi. To świeże ślady, pojawiły się po wczorajszym deszczu. Trawa jest całkiem zdeptana, co oznacza, że zapewne przyglądali się bramie przez większość nocy.

– A może to Violet i jej ludzie, którzy z jakiegoś powodu przeszli na naszą

stronę miasta?

– Inne buty – odparła Zoe. – Co więcej, wszystkie zostawiają identyczne ślady. To standardowe buty żołnierzy Rady.

– Po co mieliby się tu czaić w nocy i obserwować własne posterunki?

Nikt z nas nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Ślady prowadzą od miasta – powiedziała Zoe. – Ale zgubiłam trop, gdy weszli między trawy. Niestety, przebywałam tam na otwartej przestrzeni i nie zdążyłam dobrze się rozejrzeć.

Nikom z nas nie uśmiechało się włóczenie po zdradzieckich bagnach w ciemnościach, a więc wróciliśmy do naszej bazy przed zmrokiem. Złożyliśmy Simonowi szczegółowy raport z tego, co widzieliśmy. Dodaliśmy również informację o tym, że ktoś obserwuje miasto.

– Czy ludzie Violet na północy widzieli jakieś ślady innych? – spytał Kobziarz.

– Nie. – Simon pokręcił głową. – Ale udało się to Crispinowi. Wraz z Anną polowali na zachodzie, gdy natknęli się na wąwóz z samotnym świerkiem na skraju. Strzegło go dwóch ludzi w mundurach, a w nocy co chwila wchodzili tam i wychodzili inni. Wyglądało na to, że monitorują Nowy Hobart.

– Przecież to nie ma sensu – rzekła Zoe. – Po co Rada miałaby obserwować to miasto, skoro już je opanowała?

– Ale nie ma czegoś takiego jak jedna Rada – powiedziałam. Przypomniały mi się słowa Prowodyra: „Ty naprawdę myślisz, że jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną i przesiadujemy wspólnie w sali narad, poklepując się po plecach? Największym wrogiem członka Rady są ci, którzy jednocześnie są mu najbliżsi”. Przypomniała mi się również ostatnia sytuacja, kiedy natknęliśmy się na ślady ukrytych zwiadowców, tuż przed nocą, kiedy zostaliśmy zaatakowani przez Prowodyra. Miałam wrażenie, że jego ramię znów oplótło moją szyję.

– To Prowodyr – powiedziałam. – Jest tutaj.

– Co ty znów wygadujesz? – odezwał się Simon.

Odwrociłam się gwałtownie ku niemu.

– Wygaduję? A może byś przestał podważać moje słowa na każdym kroku i skorzystał wreszcie z moich wizji, co? One mogą nam pomóc. Znalazłam Wyspę. Znalazłam drogę z Przechowalni. Znalazłam maszynę Spowiedniczki!

– Po co miałby obserwować Nowy Hobart? – spytał niecierpliwie Simon.

– Z tego samego powodu co my! – powiedziałam, myśląc o obrzydzeniu na twarzy Prowodyra, gdy mówił o maszynach. – Nie ufa Pani Generał ani Zachowi. Chce wiedzieć, co oni planują i czego szukają w mieście.

– Rozłam w łonie Rady to na dłuższą metę dobra wiadomość – oznajmił Kobziarz. – Ale nawet jeśli to rzeczywiście ludzie Prowodyra, nie ma to teraz dla nas znaczenia.

Odwrócił się do Simona.

– Ostrzeż strażników na perymetrze obozu i rozstaw wartowników na północnym skraju lasu, byśmy wiedzieli, że zbliżają się do nas.

Wydał te rozkazy równie instynktownie, jak rzucał nożami. Nie umknęło mi również to, że Simon skinął głową i zrobił, co mu kazano.

Rozdział piętnasty

Od świtu do zmierzchu w naszym obozie trwały gorączkowe przygotowania. Stałam przy namiocie Simona i patrzyłam, jak dwóch beznogich mężczyzn kleci drabinę. Przyglądałam się precyzji, z jaką mocowali szczeble do długich drągów. Z drugiej strony obozowiska wyselekcjonowany oddział stał pod rozłożystym, koślawym drzewem i ćwiczył rzucanie linami z hakami. Ciskali nimi raz za razem, a gdy hak się zaczepił, pięli się po węzłowatych linach. Jeśli nasz atak miał się zakończyć powodzeniem, musieliśmy jakoś pokonać mur. Alternatywą była śmierć pod nim.

Codziennie docierali do nas nowi ludzie, a my z rozczarowaniem kwitowaliśmy fakt, iż jest ich o wiele mniej, niż się spodziewaliśmy. Przybywali pieszo, czasem w grupkach, czasem pojedynczo. Niektórzy potrafili walczyć, ale nie mieli broni. Inni przynosili wszystko, co udało im się znaleźć – zardzewiałe miecze bądź tępe siekiery, nadające się może do rąbania drewna, ale raczej nie do walki. Przybywali w pośpiechu, zaalarmowani słowami posłańców, ale przynosili też opowieści o tych, którzy zdecydowali nie odpowiadać na wezwanie. Niektórzy nie chcieli porzucać rodzin w przededniu zimy. Inni za bardzo się bali po inwazji na Wyspę i licznych najazdach na kryjówki ruchu oporu. Nie mogłam ich za to winić.

Niektórzy z nowo przybyłych byli znakomitymi wojownikami, którzy przeżyli najazd na Wyspę lub zdobywali doświadczenie w komórkach ruchu oporu na lądzie. Nie tworzyli jednak regularnej siły, zdolnej do toczenia bitew. Sprawdzali się w starciach z patrolami Rady i w napadach na wsie Alf, gdzie odbijali dzieci Omeg, nim te zostawały naznaczone. Wiedzieli, jak unikać żołnierzy Rady, jak kraść konie i jak atakować konwoje z zaopatrzeniem. Ludzie mówili, że ponad sto lat temu na wschodzie Rada krwawo stłumiła powstanie Omeg. Od tego czasu moi pobratymcy nie stoczyli żadnej walnej bitwy, nie licząc masakry na Wyspie, którą mało komu udało się przeżyć.

Pozostali przybysze rekrutowali się głównie spośród kontaktów ruchu oporu. Nie szkolono ich do walki, a czasem zgoła się do niej nie nadawali. Byli lojalni wobec naszej sprawy i cieszyliśmy się z ich przybycia, ale po zapadnięciu zmroku często myślałam o wszystkich kalekach, którzy z trudem dopętlili do naszego obozu, i zadawałam sobie pytanie, gdzie my ich właściwie prowadzimy.

Tej nocy znów przyśniło mi się, że znalazłam się w domu Elsy. Przemierzyłam długi pokój, w którym przy ścianach stały łóżeczka dzieci. W środku panowała cisza. W pierwszej chwili pomyślałam, że dzieci zapewne śpią, ale kiedy podeszłam do łóżek, uświadomiłam sobie, że są puste. Wówczas

zwróciłam uwagę na to, że cisza w domu jest wręcz głucha. Spędziłam w tym miejscu wiele czasu i wiedziałam, że to niemożliwe. Za dnia dzieciaki wariowały na podwórku lub w jadalni, Nina trzaskała garnkami w kuchni, a nad gwarem unosił się głos Elsy, strofującej nieposłusznego podopiecznego. Nawet w nocy czterdzieścioro dzieci nie przestawało dawać o sobie znać – niektóre pochrapywały bądź sapały przez sen, któreś z młodszych popłakiwało, obudzone koszmarem. Teraz nie słyszałam niczego poza jednym pojedynczym dźwiękiem – niepokojąco rytmicznym kapaniem, dobiegającym z przeciwnego końca pokoju wspólnego. Kap. Kap. Kap. Ruszyłam przez mrok, wodząc dłonią po poręczy każdego kolejnego łóżka.

„Może to tylko dziura w dachu, przez którą przecieka woda – pomyślałam. – Albo nieszczęlny jest któryś dzbanek z wodą, z których dzieci korzystają przy porannym myciu”.

Lecz gdy dotarłam do przeciwległej ściany, nie znalazłam żadnej kałuży na podłodze. Dźwięk wydawał się dobiegać z góry. Zadarłam głowę i dojrzałam kolejną kroplę opadającą z sufitu. Miała króciutką drogę do przemierzenia – niecałe pół metra niżej uderzyła w powierzchnię płynu, który wypełniał całe pomieszczenie. Z miejsca, w którym stałam, widać było koncentryczne kręgi, rozchodzące się na powierzchni po opadnięciu każdej kropli. Otworzyłam usta, by krzyknąć, ale gęsty płyn wytłumił wszelkie dźwięki. Nawet ja nie usłyszałam własnego wrzasku.

Gdy się przebudziłam, okazało się, że Kobziarz siedzi przy mnie i potrząsa mnie za ramię. Nie krzyczałam przez sen, ale zwinięta kurtka, której używałam w charakterze poduszki, była mokra od potu, a skopany koc zaplątał mi się wokół nóg.

– Najpierw wsadzą do zbiorników dzieci – powiedziałam.

– Kiedy?

– Nie wiem! – Pokręciłam głową. – Może dziś. Może jutro. Nie wiem. Ale na pewno wkrótce.

Wizja zalecała pośpiech, nie miałam co do tego wątpliwości.

– Musimy natychmiast atakować!

– Lada moment dotrze do nas sześćdziesięciu ludzi z zachodnich gór – zaoponował Kobziarz. – I kolejni ze wschodu, jeśli posłańcy dotarli na czas.

– Będzie już za późno – odparłam. – Dzieci trafią do zbiorników lada moment.

– Nie ocalimy ani ich, ani nikogo innego, jeśli doprowadzimy do masakry własnych oddziałów – rzekła Zoe. – Drugiej szansy już nie dostaniemy. Musimy przejąć wszystko, czego Rada tam poszukuje, a bez odpowiedniej liczby ludzi jesteśmy bez szans.

– A co z szansami tych dzieci? – spytałam Kobziarza. – Sam widziałeś, co

zbiornik zrobił z Kimą, a przecież był to Alfa. Nawet jeśli uda nam się przejąć miasto i wyswobodzić dzieci ze zbiorników, nigdy nie będą już takie same. Nie chcesz ich ocalić?

– Tu nigdy nie chodziło o to, czego ja chcę – odparł ten i odwrócił spojrzenie. – Tu chodzi o potrzeby ruchu oporu.

Przez cały ranek przyglądałam się treningowi bojowników, a w ustach czułam resztki smaku płynu ze zbiornika. By przestać o tym myśleć, poprosiłam Zoe, by pomogła mi usprawnić walkę nożem. Niewiele rozmawialiśmy podczas ćwiczeń, Zoe zresztą ograniczała się do praktycznych instrukcji: „Niżej. Odślaniasz się za mocno”, „Z tak bliskiego dystansu używaj łokcia, a nie pięści”. Stawałam się coraz szybsza, a czas między myślą a ruchem się zmniejszał. Techniki uderzania, które pokazywała mi Zoe, powoli wchodziły mi w krew. Wiedziałam, że nigdy jej nie dorównam, ale udawało mi się już unikać niektórych ciosów. Choć było zimno, zrzuciłyśmy płaszcze i bluzy, a przepocona koszula przylgnęła mi do mokrych pleców i łokci. Trening zmuszał mnie, bym skupiła się na ciele – na naprężeniu prawego barku, na trzymaniu ramienia z nożem przed twarzą i na siniaku na policzku, pamiętce po chwili nieuwagi, bezwzględnie wykorzystanej przez Zoe. Okrążyłyśmy się i zwieraliśmy bez końca, a ja musiałam się skupić jedynie na oddychaniu. Nie pamiętałam już o wizji z dziećmi.

– Koniec – powiedziała Zoe po jakiejś godzinie. – Nie ma sensu się wykańczać.

Chciała odejść, ale zatrzymała się i skinęła głową.

– Jest lepiej – rzekła.

Nigdy nie słyszałam od niej czegoś, co bardziej przypominałoby pochwałę.

Stałam przed wejściem do naszego namiotu. Niedaleko, na pniu zwalonego drzewa, siedziała Sally, a u jej stóp kucalo czterech żołnierzy, wpatrzonych w mapę, rysowaną przez staruszkę kijkiem na ziemi. Za nimi spętane konie z chrzęstem pochłaniały siano, przyniesione przez zwiadowców spoza bagien. Trzech rzemieślników cięło obalone drzewo na tarcze, a w centrum obozu, gdzie teren był stosunkowo płaski, oddział bojowników ruchu oporu ćwiczył walkę. Uzbrojeni w miecze ludzie ścierali się jeden na jeden, a szczęk broni przypominał mi dźwięk dzwonów alarmowych na Wyspie, ostrzegających przed nadciągającą flotą Rady. Kobziarz trenował z Violet, doradczynią Simona. Przewyższał ją wzrostem i siłą, ale ona miała oba ramiona, dzięki czemu mogła trzymać tarcze. Szanse były równo rozłożone – jej krótki miecz sprawnie blokował uderzenia długiego miecza Kobziarza, a tarcza przechwytywała pozostałe. Kobziarz, który tarczy nie miał, musiał się więc poruszać szybciej i oszczędniej. Każdy jego blok czy obrót był niezwykle precyzyjny, wydawał się wirować w miejscu, przez co

zmuszał przeciwniczkę, by poruszała się dookoła niego. Uderzał zaś tylko wtedy, gdy dostrzegał lukę po źle wyliczonym ciosie Violet.

Przewaga przechodziła z rąk do rąk. Dzięki swemu długiemu ramieniu Kobziarz dwukrotnie zdołał dosięgnąć jej szyi i delikatnie klepnąć ją płazem miecza, a Violet, dzięki swej szybkości, dwa razy przebiła się przez jego obronę i trąciła go ostrzem w bok. Potem odskakiwali od siebie na moment i znów rozpoczynali walkę. Zauważyłam jednak, że choć Kobziarz kiwał głową za każdym razem, gdy jego przeciwniczka zdobyła punkt, a raz, gdy zamachnął się za mocno i potknął, parsknął nawet śmiechem, twarz Violet nadal była zacięta. Przy każdym kolejnym zwarciu atakowała coraz szybciej. Wkrótce oboje ciężko dyszeli, a na zdeptanej trawie wokół nich nie było już ani śladu szronu.

Niespodziewanie Violet znów zdobyła punkt. Pokonała Kobziarza, ale zamiast obrócić ostrze i pacnąć go płazem, cięła go ostrzem. Nie było to mocne uderzenie, ale wystarczyło, by Kobziarz skrzywił się z bólu, a na jego koszuli pojawiła się cieniutka strużka krwi. Zoe, która rozmawiała z Simonem, odwróciła się gwałtownie. Nie miałam pojęcia, czy sama poczuła ból z rany Kobziarza, czy może usłyszała syk, z jakim ten wciągnął powietrze.

Kobziarz odsunął się od Violet i uniósł brwi. Nie spoglądał na krew, ale nagle uświadomiłam sobie, że przybrał postawę bojową, którą pamiętałam z lekcji z Zoe – ugięte kolana, waga ciała przeniesiona na palce u stóp, miecz wzniesiony.

– Wyręczasz teraz Radę, Violet? – spytał.

– A ty czym się niby zajmujesz od czasu masakry na Wyspie? – odcięła się.

Krażyli powoli dookoła siebie, czubki ich mieczy nieomal stykały się w powietrzu. Pozostali przerywali trening i z opuszczoną bronią wpatrywali się w napiętą wymianę zdań.

– Powinieneś był oddać im wizjonerkę – rzekła Violet.

– Okryłbym się hańbą, gdybym jako przywódca oddał jedną z naszych rodaczek wrogowi – odparł Kobziarz.

Violet zaatakowała. Przy trzecim złożeniu Kobziarz zatrzymał jej uderzenie. Ostrze kobiety ześlizgnęło się ze zgrzytem po jego własnym, aż zatrzymało się przy rękojeści. Oboje napierali na siebie, stojąc niemalże twarzą w twarz. Wtedy Violet wymierzyła kopniaka. Kobziarz uniknął go, a w chwili, gdy Violet odzyskiwała równowagę, naparł wściekle na jej ostrze i uwolnił własne. Kobieta została uderzona rękojeścią własnego miecza w twarz. Otarła ją ręką, do której przytroczyła tarczę, rozsmarowując krew, ściekającą z kącika ust.

– Ona nie jest jedną z nas – rzekła. – To wizjonerka.

Ludzie stojący dookoła przenieśli spojrzenia na mnie, a ja zmusiłam się, by odpowiedzieć tym samym.

– Cass jest jedną z nas – oznajmił Kobziarz.

Violet ruszyła do kolejnego ataku. Cięła nisko, a mężczyzna zablokował

zarówno ten cios, jak i kolejny.

– Oddanie jej w ręce Spowiedniczki nie ocaliłoby Wyspy – sapnął z wysiłkiem Kobziarz, odpierając ataki.

– A skąd ta pewność? – spytała Violet. – Poza tym wszyscy widzieliśmy, jak na nią patrzysz. Nie próbuj mi wmówić, że ocaliłeś ją dla dobra ruchu oporu.

Znów cięła nisko i Kobziarz odskoczył, by jej ostrze nie rozorało mu uda. Potem przejął inicjatywę i wymierzył jej trzy szybkie ciosy. Violet sprawnie zablokowała każdy z nich, ale musiała się cofnąć o kilka kroków. Kobziarz nacierał nieubłaganie i w pewnym momencie zahaczył stopą o jej kostkę. Kobieta straciła równowagę i padła, a Kobziarz natychmiast przypadł do niej i wybił jej broń z ręki. Uklęknął na niej, wbijając jej kolana w klatkę piersiową, i przytknął jej ostrze miecza do gardła. Przez chwilę byłam przekonana, że przebije jej gardło.

– Nie! – krzyknęłam.

Moje słowo zawisło w mroźnym powietrzu.

Klinga Kobziarza ani drgnęła, gdy pochylił się nad Violet. Jego twarz znalazła się tuż nad nią, by nie mogła odwrócić wzroku.

– Załóżmy, że wydałbym Cass i Kimę i ocaliłbym Wyspę. Jak myślisz, kogo musiałbym wydać Radzie następnym razem? A kogo później? Co byś zrobiła, gdyby padło na twego męża? Albo na kobietę, która cię wychowywała? Na dziecko, które kochasz? I co by było, gdybym wydał was wszystkich, jednego po drugim? Co wtedy?

– Powinieneś pójść na kompromis! – krzyknęła Violet.

Ślepo macała naokoło w poszukiwaniu broni, ale Kobziarz odrzucił ją własnym ostrzem.

– Rada nie bawi się w kompromisy – odparł. – Im zależy tylko na stopniowym przejmowaniu całkowitej kontroli. Naprawdę myślisz, że pozwoliliby nam żyć w pokoju? Może zrobiliby tak kiedyś, kiedy nie mieli alternatywy. Ale teraz mają zbiorniki, a wraz z nimi pojawił się cel: zamknąć nas wszystkich. Nie przestaną, dopóki do tego nie doprowadzą, a oddanie im Cass jedynie przyspieszyłoby proces.

Odrzucił własny miecz, który wylądował w błocie przy mojej stopie. Potem powstał. Spojrzał na Violet wciąż leżącą na plecach.

– Ja również walczyłem na Wyspie. Krwawiłem tam podobnie jak ty i wraz z tobą noszę żalobę po tych, co zginęli – odezwał się głośno. Jego słowa skierowane były do zgromadzonego tłumu, nie tylko do Violet. – Będę również walczył i krwawił, gdy ruszymy do walki o Nowy Hobart, ale wolę zginąć, pnąć się na mury, niż żyć w zbiorniku.

Pochylił się i wyciągnął dłoń ku Violet. Ta zawahała się. Z kącika jej ust na podbródek ściekała strużka krwi. Wpatrywała się w Kobziarza, aż ujęła jego dłoń, pozwoliła, by pomógł jej wstać, a potem odeszła.

Kobziarz odwrócił się do obserwujących go bojowników.

– Czy ktoś jeszcze chciałby mi coś powiedzieć o Wyspie?

Nikt się nie odezwał.

– No to wracajmy do roboty – rzekł, podniósł miecz i ruszył w stronę środka polany, na której odbywały się ćwiczenia.

Ludzie schodzili mu z drogi. Na ustach Sally, przyglądającej się zajściu, pojawił się lekki uśmiech.

Tej nocy obudził mnie cichy szloch w ciemnościach. Dopiero po kilku minutach zorientowałam się, że to nie Xander. Chłopak leżał blisko Sally i spał spokojnie z otwartymi ustami. Dalej widziałam Zoe i Kobziarza, oboje również pogrążonych w głębokim śnie. Kobieta miała koc narzucony na głowę.

A więc ów lament słychać było tylko w mojej głowie. Po chwili zaczęłam rozróżniać w nim pojedyncze głosy. Usłyszałam bulgoczący szloch małego Alexa i przypomniałam sobie, jak Elsa zawsze ocierała mu ciekący nos chusteczką. Potem odkryłam piskliwy płacz małej Louisy.

– Zabierają ich – powiedziałam, potrząsając ramieniem Kobziarza.

Byłam mu wdzięczna, że przez następne godziny nie odezwał się ani słowem i nie próbował mnie przekonywać, że wszystko będzie dobrze. Siedział ze mną po turecku, a gdy ja zaczynałam się kołysać bądź płakać, nie wpatrywał się we mnie ani nie próbował przytrzymać. Po prostu czekał wraz ze mną, cierpliwy niczym mrok.

Nie byłam w stanie nic dla tych dzieci zrobić. Mogłam jedynie być świadkiem ich losu. Zacisnęłam więc powieki i poddałam się wizji. Ujrzałam wozy toczące się wąską uliczką i pojedynczą latarnię kołyszącą się nad głową woźnicy. Widziałam kształt długiego niskiego budynku, odcinający się mrokiem od rozgwieżdżonego nieba. Na krawędziach szczelin jednego z wozów zaciskały się drobne rączki. Okrzyki, które dobiegały ze środka, nie były już tak głośne jak w chwili, gdy wizja mnie obudziła. Nie tak krzyczą dzieci, które chcą, by ktoś je usłyszał, a nawet im pomógł. Słyszałam lament dzieci, które wiedziały, że nikt im nie pomoże.

I nie myliły się.

Rozdział szesnasty

Pierwszy śnieg spadł o świcie, a po południu namioty zaczęły się zapadać pod jego ciężarem. Bagno nawet podczas dobrej pogody nie było najlepszym miejscem do obozowania, a teraz zamieniło się w zatłoczone trzęsawisko śniegu i błota, smagane zimnym wiatrem, który szarpał luźnymi połami namiotu. Toalety wykopano wzdłuż wschodniej krawędzi, ale smród roznosił się po całym obozie.

Wedle szacunków Simona w obozie zgromadziło się prawie pięciuset żołnierzy. Było ich więcej, niż sądziłam, ale nadal mniej, niż potrzebowaliśmy.

– Jest nas za mało – rzekł cicho Simon. – Widzieliście nasze szacunki liczebności przeciwnika. W samym Nowym Hobarcie jest ich przynajmniej tysiąc pięciuset, a do tego większość dobrze uzbrojona.

– W obrębie Rady istnieją podziały – powiedziałam. – Powinniśmy to wykorzystać.

– O czym ty mówisz?

– O Prowodyrze.

Sądząc po ich reakcji – Zoe przewróciła oczami, a Simon pokręcił głową – równie dobrze mogłabym wyrzucić z siebie serię nieskoordynowanych dźwięków jak Xander. Mimo to nie poddawałam się.

– Wiemy, że obserwuje Nowy Hobart. Wiemy, że jest przeciwny zbiornikom.

– Ale to członek Rady – powiedziała Zoe. – I to zamyka sprawę.

– A jeśli poprosimy go o pomoc?

– Na mnie nie licz – rzekł Kobziarz. – Poza tym gdybyśmy to zrobili, automatycznie zdradzilibyśmy się z naszymi planami. Może i nie zgadza się z Zachem i z Panią Generał, ale nadal jest lojalny wobec Alf i Rady. Ostrzegłby ich i zniweczył wszystkie nasze szanse.

– Pani Generał ma praktycznie całą Radę w kieszeni – odezwała się Sally. – Nikt nie poprze Prowodyra, któremu zamarzyła się rebelia.

– Nie mówię o Radzie – odparłam. – Mam na myśli zwykłe Alfy, jak choćby żołnierzy. Niektórzy z nich dochowaliby mu wierności. Pamiętacie, co mówił? Kilku ludzi Zacha już do niego dołączyło ze strachu przed maszynami, które widzieli.

– Dlaczego te maszyny tak bardzo przerażają ludzi? – spytał Kobziarz. – Jak sądzisz?

– Ze względu na nas – odparłam. – Ze wszystkich anomalii, które przyniósł ze sobą Wybuch, jesteśmy tą, której boją się najbardziej. Myślisz, że ci ludzie wsparliby nas w walce?

– Myślę, że poparliby Prowodyra, gdyby ich poprosił.

Pamiętałam, jak stał nieporuszony i wpatrywał się w uniesione noże Zoe

i Kobziarza. Był człowiekiem, który oczekiwał od innych, iż będą słuchać jego rozkazów.

Kobziarz miał podobne oczekiwania. Uniósł brew, słuchając moich słów.

– Chcesz się sprzymierzyć z człowiekiem, który nie dostrzega fundamentalnego problemu związanego ze zbiornikami? Któremu przeszkadza jedynie to, że wykorzystywane są w nim maszyny? Który z radością by się nas pozbył, gdyby udało się tego dokonać bez użycia technologii? Prowodyr nie jest po naszej stronie!

– Potrzebujemy pomocy i nie mamy wyboru. Musimy wykorzystać każdą możliwość – przekonywałam. – Macie może jakiś lepszy pomysł? Motywów kierujących Prowodyrem nie da się nazwać czystymi, ale sam powiedziałaś zeszłej nocy, że nie chodzi tu o to, czego my chcemy. Musimy wziąć pod rozwagę potrzeby ruchu oporu. Dzięki jego pomocy udałoby się nam ocalić mieszkańców miasta przed straszliwym losem w zbiornikach.

– Niewykluczone – odparł Kobziarz. – Ale on tego nie zrobi. Tak daleko się nie posunie. Skontaktował się z nami, bo potrzebował informacji, niczego więcej. Nie możemy mu zaufać, gdyż postawi to powodzenie naszej misji pod znakiem zapytania.

Znów pochylił się nad mapami. Wokół mnie nadal trwały rozmowy.

– Zaatakujemy za pięć dni o północy – oznajmił Kobziarz. – Księżyc będzie w nowiu, co zwiększa nasze szanse na niepostrzeżone podejście do miasta.

Zamknęłam oczy, ale widziałam jedynie miecze i krew.

– Wciąż za mało – powtarzał niczym refren Simon, gdy zbieraliśmy się w jego namiocie i zdawaliśmy raport z liczebności nowo przybyłych posiłków.

– W Nowym Hobarcie są tysiące ludzi gotowych nas wesprzeć w walce – powiedziałałam. – Musimy tylko znaleźć sposób na to, by ich ostrzec i przygotować.

– Jeśli masz jakikolwiek pomysł na wślizgnięcie się do środka, podziel się nim, proszę – rzekła Zoe.

– A co z tymi, którzy nie przebywają za murami? – spytałam, myśląc o spostrzeżonych przez nas robotnikach, którzy każdego dnia o świcie wychodzili przez bramy miasta.

– Sama ich widziałaś – rzekł Kobziarz. – Żołnierze nie spuszczaają ich z oczu. Nie ma możliwości, by zbliżyć się do któregoś z nich i porozmawiać.

Miał rację. Zaledwie dwa dni wcześniej przyglądaliśmy się kolumnie robotników wychodzących przez bramę. Zbiory zostały właściwie zakończone, a to, co zostało na polach, nie nadawało się już raczej do spożycia. Ludzie ryli gołymi rękami w zmarzniętej ziemi, powoli, z mozołem, a pilnujący ich żołnierze przechadzali się rozluźnieni. Ze spokojem patrolowali perymetr, żując tytoń

i gawędząc w swoim gronie, a raz sięgnęli po baty, by obić Omegę, który najwolniej zbierał ziemniaki.

– Ale pola są strzeżone tylko za dnia – powiedziałam.

– Do czego zmierzasz? – spytała Sally.

– Moglibyśmy się zakraść na pola w nocy i zostawić im wiadomość.

Przekazać, by szykowali się do walki.

– A czym niby mieliby walczyć? – zapytał Kobziarz. – Jestem przekonany, że Rada już dawno pozabierała im wszelką broń. Nie dostali nawet kos na żniwa! My zaś nie mamy wystarczająco dużo broni, by się nią dzielić, nawet gdybyśmy mogli ją jakoś przemycić do miasta.

– Istnieje wiele drobnych rzeczy, które mogliby dla nas zrobić, gdybyśmy zdążyli ich ostrzec. Mogliby okaleczyć konie Rady, wywołać zamieszanie, podpalić mur. Ba, na pewno znajdą gdzieś jakieś noże kuchenne czy kije, by móc nas wesprzeć! Na pewno nam pomogą. Musimy tylko wymyślić sposób, by zostawić im wiadomość.

– A wiesz, że szansa, iż ktoś ją zauważy, jest raczej niewielka? – Tym razem to Simon okazał sceptycyzm. – Jasna cholera, Cass, wielu z tych ludzi nie potrafi nawet czytać!

– Prawda, ale jeśli zauważą wiadomość, wymyślą sposób, by pokazać ją komuś, kto czytać potrafi.

– A jeśli zamiast Omegi wiadomość znajdzie żołnierz?

– Obserwowaliśmy żołnierzy przez kilka dni. Zauważyłeś może, by którykolwiek z nich choć raz postanowił się ubrudzić? Jeśli dobrze ją schowamy, znajdą ją tylko robotnicy.

– Ale nie wiemy, kim oni tak naprawdę są. – Simon pokręcił głową. – Co zrobimy, jeśli na nas doniosą? Wystarczy, że jeden z nich piśnie słowo, i już po wszystkim. Wystarczy, by jeden z nich bał się odrobinę za mocno lub potrzebował czegoś od żołnierzy.

– Jeszcze dwa dni temu powiedziałabym, że masz rację – odezwała się Sally.

– Ale Rada wczoraj odebrała tym ludziom dzieci. Cass ma rację. Ci ludzie stracili własne rodziny i bez wątpienia zorientowali się, że znaleźli się w rozpaczliwej sytuacji.

– Nadal ponosimy ogromne ryzyko – rzekł Kobziarz.

Spojrzałam mu w oczy.

– Kiedy ostatnio robiliście coś, co nie byłoby obarczone ryzykiem? – spytałam.

Po zapadnięciu zmroku dotarliśmy na skraj spalonego lasu. Z leżących przed nami pól, ciągnących się wokół murów miasta, zebrano już większość zbiorów.

Widzieliśmy jedynie rzędy dyń, przykrytych warstewką śniegu.

Simon znalazł dla nas papier i atrament, ale obawialiśmy się, że wypisane na kartce litery rozmażą się w śniegu. Postanowiliśmy więc sięgnąć po bardziej bezpośrednią metodę i postanowiliśmy wyryć ostrzeżenie na spodzie dyni. Pole leżało zaledwie kilkaset kroków od posterunków na murach, a więc trzeba było położyć się na ziemi i czołgać przez śnieg. Poruszaliśmy się tak powoli, że po chwili zimno dokuczało nam bardziej niż świadomość, że w każdej chwili możemy wywołać alarm. Gęste chmury zasłaniały cienki rożek księżycy. Choć przebywaliśmy w okolicy miasta od wielu dni, nigdy nie podeszliśmy tak blisko. Moje przemoczone ubranie ziębiło mi skórę przy każdym ruchu. Nawet nie próbowałam już opanować dreszczy. Posuwaliśmy się naprzód powoli, pokonując zaledwie niecały metr naraz. Gdy na wysokości wschodniego muru pojawił się konny patrol, zamarliśmy i wcisnęliśmy twarze w ziemię, czekając, aż ci przejadą. Łomot kopyt na zamrożonej ziemi i szcęk broni wydawały się przerażająco bliskie. Kiedy mijali wschodnią bramę, usłyszeliśmy, jak wymieniają pozdrowienia ze strażnikami.

Wreszcie dotarliśmy do pola z dyniami. Moje ręce były tak zgrabiłe, że podczas rycia dwukrotnie upuściłam nóż. Uzgodniliśmy wcześniej treść naszych wiadomości, które musiały być krótkie i precyzyjne, i postanowiliśmy, że każde z nas wypisze je na możliwie największej liczbie dyń. Zdanie Kobziarza brzmiało: „Niedługo zabiorą was, tak jak zabrali dzieci”. Zoe ryła: „Więzienie jest gorsze od śmierci”, gdyż ustaliliśmy, że nie będziemy próbować wyjaśnić, czym są zbiorniki. Trudno by było wyryć ich opis na spodzie dyni w środku mroźnej nocy. Ja zostawiałam inną wiadomość: „Atakujemy w nowiu o północy. Gotujcie się”. Każdy z nas dodał do informacji symbol Omegi, który nosiłam na czole i który powiewał nad Wyspą przed masakrą. Nawet analfabeta nie był w stanie pomylić z niczym znaku, który został wypalony na jego własnym ciele.

Wycięcie każdej litery było wielkim wyzwaniem. Ostrze noża ślizgało się po obłej ścianie dyni. Co więcej, ciemność, która skrywała nas przed wzrokiem straży, sprawiała, że nie widzieliśmy, co tak naprawdę robimy, a więc pracowaliśmy po omacku. Przy pierwszej dyni popełniłam błąd – z początku wycinałam zbyt wielkie litery, przez co pod koniec zdania musiałam je zmniejszyć i ściętnić. Przy drugiej poszło mi lepiej, bo wiedziałam już, jak trzymać nóż, by pewniej ciął stwardniałą powierzchnię. Drżące palce powoli formowały litery. Przy trzeciej odrzuciłam głowę do tyłu i parsknęłam cichym śmiechem.

– Wszystko w porządku? – Kobziarz odwrócił się ku mnie.

Zacisnęłam dłonie na ustach, ale mimo to nie przestawałam się śmiać.

– Przecież to wszystko to... To jakiś absurd! Pomyśl tylko... Dynie! – Z trudem łapałam powietrze. W kąci oka łaskotała mnie łza, która wydawała się ciepła na zmarzniętej twarzy. – Myślałam, że pieśń Leonarda i Ewy to dziwna broń,

ale to przebija wszystko. To nasza rewolucja! Dyniowa rewolucja!

Kobziarz wyszczerzył zęby.

– Nie takie rzeczy pojawiają się w legendach, co? – szepnął. – Nikt o tym nie napisze pieśni. Nawet Leonard nie byłby w stanie ułożyć takiej, która brzmiałaby poważnie.

– Nie robimy tego dla sławy – odezwała się Zoe, ale widziałam, że też się uśmiecha.

Kłęczeliśmy na śniegu i śmialiśmy się do siebie. Nad nami kurczył się księżyc. Do ataku pozostawało coraz mniej czasu.

Resztę nocy przesiedzieliśmy w lesie, a rano podkradliśmy się na skraj, by przyjrzeć się robotnikom wyprowadzanym przez bramę. Przykucnęliśmy za kępami krzewów po wschodniej stronie pól, gdzie odkryliśmy, że świeży śnieg przykrył nasze ślady z nocy. Niestety, dynie, na których z mozołem ryliśmy nasze ostrzeżenia, również były przykryte grubą warstwą śniegu. Przez całe rano zajęci pracą robotnicy nawet nie zbliżyli się do naszych grządek. Żołnierze zaprowadzili ich na sąsiednie pole, gdzie przez długie godziny harowali na czworakach, wrywając marchwie i pasternak. Nie mieliśmy pojęcia, jak długo nasze wiadomości będą się nadawać do odczytania. Któż mógł wiedzieć, czy ponacinane w nocy dynie nie zaczną się zasklepiać. Jeśli nie zostaną szybko zebrane, niedługo będzie i tak za późno – do nowiu zostało wszak zaledwie trzy dni.

W południe bramy zostały ponownie otwarte i dwóch żołnierzy wyprowadziło przez nie pusty wóz. Zatrzymali go na polach, a żołnierze krzykami i szturchańcami zapędzili robotników na pole z dyniami. Zoe trąciła mnie i całą trójką podkradliśmy się bliżej.

Skryci wśród traw patrzyliśmy na harujące Omegi. Trwało to ponad godzinę, nim dotarli do części, w której zostawiliśmy wiadomości. Dwie kobiety były coraz bliżej naszych dyń. Nie wydano im żadnych narzędzi, przez co musiały wrywać dynie prosto z ziemi. Była to bardzo ciężka praca, gdyż łodygi zamarzyły przez noc, a obie kobiety nie nadawały się do takich zadań. Ramię jednej z kobiet kończyło się przy łokciu, a druga była karlicą i większe dynie sięgały ponad jej talię. Kilka kroków dalej stał jakiś żołnierz, który przytupywał od czasu do czasu, by strząsnąć śnieg z butów. Gdy kobietom udało się wyrwać dynię, przekazywali ją wysokiemu Omedze, który niósł ją do wozu strzeżonego przez kolejnego żołnierza.

Karlica, zmagająca się z kolejną dynią, przerwała na moment pracę i zamarła. Usłyszałam, jak leżąca obok mnie Zoe wstrzymuje oddech. Wtedy kobieta szarpnęła ponownie i łodyga pękła. Odłożyła dynię na bok, czekając na powrót swego wysokiego towarzysza. Przy kolejnej spędziła więcej czasu – nachyliła się nisko, by przerwać łodygę. Leżałam kilkaset kroków dalej, wśród

wysokich traw, i nie byłam w stanie dostrzec, co tak naprawdę robi. Czy ukucnęła po to, by lepiej uchwycić uparte warzywo, a może wymacała już napis? Tym razem, gdy łodyga wreszcie ustąpiła, nie odłożyła dyni na bok, ale trzymała ją przez chwilę w ramionach, czekając na powrót mężczyzny. Ten nadszedł, pochylił się nad nią i przejął warzywo. Nie mieliśmy pojęcia, czy zamienili choć słowo. Mężczyzna w każdym razie nie dał tego po sobie poznać, ale gdy podszedł do wozu, zauważyłam, że układa dynię ostrożnie, wiadomością do dołu, jak najdalej od żołnierza.

Robotnicy dalej pracowali na polu, a my bacznie śledziliśmy ich ruchy. Za każdym razem, gdy któraś z kobiet uwalniała następną dynię, wyobrażałam sobie, jak zerka ukradkiem na nasze tajne sygnały. W pewnym momencie karlica zawołała koleżankę, by ta jej pomogła. Być może natrafiła na dynię cięższą od poprzednich, ale ja chciałam wierzyć w to, że szuka sposobności, by szepnąć coś towarzysze. Że wyryte przez nas słowa właśnie się roznoszą. Tak czy owak, stojąc w pobliżu żołnierz krzyknął ostro, gdy zauważył kobiety przy sobie. Te natychmiast wycofały się do przydzielonych sobie miejsc.

Ostatnie dynie zostały zebrane już po zapadnięciu ciemności. Śnieg pokrywał stopy warzyw na wozie ciągniętym w kierunku bram.

– Nawet jeśli nie dostrzegli naszych wiadomości – odezwałam się – istnieje spora szansa, że jeszcze je zauważą podczas rozładunku lub przy transporcie do magazynów.

– Istnieje też spora szansa, że wpadną w oko któremuś z żołnierzy – rzekła Zoe.

Znów zamykano bramę. Usłyszeliśmy głuchy łoskot opadających zasuw, równie ostateczny jak cios topora w rękach kata.

Rozdział siedemnasty

Po powrocie do obozu wśród bagien śniłam o krwi. Widziałam falę krwi, która narastała i napierała na Nowy Hobart niczym płyn ze zbiorników ze wszystkich wcześniejszych wizji. Dostrzegłam Elbę, która tonęła w odmętach czerwonego przypływu. W ostatniej chwili rozwarła oczy, by spojrzeć na mnie. Otworzyła też usta, ale zamiast słów pojawiły się jedynie bąbelki.

Przebudziłam się na długo przed północą i ujrzałam Kobziarza i Zoe, którzy spali zwróceny do siebie plecami. Zoe była zwrócona ku mnie. Spała z otwartymi ustami, a jej twarz we śnie wydawała się łagodniejsza i młodsza niż na jawie. Za Kobziarzem leżał Xander. Sally tej nocy pełniła wartę, a pozbawiony jej towarzystwa Xander spał bardzo niespokojnie. Za każdym razem, gdy przewracał się z boku na bok, z jego ust padał ciąg urwanych słów.

Wyczołgałam się z namiotu, poruszając się równie powoli jak wcześniej na polu z dyniami. Śnieg przykrył uśpiony obóz kolejną warstwą ciszy. Na zachodzie widziałam pojedynczą ścieżkę, która była jedyną drogą do obozu. Wiedziałam, że gdzieś w jej połowie znajduje się posterunek, na którym czuwa Sally. Za nią, wśród bagien, czuwali inni wartownicy. Udałam się w przeciwnym kierunku, gdzie zarośla były najgęstsze. Ukucnęłam, by dotknąć lodowej skorupy na wodzie. Naparłam na nią stopą, a wtedy lód pękł z trzaskiem. Nie był w stanie utrzymać mojej wagi, a więc przygotowałam się w duchu na to, że trzeba połamać go bardziej i popłynąć. Choć od sąsiedniej wyspy dzieliło mnie zaledwie kilkadziesiąt metrów, zimno wydawało się większym zagrożeniem niż odległość.

– Jeśli się nie utopisz, to z pewnością zamrznieesz.

Wyszeptane mi prosto do ucha słowa wystraszyły mnie tak bardzo, że straciłam równowagę. Stopa przebiła lód i z trudem udało mi się uniknąć upadku. Wciągnęłam gwałtownie powietrze, zaskoczona niską temperaturą wody.

– Zastanawiałam się, czy dziś wieczorem wybierzesz się do niego. – Sally wyszła pomiędzy trzciny.

– O czym ty mówisz? – spytałam. – Chciałam tylko się przejść i побыć chwilę sama.

– Jeszcze się nie nauczyłaś, że ja nie mam cierpliwości do gier i zabaw? – westchnęła Sally. – Jak myślisz, dlaczego na ochotnika zgłaszałam się na wartę przez ostatnie dni? Obserwuję cię od dnia, kiedy poruszyłaś sprawę Prowodyra, ale zostałam przegłosowana.

W milczeniu pochyliłam się, by wyjąć wodę z nogawki. Unikałam jej spojrzenia.

– Naprawdę wierzysz w to, że członek Rady ci pomoże?

– On jest przeciwnikiem zbiorników – odparłam. – Jestem tego pewna.

– To niby ma wystarczyć, by wydał walkę rodakom? To ma wystarczyć do

rozpoczęcia wojny?

Dziwnie się czułam, słuchając, jak cichym, chrapliwym szeptem mówi o wojnie. Żałowałam, że nie mogę odpowiedzieć jej z przekonaniem.

– Myślę, że na swój sposób jest on człowiekiem wiernym zasadom, choć nie są one identyczne z naszymi. On wierzy w tabu i chce chronić Alfę.

– A to o wiele za mało, by zaatakować Radę. Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak wielkim ryzykiem jest wciągnięcie go w nasze plany. Twoja mała wycieczka tej nocy mogłaby nas kosztować dosłownie wszystko.

– Wiem – rzekłam. – Ale nie widzę innego rozwiązania.

Spojrzałam na własne dłonie. Wciąż pamiętałam krew, która zalewała Nowy Hobart w moich wizjach.

– Gdybyśmy dali mu szansę... Gdybyśmy go poprosili... Mógłby nam pomóc.

– Może i masz rację – odparła Sally. – Ale Kobziarz i Zoe nigdy nie podejmą tego ryzyka. Nigdy nie pozwolą, byś sama je podjęła.

– A nie możesz ich przekonać?

– Nawet ja nie jestem w stanie tego dokonać – rzekła. – Kobziarz i Zoe przestrzegają własnych zasad, Simon również. Nigdy nie zwrócą się do członka Rady z prośbą o pomoc.

Wiedziałam, że ma rację. Powoli wypuściłam powietrze z płuc. Czekałam, aż wezwie strażę lub samego Kobziarza. Nie byłam w stanie stawić jej czoła, a nawet gdybym się przemogła, wystarczyłby jeden jej krzyk, by zaalarmować cały obóz.

Sally się cofnęła.

– Przywiązałam konia do korzeni wielkiego mangrowca, tuż za miejscem, gdzie ścieżka łączy się z kolejną wyspą. Będziesz musiała zmylić strażników na zewnętrznym perymetrze. Koń ma być na miejscu przed świtem, kiedy to kończy się moja warta.

Przez kilka sekund wpatrywałyśmy się w siebie. Sally nie uśmiechała się, ale skinęła lekko głową.

– Pospiesz się – powiedziała.

– A co z twoimi zasadami? – zapytałam.

Staruszka wzruszyła ramionami.

– Może kiedyś jakieś miałam, ale było to najwyraźniej dawno temu, bo już nie pamiętam – odparła cicho. – Nigdy nie widziałam Prowodyra. Nie znam go i nie wiem, w co wierzy. Znam się jednak na walce oraz kampaniach wojennych i wiem, że nie jesteśmy w stanie wygrać tej bitwy w pojedynkę. – Machnęła przy tych słowach ręką na uspiiony obóz i przysypane śniegiem namioty. – Jest nas zbyt niewiele, a oni są nazbyt liczni. Jestem już stara, Cass. Nie przejmuję się tym, że mogę zginąć, ale zależy mi na tym, by Kobziarz i Zoe otrzymali nową szansę.

Xander również. Mam więc ochotę zrobić to, czego Kobziarz nie zrobiłby nigdy.

Chciałam ująć jej dłoń, ale mnie odpędziła.

– Pospiesz się – powtórzyła.

Nigdy wcześniej nie usłyszałam w jej głosie lęku.

Księżyc był cieniutki, a noc niemalże czarna. Chcąc wyminąć wartowników, musiałam zejść ze ścieżki i wkrótce prowadziłam konia po pas w wodzie. Gdy grunt stawał się twardy, wspinałam się na siodło i jechałam, trzęsąc się z zimna w mokrych spodniach. Nadal padał śnieg i miałam nadzieję, że zasypie moje ślady, jeśli ktoś dostrzeże moją nieobecność i ruszy w pościg. Musiałam nadłożyć dużo drogi na zachód, by zachować bezpieczną odległość od Nowego Hobartu, a śnieg i mrok sprzysięgły się przeciwko mnie, by utrudnić mi odnalezienie wąwozu. Zamiast rozglądać się po rozmazanym, tonącym w mroku horyzoncie, zamknęłam oczy i wypuściłam swój umysł w poszukiwaniu Prowodyra. Skupiłam się na tym, co wiedziałam na jego temat – przypominałam sobie jego oddech na mojej szyi i głos, który kazał Zoe i Kobziarzowi rzucić broń.

Minęły długie godziny, nim wreszcie znalazłam pojedynczy świerk. Ruszyłam w stronę wejścia do wąwozu, ale ciemność nie była jedynym czynnikiem, który mnie spowalniał. Straciłam nagle pewność siebie i zwolniłam, przeświadczona, że lada moment dostrzegą mnie strażnicy Prowodyra, a wówczas noc rozjaśni blask ostrzy. Od chwili opuszczenia Przechowalni robiłam wszystko, co w mojej mocy, by uniknąć wpadnięcia w ręce żołnierzy Rady. Teraz jechałam im naprzeciw. Byłam bezbronna, a Zoe i Kobziarz byli wiele mil stąd. Spędziliśmy razem tyle czasu, że ich nieobecność, podobnie jak śnieg, sprawiała, że świat wydał się miejscem obcym i nieprzyjaznym.

Jechałam jednak naprzód, a koń sam wybierał drogę w coraz głębszym śniegu. Prowodyr zapewniał mnie, że teraz, gdy najważniejszą osobą w Radzie była Pani Generał, branie mnie na zakładnika miało się z celem, ale mógł zmienić zdanie. Niewykluczone, że mógł wiele zyskać, oddając mnie Zachowi. Każdy kolejny krok mógł więc przybliżyć mnie do Przechowalni lub jeszcze gorszego losu.

Kiedy podjęłam decyzję, która przywiodła mnie tutaj? Na pewno nie w chwili, gdy wpełzłam z namiotu zajmowanego przez Zoe, Kobziarza i Xandera, ani nawet w chwili, gdy postanowiliśmy wyzwolić Nowy Hobart. To zdarzyło się wcześniej, w trakcie masakry na Wyspie. Lub w komorze ze zbiornikami pod Wyndham, kiedy postanowiłam uwolnić Kimeę, a potem razem uciekliśmy.

A może jeszcze wcześniej, w chwili, gdy Zachowi udało się mnie odesłać? Gdy wciąż czułam ból po znamieniu wypalonym na czole? Tego dnia każde z nas wkroczyło na inną ścieżkę. Nie było już odwrotu. Zach pozbył się mnie tak jak

swego dawnego imienia, by stać się Reformatorem i folgować swym mrocznym marzeniom o zbiornikach. Ja zaś mogłam jedynie jechać naprzód, w gęstniejący mrok, by ze wszystkich sił próbować go powstrzymać.

Gdzieś przede mną rozległ się okrzyk, a potem wydarzenia nagle nabrały tempa. Z ciemności wypadło kilku żołnierzy. Otoczył mnie krąg ostrzy. Wystarczyłby krok, bym została przeszyta.

– Jestem sama! – zawołałam i podniosłam ręce. – Chcę się zobaczyć z Prowodyrem.

Jeden z nich chwycił konia za uzdę, drugi niemalże ściągnął mnie z siodła. Wyrwano mi sztylet. Któryś ze zbrojnych przystawił mi latarnię do twarzy, by przyjrzeć się znamieniu.

– To jedna z nich – oznajmił. Jego twarz była tak blisko, że widziałam kępki zarostu, pominięte podczas golenia. – To chyba ta wizjonerka, bo nie widzę, by coś z nią było nie tak.

Pod pretekstem szukania broni bez skrępowania obmacał moje miejsca intymne.

– Moje piersi nie stanowią chyba wielkiego zagrożenia dla twego szefa, co? – spytałam cicho.

Ktoś zachichotał. Żołnierz nie odpowiedział, ale nadal przesuwał dłonie. Wsunął mi je pod pachy, a potem uklęknął, by obszukać mi nogi.

– Dość tego – rzekł Prowodyr, ciężko dyszący po biegu w górę wąwozu. Miał na sobie błękitną kurtkę z kapturem obszytym futrem, z którym zlewały się jego włosy.

Żołnierze opuścili miecze.

– Wprowadzić ją – powiedział. – Ale podwólcie straże na perymetrze. Musimy mieć pewność, że przyszła sama.

Nie czekając na moją reakcję, odwrócił się i ruszył w dół wąwozu, a ja udałam się za nim. Towarzyszyli mi trzej żołnierze, z których dwóch strzegło mnie po bokach, a trzeci, idący z tyłu, prowadził mego konia.

Sądziłam, że noc jest ciemna, ale dopiero w głębi wąwozu zrozumiałam, czym naprawdę jest mrok. Namioty rozbito przy samym wejściu, skryte pod nawisami klifów po obu stronach szerokiej rozpadliny. Konie, spętane w rzędzie przy największym namiocie, tupały i rżały, gdy mijali je żołnierze z latarniami. Prowodyr odrzucił płachtę zakrywającą wejście.

– Chcę porozmawiać z nią na osobności – powiedział do żołnierzy, a ci się wycofali.

Jego kwatera w niczym nie przypominała prowizorycznych konstrukcji, w których mieszkałam przez ostatnich kilka miesięcy, czy obwisłych, niezgrabnych namiotów w naszym obozie. Ten uszyto z grubego, białego płótna, a był na tyle wysoki, że dorosły człowiek mógłby bez trudu w nim stanąć. Stojące w rogu łoże

zakrywały futra, przy wejściu stał stół z krzesłami. Do słupa na środku namiotu przywiązano latarnię, która rzucała zniekształcone cienie na płócienne ściany.

Prowodyr odrzucił kaptur.

– Czy twoi towarzysze z ruchu oporu wiedzą, że tu jesteś?

Pokręciłam głową.

– Siadaj – rzekł.

Ani drgnęłam, ale Prowodyr rozsiadł się wygodnie, tak by móc cały czas na mnie patrzeć.

– Niebezpiecznie jest tak podróżować w pojedynkę. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, ilu ludzi cię szuka?

– Daruj sobie takie protekcyjne zachowania – powiedziałam. – Doskonale wiem, kto mnie szuka i dlaczego, ale przybycie tutaj to jedyny sposób. Dlaczego obserwujecie Nowy Hobart?

– Z tego samego powodu co wy. Twój brat i Pani Generał są tym miejscem zainteresowani, co oznacza, że ja również.

Wytrzymywanie jego spojrzenia sporo mnie kosztowało.

– Wiedziałem, że zmienisz zdanie – ciągnął. – Jakie informacje przynosisz?

– Nie zmieniłam zdania – odparłam. – Przybywam zaś, by dać ci szansę. Jeśli rzeczywiście chcesz powstrzymać rozbudowę systemu zbiorników, potrzebuję twojej zbrojnej pomocy. Potrzebuję twoich żołnierzy i ich mieczy. Potrzebuję twej armii.

Tym razem członek Rady parsknął śmiechem.

– Nie dajesz mi niczego, a prosisz o coś, czego ci dać nie mogę.

– Nie dam ci niczego – zaprzeczyłam. – Mam dla ciebie informacje. Szykujemy się do ataku na miasto.

– To jakieś szaleństwo! – Prowodyr uniósł dzban i nalał sobie wina.

– Plan ma szansę powodzenia, jeśli nam pomożesz. – Podeszłam krok bliżej.

– Wiem, że twoi żołnierze są lojalni wobec ciebie. Jeśli połączymy siły, odniesiemy sukces.

– Mogę liczyć na mniej więcej połowę armii – odparł. – Twój brat oraz Pani Generał są nazbyt pochłonięci swoimi osobistymi projektami, by podtrzymywać kontakty z ludźmi dookoła siebie. Lojalność moich ludzi nie oznacza jednakże, że zgodzą się oni walczyć u boku Omeg, by pomóc im osiągnąć ich cel. Żądasz od nich zbyt wiele. Ode mnie również.

– Ja także nie mam wielkiej ochoty na sojusz z tobą – odparłam. Uświadomiłam sobie, że niechęć w moich słowach stała się zbyt wyraźna, i postanowiłam lepiej panować nad tonem wypowiedzi. – Wiesz, że oni już zamknęli dzieci w zbiornikach?

– Nie dziwi mnie to – rzekł Prowodyr. – Na tym miała polegać ich długofalowa strategia. Chcieli zatrzymać Omegę u źródła. Szkoda, że nie słyszałaś,

jak o tym mówią. Pani Generał kiedyś powiedziała mi, że umieszczenie dzieci w zbiornikach jest bardziej wydajne. Przymuszczalnie nie będą już rosnąć, co oznacza, że zajmują mniej miejsca i są tańsze do wykarmienia – wyrzucił z siebie, krzywiąc się.

– Jak to możliwe, że wysłuchiwałeś takich rzeczy, a teraz nie chcesz powstrzymać tych ludzi?

– Prosisz, bym rozpoczął wojnę. Bym doprowadził do otwartego konfliktu w Radzie.

– Proszę cię, byś położył kres okrucieństwu.

Nie byłam w tym momencie całkowicie szczerą ze sobą, bo okrucieństwa unikać się już nie dało. Podczas ataku na Nowy Hobart miało zginąć wielu ludzi, a wraz z nimi ich bliźnięta. Skazywałam więc ich na brutalny zgon w walce, by uchronić ich przed niekończącym się, bliskim śmierci stanem, który miał ostatecznie przypaść w udziale wszystkim mieszkańcom miasta. Nie mogłam sobie przypomnieć ostatniej nieskomplikowanej decyzji w moim życiu.

– Chciałeś informacji, tak? – spytałam. – To posłuchaj: za trzy dni, podczas nowiu, zaatakujemy miasto. Podczas nowiu.

Tymi oto słowami przekazałam nasz los w jego ręce. Gdyby Prowodyr zdecydował się nas zdradzić, ta informacja wystarczyłaby, by skazać nas wszystkich na śmierć. Do głowy przyszedł mi Leonard i jego reakcja na to, co powiedzieliśmy mu o zbiornikach i przytułkach. Nie prosiliśmy go o pomoc – nie musieliśmy. Przekazaliśmy mu jedynie wiadomość, a on już sam wiedział, co należy z nią zrobić. Pomyślałam również o Kimie uwięzionym w zbiorniku i chwili, gdy spojrzał mi w oczy przez szybę. O nic mnie nie prosił. Wystarczyła mi wiedza o tym, że został uwięziony i nadal pozostaje świadomy. Wiedziałam, że czasami moment przeradzał się w obietnicę.

– To szaleńcze przedsięwzięcie – zawyrokował Prowodyr. – Nawet gdybym chciał wam pomóc, nie mamy wystarczająco dużo czasu, by wszystko przygotować. Żołnierze w Nowym Hobarcie są lojalni wobec Pani Generał. Ja musiałbym ściągnąć swoich z północy. Poza tym po co? By pomóc w ataku, który nie ma szans powodzenia?

– Nie mamy wyboru. Ty zresztą też nie. Nie możesz teraz umyć od tego rąk i udawać, że wcale cię to nie dotyczy.

– Za mało czasu! – powtórzył Prowodyr, unosząc ręce. – Wątpię, by po masakrze na Wyspie udało wam się zebrać jakąś silniejszą armię.

– Lada moment będzie już za późno – naciskałam. – Nie ma co czekać i sam dobrze o tym wiesz. Zabrali już dzieci, a niebawem zabiorą pozostałych. Ty zaś chcesz siedzieć wygodnie i przyglądać się naszym wysiłkom. Jeśli odniesiemy sukces, będziesz się cieszył i wykorzystasz to w intrygach przeciwko Zachowi i Pani Generał. Jeśli przegramy, udasz, że cię to nie obchodzi.

– Skoro tyle o mnie wiesz, to po co w ogóle tu przyszłaś? Na co miałaś nadzieję?

Spojrzałam na jego bladą twarz oraz na dłoń, mocno zaciśniętą na nóżce kieliszka.

– Dlaczego ty się nas tak bardzo boisz? – spytałam. – Podczas naszego pierwszego spotkania miałam nadzieję, że być może współczucie sprawia, iż chcesz powstrzymać rozwój zbiorników. Teraz wiem jednak, że to strach. Twierdzisz, że chcesz, by nadal przestrzegano tabu, ale tak naprawdę twój lęk przed tabu to jednocześnie lęk przed nami. My jesteśmy dziełem maszyn. To nas się boisz. Ale jeśli chcesz walczyć przeciwko maszynom, musisz sprzymierzyć się z nami.

– Nie wiesz o mnie nic! – rzekł Prowodyr i gwałtownym ruchem odsunął wino od siebie. Krople padły na stół, po brzegu kieliszka pociekła czerwona strużka, która szybko uformowała niewielką kałużę.

– Co myśmy ci takiego zrobili?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę w milczeniu. Dostrzegłam, że u pasa nosi sztylet. Czyżbym przesadziła? Czyżbym zaraz miała wywołać u niego gwałtowną reakcję? Przecież mógłby mnie zabić w okamgnieniu, a jego żołnierze odciągnęliby moje ciało i nie musiałby nawet sprzątać tego bałaganu. Wyobrażenie to słabło jednak w porównaniu z innymi przesładującymi mnie wizjami – ze zbiornikami, czekającymi tylko na to, by pochłonąć cały Nowy Hobart oraz z bitwą i pierścieniem krwi, pozostałością po naszej daremnej próbie wyzwolenia go z rąk Rady.

– Miałem kiedyś żonę. – Głos Prowodyra wyrwał mnie z zadumy. – Pobraliśmy się jako młodzi ludzie. Mieliśmy mieć dziecko.

– Dzieci – powiedziałam.

– Jak zwał, tak zwał – rzekł i uniósł kieliszek. Upił łyk, unikając mego wzroku. – Przez dziewięć miesięcy przyglądaliśmy się, jak Gemmie rośnie brzuch. Porzuciłem służbę w armii i zacząłem pracę dla jednego z członków Rady, gdyż nie chciałem zbyt często wyjeżdżać. Chciałem patrzeć, jak rośnie moje dziecko. Gdy zaczął się poród, Alfa przyszła na świat jako pierwsza. Była przepiękna, idealna. Trzymałem ją w ramionach, gdy czekaliśmy, aż przyjdzie na świat Omega, chłopiec. Niestety, zaczęły się kłopoty. Dziecko utknęło i nie mogło wyjść.

Urwał na moment. Milczałam.

– Mieliśmy ze sobą położną. Zrobiliśmy wszystko, co można było, ale dziecko miało zdeformowaną głowę.

Opuścił wzrok i skrzywił się, jakby wspomnienie wciąż pozostawiało gorzki smak na jego języku.

– Położna sądziła, że może nawet miał dwie głowy – podjął. – Tak czy owak, utknął. Żona prosiła mnie, bym kazał doktorowi wyciąć dziecko z jej ciała, by

przynajmniej je ocalić. Ale nie mogłem się do tego zmusić. Powinienem być jej posłuchać, ale sprzeciwiłem się jak ostatni idiota. W efekcie utraciłem wszystko.

Przez chwilę myślałam, że chodzi mu o bliźnięta, co przynajmniej oznaczałoby, że uznał dziecko Omegę, ale on mówił dalej:

– Najpierw umarła moja córeczka, a potem, półtora dnia później również moja żona. Dziecko, które w niej utknęło, umarło, a w rezultacie stan Gemmy zaczął się gwałtownie pogarszać. Jej skóra poszarzała i dostała gorączki tak wysokiej, że zaczęła tracić zmysły. Przez cały czas pytała o dziecko, o naszą małą dziewczynkę. Nie miałem serca powiedzieć jej, że leży martwe, zawinięte w ręcznik, na krześle kuchennym.

Prowodyr uniósł głowę.

– Jeśli spotkasz kogoś, kto ci powie, że nie boi się Omeg, wiedz, że kłamie. Jesteście przekleństwem, które pozostawił po sobie Wybuch. Jesteście ciężarem, który muszą dźwigać niewinni ludzie.

– A twój syn? – spytałam. – Nie był tak niewinny jak twa córka? A dzieci w Nowym Hobarcie? Czy one też nie są niewinne?

– Dziecko Omega zabiło całą moją rodzinę.

– Nie. Chłopiec umarł, a potem umarła córka i żona. To straszne i okrutne, ale pamiętaj o tym, że w chwili śmierci twojej żony odszedł z tego świata również jej bliźniak Omega, co również nie było jej winą. Jeśli takie tragedie stają się powodem, by nienawidzić wszystkich Omeg, nic dziwnego, że pojawiają się ludzie tacy jak Zach czy Pani Generał, którzy twierdzą, że trzeba nas zamknąć w zbiornikach.

– Po jej śmierci dziecko zostało wycięte z jej łona – ciągnął Prowodyr, jak gdybym wcale się nie odezwała. – Poprosiłem ich o to.

Uniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Chciałem je ujrzeć na własne oczy.

– Bo to był twój syn.

– Myślisz, że to z tego powodu chciałem je zobaczyć? – Prowodyr powoli pokręcił głową. – Nie. Ja chciałem ujrzeć to, co ją zabiło. Nie miało dwóch głów, ale za to jedną, ogromną, z drugą twarzą po przeciwnej stronie.

Jego twarz wykrzywiło obrzydzenie.

– Powiedziałem położnej, by się go pozbyła. Nie chciałem, by został pochowany z moją córką i jej matką.

– To był twój syn.

– Myślisz, że to coś zmieni, jeśli będziesz to ciągle powtarzać?

– A ty sądzisz, że jeśli nadal będziesz się tego wypierał, fakt przestanie być prawdą?

Prowodyr wstał.

– Nie pomogę wam wyzwolić Nowego Hobartu. Nawet gdybym tego chciał,

nie zdążę.

– To przynajmniej powiedz mi, co wiesz o Arce lub Zamorzu.

– Nic o tym nie wiem – odparł.

Przyglądałam się mu uważnie, ale na jego obliczu nie znalazłam ani śladu fałszu.

– Nic – powtórzył. – Poza tym, że rozmowy na ten temat są przerywane na mój widok. Nie mówi się o tym otwarciu. O Arce słyszałem jedynie szept. Wiem, że to element ich planu, ale nie wiem, jak to wszystko ze sobą połączyć. Aha, wiem też, że ma to jakiś związek z tym, czego szukają w Nowym Hobarcie.

– Jeśli wyzwolimy miasto, mogę ci pomóc to znaleźć. Możemy odszukać Arkę i wszystko zmienić.

– Naprawdę w to wierzysz?

Wstałam i odsunęłam ciężką od lodu połę namiotu.

– Tego, co się stało twej żonie i twoim dzieciom, zmienić się nie da – powiedziałam. – Ale możesz wpłynąć na to, co dzieje się teraz. Możesz rozsiać się wygodnie i czekać, aż Zach oraz Pani Generał znajdą to, czego szukają, i zbudują wszędzie zbiorniki. Możesz też przystąpić do działania.

Stał na zewnątrz namiotu i patrzył, jak idę w górę wąwozu, ignorując spojrzenia obracających się za mną żołnierzy.

– Nie mogę ci pomóc! – zawołał za mną.

– Podczas nowiu – powtórzyłam. – O północy.

Moja próba naraz wydała mi się równie daremna i absurdalna jak rycie informacji na skorupach dyni. Jeśli Prowodyr ostrzeże Radę, nasz atak jest skazany na zagładę, zanim się rozpocznie. Nic innego jednak nie mogłam zrobić, a więc się nie wahałam. Pamiętałam moje wizje i wiedziałam, że przyszłością Nowego Hobartu były zbiorniki i morze krwi. Powtórzyłam Prowodyrowi owe cztery słowa, bo niczego innego nie mogłam mu podarować. Zależało mi na tym, by Alfy dostrzegły nasze człowieczeństwo, dlatego też musiałam zaryzykować i przyjąć, że w duszy Prowodyra tkwi również nieco ludzkich uczuć.

Jeden z jego żołnierzy czekał z moim koniem przy wejściu do wąwozu. Gdy znalazłam się w siodle, wyciągnął mój nóż i oddał mi go ostrożnie, trzymając go za ostrze, by nasze dłonie się nie zetknęły.

Nastał już prawie świt, gdy przebyłam płataninę ścieżek na bagnie. Wyczerpana do cna, brnęłam na zziębniętym koniu przez lodowato zimne wody, by uniknąć wartowników Simona, aż dotarłam do miejsca, w którym czekała na mnie Sally.

– Pomoże nam? – spytała.

Pokręciłam głową.

– Musimy podjąć próbę – powiedziałam i oddałam jej wodze.

Staruszka nie odpowiedziała ani słowem, ale gdy niepostrzeżenie

wślizgnęłam się do namiotu, gdzie nadal spali pozostali, cieszyłam się w duchu, że Sally znała mój sekret. Jeśli właśnie zdradziłam ruch oporu, przynajmniej nie byłam w tym sama. Moja zdrada była jej zdradą, a moja nadzieja jej nadzieją.

Rozdział osiemnasty

Przez ostatnie trzy dni nie przestawałam myśleć o Prowodyrze. Podczas gdy w zasypanym śniegiem obozie ostrzono i przydzielano broń, ja wyobrażałam sobie, jak siedzi w swym wygodnym namiocie, i zastanawiałam się, czy zdradzi nasz plan Radzie. Kiedy Simon i Kobziarz ćwiczyli bojowników i wraz z Sally opracowywali plan ataku, ja siedziałam i bez końca czekałam na sygnał od Prowodyra. Gdyby zareagował odpowiednio szybko, być może zdołałby zebrać posiłki przed naszym atakiem. Patrzyłam na horyzont na północy i zachodzie. Sally omijała mnie, ale w przededniu szturmego podeszła do mnie, gdy stałam samotnie i patrzyłam daleko nad trzcinami otaczającymi obóz.

– Żadnych posłańców? – spytała. – Nic?

– Nic – odparłam.

Nie wyczuwałam obecności nowych oddziałów ani samego Prowodyra, a na horyzoncie widziałam jedynie szerniałe kości spalonego lasu. Jutro ruszaliśmy do ataku. Sami.

Widziałam tysiąc razy, jak Wybuch wypala świat, ale sceny bitewne, które pojawiły się w moich niedawnych wizjach, okazały się niezwykle przejmujące i całkiem mnie zmieniały. Widziałam, jak rękojeść miecza miażdży czyjąś szczękę. Jak strzała trafia w czyjąś pierś z taką siłą, że grot wychodzi plecami. Śmierć była bardzo osobistą sprawą i czułam, że nie powinnam tego oglądać. W obozie, gdy patrzyłam na bojowników szykujących łuki czy zaimprovizowane tarcze, nie chciałam spoglądać im w oczy. Chciałam pozwolić im na to, by każdy z nich na własny sposób przygotował się na konieczność rozlania krwi.

Kobziarz i Simon nie pozwalali, by ktokolwiek się nudził, i urządzali treningi również w nocy, by wszyscy przygotowali się do ataku w ciemnościach. Bojownicy ruchu oporu reagowali posłusznie na wykrzykiwane przez nich rozkazy, a na ich srogich twarzach malowało się skupienie. Nie byliśmy jednakże w stanie zajmować ich przez cały czas i wśród rzędów przeciekających namiotów narastał niepokój. Obiły mi się o uszy narzekania na racje i przydział broni. Strach szerzył się w obozie jak wszy. Słyszałam szemranie, gdy zgarbieni skupiali się wokół ognisk, grzejąc dłonie pod pachami. To szaleństwo, mówili. Tego samego słowa użył Prowodyr.

– Nie wygramy w ten sposób – rzekł Simon w noc przed atakiem, gdy zebraliśmy się w jego namiocie. – Ci ludzie nie mogą iść do bitwy przekonani o naszej klęsce.

Wszystko, co mogłam mu powiedzieć, byłoby kłamstwem. Nikt nie wiedział lepiej ode mnie, że nie możemy oczekiwać zwycięstwa. W moich wizjach pojawiały się jedynie krew i ostrza.

Do samego końca kłóciłam się z Kobziarzem i Zoe, czy będę mogła wziąć udział w bitwie.

– Wybij sobie to z głowy. – Kobziarz był nieugięty. – Nie po to ochranialiśmy cię tak długo, byś teraz ryzykowała życie.

Szliśmy we trójkę w stronę namiotu Simona. Musiałam wręcz podbiegać, by nadążyć za ich długimi krokami.

– A po co niby mnie ochranialiście? – spytałam. – Jeśli przegramy tę bitwę, nie pozostanie już nic więcej do zrobienia. Będzie po wszystkim. Musimy rzucić do ataku wszystkie nasze siły. Powinnam przy tym być. Może będę miała jakąś pomocną wizję.

– Będzie wystarczająco dużo wrzasku i płaczu nawet bez twoich wizji – rzekła Zoe.

– Ale może ujrzę coś, co pomoże nam w walce!

Nie byłam głupia, nie miałam ochoty wziąć udziału w walce. Byłam świadkiem bitwy na Wyspie i wiedziałam, że nigdy nie zapomnę zapachu krwi i stukotu powybijanych zębów, rozsypujących się na bruku. Dowiedziałam się wówczas, że ciało ludzkie wcale nie jest spójną całością – to tylko iluzja, którą z łatwością kruszą miecze. Widziałam żołnierzy Rady w akcji i wiedziałam, że mój nóż i lekcja Zoe na niewiele się zdadzą w brutalnym chaosie walki.

Z drugiej strony właśnie wspomnienie bitwy na Wyspie uświadomiło mi, że muszę wziąć udział w tym starciu. Nie mogłam znów się chować w chwili, gdy inni ryzykowali życie. Nosiłam w sobie pamięć zbyt wielu poległych i nie zniosłabym kolejnych. Nie byłam męczenniczką, po prostu wreszcie zaczęłam myśleć o sobie. Bałam się walki, ale jeszcze bardziej przerażało mnie ciągłe ukrywanie się oraz świadomość, że podczas mojej nieobecności rośnie liczba ofiar. Bałam się panicznie tego, że znów zostanę sama w towarzystwie jedynie duchów.

Nawet nie próbowałam wyjaśnić tego Kobziarzowi i Zoe.

– Jeśli w zamieszaniu bitewnym żołnierze Rady zorientują się, że wam towarzyszę, stracą zapał do walki i zaczną się cofać – powiedziałam. – Zach na pewno rozkazał im, by nie robili mi krzywdy. Będzie dbał o siebie, jak zwykle. Na Wyspie, jak pamiętacie, miało to spore znaczenie, a wtedy nie brałam udziału w walce!

– Żołnierze się nie cofną – rzekła Zoe. – Jeśli Nowy Hobart w istocie jest dla nich tak ważny, jak sądzimy, nic ich nie powstrzyma. Pamiętacie, co mówił nam Prowodyr? To Pani Generał dźrzy teraz prawdziwą władzę, nie Zach. Jeśli będzie musiała go poświęcić dla dobra swoich planów, nawet się nie zawaha.

Na drodze stanęła nam jakaś ciemnowłosa kobieta. Ścieżka, po której codziennie chodziły setki żołnierzy, stała się na pół zmarzniętym trzęsawiskiem.

– Skoro jesteś w stanie ujrzyć przyszłość – powiedziała – to powiedz nam, co

się wydarzy dziś w nocy.

– To tak nie działa – powiedziałam, ale kobieta nie usunęła się.

Nie mogłam jej opowiedzieć o tym, co widziałam. Jej śmierć miała nadejść niebawem, a ja nie mogłam zmusić się do tego, by powiedzieć jej o tym tu, na błotnistej ścieżce. Wyminęłam ją i ruszyłam pospiesznie przed siebie. Kobziarz i Zoe ubezpieczali mnie z obu stron.

– Powiedz mi! – zawołała za mną ciemnowłosa.

Potknęłam się, ale nie przez zamrożone błoto. Przyczyną była wizja, która nagle wtargnęła między moje oczy a otaczający mnie świat. Ujrzałam bowiem śnieg zalany nieubłaganą krwią.

Okazało się, że to właśnie postawa owej ciemnowłosej kobiety skłoniła Kobziarza i Zoe, by pozwolili mi na udział w walce. Wystarczyłoby, bym wyszła z namiotu, a natychmiast otaczała mnie grupka naszych. Większość trzymała się z daleka i przyglądała mi się z mieszaniną niepokoju i obrzydzenia, do której zdążyłam się już przyzwyczać, ale wszyscy mieli to samo pytanie: „Co się dziś wydarzy? Jak potoczy się bitwa?”

– Muszę wziąć udział w walce – powiedziałam, gdy znaleźliśmy się w namiocie Simona.

– Już o tym rozmawialiśmy – odezwała się Zoe. – Nie ma sensu ryzykować.

– Tu nie chodzi o mnie, ale o nich – rzekłam, wskazując wyjście z namiotu.

– Oni wiedzą, że jestem w stanie ujrzyć to, co nas czeka. Muszą więc uwierzyć, że istnieje choć cień szansy na zwycięstwo. Jeśli zobaczą, że zostają na tyłach, ich morale całkowicie upadnie.

– Nasi ludzie mogą uwierzyć w twoje wizje, ale to nie oznacza, że ruszą za tobą do walki – oznajmił Kobziarz. – Oni ci nie ufają. Wiesz, co ludzie myślą o wizjonerach. Słyszałaś, co niedawno mówiła Violet.

Sally spoglądała prosto na mnie.

– Ona ma rację – rzekła. – Nasi ludzie pójdą za nią dlatego, że jej nie ufają. Pomyślą, że skoro osobiście rusza do walki, musi być przekonana o zwycięstwie.

– Muszę tam być – powiedziałam. – W pierwszym szeregu. By wszyscy mnie widzieli.

Klamka zapadła. Powtarzałam sobie w duchu, że cieszę się z tego, i chyba rzeczywiście tak było. Płuca mnie jednak bolały przy każdym oddechu, a spocone plecy swędziały w miejscu, gdzie przylgnął do nich wełniany sweter. Bałam się bitwy, ale to nie wszystko. Najbardziej dokuczało mi przekonanie, że moja obecność w bitwie to jedynie fortel.

Miałam wyrobić w naszych ludziach fałszywe przekonanie, że zwycięstwo jest możliwe.

Zachodziło już słońce, gdy natknęłam się na Sally i Xandera. Mieli pozostać w opuszczanym przez nas obozie wraz z garstką innych ludzi, którzy nie nadawali się do walki.

– Dokąd się udacie, jeśli nasz szturm zakończy się porażką? – spytałam.

– A jakie to ma znaczenie? – spytała. – Zrobię wszystko, by Xander był bezpieczny. Może uda nam się dotrzeć do Zatopionego Wybrzeża, ale obie dobrze wiemy, że w wypadku waszej klęski nie mamy większych szans. Słyszałaś, co powiedział mi Kobziarz w moim domu: żołnierze prędzej czy później do mnie przyjdą.

Uklękłam przy Xanderze, ale on nawet na mnie nie spojrzał. Siedział na ziemi z kolanami podciągniętymi do piersi, a palce jednej dłoni wystukiwały cichą wiadomość na bucie.

– Nadszedł czas, by znaleźć papiery – obiecałam mu. – Te papiery, o których nam mówiłaś, z labiryntu kości.

Xander pokiwał głową. Rytmiczny ruch przeniósł się na całe ciało i po chwili już kołysał się do przodu i do tyłu.

– Znaleźć papiery. Znaleźć papiery – powtarzał.

Nie miałam pojęcia, czy to polecenie, czy może echo moich słów. Gdy odchodziłam, nadal się kołysał.

Przez ostatnie tygodnie nabrałam przekonania, że czas od nas uciekł. Nie mieliśmy czasu na zebranie ludzi ani na ich wyszkolenie. Nie mieliśmy czasu, by ostrzec ludzi w Nowym Hobarcie, i wciąż prześladowało nas przekonanie, że się spóźnimy. Że zbiorniki pochłoną mieszkańców miasta, nim zdążymy ich ocalić. Że papiery dotyczące Arki zostaną odnalezione, nim wkroczymy do miasta. Teraz, gdy czekaliśmy w ciemnościach, czas zamienił się w lawinę na pochyłym stoku i z każdą chwilą nabierał prędkości, grożąc, że nas pochłonie.

Wiedziałam, że będę walczyć. Wiedziałam, że się nie cofnę, ale gdy stałam na czele naszych oddziałów u boku Kobziarza i Zoe, moje ciało rozpoczęło cichą rewoltę. Drżenie przemoczonych stóp przeniosło się w górę. Czułam się niczym dzwon rezonujący po uderzeniu.

W obozie otrzymałam krótki miecz i drewnianą tarczę. Ścisnęłam rękojeść w spoczonej dłoni. Z moim starym nożem, którego owinięta skórą rękojeść idealnie pasowała do mojej ręki, czułabym się o wiele raźniej, ale Kobziarz nalegał na miecz.

– Nim zbliżysz się do kogoś na tyle blisko, by móc użyć noża, będziesz już martwa – oznajmił. – Musisz móc uderzać z odległości, i to z większą siłą.

– Nie umiem walczyć mieczem – sprzeciwiłam się.

– Zacznijmy od tego, że w posługiwaniu się nożem również nie jesteś mistrzynią – stwierdziła Zoe. – Poza tym nie będziesz tak naprawdę walczyć. Najważniejsze jest to, by nasi ludzie cię widzieli i żebyś nie zginęła. Trzymaj

tarczę nad sobą podczas szarży, o ile tamci sięgną po łuki. I nie oddalaj się od nas.

Zatrzymałam jednak mój stary nóż. Jego dobrze mi znany ciężar przy pasie dodawał mi otuchy podczas długich godzin przemarszu na skraj lasu.

Zoe i Kobziarz również otrzymali miecze. Podniosłam broń Zoe, by sprawdzić, ile waży, ale okazała się tak ciężka, że musiałam złapać ją oburącz.

– To nie zabawa! – powiedziała i wyrwała mi swój miecz.

Teraz stała po mojej lewicy i przekładała miecz z ręki do ręki, nie spuszczać z niego wzroku. Kobziarz trzymał się prawej strony, uzbrojony w długi miecz, ale również arsenał noży do rzucania przy pasie. Za nami gromadzili się żołnierze, których ostatecznie udało nam się zebrać ponad pięć setek. Wyjście z obozu zabrało nam parę godzin – podmokły teren nie pozwalał na szybki przemarsz i ludzie musieli rozciągnąć się w szereg i przedzierać przez zamrożone mokradła między nielicznymi splachetkami suchego gruntu. Konie prowadzono jeden za drugim po wąziutkich ścieżkach. Zwierzęta trzymały nisko łby i szły z rozchyłonymi nozdrzami, obwąchując skraj szlaku. Dopiero po dotarciu do lasu udało nam się utworzyć szyk. Teraz zamarliśmy w oczekiwaniu, szereg za szeregiem. Kilku z naszych nadal nosiło błękitne mundury z Wyspy, ale większość miała na sobie zimowe okrycia, postrzępione i połatane. Nikt się nie odzywał. Uniosłam wzrok wyżej, na zamrożone drzewa dookoła nas. Patrzyłam na sople, sztywne niczym palce trupów. Wszystko wydawało mi się wyostrzone, zupełnie jakbym widziała to po raz pierwszy w życiu.

Pomyślałam o papierach dotyczących Arki, skrytych gdzieś za tymi murami, i znów przyszedł mi do głowy widok małych rączek, wystających przez szczeliny na tyle wozu. Spóźniliśmy się. Nie udało nam się ocalić dzieci. Pomyślałam też o Elsie i Ninie, które czekały za murami. Liczyłam się z tym, że nasze działania w niczym im nie pomogą – w snach ujrzałam tyle krwi, że już dawno przestałam liczyć na sukces. Być może więc jedyną korzyścią, jaką mogliśmy osiągnąć, było to, że ludzie skazani na zbiorniki trafią tam ze świadomością, że ktoś chwycił za broń w ich obronie.

Czułam na sobie spojrzenia ludzi, gdy szłam na pozycję z Kobziarzem i Zoe. Moje ciało było pułapką. Wabiło ludzi do walki, której nie mogli wygrać.

– Okłamuję ich – szepnęłam do Kobziarza drżącym głosem.

Ten pokręcił głosem.

– Nie – odpowiedział cicho. – Ty dajesz im nadzieję.

– Na jedno wychodzi – odparłam. Po raz pierwszy mówiłam tak otwarcie i szczerze o tym, co widziałam. – To żadna nadzieja. Rada ma zbyt wielu ludzi, a w moich wizjach było mnóstwo krwi.

– Nie – rzekł i pochylił się lekko ku mnie. W nocnym powietrzu wokół jego ust pojawiała się biała chmurka. – Nadal walczysz, choć widziałas, jak przegrywamy. Znasz całą prawdę o nas od samego początku, a mimo to stajesz

z nami do walki. To nadzieja. Nie można tego inaczej nazwać.

Nie było czasu, by powiedzieć cokolwiek więcej. Nasza niewielka armia stała w ciemnościach, gotowa do ataku. Wszyscy patrzyli na Simona i czekali, aż wyjdzie przed szereg i wygłosi mowę. Ten jednakże odwrócił się ku Kobziarzowi.

– Zawsze byłeś w tym lepszy ode mnie – rzekł.

– Ale to ty jesteś teraz przywódcą – odparł cicho Kobziarz.

Simon pokręcił głową.

– Ja tu tylko dowodzę, a to nie to samo. Ci ludzie zrobią wszystko, co im każę, co do tego nie ma wątpliwości, ale nigdy nie poprowadziłem ich do walki. To ty byłeś ich przywódcą przez wiele lat, od czasu, gdy ściągnąłem cię na Wyspę. Poprowadź ich, Kobziarzu.

Simon położył dłoń na ramieniu przyjaciela. Spoglądali na siebie przez chwilę, aż Simon uniósł dłoń do czoła i zasalutował. Wśród stojących w szeregu żołnierzy poniosły się szepty, wielu poruszyło się, by lepiej widzieć, ale wszyscy ucichli, gdy Simon cofnął się, a Kobziarz wystąpił z szeregu, by powiedzieć kilka słów.

– Nasi bracia Omegi i siostry Omegi czekają na nas w Nowym Hobarcie – odezwał się. Jego głos niósł się przez mrok. – Nie mogę wam obiecać, że ich uwolnimy, ale jedyną alternatywą jest czekanie, a w tym czasie Rada będzie wykradać nam kolejnych bliskich. Jeśli nie stawimy im czoła, zbiorniki czekają na nas wszystkich. Po wielu stuleciach ucisku ze strony Alf nie mamy już żadnego miejsca, w którym moglibyśmy czuć się bezpiecznie, poza tym jednym, które zaczniemy budować razem, tej nocy. Niewykluczone, że wzniesiemy je na naszej własnej krwi, ale pamiętajcie o tym, że zbiorniki są gorsze od śmierci.

Powoli powiódł wzrokiem wzdłuż ciągnących się przed nim zbrojnych szeregów.

– Rada nas nie docenia – oznajmił głośno i wyraźnie. – Nigdy nas nie doceniała. Jej członkowie uznali, że nas zmiażdżą i upokorzą. Że kolejne lata wysokich podatków, kar cielesnych i głodu zniszczą nas całkiem. Że pokornie udamy się do zbiorników. Cóż, popełnili błąd. Myślą, że skoro nie pozwalają nam na śluby, nie płaczemy, gdy żołnierze biją lub zabijają nasze żony i naszych mężów. Uważają, że skoro nie możemy rodzić dzieci, nie lamentujemy, gdy odbierają nam te, które wychowaliśmy. Uważają nas za bezwartościowych i do głów im nawet nie przyjdzie, że będziemy walczyć o siebie nawzajem. Tej nocy pokażemy im, że nasze życie należy tylko i wyłącznie do nas. Udowodnimy im, że jesteśmy bardziej ludzcy, niż oni kiedykolwiek byli. Tej nocy mówimy: „Dość!”. Tej nocy mówimy: „Nigdy więcej!”.

Ziemia zadrżała pod moimi stopami, gdy wraz z ostatnimi słowami Kobziarza w ziemię uderzyły setki włóczni i trzonków toporów.

Rozdział dziewiętnasty

Nie zapalaliśmy pochodni, gdyż ciemność była naszym sprzymierzeńcem. Kobziarz dał sygnał, unosząc wysoko miecz, a potem tnąc w dół. Stał tak blisko, że słyszałam, jak ostrze przeszywa powietrze.

Ruszyliśmy w stronę północnego skraju spalonego lasu. Szliśmy najciszej, jak się dało, choć zważywszy na naszą liczebność, nie było to łatwe. Naszą jedyną przewagą było zaskoczenie, a więc do ostatniej chwili chcieliśmy kryć się wśród drzew, ale Kobziarz wysłał naprzód dwunastu zabójców, osobiście wybranych przez Simona, których zadaniem było rozprawienie się z patrolami krążącymi wokół miasta. Ich plecy szybko znikły w mroku. Obserwowaliśmy miasto na tyle długo, by wiedzieć, że krążą tam trzy patrole, ale zauważyliśmy również to, że żołnierze nie przejmują się zbyt swymi obowiązkami. Wartownicy na czterech strażnicach spoglądali zaś głównie na miasto. Jeśli spodziewali się jakichkolwiek kłopotów, nie przychodziło im nawet do głów, iż mogłyby one nadejść z zewnątrz.

Jeden z patroli znalazł się właśnie w zasięgu naszego wzroku. Samotna pochodnia przesuwiała się wzdłuż południowego muru. Z zachodu dobiegł okrzyk i pochodnia zawróciła, ale dźwięk urwał się tak szybko, że po chwili nie wiedziałam, czy to rzeczywiście był ludzki krzyk. Może jedynie wrzask wrony? Pochodnia przez moment trwała w bezruchu, po czym podjęła wędrówkę w tym samym kierunku co poprzednio.

Potem znów rozległ się krzyk, krótszy niż wcześniej, i dwukrotnie szczęknęła stal. Pochodnia upadła, przetoczyła się i zgasła w śniegu. Gdzieś daleko na wschodzie usłyszałam tętent kopyt rozpędzonego konia. Znów zapadła cisza, ale była to cisza niezwykła. Tym, którzy wiedzieli, co się dzieje pod miastem, cisza wydawała się dusząca i dławiąca niczym koc narzucony na ciemność.

Wtem pod murami, mniej więcej w połowie drogi między bramą północną i zachodnią – błysnęło. Był to umówiony sygnał zabójców, których zawczasu wyposażyliśmy w zapałki i oliwę. Mieliśmy nadzieję, że osłabi obronę, przyciągając uwagę wroga, podczas gdy my rozpoczniemy natarcie od południa.

Kobziarz raz jeszcze wzniosł i opuścił miecz. Rzuciliśmy się do biegu. Ziemia zadudniła pod stopami pięciuset rozpędzonych ludzi, potykających się na nierównej ziemi. Wszyscy dookoła mnie oddychali chrapliwie i sapali ciężko, gdyż mróz i strach ścisnęły nam płuca. Pochwy mieczy uderzały o nogi, noże obijały się o siebie.

Wyglądało na to, że żołnierze Rady nie zostali ostrzeżeni. Moje tajne spotkanie z Prowodyrem nie zakończyło się powodzeniem, ale przynajmniej nas nie zdradził. Nie wbiegaliśmy prosto w zasadzkę. Nie wychodziła nam naprzeciw falanga żołnierzy, która wypadła przez rozchylające się bramy prosto ku nam.

Pierwsze okrzyki alarmu rozległy się, gdy byliśmy już w połowie drogi do

miasta. Krzyki niosły się od bramy do bramy, a potem za murami zapłonęły światła.

Pierwsze strzały pomknęły ku nam, gdy od murów dzieliło nas zaledwie kilkaset kroków. Jedna z nich wbiła się w ziemię tuż obok mnie. Sama byłam w stanie osłonić głowę, ale w naszej niewielkiej armii nie starczyło tarcz dla wszystkich, a poza tym nie każdy z naszych żołnierzy dysponował dwoma ramionami. Biegący obok mnie Kobziarz trzymał tylko miecz, Zoe również nie wzięła tarczy, by móc lewą ręką ciskać nożami. Otaczały nas całkowite ciemności i nie było mowy o tym, by uskoczyć czy uchylić się przed strzałą. Śmiercionośne pociski wypadały z mroku nad naszymi głowami, zupełnie jakby niebo postanowiło się na nas zemścić. Postawa łuczników nie pozostawiała cienia wątpliwości – żołnierze Rady nie mieli skrupułów jak kiedyś na Wyspie. Jeśli wiedzieli, że w ataku bierze udział bliźniaczka Zacha, nic sobie z tego nie robili. Byłam ciekawa, czy to Pani General przekazała im, by nie przejmowali się zbyt bezbezpieczeństwem Zacha. Być może była to oznaka jego coraz słabszego statusu? Wszelkie spekulacje przerwał jednak wrzask, który rozległ się tuż za mną, gdy któraś ze strzał sięgnęła celu. Odwróciłam się, ale trafiony człowiek znikł już za plecami biegnących, a jego wrzask utonął w bulgocie krwi.

Południowa brama rozchyliła się. Ze środka buchnęło światło, a potem wyjechali konni żołnierze Rady w czerwonych tunikach. Każdy szereg liczył czterech jeźdźców, którzy nieśli pochodnie. Płomienie odbijały się w ostrzach broni i końskich ślepiach.

Gdy planowaliśmy atak w namiocie Simona, wszystko wydawało się jasne i oczywiste. Każdy nasz krok wyznaczały strzałki i krzyżyki na mapie. Widziałam wówczas najlepsze miejsce, z którego nasi łucznicy mieli zapewnić osłonę dla ludzi niosących drabiny i liny z hakami. Widziałam trasę, którą miały pokonać dwa nasze konne oddziały w drodze do północnego muru podpalonego przez zabójców. Widziałam też wschodnią bramę, obsadzoną przez najbardziej leniwą załogę, którą wyznaczaliśmy jako cel ataku dla czterech innych konnych oddziałów. Tak, na mapie Simona wszystko wydawało się jasne i przejrzyste. Z chwilą rozpoczęcia starcia porządek znikł wśród ciosów i krwi. Na Wyspie przyglądałam się bitwie z okna w zamkniętej komnacie fortu i wydawało mi się, że wiem, na czym polega walka. Teraz uświadomiłam sobie, jak bardzo się myliłam i jak wielką rolę odegrała odległość kilkuset metrów. W samym środku starcia nie sposób było zorientować się, jak rozwija się nasze natarcie. Nie miałam pojęcia, co się dzieje dookoła. Widziałam tylko to, co miałam przed nosem. Kazano mi trzymać się blisko Zoe i Kobziarza, którzy prowadzili szturm na wschodnią bramę, ale szybko straciłam orientację. Nie wiedziałam, dokąd pędzimy. Wszystko działo się tak szybko i wciąż nabierało tempa. Ziemia drżała od tętentu kopyt zbliżających się koni. Jakiś jeździec zamachnął się na Zoe, ale ta uskoczyła w bok. Sama

nachyliłam się, by uniknąć ciosu wymierzonego w moją głowę, a Kobziarz zwał się w walce z żołnierzem po mojej prawej. Zoe w tym czasie odzyskała równowagę i sama wymierzyła cios. Jej przeciwnik zablokował uderzenie, ale wówczas dziewczyna prześlizgnęła się pod jego ostrzem i przecięła uprząż, a potem dźgnęła konia w podbrzusze. Krew buchnęła na śnieg, po czym zsunęło się siodło wraz z jeźdźcem. Ten upadł niemalże na mnie. Zdołał się dźwignąć na nogi, ale padając, upuścił miecz. Nachylił się, by go podnieść, ale ja przydepnęłam jego rękojeść i wbiłam go głębiej w śnieg.

Rozbrojony żołnierz uniósł wzrok. Wiedziałam, że powinnam go zabić. Zacisnęłam dłoń na rękojeści miecza, ale nim zdołałam go unieść, Zoe wychynęła zza miotającego się, rozszalałego konia i wbiła miecz w brzuch żołnierza. Dopiero gdy ponowiła cios, ten osunął się na ziemię, uwalniając poczerwiałe ostrze.

W tym czasie Kobziarz również pokonał swego przeciwnika, ale natarł na niego kolejny. Uskoczył w ostatniej chwili i ciął nisko, prosto w końskie nogi. Był to okropny widok – przez moment miałam wrażenie, że jedna z końskich nóg zyskała dodatkowy staw i może się zginać w miejscu, gdzie inne tego nie potrafią. Potem koń, głośno rżąc, zwał się na ziemię, a jeździec poderwał się w ostatniej chwili, unikając zmiżdżenia. Padłam, trącona końskim kopytem.

Kobziarz i Zoe walczyli nade mną, każde z nich zwarte w walce z innym żołnierzem, a koń usiłował się podnieść i stanąć na połamanych nogach. Jego nozdrza były rozchylone szeroko niczym przejrzałe lilie. Źrenice umknęły w głąb głowy i widziałam jedynie białka jego oczu, pocięte czerwonymi żyłkami. Rozpaczliwe rzenie konia wydawało mi się bardziej ludzkie niż większość odgłosów dookoła mnie. Z jednej kończyny wystawała pęknięta kość, która przebiła mokrą od krwi skórę.

Wyszarpnęłam nóż i poderżnęłam zwierzęciu gardło. Nie spodziewałam się, że jego krew będzie taka ciepła ani też, że tryśnie z taką siłą. W okamgnieniu oba moje rękawy były mokre. Śnieg topniał w zetknięciu z parującą strugą, która wnikała w zamrożoną ziemię. Potem już było po wszystkim. Koń wydał ostatni dech. Zdumiała mnie prostota jego śmierci – nie odpowiedziało jej echo zgonu jego bliźniaka. Jak na ilość rozlanej krwi, śmierć zwierzęcia wydawała się niemalże czysta.

Podniosłam się z trudem. Pierwsza fala jeźdźców Rady przebiła się przez czoło naszego natarcia, ale na zachodzie dojrzałam drabiny oparte o mury i ludzi pnących się w górę. Nie było czasu, by się lepiej przyjrzeć i stwierdzić, czy dotarli na górę, bo w luki w naszych szeregach, wybitych przez atak konnicy, wdzierала się już piechota Rady. Żołnierze wroga uzbrojeni byli w miecze i tarcze. Swoją tarczę straciłam, nawet nie wiedząc gdzie i kiedy. Trzymałam się blisko Kobziarza i Zoe. Staralam się nie wchodzić im w paradę, a gdy któryś z ludzi Rady zanadto się zbliżył, rozpaczliwie machałem mieczem na prawo i lewo. Gdy któryś naparł za

mocno, Kobziarz czy Zoe wkraczali do akcji.

Kilkakrotnie moje ostrze zahaczyło o czyjeś ciało, co każdorazowo wywoływało u mnie atak mdłości, ale bynajmniej mnie nie powstrzymywało. Nikogo jak dotąd nie zabiłam, co należało zrzucić na karb braku doświadczenia, a nie niechęci. Parłam do walki, cięłam i rąbałam, a moje ostrze wkrótce zrosiły kropelki krwi. Byłam przyczyną śmierci tak wielu ludzi, że widok krwi na własnej broni bynajmniej nie wydał mi się niczym dziwnym. Miałam przed sobą namacalny dowód tego, co wielokrotnie robiłam sama.

Nasze wysiłki jednakowoż nie na wiele się zdały. We troje nadal przebijaliśmy się naprzód, ale wystarczył rzut oka na boki, bym nabrała przeświadczenia, że ulegamy wojskom Rady. Przez południową bramę wciąż wybiegali nowi żołnierze, którzy zdążyli już otoczyć naszych ludzi z drabinami i przyprzeć ich do muru. Wysiłki tych, którzy usiłowali podpalić mur dalej na zachodniej stronie, pokrzyżowały chłód i wilgoć, gdyż ogień płonął jedynie w dwóch miejscach. Nigdzie nie widziałam pęknięć ani wyłomów, a bramy nadal były silnie strzeżone.

Uporczywie przebijaliśmy się w stronę muru. Dzięki ogniom stawało się coraz widniej, ale strzały wroga zbierały wśród nas gęste żniwo. Dopóki walczyliśmy z piechotą Rady, dopóty łucznicy cierpliwie czekali, ale ledwie odepchnęliśmy atak na moment, w powietrzu zaświstały pierwsze pociski. Zaświstały? Nie wiem, czy można to opisać tak ulotnym słowem. Strzały wbijały się z łoskotem głęboko w ziemię, potężne niczym kopnięcie rozwścieczonego konia. Dwukrotnie śmigwały tak blisko mnie, że poczułam powiew na policzku. Podczas trzeciej salwy o mało nie zginął Kobziarz – ostrzeżony moim wrzaskiem, uskoczył w ostatniej chwili w bok i wroga strzała, miał przebić go na wylot, rozorała tylko jego nogę. Czas się rozmazał i gdy otarłam twarz, uświadomiłam sobie, że moja ręka jest ciemna od czegoś mokrego, ale nie wiedziałam, czy to moja własna krew, czy też może kogoś innego. Kilkakrotnie potknęłam się o jakieś ciało na ziemi, martwe, zastygłe w nienaturalnej pozycji. Widziałam głowy odchylone w tył pod nienaturalnie dużym kątem, widziałam nogi zgięte w przód, a nie w tył. Choć nie było księżyca, a ognie na murach były zbyt daleko, każde z ciał na ziemi otaczał cień rozlanej krwi na śniegu.

Kobziarz wyrwał swój nóż z szyi martwego żołnierza, a potem całą trójką przycupnęliśmy za wielkim głazem, przysypanym śniegiem.

– Powinno być więcej ludzi Rady! – odezwał się Kobziarz. – Wedle naszych rachub załoga liczy ponad tysiąc pięćset żołnierzy! Gdzie oni są?

– Myślę, że i tak mamy ich tu wystarczająco wielu! – zauważyła Zoe i wytarła miecz w śnieg, pozostawiając na nim dwie krwawe smugi.

Pochyleni, rzuciliśmy się do biegu, wzdragając się, gdy nad naszymi głowami świstały kolejne strzały. Przypadliśmy do Simona, który wraz z kilkoma

ludźmi krył się w płytkim rowie ledwie kilkanaście kroków od południowej bramy. Jeden z jego ludzi zaklął wściekle i wypluł dwa zęby na śnieg. Obok niego kobieta przewiązywała kawałkiem płótna rozcięcie na łydce, zaciskając przy tym zęby z bólu.

– Ludzie Violet dwa razy przystawili drabiny do murów, ale dwukrotnie ich odparto – zawołał Simon. – Ściągnąłem tu ludzi Charliego z zachodniej bramy, bo jest zbyt mocno ufortyfikowana, a ogień się jej nie ima. Dołączą do Violet i razem jeszcze raz uderzą na południowy odcinek, bo tam wieże strażnicze są najbardziej oddalone od siebie, a ogień nadwerężył mury.

– A Derek? – spytał Kobziarz.

Simon przetarł twarz dłonią i potrząsnął głową.

– Wyrżnięto ich przy murze, co do jednego, ale zdołali wzniecić pożar.

Dłoń, w której trzymał broń, była obrzmiała i posiniaczona. Poczzerwieniała skóra ciasno opinała spuchnięte ciało.

– To nie sprawka ludzi Dereka. – Kobziarz wskazał miasto.

Gdzieś w centrum miasta buchał wysoki słup dymu.

– Coś się dzieje w środku – rzekł Simon. Choć miał potłuczoną dłoń i krwawiące skaleczenie na policzku, od czasu bitwy na Wyspie nie widziałam go tak ożywionego. – Robotnicy z pola odebrali wiadomość. Dołączyli do walki!

– Teraz już wiemy, dlaczego Rada nie cisnęła ku nam wszystkich swoich sił – oznajmiła Zoe. – Ale Omegi z miasta nie są w stanie wiele zdziałać. Nie mają nawet porządnej broni!

Miała rację. Wyobraziłam sobie mieszkańców Nowego Hobartu, uzbrojonych w pogrzebacze i noże kuchenne, stawiających czoła regularnej armii.

– Musimy się wdrzeć do środka, nim wszystkich wybiją! – zawołałam, zaskoczona tym, jak piskliwy był mój głos.

– A jak myślisz, co właśnie próbujemy zrobić? – parsknęła Zoe.

Kobziarz spojrzął za siebie i omiótł wzrokiem równinę między miastem a spalonym lasem. Większość naszych ludzi tłoczyła się za wszystkim, co dawało jakąkolwiek osłonę przed pociskami wroga, niektórzy nawet za trupami ludzi i koni. Wszyscy spoglądali na otoczone murami miasto. Przegrupowani żołnierze Rady wycofywali się ku bramom, choć tu i ówdzie przy zachodniej bramie nadal toczyły się walki.

– Musimy uderzyć ponownie na południową bramę, póki żołnierze są zajęci wewnątrz miasta – rzucił Kobziarz i wskazał gromadę głazów kilkanaście kroków na zachód od naszej kryjówki. – Ściągnij naszych łuczników tam, odwołaj tych ludzi ze wschodniego muru. Potrzebujemy wszystkich tu i teraz.

A więc szykowaliśmy się do ostatniego, decydującego uderzenia. Za murami miasta nadal walczyli i ginęli jego mieszkańcy, a równina przed nami usłana była ciałami żołnierzy naszych i wroga. Ich bliźnięta, gdziekolwiek były, nigdy już nie

miały się obudzić. O brzasku przylecą tu pierwsze padlinożerne ptaki.

Posłuszni rozkazom Simona i Kobziarza nasi ocalali ludzie zaczęli się zbierać na niewielkim wzgórzu przy południowym murze. Nadal znajdowaliśmy się w zasięgu łuczników wroga, ale odkryłam, że jeśli jestem skupiona, potrafię wyczuć strzały, jeszcze zanim usłyszę ich dźwięk, co dawało nam kilka sekund na rozbiegnięcie się. Nawet ci, którzy kiedyś mierzyli mnie nieprzychylnymi spojrzeniami, reagowali, gdy wykrzykiwałam ostrzeżenie.

Zebranie oddziału do ostatniego uderzenia zajęło nam pół godziny. Niewielka grupa jeźdźców Rady wychynęła z bramy i próbowała odciąć drogę garstce próbującej dołączyć do reszty, ale kopyta końskie ślizgały się na lodzie, a wśród naszej grupy było czterech jeźdźców uzbrojonych w topory, którzy odpierali atak wroga wystarczająco długo, by reszta zdołała dołączyć do nas.

– Ilu nas zostało? – spytałam Kobziarza.

Ten spojrział na zgromadzonych żołnierzy.

– Ponad połowa.

Żaden z nas nie musiał komentować tego, że było nas o wiele za mało, ale jak dotąd walczyliśmy o wiele lepiej, niż ktokolwiek ośmieliłby się to sobie wyobrazić. Wytrzymaliśmy dłużej, niż podpowiadały najgorsze lęki. Być może Kobziarz miał rację – nasze oddziały musiały uwierzyć w to, że zwycięstwo jest możliwe. Miało to dla nas wszystkich ogromne znaczenie. Owych czterech toporników, którzy na moich oczach odparli atak dziesięciu jeźdźców, w niczym nie przypominało przygnębionych obdartusów, których widziałam wczoraj w obozie. A ludzie w mieście, nie dość, że odebrali nasze ostrzeżenie, to jeszcze zareagowali na nie i dołączyli do walki. Być może to za mało, by nas ocalić, ale Kobziarz miał rację – ten dzień przyniósł nam nieco nadziei, nawet jeśli trzeba było za nią zapłacić słoną cenę krwi.

Uformowaliśmy nierówne szeregi, a ja, Kobziarz i Zoe znów znaleźliśmy się na czele. Kobziarz wykrzyknął rozkaz do ataku, a wówczas wybiegliśmy z wzgórza i rzuciliśmy się naprzód. Czas, który umykał tak szybko, teraz nagle spowolnił. Zdażyłam usłyszeć wszystko – mój chrapliwy oddech, pobrzękiwanie noży za pasem biegnącego obok mnie Kobziarza, chrzęst miękkiego śniegu pod naszymi butami, trzask pękającego lodu na kałużach.

Wykrzyknęłam ostrzeżenie przed kolejną chmarą strzał, ale tym razem nie było za czym się schować, a konieczność utrzymania szyku uniemożliwiła uniki. Kobieta po mojej lewej osunęła się na ziemię ze strzałą w twarzy. Grot przebił jej policzek z suchym trzaskiem przypominającym uderzenie topora w drewno. Za sobą usłyszałam krzyki kolejnych trafionych.

Grad strzał zelżał dopiero, gdy byliśmy jakieś sto kroków od murów, gdyż wtedy wypadli na nas pierwsi żołnierze Rady. Po pierwszej fazie bitwy, która rozciągnęła się na szerokiej przestrzeni, tym razem przyszło nam walczyć w ścisku.

Dwa razy musiałam się nachylić, by uniknąć ostrza Omegi nacierającego obok mnie. Kobziarz i Zoe walczyli plecami do siebie, nie wykonując żadnych niepotrzebnych ruchów. Każde pchnięcie, każde uderzenie łokcia było precyzyjnie wymierzone i wszystko, czego tknęli, zaczynało krwawić.

– Nie oddalaj się – sapnął Kobziarz i zerknął na mnie kątem oka, zwarty w walce z wysokim żołnierzem.

Trzymałam się najbliżej, jak mogłam, a sama uderzałam tylko wtedy, gdy miałam pewność, że trafię i nikomu przy tym nie zaszkodzę. Po kilku minutach jednakże któryś z żołnierzy Rady zyskał nad Zoe przewagę i natarł na nią tak mocno, że ta wpadła na Kobziarza. Wylądowała na plecach i zdołała utrzymać miecz w dłoni, ale żołnierz wykorzystał sytuację i kopnął ją mocno w twarz. Jej głowa odskoczyła do tyłu, odsłaniając szyję. Żołnierz uniósł miecz, by zakończyć jej życie, ale wtedy rąbnęłam go w głowę.

Podróżowałam długo z łowcami i nie powinnam w zasadzie brzydzić się krwią. Obierałam gołębie i obdzierałam króliki ze skóry, a potem patroszyłam je przed przygotowaniem posiłku. Podczas ataku na Wyspę widziałam śmierć wielu ludzi i czułam mocny, żelazisty zapach krwi. Tym razem jednak było inaczej. Czułam opór, jaki stawiała jego skóra, czułam moment, gdy ciało ustąpiło pod naporem ostrza, czułam też zgrzyt klingi na kości.

Usłyszałam trzy wrzaski – umierającego człowieka, jego bliźniaka w moim umyśle oraz swój własny, trwający dłużej od pozostałych.

Rozdział dwudziesty

Cofnęłam ostrze. Mężczyzna osunął się na ziemię, jakby mój miecz był hakiem, na którym zawisło jego ciało.

Coś we mnie pękło. Wszystkie wizje, które nawiedziły mnie przez ostatnie miesiące, uwolniły się i utworzyły szaleńczy wir w mojej głowie. Wybuch. Rzędy zbiorników wypełnionych ogniem. Krater na Wyspie zalany krwią. Wybuch.

Kobziarz złapał mnie za ramię i szarpał mną, aż przestałam wrzeszczeć na tyle, by móc nabrać tchu.

– Skup się na tym, by cię nie zabito – wrzasnął i odepchnął mnie od siebie, gdyż właśnie rzucał się na niego kolejny żołnierz. Zatoczyłam się w tył, trzymając drżące ostrze.

Byłam już odpowiedzialna za ogromną ilość śmierci, ale to było dla mnie całkowicie nowe doświadczenie. Machnęłam ramieniem, a trzymana przeze mnie stał odebrała innemu człowiekowi życie. Był to czyn ostateczny, kompletny i intymny niczym pocałunek. Zrobiłam coś, czego nie da się już naprawić, a bliźniak zabitego żołnierza również umarł, nie wiedząc nawet dlaczego.

– Weź się w garść! – wrzasnęła Zoe.

Uniosłam głowę. Wojowniczką znów stała o własnych siłach, a z kącika jej ust, tam, gdzie kopnął ją żołnierz, ściekała strużka krwi. Jej koszula była czerwona, a zeszywniały kołnierzyk sterczał pod dziwnym kątem. Gdy krzyczała, na jej zębach błysnęły plamki krwi. Czy czuła ich smak? Co się z nami stało? Kiedyś pracowałam w polu i zajmowałam się roślinami. Teraz, na tej zamarzniętej równinie, stałam się żniwiarką krwi.

– Weź się w garść! – powtórzyła Zoe.

Wciągnęłam powietrze i powoli je wypuściłam. Odkryłam, że nadal trzymam w ręku miecz.

Uniosłam wzrok. Utknęliśmy. Nasza szarża się załamała, a żołnierze odpychali nas już od muru. Simon i garstka jego ludzi przebili się nieco dalej, ale zostali już odcięci i otoczeni przez żołnierzy Rady. Przypominali mi teraz wysepki wzdłuż Zatopionego Wybrzeża, powoli pochłaniane przez głodny przypyływ. Simon walczył dwoma mieczami, a w trzeciej ręce trzymał nóż. Kładł każdego, kto się z nim zmierzył, ale dwóch innych wojowników, którzy go osłaniali, padło już od ciosów żołnierzy Rady, którzy napierali coraz mocniej.

Jakieś przeczucie podpowiedziało mi o zbliżających się jeźdźcach. Być może to dlatego odwróciłam się na wschód, ku drodze, tuż po tym, jak Kobziarz poderwał wszystkich do jeszcze jednego natarcia. Prawie się przewróciłam, gdy otaczający mnie żołnierze ruszyli biegiem. Kobziarz dostrzegł mój wzrok i sam również odwrócił głowę.

Jeźdźców były setki. Ich sylwetki pochłaniały cały horyzont, a ziemia drżała

od łomotu kopyt. Żołnierze w czerwonych tunikach pochylali się w siodłach i gnali przed siebie, zostawiając wschód słońca za swym plecami. Wiedziałam, że zostały nam zaledwie minuty.

Mieli nad nami ogromną przewagę, przynajmniej pięciu na jednego. Wszelkie nadzieje, jakie nosiliśmy jeszcze w sercu, w tym momencie rozsypały się w pył. Tego właśnie musiały dotyczyć wizje krwi na śniegu. Tak to wszystko miało się zakończyć.

Pomyślałam o Zachu. Ciekawe, czy czuł nadchodzącą śmierć. Gdy sobie go wyobrażałam, nadal miał dziecięcą twarz. Widziałam jego czujne oczy śledzące każdy mój ruch. Widziałam, jak zasłania ramieniem twarz podczas snu, jakby chował sny przed spojrzeniem nocy. Minęło już wiele lat od chwili, gdy ja i Zach wspólnie uczestniczyliśmy w czymkolwiek, ale widok nadciągającej kawalerii sprawił, że znów o nim pomyślałam. Wiedziałam, że będzie mi łatwiej umrzeć ze świadomością, że pociągnę go za sobą.

Usłyszałam przekleństwo Kobziarza. Zoe coś wołała do niego, ale urwała w pół słowa, gdy ujrzała nadciągającą kawalerię. Było mi przykro, że dla nich również nadszedł koniec. Pocieszałam się tylko tym, że przynajmniej przyjdzie im umrzeć razem. Wydawało się, że tak należy – ich krew powinna się mieszać na tej zmarzniętej ziemi.

Żołnierze Rady przy bramie również zaczęli krzyczeć, a w ich głosach słyhać było ulgę i nowy entuzjazm. Uświadomiłam sobie wówczas, jak blisko był sukces. Nasz przeciwnik był przerażony. Mieliśmy wielką szansę wygrać tę bitwę i tylko pech sprawił, że szczęście się od nas odwróciło. Może jakiś posłaniec przekradł się za plecami naszych łuczników. A może posiłki tak czy owak zmierzały już do Nowego Hobartu, by pomóc w zamykaniu ludności w zbiornikach? Życie tylu ludzi zależało od takich niefortunnych drobiazgów. Mogliśmy wyzwolić to miasto, ale się nie udało.

Miałam teraz tylko nadzieję, że śmierć nadejdzie szybko. Że nie będzie tortur. Że nie będzie zbiornika.

Poczułam na sobie wzrok Kobziarza. Widziałam, że odwrócił się ku mnie, wbił miecz w grunt i chwycił jeden ze swych małych noży. Celował jednak we mnie, a nie w nadciągających jeźdźców.

Wiedziałam, co zrobi, gdy ci nas opadną. Nie byłam zaskoczona ani nawet przerażona. Nagłe pchnięcie zimnej stali, buchająca struga gorącej krwi. Szykował się do aktu miłosierdzia. Chciał mnie wybawić, tak jak ja wybawiłam rannego konia. Lepsza śmierć od życia w zbiorniku. Kobziarz widział, że na niego patrzę, ale nie bawił się już w zachowanie pozorów. Nie chował broni, nie odwracał również spojrzenia. Powoli skinęłam głową. Nie zdołałam się już uśmiechnąć, a ów prosty gest był jedynym podziękowaniem, na jakie potrafiłam się jeszcze zdobyć. Kima zginął, bym mogła żyć, a Kobziarz szykował się, by obdarzyć mnie śmiercią.

Czułam, że jestem mu równie wdzięczna jak Kimie.

Żołnierze przy bramie zwarli szyki. Nie musieli już napierać, wiedzieli, że lada moment znajdziemy się w pułapce między ich szeregami a czołem konnicy, nadciągającej wschodnim traktem. Łomot kopyt wprawiał zmarzniętą ziemię w drżenie. Dzieliło ich od nas zaledwie kilkaset kroków. Kobziarz wpatrywał się we mnie, a Zoe patrzyła na niego. Zamknęłam oczy.

Wtedy uświadomiłam sobie, że słyszę nie te odgłosy, których się spodziewałam. Miałam wrażenie, że fala dźwięków urwała się z cum i popłynęła z falą w dal. Krzyki i wrzaski docierały bowiem z zupełnie innej strony – ze wschodniej bramy, która znajdowała się po prawej stronie.

Oddział konnicy nie zjechał bowiem z traktu, by runąć na nasze siły przy południowym murze, ale nadal gnał na wschodnią bramę. Część jeźdźców uniosła łuki i posłała grad strzał na wieżę strażniczą nad wschodnią bramą, a pozostali wyhamowali wierzchowce przed wrotami i zarzucili liny z hakami na blanki. Bramy broniła nieliczna załoga, gdyż większość należących do niej ludzi ruszyła do walki z nami i przybysze błyskawicznie ustawili przy niej drabinę.

Wtedy go ujrzałam. W samym środku ruchliwego oddziału znajdował się Prowodyr, który choć sam dzierżył miecz, zajmował się głównie wydawaniem rozkazów. Co chwila nachylał się, by pospiesznie omówić coś z jakimś podkomendnym.

Część wschodniej bramy stała już w płomieniach, a w ścianę strażnicy wbijały się kolejne strzały. Rozległ się przeraźliwy wrzask i jakieś ciało wypadło prosto na tłącą się bramę, a potem rozległ się głośny, rozdzierający trzask, gdy liny z hakami wyrwały część jednego ze skrzydeł. Hufiec Prowodyra był na tyle liczny, by jednocześnie związać walką załogę strażnicy i roznieść bramę. Pierwsi jego żołnierze już wdzierali się do miasta. Garnizon broniący Nowego Hobartu nie miał szans odeprzeć tego ataku.

Tymczasem nasi przeciwnicy zrozumieli, że lada moment zostaną uwięzieni między nami a ludźmi Prowodyra. Jeden z jego pododdziałów odłączył się już od siły głównej przy wyważonej bramie i gnał w szyku wzdłuż muru ku nam. Nosili te same mundury co reszta, ale bez litości tratali obrońców miasta. Dowódcy broniącej się formacji nawoływali do odwrotu i przegrupowania, ale nie było już dokąd się cofnąć. Wschodnia brama padła, a nasza armia, choć przetrzebiona, nadal napierała z południa i zachodu. Ze wschodu zaś nadal nadciągali ludzie Prowodyra. Byli już na tyle blisko, że widziałam czarne chusty, które zawiązali na czołach, by odróżnić się od reszty. Gdziekolwiek spojrzałam, żołnierze w ciemnych opaskach brali górę nad pozostałymi.

Po tym, jak padła wschodnia brama, miasto szybko znalazło się w rękach najeźdźców. Spomiędzy budynków buchnęły kolejne słupy dymu. Południowa brama, która znajdowała się najbliżej, została otwarta od środka. Żołnierze

Prowodyra przebili się przez obrońców strażnicy i wybiegli na zewnątrz. Słyszałam krzyki za murami i wyobrażałam sobie zaskoczenie mieszkańców na widok żołnierzy w czerwonych tunikach Rady, którzy wspierają ich w walce o wyzwolenie miasta.

Ze wschodniej strażnicy zwisło coś bladego. W pierwszej chwili myślałam, że to kolejne ciało przewieszane przez blanki, ale ów przedmiot drgnął, poruszony podmuchem wiatru, załopotał dwukrotnie i rozwinął się. Wówczas dostrzegłam postać zgarbionej kobiety, która podnosi flagę wysoko. Na płachcie materiału widniał znak Omegi.

Ten sam znak, który Rada wypalała nam na czołach, wisiał teraz nad dymami i kałużami krwi. Miasto padło.

Osaczeni żołnierze Rady walczyli z desperacją ludzi, którzy wiedzą, że nie są już w stanie wygrać. Zoe obok mnie zmagala się z jakimś brodaczem, a tuż przy niej Kobziarz walczył z człowiekiem, który już krwawił z rany głowy. W ostatniej chwili uskoczył przed ciosem innego żołnierza, kobiety dzierżącej wielki topór. Gdy ta dostrzegła mnie, uniosła broń i rzuciła się do ataku. Wyglądała na równie przerażoną jak ja – błyskała białkami szeroko rozwartych oczu niczym koń, którego dobiłam. Kiedy to było? Godzinę temu? Wcześniej? Czas zwolnił tak bardzo, że zaczęłam w nim brodzić niczym w krwawym śniegu.

Uniosłam miecz, skupiłam się i zablokowałam pierwsze uderzenie. Gdy wojowniczką Rady uderzyła ponownie, jej uderzenie wybiło mi broń z ręki. Wtedy poderwała broń po raz trzeci. Naraz wszystkie szczegóły mroźnego poranka nagle wydały mi się niezwykle ostre i wyraźne.

„Zach! – pomyślałam. – Co ja ci zrobiłam? Co ja zrobiłam nam?”.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Moją pierwszą myślą po przebudzeniu było to, że wróciłam do Pustkowi. Wzrok miałam równie zamglony jak podczas długich tygodni wędrówki wśród ciężkich od popiołu wichrów, ustawicznie wyciskających łzy z oczu. Wtedy uświadomiłam sobie, że jestem w jakiejś izbie, a wokół mnie wcale nie ma popiołów. Rozmazane szczegóły nabierały ostrości i znów ją traciły w rytmie narzuconym przez głucho pulsowanie z tyłu głowy. Dopiero po chwili rozróżniłam różne typy bólu w moim ciele. Wykryłam powierzchowny ból skaleczeń i zadrapań na kłykciach i kolanach, potem ognisko z tyłu głowy, które sprawiało, że krzywiłam się przy każdym uderzeniu pulsu, a na końcu ból prawego przedramienia, wokół którego orbitowały wszystkie inne.

– Obudziła się – rozległ się głos Zoe.

Szedł ku mnie utykający ciężko Kobziarz.

– Zostałeś ranny?

– Nie – odparł i wskazał Zoe, która nadal siedziała.

Wzrok mi się znów wyostrzył i ujrzałam bandażę na jej prawym udzie. Nasiąkły krwią, która utworzyła czerwony uśmiech na białym płótnie.

– Czyste cięcie – powiedziała. – Już zszyte. Szybko się zagoi.

– A jak twoja głowa? – spytał Kobziarz.

Dotknęłam jej palcami zdrowego ramienia. Namacałam zgrubienie, które wydawało się twarde i gorące. Gdy cofnęłam rękę, ujrzałam krew na palcach. Spróbowałam poruszyć drugą, ale nagle wyzwoliłam ból, który nie ograniczył się do nadgarstka, ale rozlał po całym ciele i niemalże doprowadził mnie do wymiotów. Nadgarstek spuchł tak, że podwoił swój obwód. Próbowałam poruszyć palcami, ale te nawet nie drgnęły.

– Co się stało?

– Złamana – rzekł Kobziarz.

– Nie chodzi mi o to. Co się stało pod koniec bitwy?

– Jesteśmy w Nowym Hobarcie – odparł.

– My i Prowodyr – rzekła znacząco Zoe.

– O tym pogadamy później – oznajmił Kobziarz. – Na razie trzeba na nowo nastawić kość i wyprostować ją, nim obrzęk się powiększy. Musimy również skombinować jakieś łubki.

– Nie jesteś w stanie sam tego zrobić – powiedziałam.

– A widzisz tu jakichś lekarzy? – Zoe wskazała mi pomieszczenie.

Znajdowaliśmy się w niewielkiej, pogrążonej w półmroku izdebce. Światło wpadało do wnętrza przez strzaskaną okiennicę i układało na podłodze nierówne cienie. Po drzwiach do sąsiedniego pokoju pozostał jedynie nadwęglony kawałek drewna przy zawiasach. Widziałam tam niedbale ułożony stos połamanych krzeseł.

Leżałam na materacu. Drugi znajdował się przy ścianie, obok dzbanka wody. Zoe zerwała z niego prześcieradło i zaczęła drzeć je na pasy. Odgłos przywodził na myśl świst strzał tnących powietrze. Spróbowałam podnieść się do pozycji siedzącej, ale ból znów zalał mi ramię.

Zach, bez względu na to, gdzie teraz przebywał, odczuwał ten sam ból. Raz, gdy mieliśmy osiem lub dziewięć lat, mój brat rozciął sobie stopę o kawałek szkła na dnie rzeki. Siedziałam na rogu domu i obierałam pasternak, gdy nagle pojawił się ból. Nie towarzyszyło mu nic zauważalnego – nie było krwi ani rany, nic, co tłumaczyłoby przesywający impuls. Krzyknęłam i upuściłam warzywa na podłogę. Przez chwilę byłam przekonana, że zapewne ukąsił mnie jakiś pająk albo czerwona mrówka, ale gdy zapłakana obejrzałam stopę i stwierdziłam, że nie ma żadnych śladów, doszłam do wniosku, że na pewno coś się stało Zachowi. Wkrótce przyszedł do domu, utykając, znacząc drogę czerwonymi śladami. Rana ciągnęła się od śródstopia aż po piętę i była tak głęboka, że należało ją zszyć. Utykałam przez wiele dni, a on przez tygodnie.

Teraz, gdy Kobziarz wrywał nogę od krzesła, która miała posłużyć jako łubki, a Zoe szykowała bandaże, cieszyłam się w duchu z tego, że Zach stanie się uczestnikiem mojego cierpienia. Czy ja naprawdę chciałam, by cierpiał? A może życzyłam sobie, by zrozumiał mój ból? Nie wiem. Pewnie chodziło mi o obie te rzeczy.

Nie byłam w stanie powstrzymać krzyku, gdy Zoe oparła stopę o stół i wyprostowała mi ramię. Wtuliłam głowę w szyję trzymającego mnie Kobziarza, bo nie chciałam patrzeć na to, co robi Zoe. Gdy przystąpiła do działania, Kobziarz mocniej zacisnął ramiona wokół mnie, bym nie wyrwała ręki. Rozległo się chrupnięcie kości i już było po wszystkim. Pozostał tylko ból, który szarpał całym ciałem. Bez sił wtuliłam się w pierś Kobziarza. Mój pot wnikał między nasze ciała.

Zoe pracowicie obwiązywała łubki bandażami.

– Nie wolno ci poruszać ramieniem – rzekł Kobziarz. – Trzymaj je w górze, jeśli to możliwe. Kiedyś w dzieciństwie Zoe złamała nadgarstek. Sally porządnie go nastawiła, ale goił się o wiele za długo, bo ta nie miała ochoty stosować się do naszych zaleceń.

– Długo bolało po nastawieniu? – spytałam Zoe.

– Tak – odparli oboje.

– Zrobione – oznajmiła Zoe, kończąc wiązanie bandaży.

Kobziarz opuścił mnie delikatnie na posłanie i wsunął złożony koc pod nastawione ramię, by znajdowało się wyżej. Poruszał się równie delikatnie jak człowiek trzymający motyla w złożonych dłoniach. Przypomniłam mi się nóż, którym wycelował we mnie w chwili, gdy nasza porażka wydawała się nieunikniona, ale nie powiedziałam o tym ani słowa. Oboje wiedzieliśmy, że w tym gościu nie było ani śladu czułości.

– Powinnaś teraz odpocząć – rzekł.
– Opowiedzcie mi, co się wydarzyło.
– Widziałaś prawie wszystko – rzekła Zoe. – Prowodyr i jego ludzie błyskawicznie rozbili wschodnią bramę. W samym mieście panowało zamieszanie wywołane przez Omegi, ale szybko się zorientowali w sytuacji. Żołnierze Rady, którzy stawiali nam czoło, nagle mieli przeciwko sobie przewagę liczebną.

– Co się z nimi stało?
– Nie chcieli się poddać – rzekł Kobziarz. – Większość z nich zginęła. Skrzywiłam się, nie zdając sobie z tego sprawy. Zoe przewróciła oczami.
– Nie przejmuj się aż tak bardzo – rzekła Zoe. – Sama byłaś w środku bitwy, sama wymachiwałaś mieczem. Dobrze wiedziałaś, z czym się wiąże szturm na miasto.

Wiedziałam, że nigdy tego nie zapomnę. Nadal miałam wrażenie, jakie towarzyszyło zabiciu tego człowieka. Nadal przeżywałam moment, gdy moje ostrze wgrzyzało się w jego kość, i wciąż słyszałam podwójny krzyk, a w nim inne oktawy przerażenia.

– Niektórzy uciekli na północ – ciągnął Kobziarz. – Nie ścigaliśmy ich. Kilku w końcu się poddało, ale jeszcze nie zdecydowaliśmy, co z nimi zrobić.

– Powiedziałeś to tak, jakby to wszystko zależało od nas – rzekła Zoe. – Tymczasem pilnują ich ludzie Prowodyra. Serio myślisz, że ktoś cię zapyta o zdanie?

– A więc udało się – powiedziałam. – Wyzwoliliśmy Nowy Hobart.
– Cóż, przynajmniej miasto znalazło się pod rządami innego członka Rady – odparła Zoe.

Zamknęłam znów oczy, choć tak naprawdę to one same się zamknęły. Opuszczała mnie świadomość.

„Znajdźcie Else” – chciałam powiedzieć, ale usta mnie nie posłuchały. Opadłam w ciemność.

Byłam spragniona, lecz nadal tkwiłam wśród snów o ogniu. Gdzieś w pobliżu rozległ się głos Prowodyra:

– Ale przeżyje?
– Jeśli dasz jej odpocząć – parsknęła w odpowiedzi Zoe.
Ktoś wycierał mi twarz ręcznikiem. Obróciłam ku niemu głowę, chcąc się nacieszyć jego chłodem.

– Dlaczego jest taka blada? – spytał Prowodyr.
Płomienie buchnęły wyżej i niczego już nie usłyszałam.
Gdy się obudziłam, nie było przy mnie ani jego, ani Kobziarza. Widziałam tylko Zoe, która spała na podłodze przy moim materacu. Nie miałam pojęcia, jak

długo sama byłam nieprzytomna, ale szkarłatna krew na jej bandażu zdążyła już pociemnieć i wyschnąć.

Ocknęła się, gdy Kobziarz wszedł do środka. Gdy opatrywał moje złamane ramię paskami podartego prześcieradła i mocował łąbki, zdołałam wcisnąć w siebie odrobinę przyniesionego przezeń chleba. Z trudem udało mi się wstać. Cały świat zdawał się wirować wokół bólu w moim opatrzonym ramieniu. Musiałam wesprzeć się na barku Kobziarza i wraz z Zoe, stawiając niezdarnie kroki, zdołałam przejść do sąsiedniego pomieszczenia. Gdy minęliśmy stos potrzaskanych krzeseł, moim oczom ukazała się wielka sala. W jej centrum stał krąg ustawiony z całych krzeseł, a na jednym z nich zasiadał Prowodyr. Obok siebie miał Sally, Xandera, Simona i pewną starszą kobietę, której nie znałam osobiście. Rozpoznawałam jednakże jej krótkie włosy i wydatny garb na plecach. To ona wymachiwała zaimprovizowaną flagą na wschodniej wieży pod koniec bitwy.

– To June – rzekł Kobziarz. – To ona stanęła na czele buntowników w samym mieście.

June spojrzała na moje ramię i kawałek drewna wystający spod bandażu.

– Na razie nie będę ci ścisnąć dłoni – oznajmiła.

– A Prowodyra zapewne pamiętasz – rzekła Zoe nieco ostrzejszym głosem.

– Wszyscy bylibyście martwi lub pozamykani w zbiornikach, gdyby się do niego nie zwróciła – wtrąciła Sally.

– Okłamałaś nas! – stwierdziła Zoe.

– Gdybym ci powiedziała, że chcę się z nim spotkać, nigdy byś mi na to nie pozwoliła. Nie udałoby nam się wyzwolić miasta!

– Myślisz, że jest wolne? – spytała Zoe. – Ja nadal widzę ludzi Rady patrolujących ulice.

– Już ci mówiłem – rzekł Prowodyr. – Oni służą mnie, a nie Radzie, a zresztą gdyby nie oni, Rada odbiłaby miasto w każdej chwili.

Siedział z dala od reszty. Na policzku miał skaleczenie, które zaczynało się już goić. Simon, który siedział naprzeciwko mnie, również nosił ramię na temblaku, a w kąciku ust miał sińca.

– Co to za miejsce? – Rozejrzałam się dookoła. Sala była spora, zbyt duża jak na czyjś dom. Wydawała się większa od dormitorium dzieci w sierocińcu Elsy.

– To biuro poborcy podatkowego – rzekł Prowodyr.

– Nie działa to najlepiej na morale w mieście – odezwała się June. – Wybrałaś sobie miejsce, gdzie niedawno staliśmy w długich kolejkach, by oddać Radzie należności. A na domiar złego kazałaś zdjąć flagę.

– To miejsce było puste – rzekł Prowodyr. – A poza tym co niby miałem zrobić? Wyrzucić kogoś z własnego domu i tam założyć bazę? A co do flagi, nie oczekujesz chyba, że moi żołnierze z radością będą pracować przez dzień i noc pod

flagą Omeg, podczas gdy to oni wyzwolili miasto.

– Dokonaliśmy tego razem – powiedziałam. – Gdybyśmy nie ruszyli do szturm, ty i twoi ludzie nawet palcem nie kiwnęlibyście, by uwolnić miasto.

Odwrociłam się ku June.

– Gdy zostawialiśmy dla was wiadomości, nawet nam się nie śniło, że zdołacie tak wiele osiągnąć. Jak wyście tego dokonali? Mielście gdzieś ukrytą broń?

– Trochę, ale niewystarczająco dużo – odparła June. – Po zamknięciu miasta Rada urządziła gruntowne przeszukania i obiecała nagrody dla tych, którzy doniosą na sąsiadów ukrywających kontrabandę. Udało im się nas niemalże całkowicie rozbroić i sparaliżować strachem. Dopiero dynie podsunęły nam pewien pomysł. Skoro wy wykorzystaliście jedzenie przeciwko nim, postanowiliśmy pójść w wasze ślady. Rada wykorzystywała nas do gotowania dla całego garnizonu. Nie powinni pokładać w nas tak wielkiego zaufania, zwłaszcza po tym, jak odebrali nam dzieci. Słyszałam nawet rozmowę dwóch strażników podczas zmiany warty dzień po zabraniu dzieci. Jeden spytał drugiego, czy spodziewa się jakichś problemów po tym, co się stało, a ten tylko wzruszył ramionami i spytał: „A niby czemu? Przecież to nie są nawet ich własne dzieci”.

Przyglądałam się Prowodyrowi. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Zabrali wszystkie dzieci poniżej dziesiątego roku życia – ciągnęła June. – Żołnierze oczyścili wszystkie sierocińce, widziałam też, jak wyciągali dzieciaki z domu sąsiadów, szamoczące się i wrzeszczące.

Jej twarz stężała.

– Gdy otrzymaliśmy waszą wiadomość, byliśmy gotowi do działania. Na murach za targowiskiem rośnie belladonna, a w rowach przy murze cykuta. Czwooro z nas zakradło się tam po zmroku i zebrało, ile się dało. Tak czy owak nie byliśmy w stanie wytruć wszystkich żołnierzy, ale pierwsza zmiana już chorowała, zanim druga zeszła na śniadanie. Niektórzy już wyzionęli ducha, a wielu osłabło. Szybko zorientowali się, co się święci, i jeszcze przed rozpoczęciem ataku wychłostali trzech kucharzy. Gdybyście nie zaatakowali na czas, zrobiłoby się naprawdę niewesoło.

„I tak było niewesoło” – pomyślałam, wyobrażając sobie powolną śmierć zatrutych żołnierzy. Nie miałam jednak prawa osądzać June. Ludzie z Nowego Hobartu zrobili to, o co ich prosiliśmy, o wiele skuteczniej, niż mogłam sobie wyobrazić.

June spojrzała na Prowodyra.

– Nie chcę jednak, by się okazało, że zaryzykowaliśmy tak wiele tylko po to, by znaleźć się pod okupacją innych sił.

Prowodyr wstał.

– Nie tylko ty jedna położyłaś wszystko na szali. Ja właśnie pozbyłem się

miejsca w Radzie, a moi żołnierze ryzykowali życie, by was obronić. Waszej armii obdartusów groziła masakra, gdybyśmy nie przybyli na czas. Jeśli sądzisz, że jesteście w stanie powstrzymać atak Rady na Nowy Hobart, proszę bardzo, przejmijcie obronę miasta, ale na razie okażcie odrobinę wdzięczności.

– Wdzięczności? – parsknęła Zoe.

– Podobnie jak i ty nie mam najmniejszej ochoty na naszą współpracę – odparł cicho. – Ale zależy nam wszystkim na powstrzymaniu maszyn. W przeciwieństwie do Reformatora czy Pani Generał nie chcę krzywdzić waszych ludzi. Zależy mi jedynie na opanowaniu sytuacji i uniknięciu kolejnego kataklizmu.

– Na opanowaniu sytuacji – powiedziałam. – Czyli chciałbyś, żebyśmy wszyscy znaleźli się w obozach, co? Zamknęci gdzieś, gdzie nikt nas nie widzi, zmuszani do niewolniczej pracy, pozbawieni prawa do decydowania o sobie?

Usłyszawszy mój podniesiony głos, Xander zaczął kołysać się w przód i w tył, przyciskając dłonie do uszu. Prowodyr to zignorował.

– Mam na myśli bezpieczeństwo i stabilność, zarówno dla Omeg, jak i dla Alf – powiedział. – A to więcej, niż proponuje twój bliźniak.

– Ale to nie jest nasz wybór! – krzyknął Kobziarz. – Nie musimy wybierać między tobą a Panią Generał!

– Tracimy czas – przerwała Sally. – To nam w niczym nie pomoże. Walczyliśmy ramię w ramię i zwyciężyliśmy, a to więcej, niż się spodziewaliśmy. Udało się ocalić ludność miasta przed zbiornikami, niemniej jednak pamiętajcie, że to dopiero początek. Jeśli teraz zaczniemy się kłócić, ułatwimy jedynie kontratak Radzie.

Odwróciła się do Prowodyra.

– Na jaką część armii możesz liczyć?

Jeśli Prowodyr był zaskoczony pytaniem staruszki w zetknięciu szalu, w żaden sposób nie dał tego po sobie poznać.

– Myślę, że gdyby przyszło co do czego, mogę liczyć na mniej więcej połowę wojsk – odparł. – Reformator i Pani Generał są tak zafascynowani maszynami, że całkiem zapomnieli, iż dla wielu ludzi to nadal tabu. Gdy rozniosły się wieści o maszynach, dołączyło do mnie wielu dezertersów. Większość z nich mam tu ze sobą, a reszta opuściła już Wyndham i zbiera się na zachodzie, na brzegach zatoki Sebald.

June powstała.

– Moi ludzie nie są zadowoleni z tego, że mury miasta są obsadzone przez wojsko, bez względu na to, czy nazywają się żołnierzami Rady, czy też nie. Gdyby zależało to od nas, zniszczylibyśmy te mury.

– Co uczyniłoby nas zupełnie bezbronnymi w wypadku kontrataku Rady – rzekł Kobziarz. – Dopóki możemy je wykorzystać w obronie miasta, dopóty nikt ich nie tknie, ale chcę, by tereny wokół miasta patrolowały również oddziały

Omeg.

– Moi ludzie nie zgodzą się na to – rzekł Prowodyr. – Samo przekonanie ich, by ruszyli do ataku na Radę, kosztowało mnie zbyt wiele trudu. Służba ramię w ramię z Omegami to zbyt wiele, a nikt z nas nie skorzysta na tym, jeśli żołnierze zaczną wszczynać bójkę między sobą.

– A więc zajmij się tym – powiedziałam. – Rozpracuj to i przypilnuj, by do żadnych bójek nie doszło! Ułóż taki harmonogram, wedle którego nasze patrole działałyby na zmianę, albo przydziel swoim ludziom mury, a naszym bramy. Po prostu zrób to, i tyle.

Podeszłam do Prowodyra.

– Czy dysponujesz okrętami?

– O co ci chodzi? W jaki sposób okręty miałyby nam pomóc w utrzymaniu Nowego Hobartu czy w walce z maszynami?

– Szukamy Zamorza – powiedziałam. – Masz rację co do jednego: zwycięstwo w kampanii lądowej graniczy z cudem, a jeśli jedynym sposobem na sukces jest toczenie kolejnych bitew, prędzej czy później okaże się, że nikt nie wygra. Być może istnieje pewna alternatywa. Istnieje miejsce, gdzie wszystko wygląda inaczej, gdzie moglibyśmy znaleźć sposób lub przynajmniej prawdziwe schronienie.

– Teraz mamy inne zmartwienie – odparł Prowodyr. – Pani Generał i Reformator zaczną ściągać swoje siły i szukać sposobu, by nas okrążyć i wyeliminować. Będą się zastanawiać, kogo teraz wsadzić do zbiorników i którą osadę przykładowo ukarać. Wiesz o tym, prawda? Jeśli ni z tego, ni z owego zaczniesz szykować się do postawienia żagli i odpłynięcia w poszukiwaniu Zamorza, ludzie odbiorą to jak zdradę.

Nastąpiła długa chwila ciszy, aż rzekłam:

– Działając siłą, niczego nie osiągniemy. Nie zbudujemy niczego trwałego i doprowadzimy do tego, że będą ginąć coraz to nowi ludzie. Stoczyliśmy tę bitwę, gdyż nie było innego wyboru, ale już teraz dziesiątki Alf oplakują tych, którzy oddali tu swe życie, i utwierdzają się w swej nienawiści do nas. Zrobiliśmy to, co konieczne, i być może zrobimy to ponownie. Ale to nie jest rozwiązanie naszych problemów. Nie możemy zbudować pokoju na rozlanej krwi. Zabijanie działa inaczej.

– Ona ma rację – rzekł Kobziarz. – Musimy wykorzystać szansę i ściągnąć jak najwięcej Omeg do ruchu oporu, ale również wznowić poszukiwanie okrętów. Rada skupi swą uwagę tu, a nie na wybrzeżu. Jeśli się pospieszymy, możemy szybko wyszukać nowe jednostki i ruszyć na północ, za kanał skutym lodem...

– Nie zaczynaj znów tej samej śpiewki – przerwał mu Simon. – Okręty zaginęły. Jeśli nie zostały już zniszczone przez flotę Rady, z pewnością załatwią je zimowe burze. Moi zwiadowcy czekali na Ponurym Przylądku tak długo, jak

mogli, Kobziarzu. Nie ma szans, by statki powróciły. Nie tej zimy. Zawsze kurczowo trzymałeś się pomysłu Zamorza, ale czas już go porzucić. Mamy tu prawdziwe problemy.

– Dwa nasze statki wypłynęły ponad cztery miesiące temu i skierowały się na północny zachód. – Kobziarz odezwał się do Prowodyra, ignorując Simona. – Jeśli ich załogi miały odrobinę zdrowego rozsądku i uważnie przyjrzały się brzegom Wyspy, zamiast wpłynąć prosto w ramiona Rady, z pewnością rzuciły kotwicę gdzieś przy stałym lądzie. Musimy ustanowić posterunek obserwacyjny na Ponurym Przylądku.

– A kogo chcesz tam posłać? – Prowodyr potrząsnął głową. – Masz może nadmiar ludzi? Przecież podróż na Ponury Przylądek to nie spacer po łące! By tam dotrzeć, trzeba pokonać setki mil ziem gęsto zasiedlonych przez Alfę, a w połowie drogi znajduje się garnizon wojsk Rady wielkości połowy Wyndham.

– No więc co radzisz? – spytałam. – Nie interesują mnie kolejne bitwy, chcę doprowadzić do prawdziwych zmian.

– Właśnie o tym mówię – odparł. – O realnych zmianach, do których naprawdę możemy doprowadzić. Osiągnęliśmy pozycję, z której możemy rozpocząć negocjacje z Radą. Trzeba wykorzystać nasze zwycięstwo, by zmusić Radę do reform. Trzeba też rzucić wyzwanie Pani Generał, która stoi na czele Rady. W jej gronie zasiada wielu ludzi, którzy byliby gotowi mnie poprzeć. Utworzylibyśmy nową Radę, bardziej umiarkowaną i wyrozumiałą wobec Omeg. Utrzymalibyśmy tabu, zniszczyli system zbiorników i ograniczyli podatki do rozsądnych rozmiarów. Czy nie tego chcecie?

– Wyrozumiałą wobec Omeg – powtórzył Kobziarz. – Ale nadal sprawującą władzę. Rozsądne podatki? Dlaczego mielibyśmy płacić Radzie cokolwiek? Na Wyspie nie płaciliśmy podatków!

– Ale nie ma już Wyspy – rzekł Prowodyr. – Ja zaś ani myślę wysłać ludzi, by szukali wiatru w polu. Zapomnij o Zamorzu. Ja chcę powstrzymać maszyny i doprowadzić do tego, by władza znalazła się w bezpiecznych rękach. I to tyle.

– Czyli w twoich? – spytała Zoe.

– Wolisz, by u władzy pozostali Pani Generał i Reformator? Bo beze mnie szybko do tego dojdzie.

– Takie kłótnie do niczego nie prowadzą – powiedziałam. – Musimy wznieść się ponad bitwy, miecze oraz krew i poszukać innych rozwiązań. Jeśli nasze okręty dotarły do brzegów stałego lądu, musimy je odnaleźć, nim zrobi to Rada. Proponuję też od razu rozpocząć poszukiwania papierów, które tak bardzo interesowały Radę.

– W istocie, szukali jakichś dokumentów – powiedziała June i zaśmiała się ze zmęczenia. Wszyscy na nią spojrzeli. – Nic nie umknęło ich uwadze. Nie oszczędzili ani jednego przepisu kulinarnego czy listu miłosnego w całym Nowym

Hobarcie. Przez ostatnie miesiące konfiskowali dosłownie wszystko. Rozebrali kramy przy targowisku i rozkopali połowę ulicy przed piekarnią tylko dlatego, że ktoś zdradził, że coś tam zakopano. – Jej uśmiech przygasł nagle. – Choć w sumie nie powinnam się z tego śmiać. Pobili ciężko wielu ludzi, których podejrzewali o to, że coś ukrywają. Niemniej jednak ich poszukiwania trwały długie miesiące. Oferowali też nagrody. Jak chcecie odnaleźć te dokumenty, skoro nikt, nawet w najcięższych chwilach, nie połąsił się na złoto Rady?

– Muszę porozmawiać z Elszą z sierocińca. Chcę też obejrzeć zbiorniki, byśmy mogli wspólnie ustalić, czy możemy bezpiecznie wydostać z nich dzieci.

W sali zapadła cisza.

– Co znowu? – spytałam.

– Dlaczego od razu tego nie powiedziałaś? – Kobziarz wstał. – Zabiorę cię do zbiorników. Elsa już tam jest.

Rozdział dwudziesty drugi

Śnieg pochłonał większość kolorów ulic. Naokoło widziałam czarne, drewniane belki, biały śnieg i czarne błoto. Wiele domów zostało uszkodzonych podczas bitwy, a inne nosiły ślady wielu miesięcy okupacji. Kilka zostało spalonych do cna. Tu i ówdzie dostrzegłam zniszczone lub pospiesznie naprawione drzwi czy okiennice. Ludzie na ulicach wydawali się wychudzeni, a niektórzy mieli na sobie zakrwawione bandaże.

Szłam powoli. Z każdym moim krokiem ramię, choć na temblaku, eksplodowało nową falą bólu. Z naprzeciwka nadszedł jakiś ślepiec, stukając laską po oblodzonych kamieniach. Potknął się o wyważone, nadpalone drzwi, ale Kobziarz zainterweniował w porę i pomógł mu obejść przeszkodę.

– Kiedyś przemieszczałem się tu bez trudu! – powiedział ślepiec. – Teraz wszystko się zmieniło.

Mówił prawdę. Trudno mi było rozpoznać Nowy Hobart, choć widziałam to miasto kilka miesięcy temu. Róg nowo wzniesionego budynku został uszkodzony pożarem, który przeniósł się z murów. Czarne ślady spaleniźny sięgały dachu. Drzwi zostały wyłamane, a do sieni napadało śniegu.

Weszłam za Kobziarzem do wnętrza, ale zatrzymałam się po kilku krokach. Panowały tu ciemności, rozjaśniane jedynie światłem dnia, które odbijało się w krzywiźnie wielkich zbiorników. Przecież nad nimi powinny migotać rzędy zielonych światełek. Powinam też słyszeć niski szum i pochrapywanie maszyn, lecz zamiast tego panowała tu jedynie głucha, martwa cisza, tak przejmująca, że nie byłam w stanie zrobić ani jednego kroku naprzód.

Elsa wyszła zza jednego ze zbiorników, uzbrojona w nóż kuchenny. Gdy ujrzała Kobziarza, rzuciła go na ziemię.

– Już powiedziałam tobie i twoim żołnierzom, że nie potrzebuję pomocy. Sama to zrobię.

Jej pozbawiona ciała twarz unosiła się nade mną w tyłu wizjach, że ze zdumieniem patrzyłam teraz na jej sylwetkę – krępe ciało, brudne dłonie i włosy związane szmatką. Wydawała się starsza, niż ją sobie zapamiętałam, a jedno z jej podbitych oczu zamykała opuchlizna. Posiwiła i garbiła się też mocniej.

Zawołałam ją po imieniu. Elsa zmrużyła zdrowe oko i spojrzała na mnie, skąpaną w świetle padającym z zewnątrz, a potem rzuciła się ku mnie biegiem, niezdarnie na swych krzywych nogach. Przytuliła mnie z taką siłą, że bez wątpienia odcisnęła mi swoje guziki na policzku. Krzyknęłam, gdy ścisnęła moje złamane ramię, a wtedy mnie wypuściła.

– Gdzie Kima? – spytała.

– Nie żyje – odparłam.

Wypowiedzenie tego na głos wciąż mnie szokowało, ale nie był to dobry

moment, by rozpatrywać dawne tragedie. Wszak za Elszą ciągnął się rząd milczących zbiorników.

– Co tu się stało? – spytałam.

Elsa zacisnęła usta.

– Wygląda na to, że obie mamy sobie kilka historii do opowiedzenia. I to takich bez szczęśliwych zakończeń.

Uniosła dłonie, by dotknąć mojej twarzy, i przez chwilę uśmiechała się tak szczerze i szeroko, że zmrużyła zdrowe oko niemal tak bardzo jak podpuchnięte.

– Ale dobrze cię widzieć, dziewczyno – szepnęła.

Po chwili jednakże jej uśmiech znikł. Ujęła mnie za ramię i zaprowadziła w głąb pomieszczenia, gdzie stał Kobziarz. Teraz mogłam się lepiej przyjrzeć zbiornikom. Były tych samych rozmiarów co te, które widziałam wcześniej. Każdy z nich był nieco wyższy ode mnie i miał piętnaście stóp szerokości. Przypomniały mi się słowa Spowiedniczki, wypowiedziane w silosie: „nasze ostatnie eksperymenty z masowymi zbiornikami”. Ich dwa rzędy ciągnęły się przez całą długość pomieszczenia.

„Wystarczyłoby ich, by pomieścić całą ludność miasta” – pomyślałam.

Teraz wszystkie, z wyjątkiem trzech najbliższych, były puste. Ten, przy którym staliśmy, został już prawie opróżniony, pozostało jedynie nieco płynu wokół otwartego zaworu na dnie. Do jego wilgotnej ściany przylgnęła drabinka sznurowa, zwisająca z pomostu ciągnącego się nad zbiornikami. Końce lin wiły się w kałuży płynu na dnie.

Ściskając dłoń Elsy, zrobiłam jeszcze kilka kroków. Kolejny zbiornik był już napełniony, ale ciała dzieci nie unosiły się w nim tak jak Omegi, które wcześniej widziałam, a leżały jedno na drugim na dnie. Rury, które wystawały z ich ust i nadgarstków, wystawały ponad powierzchnię, ale były splątane, a kilka z nich zostało oderwanych i unosiło się teraz w płynie. Powierzchnia była całkowicie nieruchoma – nie wibrowała lekko pod wpływem szumiącej miarowo Elektryki tak jak wcześniej. Bez Elektryki zaś każdy zbiornik stawał się jedynie szklaną kryptą.

Dzieci utonęły.

– To nie przez ogień – powiedziałam.

Skądś wiedziałam, co usłyszę od Kobziarza.

– Zniszczono połowę maszyn – rzekł. – I pocięto kable.

Spojrzałam na wskazywane przez niego miejsce. Po przeciwnej stronie pomieszczenia stała ogromna metalowa skrzynia, która została otwarta, a jej wnętrze zdewastowane. Zewsząd sterczały poprzerzynane przewody. Rury, które biegły po ścianach i suficie do zbiorników, również uległy zniszczeniu. Jedna z nich przeciekała, a płyn powoli ściekał na podłogę.

– Wysłałem tu ludzi natychmiast po tym, jak przejęliśmy władzę nad miastem – ciągnął Kobziarz. – Ale było już za późno. Przypuszczalnie zrobili to

żołnierze Rady, gdy uświadomili sobie, że zostali zaatakowani. Chyba nie wolno im było dopuścić do tego, by maszyny wpadły w nasze ręce.

– Nie dlatego to zrobili – przerwała mu Elsa. – Choć być może taki rozkaz padł, zgadza się. Nikt jednak chyba nie ma wątpliwości, że to była kara.

Spojrzała na zbiorniki.

– Zniszczyli maszyny i skazali dzieci na śmierć przez utonięcie, gdyż chwyciliśmy za broń.

Nie mogłam oderwać wzroku od spoczywających na dnie, nieruchomych postaci. Trudno było odróżnić poszczególne dzieci w plątaninie ciał i kończyn. Większość miała otwarte oczy i rozchylone usta, zamarłe w podwodnym wrzasku. Nie byłam w stanie myśleć o ich ostatnich minutach życia, ale mimo to nadal nie potrafiłam odwrócić głowy. Jaką cenę tak naprawdę przyszło nam zapłacić za wyzwolenie Nowego Hobartu? Cóż, sęk w tym, że to nie my ją zapłaciliśmy. Nie my, ale dzieci.

– Znalazłam sposób na otwarcie zaworu i opróżnienie pierwszego zbiornika – powiedziała Elsa i machnęła mokrym rękawem.

Przyjrzałam się jej uważniej i dostrzegłam, że zarówno koszula, jak i spodnie do kolan uległy przemoczeniu. Zaprowadziła mnie do przeciwległego końca pomieszczenia, gdzie na prześcieradle leżały ciała, które wyciągnęła z pierwszego zbiornika. Przypominały schnące wodorosty, wyrzucone przez fale na brzeg.

– Wyciągnęłam pierwszą dwunastkę – powiedziała. – Ale to nie wszystko. Pozostało jeszcze około sześćdziesięciorga dzieci.

I sześćdziesięcioro innych w domach Alf. Widziałam oczami wyobraźni, jak ich rodzice budzą się o świcie następnego dnia po bitwie i udają się do pokojów swych pociech, by zastać je nieruchome, z sinymi ustami, utopione w powietrzu.

To wina Zacha.

Poczułam, jak żołądek skręcają mi mdłości, a do gardła podchodzi żółć. Gdy byłam dzieckiem, kryłam swe wizje, by nas nie rozdzielono, ale Zach przechytrył mnie i sam uznał się za Omegę. Mój brat był sprytny i doskonale mnie znał. Chcąc go ochronić, zdobyłam się na naznaczenie i ucieczkę, bo nie chciałam, by wyrządzono mu krzywdę. Już wtedy był gotów wyrządzić sobie krzywdę, by się mnie pozbyć. Rozkaz zabicia dzieci w zbiornikach, który pociągał za sobą również śmierć dzieci Alf, był w zasadzie tym samym gestem, choć na większą skalę. Ogłaszał w ten sposób, że on i Pani Generał są gotowi zapłacić każdą cenę, by nas zniszczyć.

Udało mi się jakoś namówić Elbę, by przyjęła pomoc. Była przemoczona i wycieńczona, choć nigdy by się do tego nie przyznała. Kobziarz ściągnął Zoe i Crispina, karła, który pełnił straż przy wejściu do kamieniołomu podczas mego pierwszego kontaktu z ruchem oporu. Elsa nie pozwoliła nikomu ułożyć ciał na podłodze, ale zgodziła się, by inni wyciągali je ze zbiorników. Pokazała

Kobziarzowi dźwignię z przodu każdego zbiornika, służącą do upuszczania płynu ze środka. Gdy ten wyciekał, tworząc wir, stłoczone ciała zaczynały drgać i poruszać się w groteskowej parodii życia. Za pierwszym razem Crispin zwymiotował cicho za jednym ze zbiorników.

Nikt się nie odezwał. Nie chodziło nawet o zgrozę, jaką wywoływał widok martwych dzieci – tu chodziło o same maszyny. Widziałam, z jaką czujnością Kobziarz przemieszczał się między maszynami, zauważyłam też, jak Zoe wzdrygnęła się, gdy otarła się o jedną z rur, zupełnie jakby ta była rozpalona do czerwoności. Ja spędziłam długie lata pod elektrycznymi światłami Przechowalni, widziałam już komory ze zbiornikami oraz bazę danych Spowiedniczki, lecz pozostali zachowywali się, jakby każda rura i każdy przewód mógł ich opleść i zadusić. Wszystko, co tu się znajdowało, stanowiło tabu. Crispin wpatrywał się w maszyny tak, jak Alfy patrzyły na nas – jakby same były skażone Wybuchem.

Po opróżnieniu każdego zbiornika Zoe i Crispin schodzili na dół po sznurowej drabince i rozplątywali ciała. Widziałam, jak ostrożnie stawiali stopy, by nie nadepnąć na żadne z dzieci, i z jaką łagodnością wyciągali rury z ich otwartych ust, a potem wspinali się po drabinie i przekazywali wciąż mokre ciała Kobziarzowi, który czekał na pomoście. Ten z kolei podawał je Elsie.

Widziałam, jak płonie świat, a nie dalej jak wczoraj byłam również świadkiem strasznych scen podczas bitwy, a mimo to nigdy nie ujrzałam niczego równie przerażającego i przejmującego jak to, co miało miejsce tego dnia w ciemnej komorze w Nowym Hobarcie. Patrzyłam na drobne ciała wyciągane ze zbiorników i na Elsę, która odgarniała im włosy z twarzy i próbowała rozprostować im ręce i nogi. Chciała też pozamykać im oczy, ale dzieci zbyt długo wpatrywały się w śmierć i ich powieki ani drgnęły.

Kobziarz rozkazał żołnierzom przynieść więcej prześcieradeł i koców z sierocińca, a ja pomogłam Elsie w okrywaniu nieżywych. Najgorsze były chwile, gdy rozpoznawałam twarze. Nie wszystkie dzieci pochodziły z sierocińca Elsy, ale co chwila natrafiałam na znajome oblicze. Gdy obok mnie ułożono Louise, zauważyłam, że dziewczynka ma otwarte usta. Nie mogłam oderwać oczu od jej małych ząbków i przerw między nimi. Ze wszystkich rzeczy, które tego dnia widziałam, dopiero ten widok sprawił, że odwróciłam głowę.

Pracowaliśmy w milczeniu, gdyż żadnym słowem nie można było opisać tego, co robiliśmy. Elsa czasami płakała, ale również w ciszy. Gdy skończyliśmy, zabraliśmy się do noszenia ciał ku wyjściu. Elsa brała starsze dzieci, a ja, z uwagi na złamane ramię, podnosiłam młodsze i mniejsze. Najmniejsze z nich, zawinięte w koc, nie było większe od bochenka chleba, ale nawet malutkie dzieci były cięższe, niż powinny, gdyż ich płucka i żołądki wypełnione były płynem.

Zamieniłyśmy z Elsą pierwsze słowa dopiero po tym, jak wszystkie zawinięte ciała znalazły się przy drzwiach. Zoe i Crispin wrócili do biura poborcy

podatkowego, a Kobziarz rozmawiał z jakimś żołnierzem o wozie do transportu ciał. Ramię mnie bolało, a Elsa bez wątpienia była wyczerpana, przez co kusiło mnie, by poczekać jeszcze jeden dzień, nim przybiję ją moją opowieścią. Nauczyłam się jednak, że nie ma co zwlekać, bo kolejny dzień może nigdy nie nadejść, a istniały rzeczy, o których powinnyśmy obie wiedzieć.

Opowieść o tym, co się działo przez tygodnie i miesiące od czasu naszego ostatniego spotkania, zabrała sporo czasu. Gdy opowiedziałam o tym, do czego doszło na Wyspie, Elsa pokiwała głową.

– Wieści ze świata zewnętrznego najczęściej do nas nie docierają, ale tym razem żołnierze z ochotą rozpuszczali informacje. Wcześniej miałam nadzieję, że zdołasz dotrzeć na Wyspę, ale gdy usłyszałam, do czego tam doszło, zaczęłam się modlić, by jednak coś ci w tym przeszkodziło.

Patrzyłam na jej twarz, gdy zdradziłam jej tożsamość mego bliźniaka. Elsa spojrziała na mnie uważnie, jakby chciała się upewnić, że nadal jestem tą samą osobą, a potem ścisnęła mi dłoń.

– Nadal jesteś tym, kim jesteś – powiedziała.

Oddałabym wiele za to, by miała rację, ale Zach zmienił mnie już dawno temu. Zostałam ukształtowana przez to, kim był i co robił, podobnie jak i on został uformowany przez moje czyny. Jedno z nas było ostrzem, a drugie osełką.

Trzymając jej rękę, opowiedziałam jej wszystko, czego dowiedzieliśmy się o zbiornikach i planach, jakie w związku z nimi miał Zach.

– Nie jestem głupia – powiedziała cicho. – Wiem, że odebranie nam dzieci było okrutne, ale to miejsce i wszystko to, co mi opowiedziałaś... Nie, to gorsze, niż się spodziewałam.

– Próbowalaś ich powstrzymać, gdy przyszli po dzieci? – spytałam.

Elsa odwróciła się ku mnie i uniosła brew nad opuchniętym okiem.

– A jak ci się wydaje?

– A Nina?

Elsa opuściła wzrok.

– Obeszli się z nią o wiele brutalniej niż ze mną. Została uderzona w głowę, a potem z uszu pociekła jej krew – powiedziała i westchnęła powoli. – Umarła dwa dni później.

Usiadłyśmy na progu. Rząd owiniętych w prześcieradła dzieci ciągnął się u naszych stóp.

– Może nie cierpiały tak bardzo – powiedziałam.

Ela znów ujęła mnie za rękę.

– Gdy przybyłaś tu wraz z Kimą, zrozumiałam, dlaczego nie chcecie podać swych imion. Odgadłam też, gdzie byliście. Nie miałam nic przeciwko temu, że kłamiecie. Niemniej jednak nie musisz już tego robić. Jestem już za stara na kłamstwa, a poza tym nie ma już na to czasu.

Patrzyliśmy, jak żołnierze ładują ciała na wozy, gdy ktoś zawołał najpierw Kobziarza, a potem mnie. Zza rogu wypadła spocona, zziębnięta Zoe, która nawet nie zwróciła uwagi na to, że pośpiech doprowadził do otwarcia rany na udzie. Na nogawce pojawiła się plama świeżej krwi.

– Posłaniec! – wołała. – Posłaniec Rady! Przybył sam, jakieś dziesięć minut temu! Czeka przy wschodniej bramie.

Elsa raz jeszcze mocno mnie ścisnęła, a ja obiecałam, że wnet wrócę. Wraz z Zoe i Kobziarzem popędziliśmy przez miasto najszybciej, jak się dało, zważając na jej ranę na nodze i moje złamane ramię.

– To twój brat. – Prowodyr wstał, gdy wpadliśmy do biura poborcy podatków. – Wysłał nam wiadomość. Chce rozmawiać.

– Jedzie tu?

– On oraz Pani Generał. Czekają na wschodzie z oddziałem wojska. Posłaniec zaprasza nas na spotkanie w połowie drogi między nimi i miastem.

– Nas wszystkich?

– Chcesz samotnie spotkać się ze swoim bliźniakiem? – Prowodyr przyglądał mi się uważnie.

W pomieszczeniu unosiła się atmosfera podejrzliwości, cięższa od zwałów śniegu na zewnątrz. Pokręciłam głową.

– Ja w ogóle nie chcę się z nim spotkać – odparłam.

Dłonie nadal miałam lepkie od płynu ze zbiorników, ociekającego z włosów martwych dzieci. To Zach i Pani Generał wydali te rozkazy. To na ich życzenie dzieci zostały odebrane i uwięzione w zbiornikach.

– Wszyscy jesteście rozgniewani z powodu tego, co stało się z dziećmi – rzekł Prowodyr. – Ale musimy się z nimi spotkać i jak najlepiej wykorzystać tę sytuację dla naszych celów. Oni dobrze wiedzą, ilu spośród ich ludzi zdezerterowało do mnie. To najlepsza okazja, by rozpocząć negocjacje.

– Oni nie przybyli tu negocjować. – Pokręciłam głową.

– A skąd wiesz? – spytała Sally. – Ujrzałaś to w swoich wizjach?

– Nie, ale znam Zacha.

Widziałam jego bezwzględność i okrucieństwo. Pamiętałam zawziętość, z jaką podejmował w dzieciństwie wszelkie próby, by ujawnić, że to ja jestem Omegą. Ta sama zawziętość doprowadziła dziś do śmierci tylu niewinnych istot. Tak wiele się zmieniło od naszego dzieciństwa, a zarazem tak niewiele.

– Ja wiem, kim on jest – dodałam. – Bo to za moją sprawą stał się tym, kim jest.

Podobnymi słowami odezwała się Spowiedniczka do Kimy w silosie: „To ty mi to zrobiłaś. Ty sprawiłaś, że jestem tym, kim jestem”. Wiedziałam już, w jaki

sposób nasze dzieciństwo go uformowało. Nie czułam się wcale winna, jedynie świadoma.

Wyjechaliśmy im na spotkanie w południe. Było nas pięcioro – ja, Zoe, Kobziarz, Simon i Prowodyr. Towarzystwo nam dziesięciu żołnierzy Prowodyra i dziesięciu Simona. Po jakichś trzydziestu minutach od opuszczenia miasta ujrzelśmy grupę około dwudziestu jeźdźców, nadciągających z przeciwnego kierunku.

Na czele jechał Zach. Nawet z tej odległości byłam w stanie rozpoznać jego ostro zarysowaną szczękę i długie, nieruchome spojrzenie, przerywane gwałtownymi, nerwowymi ruchami głowy.

Słońce odbijało się od śniegu. Zmrużyłam oczy, by lepiej widzieć mego bliźniaka. Był blady, a chłód zaróżowił jego policzki. Zaważyłam, że ostrożnie obchodził się ze swoim ramieniem, i zerknęłam na własne, wciąż spoczywające na temblaku. Wystarczyłoby je ścisnąć, a Zach podskoczyłby z bólu.

Kobieta jadąca obok niego jako jedyna nie miała na sobie czerwonej wojskowej tuniki, a pozostali żołnierze nie spuszczaali z niej wzroku. To Pani Generał. Zach zerknął na nią kilkakrotnie, ale ta całkowicie go ignorowała. Włosy związała w koński ogon, co podkreślało jej kanciaste rysy twarzy. Jechała wyprostowana i ani razu nie odwróciła od nas wzroku.

Gdy uniosła dłoń, otaczający ją żołnierze zatrzymali się. Wraz z Zachem pokonała połowę odległości między naszymi grupami, aż spotkaliśmy się w środku. Celowo nie patrzyła na mnie, całą uwagę skupiając na moich towarzyszach.

– Cóż za sojusz – rzekła. – Zhańbiony przywódca ruchu oporu, odrzucony przez własne Zgromadzenie. Alfa, która z własnej woli skazuje się na życie wśród Omeg. I członek Rady, który właśnie został z niej wyrzucony.

– Oszczędź nam tych kazań – rzekł Kobziarz.

Pani Generał zignorowała go i spojrzała na mnie.

– No i ty. Wizjonerka, której wizje najwyraźniej prowadzą ruch oporu z jednej masakry w drugą.

– Wyzwoliliśmy Nowy Hobart – oznajmił Kobziarz. – Bez Cass byśmy tego nie dokonali.

– Nie dokonalibyście tego bez Prowodyra, a nie Cass – przerwał mu Zach. – A i tak kosztowało was to połowę sił.

Wpatrywał się raz we mnie, raz w Kobziarza.

– Nie układa wam się najlepiej, odkąd się poznaliście, co? Straciliście Wyspę, ty utraciłeś pozycję, a wasze siły zostały przetrzebione. Sami jeszcze tego nie zrozumieliście? – Pochylił się i kontynuował poufałym szeptem: – Ta kobieta to trucizna! Od zawsze!

– Nazywaj mnie, jak chcesz, ale fakt pozostaje faktem – oznajmiłam. – Ty

się mnie boisz. Od zawsze.

– Uważaj na to, co do mnie mówisz! – Głos Zacha drżał z wściekłości, jego słowa chłostały jak bicz. – Mam coś, co należy do ciebie!

– Fascynująca rozmowa – przerwała Pani Generał. – Niemniej jednak nie przyjechalibyśmy tu po to, byście mieli okazję omówić zawiłości swoich relacji.

– To prawda – rzekł Prowodyr. – Musimy porozmawiać o przyszłości.

– My? – spytała Pani Generał. – Nie ma żadnego „my”. Udało wam się zająć Nowy Hobart i może zdołacie to miasto utrzymać, ale to tylko odwołanie nieuniknionego, podobnie jak zniszczenie tej bazy danych. Są inne osady, inne miasta.

– Nie powstrzymacie nas – wtrącił Zach. – Zmuszając nas do bitwy, doprowadziliście tylko do całkowicie niepotrzebnych ofiar w ludziach, a tak się akurat składa, że wszystko, co robię, ma na celu ratowanie ludzkiego życia.

– Życia Alf, chciałeś powiedzieć – oznajmiłam. – A robisz to, umieszczając nas w zbiornikach. To gorsze od śmierci i sam dobrze o tym wiesz.

Znałam mroczną tajemnicę zbiorników i wiedziałam, że umieszczeni w nich ludzie umierają bez końca.

– Poza tym jak ty w ogóle śmiesz mówić o ratowaniu ludzkiego życia po tym, co zrobiłeś dzieciom?

Pani Generał uśmiechnęła się, ale jej oczy pozostały bez wyrazu. Uniósł się jedynie kącik jej ust, ostry niczym szpic sztyletu.

– Z uwagi na fakt, że nie byliśmy w stanie osobiście powitać was w Nowym Hobarcie, postaraliśmy się o to, by nasi ludzie zostawili wam podarunek.

Odwróciła się do Prowodyra.

– Wiesz, że nie możesz już powrócić do Wyndham. Twój udział w Radzie jest zakończony.

– Obawiam się, że zakończył się już dawno temu – odparł Prowodyr. – Kiedy po raz ostatni pozwoliliście na to, by ktokolwiek zrobił tam cokolwiek istotnego?

– I myślisz, że to ty teraz możesz przejąć władzę? – Pani Generał parsknęła śmiechem. – Tylko dlatego, że uciekła do ciebie garstka niezadowolonych ludzi? Bo twoje uprzedzenia są większe od twoich emocji? Naprawdę sądzisz, że żołnierze dochowają ci wierności, jeśli powstanie będzie nadal trwać?

– Ci ludzie widzą, że nie macie racji – powiedziałam.

– Jesteś naiwna jak zawsze, Cass. – Zach potrząsnął głową. – To nie współczucie ściąga ich do Prowodyra. On sam zresztą również się nim nie kieruje. Nimi wszystkimi kieruje strach. Tabu. Brakuje im inteligencji, by dojrzeć korzyści, jakie daje nam technologia, niemniej jednak edukacja szybko upora się z ich strachem. Patrzyłem na ludzi, których zwerbowałem do obsługi zbiorników, i na własne oczy widziałem, jak szybko pozbywali się uprzedzeń. Każdy z nich był na

początku niechętny, ale gdy pojmują, że mogę im zaoferować świat, w którym nie będą musieli przejmować się swymi bliźniakami, zaczynają dostrzegać korzyści. Nic nie pokonuje strachu tak szybko jak troska o siebie samego.

– A co takiego proponujesz im jako alternatywę?

Zach spojrział na mnie jak na niemądre dziecko.

– Ja oferuję im przyszłość wolną od bliźniaków – ciągnął. – Ty zaś proponujesz wojnę, w której tysiące ludzi poniosą śmierć, zarówno Alfy, jak i Omegi. A gdybyś nawet tę wojnę wygrała, co ci z tego przyjdzie? Sytuacja nie ulegnie zmianom. Te koszarne więzy rodzinne wcale nie znikną i nadal będą prześladować nas wszystkich. Nigdy nie staniemy się panami swego losu. Naprawdę sądzisz, że ludzie pójda za tobą, gdy przejrzą na oczy?

– Jeśli uważasz, że racja stoi po twojej stronie i nikt nie jest w stanie podważyć twego rozumowania, dlaczego zwołałeś to spotkanie? – spytał Prowodyr. – Moim zdaniem zacząłeś się bać. Odbiliśmy Nowy Hobart i nagle uświadomiłeś sobie, że czas rozpocząć negocjacje.

– Nie ma sensu negocjować z Omegami – rzekła Pani Generał i machnęła ręką na mnie, Simona i Kobziarza. – Oni nie są do tego zdolni. Wiecie, dlaczego z wami zawsze były problemy? Bo nie jesteście w stanie się rozmnażać. Nie jesteście stworzeni do tego, by być rodzicami, przez co nie potraficie myśleć w kategoriach przyszłości. Nie dbacie o kolejne pokolenia tak jak my. To z tego względu jesteście fundamentalnie krótkowzroczni.

– Nie nadajemy się na rodziców? – spytałam. W myślach ujrzałam Elbę, która gładzi łagodnie włosy martwych maluchów, oraz Ninę, która zginęła w obronie dzieci, przyprawdzonych do sierocińca przez obcych. – Jak śmiesz wygadywać takie rzeczy po tym, co zrobiliście? Poza tym przypomnę ci, że to Alfy odprawiają połowę swego potomstwa, a nie my. My zaś je przejmujemy, troszczymy się o nie i chronimy je ze wszystkich sił.

– To nie pora, by skakać sobie do gardeł – przerwał mi Prowodyr. – Wszyscy chcemy uniknąć wojny domowej, a więc omówmy warunki obu stron. Ja domagam się w pierwszej kolejności, by Rada podtrzymała tabu.

– Wasze warunki, tak? – spytała Pani Generał. – Chcecie negocjować? – Pokiwał głową. – Dobrze. Przywiozłam coś dla was. To podarunek, który pomoże nam rozpocząć owe negocjacje. Pomyślałam sobie, że wam się spodoba.

Nie odwracając się, uniosła dłoń i dała znak Zachowi. Ten przywołał dwóch żołnierzy, którzy podprowadzili parę koni objuczonych wielką skrzynią.

Zach zeskoczył z siodła i rzucił wodze jednemu ze swoich ludzi. Ci przystąpili do opuszczania skrzyni, która rozkołysała się nieco, ale Zach uspokoił ją dłonią. Coś łupnęło w środku, gdy dotknęła ziemi. Żołnierze cofnęli się wówczas, odprowadzając przy tym wierzchowca Zacha.

– Otwórz ją – polecił mi Zach. – Nie krępuj się.

– Sam ją otwórz – odparłam.

Zach spojrział na mnie i uśmiechnął się. Wydawał się zupełnie nieporuszony tym, że my nadal siedzieliśmy w siodle, a on jako jedyny stał przed nami na ziemi. Cofnął się i odchylił ciężkie wieko.

Przez chwilę sądziłam, że we wnętrzu znajdują się dwie ludzkie głowy, gdyż zgadzał się zarówno kształt, jak i rozmiar. Potem dotarł do mnie zapach, dziwny i niepasujący do mroźnego powietrza, gdyż natychmiast przywodził wspomnienia z Wyspy, owiewanej słonymi wichrami. Pochyliłam się nad końskim karkiem, by przyjrzeć się przedmiotom we wnętrzu skrzyni. Odniosłam wrażenie, że to coś na kształt drewnianych rzeźb. Gdy Zach podniósł jedną z nich, ujrzałam, że jest to w istocie rzeźba kobiecej głowy z długimi lokami spływającymi na ramiona. Upływ czasu rozmył jej rysy twarzy – nos znikł niemal całkowicie – a drewno całkiem pojaśniało. Kolor zmieniał się tylko na wysokości szyi, gdzie ciosy ostrej siekiery odsłoniły ciemniejsze drewno w środku.

Odwróciłam się do Kobziarza, a ten zamknął oczy na kilka sekund. Gdy znów je otworzył, zerknął na odrąbaną głowę, a potem na Panią Generał.

– Skąd je macie? – spytał cicho.

– To bez znaczenia – odparła.

– Co to takiego? – szepnęłam do Kobziarza, ale wówczas Zach odwrócił się i wyciągnął drugą głowę ze środka, a potem potoczył ją na ziemi ku mnie. Mój koń parsknął i cofnął się o kilka kroków. Drewniana głowa zakołysała się, aż zamarła w płytkim śniegu. Wpatrywała się ślepo w białe niebo.

– To galiony z „Rosalind” oraz „Evelyn” – rzekła Pani Generał. – Z waszych cennych stateczków.

Rozdział dwudziesty trzeci

– To niczego nie dowodzi – rzekła Zoe. – Załogi mogły bezpiecznie wylądować na brzegu i pozostawić statki na cumach.

– Wolelibyście, żebym przywiozła tu głowę waszego przyjaciela Hobba? – spytała Pani Generał.

Widziałam, jak Kobziarz zaciska dłonie mocniej na wodzach.

– Zmierzali ku Wyspie, gdy dopadły ich nasze patrolowce – dodała Pani Generał.

– A co się stało z załogami? – spytał Kobziarz. – Z Hobbem i resztą?

– Trafili do zbiorników – rzuciła Pani Generał lekko i beznamiętnie. – Ale wcześniej wyciągnęliśmy z nich wszystkie informacje – dodała. – Wiemy, czego szukali.

Zach podszedł do mnie, przechodząc bezceremonialnie nad drewnianą głową.

– Popełniliście błąd, sądząc, że nie znajdziemy was na Wyspie. Widzieliście też, co zrobiliśmy z dziećmi. Przypatrzcie się więc dobrze naszym darom i zapamiętajcie: nie ma takiego miejsca, nawet na najdalszych morzach, gdzie byśmy was nie znaleźli. Nie ma miejsca na ziemi, gdzie bylibyście od nas wolni.

Pani Generał spojrzała na niego z wysokości siodła i skinęła lekko głową. Zach wrócił i wskoczył na konia.

– Myśleliście, że będę się przed wami korzyć tylko dlatego, że odbiliście tę norę? – spytała Pani Generał. – Sądziлиście, że będę przepraszać? Że pogawędzimy sobie o tym, jak teraz sobie wszystko poukładamy?

Zawróciła konia.

– Nie powstrzymacie nas. Nie macie bladego pojęcia, na co nas stać.

Ruszyła przed siebie. Popędziłam konia naprzód, ale Kobziarz złapał go za wodze i zatrzymał szarpnięciem. Zawołałam Zacha. Wszyscy się odwrócili, ale ja spoglądałam tylko na niego.

– Powiedziałaś, że nie ma miejsca na ziemi, gdzie będziemy od was wolni – wycodziłam. – Cóż, to samo tyczy się ciebie. Cała ta przemoc i wszystkie intrygi biorą się stąd, że ty i tobie podobni tak bardzo boicie się przyznać, iż jesteśmy tacy sami jak wy. Co więcej, jesteśmy częścią was.

Pani Generał uniosła brew.

– Nie, jesteście tylko efektem ubocznym nas. Niczym więcej.

I odjechała. Zach wpatrywał się we mnie przez moment, a potem zawrócił konia i odjechał w ślad za Panią Generał. Otwarty kufer stał na śniegu, a obok leżały zapomniane drewniane głowy. Znów zaczęło prószyć.

Gdy oddaliśmy wierzchowce ludziom przy bramie, udałam się prosto do Elsy.

– Nie powinniśmy rozstawać się z pozostałymi – powiedziała Zoe, która szła za mną w stronę sierocińca. – Musimy zastanowić się nad kolejnymi posunięciami Rady i naszą strategią. Poza tym nie powinnaś włączyć się tu sama. To niebezpieczne.

– Idź do nich, jeśli chcesz – odparłam. – Ale naprawdę nie ma wiele do powiedzenia. Zach i Generał chcą, byśmy byli przerażeni i zaczęli się kłócić. Chcą, byśmy ze strachu zapomnieli o poszukiwaniach Zamorza oraz dokumentów dotyczących Arki. Chcą, byśmy zwątpili w siebie. Ja tego nie zrobię.

Skręciłyśmy w uliczkę, na której znajdował się sierociniec. Na śniegu widniały liczne ślady, ale nikogo nie ujrzałyśmy. Trzasnęła okiennica, gdy mijałyśmy wąski dom po lewej. Sierociniec, największy budynek na ulicy, przetrwał zawieruchę, ale zniknęły frontowe drzwi, a okiennice zostały strzaskane. Weszłam do środka, a Zoe zatrzymała się przy drzwiach, by mieć oko na okolicę.

Szłam korytarzem i nawoływałam Elsę, aż natrafiłam na nią w kuchni. Klęczała i zbierała resztki zastawy.

– Narobili tu niezłego bałaganu, gdy próbowaliśmy ich powstrzymać przed zabranie dzieci – powiedziała. – Nie miałam jeszcze okazji, by tu wszystko posprzątać.

Za jej plecami widziałam podwórze zasłane strzaskanym drewnem – kawałkami okiennic oraz połamanymi krzesłami i stołami. Po jednym ze stosów została tylko sterta poczerniałych belek, przykrytych teraz śniegiem. Ogień pozoczył również czernią jedną ze ścian i prawie połowę sufitu.

– Dość dziś zrobiłaś – powiedziałam do Elsy. – Daj już sobie z tym spokój. Musisz odpocząć.

– Lepiej czymś się zająć – odparła, nie patrząc na mnie. Przypomniało mi się to, co powiedziała o kłamstwach kilka godzin temu. Fakt, nie było już na nie czasu. Postanowiłam nie owijać w bawełnę.

– Nigdy mi nie powiedziałaś, jak zginął twój mąż.

Elsa wstała powoli, masując dół pleców niczym ciężarna.

– Bo niebezpiecznie było o tym rozmawiać – odparła. – Musiałam myśleć o dzieciach.

Nadal unikając mego spojrzenia, zabrała się do zmiatania potrzaskanych okruchów. Te z chrzęstem przesuwwały się po kamiennej podłodze. Raz na jakiś czas Elsa natrafiła na kubek bądź dzbanek, nadkruszony, ale wciąż cały, wówczas pochylała się, podnosiła go i ostrożnie odstawiła na bok.

– Dla kogo je odkładasz? – spytałam, biorąc wyszczerbiony kubek z jej ręki. – Przecież one nie wrócą.

– Ale zawsze pojawiają się kolejne dzieci – odparła Elsa i wróciła do

zamiatania.

– Myślisz, że Alfy będą nadal je tu przyprowadzać? Przecież trwa wojna, Elso. Jeśli nie pokonamy Rady, dzieci zaczną trafiać do zbiorników zaraz po urodzeniu.

Jedyną odpowiedzią był chrzęst okruchów, zamiatanych po kamiennej podłodze.

– Nigdy nie wyjawiałaś mi prawdy o swoim mężu, bo nie chciałaś narażać dzieci. Rozejrzyj się. – Wskazałam jej pusty dziedziniec i okiennice wyrwane z zawiasów. – Dzieci już nie ma. Utopili je wszystkie. Nie ma kogo ochraniać.

Elsa wypuściła z dłoni miotłę, która ze stukotem spadła na podłogę, i wbiła we mnie spojrzenie.

– Zabrali go – powiedziała. Płakała tego dnia tak dużo, że jej głos był równie szorstki jak chrzęst okruchów na podłodze. – Tyle pewnie sama się domyślała. Przyszli w nocy cztery lata temu. Odebrali mi Joego i postawili cały dom do góry nogami. Dosłownie rozerwali każdy materac w sypialni dzieci i wypróżnili każdy garnek w kuchni.

– Znaleźli to, czego szukali?

– Jeśli tak, to tego nie zauważyłam. Po prostu wyszli. Nie odezwali się do mnie ani słowem, choć wrzeszczałam, błagałam, by mi powiedzieli, co się dzieje, dokąd go zabierają i dlaczego... – Elsa pociągnęła nosem. – Dziwne, jak to wszystko zostaje w pamięci. Gdy czasami myślę o tej chwili w nocy, przypomina mi się, że to mój wrzask wystraszył dzieciaki. Przywykły do widoku żołnierzy, którzy brutalnie traktują ludzi; nawet wtedy, cztery lata temu, nie można się było spodziewać niczego innego od człowieka w czerwonej koszuli. Przeraziły się dopiero, gdy straciłam panowanie nad sobą. Nina ze wszystkich sił usiłowała je uspokoić, ale nie na wiele się to zdało.

Spojrzała na swe dłonie, którymi pocierała o siebie.

– To przecież wina żołnierzy, a nie twoja – powiedziałam. – Odebrali ci męża i zamienili dom w pobożowisko.

– Wiem o tym. – Elsa spojrzała na mnie. – Wiedziałam też, że już nigdy nie zobaczę Joego. Że wkrótce go zabiją. Nie pomyliłam się.

– Skąd się dowiedziałaś?

– Czekałam na wieści przez długie tygodnie. Poszłam do biura poborcy podatkowego, by zapytać, co się z nim dzieje, ale żołnierze nie pozwolili mi nawet wejść po schodach. Nikt mi nic nie powiedział. W końcu zostawiłam sierociniec pod opieką Niny i udałam się do wsi, w której mieszkała bliźniaczka Joego. Osada leżała niezły kawał drogi na zachód stąd, aż na wybrzeżu. Przez trzy tygodnie wędrowałam przez ziemie Alf, co nie należało do przyjemności. Nie było szans, by uprosić kogoś o łóżko na noc ani nawet miejsce w stodole. Kilkakrotnie wypędzono mnie kamieniami ze wsi. Ale znasz mnie, prawda? – Jej śmiech

niewiele różnił się od szlochu. – Niełatwo się poddaję.

Próbowałam sobie wyobrazić, jaką torturą była wędrówka na krzywych nogach i szukanie odpowiedzi na ziemiach Alf.

– Oczywiście nigdy wcześniej nie widziałam bliźniaczki Joego. Znałam tylko jej imię i nazwę wsi, w której oboje przyszli na świat. Nie miałam pojęcia, czy w ogóle będzie tam jeszcze mieszkać. – Elsa spojrzała przez okno. – Cóż, okazało się, że nie wyjechała. Nadal przebywała we wsi, ale w głębokim grobie. Posadzono na nim kwiaty, ustawiono ładny nagrobek i tak dalej.

Uświadomiłam sobie, że ona sama nigdy nie miała szansy pochować swego męża. Przypomniałam sobie ciało Kimy leżące na dnie silosu.

– Ludzie we wsi chcieli, bym sobie poszła, ale uparłam się. Naprzykrzałam się im, włóczyłam wokół osady, próbowałam skłonić kogoś do rozmowy. Niektórzy grozili, że wezwą żołnierzy, by się ze mną uporali, ale w końcu uświadomili sobie, że trzeba po prostu powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć. Dowiedziałam się, że bliźniaczka Joego umarła miesiąc wcześniej. Z tego, co wyliczyłam, wynikało, że nastąpiło to kilka dni po aresztowaniu.

Umilkła i zacisnęła mocno usta. Jedyne jej podbródek drżał lekko.

– To nie była szybka śmierć – mówiła teraz cicho, z trudem. – Tak mi powiedziano. Zaczęła wrzeszczeć, co trwało przez dwa dni.

Elsa znów spojrzała na mnie.

– Joe popełnił wiele błędów w życiu, ale nie zasługiwał na taki los.

Przez chwilę siedziałyśmy w milczeniu i wpatrywałyśmy się w zabałaganiony dziedziniec.

– Wiesz, czego szukali? – spytałam. – Czy kiedykolwiek słyszałaś o Zamorzu lub o miejscu zwanym Arką?

– Nie. – Elsa wzruszyła ramionami. – Joe nigdy nie opowiadał mi o rzeczach, którymi handlował, a ja, szczerze powiedziawszy, nie chciałam nic o tym wiedzieć. Z ulgą odwracałam od tego głowę. Poza tym i tak miałam aż za dużo spraw na głowie. Joe działał na czarnym rynku, tego jestem pewna, i obracał jakimiś relikami i innymi podejrzаныmi rzeczami. Ale nie był głupi. Wiedział, że maszyny czy wszelkie przedmioty zaopatrzone w kable nie są warte zachodu. Cóż, bał się ich, szczerze powiedziawszy, a ja nie pozwoliłabym mu przynieść niczego takiego do domu. Handlował więc wszelkimi innymi rupieciami pochodzącymi sprzed Wybuchu – jakimiś papierami, potłuczonymi naczyniami, kawałkami metalu, tym, co nadal trochę intryguje ludzi. Przypuszczam, że połowa z nich w ogóle nie pochodziła z tych czasów. Pewnego dnia latem wraz ze swoim współnikiem Gregiem ubili niezły interes, sprzedając sporo porcelany, która ich zdaniem była tabu. Tak naprawdę były to ładniutkie naczynia, które obaj podwędzili z transportu Alf, a potem obtłukli i wybrudzili, by wyglądały na stare. Ludzie lubią tajemnicze, egzotyczne przedmioty, które wywołują dreszczyk

emocji.

Uśmiechnęła się blado i podjęła:

– Mój Joe nie szukał jednak kłopotów. Był na to zbyt leniwy. Interesowały go jedynie drobiazgi, rzeczy, które można było szybko sprzedać i zarobić parę groszy, o których poborca podatkowy nie będzie miał bladego pojęcia.

– Nie on jeden handluje przedmiotami obłożonymi tabu czy unika płacenia podatków – powiedziałam. – To nie wyjaśnia, dlaczego go zabrali i torturowali przez kilka dni.

Przy słowie „tortura” Elsa wzdrygnęła się, jakby sama została uderzona.

– Czy kiedykolwiek widziałaś rzeczy, którymi handlował? – naciskałam.

Elsa pokręciła głową.

– Nie życzyłam sobie, by znalazło się tu cokolwiek podejrzanego. Miałam na uwadze dzieci. Joe trzymał więc swoje rzeczy w magazynie przy targowisku. Czasami nawet tam spał... Nie chciałam, by dzieci widziały go pijanego.

– Ten magazyn dalej tam jest? – spytałam.

– Nie bądź głupia. Spalili go dzień po aresztowaniu do szczytu, razem z częścią piekarni, nawiasem mówiąc. Oczywiście nie był to zbieg okoliczności: Greg widział, jak żołnierze opróżniają go przed świtem i wynoszą wszystko na zewnątrz. Później spodziewałam się, że przyjdą też po mnie, ale tak się nie stało. Przynajmniej raz przydało się to, że Alfy nie uznają małżeństw Omeg. Wiedzieli, że czasami pracował w sierocińcu, bo w przeciwnym razie nie obróciliby tego miejsca w perzynę, ale skoro dysponował magazynem, doszli do wniosku, że to tam mieszkał. A że mają nas za coś niewiele lepszego od zwierząt, do głów nawet im nie przyszło, że jesteśmy małżeństwem.

Elsa znów popadła w milczenie.

– Powiedz mi, czego szukali – rzekłam. – Proszę.

– Już ci powiedziałam – warknęła Elsa. – Joe nigdy mi o niczym nie mówił.

– Co nie oznacza, że nie wiesz.

Nigdy nie widziałam jej w takim stanie. Widziałam, jak energicznie krząta się po sierocińcu, jak jednocześnie beszta Ninę o zakupy i zaplata warkoczyk jakiejś dziewczynce, ale nigdy dotąd nie wydawała się tak pusta w środku. Siedziała zgarbiona, ze zwieszonymi ramionami. Miała mocno zaciśnięte usta i mgłę w oczach.

– Nie powiedziałam ani słowa na ten temat przez cztery lata – szepnęła, choć byłyśmy tu same. – Widziałam, co zrobili Joemu, a teraz ujrzałam to, co zrobili dzieciom.

– Nie mam zamiaru przekonywać cię, żebyś się nie bała – rzekłam. – Masz do tego święte prawo. Widziałam to samo co ty. Pomagałam wyciągać trupy ze zbiorników. Obie wiemy, do czego zdolna jest Rada. Ale to właśnie dlatego powinnaś mi wszystko powiedzieć.

Ujęłam ją za rękę.

– Jeśli nie znajdziemy tego, czego oni szukali, nigdy nie zdołamy ich powstrzymać. Będzie więcej zbiorników i więcej ofiar, aż wszyscy znajdziemy się w płynie.

W sypialni sierocińca nie było już dzieci, a z podwórka nie dobiegały żadne głosy. Wyobraziłam sobie ciszę zbiorników i unoszące się w nich ciała.

Elsa ani drgnęła, jakby jej los był już przypieczętowany.

– Wiesz, co Joe ukrywał? – spytałam.

– Nie wiem co. – Elsa wyprostowała się i wytarła dłonie w fartuch. – Ale wiem gdzie.

Rozdział dwudziesty czwarty

Elsa usiadła ciężko na ławce.

– Niedługo przed tym, jak po niego przyszli, był w kiepskim humorze, ale to akurat nie było niczym szczególnym. Tydzień wcześniej wszedł w posiadanie paru nowych rzeczy. Nie powiedział mi, czy je kupił, znalazł, czy ukradł, a ja nie pytałam. W pierwszej chwili wiązał z tym spore nadzieje i uznał, że być może wreszcie zarobi jakiś lepszy pieniądz, ale potem powiedział mi, że to tylko nic niewarte papiery. Coś takiego trudno sprzedać, zwłaszcza Omegom. Sam, podobnie jak większość z nas, nie potrafił czytać. Kiedyś być może próbowałby to opchnąć jakiejś Alfie, wszak oni są zaintrygowani rzeczami sprzed Wybuchu w tym samym stopniu co my, a Joe miał nawet wśród nich kilku kupców, z którymi czasem się kontaktował. Niemniej jednak upłynęło już sporo czasu od ostatniej transakcji z którymkolwiek z nich. Po latach suszy i wszystkich tych nowych reformach Rady lepiej już było im nie ufać, gdyż mogli cię zakapować za łamanie tabu. Innymi słowy, Joe nie miał pojęcia, jak opchnąć te papiery, i to wszystko, co wiem.

– Nigdy ich nie widziałaś?

– Już ci mówiłam. Nigdy nie pozwoliłabym na to, by przyniósł coś takiego do domu. Z początku sądziłam, że trzymał je w magazynie, a Rada wszystko przejęła przed spalaniem budynku. Potem dowiedziałam się, że poddano go torturom, i przypominałam sobie, jak żołnierze przeszukiwali dom. Wówczas przyszło mi do głowy Drzewo Pocałunków.

Spojrzałam na nią bez zrozumienia.

– Natknął się na nie, gdy był nastolatkiem – ciągnęła Elsa. – Spotykaliśmy się tam jako młodzi ludzie. Mieszkałam wówczas w gospodzie. Joe miał co prawda magazyn, ale tam ciągle kręcił się Greg i nie było mowy o prywatności. Zabierał mnie więc do Drzewa Pocałunków. To wielkie, grube drzewo, a na dodatek puste w środku. Przynajmniej mieliśmy miejsce tylko dla siebie, no i jeszcze nie padało nam na głowy.

Nie wydawała się wcale zażenowana. Wręcz przeciwnie, po raz pierwszy od przybycia do Nowego Hobartu ujrzałam jej stary, szelmowski uśmiech.

– Joe powiesił tam nawet małą półkę. Trzymaliśmy tam świece, zapalki i jakiś koc. Chodziliśmy tam nawet po ślubie, gdy przejęłam prowadzenie sierocińca. Braliśmy coś na ząb i umykaliśmy, by na moment odpocząć od dzieci.

Wypuściła powoli powietrze, przypominając sobie lata, które upłynęły od tej chwili.

– Nie odwiedzaliśmy Drzewa Pocałunków od bardzo dawna. Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, lecz to miejsce nadal pozostawało naszym sekretem. Nikt inny o nim nie wiedział. Wiem, że kiedyś trzymał tam trochę rzeczy, zwłaszcza jeśli nie chciał, by patroli Rady coś zwąchały, lub gdy nie miał ochoty

odpalić działki Gregowi.

– Gdzie jest to drzewo?

– W lesie na południe stąd.

Usiadłam ciężko i pochyliłam nisko głowę, przypominając sobie poczerńiałe pnie.

– Powoli, nie załamuj się – rzekła Elsa. – Nie spaliłaś przecież całego lasu. Poza tym nawet jeśli drzewo poszło z dymem, nie mamy pewności, że cokolwiek było w nim schowane.

– Nigdy nie sprawdzałaś?

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – spytała Elsa. – Widziałam, jak go zabierają, i dowiedziałam się, co mu zrobili. Gdybym kiedykolwiek podeszła do tego drzewa na bliżej niż milę, zrobiłabym to tylko po to, by je spalić. Wraz ze wszystkim, co się w nim kryło.

Zoe nadal czekała na zewnątrz. Wspólnie udałyśmy się do biura poborcy podatkowego, by opowiedzieć reszcie o tym, czego się dowiedziałam. Nalegali, bym wzięła ze sobą niewielką grupkę żołnierzy ruchu oporu. Jak dotąd nie było żadnych doniesień o siłach Rady gromadzących się wokół miasta, ale nie chcieliśmy ryzykować. Na rozkaz Prowodyra przy południowej bramie inni żołnierze przydzielili nam konie. Zoe pomogła mi wskoczyć na siodło – przycisnęłam złamane ramię do żeber, ale mimo to nie byłam w stanie powstrzymać jęku bólu, gdy towarzyszka niemalże wepchnęła mnie w siodło. Elsa nigdy dotąd nie jechała konno sama, a więc usiadła za mną i objęła mnie mocno w tali.

Od bitwy minęły już trzy dni i nasi ludzie zdążyli pozbierać ciała poległych, ale trudno było wykopać groby w zamarznętej ziemi. Poza tym nie było czasu na pogrzeby. Okrążyliśmy wzgórze, za którym kryliśmy się podczas bitwy, a wówczas naszym oczom ukazały się stosy trupów ludzkich i końskich. Śnieg stał się mapą śmierci, na której czerwone pasma znaczyły kierunek, w którym wleczono trupy. Nasi ludzie próbowali palić zwłoki, ale śnieg i mokre drewno bardzo to utrudniały, przez co większość trupów nadal leżała w tym samym miejscu. Śnieg powstrzymywał rozkład równie dobrze jak płomienie – nie czułam kwaśnego zapachu gnicia. W powietrzu unosił się natomiast surowy posmak krwi przesycony smrodem palonych ciał. Przy stercie zwłok stał lis i wpatrywał się w nas, ośmielony ogromnym zasobem pożywienia. Minęliśmy go w odległości zaledwie kilkunastu kroków. Odwróciłam wzrok od jego czerwonego pyska.

– Simon kazał ściągnąć tu trupy – rzekła Zoe. – To najlepsze rozwiązanie z wielu względów, również dlatego, że Rada, jeśli zdecyduje się na atak, nie będzie mogła wykorzystać tego wzgórza.

W głowie miałam tylko słowa Zacha: „Ty zaś proponujesz wojnę, w której tysiące ludzi poniosą śmierć”.

Nigdzie nie widziałam drobnych ciał w białych całunach.

– A co się stało z dziećmi? – spytałam.

– Ich ciała zostaną spalone – odparła Zoe. – Prowodyr chciał, by trafiły tu wraz z pozostałymi. Twierdził, że palenie to strata czasu i paliwa, ale Kobziarz się sprzeciwił i wyznaczył ludzi do budowania stosów pogrzebowych na północ od miasta.

Kobziarz uratował mi życie dziesiątki razy, ale nigdy nie byłam mu tak wdzięczna jak teraz za ten gest. Jechaliśmy dalej. Odwróciłam wzrok od niepochowanych zmarłych, ale śnieg pod kopytami naszych koni nadal opowiadał o tym, co tu się działo. Plama krwi obok złamanego miecza. Pusty but. Elsa objęła mnie mocniej, gdy nasz koń poślizgnął się na spłachetku lodu, zaczerwienionym na krawędziach. Z wielką ulgą powitałam widok pierwszych poczerniałych pni.

– Uplynie sporo czasu, nim ktoś przyjdzie tu na piknik – powiedziała Elsa, gdy przekroczyliśmy skraj spalonego lasu. – Przyłożyłście się do tej roboty.

Ów las był jednakże dopiero początkiem poczerniałego, wypalonego śladu, jaki zostawiałam za sobą na tym świecie, gdyż teraz dołączały do nich częściowo spalone ciała poległych, nie mówiąc już o zabitych na Wyspie. Zastanawiałam się, czy żołnierze Rady pochowali ich po masakrze, czy może zmarli nadal leżą na dziedzińcu, a ich kości płowieją pod otwartym niebem.

Były też ciała dzieci, owinięte w biel i ułożone na wozach niczym świeczki w szufladzie. To sprawka mego bliźniaka, a nie moja, ale były ze mną nierozzerwalnie związane. Być może Zach miał rację, mówiąc, że jestem trucizną. Trudno byłoby dyskutować z trupami, które zostawiałam za sobą. Byłam żywą emisariuszką Pustkowi i z każdym krokiem siałam popiół.

Czułam na uchu ciepły oddech opowiadającej Elsy:

– Podczas pożaru lasu wiatr wiał z północy, a mimo to przez wiele dni trudno nam się oddychało. Dym był zbyt gęsty. Na szczęście pomieszał szyki Radzie i spowolnił ich działania. Mogliśmy wykorzystać ten moment, by wyprowadzić jeszcze kilka osób z miasta. O ile wiem, spora grupa ludzi, podejrzanych przez Radę o różne rzeczy, zdołała wówczas umknąć poza mury.

Oparła policzek o moje plecy i dodała:

– Gdy ujrzałam ogień, wiedziałam, że to wasza sprawka. Twoja i Kimy.

Odnalezienie drzewa zabrało nam sporo czasu. Elsa prowadziła nas prosto na wschód, ale upływ czasu i pożar zmieniły to miejsce do tego stopnia, że nie rozpoznawała żadnych punktów orientacyjnych. W końcu zsiadłyśmy z koni i oddałyśmy je eskortie, a same ruszyłyśmy na wędrowkę wśród czarnych kikutów i nielicznych drzew ocalałych z pożogi.

W końcu Elsa odnalazła Drzewo Pocałunków.

Przed pożarem na pewno byłoby mniej zauważalne, gdyż otaczało je wiele innych, mniejszych drzew. Ocalało jednakże jako jedyne i było w tej chwili największym drzewem w zasięgu wzroku. Ogień pochłonął jego koronę, ale nie zdołał strawić grubego pnia.

Podeszliśmy bliżej, a żołnierze eskorty uformowali luźny krąg wokół nas i lustrowali teren. Kora była osmolona i zwęglona, ale pień, choć pozbawiony górnych gałęzi, nadal robił wrażenie – nasza trójka nie byłaby w stanie go objąć. Na boku ciemniała spora szczelina, przypominająca wejście do jaskini. Kiedyś drzewo mogłoby udzielić schronienia dwóm osobom, które odpowiednio się ułożywszy, mogłyby nawet się tam przespać, ale ogień strawił wszystko, co się znajdowało powyżej dwóch metrów, i kryjówka była pozbawiona dachu. Do środka padał śnieg.

– Przykro mi – powiedziałam.

– Ci ludzie torturowali mojego męża, Cass, a potem go zabili – powiedziała Elsa. – Utopili moje dzieci i zamordowali Ninę. – Czułam, jak wzrusza ramionami i kręci głową. – Widok spalonego drzewa nie wyrządzi mi krzywdy.

Zoe ukucnęła i zajrzała przez wnękę do środka, a potem wpełzła tam. Przez dłuższą chwilę badała wnętrze, aż usłyszałyśmy jej głos:

– Jeśli Joe w rzeczywistości coś tu zostawił, to niczego już tu nie ma. Twój pożar wszystko pochłonął.

Wyszła z drzewa i otrzepała kolana.

– Niczego nie ma na półce. Ba, nie ma nawet półki. Pień jest zwęglony zarówno od środka, jak i od zewnątrz.

– No to bierzemy się do kopania – oznajmiłam i uklękłam. Nadal mogłam posługiwać się lewą ręką. Bez trudu usunęłam śnieg i górną warstwę ziemi, ale nieco niżej natrafiłam już na zamrznięty grunt.

– Joe był zbyt leniwy, by zakopać cokolwiek jak należy – westchnęła Elsa, która ukucnęła obok mnie. – Jeśli coś rzeczywiście tu jest, przynajmniej nie będzie zakopane głęboko.

Dołączyła do nas Zoe i we trójkę przystąpiłyśmy do pracy. Wejście do wnętrza drzewa było zbyt wąskie i co rusz sobie przeszkadzaliśmy, a zamrznięta ziemia poddawała się niechętnie. Po kilku minutach miałam całkiem przemarzniętą dłoń.

Wykopanie dziury o głębokości pół metra zabrało nam prawie godzinę. Palce miałam tak odrętwiałe, że zupełnie nie wyczułam, iż wreszcie natrafiłam na coś innego niż ziemia, ale usłyszałam inny dźwięk. Paznokcie drasnęły zardzewiałe wieko. Kopałyśmy więc dalej, aż odsłoniłyśmy sporą skrzynkę długą na metr i szeroką na niewiele mniej. Z trudem wydobyłyśmy ją na zewnątrz. Okazała się tak ciężka, że bałam się, iż jej zawartość uległa całkowitemu przemoczeniu.

Metal utracił całkowicie gładkość i połysk – pod naszymi palcami chrobotąła

rdza i patyna, gdy usuwałyśmy resztki ziemi z wieka. Nie było kłódki, ale rdza sprawiła, że wieko zrosło się z brzegami ścianek. Zoe przez kilka minut usiłowała podważyć je nożem, aż ustąpiło pod wpływem celnego kopniaka i uchyliło się na kilka centymetrów.

Odsunęłam się nieco i powstrzymałam Zoe.

– Zaczekaj. Niech Elsa zajrzy pierwsza.

– Nie przejmuj się – odparła Elsa. – Nie spodziewam się znaleźć tam listów miłosnych. Znam mojego Joego. W środku znajdziecie tylko kontrabandę, a to nie ma żadnego związku ze mną.

Oczyściłyśmy wieko z ziemi, ale Elsa musnęła je raz jeszcze, tym razem wolniej, a potem odchyliła. Zawiasy zgrzytnęły głośno, chrapliwie. Wnętrze było wypchane papierami, pozlepianymi od grzyba i upływu czasu. Zastanawiałam się, dlaczego nie wykryłam obecności skrzynki pod naszymi stopami – czyżby grzyb, wilgoć i rdza pochłonęły je do tego stopnia, że nie mogłam odróżnić jej od ziemi?

Elsa odlepiła pogrubiałą od wilgoci kartkę z góry i zaczęła czytać głośno, potykając się przy nieznanym słowach:

R. 1, 23 paźdz. Memorandum (14b) dla Rządu Tymczasowego Arki dotyczące Protokołów Bezpieczeństwa.

– Jasna cholera – powiedziała Zoe. – Musimy ściągnąć tu wóz i natychmiast przynieść to Kobziarzowi. I to jak najszybciej.

Rozdział dwudziesty piąty

Posłaliśmy jednego ze strażników do miasta po wóz. W chwili gdy przywieźliśmy skrzynię do Nowego Hobartu i przytaszczyliśmy ją do biura poborcy podatkowego, zapadał już zmrok. Ukrycie znaleziska przed Prowodyrem nie wchodziło w grę, gdyż jego ludzie byli wraz z nami w lesie, a ponadto obsadzali bramy. Kiedy zebraliśmy się wszyscy, a ja otworzyłam skrzynię, ujrzałam, jak wykrzywia usta z obrzydzeniem.

– Nie chcę nawet dotknąć tego czegoś! – oznajmił i cofnął się nieco. Pozostali zbliżyli się do skrzyni.

– Mąż Elsy nie umarł od dotykania tych papierów – powiedziałam. – Wyzionął ducha po torturach, jakie zafundowała mu twoja Rada. Jeśli nie chcesz wiedzieć, co się tu znajduje, to nie przeszkadzaj reszcie.

Kobziarz wziął kartkę leżącą na samej górze i odczytał głośno jej treść. Przerывał przy nieznanych sobie słowach, od czasu do czasu musiał też przeskakiwać nad brakującymi fragmentami, pochłoniętymi przez wilgoć lub upływ czasu.

R. 1, 24 list.

MEMORANDUM (14b) dla Rządu Tymczasowego Arki: Protokoły Bezpieczeństwa.

zapewnienie Arce przetrwania pozostaje naszym głównym priorytetem. Niemniej jednak stan ludzi żyjących na powierzchni (zwłaszcza grupy, której uszkodzenia siatkówki odebrały wzrok (65% – patrz sprawozdanie z Ekspedycji 2) pozwala wyciągnąć wniosek, że dotychczasowe środki bezpieczeństwa są wystarczające...

– To niemożliwe! – odezwał się Prowodyr.

Opowiedzieliśmy mu o dokumentach Sally, ale rozumiałam jego niedowierzanie. Nasz cały świat został wzniesiony na popiołach Wybuchu i wydawało się niemożliwością, że jakaś jego część przetrwała kataklizm, nawet jeśli tylko na jakiś czas.

– W jaki sposób Joe dorwał to wszystko? – spytała Zoe, która uklękła przy skrzyni i wyciągnęła kolejne kartki. – Z tego, co o nim usłyszałam, odkrywcą raczej nazwać się go nie dało. Nie wyglądał mi na takiego, który samodzielnie odkryłby Arkę.

– Odwiedzał jedynie miasta targowe w promieniu kilku dni drogi – rzekła Elsa. – Przez dwadzieścia lat naszej znajomości ani razu nie wypuścił się dalej.

– Ktoś wyniósł te papiery z Arki. – Kobziarz wzruszył ramionami. – Ktoś,

kto się natknął na Arkę jako pierwszy. Potem zostały zagubione lub skradzione. Któż odgadnie, ile razy przechodziły z rąk do rąk. Być może ludzie, którzy weszli w ich posiadanie, w ogóle nie potrafili czytać. W końcu natknął się na nie ktoś taki jak Joe. Przypuszczam, że nie miał pojęcia, na co natrafił.

– Ja zaś sądzę, że pokazał je komuś – powiedziałam. – Na początku, kiedy próbował je sprzedać. Ten człowiek uzmysłowił sobie ich wagę i doniósł Radzie.

– To, w jaki sposób Joe je znalazł czy kto go zakapował, nie ma żadnego znaczenia – powiedział Prowodyr i odsunął się jeszcze dalej od skrzyni. – Co dobrego może nam z tego przyjść? Czy cokolwiek sprzed Wybuchu kiedykolwiek nam się przydało? Wiemy na pewno tylko to, że ci ludzie zniszczyli świat za pomocą swych maszyn. To oni spowodowali całe to zamieszanie.

Wykonał zamach ramieniem, chcąc uzmysłwić nam rozległość zniszczonego świata za murami biura poborcy podatkowego: pola ruin, zrujnowane miasta tabu i Pustkowiec na wschodzie. Wszyscy jednakże dobrze wiedzieliśmy, co ma na myśli, gdy mówi o spustoszonej krainie.

– Wyzwoliłem to miasto, bo zależało mi na utrzymaniu tabu – ciągnął. – Chciałem też, by ludzie przestali myśleć o maszynach. Co nam da ta Arka oprócz kolejnych maszyn?

– Boisz się – rzekł Kobziarz. – Jesteś tak przerażony, że nie uzmysławiasz sobie, co oznacza dla nas odnalezienie Arki.

– Fakt, boję się – rzekł Prowodyr i spojrzał powoli na każde z nas. – I wy też bylibyście przerażeni, gdybyście wiedzieli to co ja. Powinniście być wdzięczni za tabu. Wszyscy powinniśmy być wdzięczni. Gdyby twój bliźniak nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo ludzie boją się maszyn, zbudowałby o wiele więcej niż tylko zbiorniki. Poznałem go tuż po tym, jak przybył do Wyndham. Nie nazywał się wówczas jeszcze Reformator, a już opowiadał o tym, jak kiedyś wszystko wyglądało. Mówił o broni i maszynach sprzed Wybuchu, których nie jesteście sobie w stanie wyobrazić. Zawsze był zaintrygowany wszystkim, co pochodziło z tych czasów. Dobrze więc się zastanówcie, zanim zabierzecie się do grzebania wśród rzeczy obłożonych tabu, bo gdyby nie ono, żołnierze Reformatora przybyliby tu w pojazdach poruszających się bez koni, i to o wiele szybciej. Zniszczyliby nas bronią, która jest w stanie rozbić oddział wojska z odległości pół mili. Sądzisz, że ten człowiek próżnuje? Nie, on już zrobił wszystko, by znaleźć i odtworzyć te piekielne wynalazki. Większości już nie odbuduje, bo zostały zniszczone, a te, które odnalazł, są niekompletne. Kiedyś dużo mówił o paliwie i innych materiałach, których nie może zdobyć, ale wie, że to nie jest jedyna przeszkoda. Na drodze stoi mu tabu. Doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że gdyby wyjechał z Wyndham w jakimś elektrycznym pojeździe, zostałby zlinczowany. Ludzie nie potrafiliby tego znieść. Ich lęk przed maszynami jest zbyt silny.

Przypomniała mi się bladość Kobziarza, gdy stał obok zbiorników. Pamiętałam, że nawet Zoe poruszała się z wielką ostrożnością wśród zwisających rur i przewodów.

– To właśnie wiedza o zbiornikach sprawiła, że ściągnęła do mnie połowa armii – ciągnął Prowodyr. – Ludzie nie będą tolerować maszyn, przynajmniej na razie, a ów lęk to jedyne, co daje nam szansę w walce z twoim bliźniakiem i Panią Generał.

– Masz rację – powiedziałam. – Maszyny są niebezpieczne, ale zignorowanie tego znaleziska łączy się z jeszcze większym ryzykiem. Rada nie potraktowałaby Joego tak bezwzględnie, gdyby nie zdawała sobie sprawy z wagi tych dokumentów. Xander powiedział, że w Arce, gdziekolwiek się znajduje, znów przebywają ludzie. Postawię wszystko, co mam, na to, że to Zach i Pani Generał ją znaleźli, przypuszczalnie dawno temu. Papiery w tej skrzyni to zapewne jedynie drobny fragment wiedzy, którą tam przechowywano, ale są na tyle ważne, że Rada nadal kontynuuje poszukiwania. – Machnęłam przy tych słowach ręką w kierunku otwartej skrzyni. – Być może są tam mapy Zamorza lub wskazówki dotyczące miejsca ukrycia Arki. Może plany broni i maszyn bądź leki, które mogą pomóc Omegom. Któż to może wiedzieć?

– No właśnie – przerwał mi Prowodyr. – Zadzierasz z żywiołem, o którym nie masz pojęcia.

– Ona rozumie to wszystko o wiele lepiej, niż sądzisz – warknęła Sally. – A ty sam zrozumiałbyś wszystko lepiej, gdybyś dał jej mówić.

Próbowałam nadać moim słowom tę samą niezachwianą wiarę w siebie, której zawsze tak bardzo zazdrościłam Zoe i Kobziarzowi.

– Nie możemy powstrzymać Zacha i Pani Generał, jeśli nie zrozumiemy, czym oni się tak naprawdę zajmują – rzekłam.

– Ale to moje oddziały osłaniają was od całkowitej klęski – odparł Prowodyr.

W trakcie naszej sprzeczki mówiłam coraz głośniejszym głosem, podczas gdy jego głos pozostawał cichy i spokojny, przez co wydawał mi się o wiele bardziej groźny i złowieszczy, niż gdyby sam zaczął krzyczeć.

– Bez moich ludzi roznieśliby was na strzępy. Trafilibyście do zbiorników, tych samych maszyn, które chcecie odnaleźć. Żołnierze są powolni moim rozkazom, ponieważ wiedzą, że będę ich chronił przed maszynami. Jeśli zawiodę ich zaufanie, utracimy ich lojalność, a wówczas Nowy Hobart padnie.

– W tej skrzyni być może znajduje się wiedza, która wszystko zmieni! – wykrzyknęłam. – Przy czym nie będzie to zmiana z gatunku tych, do których przywykłeś. Nie skończy się na zmianie przywódcy Rady, systemu przytułków czy wysokości podatków. Mam na myśli prawdziwą zmianę. Stoimy przed szansą dowiedzenia się, jak wyglądało życie przed Wybuchem i do czego byli zdolni

ludzie, którzy wówczas żyli. Będziemy mogli przekonać się, czy istnieje Zamorze i czy tam wszystko wygląda inaczej. Być może stoimy u progu zmian, które mogłyby uratować twą żonę i dzieci.

Prowodyr złapał mnie za nadgarstek.

– Ich nic już nie ocali! Jak śmiesz wyciągać tę sprawę?!

Kobziarz i Zoe skoczyli naprzód. Usłyszałam chrobot noży wrywanych z pochw. Nie spuszczałam wzroku z Prowodyra, a przez głowę przemykały mi słowa Elsy, wypowiedziane w pustej kuchni: „Będzie więcej dzieci”.

– Masz rację – odpowiedziałam. – Nic ich nie ocali. Ale będą inne żony i inni mężowie. Będą też inne dzieci, które jeszcze nie przyszły na świat. Pytanie brzmi, czy nie boisz się za bardzo wiedzy, która może dać im szansę na inny świat.

Przez dłuższą chwilę Prowodyr trzymał mnie za nadgarstek, a potem odepchnął gwałtownie.

– Weź te papiery. Zbadajcie je. Oczekuję pełnego raportu ze wszystkiego, co znajdziecie.

Z początkiem roku 20 nie możemy się już dłużej oszukiwać. Głównym celem Arki przed detonacjami było zebranie najbardziej wybitnych specjalistów w wielu dziedzinach, co doprowadziło do zgromadzenia populacji w zaawansowanym wieku. W chwili obecnej w Arce przebywa 1280 osób, z których mniej niż 20% jest w wieku rozrodczym. Od detonacji mieliśmy jedynie 348 narodzin, z których 70% miało miejsce w pierwszej dekadzie. Nie ulega wątpliwości, że populacja Arki nie ma szans się utrzymać. Zebrane zapasy wystarczą na wiele lat, a siłownie atomowe przetrwają nas wszystkich, ale psychologiczne efekty kolejnych lat spędzanych pod ziemią objawiają się coraz częściej i stanowią coraz większy powód do zmartwienia. Po co utrzymywać izolację Arki, skoro ochraniana w ten sposób populacja nie ma szans na normalną egzystencję?

(...) z założenia ocalić rasę ludzką, a nie stanowić schronienie dla kilku uprzywilejowanych jednostek. Nawet w tej chwili elektryczność dla Projektu Pandora jest oszczędzana kosztem innych priorytetów.

My, niżej podpisani, wyrażamy nadzieję, że Rząd Tymczasowy zmieni swe ustalenia w kwestii potrzeb ludzi mieszkających na zewnątrz Arki, a tym samym również i tych w jej wnętrzu. Dotychczasowe priorytety należy...

Przetaszczyliśmy skrzynię do Elsy, gdzie mogłam pracować w spokoju.

W biurze poborcy podatkowego panowało bowiem ciągle zamieszanie, wywoływane przez gońców i wartowników. Cieszyłam się również z tego, że mogłam znów przebywać w towarzystwie Elsy, choć Kobziarz i Zoe uparli się, że przydzielą nam dwóch ludzi eskorty. Jeden stał przy drzwiach, a drugi w uliczce za dziedzińcem. Nie protestowałam – samo to, że znalazłam się z dala od ogromnego biura poborcy, w którym atmosferę zagęszczały układy i podejrzenia, sprawiło mi wielką ulgę. Przez cały czas przebywali tam Simon, Kobziarz, Sally oraz Prowodyr, którzy przesłuchiwali zwiadowców, rozstrzygali konflikty między ich podwładnymi i kłócili się co do kolejnych kroków. Ponadto, choć w sali przez cały czas panowało wielkie zamieszanie, byłam świadoma tego, że Prowodyr nie spuszcza mnie ani na chwilę z oczu.

Nie bez znaczenia było też to, że nie słyszałam już mamrotania Xandera. Chłopak z pewnością nie dręczył mnie celowo – w rzeczy samej nieszczególnie interesował się kimkolwiek poza Sally – ale gdy znów zaczynał się ślinić i bełkotać o powrocie „Rosalind”, łapałam się na tym, że zerkam na własne dłonie i sprawdzam, czy nie zaczynają chaotycznie drgać. Zauważyłam również, że Zoe również go unika, i nie mogłam jej za to winić.

W sierocińcu przeniosłam się do sypialni dzieci, gdzie miałam wystarczająco dużo miejsca do rozłożenia dokumentów. Zamierzałam je jakoś uporządkować. Z początku rozkładałam je na pustych łóżkach, ale szybko, gdy zabrakło miejsca, przeniosłam się na podłogę. Wkrótce cała sypialnia usłana została papierami, jakby wiatr nawiał tu śniegu z dziedzińca.

Zostawiłam jedno łóżko wolne, by mieć gdzie spać, ale żeby się do niego dostać, musiałam pokonać istny tor przeszkód. Mając nadal ramię na temblaku, spędzałam całe dni i większość nocy na podłodze, pochylona nad arkuszami. Elsa, za dnia zajęta przywracaniem sierocińca do życia, przychodziła do mnie wieczorami, siadała na łóżku i słuchała, jak czytam. Nigdy nie chodziła do szkoły i choć przez lata samodzielnie opanowała podstawy czytania, przychodziło jej to z wielką trudnością. Odcyfrowywanie treści tych dokumentów stanowiło zaś nie lada wyzwanie. Kartki były spleśniałe i miejscami podarte, przez co nierzadko, zamiast czytać, trzeba było domyślać się sensu, przez co Elsa po kilku próbach zarzuciła wysiłki. Mimo to nadal przychodziła, by ze mną posiedzieć. Podnosiła stos kartek, ostrożnie oddzielała spleśniałe arkusze od siebie, a potem układała je na kolanie. Dawno temu, gdy sierociniec był pełen dzieci, Elsa emanowała energią i nieustannie się krzątała, ale tu, w zasłanej papierami sypialni, stała się cicha i milcząca. Jej dłonie, czerwone i pokaleczone od nieustannego sprzątanania i szorowania, wreszcie zamierały w bezruchu. Siedziała i trzymała papiery, które ściągnęły śmierć na jej męża.

Ja zaś, gdy Elsa przychodziła do sypialni, pracowałam w milczeniu. Łączyło nas wiele wspomnień – dzieci, Kima, Nina – ale właśnie o nich nie byliśmy

w stanie rozmawiać. Nauczyłyśmy się jednak znosić wzajemne milczenie i czerpałyśmy z niego pociechę, zarówno podczas długich godzin w sypialni, jak i w trakcie posiłków w zimnej kuchni.

Większość czasu spędzałam jednak samotnie, w towarzystwie moich wizji i papierów. Dokumenty dotyczyły tysięcy spraw, co tylko pogłębiało moją frustrację. Czasami udawało mi się połączyć kilka fragmentów, które wydawały się do siebie pasować, nawet jeśli nie były kolejnymi stronami, ale na ogół kartki pochodziły z zupełnie różnych dokumentów. Niektóre zostały przedarte na pół, inne pochłoneła wilgoć lub pleśń. Na Wyspie widziałam dzieci zajęte rozplątywaniem sieci rybackich – miałam wrażenie, że wygrzebywanie sensu z uszkodzonych arkuszy polega mniej więcej na tym samym. Nawet na nietkniętych stronach widziałam słowa bądź całe akapity, których znaczenia zupełnie nie rozumiałam.

Udawało mi się natomiast rozczytywać ich sens na tyle, by móc poukładać je w rozmaite stopy. Wiele spośród nich było sprawozdaniami, memorandami lub dodatkami i używano w nich tego samego suchego, urzędowego języka co w dokumencie, który Sally odnalazła wiele lat temu. Na wielu innych stronach widziałam jedynie długie ciągi liczb lub wzorów, których zupełnie nie rozumiałam. Nawet papier wydawał się niezwykle – z wyjątkiem miejsc, gdzie wkradł się grzyb, był niezwykle gładki i tak cienki, że gdy unosiłam go do światła, pismo było wciąż widoczne po drugiej stronie. Kartki zostawiały warstwę kurzu na moich palcach, a niektóre wręcz rozpadały się, gdy ich dotykałam. Te, które wydawały się szczególnie kruche, przepisywałam na nowo, nawet kolumny liczb i symboli, które nic mi nie mówiły. Mogłam używać tylko lewej ręki, przez co efekty mojej pracy nie prezentowały się najlepiej.

Kilka dokumentów nosiło daty. Ich autorzy nie stosowali oznaczeń sprzed kataklizmu – najwcześniejszy z nich opatrzony był datą „rok 1”, a najstarszy odnaleziony przeze mnie opisano jako „rok 58”. Forma dokumentów zmieniała się przez lata, dzięki czemu nierzadko udawało mi się ustalić datę ich pochodzenia. Najwcześniejsze były wydrukami z zaskakująco drobnymi literkami, lecz po roku 43 mieszkańcy Arki przerwali się całkowicie na pismo ręczne. Bywało, że tę samą kartkę wykorzystano parokrotnie – na marginesach i przerwach między akapitami pojawiały się dopiski, notatki i serie liczb. Każda kartka opowiadała więc podwójną historię.

R. 38, 12 marca. MEMORANDUM (18b): Dot. nagłego przyrostu liczebności bliźniąt (Góra).

Na Górze liczba przypadków bezpłodności (lub cięż zakończonych śmiercią

plodu) pozostaje wysoka, a wyprawy (patrz dodatek 6) zebrały dowody na powszechność poronień, urodzeń martwych dzieci lub śmierci noworodków tuż po porodzie. Ekspedycje 48-9 wykazały jednak zwiększoną liczbę udanych ciąż. Zaskoczenie budzi fakt, że wśród dzieci przeważają bliźnięta (dwujajowe, XX/XY). Istotnym aspektem nowego zjawiska jest wzrost liczby zdrowych dzieci, choć jednakowych (...)

(...) w każdym przypadku stwierdzonym przez ekspedycje (w 17 przypadkach informacje zostały przekazane uczestnikom ekspedycji, ale niepotwierdzone) jedno z bliźniąt jest wolne od wszelkich mutacji, podczas gdy drugie wykazuje poważne mutacje (...)

(...) rugiego bliźniaka deformacje zostały zaklasyfikowane do kategorii 7 lub wyżej: Wśród przykładów stwierdzonych przez Ekspedycję 49 pojawiły się: polimelia, amelia, polidaktylia, syndaktylia (w wielu przypadkach stwierdzono występowanie obu schorzeń), dysgenezja gonad, achondroplazja, nerwiakowłókniaki

(...) zauważono, że pierwszy z pary bliźniąt nie tylko jest wolny od deformacji, ale również osiąga lepsze wyniki w testach siły, objętości płuc i odporności na infekcje wirusowe oraz bakteryjne. To najzdrowsi ludzie, którzy jak do tej pory przyszli na świat, niemniej nie możemy zapominać o ich bliźniakach, którym wiedzie się o wiele gorzej.

(...) można przedstawić jako drastyczną, wzajemnie uzupełniającą się reakcję genetyczną na ciągłe promieniowanie. Organizm, chcąc urodzić zdrowe potomstwo, skutecznie przekazuje mutacje jego bliźniakowi, którego należy postrzegać jako pechowy (lecz konieczny) epifenomen.

Cztery dni później Sally przysłała wraz z Xanderem do sierocińca, by sprawdzić, czy chłopak może jakoś pomóc przy dokumentach. Przeprowadziłyśmy go powoli po zasłanej papierami podłodze sypialni, a gdy Xander znalazł się w środku pomieszczenia, rozejrzał się i pokiwał głową.

- Pachnie niczym labirynt kości – oznajmił.
- Arka? – zapytała Sally.
- Powiedziałem wam, że oni szukają – rzekł Xander.
- Tego? – spytałam. – Tego szukają?

Pokazałam mu kartki, poźółkłe niczym zęby starca, ale on powiedział

jedynie:

– Jeszcze nie koniec.

– Czego? – spytałam, ujmując jego dłonie. – Czego jeszcze nie koniec?

Której kartki tak naprawdę potrzebujemy?

Xander jednakże skrzywił się tylko i powtórzył:

– Pachnie jak labirynt kości.

Potem uniósł wysoko jeden z łokci i wtulił w niego twarz, a drugą ręką zaczął wymachiwać naokoło, jakby próbował się od czegoś odpędzić. Obrócił się gwałtownie ku Sally i potrącił przy tym stopą stos papierów, które wpadły pod łóżko. Musiałyśmy go siłą wyprowadzić z pokoju, by nie wyrządził kolejnych szkód. Nawet gdy Sally ciągnęła go po dziedzińcu, nadal słyszałam jego krzyki:

– Labirynt kości! Wieczny ogień!

Pozbieranie roztrąconych przez niego papierów zajęło mi ponad godzinę. Gdy w końcu położyłam się spać, jak zwykle pojawiły się wizje kataklizmu oraz unoszące się w zbiorniku ciało Kimy. Tym razem jednak dołączył do nich szelest papieru oraz zapach grzyba i atramentu.

(...) z całą pewnością nie jest to zjawisko lokalne, gdyż spostrzeżenia zgadzają się z raportami ostatnich ekspedycji (40 oraz 41), które zauważyły zwiększenie liczebności bliźniaków również daleko na wschodzie w (...)

Notatka 5. Dobry stan zdrowia pierwszego z bliźniąt nie oznacza jednak, że powinniśmy spocząć na laurach, gdyż w dalszym ciągu mamy do czynienia z wysoką śmiertelnością wśród niemowląt. Z rozmów z ludźmi żyjącymi na powierzchni wynika, że te z bliźniaków, które przyszły na świat w dobrym zdrowiu, umierały nagłą śmiercią. Zważywszy na to, że ich zgon zbiegł się w czasie ze śmiercią drugich bliźniąt, chorujących od pewnego czasu, przyczyną najprawdopodobniej jest jakiś czynnik środowiskowy lub niezidentyfikowany dotychczas, niebezpieczny wirus. Raporty te jednak dotyczą statystycznie nieistotnej grupy (...)

(...) wyraża przekonanie, że zwiększenie ilości ciąż mnogich szybko doprowadzi do przyrostu populacji i zwiększenia długości życia (...)

Co kilka dni zaglądał do mnie Kobziarz.

– Zamykanie się tutaj jest bardzo niezdrowe – mówił i wyciągał mnie na spacer. Szliśmy do biura poborcy podatkowego lub wzdłuż murów miejskich, a on

wypytywał mnie o wszystko, co znalazłam w dokumentach.

Na ulice Nowego Hobartu powoli wracała normalność. Zdjęto połamane okiennice, a okna zabito surowymi, nieoheblowanymi deskami, by do pomieszczeń nie wpadał śnieg. Otwarto piekarnię, a na targowisku pojawili się pierwsi straganiarze. Wywalczyliśmy dla miasta wolność, ale miała ona dziwny posmak. Choć wyrzuciliśmy żołnierzy Rady, wszędzie widać było ludzi Prowodyra, którzy w tych samych mundurach patrolowali mury miejskie.

Na zmianę z nimi służbę pełniły oddziały Omeg, które zostały zasilone przez rekrutów z miasta. Alfy i Omegi nieustannie sprzecali się jednak o godziny pełnienia wart i przydział obowiązków. Podczas jednego z naszych wieczornych spacerów Kobziarz zatrzymał się przy wschodniej bramie, by porozmawiać z powracającym patrolom Omeg. Gdy na niego czekałam, usłyszałam, jak jedna z żołnerek Prowodyra natrzęsa się z beznogiego łucznika, zmieniającego ją w wartowni.

– Co zrobisz, jak wróg przebiję się przez mury? – spytała, patrząc, jak ten wciąga się po drabinie do wieży na kolejną zmianę. – Popęlniesz do walki z konnicą?

Omega nie odpowiedział. Z łukiem przewieszonym przez plecy nadal piął się po drewnianych szczeblach na górę wieży.

Dochodziło też do utarczek i bójek między żołnierzami Prowodyra a mieszkańcami miasta, których powinni bronić. Wiele niezadowolenia wywołało to, że Prowodyr chciał utrzymać dokumenty potwierdzające tożsamość. Kobziarz opowiedział mi o sporej grupie mieszkańców miasta, którzy zgromadzili się przed budynkiem poborcy podatkowego i wspólnie spalili własne przepustki w ognisku. Pamiątką po tym zdarzeniu była ciemna plama na śniegu.

Mieszkańcom miasta oddano wolność – mogli je opuścić i wrócić do niego w każdej chwili. Wielu zebrało cały swój dobytek i udało się na wschód. Zdaniem Kobziarza jak dotąd były ich setki, a liczba byłaby zapewne większa, gdyby zima okazała się łagodniejsza, a ludzie mieli dokąd pójść. Nie mogłam ich winić o to, że uchodzili. Wszyscy wiedzieliśmy, że należało się liczyć z prawdopodobieństwem kontrataku. Nasi zwiadowcy i obserwatorzy bezustannie donosili o oddziałach Rady, które zbierały się w odległości zaledwie kilku mil od murów. Jak dotąd nie otoczyli miasta, a Prowodyr był przeświadczony, że ma wystarczająco dużo ludzi, by sprostać wojskom Rady w otwartej bitwie lub podczas oblężenia. Tymczasem nie dochodziło do starcia. Ludzie Rady obserwowali i czekali.

Wśród obrońców miasta, zarówno Alf, jak i Omeg, panowało wielkie napięcie. Na bitwę na razie się nie zanosilo, przez co pozostawało im jedynie patrolowanie okolic wśród wiatrów i śniegów. Racje żywnościowe były kiepskie, gdyż kupcy nadal omijali Nowy Hobart, a wczesne nadejście zimy zniszczyło część zbiorów. Mróz był trudny do zniesienia, a opału brakowało. Najbliższe zasoby

leśne zostały do szczytu spalone, a większość mieszkańców miasta, pomna bliskości armii Rady, bała się wypuścić dalej. Na ulicach często mijaliśmy ludzi objuczonych deskami z rozbieranych, opuszczonych domostw. Wielu spośród nich odniosło rany w walce. Byli wychudzeni, a liche ubranie nie maskowało kościstych nadgarstków i wychudłych twarzy. W moim umyśle wciąż rozbrzmiewały słowa Zacha: „Co im oferujesz?”. Sądziłam, że nigdy już nie ujrzę niczego tak strasznego jak bitwa i stos częściowo spalonych ciał, ale dni, które nastąpiły później, również na swój sposób okazały się koszmarem. Nie znosiłam tego przedłużającego się okresu nijakości i bezbarwności po zakończeniu walk.

Zdarzały się jednakże chwile, kiedy szarość rozjaśniała iskierka nadziei. Któregoś dnia, gdy wraz z Kobziarzem przechodziłam obok fundamentów jakiegoś wypalonego domu, ujrzelśmy trzech chłopaków Omegi, którzy kopali piłkę. Kiedy ta podtoczyła się do któregoś z młodszych żołnierzy Prowodyra, ten odkopnął ją do nich, a po chwili dołączył do gry. Nie pograł długo, gdyż odwołał go dowódca oddziału. Pobiegł ku swoim, nie odwróciwszy nawet głowy, ale widziałam, jak pomachał do nich beztrosko. Kiedy indziej ujrzałam grupę żołnierzy Prowodyra, którzy podkuwali swe konie przed kuźnią. Któryś z żołnierzy Omeg pomógł złapać wyrwywającego się konia, a gdy przekazał wodze Alfie, ten przejął je bez wzdrygnięcia. Potem przez moment ponarzekali wspólnie na pomocnika kowala, który spłoszył zwierzę. Trudno byłoby to nazwać wielkim pojednaniem. Ba, ledwie kilka słów zamienionych na zaśnieżonej ulicy, ale te drobne interakcje dawały mi więcej nadziei niż wszystko inne, co osiągnęliśmy na polu bitwy.

Wiedziałam też, że takie momenty nie potrważą długo. Szła na nas Rada, a z nią maszyny. Naszą największą nadzieją były Arka oraz Zamorze.

– Powinniśmy wysłać więcej zwiadowców na wybrzeże – powtarzałam raz za razem, gdy dołączałam do dyskusji w biurze poborcy podatków. – Powinniśmy wyszykować statki do poszukiwania Zamorza.

– Ledwie starcza nam na wszystko ludzi – odparł Prowodyr. – Nie chodzi mi tylko o obronę miasta. Doszło do wielu potyczek między Wyndham a wybrzeżem. Każdy garnizon, który opowiedział się po mojej stronie, musi teraz odpierać ataki Rady.

Czekałam, aż Kobziarz mnie poprze, ale odwrócił głowę. Od chwili, gdy Zach cisnął nam głowy galionów pod nogi, nawet on nie wracał już do tematu Zamorza. Gdy go przycisnęłam, pokręcił tylko głową.

– Jeśli Zamorze w istocie gdzieś tam jest, Arka stanowi najlepszy sposób na zdobycie rzetelnych informacji. Nawet gdybyśmy mieli ludzi i sprzęt, nie mógłbym nikogo wysłać na ślepo.

Spojrzał na swoją dłoń.

– Zbyt wielu moich ludzi odeszło na zawsze – dodał. – Zarówno tych, którzy służyli na lądzie, jak i tych, którzy byli na morzu.

Gdy Xander znów zaczął mamrotać o powrocie „Rosalind”, nie mieliśmy serca powiedzieć mu o tym, co wiedzieliśmy.

R. 49, 23 list. Sprawozdanie logistyczne

Wilgoć przeniknęła do sekcji B i wpływa zarówno na wentylację, jak i sieć elektryczną. Zespół konserwacyjny ma podjąć próbę ponownego zamknięcia przewodów wentylacyjnych, ale Walsh twierdzi, że wywołane detonacjami osunięcie ziemi w Sekcji A wyklucza jakikolwiek dostęp na p(...)

Ekspedycja na powierzchnię nr 61. Poziom promieniowania ten sam, wciąż zauważalnie wyższy na wschodzie (od Obozu 3 począwszy). Nie zauważono ludzkiej bytności za Obozem 5.

Oddział Psychiatryczny (Sekcja F) działa z coraz większymi trudnościami ze względu na kurczące się zapasy valium. Przynajmniej połowa pacjentów powinna zostać umieszczona w izolatkach, ale po awarii generatora w Sekcji D opcja ta nie wchodzi w rachubę. Wciąż oczekujemy na ustosunkowanie się Rządu Tymczasowego do naszych próśb o przekierowanie zasilania pomocniczego z Projektu Pandora (nie chodzi tylko o oświetlenie, ale również o lodówki – jedzenie trzymane obecnie w chłodni patologów wraz z (...)

Rozdział dwudziesty szósty

Zoe, Kobziarz, Simon oraz Prowodyr zgromadzili się w sypialni sierocińca.

Ostatnio, gdy ich widziałam, zajmowali się ważnymi sprawami w biurze poborcy podatkowego. Teraz, gdy przycupnęli na skrzypiących łóżeczkach dziecięcych, wśród stosów papierów, wyglądali co najmniej nie na miejscu. Tylko Prowodyr nie chciał usiąść i stał przy końcu jednego z łóżek z ramionami założonymi na piersi.

Zapoznanie się z treścią wszystkich tych dokumentów oraz uporządkowanie ich zabrało mi trzy tygodnie. Moje ramię nadal było sztywne i nie mogłam się oprzeć na nadgarstku bez fali ostrego bólu, ale pozbyłam się już łubków i jako tako mogłam korzystać z dłoni.

– Tutaj mamy pierwszą wzmiankę o bliźniętach – powiedziałam.

Kobziarz wziął ode mnie kartkę i odczytał:

– R trzydzieści osiem, dwunasty marca, osiemnaście b. Dotyczy nagłego przyrostu liczebności bliźniąt. Góra. – Spojrzał na mnie. – Góra?

– To tu. – Wskazałam mu okno. – Nad ziemią, znaczy się. We wcześniejszych dokumentach nazywają to powierzchnią, ale później stało się Górą.

– Chodzi tu o nas, prawda? – spytał Kobziarz, trzymając palec w miejscu, gdzie skończył czytać. – Tam, gdzie jest mowa o drugich bliźniakach? Tu piszą o Omegach.

Patrzyłam na nich, gdy czytali o pierwszym pojawieniu się Omeg.

Wśród przykładów stwierdzonych przez Ekspedycję 49 pojawiły się: polimelia, amelia, polidaktylia, syndaktylia (w wielu przypadkach stwierdzono występowanie obu schorzeń), dysgenezja gonad, achondroplazja, nerwiakowłókniaki...

Miałam wrażenie, że mutacje same w sobie były tak przerażające, że nie dało się tego wyrazić zwykłymi słowami i autor tego fragmentu musiał sięgnąć po całkowicie nowy język, by móc je opisać. Patrzyłam na czytającego Kobziarza i zastanawiałam się, który z tych pokręconych terminów odnosi się do jego pojedynczego ramienia. Lub do mego umysłu wizjonerki, który cofał się w czasie lub wybiegał do kolejnych wydarzeń.

Głowy Zoe i Kobziarza były pochylone pod tym samym kątem, a ich oczy przesuwwały się po linijskach tekstu w tym samym tempie.

...można przedstawić jako drastyczną, wzajemnie uzupełniającą się reakcję genetyczną na ciągle promieniowanie. Organizm, chcąc urodzić zdrowe potomstwo, skutecznie przekazuje mutacje jego bliźniakowi, którego należy postrzegać jako pechowy (lecz konieczny) epifenomen.

– Nie rozumiem połowy z tych słów – rzekła Zoe. – Albo nawet więcej. Co to znaczy genetyczna? Albo epifenomen?

– Ja też tego nie chwytam – oznajmił Kobziarz. – Ale to chyba to samo, co zawsze myśleliśmy, prawda? Że rozwinęliśmy się w ten właśnie sposób, by gatunek mógł przetrwać. Że my, Omegi, nosimy brzemię mutacji od czasu kataklizmu.

Pokiwałam głową. Pamiętałam słowa, które wypowiedziała Pani Generał podczas naszego spotkania: „Jesteście efektem ubocznym nas. Niczym więcej”. Czyżby czytała te same dokumenty? Albo podobne?

– Ten fragment musicie przeczytać – powiedziałam i delikatnie podniosłam podniszczoną, dziurawą kartkę leżącą na łóżku. Tym razem, zamiast im ją podać, odczytałam na głos: – R czterdzieści sześć, czternaście g r. Sprawozdanie odnośnie do bliźniąt z Góry: Opcje leczenia. Trwające od pewnego czasu badania dotyczące jednoczesnej śmierci bliźniąt przychodzących na świat na Górze potwierdzają istnienie związku, który wymyka się naszemu dotychczasowemu pojmowaniu istoty bliźniąt, zarówno dwujajowych, jak i jednojajowych. Mechanizm sterujący owym związkiem jest na razie niejasny, ale udało się ustalić, że problem ów nadaje się do leczenia. Zastosowanie odpowiedniej terapii dla pierwszych bliźniąt, w sprawie listy lekarstw patrz Dodatek B, powinno doprowadzić do odwrócenia procesu w przyszłości. Owo leczenie w połączeniu z...

– A te lekarstwa – przerwał mi Kobziarz. – Ta lista... Znalazłaś ją także?

– Niestety. – Pokręciłam głową. – Nawet jeśli kiedyś tu była, już znikła. Być może znajduje się w Arce, a może uległa zniszczeniu.

– I na tej stronie nie ma już nic?

– Nic.

Resztę dokumentu pochłonęła pleśń. Uniosłam głowę, chcąc się przekonać, czy wiadomość dotarła do zebranych. W pokoju wisiała ciężka cisza.

– Jasna cholera. – Zoe odezwała się jako pierwsza. – Nic dziwnego, że zabili Joego. Istnieje sposób na usunięcie ciąży bliźniaczych.

Wszyscy zaczęli się podnosić. Zoe ścisnęła ramię Kobziarza. Simon powoli kręcił głową, a na jego twarzy rozlewał się uśmiech. Prowodyr mrużył oczy i ściągał brwi.

– To nie jest takie proste – powiedziałam. Przecież sami powinni wiedzieć, że w tym okaleczonym świecie nie ma łatwych rozwiązań. – Posłuchajcie teraz tego: Po konsultacji z grupą do spraw Działań na Powierzchni, wchodzącą w skład Rządu Tymczasowego, patrz Dodatek A, grupa zadaniowa omówiła sensowność programu leczenia. Główne zagadnienie brzmi: czy po wyeliminowaniu ciąży bliźniaczych rodzący się ludzie będą nadal obciążeni mutacjami? Leczenie, które miałyby położyć kres temu procesowi, przypuszczalnie wyeliminowałyby najgorsze mutacje, a w następnych pokoleniach prowadziłyby do dalszego

ograniczenia schorzeń zauważalnych u drugich bliźniaków. Tymczasem nasze programy prognostyczne sugerują, że mutacje nie poddadzą się eliminacji. Jednym z argumentów na korzyść leczenia jest wynik autopsji przeprowadzanych na drugich bliźniakach. We wszystkich przypadkach stwierdzono całkowitą wadliwość wewnętrznych organów reprodukcyjnych, co uniemożliwia im udział w odbudowaniu populacji. Z drugiej strony niektórzy członkowie grupy do spraw Działań na Powierzchni utrzymują, że to pragmatyczny sposób na ograniczenie mutacji wypracowany przez ewolucję.

– Pragmatyczny sposób na ograniczenie mutacji wypracowany przez ewolucję – powtórzył Kobziarz. – Wygląda na to, że niektórzy z nich chyba cieszyli się, że nie możemy się rozmnażać. Jakbym słuchał Alf... Uznali nas za coś zbędnego, gorszego od normalnego człowieka.

Pokiwałam głową.

– Stąd wzięła się cała dyskusja. Gdyby wyeliminowano cięższe bliźniacze, znikłby podział na Alfę i Omegi. Twierdzą, że nadal dochodziłoby do deformacji, u każdego, o ile dobrze to rozumiem, ale nie byłyby one tak poważne jak te, na które cierpimy.

– A Omegi mogłyby się rozmnażać, gdyby zdobyły te leki? – spytała Zoe.

– Nie byłoby wówczas żadnych Omeg – odparłam. – Ani Alf. Byliby ludzie.

– Ale z mutacjami – odezwał się Prowodyr. – Wszyscy by je mieli?

– Tak tu jest napisane. – Pokiwałam głową.

– A więc ludzie z Arki nie chcieli patrzeć na gatunek, który rozwija się z mutacjami – rzekł Kobziarz. – Woleli, by jego część wyginęła.

Wpatrywał się w Prowodyra, jakby rzucał mu wyzwanie. „Co, staniesz w obronie mieszkańców Arki?” – mówiło jego spojrzenie. Ten odpowiedział mu wzrokiem, ale nie rzekł ani słowa.

– Tu jest mowa tylko o przyszłych pokoleniach – powiedziała Zoe, która delikatnie wzięła kartkę ode mnie i odczytała ją sama. – Nie ma ani słowa o przerwaniu więzi między bliźniętami, które już przyszły na świat? Lub o leczeniu ich bezpłodności?

– Nie. – Spojrzałam na nią. Czy zdecydowałaby się na przerwanie więzi między nią a Kobziarzem, gdyby istniała taka możliwość?

Kobziarz przerwał moją zadumę.

– A więc to wszystko? Wiedzieli, jak zaradzić ciążyom bliźniaczym, ale nie mogli się co do tego zgodzić?

– Ustalenie konsensusu w tej sprawie nie było jedynym problemem – odparłam. – Pojawiły się inne okoliczności.

Podniosłam kolejną kartkę i przekazałam ją Zoe, a ta odczytała na głos:

– Zaproponowana metoda leczenia nie jest skomplikowana, ale jej wdrożenie łączy się z pewnymi istotnymi trudnościami, nasilonymi przez to, że populacja

Góry jest rozrzucana na sporym terenie. Najważniejsze problemy to transport, przechowywanie i rozprowadzanie leków. Wedle naszych szacunków zasoby Arki wystarczyłyby do wyprodukowania leków dla pięciu tysięcy ludzi, przy założeniu, że opieramy się na odkryciach Fegana i Blaira i przydzielamy trzy dawki na głowę. Leki jednakże wymagają przechowywania w chłodzie, a największą przeszkodą dla ich wdrożenia jest narastające uprzedzenie wobec zjawisk technologicznych, które prześladowuje społeczność na Górze. Na zewnątrz Arki wszelkie pozostałości technologii sprzed kataklizmu są systematycznie niszczone. Kilka ekspedycji doniosło o wrogich reakcjach na testy medyczne, a w trzech sytuacjach wyposażenie zostało skradzione i zniszczone. Dwie spośród ostatnich ekspedycji nie powróciły wcale. Zważywszy na rozliczne zagrożenia, jakie pojawiają się w środowisku zewnętrznym, nie należy z góry zakładać, że ich zniknięcie ma związek z wrogimi reakcjami na technologię, które szerzą się na Górze. Byłby to przedwczesny wniosek, ale zniknięcie ekspedycji pozostaje ważnym, nagłym problemem.

– To przez tabu – powiedziałam. – Ci, którzy przeżyli kataklizm, obrócili swój gniew przeciwko maszynom.

– Trudno ich o to winić – odparł Prowodyr. – Musieli żyć z konsekwencjami kataklizmu.

– To niejedyna kwestia – powiedziałam. – Mieli jeszcze jeden, istotny powód, by się bać mieszkańców Arki i ich maszyn.

Podeszłam do sąsiedniego łóżka, na którym leżał szereg dokumentów autorstwa tego samego człowieka. Pisał odręcznie i niedbale – odczytanie jego charakteru było niemalże równie trudne jak obchodzenie się z wilgotnym, rozpadającym się w rękach papierem.

– Te raporty zostały napisane przez jednego człowieka, który podpisywał się jako profesor Heaton. Opowiada w nich o tym, jak naprawdę wyglądały eksperymenty.

Dzięki dokonaniom profesorów Fegana i Blaira Arka nadal ma szansę udowodnić swą wartość. Powstrzymanie cięż bliźniaczych, które dominują już we wszystkich społecznościach na powierzchni, jest w naszej mocy. Wyniki badań Blaira oraz Fegana wykazują, że przy ostrożnym zarządzaniu istniejącymi zasobami przeprowadzenie terapii będzie możliwe (przynajmniej w rejonach otaczających samą Arkę), dzięki czemu ograniczona zostanie zarówno wysoka śmiertelność, jak i stopień niepełnosprawności kolejnych pokoleń.

Zupełnie odmienny problem stwarza zasugerowany sposób przeprowadzenia badań, wobec którego zgłosiłem już swe zastrzeżenia, zarówno osobiście, jak i przy wykorzystaniu oficjalnych procedur. Jeśli pomijając owe względy etyczne, wyniki badań są w chwili obecnej do naszej dyspozycji i niewykorzystanie ich byłoby

niewybaczalnym błędem.

– O co mu chodzi, gdy pisze o sposobie przeprowadzenia badań? – spytała Zoe.

– Patrzcie – odparłam i podałam jej kolejną kartkę. Kobziarz pochylił się nad jej ramieniem i oboje pograżyli się w lekturze.

Ze wszystkich problemów, związanych z badaniami Fegana i Blaira przymusowe wykorzystanie osobników rasy ludzkiej z Góry stanowi najważniejsze naruszenie zasad etyki. Zważywszy na surowe protokoły bezpieczeństwa, związane z wychodzeniem z Arki i powrotem do niej, wpuszczenie osobników wyznaczonych do eksperymentu na teren Arki wymaga zgody najwyższych władz. To z kolei oznacza, że nie tylko badacze zaangażowani w projekt, ale również sam Rząd Tymczasowy są zamieszane w proceder, który jest nie tylko etycznym skandalem, ale również (zważywszy na wysoką śmiertelność osobników) ohydną zbrodnią.

– A więc brali ludzi z Góry i eksperymentowali na nich – powiedział Kobziarz. – Zabili niektórych z nich, może nawet wszystkich.

Dopiero w chwilach, gdy ogarniał go gniew, przypominałam sobie, jak wielką grozę potrafi budzić, i to wcale nie wzrostem czy rozmiarami ciała, ale spojrzeniem. W jego zielonych oczach nie było ani śladu wątpliwości. Widziałam w nich tylko bezwzględną furję.

– Co więcej, przez cały czas trwania eksperymentów nadal się nas bali – oznajmiłam. – Zamykali się w tej swojej Arce i zamartwiali protokołami bezpieczeństwa, które miały ich chronić przed nami.

Mój krótki, blady śmiech poniósł się po sypialni.

Pomimo złych przeczuć odnośnie do badań podejmowanych na bliźniętach miałem nadzieję, że cel uświęci nieetyczne środki. Jeśli jednak jedynym celem badań było zaspokojenie ciekawości personelu badawczego (lub przechowanie ich wyników w celu ewentualnego wykorzystania w przyszłości), nie jestem w stanie w żaden sposób ich usprawiedliwić. Proszę Cię z całego serca, byś jako przedstawiciel Rządu Tymczasowego ponownie przemyślał swą decyzję i wdrożył leczenie, które może znacząco poprawić jakość życia ludzi na Górze i dać im szansę na zwiększenie populacji.

Nie po raz pierwszy proszę Rząd Tymczasowy, by przemyślał swoje podejście do mieszkańców Góry. Nie jestem też jedynym mieszkańcem Arki, który wyraża swą troskę w tej sprawie. Jeśli przekierujemy nasze zasoby zaangażowane w Projekt Pandora (mam głównie na myśli generator mocy) do masowego leczenia ludzi na Górze, możemy spodziewać się poprawy sytuacji już w następnym pokoleniu.

Patrzyłam na bruzdę między brwiami Kobziarza, która pogłębiała się w trakcie czytania. Widziałam też, jak Zoe przygryzała wargę, odcyfrowując słowa. Byli tacy do siebie podobni i tak bardzo tego nieświadomi.

– Nie podjęli wysiłku – powiedziałam. – Uznali, że nasz los nie jest wystarczająco ważny. Byli zanadto skupieni na sobie i za bardzo bali się mieszkańców powierzchni. Zresztą na dole sytuacja również nie przedstawiała się różowo.

Zaprowadziłam ich do papierów ułożonych w rzędzie pod przeciwną ścianą. Każdą z kartek pokrywały ciągi niezgrabnych liter opisujących ostatnie lata Arki. Było wiele sygnałów, które wskazywały na to, że dokumenty te powstały później – nie tylko pismo odręczne czy wykorzystywanie każdej istniejącej przestrzeni na kartkach. Zmienił się również styl pisania.

– Wcześniejsze dokumenty zostały napisane sztywnym, formalnym językiem – wyjaśniłam. – Postulujemy to i owo, memorandum szmakie i owakie. Ludzie tak do siebie nie mówią. Niektóre dokumenty utrzymały ten styl, głównie opracowania techniczne, ale w większości pozostałych zmienia się język. Staje się niedbały, rozpaczliwy. Spójrzcie.

Podziałam Kobziarzowi stertę późnych dokumentów, pokrytych chaotycznie nabazgranymi notatkami. Raporty były krótsze, bardziej zwarte, jakby sam język w Arce zaczął się wypalać.

Dziecko Springfieldów przyszło na świat. Chłopiec, zdrowy, 7lb6oz. Matka nie może (lub nie chce?) karmić piersią.

Awaria świateł w skrzydle F – wszyscy pozostali mieszkańcy tymcz. zakw. w skrzydle B. Wyłączenie prądu w godzinach 18:00 – 6:00 dotyczy wszystkich obywateli (z wyjątkiem sekcji A [Projekt Pandora] i lodówek w mesie).

– Ma mi być przykro z powodu tych ludzi? – spytała Zoe. – Przecież sami podjęli decyzję. Zamknęli się w komforcie, podczas gdy świat nad ich głowami płonął. Nie pomogli w niczym ludziom na powierzchni, jedynie studiowali ich jak dzieciaki, które przyglądają się mrówkom złapanym do słoika.

– Wiem – przyznałam. – Nie twierdzę, że to byli dobrzy ludzie. Chcę wam tylko pokazać, do czego tam doszło. Myślę, że lata spędzone pod ziemią źle na nich wpłynęły i coraz więcej spośród nich zaczynało tracić rozum. Popatrzcie na to.

Sektor F został zabezpieczony, by odizolować pacjentów, których nie byliśmy w stanie dłużej kontrolować. Stanowią oni poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa reszty populacji Arki. Z sektora usunięto wszelką broń, ale Rząd Tymczasowy hojnie zaopatrzył sektor w jedzenie i nie odłączył dostaw wody. Wyłączono natomiast prąd (z wyjątkiem urządzeń obsługujących wentylację), gdyż priorytet stanowią potrzeby reszty populacji. Rozważano wypuszczenie ich na powierzchnię,

ale opcja została odrzucona z uwagi na problemy bezpieczeństwa, które mogłyby wyniknąć z ich interakcji z mieszkańcami Góry. Wszelkie drzwi i włazy zostały permanentnie zapieczętowane. Zważywszy na poważny stan pacjentów, nie wydaje się, by izolacja potrwała długo.

– Widzicie, ile kryje się w tych słowach? – spytałam. – Pacjenci to więźniowie. Nie wydaje się, by izolacja długo potrwała... To też jasne. Spodziewają się, że szybko zginą. Że szaleńcy pozabiją innych lub siebie nawzajem.

– Myślisz, że tylko oni maskują intencje odpowiednimi słowami? – odezwał się Kobziarz. – Alfę nadal tak robią. Już zapomniałaś o przytułkach.

„Nie tylko Alfę mają to w zwyczaju” – pomyślałam, przypominając sobie wszystkie sytuacje, kiedy sama kryłam się w luce między słowem a zdarzeniem. Postąpiłam tak choćby wtedy, gdy mówiłam Zoe i Kobziarzowi o śmierci Kimy. Powiedziałam, że odszedł. Moje słowa nie mówiły prawdy o tej chwili czy też o jego śmierci. Były czyste i schludne, tymczasem w tym, jak leżał na betonowej podłodze, zakrwawiony i śmiertelnie ranny, nie było nic czystego. Słowa były niczym bezcielesne symbole, którymi posługiwaliśmy się, by trzymać prawdziwy świat jak najdalej od siebie. Gdy posłańcy Simona rozjechali się po świecie, by skrzykiwać posiłki do bitwy o Nowy Hobart, opowiadali o powstaniu i o wolności. Żaden z nich nie zająknął się nawet o mieczach tnących ciała czy o stosach zwęglonych trupów w śniegu.

– My nie jesteśmy tacy jak ci z Arki – powiedziała Zoe. – Oni pochowali tych ludzi żywcem, tych zamkniętych w Sekcji F. Nieszczęśnicy rozszarpali się nawzajem na strzępy albo umarli później z głodu.

– Oni wszyscy zostali pochowani za życia – stwierdziłam. – Nie tylko odizolowani szaleńcy. Wszyscy mieszkańcy Arki zostali ostatecznie uwięzieni pod ziemią. Najpierw skończyło im się światło, a potem jedzenie.

– Mimo to i tak mieli tam lepiej niż na powierzchni – rzekł Kobziarz. – Nasi przodkowie, nie dość, że przetrwali sam kataklizm, to jeszcze mieli przed sobą Długą Zimę, a potem wiele lat nieurodzaju.

Miał rację. Ci ludzie nie mieli Arki i nie prowadzili żadnych zapisków, przez co nigdy się nie dowiemy, jak wyglądało ich życie w ciągu pierwszych dekad po kataklizmie. Raz na jakiś czas słyszałam bardów, którzy śpiewali o Długiej Zimie. O promieniowaniu, które smażyło dzieci w łonach matek. O noworodkach, które rodziły się bez nozdrzy i ust, niezdolne do oddychania, skazane na śmierć w chwili narodzin. O dzieciach, które były stopniałą masą ciała i częściowo uformowanych kości. Mimo to nie byliśmy w stanie zrozumieć, jakim koszmarem było życie w tej epoce. Nawet opowieści, które przetrwały do naszych czasów, były tak zniekształcone jak dzieci, które się wówczas rodziły.

– Dlaczego więc zostali w Arce tak długo? – spytał Simon. – Jeśli te daty nie kłamią, siedzieli tam pięćdziesiąt lat, a przecież już po kilku dekadach promieniowanie nie było wcale takie wysokie. Sami o tym piszą. Nie mówię, że mieliśmy tu raj, ale rośliny już zaczęły rosnąć, a ocalali ludzie zaczęli się rozmnażać. Mieszkańcy Arki mogli wyjść na powierzchnię!

– Oni wcale nie bali się świata na powierzchni – rzekł Kobziarz. – Ani nawet promieniowania. Oni bali się nas.

Spojrzał na swój lewy bark, pozbawiony ramienia.

– Wiesz, jak nas nazywają Alfę, a przecież oni są do nas przyzwyczajeni.

Słyszałam wyzwiska, które rozbrzmiewały nawet w obrębie murów Nowego Hobartu przez ostatnie tygodnie. Każdy Omega je znał: dziwak i odrzut.

– Sama to przecież czytałaś – ciągnął Kobziarz. – Sama pamiętasz dysputy ludzi w Arce, czy warto leczyć nasze schorzenia. Uznali, że rasa ludzi z mutacjami, ludzie tacy jak my, być może nie zasługuje na ratunek. Może sądzili, że byłoby lepiej, gdybyśmy wymarli. To dlatego zostali pod ziemią. Co więcej, bali się też, że staną się tacy jak my.

Rozdział dwudziesty siódmy

Powróciłam do stosu papierów zapisanych charakterystycznymi bazgrołami profesora Heatona.

– Nie wszyscy mieszkańcy Arki machnęli ręką na nasz los. Heaton nadal pisał o terapiach dla mieszkańców powierzchni i nadal próbował przekonać do tego innych. Nie był w tym odosobniony.

Pokazałam im wniosek napisany w roku 20, w którym udowodniono, że mieszkańcy Arki nie mają szans rozmnażać się i przetrwać jako społeczność pod ziemią. Przynajmniej część z nich chciała pomóc ludziom z Góry.

– Ten człowiek – odezwała się Zoe. – Profesor czy jak mu tam. On napisał...

– To nie jest jego imię. Wielu mieszkańców Arki mieniło się profesorami. To coś na kształt tytułu. Może coś takiego jak członek Rady? Jego nazwisko to Heaton.

– To on to wszystko napisał? – Zoe wskazała stosy papieru pokryte jego pismem.

– Tak – odparłam i pokazałam im, w jaki sposób uporządkowałam papiery.

Spora część materiałów odnalezionych w skrzyni Joego była autorstwa profesora Heatona. Kolejną dużą część zajmowały starannie nakreślone niebieskim tuszem wykresy i projekty, których przeznaczenia nie byłam w stanie dociec. Najwięcej dokumentów zawierało jednak jedynie cyfry – widniały na nich niekończące się kolumny liczb, a zera w rzędach wpatrywały się we mnie niczym ślepe oczy. Kilka kolumn zostało oznaczonych, ale słowa nic mi nie mówiły: Curie (Ci), Roentgen (R), Dawka Zaabsorbowanego Promieniowania (DZP). Przypomniało mi się, jak Spowiedniczka opowiadała o maszynach przy użyciu słów, których nigdy dotąd nie słyszałam. Generatory. Algorytmy. Udało jej się osiągnąć biegłość w języku maszyn, ale dla całej reszty z nas słowa te były jedynie seriami liter.

– Nic mi to nie mówi – rzekł Kobziarz i odrzucił kolejną kartkę z niezrozumiałymi liczbami.

– A mnie tak – odparłam. – Te liczby potwierdzają, że mieszkańcy Arki potrafili robić rzeczy, których my nie umiemy. Wiemy, że byli w stanie rozwikłać nasze schorzenia, nawet jeśli ostatecznie uznali, że nie będą tego robić. Gdyby udało nam się odnaleźć Arkę, zebrać nowe informacje i przydzielić do badań najmądrzejszych spośród nas, udałoby nam się to. Praca zabrałaby wiele lat, a być może nawet całe pokolenia, ale pomyślcie tylko o tym, ile osiągnął Zach wraz z Radą dzięki zbiornikom.

– Twierdzisz, że to coś, do czego mamy aspirować? – Słowa Prowodyra przecięły powietrze między nami niczym bicz.

– Przekręcasz moje słowa – rzekłam. – Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Zbiorniki to potworny wynalazek, ale pokazują, że dzięki maszynom można dokonać rzeczy trudnych do wyobrażenia.

– Nie musimy sobie tego wyobrażać – rzekł Kobziarz. – Musimy z tym żyć.

– Maszyny są odpowiedzialne za wiele potworności – odparłam, podnosząc głos. – Ale żyjemy w strachu od tak dawna, że nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, że są również w stanie dokonać niezwykłych rzeczy.

– Coraz bardziej przypominasz swego brata – rzekł Prowodyr.

– Nie sądzę, byś mówił serio – odparłam. – Przecież mnie znasz. Technologia z Arki jest w stanie powstrzymać bliźniactwo. Jeśli ją odnajdziemy, wszystko ulegnie zmianie.

– Ale czy to w ogóle możliwe? – spytał Kobziarz. – Mam na myśli odnalezienie Arki. Bez tego ani rusz i wszystkie nasze działania pójdą na marne. Jeśli zaś masz rację, a Rada już Arkę odnalazła, twój brat przypuszczalnie już to miejsce odwiedził. Ba, niewykluczone, że siedzi tam w tej chwili. A może byłabyś w stanie zlokalizować Arkę dzięki niemu?

Głośno odetchnęłam.

– Zbyt duża odległość. Próbowалаm już odnaleźć Arkę przez moje wizje, ale nie natrafiłam na nic, co przypomniałoby mapę. Nie znam nawet nazw miejsc. Wierzcie mi, podjęłam setki prób.

Wszyscy mi się przyglądali.

– Ale znalazłaś drogę na Wyspę, choć dzieliło cię od niej setki mil – przypomniał Prowodyr.

– Wiem! – parsknęłam w odpowiedzi. – Ale nie jestem maszyną. Słyszałam opowieści o Wyspie przez całe swe życie i od lat o niej marzyłam, co zapewne mi pomogło. Arki zaś jak dotąd nigdy nie próbowałam sobie wyobrazić.

W trakcie długich, niekończących się godzin nad papierami bywały chwile, kiedy zaczynałam już coś czuć. Miałam wrażenie, że coś mnie ciągnie w stronę Arki, ale niewiele mi to dawało. Arka w moich chaotycznych, omylnych wizjach była niczym odległa woń niesiona wiatrem, wystarczająco intensywna, by podnieść głowę i pociągnąć nosem, ale zbyt słaba, by skierować mnie dokądkolwiek.

– Wizjonerstwo nie działa tak, jak byś sobie tego życzył – tłumaczyłam Prowodyrowi. – I nigdy tak nie było. Czy budziłabym się z wrzaskiem, przerażona wizjami Wybuchu, gdybym potrafiła kontrolować mój dar?

– Xander powiedział, że słyszał tam odgłosy – przerwała nam Zoe, za co byłam jej wdzięczna. – Nie natrafiłaś na nic, co mogłoby sugerować, że ci ludzie mogli się mimo wszystko rozmnożyć i przeżyć?

– Nie sądzę. Nie przez czterysta lat pod ziemią. – Pokręciłam głową.

Ostatni odnaleziony przeze mnie dokument pochodził z roku 58. Sytuacja na dole przedstawiała się już wówczas fatalnie. Elektryka zawiodła w wielu sekcjach Arki, ludzie żyli w ciemności i wilgoci. Niemalże wszyscy byli już starszymi

ludźmi i szerzyło się wśród nich szaleństwo.

– Nie sądzę, by długo przetrwali. Xander powiedział, że kiedyś było tam cicho, ale teraz wszystko się zmieniło. Słysząc grzechot kości. Mieszkańcy Arki nie przeżyli. Jeśli chłopak twierdzi, że znów czuje ludzką obecność w Arce, mamy kolejny dowód na to, że odnalazła ją Rada.

– To dlaczego nie wykorzystali jeszcze tego, co tam znaleźli? – spytał Simon. – Skoro Rada wie, że można zatrzymać bliźniactwo, i przypuszczalnie również zna na to sposób, czemu się jeszcze do tego nie wzięli? Przecież nienawidzą więzi, która łączy ich z nami, chyba jeszcze bardziej niż my! Sally i inni infiltratorzy, gdy jeszcze działali w Radzie, mówili, że Alfę od lat eksperymentują i wypróbowują rozmaite programy rozrodcze. Od dziesiątków lat! Dlaczego więc tak długo dokonywali wszelkich wysiłków, by położyć kres bliźniactwu, a teraz, gdy rozwiązanie mają w zasięgu ręki, nie chcą po nie sięgnąć?

– Gdyż Arka nie daje im tego idealnego rozwiązania, którego szukają – odparłam, wskazując dokumenty. – Nawet przy założeniu, że byłoby w stanie odtworzyć to, co mieszkańcy Arki zamysłali zrobić, uporaliby się tylko z bliźniactwem, a nie z mutacjami. Wszyscy wówczas nosiliby mutacje, nie tylko Omegi. Przypuszczalnie nie byłyby one tak poważne jak te, które nosimy teraz, ale Alfę nie byłyby istotami bez skazy.

– Naprawdę sądzisz, że woleliby być związani z Omegami niż rodzić dzieci z mutacjami? – spytał Kobziarz.

Siedząca obok niego Zoe założyła ręce na piersi.

– Nie muszą już wybierać między tymi opcjami – odparłam. – Zbiorniki wszystko zmieniły. Teraz Alfę uważają, że mają inny wybór. Jeśli przerwą bliźniactwo, wszyscy będą musieli nosić przekleństwo mutacji. Jeśli utrzymają ciążącą im więź z Omegami, będą mogli osadzić nas wszystkich w zbiornikach i nadal cieszyć się silnymi, zdrowymi ciałami, podczas gdy ich bliźniacy będą bezpiecznie uwięzieni w zbiornikach. Idealne rozwiązanie.

Kobziarz odetchnął ciężko.

– A więc niewiele się różnią od ludzi z Arki – oznajmił. – Kilkaset lat temu oni również mieli możliwość zakończenia bliźniactwa i nie chcieli z niej skorzystać.

– Wcale mi nie żal, że poumierali w tej szurzej norze, którą sobie sami wygrzebali. – Oczy Zoe błysnęły nienawiścią.

– Nie wszyscy umarli. – Podniosłam kolejny dokument. Była to seria odręcznych notatek, upchniętych na marginesie długiej kolumny liczb zatytułowanej „Odczyt promieniowania: Wyprawa na powierzchnię nr 11”. – To ostatnie zapiski Heatona. Nie widzę tu jego podpisu, ale rozpoznaję charakter pisma.

19 lipca, r. 52

Do: Rząd Tymczasowy.

Ze względu na to, że pomimo ciągłych próśb i apeli, zarówno z mojej strony, jak i ze strony uczestników niezwykle rzadkich wypraw na powierzchnię, nadal nie wyrażają Państwo gotowości do przyjscia z pomocą mieszkańcom Góry, uznaję, że wykonywane przeze mnie zadania w Arce przestały być zgodne z treścią przysięgi, którą złożyłem jako lekarz, a ponadto naruszają zasady mego sumienia. Wstępując do zespołu naukowego Arki, wierzyłem, iż staje się częścią historycznego projektu, niezbędnego do ocalenia naszego gatunku. Niemniej brak zgody ze strony rządu na wdrożenie leczenia, które miałyby powstrzymać bliźniactwo, i niechęć do przyjscia z pomocą mieszkańcom Góry uświadomiły mi, że dalsze pozostawanie na terenie Arki byłoby aktem egoizmu. Z uwagi na fakt, że zaniechali Państwo wysyłania kolejnych wypraw, nie ma co dłużej udawać, że Arka istnieje dla korzyści i pożytku tych, którzy (...)

Niniejszym przedkładam moją rezygnację ze stanowiska. Nim zostanie odnaleziona, nie będzie mnie już na terenie Arki. Nie sądzę, bym przeżył długo na Górze. Wstąpiłem do Arki jako młodzieniec, a w chwili obecnej jestem starcem niedomagającym na zdrowiu. Niemniej jednak mam nadzieję, że zdążę jeszcze w jakiś sposób pomóc ludziom, których napotkam na swej drodze.

Nie sądzę, by ktokolwiek za mną zatęsknił. Przez ostatnie lata padałem ofiarą surowego ostracyzmu i nazywano mnie słowami takimi jak „agitator” czy „dysydent”. Gdy nie przestawałem sprzeciwiać się priorytetyzowaniu Projektu Pandora, podważano nawet moją poczytalność, podczas gdy nadal uważam, że zaangażowane w niego zasoby należało lepiej wykorzystać, by ulżyć cierpieniom mieszkańców Góry oraz (...)

Ostatnie słowa Heatona pochłonęła plama pleśni zielonej niczym miedź. Sprężyny łóżka zatrzeszczały, gdy pochyliłam się, by ostrożnie odłożyć kartkę na miejsce.

– Mówimy tu o pojedynczej osobie – rzekła Zoe. – O jednym starym człowieku, który odszedł po wielu latach. Cóż on mógł zdziałać sam jeden na powierzchni?

– Może niewiele – powiedziałam. – Ale cieszę się, że spróbował. Przynajmniej tyle zrobił. Szkoda, że nie wiadomo, co się z nim stało.

Nie był to właściwy moment na domysły czy spekulacje, gdyż Kobziarz opadł już na kolana i zaczął przeszukiwać papiery rozłożone przed nim.

– Ciągłe wspominają ten „Projekt Pandora” – powiedział. – Znalazłaś jakieś

szczegóły na ten temat?

Pokręciłam głową.

– Tylko te wzmianki, które wam pokazałam. W istocie, hasło pojawia się dość często, co oznacza, że było dla nich ważne. Chronili go do ostatniej chwili, nawet gdy wszystko dookoła się waliło.

– A więc tego właśnie musimy szukać – powiedział Kobziarz.

Przez resztę dnia i większość nocy we czworo przeglądali uporządkowane przeze mnie papiery. Zostawiłam ich w sypialni, a sama zaczęłam pomagać Elsie, która zrywała nadpalony, poczerniały tynk na ścianie dziedzińca. Po tygodniach kucania na podłodze i ślęczenia nad papierami cieszyłam się, mogąc znów oddać się pracy fizycznej. Choć wkrótce miałam pył we włosach i brudne dłonie, miałam wrażenie, że to czystsza praca niż przebijanie się przez papiery pozostawione przez zmarłych.

Gdy wróciłam do sypialni, było już ciemno. Zoe i Simon już sobie poszli, a Kobziarz siedział przy oknie i układał stos dokumentów, które zamierzał ze sobą zabrać. Prowodyr siedział pod przeciwległą ścianą i wstał, gdy weszłam do środka.

– Chciałem ci to pokazać, zanim udam się do siebie – powiedział i pokazał mi kartkę, którą odłożył na bok.

Przejrzałam ją szybko. Był to jeden z raportów technicznych, który przeczytałam i odłożyłam na właściwą kupkę, rzędy liczb, które były dla mnie równie niezrozumiałe jak wykresy.

– Coś przeoczyłaś – powiedział i pokazał dół kartki, pokryty puszką pleśni. – Widzę tu kilka odręcznie napisanych słów. Ledwie da się je odczytać, ale bez wątplenia to jakaś informacja.

– Czekaleś tu tylko po to, by mi powiedzieć, że coś przeoczyłam? – najeżyłam się. – Nie widziałaś, przez ile dokumentów musiałam się przebić?

– Nie mam zamiaru cię krytykować – powiedział. – Sądziłem, że będziesz chciała to zobaczyć.

Wzięłam od niego kartkę i odczytałam ledwie zauważalny nagłówek: *Przesłuchania dyscyplinarne (r. 53, 10 wrz.)*.

– Czytałam to – powiedziałam. – Znalazłam kilka podobnych zapisków. To lista ich przestępstw oraz kar, podobna do rejestru przesłuchań członka Rady.

Pod nagłówkiem widniała lista nazwisk z komentarzem:

Upcher, J. Kradzież żywności z masy. Skazany na 6 miesięcy ograniczonych racji żywnościowych, przeniesiony do Sekcji D, gdzie wprowadzono limit korzystania z elektryczności.

Hawker, R. Korzystanie z elektryczności w trakcie ciszy nocnej. Skazany na 3

miesiące ograniczonych racji żywnościowych.

Anderson, H. Uniewinniony za zabójstwo. Skazany za stosowanie agresji. Przeniesiony na 6 miesięcy do służby cywilnej.

– Już ci mówiłam – oznajmiłam. – Czytałam to wszystko.

Prowodyr pokręcił głową.

– Przyjrzyj się uważniej. – Wskazał margines i obrócił stronę w poprzek.

Wtedy ujrzałam litery wypisane atramentem tak spłowiałym, że trudno go było odróżnić od pleśni. Musiałam przysunąć kartkę do lampy, by móc cokolwiek odczytać.

Zważywszy na to, że wszelkie nieautoryzowane próby opuszczenia Arki stanowią zagrożenie bezpieczeństwa dla całego obiektu, działania Andersona nie wykraczają poza uprawnienia oficera ochrony. Został jednakże ukarany za otwarcie ognia, podczas gdy powinien podjąć inne, subtelniejsze próby zatrzymania Heatona w chwili, gdy wszedł do głównego szybu wentylacyjnego. Komisja dyscyplinarna uznała, że Anderson słownie ostrzegł H., ale ustaliła też, że...

Reszta była już nieczytelna.

– Heaton nigdy nie wydostał się z Arki. – Prowodyr zabrał kartkę. – Powinniśmy byli się domyślić, że próbowali go zatrzymać. Znał przecież jej położenie. Wiedział, jak się z niej wydostać i jak do niej wrócić. Musieli być przerażeni na samą myśl o tym, że wpuści do środka hordy przybyszów z Góry.

– Mówisz, jakbyś zgadzał się z tym, co zrobili. Z morderstwem.

– Nigdy niczego takiego nie powiedziałem. Ale rozumiem sposób ich myślenia – odparł i ruszył w stronę drzwi. – Tak czy owak, miałem nadzieję, że będziesz chciała to zobaczyć.

– Żałuję, że mi to pokazałeś! – zawołałam w ślad za nim.

Prowodyr odwrócił się w drzwiach.

– Jak myślisz, co by się z nim stało, nawet gdyby wydostał się z Arki żywy? Przecież czytałaś raporty. Na powierzchni rozciągało się wówczas pustkowie, a mieszkającym tam ludziom ledwie udawało się przeżyć z dnia na dzień. Był starym człowiekiem i szybko zapadłby na jakąś chorobę lub umarł z głodu. Przynajmniej jego śmierć okazała się szybka. Przypuszczam, że ci ludzie mieli skuteczną broń.

Mówił o śmierci ze swobodą i obojętnością, jakby była to rzecz równie neutralna jak patrol czy pogoda.

– Wiem, że najprawdopodobniej by nie przeżył – powiedziałam. – Sęk w tym, że on również o tym wiedział, a mimo to podjął próbę.

Przypomniało mi się to, co powiedział mi Kobziarz przed bitwą, gdy sądziliśmy, że nie mamy szans na zwycięstwo. „To nadzieja” – rzekł.

– Sama powiedziałaś, że chciałybyś się dowiedzieć, co się z nim stało. – Prowodyr wzruszył ramionami, a potem uniósł dłoń ku mojej twarzy. Przez chwilę dotykał mojego policzka. Nie dotykał mnie od incydentu w biurze poborcy podatkowego, kiedy to złapał mnie za nadgarstek. Cofnęłam się gwałtownie. Prowodyr spojrział na swą dłoń, jakby należała do obcego człowieka. Na jego twarzy widniał niesmak, podobnie zresztą jak na mojej. Po chwili znikł w ciemnościach dziedzińca.

Gdy wróciłam do sypialni, nadal przyciskając dłoń do policzka, zastałam tam Kobziarza, który wciąż zajęty papierami niczego nie zauważył.

Tej nocy, po jego wyjściu, nie śniłam jednak o Prowodyrze, lecz o Heatonie. Prawda, pomyślałam, że chciałabym poznać jego los. Musiałam się też pogodzić z tym, że jego śmierć przypuszczalnie była łatwiejsza i mniej bolesna od powolnego zgonu, który czekał na niego na zatrutej promieniowaniem, pozbawionej żywności powierzchni. Mimo to żałowałam, że dowiedziałam się o tym, co go spotkało. Chciałabym móc wyobrazić sobie, jak wspina się w szybie, odrzuca właz na górze i widzi światło, które przenika przez chmury popiołu, a potem wychodzi na świat.

Rozdział dwudziesty ósmy

Kobziarz wrócił o świcie. Nie spałam już – nie udało mi się zresztą zaznać snu przez większość nocy, gdyż wizje Wybuchu wybudziły mnie niedługo po dwunastej. Leżałam nieruchomo i usiłowałam ugasić płomienie, które wciąż buchały w mojej głowie. Usłyszawszy kroki na dziedzińcu, odruchowo chwyciłam za nóż spoczywający pod poduszką.

– To ja – rzekł Kobziarz i zatrzasnął za sobą drzwi. Miał opuchnięte oczy i ciemne plamy pod nimi.

– Spałeś w ogóle? – spytałam, siadając i spuszcżając nogi na podłogę.

– Myślę, że jestem w stanie ją znaleźć – odparł. – Arkę. Popatrz.

Chciał mi podać jakiś arkusz, ale machnęłam dłonią i chwyciłam za bluzę.

– Daj mi się przynajmniej ubrać! – zaprotestowałam. – Arka trwa w ukryciu od czterystu lat i nigdzie się nie wybiera.

Było tak zimno, że po ubraniu się narzuciłam koc na ramiona, gdy przykucnęłam nad papierami, rozłożonymi przez niego na podłodze.

– O, tutaj – powiedział Kobziarz i podsunął mi arkusz.

Nie było na nim daty, ale zgrabne rzędy wydrukowanych liter sugerowały, że raport sporządzono we wczesnych latach funkcjonowania Arki. Był to dziennik którejś z ekspedycji, mierzącej poziomy promieniowania na powierzchni.

– Spójrz na pierwszą kolumnę – rzekł.

Nagłówek brzmiał: „Pomiary promieniowania wykonywane co milę od wejścia nr 1”. Listę pozycji znajdujących się poniżej otwierały: „Zachód 1”, „Zachód 2”, „Zachód 3”. I tak przez całą stronę.

– A potem się urywają – rzekł Kobziarz. – Ostatnia pozycja to „Zachód sześćdziesiąt jeden”. Niemniej na tej kartce – dodał, podając mi inny arkusz, zapisany w podobny sposób – inna ekspedycja dociera znacznie dalej. Zapisy kończą się na „Wschód dwieście czterdzieści”.

– No i? Może ci idący na zachód musieli wcześniej zawrócić. Może nie zaplanowali dalszej trasy. Może natknęli się na wrogich tubylców i musieli sobie odpuścić?

Kobziarz pokręcił głową.

– Na pewno się nie spieszyli, bo w drodze powrotnej również wykonywali pomiary. Spójrz na trzecią kolumnę – powiedział i spojrzał na mnie. – Zatrzymali się, gdyż natrafili na wybrzeże.

– Okej – powiedziałam i przetarłam oczy z resztek snu. – Załóżmy, że masz rację. W jaki sposób miałyby to nam pomóc? Że niby Arka znajduje się sześćdziesiąt mil od wybrzeża? Ale w którym miejscu? Przecież ono ciągnie się na sześćset mil!

– Spójrz tylko tu. – Kobziarz przerzucił poukładane przez siebie papiery

i podał mi kolejny. – Chodzi mi o ten fragment na dole, ten o wodzie.

Miałam przed sobą jeden z regularnych raportów Arki, w którym mowa była o stanie zasobów, wybuchach chorób i problemach związanych z prowadzeniem podziemnego kompleksu.

R. 3, 9 sierp. Sprawozdanie dotyczące stanu zasobów i infrastruktury, sporządzone po spotkaniu komitetu zarządu

Woda pitna: przy obecnym spożyciu zapas w zbiornikach powinien wystarczyć na przynajmniej 26 miesięcy, co jest krótszym okresem, niż przewidywano, ze względu na pęknięcie zbiornika nr 7 podczas wybuchów. Po upływie tego czasu będziemy musieli polegać na zewnętrznych źródłach wody. System filtracji dla źródeł zewnętrznych jest w dobrym stanie. Usunięcie popiołu i osadów doprowadziło do znacznego obniżenia poziomu promieniowania, który spadł poniżej pomiarów pobranych przez ekspedycję nr 4 przed filtrowaniem, ale nadal jest wyższy niż...

Spojrzałam na niego.

– Mieli dostęp do wody pitnej. A więc byli gdzieś blisko jakiejś rzeki czy strumienia?

– Było tam ponad tysiąc ludzi. To musiałoby być całkiem spore źródło wody.

– Dobra, a więc szukamy rzeki, która przepływa jakieś sześćdziesiąt mil od wybrzeża. Nadal niewiele nam to mówi.

Kobziarz jednakże już wyciągał kolejny arkusz, tym razem przedarty na pół.

R.18, 18 kw.

Raport ekspedycji nr 23 sporz. po rekonesansie badającym możliwości przyszłego osadnictwa.

Kobziarz nie czekał, aż przeczytam całość, i wskazał mi fragment przy urwanej części.

– Tu. Skup się na tym.

Zważywszy na to, że poziom skażenia nie opada w oczekiwanym przez nas tempie, wszelkie próby osadnictwa na powierzchni powinny mieć miejsce w bezpośrednim sąsiedztwie Arki. Osadnicy bowiem powinni mieć nadal dostęp do systemów Arki, zwłaszcza systemów filtracji wody oraz

(...) lokalizacja Arki, choć zapewniła możliwie najmniejsze uszkodzenia podczas wybuchów, nie sprzyja osadnictwu. Ilasta gleba, która idealnie nadawała się do prowadzenia głębokich wykopów, nie jest odpowiednia dla rolnictwa (...)

– Teraz przewróć stronę – polecił mi Kobziarz.

Choć zachowałam największą ostrożność, kawałki papieru, wirując, opadły na ziemię.

– Nic tu nie ma – powiedziałam. – Tylko plama.

W istocie, nie widziałam tam niczego poza spłowiałym brązowym śladem u dołu kartki, przywodzącym na myśl wyschniętą, rozlaną herbatę.

– Też tak z początku pomyślałem – rzekł. – Ale wtedy naszło mnie pytanie, dlaczego nie wykorzystano tyłu kartki. Przecież ludzie z Arki nie marnowali ani skrawka. Mieliby przeoczyć całe pół strony?

Pochyliłam się niżej i wtedy odkryłam stykające się ze sobą warstwy przebarwienia, zaczynające się od lewej.

– To rysunek – oznajmił Kobziarz, który wyciągnął ramię ponad moim barkiem i obrócił kartkę na bok.

Teraz dopiero mnie olśniło. Owe plamy nie były wcale plamami, ale sięgającymi ku niebu górami.

– Nie ma ani jednego takiego samego – rzekł, wskazując techniczne wykresy, które zgromadziłam na jednym z łóżek. – Nie ma tu wielu szczegółów i na pewno nie narysowano go po to, by zrozumieć, jak coś działa. Przywodzi na myśl rysunki, które moi rodzice wieszali na ścianach domu.

„Ciekawe, kto to narysował” – pomyślałam i spróbowałam wyobrazić sobie członków ekspedycji na powierzchnię, chcących zabrać do Arki kawałek świata, który utracili na długo.

– Spójrz – rzekł Kobziarz i raz jeszcze pochylił się, by wskazać coś na rysunku. Poczułam ciepło jego ciała, gdy jego ramię oparło się o mój bark. Wystarczył dotyk Prowodyra, by moje ciało wstrząsnął dreszcz niechęci, ale bliskość Kobziarza była dla mnie czymś równie znajomym jak ciężar plecaka na moich ramionach czy faktura koca otulającego mi szyję.

– Widzisz tę górę? – spytał. – Tę, której szczyt wydaje się nieco przesunięty na bok? To Pęknięta Góra widziana z zachodu. Obok widnieje kolejna, która wyrasta z płaskowyżu – to na pewno góra Alsop. ^[P]_[SEP]Odwróciłam się, by spojrzeć na jego twarz. Uśmiechał się szeroko, a ja byłabym gotowa przysiąc, że od dawna nie widziałam u niego czegoś takiego.

– Na zachód od Gór Grzbietowych ciągnie się pewna równina, mniej więcej osiemdziesiąt mil drogi na północny zachód stąd. Przecina ją rzeka Pelham. Widok z niej zgadza się z tym, który został tu uwieczniony. Zgadza się również wiele innych szczegółów, jak choćby odległość od morza czy gliniaste podłoże.

Pamiętałam wszystkie mapy, które wisiały na ścianach jego niewielkiej, prowizorycznej komnaty na Wyspie, a wiedziałam, że nim przystąpił do ruchu oporu, przez wiele lat podróżował z Zoe. Znał nasze ziemie o wiele lepiej ode

mnie. Nie była to chaotyczna wiedza wizjonerki, ale dokładna, solidna znajomość rzeczy zebrana przez lata niełatwych wędrówek. Kobziarz znał najbezpieczniejsze ścieżki w pilnie strzeżonych łańcuchach górskich, wiedział, które z przybrzeżnych jaskiń są zalewane podczas przyływu, pamiętał najdogodniejsze ścieżki biegnące przez bagna.

– Gdybym cię tam zaprowadził, czy umiałabyś odnaleźć Arkę?

– Będzie pod strażą – odparłam.

– Nie o to pytałem. Będziesz umiała ją zlokalizować?

Zamknęłam oczy. Gdy szukałam Wyspy, jawiła mi się ona jako latarnia w oddali, jak światło, za którym należy podążać. Arkę czułam zupełnie inaczej. Wydawała mi się ciemnością, czernią tak doskonałą, że nie byłam nawet w stanie obrać ku niej właściwej drogi. Mój umysł instynktownie wzdragał się przed nią, ale raz jeszcze zmusiłam go, by skierował się ku niej. Spróbowałam wyobrazić sobie równinę wraz z rzeką oraz górujące nad nimi szczyty. I wtedy poczułam pierwsze delikatne szarpnięcie, łagodne, ale niepokojące niczym ruchy owada pełzającego mi we włosach. Coś czekało na mnie w tym pogrzebanym miejscu, gdzie zamierzaliśmy zapytać kości o to, co pamiętały...

Pokiwałam głową. Kobziarz odpowiedział tym samym.

– A więc wyruszamy dziś.

Zapukałam do drzwi Elsy. Ta otworzyła je pospiesznie, zdążywszy po drodze narzucić chustę na nocną koszulę. Gdy powiedziałam jej, że wyjeżdżamy, nie zadała mi żadnych pytań, jedynie przyciągnęła mnie do siebie i przytrzymała mocno. Czułam ciepło jej skóry i lekki zapach potu, czułam jej dłonie, wciąż pachnące czosnkiem. Żadna z nas nie powiedziała ani słowa o kolejnym spotkaniu. Nie wierzyłyśmy już w tanią pociechę, jaką dają słowa.

Pozostali czekali na nas w biurze poborcy podatkowego.

– Przygotowałem trzy najlepsze konie – oznajmił Prowodyr. – Będą na was czekać przy bramie. Chciałem wam też przydzielić zbrojną eskortę, ale Kobziarz się nie zgodził.

– I słusznie – powiedziałam szybko. – We trójkę będziemy podróżować szybciej i nie ściągniemy na siebie tak wielkiej uwagi.

Zaskoczyło mnie to, że Prowodyr nie nalega. Wiedziałam, że nam nie ufa i nie podoba mu się wyprawa w poszukiwaniu Arki. Pochylił się niżej i powiedział cicho, bym tylko ja to usłyszała:

– Sądzisz, że marnowałbym oddział wojska tylko po to, by mieć pewność, że mnie nie zdradzisz? – Pokręcił powoli głową. – Pamiętaj, że mam tu całe miasto, Cass. Mam twą Elsę, Xandera i Sally. Zastanów się dwa razy, jeśli przyjdzie ci do głowy zdrada albo wypuszczenie kolejnych maszyn, które mogłyby stworzyć dla

nas jeszcze większe zagrożenie.

Jego groźby były zawoalowane, ale wystarczyło mi to, że usłyszałam imiona ludzi, na których mi zależało. Prowodyr się wyprostował.

– Uważajcie na siebie – powiedział głośniejsze.

Dla innych świadków tej rozmowy jego słowa zabrzmiały zapewne jako błogosławieństwo, ale ja znałam prawdę.

Weszła Sally, ściągając chustę z głowy.

– Właśnie rozmawiałam z ludźmi z patrolu, który wrócił o świcie – powiedziała. – To samo co wczoraj. Dym na południu i kolejni napotkani ludzie Rady. Trzymają się z dala od miasta, ale gdzieś tam są, a jest ich coraz więcej. Lepiej zaczekajcie, aż zacznie padać śnieg. Łatwiej się prześlizgniecie niespostrzeżeni.

Wyjrzałam przez okno. Chmury nad naszymi głowami były szare i gęste, ale nie padało od dwóch dni, a pokrywa śnieżna na drogach i ścieżkach zamieniła się w breję. Kobziarz również spoglądał na zewnątrz.

– Lucia miała prawdziwy dar do przepowiadania pogody – powiedział.

Zerknęłam na niego, ale nie odwrócił się od okna. Rzadko ją wspominał, a gdy do tego dochodziło, mówił miękko, łagodnym głosem.

– Powiedziałyby nam, kiedy spadnie śnieg – dodał.

– Cóż, ale nie ma jej tu z nami. – Słowa Zoe spadły niczym cios topora i przecięły wypowiedź Kobziarza.

Rozpadało się na dobre dopiero po zachodzie słońca. W ciemnościach wirowały grube płatki bieli, gdy szykowaliśmy się do wyruszenia w drogę. Nie było czasu na długie pożegnania. Sally objęła Kobziarza i Zoe, a potem uściśliła moje ramię, co całkiem mnie zaskoczyło. Xander nie odsunął się od okna, przy którym przyglądał się gęstym śnieżynom, wirującym wśród podmuchów wiatru. Nie odwrócił się też, gdy do niego podeszłam. Opierał podbródek o parapet, a jego oddech zamieniał się w mgiełkę na szybie i zamazywał jego odbicie.

Rozmawialiśmy o tym, czy go nie zabrać ze sobą – wszak to on pierwszy wykrył obecność Arki – ale wiedzieliśmy, że z nim oraz oczywiście z Sally trudno by było wymyknąć się patrolom Rady czy szybko przemieszczać się z miejsca na miejsce, nie mówiąc już o przeniknięciu przez liczne straże wokół Arki.

– Musimy ruszać – powiedziałam do niego. – Nie możemy cię niestety zabrać.

– Chcecie odnaleźć „Rosalind”? – spytał.

Było to najsensowniejsze zdanie, jakie wygłosił od wielu tygodni. Nie miałam serca, by powiedzieć mu o odrąbanej głowie z galionu statku, która leżała teraz gdzieś na wschodniej drodze, ani o załodze okrętu żeglującej ku wieczności

w zbiornikach Rady.

– Szukamy Arki – odparłam. – Labiryntu kości.

Jeśli zrozumiał moje słowa, nie dał tego po sobie poznać.

– Przykro mi – dodałam cicho.

Naprawdę się tak czułam i wcale nie dlatego, że go zostawialiśmy, gdyż nie mieliśmy innego wyjścia, lecz dlatego, że go unikałam. Żałowałam, że jego umysł rozbudza szaleństwo w moim i że nie znalazłam w sobie odwagi, by spędzić z nim więcej czasu.

Teraz, gdy patrzył na spadający śnieg, wydawał się spokojniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Dotknęłam jego dłoni, odwróciłam się i odeszłam.

– Wieczny ogień – szepnął.

Jego słowa zabrzmiały jak obietnica.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Gdy zarzuciłam plecak na plecy, coś zabrzęczało w środku, a potem ukuło mnie w ramię. Nie mieliśmy pojęcia, czego się spodziewać w Arce, więc spakowaliśmy latarnię i kilka słoików oliwy, a także jedzenie, wodę i koce. Sally, Simon oraz Prowodyr patrzyli, jak ruszamy w śnieżną krainę.

Na skrzyżowaniu blisko bramy czekał na nas Crispin oraz pięciu innych żołnierzy Simona. Trzymali wodze przeznaczonych dla nas koni. Kobziarz zamienił z Crispinem kilka słów na osobności, poza zasięgiem słuchu reszty z nas, a potem skinął głową i wrócił do Zoe.

– Wyruszymy z patrolem Crispina – powiedział. – Jeśli jesteśmy pod obserwacją ludzi Rady, nie zwrócimy na siebie niczyjej uwagi. Nie rozmawiajcie z nikim o celu naszej wyprawy.

Wskoczyliśmy w siodła i wyjechaliśmy przez wschodnią bramę. Z chwilą, gdy znaleźliśmy się poza murami, natarł na nas śnieg i byłam zmuszona owinąć szalem twarz aż po oczy. Przez dziesięć minut jechaliśmy z Crispinem główną drogą na wschód, a potem skręciliśmy na południe, by zatoczyć szeroki łuk wokół miasta. Na murach płonęły pochodnie, z których każda oświetlała drobny fragment dookoła. W wieżach strażniczych paliły się lampy. Krąg światła otaczający miasto sprawił jedynie tyle, że ciemność dookoła wydawała się jeszcze gęstsza.

W pewnym momencie wydawało mi się, że czuję dym. Crispin wskazał południe.

– Kilka mil stąd znajduje się obóz ludzi Rady – rzekł. – Jest ich tam przynajmniej setka. Nasi obserwują ich od tygodnia.

Jedynym dowodem na prawdziwość jego słów był słaby posmak dymu w śnieżycy.

– Prowodyr wraz z Simonem planują wkrótce atak – dodał Crispin.

Pokiwałam głową. Wycieczka była sensownym wyborem – trzeba było atakować, nim dotrze tu więcej ludzi Rady i miasto zostanie otoczone – niemniej na samą myśl o kolejnej bitwie zrobiło mi się niedobrze. Powoli uczyłam się, jak działa przemoc. Wiedziałam już, że nie da się jej powstrzymać ani opanować. Szerzyła się ciągle niczym epidemia ostrzy.

W ciszy objechaliśmy miasto od południa, pozostawiając po lewej upiorny, spalony las. Gdy skręciliśmy ku północy, usłyszałam muzykę. Natychmiast porwał ją wiatr, a gdy stanęłam w strzemionach i rozejrzałam się, uświadomiłam sobie, że pozostali jadą przed siebie obojętnie, jakby nic się nie stało. Kolejne dźwięki opadały na mnie ze wszystkich stron niczym płatki śniegu. Zwróciłam na to uwagę Kobziarzowi, ale ten powiedział, że niczego nie słyszy. Uświadomiłam sobie wówczas, że nie słyhać nic poza wiatrem i stukotem kopyt. Muzyka grała jedynie w mojej głowie.

Mieliśmy przekroczyć główną drogę, która biegła z Nowego Hobartu na zachód. Crispin, który jechał na czele oddziału, uniósł dłoń, by nas zatrzymać. Ktoś na nas czekał pod samotnym dębem przy drodze. Ludzie Crispina utworzyli najeżone bronią półkole. W ciemności i śnieżycy trudno było dostrzec, z kim mamy do czynienia. Wydawało mi się, że to jakaś rzeźba, ale wnet odkryłam, że znajduje się nad ziemią, a ponadto kołysze się z wiatrem. Oszołomiona pomyślałam, że widzę latającego człowieka lub ducha któregoś z poległych w bitwie, lecz kolejny podmuch wiatru rozpędził na moment śnieżycę i wtedy odkryłam, że to człowiek zwisający z gałęzi.

Jego kark był złamany pod kątem, którego z niczym nie dało się pomylić. Crispin i dwóch jego towarzyszy podjechało bliżej, płosząc trzy wrony siedzące na gałęzi. Chciałam ruszyć w ślad za nim, ale Kobziarz uniósł rękę, by mnie zatrzymać.

– Zostań – rzucił. Trzymał już w ręku nóż, a Zoe i pozostali rozglądali się czujnie dookoła.

– To jakiś Omega! – zawołał Crispin. – Nie było go tu podczas ostatniego objazdu, ale nie widać żadnych śladów. Powiesili go pewnie około zachodu słońca, przed śnieżycą.

Konie zaraziły się naszym niepokojem i parsknęły, bocząc się na siebie.

– To sygnał – rzekł Kobziarz. – Zostawili go tu po to, by nasi go znaleźli.

– Muszę go zobaczyć – oznajmiłam.

– A chciałybyś znów zobaczyć więzienie Rady od środka? – parsknęła Zoe. – Bo tam właśnie trafisz, jeśli nie będziesz nas słuchać. Od murów dzieli nas mila i to równie dobrze może być zasadzka!

Zignorowałam ją i popędziłam konia do przodu. Kobziarz, który ruszył za mną, krzyczał, ale go nie słuchałam. Już wiedziałam, co słyszę w głowie – była to pieśń o przytułkach. Z każdym przebytym metrem muzyka brzmiała coraz gorzej, jakby ktoś grał na rozstrojonej gitarze.

Wiszącym człowiekiem był Leonard. Jego gitarę roztrzaskano, a potem znów założono mu na plecy. Gryf wystający zza ramion sprawiał, że wyglądał jak upiorny strach na wróble. Gdy wiatr go obrócił, ujrzałam ręce związane na plecach. Niektóre palce sterczały pod dziwnym kątem. Nie wiedziałam, czy zostały połamane w walce, podczas tortur, czy może ciało po prostu zeszywniało z mrozu. Nie chciałam tego wiedzieć.

Kobziarz i Zoe ubezpieczali mnie po obu stronach. We trójkę patrzyliśmy na Leonarda, jak wiatr znów obrócił go do nas plecami. Czułam w sobie wielki żal, nie z powodu tego, że jego ciało zostało okaleczone, ale dlatego, że w jego głowie pozostało tyle niezagranych nut, tyle niewyspiewanych słów.

– Trzeba go zdjąć – powiedziałam.

– To niebezpieczne – rzekł Kobziarz. – Wokół roi się od żołnierzy Rady.

Musimy się odłączyć od patrolu i ruszać w drogę.

Zignorowałam go. Zsunęłam się z siodła i owinęłam wodze wokół niskiej gałęzi, bym mogła przystąpić do rozwiązywania jego dłoni. Węzeł był gruby i nie poddawał się łatwo. Włókna tarły o siebie, gdy próbowałam je rozsypać. Ich przenikliwe trzeszczenie szarpało mi nerwy o wiele skuteczniej niż dotyk zimnego ciała.

– Możecie zabrać jego ciało do Nowego Hobartu i sprawić mu porządną pochówkę? – zawołałam do Crispina, który nadal uważnie przyglądał się drodze na zachód. Ten pokręcił głową.

– Mamy wystarczająco dużo ciał, którymi trzeba się zająć. Jesteśmy patrolem zwiadowców, a nie grabarzami. Poślę człowieka do miasta, by złożył raport. Dwóch innych rozejrzy się po okolicy, a reszta musi kontynuować patrol.

– Dobra – odparłam. – Sama go pochowam.

– Nie mamy na to czasu – syknęła Zoe.

Ignorując ją, nadal zmagaliśmy się z węzłem za plecami barda. Gdy w końcu uporałam się ze sznurem, dłonie Leonarda nie opadły na dół, zeszywniałe lub zamrożone. Nie byłam w stanie dosięgnąć liny, na której wisiał. Podskoczyłam parokrotnie, próbując ciachnąć ją sztyletem, ale udało mi się jedynie wystraszyć konia i wprawić ciało Leonarda w obroty.

– Poszłoby mi szybciej, gdybyście pomogli – powiedziałam do Kobziarza. – Będziecie tu stać i się przyglądać?

– Nie ma czasu na wykopanie porządnego grobu – odparł. – Odetniemy jego ciało, ale potem ruszamy w dalszą drogę.

– Dobrze – odparłam zdyszana.

Zrobiliśmy wszystko, na co było nas stać. Złapałam ciało Leonarda, a Kobziarz ciął linę z wysokości siodła. Potem razem powoli opuściliśmy go na ziemię, choć jego ciężar sprawił, że moje nie do końca zagojone ramię przeszył nowy ból. Zoe przytrzymała konia Kobziarza, gdy ten zeskoczył z siodła i zdjął gitarę z szyi barda. Drewno trzeszczało, drzazgi pękały. Pochyliłam się nad jego ciałem, by poluzować pętlę, zaciśniętą na jego szyi. Przecięłam ją w końcu, a wtedy ujrzałam, że ciało pod nim było ciemnofioletowe, trwale odkształcone przez sploty liny.

Wspólnie zanieśliśmy go do rowu z boku drogi. Gdy kładliśmy go na ziemię, ciało barda nagle zgięło się w talii z trzaskiem. Każda kolejna minuta spędzona na trawieniu stanowiła ryzyko i w istocie nie mieliśmy czasu na należyte pochówkę. Do dyspozycji mieliśmy tylko własne dłonie, a ziemia była zamrożona. Skończyło się na tym, że odcięłam kawałek koca i zakryłam nim jego twarz, ciesząc się w duchu, że nie miał oczu, które należałoby zamknąć. Już mieliśmy ponownie wsiąść na koń, gdy podbiegłam do drzewa i podniosłam potrząskaną gitarę, zostawioną tam przez Kobziarza. Pozbierałam wszystkie elementy i ułożyłam je obok martwego barda

w rowie.

Skierowaliśmy się na północ z Crispinem i dwójką jego ludzi, którzy z dala kontynuowali objazd miasta, ale po przejechaniu pół mili Kobziarz zawrócił konia na zachód, a ja i Zoe udałyśmy się w ślad za nim. Pozostali nawet nie zwolnili, choć Crispin odwrócił się i uniósł dłoń.

– Szerokiej drogi – powiedział.

Kobziarz odpowiedział tym samym gestem, a potem popędziliśmy przed siebie.

Gnaliśmy w śnieg i w ciemność. Miałam wrażenie, że podróżujemy na oślep, i myślałam o Leonardzie oraz jego wiecznie ciemnym świetle. Mój koń dwukrotnie prawie wywrócił się w śniegu. W pewnym momencie wyczułam jakichś ludzi niedaleko nas. Skryliśmy się wówczas w niewielkiej rozpadlinie, dziękując losowi za śnieżycę, która maskowała nasze ślady. Chwilę później naszą kryjówkę minął oddział jazdy.

Nadal pędziliśmy na zachód, aż zrobiło się na tyle jasno, by móc dojrzeć skaliste wąwozy na północy. W południe zbliżyliśmy się już do wzgórz ciągnących się u podnóża Gór Grzbietowych. Śnieg, z którego tak się cieszyliśmy w nocy, zamienił się w lodową skorupę. Konie, choć zmęczone, stąpały z wahaniem i płoszyły się co chwila. Kilkakrotnie musieliśmy zsiadać i prowadzić je za sobą.

Nie przestawałam myśleć o tym, co powiedział Kobziarz: Lucia miała prawdziwy dar do przepowiadania pogody. Po raz pierwszy z własnej woli poruszył temat nieżyjącej wizjonerki. Zazwyczaj z Zoe omijali jej imię, jakby to był kolczasty krzak, ale gdy Kobziarz wspomniał jej imię w biurze poborcy podatkowego, siostra warknęła na niego ze złością. Dobrze pamiętałam ciężkie spojrzenia, jakimi się wymieniali za każdym razem, gdy ktoś wspominał imię Lucii. Gdy Xander o nią spytał, Zoe aż zeszywniała, a głos Kobziarza był ciężki od żalu, gdy powiedział: „Lucii już nie ma”.

Z Arką sytuacja przedstawiała się podobnie – przez cały czas pozostawała w naszej świadomości, ale była skryta głęboko pod powierzchnią. Nagle zrozumiałam, jakimi uczuciami Kobziarz ją darzył, i czułam, że wszystko zaczyna mi się układać w głowie. Zrozumiałam, dlaczego tak szybko przekonał się do mnie na Wyspie. Rozumiałam, dlaczego chciał mnie uwolnić pomimo decyzji Zgromadzenia. To nie mnie tak bardzo polubił, ale wspomnienia o Lucii.

Zrozumiałam również postawę Zoe. Wiedziała już, skąd się biorą jej wrogość i frustracja wywołana moimi wizjami. Była cicha i bezbronna nawet w towarzystwie okaleczonego Xandera.

Przez całe życie Kobziarz i Zoe nie odstępowali siebie ani na krok. Znałam tę więź, gdyż miałam identyczną z Zachem, zanim zostaliśmy rozdzieleni. O ile

silniejsza musiała być ona w ich przypadku po tym, jak postanowili zostać ze sobą, choć Kobziarz został naznaczony i odesłany. Zwłaszcza dla Zoe – przecież to ona dokonała wyboru i porzuciła rodziców, a wraz z nimi wygodne życie Alfya. Wybrała go, choć skazała się tym do końca życia na los uciekinierki. A po tym wszystkim Kobziarz postanowił ją porzucić. Nie dość, że uciekł na Wyspę, gdzie nie mogła mu towarzyszyć, to jeszcze zbudował o wiele bardziej intymną więź z kimś innym. Doskonale rozumiałam, dlaczego Zoe może nadal mieć do niego żal. Wiedziałam z własnego doświadczenia, że istniały różne rodzaje intymności, niekiedy równie wiążące jak ta, która łączy kochanków. Pamiętałam wyraz twarzy Zoe, gdy przez przypadek natknęłam się na nią, jak z zamkniętymi oczami słucha pieśni barda przy strumieniu. Była to jak dotąd jedyna sytuacja, w której widziałam ją całkiem bezbronną. Na twarzy, którą unosiła ku niebu, malowała się samotność. Nim na mnie warknęła i odeszła, opowiedziała mi o tym, jak w dzieciństwie zakradali się z Kobziarzem, by posłuchać muzyki bardów.

Po zapadnięciu zmroku zatrzymaliśmy się w niewielkim zagajniku, który przecinał strumień, zamarznięty na brzegach. Przywiązaliśmy konie i zdołaliśmy jakoś rozpalić ogień, choć nagie gałęzie drzew stanowiły kiepską zasłonę przed śniegiem.

Chciałam porozmawiać o swoim odkryciu, ale odczekałam, aż wszyscy zjemy. Zoe siedziała obok mnie i trzymała dłonie w rękawiczkach tak blisko płomieni, że czułam swąd przypalanej wełny. Kobziarz był odwrócony plecami do nas i patrzył na drzewa.

– Wiem, jak człowiek się czuje, gdy wiele go łączy z bliźniakiem – powiedziałam do Zoe. – Wiem też, że żadna para bliźniąt nie ma tak mocnej więzi jak wy.

– O co ci chodzi? – Zoe roztrąciła palące się bierwiona długim kijem. Iskry strzeliły w górę, ale szybko pochłonęła je ciemność.

– Rozumiem, że nie było ci łatwo – ciągnęłam. – Przecież zawsze polegaliście na sobie nawzajem.

– Ten twój monolog ma jakiś cel? – Zoe nie wypuszczała patyka. Jego koniec zajął się ogniem i uniosła go wysoko niczym pochodnię.

– Rozumiem już teraz, o co chodziło z Lucią.

Zoe uniosła brew. Kobziarz odwrócił się ku nam tak szybko, że jego noże zabręczały przy pasie. Ja zaś czekałam. Słowa, które chciałam wypowiedzieć, były niczym kamienie, a ja ostrożnie badałam ich ciężar, zanim zaczęłam nimi ciskać.

– Jesteś zazdrosna – powiedziałam do Zoe. – Bo Kobziarz ją kochał. Nie chciałaś się z nim dzielić i dziś też tego nie chcesz. Nie jesteśmy kochankami z Kobziarzem, ale źle znosisz towarzystwo kolejnej wizjonerki, prawda? To dlatego bez przerwy na mnie warczysz i ciągle mnie krytykujesz.

– Cass... – Kobziarz wstał i podszedł do nas. Jego głos był wyważony. – Ty nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Zoe rzuciła płonący patyk, który wylądował obok mojej stopy, wciąż się żarząc. Kobziarz pochylił się i wrzucił go do ognia. Miałam wrażenie, że Zoe zaraz mnie uderzy, ale ta pokręciła zaledwie powoli głową.

– Myślisz, że rozumiesz moje życie? Myślisz, że rozumiesz mnie i Kobziarza? To, że wrzeszczysz przez sen o Wybuchu, nie daje ci wglądu w naszą sytuację.

Pochyliła się bliżej mnie. Cedziła słowa powoli i wyraźnie.

– Jesteś żalсна. Uważasz się za osobę mądrą i szczególną, jakże lepszą od Xandera i Lucii. Nie mogę się doczekać, aż się zapędzisz w swoich wizjach i postradasz resztki rozumu. Twoje towarzystwo jest o wiele trudniejsze do wytrzymania od Xandera, bo on przynajmniej nie uważa się za nikogo szczególnego, a przy tym czasami zamyka gębę.

Musiała podnieść głos, by przekrzyczeć wiatr.

– Nienawidziłaś jej tak bardzo jak mnie? – spytałam. – Założę się, że byłaś szczęśliwa, gdy umarła. Mogłaś mieć wówczas twego cennego Kobziarza tylko i wyłącznie dla siebie.

Dłoń Zoe przesunęła się w stronę pasa.

„Ciekawe, czy rzuci nożem? – pomyślałam. – Ciekawe, po czyjej stronie stanie Kobziarz, jeśli dojdzie do walki?”

Tymczasem Zoe odwróciła się ode mnie i odeszła. Odprowadzałam ją wzrokiem do chwili, gdy pochłonął ją mrok i nie widziałam nic poza blaskiem ognia tańczącym na pniach drzew. Kobziarz również zrobił kilka kroków, jakby chciał pójść za nią.

– Przepraszam! – zawołałam w ślad za nim. – Jest mi przykro, ale nie przez to, co jej powiedziałam. Zbierało mi się od miesiący. Przykro mi z twojego powodu – urwałam. – Wiem, jakie to trudne. Przykro mi, że straciłaś Lucię.

– Nie wiesz, o czym mówisz – odparł.

– Straciłam Kimę. Gdybyś opowiedział mi o Lucii, zrozumiałabym. Niby chcesz, byśmy byli blisko siebie, ale nigdy nie zajaknąłeś się nawet słowem o niej. Czekałeś, aż sama to rozgryzę.

Ze wszystkich reakcji, jakich się spodziewałam, ta zdecydowanie była najmniej oczekiwana. Patrzył na mnie przez chwilę, a potem parsknął śmiechem. Odchylił głowę i śmiał się do rozpuku, aż podskakiwało mu jabłko Adama. Nie miałam pojęcia, jak zareagować. Czy on kpił z Kimy? Szydził z mojego porównania? Uważał, że jego strata jest o wiele większa od mojej? Jego śmiech niósł się echem wśród drzew, aż miałam wrażenie, że nawet płomienie ogniska ze mnie drwią.

W końcu opuścił głowę i odetchnął.

– Nie powinienem się śmiać – rzekł i otarł oczy dłonią. – Ale dawno już nie miałem powodu.

– Ale co w tym śmiesznego? Lucia i Kima nie żyją.

– Wiem o tym – odparł. Zmarszczki wokół oczu znikły, gdy przestał się uśmiechać. – I w istocie nie ma w tym nic śmiesznego. Ale wszystko wyglądało inaczej, niż myślisz.

– No to opowiedz mi o tym.

– Nie mogę mówić za Zoe. Wiesz, jaka ona jest.

– Najwidoczniej chyba nie wiem. Wszystko biorę na opak.

– Wiem, że nie miałaś złych intencji, ale mimo to musisz się jakoś z nią dogadać – rzekł, a potem udał się na punkt obserwacyjny.

Zostałam sama przy ogniu.

Postawiliśmy płócienny namiot przy drzewie, by osłonić się przed padającym śniegiem. Wpełzłam do środka, ale nie zasnęłam, póki Zoe nie powróciła po północy. Wślizgnęła się bez słowa i ułożyła obok mnie. Czułam jej dreszcze, gdy zasypiała.

Śniła o morzu. Przez ostatnie tygodnie spałyśmy z dala od siebie, gdyż nocowałam w sierocińcu, ale teraz nie miałyśmy wyboru. Znowu dzieliłyśmy posłanie, a ja dzięki temu zaczęłam ponownie widzieć jej sny, regularne niczym przyływy. Być może to dzięki temu zrozumiałam swój błąd. Gdy Kobziarz wślizgnął się do środka i obudził mnie na warcie, zrozumiałam prawdę o Lucii.

Rozdział trzydziesty

Kobziarz i Zoe spali, a ja siedziałam w punkcie obserwacyjnym i rozmyślałam o wszelkich znakach, które przeoczyłam lub źle odczytałam. Przypomniało mi się, że Zoe radziła sobie z moimi wizjami lepiej od Kobziarza. Gdy ten próbował mnie wypytać o to, co widziałam, potrafiła mu przerwać i powiedzieć: „Ona jeszcze nie może mówić. Zaraz dojdzie do siebie”. Sądziłam podówczas, że nie chce mnie słuchać i próbuje odwlec wszystko w czasie. Nie przyszło mi do głowy, iż przemawia przez nią doświadczenie osoby, która wielokrotnie widziała podobne reakcje.

Pierwsze słowa, które wypowiedziała do mnie, brzmiały: „Nie jesteś pierwszą wizjonerką”.

Przypomniała mi się jej niechęć do żeglowania, jej dłonie kurczowo zaciśnięte na relingu łodzi, gdy opuszczaliśmy Zatopione Wybrzeże.

Drażniłam się z nią. Powiedziałam: „Założę się, że byłaś szczęśliwa, gdy umarła”. Tymczasem Zoe każdej nocy, gdy zagłębiała się w krainę snów, szukała kości nieżyjącej kochanki.

Spojrzałam na namiot, w którym spali. Płótno było ciężkie od śniegu, a oni leżeli plecami do siebie, tak jak walczyli podczas bitwy. Przykryci kocem naciągniętym po szyję, wyglądali jak stworzenie z dwiema głowami.

Od początku się myliłam. Byłam bardziej ślepa od Leonarda. Pomyliłam się co do Spowiedniczki, gdyż byłam przekonana, że ściga mnie, podczas gdy ją interesował Kima. Źle rozumiałam sny Zoe, mylnie postrzegałam Lucię. Wizje to jedno, ale właściwa interpretacja to coś zupełnie innego. Wizje zaprowadziły mnie na Wyspę, ale nasza obecność ściągnęła tam również Spowiedniczkę. Wizje pokazały mi silos i umożliwiły zniszczenie bazy danych, ale Kima zapłacił za to życiem. Widziałam dzięki nim tak wiele, a rozumiałam tak mało.

Nie musiałam budzić Zoe, która jak zwykle sama zerwała się ze snu, wyczołgała z namiotu i stanęła za mną. Nadal było ciemno. Gdzieś w dole strumienia któryś z naszych koni zarżał cicho.

– Idź spać – powiedziała. – Do świtu mamy jeszcze parę godzin.

– To ty, prawda? – odezwałam się. – Ty kochałaś Lucię.

Było zbyt ciemno, by dobrze przyjrzeć się jej twarzy. Widziałam jedynie białe obłoczki pary wokół ust.

– Kochaliśmy się nawzajem – rzekła.

Nigdy jeszcze nie słyszałam, jak ta Zoe, która zawsze wzrusza ramionami, przewraca oczami i nosi zatrute noże, mówi o miłości. Dziwne uczucie.

– Przepraszam – powiedziałam. – Zrobiłam z siebie idiotkę.

– Nie po raz pierwszy. I nie sądzę, by po raz ostatni. – W jej głosie nie było złości, jedynie zmęczenie.

– Nie wiem, czemu mi to w ogóle nie przyszło do głowy – dodałam.

– Ja wiem – odparła Zoe. – Bo jestem kobietą. Bo jestem Alfą, a ona była Omegą. Bo choć myślisz sobie, że wzniosłaś się ponad wszelkie uprzedzenia tego świata, wychodzi na to, że nie różnisz się tak bardzo od reszty.

Nie miałam pojęcia, w jaki sposób odeprzeć jej zarzuty, które oblepiły mnie niczym popiół.

– Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? – spytałam w końcu.

– Bo to mój sekret. Mój... – zaczęła, ale urwała. W mroku widziałam jedynie błysk białek jej oczu, jak spoglądała na mnie i odwracała wzrok. – Czuję, że pozostało jej tak mało. Nie chcę się nią dzielić.

Przypomniało mi się, z jaką niechęcią mówiłam o Kimie. Bywały chwile, gdy wydawało mi się, że jego imię stało się czymś na kształt reliktu, jakby było wszystkim, co mi po nim pozostało, i może kiedyś się zużyć, jeśli będę go zbyt często używać.

– Pamiętasz ten dzień przy strumieniu, kiedy zasłuchałaś się w muzyce bardów? Powiedziałaś mi wówczas o bardzie, którego słuchaliście wraz z Kobziarzem, gdy byliście dziećmi. Wydawało mi się wówczas, że mówisz o Kobziarzu.

Zoe parsknęła.

– Nigdy nie zapomnę tego człowieka. Gdy poznałam Lucię, miałam wrażenie, że mi go przypomina. Oboje mieli piękne dłonie. – Roześmiała się cicho. – Lucia zresztą również lubiła śpiewać. Zawsze nuciła pod nosem porankami, gdy rozczesywała włosy.

Zamilkła na moment.

– Szkoda, że mi wcześniej o niej nie powiedziałaś. Zrozumiałabym wszystko.

– Nie potrzebuję twojej wyrozumiałości.

– Ale może mnie przydałaby się twoja? – rzuciłam.

Zoe wzruszyła ramionami.

– Mój związek z Lucią nie trwał po to, by nauczyć cię czegoś o żalu, a ona nie umarła po to, byśmy teraz mogli opowiadać sobie ckeliwe historyjki.

Usiadła obok mnie na zwałonej kłodzie i oparła łokcie o kolana. Uniosła rękę, by odgarnąć włosy z twarzy, pięć plamek opuszek palców mignęło w ciemności.

– Tak czy owak wyrobiłam w sobie zwyczaj niemówienia niczego na jej temat. Musiałyśmy przez cały czas utrzymywać czujność. Wszak działałyśmy dla ruchu oporu, a w takiej sytuacji ściąganie na siebie uwagi to ostatnia rzecz, jakiej człowiek chce. Związek między Alfą i Omegą to przestępstwo karane chłostą, tym bardziej jeśli są to dwie kobiety. Słyszałaś pewnie te bzdury, że każda kobieta ma obowiązek rodzić? – Parsknęła z pogardą. – Zupełnie jakby to miało dla mnie

jakieś znaczenie. Czyżby liczyli na to, że w przeciwnym razie znalazłabym sobie jakiegoś przystojnego Alfę i zaczęła wypływać z siebie dzieci?

Chłodne powietrze nocy zdawało się pochłaniać jej śmiech.

– Na Wyspie nie było jej łatwo. Wiesz, jak zachowują się ludzie w stosunku do wizjonerów. W najlepszym razie traktują ich na dystans i z podejrzliwością. Kiedy dowiedzieli się o naszym związku, po prostu się od niej odcięli.

Zacisnęła mocno pięści.

– Nie liczyło się już to, że pracowała dla nich od lat. Że zrobiła dla ruchu oporu więcej niż ktokolwiek z nich. Że przez cały ten czas ryzykowała dla nich życie. Przestali z nią rozmawiać. Wszyscy czerpali korzyści z jej wizji oraz dokonań, ale na tym poprzestawali. Nie chcieli z nią nawet rozmawiać. Wypędzili ją z domu, który zamieszkiwała. Nazywali ją zdrajczynią. Kochanką Alf. Kobziarz zrobił dla niej wszystko, co mógł. Znalazł dla niej nowy kąt w forcie i próbował przemówić do rozumu najgorszym dręczycielom, ale miał przeciw cały ruch oporu na głowie. Nie mógł uczynić dla niej więcej. Wtedy zaczęła tracić poczytalność. Wiem, że tak naprawdę to wszystko przez jej wizje, ale radziła sobie z nimi o wiele lepiej, gdy miała wokół siebie przyjaciół, ludzi, z którymi mogła rozmawiać. Gdy pozostawiono ją samą sobie, miała już tylko wizje.

Pamiętałam swą izolację w Przechowalni, kiedy to cały mój horyzont skurczył się do szarych ścian celi i nic nie odciągało mojej uwagi od wizji.

– A ja nie mogłam przy niej być – ciągnęła Zoe. – Lucia chciała spędzić więcej czasu na łądzie, a może przeprowadzić się tam na stałe, ale ja powtarzałam jej bez przerwy, że to zbyt niebezpieczne. Chciałam najpierw znaleźć dla nas jakieś bezpiecznie miejsce, może gdzieś na wschodzie, jak najdalej od patroli Rady. Lucia stawała się jednak coraz bardziej niestabilna, co sprawiało, że trudniej było ją ukryć, trudniej było zapewnić jej bezpieczeństwo. No i robiła się naprawdę nieobliczalna. Jej wizjom towarzyszyły już nie tylko krzyki. Bywało, że nie panowała nad tym, co mówi. Zresztą widziałas Xandera. Nie mieliśmy żadnej gwarancji, że będzie mówić z sensem i pamiętać o przykrywce. Nie mogliśmy jej zaufać.

Zoe urwała i spojrzała na własne dłonie. Robiło się coraz jaśniej, a wiatr przepędzał chmury z księżyca. Dziewczyna wydobyła jeden z noży i zaczęła się nim bawić.

– Kazałam jej wsiąść na statek – powiedziała i zamilkła. Przez moment cięła powietrze nożykiem. – Nie miała najmniejszej ochoty wracać na Wyspę, ale zmusiłam ją do tego. Nawrzeszczałam na nią, gdy zaczęła protestować. Powiedziałam jej, że robi to dla własnego bezpieczeństwa.

Roześmiała się ponuro.

– Pamiętasz, co powiedział Kobziarz? Ona miała dar do przepowiadania pogody tak jak ty do wyszukiwania miejsc. Pogoda była jej specjalnością. Zawsze

umiała wyczuć zbliżający się sztorm, a nawet zmianę wiatru. Z tego powodu była niezwykle ważna dla ruchu oporu, bo umiała powiedzieć, czy czeka ich trudny rejs.

Jej ręce wreszcie znieruchomiały. Nożyk spoczywał na jej dłoni niczym dar.

– Ostrzegłaby ich przed nadchodzącym sztormem. Zawsze o takich rzeczach wiedziała, ale żeglarze już jej nie słuchali. Zachowywała się dziwnie, więc stracili do niej zaufanie. No i gardzili nią ze względu na łączące nas uczucie. Ze względu na mnie. Nazywali ją zdrajczynią, a poza tym chcieli jak najszybciej wrócić na swą ukochaną Wyspę.

Spojrzała przy tych słowach na mnie, jakby rzucała mi wyzwanie, jakby czekała, aż jej zaprzeczę.

– Jestem pewna, że ostrzegę ich przed burzą.

Ostatnie słowa uwięzły jej w ustach. Czekałam, aż coś powie, ale Zoe siedziała nieruchomo i wpatrywała się przed siebie. Potem kilkakrotnie odetchnęła powoli.

– Widziałam, jak ogarnia ją szaleństwo – powiedziała. – To samo działo się z Xanderem. Kiedy ty się pojawiłaś, miałam z początku nadzieję, że będzie z tobą inaczej. Kobziarz był tobą niezwykle przejęty. Potem sama odnalazłaś drogę na Wyspę, czego już nie mogłam zignorować. Po tym, jak cię poznałam, nadal miałam nadzieję, że nauczysz się kontrolować swoje wizje, by nie wpaść w tę samą pułapkę co ona. Co wszyscy inni. Próbowałam ci pomóc, ale to dzieje się znów. Te wizje, te wrzaski... To, jak wywracasz oczami, ujrawszy we śnie Wybuch. Nawet gdy z nami rozmawiasz, mam wrażenie, że patrzysz na coś innego nad naszymi ramionami. Lub wręcz przez nas.

Opuściła głowę.

– Pod koniec Lucia zachowywała się tak samo – oznajmiła. – Wiem już wszystko o wizjonerach i przestałam się łudzić. Gdy budzisz się z krzykiem, doskonale wiem, co to oznacza. Słyszałam już też opowieści o wizjach Wybuchu i wiem, czym to się kończy.

Przyzwyczaiałam się do tego, że Zoe spogląda na mnie z pogardą czy irytacją. Przywykłam do kąśliwości, z jaką mówiła, że moje wrzaski ściągną nam na głowy patrol albo że beze mnie poruszałiby się dwa razy szybciej. Teraz w jej spojrzeniu widziałam coś, czego nie ujrzałam nigdy wcześniej – współczucie. Wyobraziłam sobie niespokojne dłonie Xandera i jego rozbiegany wzrok. Tak wyglądała moja przyszłość.

Zoe spojrzała mi w oczy.

– Nie mogę po raz kolejny wiązać wszystkich nadziei z wizjonerką, nawet jeśli chodzi o przyszłość ruchu oporu czy szczęście Kobziarza. Po prostu nie mogę znów na to patrzeć.

Odwróciła się ode mnie. Czekałam jeszcze przez chwilę, ale nic już nie powiedziała. Wróciłam więc do namiotu, gdzie czekało na mnie ciepło Kobziarza.

Zasnęłam na kilka godzin i przez cały ten czas śniłam jej sny. Śniłam o szarych falach gnanych sztormem i o czarnym podbrzuszu morza skrywającym sekrety.

Rano odkryłam, że Zoe znikła. Zastałam Kobziarza, który stał przy pustym stanowisku obserwacyjnym. Widziałam już go, jak się garbi w ten sposób, i wiedziałam, co to oznacza. Na wschodnim horyzoncie rodziło się światło świtu.

– Zostawiła nam latarnię – powiedział. – I zapas suszonego mięsa.

– Nie możesz próbować jej odnaleźć?

Kobziarz pokręcił głową.

– Jeśli Zoe nie chce, by ktoś ją znalazł, nie mam najmniejszej szansy – rzekł i spojrzał na mnie. – Rozmawiałyście zeszłej nocy? O Lucii?

Pokiwałam głową.

– Sądziłam, że taka rozmowa może wszystko odmienić. Że Zoe przestanie mnie nienawidzić.

– Tu nie chodzi o ciebie, Cass – odparł. – Tu nigdy nie chodziło o ciebie.

Wrócił do namiotu i ukucnął, by rozplątać linki, a potem strząsnął śnieg, zwinął płótno i upchnął je w plecaku.

– Wiedziałaś, że chce nas opuścić? – spytałam.

– Nie – rzekł, a potem, po długiej przerwie, dodał: – Ale nie jestem zaskoczony.

Podniósł się i zarzucił plecak na ramię.

– Byłem świadkiem tego, co się z nią działo po utracie Lucii. Nie w chwili zatonięcia, ale wcześniej, gdy ta zaczęła tracić zmysły. Teraz Zoe musiała patrzeć na ciebie i Xandera, również zmagających się z wizjami. Widziałem, ile ją to kosztuje.

Tej nocy, gdy zasiedliśmy przy ogniu, myślałam o morzu, które nie chce oddać kości Lucii. Myślałam również o Leonardzie w płytkim grobie i o ciele Kimy na dnie silosu. Czy pochowali później jego ciało? A może silos został porzucony i stał się grobowcem zarówno dla niego, jak i dla Spowiedniczki? Nie miałam pojęcia, co jest gorsze. Nie wiedziałam, czy wolałabym, by jego ciało leżało tam nadal, czy może by obcy żołnierze wywlekli go gdzieś i pogrzebali w dole.

Tej nocy znów ujrzałam go w zbiorniku. Obudziłam się, wrzeszcząc tak głośno, że przywiązane do drzew konie zaczęły się miotać w panice. Kobziarz otoczył mnie ramieniem i trzymał, póki nie przestałam się trząść.

Później, gdy pot ostudził mi twarz, a rozedrgane dłonie uspokoiły się, usiadłam obok Kobziarza i opowiedziałam mu o przeszłości Kimy. Istnieją bowiem pewne sprawy, o których lepiej jest mówić w ciemnościach. On zaś słuchał w milczeniu i nie przerywał.

– Ma na sumieniu straszne rzeczy – odezwał się w końcu. – Ale odpokutował za nie przecież, prawda? Gdy odcięli mu rękę i umieścili w zbiorniku na długie lata? Gdy zginął, by móc cię uratować?

Nie miałam pojęcia, jak na to odpowiedzieć. Ile wybaczenia można kupić za jedno ramię? Lub za ludzkie życie? Kto może o tym decydować? Czułam, że ja wcale nie jestem do tego odpowiednią osobą. Zbyt dużo nosiłam w sobie winy. W zbyt wielu złych rzeczach sama brałam udział.

Jechaliśmy przez pięć kolejnych dni i tylko raz widzieliśmy jakikolwiek ślad pościgu. Pewnego wieczoru, gdy zaczynało się zmierzchać, pojawił się samotny jeździec. Znajdowaliśmy się na równinie usłanej głazami, za którymi trudno byłoby się ukryć, a więc postanowiliśmy zaryzykować i popędzić w kierunku lasu, który widzieliśmy w odległości kilku mil.

Żołnierz dostrzegł nas jako pierwszy. Nim rozpoznałam czerwony kolor jego tuniki, ten zawracał już konia. Dzieliło nas kilkaset metrów, ale na pewno zauważył brak ramienia u Kobziarza. Omegom nie wolno było jeździć konno i groziła za to chłosta. Gdyby jeźdźcowi udało się dotrzeć do garnizonu, natychmiast wyruszyłyby za nami patrole.

Kobziarz bez słowa kopnął konia w boki i pogalopował za żołnierzem. Poszłam w jego ślady, sama nie widząc, czy gonię wroga, czy też próbuję powstrzymać Kobziarza.

Nie mieliśmy szans go dogonić, gdyż żołnierz miał zbyt wielką przewagę, a nasze konie były zmęczone i głodne po wielu dniach wędrówki przez śnieg i lód. Kobziarz jednakże nie miał zamiaru go dogonić. Gdy dzieliło nas jakieś trzydzieści metrów, cisnął w niego nożem. W pierwszej chwili myślałam, że chybił, bo nie usłyszałam krzyku, ale wtem uciekający pochylił się do przodu i wtulił twarz w końską grzywę. Wówczas błysnęła stal noża tkwiącego między jego łopatkami. Następnie, z niezwykłą powolnością, osunął się na bok. W końcu spadł z siodła, ale jego stopa nadal tkwiła w strzemieniu. Przerażony koń przyspieszył i powlókł trupa po ziemi za sobą. Do łomotu kopyt dołączył regularny stukot głowy uderzającej o pokrytą lodem drogę.

Ów surrealistyczny pościg wydawał się nie mieć końca. Powoli doganialiśmy oszalałego, wierzgającego rumaka, który nadal włókł za sobą trupa, to uderzającego o drogę, to przesuwającego się w stronę zadu, między tylne nogi zwierzęcia. Gdy wreszcie się z nim zrównaliśmy, ujrzałam, że w oczach konia połyskuje szaleństwo, a ciemna sierść lśni od potu. Kobziarz złapał go za wodze, a wtedy wierzchowiec targnął w bok, jakby chciał strząsnąć własny łeb z karku. Kopyta załomotały o lód w dzikim tańcu.

W moim życiu był taki czas, gdy nawrzeszczałabym na Kobziarza

i spytałabym, dlaczego żołnierz i jego bliźniak musieli zginąć. Teraz jednak nie powiedziałam ani słowa. Gdyby nas zatrzymano, szanse ruchu oporu na poznanie tajemnic Arki i Zamorza zmalałyby jeszcze bardziej. Zach i Pani Generał odnieśliby zwycięstwo i zbiorniki znów zostałyby nakarmione.

Kobziarz zeskoczył i uwolnił ciało żołnierza ze strzemienia. Sama również zsunęłam się z siodła, a potem zebrałam wodze wszystkich trzech koni i przygwoździłam je kamieniem. Następnie ściągnęliśmy trupa z traktu i zrzuciliśmy go do rowu. Ukucnęłam obok Kobziarza i pomogłam zasypać sztywniejące ciało śniegiem. Wokół karku ofiary czerniała plama krwi.

Przypomniało mi się to, co Zach powiedział mi na trakcie prowadzącym do Nowego Hobartu: „Jesteś trucizną”. Nigdy dotąd jego słowa nie wydawały mi się bardziej prawdziwe. Nawet w tej chwili, gdy stałam na śniegu z kapturem naciągniętym na głowę, przypominałam śmierć. Ostatnie miesiące naszych podróży nakreśliły mapę kości, która nałożyła się na świat.

Jeśli byłam prorokiem, przepowiadałam tylko śmierć i wypełniałam własne proroctwa. Od chwili wydarzeń w silosie ze wszystkich sił próbowałam rozpoznać Kimę w osobie, którą opisała Spowiedniczka. Teraz, po raz pierwszy w życiu, zastanawiałam się, czy on rozpoznałby mnie.

Kobziarz wyciągnął rękę i przyjrzał się opadającym na nią płatkom śniegu.

– Śnieg niedługo zamaskuje nasze ślady, co powinno nam dać trochę czasu. Gdyby ten człowiek zdążył dotrzeć do swoich i wszcząć alarm, mielibyśmy tego czasu o wiele mniej. Jeśli w ogóle zorientują się, że brakuje im jednego człowieka, nie odnajdą jego ciała do wschodu słońca. Musimy jednak zboczyć z traktu.

Zabraliśmy ze sobą konia zabitego żołnierza. Był wciąż spłoszony i nadal usiłował się wyrwać, a ja i Kobziarz byliśmy wyczerpani. Około północy dotarliśmy do lasu, a tam uwiązaliśmy konie. Kobziarz objął wartę, a ja położyłam się do snu na kilka godzin. Wybudziłam się, gdy mój sen znów nawiedziła wizja Wybuchu. Nie potrafiłam pogodzić sprzeczności – moje ciało trzęsło się z zimna, a w umyśle szalały płomienie.

Kobziarz przyglądał mi się, ale był nieco rozkojarzony, co obserwowałam u niego od chwili rozstania z Zoe. Wydawał się przebywać daleko stąd – zawsze wpatrywał się w przestrzeń za horyzontem mojej twarzy. Ani razu nie oskarżył mnie o to, że to z mojej winy Zoe nas opuściła. Nie musiał. Potrafiłam już ujrzeć siebie z jej punktu widzenia. Potrafiłam spojrzeć na siebie z dystansu. Widziałam, jak dygoczę, gdy nachodzi mnie wizja, jak wtedy, gdy śniłam o zbiornikach. Widziałam, jak zrywam się z rozwartymi ustami i łapczywie chwytam powietrze, zupełnie jakbym wynurzyła się z lepkiego płynu wypełniającego zbiornik. Po raz pierwszy usłyszałam też dźwięki, jakie wydawałam z siebie, gdy nachodziła mnie wizja Wybuchu – owe stłumione, zduszone odgłosy, które nigdy nie miały zostać usłyszane, bo nie było człowieka, który by je usłyszał ani też nie było świata,

w którym mogłyby się rozlec.

– Dokąd twoim zdaniem udała się Zoe? – spytałam.

– Daleko na wschodzie znajduje się miejsce, gdzie kiedyś chciała coś wybudować dla siebie i Lucii. To surowa, niegościnna kraina, na skraju Pustkowi, ale przynajmniej jest daleko stąd.

Nie musiał wyjaśniać, co miał na myśli. W innych okolicznościach pewnie bym się sprzeciwiła i powiedziała, że moim zdaniem Zoe nigdy nie porzuciłaby ruchu oporu, ale popełniłam tyle błędów, iż nie miałam już prawa twierdzić, iż wiem o niej cokolwiek. Lub prosić o coś więcej ponad to, co już mi dała.

– Myślisz, że wróci? – spytałam.

Nie odpowiedział.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Nim poczułam Arkę, wykryłam obecność rzeki. Wyjechaliśmy z lasu na trawiaste równiny i uświadomiłam sobie ruch wody pośród nieruchomego krajobrazu. Kobziarz wyciągnął rękę na wschód, a wtedy dojrzałam łańcuch górski, który wznosił się nad horyzontem. Rozpoznałam charakterystyczny szczyt Złamanej Góry, a potem płaskowyż, z którego wyrastała góra Alsop.

Po kilku godzinach jazdy zaczęłam czuć obecność samej Arki. Odebrałam ją jako aberrację we wnętrzu ziemi. Gdzieś przed nami, ale pod powierzchnią ziemi, wykrywałam opór czegoś, co nie było ani glebą, ani skałą. We wnętrzu tego zagrzebanego głęboko pancerza, tam gdzie powinna znajdować się ziemia, wyczuwałam obecność powietrza.

Czułam również aktywność żołnierzy. Przypomniały mi się słowa Xandera: „Głosy w labiryncie kości”. Cała Arka wibrowała. Jeśli dotąd miałam jakieś wątpliwości, czy Rada odkryła Arkę, rozwiały się one teraz całkowicie. Arka stała się ulem, brzęczącym od życia, gotowym wypluć z siebie roje wrogów.

Przywiązaliśmy konie do drzewa w zagajniku rosnącym kilka mil od rzeki. Nie chciałam ich tu zostawiać, bo jedynym źródłem wody było kilka płytkich, zamrzniętych do połowy kałuż, a ja nie miałam pojęcia, jak długo nas nie będzie. Wypuszczenie ich na wolność wiązało się jednak ze zbyt wielkim ryzykiem – mogły wszak zostać zauważone przez żołnierzy.

– Poza tym możemy znów ich potrzebować – rzekł Kobziarz.

Zauważyłam, że użył słowa „możemy”. A więc oboje myśleliśmy o tym samym – jeśli uda nam się powrócić.

Pochyleni zaczęliśmy się skradać przez wysokie trawy. Przed sobą mieliśmy szerokie wzgórze, na zboczach którego drzewa walczyły z gałkami i kamieniami o każdy skrawek ziemi. Rzeka opływała je od zachodu, wciąż wolna od lodu – jej ciemne wody były zbyt głębokie i bystre, by zamrznąć.

– Musimy przejść przez rzekę? – spytał Kobziarz, przyglądając się bacznie nurtowi.

Pokręciłam głową i wskazałam wzgórze.

– Arka jest po tej stronie. Dokładnie tam.

Czułam ją o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Pod tym wzgórzem znajdowało się mnóstwo metalu – wyczuwałam posmak żelaza. Wyczuwałam też obecność drzwi i korytarzy, rozciągający się podziemny labirynt metalu i powietrza.

Poprowadziłam Kobziarza w górę zbocza, między drzewami, w kierunku miejsca, w którym jeden z korytarzy piął się ku górze, ku świeżemu powietrzu. Wibracje metalu były tu bardzo silne – wyraźnie wyczuwałam obecność żelaznych drzwi wstawionych w zbocze.

Nim dotarliśmy do drzwi, ujrzeliśmy jednak pierwszych żołnierzy. Droga jechał zaprzężony w cztery konie wóz kryty plandeką, eskortowany przez ośmiu jeźdźców. Ukucnęliśmy w śniegu. Trawy były na tyle wysokie, by ukryć naszą obecność, ale za każdym razem, gdy któryś z żołnierzy odwracał się, by rozejrzeć się po równinie, łapałam się na tym, że wstrzymuję oddech. Minęli nas w odległości dwudziestu paru metrów, tak blisko, że zdołałam zauważyć rudą brodę woźnicy i rozdarcie tuniki ostatniego jeźdźcy. Przejechali dalej i ruszyli w kierunku rozpadliny w zboczu, gdzie przypuszczalnie kiedyś znajdowały się drzwi do Arki.

Nie było jednakże po nich śladu – widziałam jedynie jamę szeroką na kilkadziesiąt metrów. Przypuszczalnie kiedyś wejście zostało pochłonięte przez wzgórze i całkiem znikło. Wyglądało na to, że odkopanie go wcale nie było łatwe i Rada musiała zdobyć się na ogromny wysiłek. Niedaleko zresztą znajdowała się spora hałda ziemi i głazów, niekiedy porównywalnych wielkością do koni. Tu i ówdzie sterczały również korzenie wyrwanych drzew – pamiątek po minionych wiekach. Przed wejściem czekał szereg żołnierzy. Ich czerwone tuniki przywodziły na myśl język wystający z czarnej paszczy jamy.

Obserwowaliśmy wejście przez jakąś godzinę. Żołnierze podchodzili do wozu, potem znikali w ciemnej jamie, wychodzili z niej i znów tam wnikali. Nic nie wskazywało jednak, że chcą to miejsce szybko opuścić. Co więcej, nie byli sami. Kobziarz wskazał mi łuczniczkę, która czuwała na wzgórzu, kilkanaście kroków nad wejściem, niemalże całkowicie ukryta wśród głazów. Gdyby Kobziarz nie objaśnił mi, na co mam patrzeć, wzięłabym koniec jej łuku za gałązkę. Dopiero dzięki niemu odkryłam, że owa niby gałązka porusza się, gdy łuczniczka rozgląda się dookoła. Człowiek, który wyszedłby z traw, zostałby przeszyty strzałą, nim znalazłby się w odległości czterdziestu metrów.

Odsunęłam trawy obiema rękami, odgarnęłam śnieg, zamknęłam oczy i przyłożyłam policzek do zamarznętej ziemi, by rozeznac się w ogólnym kształcie leżącej pod nami Arki. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, dlaczego to, co odbieram, wydaje mi się znajome. Arka z kształtu przypominała bowiem odwróconą Wyspę. Podczas gdy Wyspa była stożkiem, wyrastającym ponad powierzchnię wody, Arka wnikała coraz głębiej w ziemię. Zewnętrzne korytarze na poziomie powierzchni tworzyły nierówny okrąg o średnicy kilkunastu mil. W ich obrębie znajdował się system połączonych pomieszczeń, a pod nim leżał kolejny, węższy i również obwiedziony kręgiem korytarzy i tak dalej. Każdy następny poziom był ciaśniejszy od wyższego, przy czym zauważyłam, że nawet ten najwyższy nie znajdował się blisko powierzchni. Z wejścia strzeżonego przez żołnierzy ciągnął się korytarz, który opadał stromo w dół i dopiero wiele metrów głębiej łączył się z zewnętrznym korytarzem. Mój umysł wnikał w strukturę Arki i obmacywał metal i kamienie, aż uświadomiłam sobie, że w kształcie Arki kryje

się symetria. Tunele podobne do tego, który biegł od powierzchni, łączyły każdy krąg korytarzy z niższym.

– Pamiętasz, co wyczytaliśmy w papierach? – szepnęłam do Kobziarza. – Pomiary promieniowania były pobierane przy wejściu numer jeden. Istnieją więc inne. Wyczuwam obecność trzech, które łączą się z zewnętrznym kręgiem. Każde odpowiada mniej więcej jednemu z czterech kierunków kardynalnych.

Przez resztę dnia przekradaliśmy się wśród traw i głazów wzgórza. Trzykrotnie wyczułam korytarz, który docierał na powierzchnię, ale za każdym razem, gdy podkradliśmy się bliżej, witał nas ten sam widok – strażnicy, miecze i łuki. Przy zachodnim wejściu znajdowało się miasteczko namiotów, a w nim zapewne przynajmniej stu ludzi.

Południowe wejście, które leżało najbliżej rzeki, nie zostało pochłonięte przez wzgórze. Zamiast chaotycznych hałd ziemi dostrzegliśmy tam stalową, zardzewiałą konstrukcję na poziomie gruntu. Wejście było okrągłe, wysokości dwóch dorosłych ludzi, i bardziej przypominało właz niż drzwi. Wyglądało na to, że Rada jakimś cudem przedarła się do środka za pomocą materiałów wybuchowych – w samym środku wejścia widniała bowiem wielka dziura, otoczona ostrymi skrawkami metalu, powyginanymi niczym monstrualne kły.

Gdy wycofaliśmy się poza zasięg wzroku straży, Kobziarz odetchnął i zamknął na moment oczy.

– Musimy wrócić po więcej ludzi. Nawet gdybyśmy mieli ze sobą Zoe, nigdy nie udałoby nam się wdrzeć do środka, a nawet jeśli, natychmiast zostalibyśmy otoczeni.

Kopnął śnieg z frustracją. Nie mieliśmy na to czasu. Nie mieliśmy czasu na ryzykowną podróż powrotną do Nowego Hobartu i z powrotem. Nie mieliśmy czasu na kolejną bitwę i więcej krwi. Na ile szczęścia mogliśmy jeszcze liczyć? Ile czasu jeszcze nam zostało? Żołnierze Rady z każdym minionym dniem wygrzebywali z Arki coraz więcej wiedzy i coraz więcej mocy, a do przytułków docierały kolejne Omegi.

Kobziarz usiadł na głazie i parsknął zrezygnowanym śmiechem.

– Ten nieszczęsny starzec Heaton zginął, próbując się stamtąd wydostać. My zaś ryzykujemy, próbując się tam dostać.

Podniosłam głowę na wzmiankę o jego imieniu.

– Jest jeszcze jedno wejście.

– Serio? – Kobziarz westchnął. – No i co z tego? Wierzysz, że pozostawili je bez ochrony?

– Ale ono nie przypomina innych. To nie są tak naprawdę drzwi – powiedziałam. – Twoja wzmianka o Heatonie przypomniła mi o czymś. Pamiętasz ten raport znaleziony przez Prowodyra? Ten o człowieku, który zabił próbującego uciekać Heatona?

Kobziarz pokiwał głową. Znał tę historię, gdyż opowiedziałam jemu oraz Zoe o odkryciu Prowodyra.

– Tam było coś o miejscu, w którym do tego doszło – ciągnęłam. – Chyba został zastrzelony w chwili, gdy próbował się dostać do szybu wentylacyjnego. Nie miałam pojęcia, co to tak naprawdę oznacza. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, ale wniosek chyba jest taki, że nie próbował wyjść głównymi drzwiami. Ma to w sumie sens, bo na pewno były one pod strażą. Próbował uciec inną drogą.

– Co to takiego ten szyb wentylacyjny? Jakiś podziemny komin?

– Chyba tak. W końcu musieli skądś brać świeże powietrze.

Wyteżyłam mój dodatkowy zmysł i odkryłam, że ów szyb w istocie przypominał komin. Był to wąski tunel, który zmierzał prosto w stronę powierzchni, węższy od korytarzy i bardziej stromy.

– Czy uda nam się tam wślizgnąć? – spytał Kobziarz. – I czy to bezpieczne?

– Heaton tak sądził.

– Źle się to dla niego skończyło.

– Ale nie z powodu szybu – powiedziałam. – Zginął dlatego, że został przyłapany na próbie uciezki.

– Nie sądzisz, że mieszkańcy Arki spróbowali później zablokować wyjście, skoro ktoś próbował tędy uciec?

– Gdyby mu się udało, być może by to zrobili, ale w tej sytuacji miejmy nadzieję, że nie. Przecież ucieczka została udaremniona. Z ich perspektywy system zadziałał i nikt nie zdołał zbiec. Poza tym zastanów się nad nazwą: szyb wentylacyjny. Przecież to element systemu zaopatrywania całego kompleksu w powietrze i niełatwo byłoby go zamknąć, tym bardziej że mieli wtedy inne problemy na głowie.

– A nie sądzisz, że Rada je znalazła i zaczopowała?

– Możliwe, o ile wiedzą o jego istnieniu – odparłam.

Ale martwiło mnie coś jeszcze. Upłynęło kilka stuleci od czasu, gdy w Arce nie było żywego ducha. Ziemia się przemieszczała, a drzewom rosły korzenie, przez co trzeba było odkopywać trzy z czterech głównych wejść.

Wejścia znajdowały się w odległości kilku mil od siebie. Zajęliśmy pozycję w połowie drogi między drzwiami północnymi oraz wschodnimi i wyłoniliśmy się z wysokich traw dopiero po zapadnięciu zmroku. Szykowaliśmy się do pokonania drogi, która wiodła dookoła wzgórza. Kobziarz poradził mi, bym skakała z kamienia na kamień – nie zostawiliśmy w ten sposób śladów na śniegu w miejscu, gdzie przejeżdżały wozy i przechodzili żołnierze.

Przedostaliśmy się na drugą stronę drogi i wspięliśmy po zboczach wzgórza, kryjąc się za głazami. Wnet dotarliśmy na szczyt, a tam znaleźliśmy się dokładnie nad Arką, między czterema posterunkami obserwacyjnymi Rady. Teraz, gdy podziemny kompleks znajdował się dokładnie pod nami, wyczuwałam go o wiele

wyraźniej. Jego rozmiary oraz głębokość były wprost oszałamiające, tym bardziej że wzgórze niczym nie zdradzało, co pod sobą kryje. Świadomość, iż pod nami ciągną się puste przestrzenie, była tak przejmująca, że stąpałam ostrożnie, jakbym nie była pewna gruntu, choć wiedziałam, że ziemia pod moimi nogami jest stabilna od wielu wieków. W niektórych częściach kompleksu wyczuwałam gorączkową aktywność, ale inne wydawały się jedynie pustymi jamami pod ziemią.

Przedzieranie się wśród krzaków i głazów w blasku księżyca wcale nie należało do łatwych zadań. Gdyby nie mój zmysł wizjonerki, przypuszczalnie nigdy nie natrafilibyśmy na włącz. Wydawał się jedynie zagłębieniem terenu pośród kamieni i drzew, ale ja czułam pustkę pod powierzchnią ziemi niczym zamaskowaną pułapkę na ścieżce do domu Sally, choć o wiele, wiele głębszą. Ukłękłam i rozsunałam trawę, a wtedy moim oczom ukazał się skrawek zardzewiałego metalu, bardziej brązowego niż otaczająca go ziemia. Odsunęliśmy śnieg na bok i zabraliśmy się do wrywania trawy. Jej ostre krawędzie kaleczyły mi palce, a korzenie były ciężkie od ziemi i mchu. Pracowaliśmy, aż odsłoniliśmy cały wylot. Pokrywa, licząca nieco ponad pół metra szerokości, była mocną kratą, osadzoną głęboko w metalowej obręczy. Częściowo przesłaniała ją ziemia. Wokół niej sterczały cztery stalowe pręty, z których każdy kończył się zardzewiałym węzłem.

– Z pewnością znajdowała się tu kiedyś jakaś konstrukcja. Może daszek albo coś – rzekł Kobziarz.

Bez względu na to, co to kiedyś było, zniknęło bez śladu. Być może rozprawił się z tym Wybuch, może znikło później.

Nie było się nad czym zastanawiać. Pochyliłam się nad wylotem szybu. Wydawał mi się dość wąski, zaledwie szerokości moich ramion. Kobziarzowi zaś zapewne wydał się jeszcze mniejszy – wszak był dwakroć tak barczysty jak ja.

– Niech to szlag, Cass. Jakiej twoim zdaniem Heaton był budowy?

– Są jeszcze inne tunele – odparłam.

Czułam obecność innych, pustych kominów tu i ówdzie, zupełnie jakby to wzgórze zostało poprzekłuwane niczym ciasto podczas sprawdzania stopnia wypieczenia.

– Szersze od tego?

Pokręciłam głową.

– O wiele węższe.

Zmysł podpowiadał mi, że miały co najwyżej kilkanaście centymetrów szerokości.

– Pamiętasz treść tego dokumentu? Heatona złapano przy głównym szybie wentylacyjnym. Ten jest największy.

Kobziarz grzebał nożem wzdłuż krawędzi włączu, zdrapując ziemię i mech. Gdy usunął wszystko, ujęłam mocno pręty i pociągnęłam. Krata stawiała mi opór

z głośnym zgrzytem. Kobziarz znów zaczął majstrować dookoła krawędzi. Skrawki rdzy barwiły śnieg na upiorny pomarańczowy kolor. Mój towarzysz mruknął, że stępi sobie sztylet, ale nie przerywał. Ostrze zgrzytało, zdzierając rdzę, a my zaciskaliśmy zęby.

W końcu skinął głową i oczyścił ostrze. Szarpnęłam, ale bez rezultatu. Dopiero gdy Kobziarz pochylił się, a jego dłoń pochwyciła kratę między moimi dłońmi, rozległ się przeciągły zgrzyt i właz ustąpił. Odrzuciliśmy go w śnieg, ale wtedy okazało się, że wylot blokuje coś, co w pierwszej chwili wyglądało na warstwę ziemi. Kobziarz pochylił się i dźgnął ją ostrzem sztyletu, które zapadło się na kilka centymetrów. Gdy poruszył nożem to w jedną, to w drugą stronę, naszym oczom ukazała się siatka. Był to filtr, który zatrzymywał wszystkie zanieczyszczenia, wpadające do środka przez stalową kratę. Cieniutka siateczka szybko poddała się ostrzu mego noża i po chwili wyciągnęłam ją na zewnątrz wraz z krążkiem spoczywającego na niej brudu. Część zanieczyszczeń spadła w dół, ale niezbyt daleko – po usunięciu pierwszego filtra natknęliśmy się na kilka kolejnych, z których ostatnia była jakiś metr pod powierzchnią ziemi. By ją wyciąć, musiałam się położyć i wsunąć ciało w głąb szybu, podczas gdy Kobziarz przez cały czas trzymał mnie za pasek.

W końcu wciągnął mnie na górę, a ja wyrzuciłam ostatnią siatkę na śnieg. Nigdy nie widziałam niczego wykonanego tak misternie. Ba, siateczki były tak leciutkie, że nie zostawiały nawet śladu na ziemi, a każde włókno było cenniejsze niż nitka pajęczyny. Błona oddzielająca Arkę od reszty świata.

Usuwane przez nas warstwy kurzu i śmieci przypuszczalnie spoczywały na filtrach od setek lat. Nikt ich tu nie ruszał i gdybyśmy uważnie przesiali osad na każdej siatce, zbadalibyśmy upływ czasu. Na samej górze, pod śniegiem, spoczywała ziemia, liście i nasiona. Pod nią odkrywaliśmy resztki z ponurych lat po Wybuchu, kiedy wszystko odradzało się powoli i niechętnie. Być może znajdowały się tam resztki pierwszych odradzających się roślin. Niżej leżał przeklęty popiół z Długiej Zimy, który na wiele lat zasłonił niebo czarną kurtyną, a na spodzie popiół z samego Wybuchu, a w nim kawałki kości i budynków.

Zajrzeliśmy w głąb tunelu, który okazał się stalową rurą. Nie biegła pionowo, ale pod ostrym kątem. Ciemność nocy wydawała się łagodna w stosunku do absolutnego mroku, który czał się w środku.

– Cieszę się, że przynajmniej idziemy śladami Heatona – powiedziałam. – Mam wrażenie, że on pokazuje nam teraz drogę.

– On próbował stamtąd uciec – zauważył Kobziarz. – Nam chodzi o coś przeciwnego.

Zignorowałam jego słowa i przyjrzałam się jego rozłożystym ramionom.

– Ten szyb jest za wąski dla ciebie – uznałam.

– Sama tam nie pójdziesz – oznajmił.

Odstawił plecak na ziemię i uklęknął na brzegu tunelu. Nie powiedziałam tego na głos, ale poczułam wielką ulgę na myśl o tym, że nie wkroczę do królestwa ciemności w pojedynkę.

Rura okazała się tak wąska, że nawet ja nie byłam w stanie wślizgnąć się do niej z plecakiem. Wypchaliśmy więc kieszenie zapalkami i suszonym mięsem, napełniliśmy latarnię, zarzuciłam pasek z manierką z wodą na ramię, a potem wspólnie ukryliśmy resztę naszych bagaży pod sąsiednim głazem.

– Ja pójdę pierwszy – oznajmił Kobziarz, zapaliwszy lampę.

– Nie, to bez sensu. Ja muszę rozpoznawać drogę – powiedziałam i wzięłam od niego lampę, choć przecież nie miałam zamiaru polegać na wzroku. W wędrówce przez ciemność chciałam się posłużyć mym umysłem pełnym wątpliwości, który mknął naprzód i wykrywał przestrzenie, luki oraz przeszkody.

– Gotowy? – spytałam.

– Oczywiście, że tak. – Kobziarz się uśmiechnął. – Ruszam w ślad za wizjonerką, która sama podąża za instrukcjami, spisanyymi przed setkami lat przez człowieka, któremu nie powiodła się próba ucieczki. Zagłębiam się zaś w sam środek podziemnej ruiny pełnej żołnierzy Rady. Cóż może pójść nie tak?

Rozdział trzydziesty drugi

Przebywałam już w ciasnych pomieszczeniach. Tunele, którymi wraz z Kimą uciekałam z Wyndham, były niskie i ciemne. W kanale, którym wyprowadził nas z komory ze zbiornikami, panowała duchota i nie było wcale światła, ale nie mieliśmy czasu na przygotowania. Nie było też wówczas czasu na to, by poczuć strach. Żadne z tych doznań nie równało się z tym – powoli brnęłam przez kanał tak wąski, że musiałam trzymać ręce wyciągnięte do przodu, gdyż nie było na nie miejsca po bokach. Nie byłam w stanie nawet spojrzeć za siebie i wypatrzeć Kobziarza. Widziałam jedynie kształt mego ciała i metalowe ściany tunelu, odbijające blask lampy. Przed sobą, za niewielką kulą światła rzucanego przez lampę, gęstniała absolutna ciemność, cofająca się powoli, w miarę jak pełzaliśmy naprzód.

Nie było już mowy o tym, by zawrócić. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co zrobimy, jeśli droga przed nami okaże się zablokowana. Tunel opadał pod ostrym kątem, więc wątpliwe, byśmy w ogóle byli w stanie czołgać się tyłem pod górę. Słyszałam za sobą oddech Kobziarza i zgrzyt jego noży o ścianki tunelu. Niebawem zrobiło się cieplej – we wnętrzu Arki panował bowiem zupełnie inny klimat, obojętny na mroźną noc, którą zostawiliśmy za sobą. Mój pot mieszał się z kurzem i wkrótce skórę pokryła mi lepka papka. Śliskimi dłońmi nie byłam w stanie pochwycić się niczego, a więc właściwie nie tyle pełzałam, ile ześlizgiwałam się. Zaczęłam wyczuwać bliskość rzeki nad nami. Nie słyszeliśmy jej, ale czułam jej niekończący się bieg, który pogłębiał tylko mój klaustrofobiczny lęk. Miałam wrażenie, że jestem miażdżona, a tymczasem tunel jeszcze bardziej się zwężał. Byłam wręcz przekonana, że czuję, jak zdusza mi pierś. Próbowałam narzucić sobie spokój, ale ciało mnie nie słuchało. Każdy kolejny oddech był krótszy od poprzedniego, aż zaczęłam pospiesznie sapać jak człowiek trawiony gorączką.

Ciasnota tunelu zniekształciła słowa Kobziarza:

– Cass, musisz się uspokoić.

Jego głos był opanowany, choć wędrownka z pewnością przychodziła mu z jeszcze większym trudem niż mnie.

– Nie. Mogę – wyrzuciłam z siebie pojedyncze słowa, każde tej samej długości co pospieszny oddech. – Nie. Mogę. Oddychać.

– Dotarłem za tobą aż tu. Jesteś jedyną osobą, która zna drogę. Musi ci się udać. Dasz radę.

Gdyby próbował mi rozkazywać, moja panika zapewne natychmiast by się pogłębiła. Powiedział jednak, że potrzebuje mojej pomocy, a ja wiedziałam, że to prawda. Czułam, że jeśli nie wezmę się w garść, oboje zginiemy. Zach i Zoe również. Wszystko się skończy i nikt nawet nie znajdzie naszych ciał. Znajdziemy

się pod ziemią, ale nikt nigdy nas nie pochowa.

Znów pomyślałam o Kimie i jego ciele, którego nigdy nie odzyskałam.

Odepchnęłam od siebie te myśli i ruszyłam naprzód. Nie istniała ciemność, która byłaby straszliwsza od wspomnień o nim. Pełzałam naprzód, opierając dłonie o obłe ściany tunelu.

Szyb wentylacyjny dwukrotnie skręcił pod ostrym kątem i z trudem pokonaliśmy przeszkodę. Za pierwszym ze skrętów mogliśmy przez moment pełzać w poziomie, co przyniosło nam chwilę wytchnienia, ale po drugim znów ruszyliśmy niemalże pionowo w dół. Trzykrotnie tunel rozgałęział się i musiałam zacisnąć powieki i wyteńczyć umysł, by wybadać kierunek, póki nie odnalazłam właściwej drogi. Miałam wrażenie, że ciskam kamieniem w głąb studni i czekam na stukot. Kobziarz nie zadawał pytań i nie narzekał, kiedy się zatrzymywałam. Czekał, aż się upewnię co do dalszego kierunku. Przed sobą, za słabym blaskiem lampy, widziałam ciemność tak gęstą, że w końcu zamknęłam oczy, by móc skupić się na wykrywaniu dalszej drogi siłą umysłu. Pocieszało mnie jedynie to, że nie czułam wokół nas śladów ludzkiej bytności. Na wschodzie, w głębszych partiach Arki, nadal dudniło od ludzi, ale przestrzeń pod nami, choć ciemna i ponura, przynajmniej nie rozbrzmiewała niczymi głosami. Wiedziałam jednak, że nie powinnam bezgranicznie ufać swoim zdolnościom, gdyż zawsze łatwiej przychodziło mi wyczuwanie miejsc aniżeli ludzi, a zarówno jedno, jak i drugie wymagało ogromnej koncentracji. Mój umysł często błędził między przeszłością, terażniejszością a przyszłością, co stwarzało dla mnie dodatkowe zagrożenie, ale tu, w ciasnym labiryncie Arki, obecność ludzi wydawała się rozbrzmiewać echem, podczas gdy inne fragmenty podziemnego kompleksu nadal wypełniało ciężkie, nieporuszone od wieków powietrze.

Nie miałam pojęcia, jak głęboko dotarliśmy.

„Pokonaliśmy już chyba setki metrów w głąb ziemi?” – myślałam.

W tunelu było już tak ciepło i wilgotno, że śnieg na powierzchni zdawał się przynależać do całkiem innego czasu i świata.

Czułam, jak tunel przed nami się rozszerza, ale jego koniec całkiem mnie zaskoczył. W pewnym momencie wyciągnęłam rękę i nie miałam już czego dotknąć. Wyślizgnęłam się z otworu i spadłam na podłogę, która znajdowała się jakieś dwa metry przede mną. Nic sobie nie zrobiłam, ale sapnęłam z bólu i zawołałam cicho, by ostrzec Kobziarza. Podłogę pod nami pogrywała gruba warstwa kurzu, a ja upadłam twarzą naprzód, w ostatniej chwili amortyzując upadek rękami. Krzywiąc się, wystawiłam język i pluć, próbując się pozbyć paskudnej mieszanki śliny i pyłu. Jedno ze szkiełek latarni stłukło się, ale lampa nadal się paliła. Rozejrzałam się w poszukiwaniu okruchów szkła, ale te zaginęły wśród kurzu. Gdy się odwróciłam, ujrzałam ramię Kobziarza, które wyłoniło się z tunelu. Obrócił się zrećźnie i wylądował na nogach, wzbijając tumany pyłu.

Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak ciężko mu jest, dopóki nie ujrzałam ulgi na jego twarzy oświetlonej przez jego rozkołysaną latarnię. Był rozpromieniony i uśmiechał się szeroko, aż mu zęby połyskiwały.

– Nie ruszaj się! – rzuciłam.

Kobziarz spojrział w dół i natychmiast zrozumiał, o co mi chodzi. Tunel wyrzucił nas do okrągłego pomieszczenia o średnicy ponad dziesięciu metrów. W centrum ziała okrągła dziura, kilkakrotnie większa od tej, z której wypełziliśmy. Wystarczyłby jeden krok do tyłu, a Kobziarz wpadłby w przepaść.

– Wyczuwasz tu jakichś żołnierzy? – spytał.

– Nikogo. – Pokręciłam głową. – Są głębiej. Nie dotarliśmy jeszcze do zasadniczej części Arki. Te pomieszczenia nie zostały zbudowane dla ludzi. To element systemu wentylacji.

Mimo wszystko porozumiewaliśmy się szeptem. Kobziarz wziął ode mnie lampę i opuścił ją do dziury, a wtedy odkryliśmy, że wcale nie jest pusta. W jej centrum znajdowała się oś, do której przymocowano płaskie łopatki, przypominające nieco szprychy koła. Każda z nich miała długość prawie dwóch metrów i szerokość trzydziestu centymetrów. Przywodziły na myśl skrzydła wiatraka, ale wykuto je z bezlitosnego metalu i umieszczono równolegle do podłogi. Kobziarz trącił najbliższą łopatkę butem i całość powoli przesunęła się ze zgrzytem o pół obrotu.

– Założę się, że kiedyś, gdy jeszcze działała Elektryka, kręciło się samo – powiedziałam.

– Heaton chciał się tędy wspinać? – dziwił się Kobziarz. – Gdy to coś działało?

– Był mądrym człowiekiem. Na pewno znał sposób, by zatrzymać te łopatki, przynajmniej na tyle długo, by mógł się prześlizgnąć.

Kobziarz trącił kolejną łopatkę butem.

– To pewnie też element tego systemu wentylacyjnego – powiedziałam. – To koło wirowało, ściągając na dół świeże powietrze i wyrzucając wszelkie popioły z Wybuchu na zewnątrz. To dlatego nie mieli na dole mutacji ani bliźniaków. Spójrz tylko na to wszystko.

Wskazałam ściany, po których pełzały liczne przewody i grube rury. W równych odstępach znajdowały się tam również okrągłe otwory wielkości dłoni. Z niektórych wystawały rury, inne zaś były otwarte niczym wrzeszczące usta. Pod każdą z nich znajdowała się metalowa tabliczka z wygrawerowanym opisem. Starłam kurz z kilku najbliższych, ale dalej niczego nie rozumiałam: „Obw. Ekstrakcyjny 471.”, „Recyrk. 2 (Pobór)”, „Zawód odprowadzający”.

Spodziewałam się, że we wnętrzu Arki natrafię na maszyny. Nie miałam jednak pojęcia, że sama Arka również jest swego rodzaju maszyną. Cała jej konstrukcja składała się na mechanizm, pozwalający na życie w głębinach ziemi.

Ludziom, którzy ją stworzyli, nie wystarczyło to, że zorganizowali przestrzeń do życia kilkaset metrów pod powierzchnią ziemi. Nie ufali nawet powietrzu, które w drodze na dół musiało pokonać istny tor przeszkód. Ci, którzy przeżyli na powierzchni, musieli się zmagać ze światem nawiedzonym przez klęski i nie mogli liczyć na schronienie za włazami, filtrami czy metalowymi drzwiami, podczas gdy mieszkańcy Arki mieszkali w ukryciu pod nimi.

Kobziarz kucnął na skraju dziury i zerkał w dół przez szczeliny między łopatkami.

– Głęboko tam nie jest – oznajmił.

W istocie, zaledwie kilka metrów pod łopatkami znajdowała się podłoga, a przeciągnięcie się między samymi łopatkami również nie nastroczało wielkich trudności.

– Ja pójdę pierwsza – powiedziałam i ukucnęłam, szykując się do zejścia. – Będziesz mógł mi podać latarnię.

Byłam już na czworakach, szykując się do spuszczenia nóg w dół, gdy Kobziarz syknął:

– Stój! Kurz!

Spojrzałam w dół. Betonową podłogę pokrywał ten sam szary pył, który był wszędzie, i nie widziałam w nim nic szczególnego. Dłoń całkowicie w nim zniknęła.

– Nie tu. Na łopatkach.

Uklęknęłam i odwróciłam się, by zerknąć na łopatki.

– Nie ma na nich kurzu! – oznajmiłam zaskoczona.

– Otóż to – potwierdził Kobziarz i pomógł mi wstać. – To coś nadal się obraca, i to na tyle regularnie, by pozbyć się wszelkiego pyłu.

Nie mogłam uwierzyć w to, że coś tu nadal działa, ale Kobziarz miał rację. Na łopatkach nie było ani pyłka. Rozejrzałam się uważniej i wtedy zauważyłam, że warstwa kurzu na skraju dziury jest stosunkowo cienka, ale rośnie w kierunku ścian sali, jakby coś rozdmuchiwało pył od środka.

– Minęło czterysta lat – powiedziałam. – Może nawet więcej. Sam czytałeś te wszystkie dokumenty i wiesz, co tam było napisane. Wszystko przestało działać.

– Nie do końca – rzekł.

Wtedy przypomniałam sobie, że światło elektryczne w mojej celi w Przechowalni również czasami słabło. Czy tu, w Arce, było podobnie – Elektryka ustępowała, a potem znów się pojawiała, lecz przerwy stawały się coraz dłuższe?

– Poza tym nie wiemy, jak te maszyny działały – dodał Kobziarz. – Lepiej poczekać chwilę. Jeśli to coś zacznie pracować w chwili, gdy będziesz schodzić w dół, przetnie cię na pół.

Odsunęliśmy się od łopatek i usiedliśmy w kurzu pod ścianami. Czulałam się dziwnie, kiedy obserwowaliśmy maszynę, by się przekonać, czy ożyje i zacznie

działać. Mało się odzywaliśmy. W pomieszczeniu panowała duchota, a dźwięki, tłumione przez kurz, roznosiły się w osobliwy sposób.

– Nawet jeśli te łopatki zaczną się wkrótce obracać, niewiele to tak naprawdę zmieni – powiedziałam. – I tak będziemy musieli się między nimi prześlizgnąć.

– Przekonajmy się, z czym mamy do czynienia – odparł Kobziarz.

Czekaliśmy, aż koło z łopatkami zacznie się obracać, ale najpierw pojawiło się światło. Bez żadnego ostrzegawczego dźwięku w pomieszczeniu nagle pojaśniało, zupełnie jakby ciemność była kurtyną, którą można zerwać jednym ruchem. Skuliłam się przy ścianie, a Kobziarz zerwał się na równe nogi, wyrwał miecz i rozejrzał się gorączkowo. Po nikłym świetle, rzucanym przez nasze lampy, blask raził nas w oczy. Źródło światła również nie przypominało tego, które widziałam w mojej celi w Przechowalni – tamto wisiało na drucie, a te były wbudowane w sufit i tworzyły jarzącą się linię. Płonęły również panele w ścianach, przez co nie rzucaliśmy cieni. Cóż, nasze cienie pozostały na powierzchni wraz ze świeżym powietrzem i czystym niebem.

Kilka sekund po tym, jak pojawił się dźwięk, usłyszeliśmy hałas. Był to zgrzyt przypominający stąpanie po okruchach szkła. Łopatki zaczęły się obracać, z początku powoli, ale wystarczyła chwila, by zaczęły wirować szybciej, niżbym się tego spodziewała. Nie potrafiłam już rozróżnić żadnej z nich, a pomieszczenie poniżej całkowicie znikło, gdy obracające się łopaty zlały się w jedno. Podmuch odrzucił mi włosy z twarzy, uniosłam też ramię, by osłonić oczy, bo gigantyczny wentylator wprawił pokłady pyłu w dziki taniec. Kobziarz również zasłonił twarz, a jego spojrzenie skakało od świateł do wirujących łopat. Uświadomiłam sobie, że przecież on nigdy wcześniej nie widział Elektryki. Ja przez cztery lata mieszkałam w celi w towarzystwie sztucznego światła, widziałam skomplikowaną technologię zbiorników i bazę danych Spowiedniczki. Dla niego łopot wentylacji, biały poblask świateł i ich niskie buczenie, równie natrętne jak warkot skrzydeł ważki, były całkowitą nowością. Po chwili wsunął nóż za pas, ale nadal stał na lekko ugiętych kolanach, gotów do błyskawicznej reakcji. Nie opuszczał też ramienia, wciąż zaciskając pięść, jakby Elektrykę można było odpędzić ciosami.

– To niezwykle – oznajmił, przekrzykując warkot wentylatora. – Przecież minęło tyle wieków!

Znów spojrzałam na światła. Kobziarz miał rację – byłam przerażona, ale czułam również podziw. Ośmieliłam się pochylić nad obracającymi się łopatkami, a wówczas moją twarz smagnał silny prąd powietrza. Miałam przed sobą iluzję wiatru w miejscu, gdzie wiatr nigdy nie miał prawa dotrzeć. Nie byłam w stanie przestać myśleć o tym, co by się stało, gdyby wentylator uruchomił się w chwili, gdy prześlizgiwałam się między łopatkami.

„Przynajmniej miałabym szybką śmierć – pomyślałam. – Cięcie byłoby tak szybkie, że nawet nie zdążyłabym poczuć bólu. A Zach umarłby zapewne równie

szybko, może na spotkaniu Rady lub podczas inspekcji nowych zbiorników w którymś przytułku. Padłby na podłogę niczym lalka, której przecięto sznurki”.

Blask i dźwięk trwały jeszcze przez kilka minut, choć trudno było zmierzyć upływ czasu w tym podziemnym świecie. Potem światła zamigotały dwa razy i zgasły, a naszą jedyną bronią przed całkowitą ciemnością pozostały nasze własne lampy. Łopatki obracały się jeszcze przez kilka chwil, ale powoli wytracały szaleńcze przyspieszenia. Każdy kolejny obrót był wolniejszy od poprzedniego, aż wirnik znieruchomiał całkowicie.

– Nadal musimy przeleźć między nimi – powiedziałam.

Kobziarz uniósł latarnię nad nimi, aż zalsniły ostre krawędzie łopat. Żałowałam już, że uświadomiliśmy sobie, iż wentylacja nadal działa. Łatwiej byłoby mi zdać się na łaskę łopat bez tej wiedzy.

Kobziarz rozejrzał się dookoła.

– Nie ma tu nic, czym by można je zablokować – rzekł.

Miał rację. W pomieszczeniu nie było żadnych mebli, a panele zostały osadzone mocno w ścianach i nic nie wskazywało na to, by można je łatwo oderwać.

– Złożenie na dół wiąże się ze zbyt wielkim ryzykiem – powiedział. – Musimy zeskoczyć. Trzeba jak najszybciej przedostać się przez tę wentylację.

Stanęliśmy na brzegu okrągłej dziury. Przy samej krawędzi odległość między łopatami była największa, ale i tak liczyła sobie zaledwie nieco ponad pół metra. Jeśli chcieliśmy uniknąć kontaktu z ostrymi krawędziami, trzeba było skoczyć z absolutną precyzją. W najlepszym razie czekało nas bolesne uderzenie, a w najgorszym głęboka rana, oczywiście pod warunkiem, że ostrza ani drgną. Jeśli Elektryka zadziałałaby podczas skoku, nie mielibyśmy szans.

Odczekaliśmy jeszcze chwilę, by się przekonać, czy Elektryka budzi się wedle jakiegoś wzoru. W ciągu godziny spędzonej w tym pomieszczeniu światła rozbłysły jeszcze trzykrotnie, zwiastując rychłe uruchomienie wentylacji, ale nie dostrzegaliśmy żadnej prawidłowości. Między pierwszym a drugim razem minęło zaledwie kilka minut, trzeci nastąpił po dłuższej chwili ciemności i trwał zaledwie kilka sekund. W trakcie tej chwili wirujące koło ledwie zdołało osiągnąć maksymalną prędkość.

Elektryka była duchem, uwięzionym w kablach i przewodach Arki. Jej chaotyczne objawienia czyniły wędrówkę przez Arkę jeszcze bardziej przerażającym przeżyciem i sprawiały, że podskakiwałam ze strachu przy każdym nowym rozbłysku czy dźwięku.

Kilka sekund po ostatnim mignięciu świateł łopatki zaczęły zwalniać.

– Teraz – powiedziałam i podeszłam do skraju dziury. Wszystko wydawało mi się zamazane, gdyż moje oczy znów się przyzwyczajały do półmroku rozświetlonego blaskiem lamp.

– Ja wskoczę pierwszy – oznajmił Kobziarz. – Jeśli coś pójdzie nie tak, wracaj na górę.

Po co? Do czego? Gdyby zginął, Zoe również by umarła. Nigdy by nie wróciła, nigdy nie zostałaby znaleziona. Sama myśl o przedzieraniu się przez ów ciasny przewód ze świadomością, że zostawiam za sobą ciało Kobziarza i zmierzam ku ciału Zoe, była o wiele gorsza niż lęk przed wirnikiem.

– Zrobimy to razem – zaprotestowałam.

Kobziarz spojrział na mnie i pokiwał głową. Stanęliśmy po przeciwnych stronach dziury.

– Nie jest tam głęboko – powiedział, choć oboje wiedzieliśmy, że to nie lęk przed samym skokiem zrosił mi czoło potem. Prawdziwy strach wywoływało to, co musieliśmy pokonać po drodze.

– Czujesz coś? – zapytał. – Jakiś sygnał, że to coś znów ma zacząć działać?

– Nie. – Pokręciłam głową. – W ogóle nie zdawałam sobie sprawy z tego, że to jeszcze działa.

– Dobra – rzekł Kobziarz. – Skaczemy na trzy. Chcesz liczyć?

– A masz jakąś szczęśliwą liczbę?

Kobziarz roześmiał się cicho.

– Nie polegajmy na moim szczęściu.

Odliczyłam więc do trzech. Przy ostatnim słowie przeszył mnie dreszcz lęku, ale skoczyłam. Nie trafiłam idealnie, gdyż zawadziłam lewym kolaniem o łopatkę i sąsiednia uderzyła mnie w prawe ramię. Kobziarz, nadal trzymający lampę, opadł niczym smuga rozmazanego światła. Nagle uświadomiłam sobie, że oboje jesteśmy na dole. Kobziarz odetchnął, a ja usłyszałam własny śmiech, choć w tej samej chwili obejrzałam ramię w poszukiwaniu krwi. Nasze uśmiechy zgasły sekundę później, gdy wirnik nad nami znów zaczął się obracać.

Tuż pod wirującymi łopatkami siła podmuchu była wręcz przytłaczająca. Powietrze przygniotło nas do ziemi.

– Gdybyśmy odczekali chociaż parę sekund – krzyknął do mnie Kobziarz – lub gdyby moim szczęśliwym numerem było dziesięć, zostalibyśmy porąbani na kawałki!

– Może więc wcale nie masz takiego pecha! – odkrzyknęłam, pełznąć w stronę ścian, gdzie siła wiatru była nieco słabsza.

Rozejrzeliśmy się dookoła. Podobnie jak na górze po ścianach pełzały tu naręcza kabli i rur, wszędzie też było widać przyciski, których było tu chyba więcej niż w poprzednim pomieszczeniu. Napisy na metalowych tabliczkach wciąż były frustrującą mieszaniną znajomych i niezrozumiałych słów: „Szyb went. nr 4”, „Przekierowanie przez służę dekontaminacyjną”. Na trzech z czterech ścian widniały wielkie metalowe włazy, każdy z nich zasłonięty czarnym materiałem, popękany i zniszczony.

– Którą drogę obieramy? – spytał Kobziarz i dotknął materiału, który rozpadł mu się w dłoni. Widziałam, jak przygląda się rozmiarom włazu.

– Niech to szlag trafi! – krzyknął mi do ucha. – Myślałem, że to koniec z tunelami!

– Nie pomyliłeś się! – odkrzyknęłam. – Popatrz.

W tej samej chwili światła zgasły i znów byliśmy skazani na nikły blask lamp.

– Dobra – szepnęłam pośród litościwej ciszy. – Posłuchaj!

Cofnęłam się tam, gdzie przed chwilą stałam, i tupnęłam lekko nogą. Kurz na podłodze stłumił nieco odgłos, ale mimo to usłyszeliśmy brzęknięcie. Poczułam, jak coś przeskakuje pod moją stopą – w stalowej podłodze był luźny panel.

Kobziarz przysunął lampę i oboje ukłękliśmy. Odgarnęliśmy kurz na boki, a wtedy naszym oczom ukazały się grawerowane litery: „Wchodzić tylko w sytuacjach awaryjnych. Zakręć zawory wlotowe, gdy właz jest otwarty. Przestrzegaj procedur dekontaminacyjnych podczas opuszczania pomieszczenia kontrolnego”.

– Czy to się liczy jako sytuacja awaryjna? – spytał Kobziarz z krzywym uśmiechem.

Panel podłogowy był obwiedziony tym samym czarnym materiałem, którym przesłonięto włazy w ścianach, zużytym i rozpadającym się przy lada dotknięciu. Gdy Kobziarz pociągnął za dźwignię, właz otworzył się gładko i ujrzeliśmy tunel o wiele szerszy od napotkanych dotychczas. Na jednej ze ścian zamontowano stalową drabinę.

Zeszliśmy w dół kilkanaście metrów, aż moje stopy natrafiły na kolejny właz. Zamarłam na moment, by nabrać pewności, że w korytarzu pod nami nikt się nie porusza. Nie wykryłam niczego oprócz kurzu i śladowego, odległego pomruku Elektryki. Mimo to szłam najciszej, jak mogłam. Postawiłam ostrożnie latarnię na podłodze i złapałam za uchwyty włazu, który bez trudu dał się otworzyć.

Zeszłam kilka stóp w dół i znalazłam się na ziemi. Kobziarz do mnie dołączył.

Byliśmy w Arce.

Rozdział trzydziesty trzeci

Wreszcie znaleźliśmy się w otoczeniu o ludzkiej skali. Bynajmniej nie urzekło nas swą gościnnością, gdyż widzieliśmy jedynie szarą, twardą podłogę i niski sufit, a długi korytarz ginał w mroku. Co kilka metrów w suficie znajdowała się kratka, z której dobiegał powiew z systemu wentylacyjnego, który właśnie opuściliśmy. Szliśmy głównym korytarzem, a nasze lampy oświetlały jedynie kilka metrów przed nami. W pewnym momencie zauważyłam otwarte stalowe drzwi, potem jakiś kąt, którego linie proste zostały rozmazane przez grube warstwy pyłu. Kobziarz machnął latarnią i ujrzeliśmy kolejne drzwi, a za nimi następny ciemny korytarz.

Kilka miesięcy temu, gdy wraz z Zoe i Kimą przechodziliśmy przez miasto tabu na górskiej przełęczy, mój umysł był nękany nawoływaniem zmarłych. Tutaj nie słyszałam niczego takiego.

„Ciekawe, dlaczego? – myślałam. – Czy to dlatego, że ludzie w owym mieście zginęli jednocześnie podczas Wybuchu? Że eksplozja wyrwała im życie bez ostrzeżenia?”

W Arce powietrze, choć równie ciężkie, wydawało się inne, zdławione ciszą. Wyczuwałam w nim powolną śmierć. Odbierałam lata, a potem dekady ciemności, chowania się i stalowych drzwi. Niepokój, który ciągnął się korytarzami Arki, był cięższy od setek metrów ziemi, kamienia i wód rzeki nad nami.

– Ponuro tu, no nie? – spytał Kobziarz, przesuwając lampę to w jednym, to w drugim kierunku.

Odpowiadanie na takie pytania nie miało sensu. Każdy krok w tym miejscu przyprawiał o dreszcz zgrozy.

– Sądziłem, że będzie tu inaczej – ciągnął. – Może bardziej komfortowo. Kiedyś myślałem, że ci ludzie to szczęściarze, ale teraz nie jestem w stanie wyobrazić sobie zamknięcia tu na długie lata.

Doskonale pamiętałam wieczność spędzoną w celi i wiedziałam, co takie warunki mogą zrobić z człowiekiem. Twarde powierzchnie szarpały mi nerwy, a zamknięte drzwi sprawiały, że zaczynałam odchodzić od zmysłów. Niski sufit nad moją głową stał się szyderstwem nieba, którego tak długo nie widziałam.

Prowadziłam nas ku zachodowi okrężnymi tunelami, charakterystycznymi dla geografii Arki. Choć wydostaliśmy się już z ciasnych tuneli wentylacyjnych, powietrze pozostawało gęste i duszne, co tłumilo odgłos naszych kroków. Nikt nie szedł tędy od dłuższego czasu. Miałam wrażenie, że Rada zbada Arkę od góry do dołu, ale czułam, że żaden człowiek od wielu setek lat nie oddychał tym powietrzem. Nie musiałam nawet zaglądać do mijanych pomieszczeń, by mieć pewność – pustka w nich była równie materialna jak kurz. Czułam się jak w chwili, gdy podnoszę butelkę z wodą i badam jej ciężar. Nie muszę wszak jej odkręcać, by

wiedzieć, że jest pusta.

Drzwi po obu stronach były uchylone. Jak dotąd, poruszaliśmy się głównym korytarzem i w identycznych odstępach czasu przechodziliśmy przez stalowe wrota, grube i imponujące, zaopatrzone w rozliczne zamki, zasuwę i pokrętła, a mimo to otwarte. Przyjrzałam się jednemu z zamków. Nie odnalazłam dziurki od klucza, ale przy zamku znajdował się metalowy sześciąt z przyciskami, na których wygrawerowano cyfry od zera do dziewięciu. Sześciąt został odkręcony od drzwi i zwisał teraz na odsłoniętych kablach.

Za każdym razem, gdy sporadyczny przepływ Elektryki uruchamiał światła, pojawiały się też dźwięki. Słyszeliśmy szmery, lamp przypominające owadzie brzęczenie oraz warkot systemu wentylacyjnego, od czasu do czasu urozmaicony jakimś łoskotem. Gdy światła gasły, natychmiast zapadała cisza.

– Nic dziwnego, że aż tylu z nich oszalało – rzekł Kobziarz. – To miejsce przyprawia mnie o dreszcze.

Tu i ówdzie woda przedostała się przez ściany. Rzeka nad naszymi głowami nigdy nie zarzuciła prób przeniknięcia do środka kompleksu i sufit porastał gęsty, czarny dywan pleśni, spływający po prawej ścianie. Przywodził na myśl skórę ogromnego zwierzęcia zawieszoną na murze. Zajrzeliśmy do pomieszczenia, którego podłogę całkowicie zalała cuchnąca kałuża, zasilana kroplami powoli ściekającymi z sufitu. Krople spadały w rytmie naszych kroków i gdy ruszyliśmy naprzód, ze wszystkich sił powstrzymywałam odruch oglądania się za siebie, by upewnić się, że nikt za nami nie idzie.

Wkroczyliśmy do wielkiej sali, w której ciemność zdawała się dusić blask lamp. Znajdował się tam długi stół, a na nim schludnie rozłożone noże, widelce i talerze. Na każdym z nich oczekiwał posiłek składający się z grubej warstwy kurzu. Musnęłam ręką oparcie jednego z krzeseł. Nie wykonano go z drewna, skóry czy jakiegokolwiek innego rozpoznawalnego materiału. Choć mebel stał w tym podziemnym świetle od wielu setek lat, nie spleśniał ani nie popękał. Był twardy, ale nie tak chłodny, jak powinien być metal.

Gdyby nie pył i kurz, miałabym wrażenie, że jestem świadkiem całkowicie normalnej scenki, na którą można się natknąć w kuchni czy gospodzie. Kobziarz odłożył lampę i podniósł jeden z widelców, pokryty rdzą, a potem odrzucił go ze stukotem. Wzięłam go i ułożyłam na miejsce, równoległe do noża, gdy uświadomiłam sobie, jak idiotyczny był ten gest. Co ja właściwie robiłam? Nakrywałam duchom do stołu?

Następne drzwi, tak jak wszystkie poprzednie, były otwarte, a zasuwę sterczały na zewnątrz. Musnęłam je dłonią i wyczułam opuszkami palców wygrawerowane litery. Gdy Kobziarz uniósł lampę, odczytaliśmy je bez trudu,

choć w rowkach zalegał kurz.

Sekcja F.

– To tu trzymali tych wszystkich wariatów, prawda? – spytał Kobziarz.

Gdy przekraczałam próg, nadepnęłam na coś kruche go niczym suche ciastko, co rozpadło się pod moją stopą. Krzyknęłam cicho, a wówczas Kobziarz obrócił ku mnie latarnię. Wtedy uświadomiłam sobie, że rozdeptałam kość udową starego szkieletu. Wszędzie dookoła przy drzwiach widziałam kości, a przy ścianie kolejne.

W korytarzu za nami włączyło się oświetlenie, ale pomieszczenie, do którego wkroczyliśmy, pozostało ciemne. Przypomniałam sobie słowa dokumentu: „Wyłączono natomiast prąd (z wyjątkiem urządzeń obsługujących wentylację), gdyż priorytet stanowią potrzeby reszty populacji”.

Spojrzałam na kości przy drzwiach. Jak długo ludzie zamknięci w Sekcji F czekali przy zamkniętych drzwiach w całkowitej ciemności? Czy drapali drzwi, wrzeszczeli i błagali, by ich wypuścić? Metalowe drzwi, na których nie było żadnych śladów dramatycznych przejść, były niemy m świadkiem tych chwil.

Nim zeszedliśmy do Arki, bałam się żołnierzy i nieznan ych sobie maszyn. Nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele grozy kryje się w czymś o wiele prostszym – w stalowych drzwiach i stercie kości.

Wkrótce natrafiliśmy na kolejne kości. W niewielkim pokoju szkielet spoczywał na boku piętrowego łóżka, a kurz pokrywał go niczym śnieg. Kolejna sterta kości leżała na podłodze w korytarzu – miałam wrażenie, że ktoś odkopnął ją na bok. Kilka kroków dalej spoczywała czaszka odwrócona do góry. Przypominała miskę obwiedzioną zębami.

– To robota ludzi Rady? – spytałam.

Kobziarz uklęknął i przyjrzał się kościom.

– Nie wiem, kto to zrobił, ale doszło do tego niedawno. Widzisz kolor w miejscu, gdzie kość została złamana?

Pochyliłam się, by się lepiej przyjrzeć. W blasku latarni widziałam, że przekrój pękniętej kości był jasny, podczas gdy na zewnątrz była ona zbrązowiała.

Kobziarz ruszył przed siebie, niosąc latarnię.

Drzwi oznaczone napisem Sekcja G zacięły się półprzymknięte i musieliśmy prześlizgnąć się przez szparę. Wystające zasuwy haczyły mi koszulę.

Nie było tam łóżek. Zamiast nich ujrzel iśmy rząd ławek z rurami i dźwigniami oraz zlewy wstawione w stalową ścianę. Zajrzałam do jednego z nich i ujrzałam odpływ na samym dole, a obok niego martwego pajaka.

Wzdłuż tylnej ściany ciągnęły się półki, które ugi nały się pod wielkimi słojami. Szkło zamglił kurz zbierający się tam od wieków. Po słojach, które popękały bądź znikły, nadal pozostały kręgi w pyle.

Podeszłam bliżej. Kiedyś słoje zapewne wypełniała jakaś ciecz, która konserwowała zawartość niczym solona woda w marynatach mojej matki. Lub płyn w zbiornikach Rady. Teraz po cieczy pozostała jedynie brudna warstwa osadu pod każdym wieczkiem, a na dnie każdego słoika znajdowała się kupka drobnych kości.

Gdybym nie widziała szkieletów dziecięcych w grocie pod fortem Rady w Wyndham, zapewne próbowałabym się łudzić, że to kości jakichś małych zwierząt. Wypieranie prawdy było jednak luksusem, na który nie mogłam sobie pozwolić. Wystarczyło jedno spojrzenie, by rozpoznać ludzkie czaszki, tak drobne, że każda z nich zmieściłaby mi się w dłoni.

– Popatrz – rzekł Kobziarz.

Postawił latarnię na półce, wziął jedną z czaszek i podał mi ją. Wzięłam ją od niego. Była ciemnożółta i prawie nic nie ważyła, zupełnie jak skorupka jajka. Gdy obróciłam czaszkę w dłoni, uświadomiłam sobie to, co zauważył Kobziarz – czaszka miała trzy oczodoły. Delikatnie odłożyłam ją na półkę między inne kości. Trzy puste oczodoły spoglądały na mnie.

– A więc to mieszkańcy Góry, którzy wbrew swojej woli stali się przedmiotem badań – rzekł Kobziarz.

W kolejnej sali półki były już większe, a słoiki przypominały rozmiarami niewielkie baryłki. Na dnie każdego z nich znajdowały się dwa szkielety i dwie czaszki. Przypuszczalnie patrzyłam na pierwsze bliźnięta. Pochyliłam się, by spojrzeć przez zakurzone szkło najbliższego słoja. Obie drobne czaszki leżały przy sobie, a szczęki jednej z nich były rozchylone jakby w krzyku. Reszta kości leżała stłoczona jak chrust zebrany na ognisko. Napisy na większości etykiet zatarł czas bądź pochłonął grzyb, ale tu i ówdzie udało się odczytać kilka słów: „para 4 (drugi bliźniak: hiperdoncja)”, „para 7 (drugi bliźniak: policefalia)”. U jednej z czaszek zauważyłam kilka rzędów nachodzących na siebie zębów, u innej większa czaszka miała cztery oczodoły i dwa nosy. Próbowałam sobie wyobrazić mieszkańców Arki, którzy przeprowadzali swoje eksperymenty i oznaczali słoje. Oczyma wyobraźni widziałam, jak przydawali naukowe nazwy, jakby etykiety mogły uczynić je bardziej przystępnymi i zrozumiałymi. Jak próbowali udowodnić, skąd się wzięliśmy. Jak rozcinali ciała dzieci, wyjmowali im organy i na powrót umieszczali je w ich ciałach, jak liczyli im kości.

Tylną ścianę wypełniały szuflady, które ciągnęły się od podłogi aż po sufit. Otworzyłam jedną z nich. Była głębsza, niż się spodziewałam – wyciągnęłam ją na ponad metr i byłabym ciągnęła dalej, gdyby nie powstrzymał mnie grzechot kości. Ze środka spojrziała na mnie czaszka, wciąż lekko rozkołysana.

W każdej kolejnej szufladzie odkrywaliśmy to samo. Zaczynałam mieć wrażenie, że cała Arka została wzniesiona nie tyle ze stali i betonu, ile z kości.

Kobziarz zauważył moją bladość i zatrzasnął szufladę, którą trzymałam.

– Te kości niczego nam nie powiedzą – oznajmił. – Dlaczego nie ma tu

żadnych papierów? Dlaczego nie ma zapisków?

– Rada wszystko zabrała.

Nie widzieliśmy niczego, co mogłoby nam pokazać, w jaki sposób mieszkańcy Arki uporali się z naszą złowieszczą więzią. Jeśli te informacje nadal gdzieś istniały, znajdowały się w posiadaniu Pani Generał lub Zacha.

Kobziarz kopnął najbliższą szufladę. Coś w jej wnętrzu przesunęło się i zagrzechotało o stalową ścianę.

– Wciąż mamy jeszcze wiele poziomów do przeszukania – powiedziałam, próbując zamaskować bezradność. – Poza tym Rada nie skończyła jeszcze przeszukiwania Arki. Ci żołnierze są tu z jakiegoś ważnego powodu.

Przez kilka godzin włóczyliśmy się po zakurzonych pokojach. Widzieliśmy ściany pokryte rdzą i wilgocią. Natrafialiśmy na czaszki dzieci, które ważyły dokładnie tyle samo co koszmar. Gdzieś mignęła nam ławka z kośćmi ułożonymi niczym na wystawie sklepowej.

W korytarzach pod nami żołnierze zaczęli się przemieszczać. Czułam ich równie wyraźnie jak ruchy rzeki wysoko nad nami. Była to osobliwa świadomość, niemająca związku ani ze słuchem, ani też ze wzrokiem, ale mimo to dostarczała wyraźnych bodźców. Raz czy dwa dotarły do nas dźwięki z dołu – brzęknięcie metalu, odległy okrzyk. Bałam się poprowadzić nas na dół, ale w trakcie wielu godzin przeszukiwania górnych pięter natrafiliśmy jedynie na pleśń i szkielety. Rada – bądź ktoś przed nią – zabrała wszystko, co mogło się do czegoś przydać, a grube warstwy kurzu sugerowały, że żołnierze już dawno porzucili badanie górnych pięter.

Przysunęłam krzesło pod jedną z kratki wentylacyjnych na suficie, a Kobziarz wszedł na nie i za pomocą noża zabrał się do odkręcania śrub. Rdza zrobiła swoje i zadanie zajęło mu chwilę, ale wkrótce kratka znalazła się na podłodze, a my wciągnęliśmy się do systemu tuneli.

Kratki znajdowały się tu co kilka metrów, a więc pełzaliśmy naprzód wzdłuż korytarzy. Raz na jakiś czas mogliśmy zerknąć w dół i przyjrzeć się mijanym pomieszczeniom, co do jednego pustym. Prowadziłam nas ku miejscu, gdzie tunel zaczynał schodzić w dół i biegł wzdłuż schodów na niższy poziom. Zgasiałam wówczas lampę, by nie zdradziło nas światło. Od tego czasu widzieliśmy tylko sporadyczne rozbłyski Elektryki. Kratki rzucały pasiaste cienie w tunelu, dzięki czemu mogliśmy zerknąć w dół.

W chwili gdy światła były zgaszone, usłyszeliśmy żołnierzy. Było ich dwóch, sądząc po odgłosach kroków, popychali też hałaśliwy wózek. Wyłonili się zza rogu, a rozkołysana latarnia zawieszona na wózku rzucała płasające cienie na ściany. Zamarłam i ze wszystkich sił zdusiłam w sobie panikę, przeświadczona, że

w stalowym kanale, w którym się znaleźliśmy, nawet mój oddech rozbrzmiewa echem.

Wózek otarł się ze zgrzytem o ścianę i jeden z mężczyzn zaklął wściekle.

– Tylko spokojnie. Przecież siana, chłopie, nie wieziesz.

Znajdowali się dokładnie pod nami. Widziałam pot na łysej czaszce starszego żołnierza, który zatrzymał się, by uspokoić wóz prowadzony przez kolegę.

– Gorąco tu jak cholera – burknął ten. – Nie masz chyba mi za złe, że chcę się stąd jak najszybciej wydostać.

Zmrużyłam oczy, ale nie udało mi się dostrzec, co przewozili. Widziałam jedynie połysk metalu i kłębowisko drutu.

– Jeśli przewrócisz wózek i zepsujesz to coś, to obaj popamiętamy – rzekł łysy. – Widziałeś, co się stało z Cliffem.

Młodszy nie powiedział ani słowa, ale zwołał.

– Nie zmartwię się, jak wreszcie stąd wyjedziemy – rzekł po chwili.

– Nie zostajesz z technikami?

Młodszy pokręcił głową.

– Jak uporamy się z tym wszystkim, będę pracował przy instalacjach w nowym bunkrze.

Po chwili zniknęli z pola widzenia, ale nadal słyszałam ich głosy. Nie ośmieliłam się podążyć za nimi – bałam się, że usłyszą, jak się poruszam w metalowym przewodzie tuż nad ich głowami.

– Długo nie będziesz musiał czekać – rzekł starszy żołnierz. – Dwa tygodnie, jak wszystko pójdzie zgodnie z planem. Tak przynajmniej mówili wczoraj w mesie. Moim zdaniem jednak trzeba będzie poczekać trzy.

– Minimum trzy – odparł jego towarzysz.

Musiałam wyęzgać słuch, gdyż obaj mężczyźni zaczęli się już oddalać.

– Chyba że uruchomią nocne zmiany. Sprzątanie tych ostatnich pomieszczeń zapowiada się na niezłą harówkę. Korytarze są tak wąskie, że ledwie przepchniemy przenośne generatory. Część sprzętu trzeba będzie rozbierać na miejscu.

Przez dłuższą chwilę słyszałam tylko terkotanie wózka, a potem wszystko ucichło. Poruszaliśmy się później jeszcze wolniej i wzdrgaliśmy się na każde przypadkowe uderzenie łokciem czy kolanem o ścianę tunelu. Najślabszy nawet oddech odbijał się echem w metalowej rurze. Pod nami przeszedł samotny żołnierz, a potem kolejna para z wózkiem, ale ci poruszali się zbyt szybko, bym zdołała dostrzec jakikolwiek szczegół przez kratę. Bywało, że docierały do nas rozmowy ludzi, których nie widzieliśmy, zniekształcone echem rur. „Trzeba wrócić do centrali łączności...”. „...bez baterii...”. „Jeśli znowu dostaniemy rybę, przysięgam, że...”. „Sprawdź pod konwerterem...”.

Po jakiejś godzinie zauważyłam, że wszyscy idą w tym samym kierunku – na

zewnątrz, ku schodom prowadzącym do zachodniego wejścia. Zmusiliśmy się, żeby odczekać jeszcze godzinę. Liczyłam w głowie sekundy, co pomogło mi przestać myśleć o wysokiej temperaturze i pustym żołądku, a także bólu kolan i łokci, otartych podczas czołgania się przez tunele.

Przez godzinę nie minął nas żaden żołnierz, a ja nie wykrywałam żadnego ruchu wokół nas. Zdecydowałam się więc ponownie zapalić lampę. Żadne z nas nie było w stanie opuścić tunelu cicho i dyskretnie. Stępiłam nóż, próbując odkręcić zardzewiałe śruby, aż w końcu musiałam przesunąć się do przodu, by Kobziarz mógł pokonać opór ostatniej z nich, najbardziej upartej, kilkoma uderzeniami łokcia. W tym korytarzu często chodzili i pracowali żołnierze, którzy rozdeptali grubą warstwę kurzu. Nic więc nie było w stanie stłumić huku metalowej kratki, spadającej na betonową podłogę.

Kobziarz zeskoczył pospiesznie w ślad za nią, a ja za nim, niemalże przekonana, że pakuję się w zasadzkę. Na dole czekał jedynie mój towarzysz z nożem w ręku, przygarbiony w niskim korytarzu.

– Pomóż mi założyć kratkę z powrotem – szepnęłam.

– Jeśli ten łomot ich tu nie ściągnął, nie musisz szeptać – odpowiedział, ale posłuchał mojej rady i wspólnie wstawiliśmy kratkę na miejsce. Nie byliśmy w stanie założyć śrub, ale z daleka nie było widać różnicy.

Na powierzchni przypuszczalnie nastąpiła noc, a mi dokuczał głód, najlepszy dowód na to, jak wiele czasu spędziliśmy w Arce. Wyciągnęłam więc z kieszeni nieco suszonego mięsa, do którego niestety dostał się kurz. Żując swe porcje, przemierzaliśmy w milczeniu wąskie korytarze i zerkaliśmy do pomieszczeń znajdujących się wzdłuż nich. Niektóre były puste, w innych stały jeszcze jakieś meble, ale półki były już puste, a otwarte szuflady wybebeszone.

Inaczej wyglądał dopiero niewielki pokój na końcu korytarza, gdyż nie było w nim żadnych mebli. W ściany wbudowano maszyny, przypominające metalowe pudła. Na przyciskach i klawiszach osiadł kurz, ale nie było go wcale tak dużo jak na wyższych piętrach. Niektóre obudowy zostały otwarte, a część elementów wymontowana. Z jednego panelu wystawał pęk kabli, co przypomniało mi pewnego człowieka, którego widziałam w trakcie bitwy o Nowy Hobart, ściskającego jelita wypadające z rozciętego brzucha.

Zapaliły się światła. Podeszłam do jednej ze ścian i podjęłam próbę odczytania podpisów na tabliczkach, ale słowa nic mi nie mówiły. „Satelita nr 4”? „Trangulacja”? „Rejestracja radiowa nr 2”?

Kobziarz, który stał obok mnie, przesunął dłonią po szybcie z czarnego szkła. Jego palce pozostawiły ślad w kurzu.

Głos, który rozległ się w pomieszczeniu, był jednocześnie zbyt głośny i zbyt odległy. Kobziarz odwrócił się ku drzwiom z nożem w ręku i zasłonił mnie własnym ciałem, niemniej wtedy odkryliśmy, że głos nie dochodził od drzwi.

Wydawał się dobiegać ze wszystkich stron jednocześnie i rozbrzmiewać echem w pomieszczeniu.

Ja również zacisnęłam dłoń na rękojeści noża, ale żołnierze nadal nie nadchodzili. Pomieszczenie było nadal puste, a ja wciąż słyszałam słowa. Co więcej, czułam, że w pobliżu nie ma żywej duszy, nie licząc nas, przerażonych wędrowców, którzy zastygli na progu.

Głos mówił i urywał się, podobnie jak Xander, który bezsilnie uderzał o barierę, jaką stanowił dla niego język. Słowa zaś przerywane były nagłymi hałasami, trzaskami przywodzącymi na myśl ogień pochłaniający suche siano.

... to zarejestrowana transmisja... od Konfederacji Rozrzuconych Wysp... podczas wybuchów... i ucierpiały od bezpośrednich trafień... ocaleli, ale południowe i zachodnie rejony nie nadają się do zamieszkania... pomimo tysięcy ofiar... rolnictwo odrodziło się ponownie, a postęp... plaga bliźniactwa została powstrzymana, nie licząc zewnętrznych... mutacje są powszechnym zjawiskiem, ale o różnych stopniach zaawansowania... prosimy o odpowiedź... simy od odpowiedź... to zarejestrowana transmisja... od Konfederacji Rozrzuconych Wysp... podczas wybuchów...

Wysłuchaliśmy komunikatu sześciokrotnie. Te same słowa, te same zgrzyty. Potem światła zgasły ponownie, a ciemność pochłonęła dźwięki.

Wydawało mi się, że to Elektryka jest duchem uwięzionym w kablach Arki, ale teraz usłyszałam prawdziwego ducha – głos z Zamorza, zamknięty w tym dusznym pokoju. Ta wiadomość pokonała setki lat i setki mil, byśmy teraz mogli jej wysłuchać.

Serce waliło mi o żebra mocno niczym pięść. Nie mówiliśmy ani słowa. Czy istniało coś, co można było jeszcze powiedzieć? Miałam wrażenie, że język ludzki wzniósł się na zupełnie nowy poziom, jakbym po raz pierwszy w życiu zrozumiała prawdziwą potęgę słów. Ten ciąg porwanych słów, wypowiedzianych przez maszynę, pochodził z Zamorza. Każde z nich było nowym Wybuchem, który przekształcał nasz świat.

Przez następną godzinę, gdy wracała Elektryka, badaliśmy maszyny w pomieszczeniu, ale udało nam się jedynie uruchomić i ponownie zatrzymać ten sam głos. Należało w tym celu dotknąć panelu odkrytego przez Kobziarza. Pozostałe maszyny, choć obmacywaliśmy je ze wszystkich stron, pozostały nieme i głuche. Wiele z nich zostało częściowo rozebranych, a wszystkie pokrywał kurz. Nie natrafiliśmy też na żadne papiery czy mapy. Nie było tu nic bardziej namacalnego od głosu.

Szybko uświadomiłam sobie bezcelowość naszych poszukiwań. Przecież skoro te maszyny nadal działały i były w stanie odbierać wiadomości z Zamorza, żołnierze czuwali tu zapewne dzień i noc, a Rada przeszukała pomieszczenie

o wiele sumienniej od nas. Maszyny były teraz jedynie w stanie powtarzać tę prostą informację. Znaleźliśmy wszystko, co się znaleźć udało, a to musiało nam wystarczyć. Udowodniliśmy, że Zamorze przetrwało i znalazło sposób na powstrzymanie bliźniactwa.

 Nie mieliśmy też wątpliwości, że Rada również o tym wie.

Rozdział trzydziesty czwarty

Trudno było utrzymać rachubę czasu w miejscu, w którym blask słońca stanowił tylko wspomnienie i nawet powietrze było ciężkie od kurzu. Wiedzieliśmy jednak, że żołnierze powrócą, a kiedy do tego dojdzie, będziemy musieli uciekać do systemu wentylacyjnego lub na górne poziomy. Wiedziałam też, że Arka nie ujawniła jeszcze przed nami wszystkich swoich sekretów. Zamorze przetrwało, ale teraz musieliśmy je odnaleźć. Położenie kresu bliźniactwu było możliwe, ale wciąż nie wiedzieliśmy, jak tego dokonać. Opuściliśmy więc pomieszczenie, w którym sporadycznie odzywał się głos, a ja poprowadziłam Kobziarza wschodnim korytarzem, a potem w dół po schodach.

Na samym dole natknęliśmy się na pozostałości po wysadzonych drzwiach, z których pozostał jedynie kawałek stali, zwisający z poskręcanych zawiasów. Napis na ścianie głosił: „Sekcja A – dostęp zastrzeżony (poziom 6a)”, a ciemność w korytarzu, który ciągnął się za drzwiami, rozświetlały migoczące nieustannie lampy. Ku mojemu zdumieniu najniższe poziomy Arki okazywały się też najjaśniejsze, ale z drugiej strony z odnalezionych przez nas zapisków wynikało, że Projekt Pandora był kontynuowany nawet w chwili, gdy mieszkańcy Arki oszczędzali prąd i separowali od siebie szaleńców. Tu, w najgłębszych czeluściach kompleksu, Elektryka nadal działała jak należy. Papiery Joego w kilku miejscach wspominały, że Arka dysponuje paliwem, które się nie kończy – „siłownie atomowe przetrwają nas wszystkich” – niemniej czytanie niejasnych słów na starych, rozpadających się kartkach w niczym nie przygotowało mnie na takie wrażenia. Na własne oczy widziałam światła, które przetrwały kilkaset lat. Miałam wrażenie, że patrzę na magię zaklętą w maszynach.

Kobziarz przeszedł przez drzwi. Ja zatrzymałam się na moment za nim. Nikły blask naszych latarni oraz uruchamiające się losowo światła w tunelach odsłaniały wystarczająco dużo przerażających tajemnic, które kryły się w tunelach Arki. Nie miałam pojęcia, co znajduje się w Sekcji A, ale tym razem nie mogliśmy już liczyć na dobrotliwą ciemność. Dwukrotnie odetchnęłam powoli i ruszyłam w ślad za Kobziarzem.

Przez chwilę miałam wrażenie, że zostałam uderzona w głowę. Wybuch był tak ostry, a eksplozja świateł tak gwałtowna i bolesna, że krzyknęłam, zatoczyłam się i wpadłam na Kobziarza. Dłonie kurczowo przycisnęłam do twarzy. Widziałam, że jego usta się poruszają, ale wszelkie dźwięki pochłonał ryk płomieni. Chciał, bym szła naprzód, ale odepchnęłam go i skuliłam się pod ścianą, ściskając głowę między przedramionami.

Wizja ustąpiła po chwili i mogłam na powrót się podnieść, ale przed oczami nadal migotały mi białe plamki, czułam też swąd spalenizny.

– Ruszajmy – wykrztusiłam i machnęłam na niego, by ruszył naprzód.

Potrząsnęłam głową, by pozbierać myśli. Idąc za Kobziarzem, przytrzymałam się jedną ręką ściany, by nie stracić równowagi. Wtedy zarejestrowałam odgłos, którego nigdy dotąd tu nie słyszałam – szum wody. Wyczuwałam obecność rzeki do chwili, kiedy weszliśmy do Arki, ale teraz również ją słyszałam. Na suficie, obok przewodów wentylacyjnych, biegły grube rury, a przez nie przetaczał się czarny nurt rzeki.

Każdy kolejny pokój okazywał się pusty, choć nie w tym sensie co pomieszczenia na górnych poziomach, gdzie szare ściany najwyraźniej zawsze były całkowicie nagie. Pokoje w Sekcji A zostały całkowicie opróżnione. Częściowo usunięto ściany, zerwano całe panele, a druty i przewody poprzycinano lub powyrywano. Z postrzępionych końcówek sterczały pęki miedzianych drucików.

W mojej głowie wciąż powtarzała się wizja wybuchów, chaotyczna niczym światła na górnych poziomach Arki. Zacisnęłam mocno zęby i próbowałam się skupić na splądrowanych pomieszczeniach. Było ich z każdą chwilą coraz więcej, gdyż od głównych pokoi odchodziły mniejsze, ale wszystkie zostały dokładnie ogołoczone. Nie widziałam nigdzie ani śladu aparatury podobnej do tej, którą z Kimą niszczyliśmy w silosie. Nie licząc luźnych kabli odchodzących od ścian, nie było tu żadnych maszyn. Wszystkie zostały starannie wydobyte – widziałam równe ślady cięcia piłą na betonie – a następnie wyniesione. Pozostały jedynie tabliczki na ścianach i drzwiach i pamiątki po rzeczach, których już tam nie było: „pompa chłodząca nr 3”, „odpływ skondensowany”, „dźwignia ciśnieniowa (pomoc)”.

– Rada niczego nie zniszczyła – powiedziałam. – Oni jedynie przenoszą sprzęt w inne miejsce.

Do głowy przyszedł mi ów nowy bunkier, wspomniany przez żołnierza kilka godzin temu.

Tymczasem w samej Sekcji A pozostało jeszcze trochę pracy. Zagłębiwszy się daleko w labirynt pomieszczeń, natrafiliśmy na takie, z których wyniesiono tylko część sprzętu lub zgoła wcale. W niektórych salach panele ścienne były nadal nietknięte i nadal wyposażone w rzędy przycisków. Kilka mieniło się również konstelacjami zielonych lub pomarańczowych światełek. Inne pomieszczenia zostały już częściowo wybebeszone – usunięto niektóre panele, przez co mogliśmy zajrzeć do środka maszynerii. Na podłodze leżał pergamin, na którym wyrysowano precyzyjnie schemat rozebranego panelu. Wszystkie kable i gniazdka zostały ponumerowane. Obok stał wózek, załadowany do połowy wymontowanymi sprzętami, z których każdy otrzymał numer porządkowy. Przyjrzałam się schematowi na podłodze, ale nic z niego nie rozumiałam, gdyż zawierał same liczby i obce, nieznanne słowa: „koordynaty startu”, „sterowanie ręczne”. Byłam zszokowana złożonością maszynerii – nie wątpiłam już, że usuwanie jej zabrało

całe lata. Przyrównać to można było do prób złożenia i przeniesienia całej plaży, przy jednoczesnym drobiazgowym opisanu każdego ziarenka piasku.

Z następnego niewielkiego pokoju dobiegał hałas. Na otwartych drzwiach widniała wygrawerowana tabliczka z napisem: „Tajny projekt H2S. Wstęp wzbroniony z wyjątkiem techników specjalistów przydzielonych do projektu”.

Spojrzałam na Kobziarza, ale wydawał się równie zaskoczony jak ja.

– Nie znalazłaś żadnej informacji o tym w papierach Joego? – spytał.

Pokręciłam głową i weszłam do środka. Oczekiwałam kolejnych koszmarów, ale w pogrążonym w półmroku pomieszczeniu ujrzałam coś znajomego. Rozpoznałam zapach, jeszcze nim ujrzałam same zbiorniki, opromienione jedynie wewnętrznym światłem. Powietrze przesycone było słodkawym zapachem cieczy, na którą nałożył się kwaśny posmak kurzu i zgnilizny.

Widziałam dziesięć zbiorników, ustawionych w dwóch równych rzędach. Na szybach osiadł brud. Metalowy pierścień, który obejmował podstawę każdego zbiornika, pokrywała pomarańczowa rdza, która wpełzała na szkło.

W większości zbiorników unosiła się jakaś postać. Do tej pory sądziłam, że Sally jest w sędziwym wieku, ale uwięzione w zbiornikach osoby pokonały już etap starości i przypominały teraz skurczone dzieci. Kuliły się, rozdęte i nabrzmięte, a bladość ich luźnej, pofałdowanej skóry przywodziła na myśl świeżą skórę pod zdrapanym strupkiem. Ich nosy i uszy wydawały się zbyt duże, jakby nadal rosły podczas gdy reszta ciała marniała.

Wszyscy byli mężczyznami. Dawno stracili wszelkie owłosienie, nawet brwi i rzęsy. Paznokcie urosły do takich rozmiarów, że dotykały dna zbiornika niczym zwisające korzenie bagiennych drzew niedaleko Nowego Hobartu. Zbrązowiałe paznokcie u nóg zawijały się ciasno. Jeden z mężczyzn miał lekko rozchylone powieki, ale ukazywały one jedyne biel. Trudno mi było powiedzieć, czy wywrócił źrenice, czy też te wyblakły przez lata zanurzenia.

Podczas drogi na Wyspę widzieliśmy z Kimą meduzy unoszące się w ciemnej wodzie. Patrząc na bezkształtne, rozdęte ciała mężczyzn uwięzionych w zbiornikach, nie mogłam się oprzeć porównaniu z nimi.

Kobziarz zbliżył się do nich. Wykrzywił usta i rozszerzył nozdrza, a twarz zniekształciło mu obrzydzenie.

– Czy oni żyją? – zapytał.

Przyjrzałam się uważniej. W pierwszym rzędzie zbiorników, który znajdował się najbliżej drzwi, z nosów i nadgarstków uwięzionych ludzi nadal wystawały rurki. Ciało obrosło je do tego stopnia, iż trudno było stwierdzić, gdzie kończyła się skóra, a zaczynał przewód. Przycisnęłam twarz do szkła i spojrzałam na nadgarstek mężczyzny. Znajdująca się na nim mięsista narośl pochłaniała pierwsze centymetry rurki. Maszyny nad zbiornikami wciąż pomrukiwały i ciało mężczyzny wibrowało niemalże niedostrzegalnie wedle rytmu narzuconego przez

aparaturę.

W tylnym rzędzie maszyny zostały jednak zdemontowane, a rurki powyciągane. W dwóch zbiornikach nadal unosiły się ciała, ale były one całkowicie nieruchome. Powierzchnia płynu również ani drgnęła, nieporuszona elektrycznym pomrukiem.

– Ci tam są martwi. – Wskazałam zbiorniki. – Płyn powstrzymuje proces rozkładu, ale Rada zapewne zabrała maszyny, by się dowiedzieć, jak działają.

Ostatnie trzy zbiorniki były otwarte, a po ich zawartości pozostała jedynie lepka kałuża na dnie. Przez krawędź jednego z nich przerzucono dwie rurki.

– A ci? – Kobziarz wskazał pierwszy rząd.

– Ci nie są martwi – odparłam. – Ale żywymi też bym ich nie nazwała. Żyją tylko ich ciała.

– Czy oni naprawdę są sprzed Wybuchu?

Nie musiałam nic mówić, gdyż widok starczał za odpowiedź: starożytne zbiorniki, ciało zarastające rurki, skóra pozbawiona kolorów.

– Kto im to zrobił? – spytał Kobziarz.

– Sądziłam, że to wszystko zaczęło się od Zacha. Kto miałby osadzać tych ludzi w zbiornikach za czasów Arki? Przecież oni nie mieli nawet bliźniaków takich jak my – odparłam i pokręciłam głową. – Myślę, że oni sami to sobie zrobili.

Powinłam była się domyślić, że koncepcja zbiorników wywodziła się stąd, a Rada – lub być może sam Zach – odnalazła je i odtworzyła. Dzięki Zachowi te dziesięć zbiorników rozmnożyło się w tysiące. Tutaj, w tym właśnie miejscu, rozpoczął się proces, który miał przynieść zagładę wszystkim Omegom. To, co dla mnie i Kobziarza było jedynie upiorną, pozbawioną sensu praktyką, Zach oraz Pani Generał uznali za szansę.

Podeszłam do ściany bocznej, gdzie ujrzałam tabliczkę. Powlokła ją rdza, która przeszła ze ścian, ale gdy uniosłam lampę, przekonałam się, że ktoś niedawno oczyścił wygrawerowane na niej słowa, które dzięki temu znów stały się czytelne. „Oto ostatni ocaleli członkowie Rządu Tymczasowego Arki, przechowani w nadziei, że ludzkość zdoła odnaleźć ich i obudzić, by mogli podzielić się wiedzą z naszych czasów i przekazać ją kolejnym pokoleniom”.

– Wiedzą z naszych czasów? – powtórzyłam i wbrew sobie parsknęłam suchym, szyderym śmiechem. Ironia okazała się ostatnim szarżem przeciwko temu, na co patrzyłam. – Czekali tyle czasu na to, by to *ludzkość* ich znalazła, podczas gdy przez cały czas wiedzieli o ludziach z Góry!

Podeszłam do Kobziarza.

– W końcu zapewne zdali sobie sprawę z tego, że nikt ich nie uratuje – ciągnęłam. – Otrzymali wiadomość z Zamorza i na tym się skończyło. Przez długie, długie lata nic.

Zmarszczyłam nos, przyglądając się ciałom. Choć były rozdęte, nie

dostrzegłam nigdzie żadnych deformacji, dodatkowych kończyn czy brakujących oczu. Zakonserwowane ciała wydawały się proporcjonalnie zbudowane. Próbowali ocalić własne życia, ale nie dla nas. Stałam obok Kobziarza, którego jedyna dłoń dotykała szyby obok moich. Dla tych ludzi oboje bylibyśmy tylko mutantami.

Kobziarz wpatrywał się w nadgarstek najbliższego człowieka, gdzie rura stała się ciałem, a ciało rurą.

– Skoro są żywi – rzekł – to może spróbujemy ich obudzić? Spróbujemy z nimi porozmawiać! Do jasnej cholery, jeśli oni naprawdę pochodzą sprzed Wybuchu, pomyśl tylko, ile moglibyśmy się od nich dowiedzieć! Przede wszystkim dowiedzielibyśmy się czegoś więcej o Zamorzu!

– Rada już próbowała – rzekłam i wskazałam trzy puste zbiorniki. – Ale mogłabym oszczędzić im wysiłku. Ci ludzie niczego nam nie powiedzą.

Podeszłam jeszcze bliżej i wpatrzyłam się w białe oczy uwięzionego mężczyzny. Przycisnęłam dłoń do szyby, ale nie czułam niczego oprócz szkła. Gdy spoglądałam na nieprzytomne Omegi w zbiornikach pod Wyndham, czułam w każdym z nich isierkę życia. To właśnie sprawiało, że zawieszenie, w którym tkwili, było tak przerażające – wiedziałam bowiem, że w każdym z tych ciał tkwił uwięziony umysł. Człowiek, który unosił się przede mną, był jednakże jedynie rozdętym ciałem, którego nie ożywiała ani odrobina świadomości.

– Oni nie są martwi – powiedziałam. – Ale nie ma w nich życia.

Prędzej dryfujący konar nazwałabym drzewem niż tych ludzi żywymi.

Pozostawiliśmy ich tam, w zbiornikach, które zbudowali dla siebie samych. Zapach towarzyszył nam jeszcze długo. Przemierzaliśmy kolejne cześciowo opróżnione pokoje i korytarze, w których pobrzmiwało echo. Dotarliśmy do południowej krawędzi Sekcji A, kiedy znów nawiedziła mnie wizja Wybuchu. Idący przede mną Kobziarz właśnie wszedł do dużego pomieszczenia. Chciałam podążyć za nim, gdy drzwi eksplodowały tak gwałtownym wspomnieniem ognia, że oczy uciekły mi w tył głowy. Zatoczyłam się i chyba krzyknęłam, a Kobziarz złapał mnie w talii, gdy padałam. Potem wszystko znikło.

Nie pociemniało. Po prostu znikło.

Świat rozszarpały płomienie, a ja straciłam przytomność zanim Kobziarz ułożył mnie na podłodze.

Gdy się ocknęłam, okazało się, że leżę na betonowej podłodze. Dotknęłam dłonią twarzy i odkryłam, że pokrywa ją warstewka kurzu zmieszanego z potem. Przed oczami znów rozblęsnęło mi światło.

– Nie jestem w stanie już nad tym panować – powiedziałam, kręcąc głową, jakbym mogła w ten sposób powstrzymać kolejne wizje.

– Uspokój się – powiedział Kobziarz. – I posłuchaj mnie...

– Nie ucz mnie, jak mam sobie dawać radę z wizjami! – warknęłam na niego. – W mojej głowie odbywa się koniec świata! Raz za razem! Nie masz pojęcia, co to za uczucie!

Jedynym człowiekiem, który je znał, był Xander. Oraz Lucia, nim pochłonęły ją odmęty. Tylko oni dwoje byli w stanie mnie zrozumieć – szaleniec i zmarła.

– A jeśli to jest coś innego? – spytał cicho Kobziarz.

Wbiłam w niego wzrok.

– Przecież to nie ty musisz żyć z tym codziennie. Serio wydaje ci się, że lepiej ode mnie zrozumiesz to, co się dzieje w mojej głowie?

– Tego nie powiedziałem. Chciałbym tylko, byś się nad tym zastanowiła.

Pochylił się niżej nade mną.

– Dlaczego w jednej wizji widzisz przeszłość, a w innych już nie?

Trudno mi się było skupić na jego pytaniu, gdyż na obrzeżach mego umysłu wciąż huczały płomienie, a z góry przygniatała mnie ziemia oraz rzeka.

– Miewam czasami inne wizje przeszłości – odparłam, siadając. – A w każdym razie ich rozmaite impresje.

Nie zawsze potrafiłam oddzielić wizję od wspomnień w moich snach, a ustalenie czasu nigdy nie było łatwe. W mieście tabu w górach wyczuwałam życie i śmierć sprzed czterystu lat, które wisiało nad nim jak mgła. Gdy Kobziarz opowiedział mi o masakrze, która nastąpiła na Wyspie tydzień wcześniej, ujrzałam jej przebieg. Zdarzało się też, że widziałam odległe wydarzenia w chwili, gdy miały one miejsce. Przekonałam się też, że za każdym razem, gdy byłam świadkiem czyjejś śmierci, wizje zmuszały mnie również do obejrzenia zgonu bliźniaka.

– Wiem, że to wszystko nie jest takie proste – rzekł Kobziarz. – Ale niemalże wszystkie twoje wizje, te prawdziwe, pokazują przyszłość, a nie przeszłość. Dlaczego więc tak często miewasz wizję Wybuchu?

– Wybuch to przecież nie tylko przeszłość. – Pokręciłam głową. – Nie przynależy do jednego momentu w czasie jak inne rzeczy.

Przecież razem przemierzaliśmy spopielone połacie Pustkowi. Ze wszystkich ludzi na świecie to właśnie on powinien wiedzieć najlepiej, że Wybuch nigdy się nie skończył. W naszych okaleczonych ciałach, w zdewastowanym świecie codziennie przeżywaliśmy go na nowo.

– Posłuchaj, zawsze zakładałaś, że wizje Wybuchu to retrospekcja – rzekł Kobziarz. – A gdyby przestać zakładać, że są odmienne od innych wizji? Może spróbuj założyć, że niczym się od nich nie różnią? – Wpatrywał mi się prosto w oczy. – Czy istnieje jakiś inny powód, dla którego wizje Wybuchu miałyby się powtarzać coraz częściej? Nie mówię tu tylko o tobie, ale także o Xanderze. Lucię, nim umarła, również nawiedzały.

Nagle urwał. Słyszałam rzekę nad naszymi głowami i szum Elektryki. Słyszałam łomot własnego pulsu, donośny niczym kroki biegnącego człowieka.

– Coś się zbliża, Cass. A może ten wybuch, który tak często widzisz, to nie przeszłość? A co, jeśli to przyszłość?

– Nie – odparłam. Mój głos, wysoki i drżący, zabrzmiał dziwnie w moich uszach.

– Tu nie chodzi o odnalezienie Zamorza czy położenie kresu bliźniactwu. Tu chodzi o Projekt Pandora, nad którym pracowali w Sekcji A. Stąd się bierze ten wybuch w twoich wizjach! Tu chodzi o maszyny, które mogą to powtórzyć!

– Nie! – krzyknęłam błagalnie. Chciałam, by przestał mówić, miałam wrażenie, że jego słowa wystarczą, by uwolnić ogień. Gdyby on widział to co ja, gdyby był świadkiem tego, jak cały świat płonie raz za razem, nie klęczałby teraz przy mnie i nie podsuwał nowych rozwiązań. Przecież nad tym nikt nie był w stanie zapanować.

Oprócz skrajnego przerażenia czułam w sobie coś jeszcze. Budziła się we mnie nowa świadomość. Powoli uzmysławiałam sobie, że docieram do prawdziwej tożsamości owych wybuchów. Nie były to wspomnienia z przeszłości, ale wizje.

Wybuch miał się powtórzyć.

Rozdział trzydziesty piąty

Siedzieliśmy razem na brudnej podłodze, pośród kurzu i pyłu z piłowanego betonu. W moich uszach pobrzmiwał szum. Nie miałam pojęcia, czy to pozostałość po wizji kataklizmu, czy zwykły szum Elektryki.

Wpatrywałam się w betonową ścianę, ciesząc się, że mogę się skupić na jakiejś prostej rzeczy w świecie, który przestawał mieć dla mnie sens. Zach był moim bratem, a jednocześnie wrogiem. Kochałam Kimę, ale był to dla mnie ktoś obcy. Wybuch był przeszłością, a zarazem przyszłością. Xander był szalony, lecz jego słowa okazały się prawdziwe. Mówił wszak o wiecznym ogniu, czyż nie?

– Tego się właśnie obawiałem – rzekł Kobziarz – gdy uświadomiłem sobie, że wizje wybuchu nawiedzają cię coraz częściej. Ale nadal tego nie rozumiem. Przecież oni nie mogą wykorzystać owych maszyn odpowiedzialnych za zniszczenie przeciwko nam. Doszłoby do wielkich strat po obu stronach. Jedynym błogosławieństwem bliźniactwa jest to, że odbiera wszelki sens masowym zabójstwom. Wszyscy zostaliby dotknięci nowym kataklizmem w tym samym stopniu. Poza tym, gdyby mogli sobie w ten sposób z nami poradzić, już dawno by to zrobili. Dlatego właśnie nigdy nie zawracali sobie głowy bronią sprzed Wybuchu.

– Ale teraz za nią chwycili – zauważyłam.

– Ale dlaczego? Po co mieliby zadać sobie tyle trudu, by doprowadzić do kolejnego kataklizmu, skoro nie mogą go wykorzystać przeciwko nam?

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego. Z trudem wytrzymałam ciężar jego słów. Nie chciałam podzielić się z nim tym, co wiedziałam. Kobziarz miał wystarczająco dużo własnych zgryzot, ale nie mogłam dłużej dźwigać tego ciężaru samotnie.

– Oni nie wykorzystają tej broni przeciwko nam, ale przeciw Zamorzu. – Wskazałam pokój i pomieszczenia odchodzące od niego, co do jednego precyzyjnie wysprzątane. – Wiedzą, że Zamorze gdzieś tam jest. Ba, może nawet odkryli jego dokładną lokalizację. Wiedzą też, że tamtejsi mieszkańcy uporali się z bliźniactwem, a my próbujemy się z nimi skontaktować. Jeśli uznają, że to miejsce zagraża ich rządowi, bez wahania skierują na nie najpotężniejszą broń.

Przypomniałam sobie Panią Generał i jaszczurczy chłód w jej oczach, nawet gdy się uśmiechała. Przypomniałam sobie Zacha oraz gniew, który płynął w jego żyłach niczym woda w rurach nad naszymi plecami.

– Znów się pomyliłam – powiedziałam. Stal i beton odbiły moje słowa, które wróciły echem. – Wizje Wybuchu towarzyszą mi przez całe życie, a ja ciągle brałam je za coś innego. Wszystko, co widzę, przybiera inne kształty.

Potarłam powieki, jakbym mogła w ten sposób nadać wizjom ostrość i oczyścić je do połysku.

– Znalazłaś papiery Joego – rzekł Kobziarz. – Znalazłaś też drogę do Arki. Bez ciebie byśmy tego wszystkiego nie dokonali.

– Sądziłam, że znajdziemy tu na dole jakąś odpowiedź – powiedziałam słabym głosem.

– I tak też się stało – odparł Kobziarz. – Sęk w tym, że to nie ta odpowiedź, której szukaliśmy.

Pod nami wciąż znajdował się jeszcze jeden niezbadany poziom Arki, ale zaczynałam już wyczuwać ruch w zewnętrznych korytarzach, które prowadziły do wrót na powierzchni. Najpierw wykryłam zmiany w powietrzu, które wzniewały kurz i pył, a potem odgłosy, które dotarły przez rury. Opuściliśmy więc jasno oświetlone dolne poziomy i pospiesznie wróciliśmy schodami do miejsca, gdzie zostawiliśmy nieprzykrytą kratkę w wentylacji. Pierwsi żołnierze przeszli pod nami tuż po tym, jak wciągnęliśmy się na powrót do tunelu i umieściliśmy kratkę na miejscu, ale pchane przez nich wózki robiły tyle hałasu, że żaden z nich nie usłyszał stłumionego zgrzytu metalu czy cichych oddechów gdzieś nad ich głowami. Po ich przejściu skrajnie wyczerpani popęzliśmy naprzód, ku górnym poziomom Arki. Pod nami przeszło jeszcze pięć grup żołnierzy, których rozmowy wydawały się jednocześnie zrozumiałe, jak i niezrozumiałe, gdyż codzienna gadanina znudzonych żołdaków mieszała się z dziwnym językiem Arki.

– Raczej nie, chyba że baterie betawoltaiczne też siądą...

– Jeszcze dwa wózki idą z zachodniego wejścia, bo tam czeka transport...

– O co tyle zamieszania? To wszystko jest tu od Wybuchu!

– Pod rurami chłodniczymi...

– Bez wiertarki nie zdejmę tej obudowy...

W ich rozmowach pojawiło się jednakże jedno słowo, które sprawiło, że poderwałam głowę tak gwałtownie, że uderzyłam o górę tunelu. Reformator. Słyszałam, jak Kobziarz wciągnął powietrze. Leżałam nieruchomo i nasłuchiwałam. W zasięgu wzroku nie było żadnych żołnierzy, ale głosy i kroki rozlegały się gdzieś blisko.

– Powiedział, że osobiście chce się temu przyjrzeć, a więc lepiej się przygotujcie. Dobrze wiesz, jaki on potrafi być.

Potem głosy ucichły. Mój brat czekał gdzieś w Arce. Ostatnim razem, gdy się spotkaliśmy, stałam na trakcie prowadzącym do Nowego Hobartu w spodniach nadal mokrych od klęczenia i zawijania w prześcieradła martwych dzieci. Przypomniały mi się drobne ząbki Louisy, zaokrąglone niczym nagrobki.

Przez dłuższą chwilę pełziliśmy z Kobziarzem z powrotem na górny poziomy. Myślałam o tym, co powiedział ów żołnierz. „Wiesz, jaki on potrafi być”. Czy potrafiłabym odpowiedzieć na to pytanie? Czy mogłam uważać, że nadal go

znam, po tym, co zrobił? Czy on nadal znał mnie?

Ponad dziesięć lat temu Zach wykorzystał wiedzę na mój temat, wydał mnie i doprowadził do mego naznaczenia. Wiedział, że zareaguję, kiedy sam zadeklaruje się jako Omega. Znał mnie na tyle, by mieć pewność, że nie dopuszczę do tego, by go naznaczono i wygnano. Wykorzystał bliskość między nami jako broń i obrócił ją przeciwko mnie. Ja zaś pozwoliłam mu na to, bo postanowiłam go chronić, bez względu na to, ile mnie to miało kosztować. Człowiek, który czekał na mnie gdzieś w Arce, nie był już Zachem. On był Reformatorem. Czy ja też stałam się inną osobą?

Gdy dotarliśmy we dwoje na wysokość opuszczonych górnych poziomów, wyszliśmy z tunelu wentylacyjnego do zakurzonych pokoi blisko Sekcji F. Usiedliśmy wśród słoików z kośćmi i zjedliśmy jeszcze trochę suszonego mięsa, a potem wypiliśmy większość wody. Sądziłam, że po tym, czego się dowiedziałam po wejściu do Arki, nie będzie mi dane odpocząć, ale nie spaliśmy już od wielu godzin. Znaleźliśmy więc niewielki pokój wolny od wszelkich kości i tam ułożyliśmy się do snu.

Tym razem nie śniłam o Wybuchu, ale o Kimie. Szkło oraz płyn, w którym się unosił, sprawiały, że jego ciało było ledwie zauważalne, ale mi to wystarczało. Rozpoznałabym je wszędzie. Obudziłam się i uświadomiłam sobie z pewnością, która zmroziła moje ciało, że wizje Kimy w zbiorniku również nie przynależą do przeszłości. Na trakcie prowadzącym do Nowego Hobartu Zach powiedział mi, że ma coś, co należy do mnie. Gdy cisnął nam pod nogi głowy galionów, uznałam, że ma na myśli statki i ich załogi. Teraz dopiero zrozumiałam, o co mu naprawdę chodziło.

– On tu jest – powiedziałam. – W Arce.

– To już wiemy – odparł Kobziarz wciąż zaspanym głosem. – Słyszałaś, o czym rozmawiali żołnierze.

– Nie chodzi mi o Zacha – rzekłam. – Ale o Kimę.

Kobziarz podniósł się i oparł na łokciu. Kurz z podłogi przyprószył jego włosy oraz zarost. Gdy się odezwał, w jego głosie brzmiała cierpliwość.

– Jesteś zmęczona, a to, czego się dziś dowiedzieliśmy, jest trudne do przyjęcia dla każdego człowieka, a zwłaszcza dla ciebie.

Jego współczucie wydało mi się równie nieznośne jak niepożądany uścisk obcej osoby.

– Nie postradałam zmysłów. Widzę Kimę w snach od chwili, gdy zginął. Sądziłam, że to tylko wspomnienia owego dnia, kiedy ujrzałam go w zbiorniku pod Wyndham. Ale masz rację. To nie tak działa.

Uświadomiłam sobie, że wizje Kimy w zbiorniku były bardzo wyraziste, a prześladowały mnie nawet na jawie.

– To wizja, a nie wspomnienie. Jeśli nawet Wybuch to projekcja przyszłości,

tym bardziej są nią wizje przedstawiające Kime! Oni go mają! Co więcej, zamknęli go w zbiorniku albo wkrótce to zrobią.

To nie nadzieja sprawiła, że poderwałam się na równe nogi. Do tej pory byłam przeświadczona, że Kima nie żyje. Widziałam obrażenia, jakie odniósł, i wiedziałam, że nikt nie jest w stanie przeżyć takiego upadku. Słyszałam dźwięk, z jakim jego ciało uderzyło o ziemię, chrzęst tak mokry, że pochłonął swe własne echo. Widziałam również ciało Spowiedniczki, z którego wyciśnięto oddech niczym wilgoć z mokrej szmaty.

Na samą myśl o tym, że Kima miałby powrócić do zbiorników, poczułam przerażenie tak wielkie, że zdławiło wszelkie słowa w moim gardle. Gdy uwolniłam go ze zbiornika pod Wyndham i rzuciliśmy się do ucieczki, powiedział mi na klifie nad rzeką, iż wolałby skoczyć i się zabić niż kiedykolwiek tam wrócić. Zrealizował swój zamysł kilka miesięcy później w silosie. Z nas dwojga ja byłam wizjonerką, ale to Kima wygłosił prorocstwo na swój temat, a potem je wypełnił.

Zach zaś odebrał mi nawet to.

Musieliśmy odczekać jeszcze kilka godzin, nim żołnierze tłumnie ruszyli ku zachodnim wrotom, za którymi znajdował się obóz. Miałam wrażenie, że Arka powoli wypuszcza powietrze. Z trudem udawało mi się pokonać niecierpliwość, ale teraz, gdy już wiedziałam, co ujrzę na najniższym piętrze, przerażenie nabrało nowych kształtów. Ciągle myślałam o słowach, które wygłosił Xander, gdy wspomniałam o Kimie: „To nie koniec”.

Gdy na korytarzach pod nami znów zapadła cisza, popęzliśmy tunelami w dół, pokonując poziom za poziomem. Tym razem, gdy znaleźliśmy się nad pustymi pomieszczeniami Sekcji A, wiedziałam już, czego się spodziewać. Zacisnęłam mocno zęby i poprzysięgłam w duchu, że nie krzyknę, gdy znów nawiedzi mnie wizja Wybuchu. Dotarliśmy bardzo daleko i nie mogłam pozwolić na to, by jakiś żołnierz na nocnym patrolu zgarnął nas jak szczury do worka przez chwilę mojej nieuwagi. Gdy Wybuch rozdarł mi umysł, przywarłam do metalowej ściany tunelu i myślałam o Kimie. Wizja w końcu zelżała, a ja uświadomiłam sobie, że nie wydałam z siebie ani dźwięku, choć w ustach czułam smak krwi z przegryzionego języka.

Nasz tunel wiódł wzdłuż schodów na najniższy poziom Arki, pod salami, które badaliśmy ubiegłej nocy. Drzwi na samym dole były zamknięte, a zamek wyglądał na nietknięty, ale nic nie przeszkodziło nam w przedostaniu się na drugą stronę przez przewód wentylacyjny. Usłyszeliśmy tam głośny szum Elektryki, ale jedynym źródłem światła była zielona luna, przesączająca się przez kratkę przed nami. Przycisnęłam do niej twarz i zerknęłam w dół.

Patrzyłam na ogromną salę, która zajmowała niemalże cały poziom. Wysoki

sufit podtrzymywały potężne kolumny. Podobnie jak pomieszczenia wyżej również i to zostało wymiecione do gołego betonu. Podłoga była miejscami pokruszona i zniszczona, a ze ścian sterczały pęki drutu. Różnica jednakże polegała na tym, że sale na wyższych piętrach pozostały puste, a tę wypełniono rzędami zbiorników. Te, które znajdowały się najbliżej mnie, pozostały niewypełnione, a źródłem zielonej łuny okazały się panele nad zbiornikami, na których migotały drobne światełka.

Zbiorniki w środkowych rzędach mogły pomieścić jedną dużą osobę, a te stojące dalej były wprost ogromnych rozmiarów. Dorównywały tym, które znaleźliśmy w Nowym Hobarcie. Podobnie jak tam i w komorze pod Wyndham zbudowano również pomosty, które ciągnęły się wzdłuż każdego rzędu i pozwalały na dostęp do zbiornika od góry. Nad zbiornikami zaś wiła się płatanina rur oraz kabli, a między nimi majaczyła szeroka rura, biegnąca przez środek sufitu, pobrzmiwająca niecierpliwym bulgotem rzeki.

Podpełzałam na łokciach do kolejnej kratki, która znajdowała się bezpośrednio nad jednym z pomostów. Zapaliłam ponownie lampę, gdyż potrzebowałam więcej światła do odkręcenia śrub. Mój nóż się stępił, a ręce trzęsły mi się ze zmęczenia i wściekłości, ale na tych śrubach było o wiele mniej rdzy i po chwili udało mi się uwolnić kratkę. Wciągnęłam ją ostrożnie do tunelu i usunęłam ją z drogi, a potem opuściłam się na pomost pod nami. Próbowałam zrobić to najdelikatniej, jak się dało, ale cichy stukot, z jakim moje stopy dotknęły metalu, poniósł się echem. Natychmiast zawtórowały mu kroki na środku sali. Było ciemno, a pole widzenia przesłaniały zbiorniki, ale wiedziałam, że zostałam zauważona.

Rozdział trzydziesty szósty

Gdy go wreszcie zauważyłam, Zach był w odległości kilkunastu kroków i przemykał ku drzwiom na przeciwnej ścianie. Zatrzymał się w chwili, gdy Kobziarz wylądował obok mnie. Ledwie jego buty dotknęły podłogi, ramię z nożem do rzutu było już uniesione. Trzymał ostrze delikatnie, między kciukiem a palcem wskazującym, ale wielokrotnie widziałam, jak zabija, i wiedziałam, że w rzucie, który miał przeszyć gardło Zacha, nie było nic z delikatności.

– Zabij mnie, a ona też zginie – wykrztusił Zach. Chciał krzyknąć, ale zabrakło mu tchu.

– Jeśli zaalarmujesz swoich ludzi, i tak zginę – rzekł Kobziarz. – Będę torturowany, a Cass trafi do zbiornika. Oboje wiemy, jaką decyzję podjąć, jeśli zostaniemy przyparci do muru.

Wiedziałam, że Kobziarz myśli o tym samym co ja – o chwili, w której bitwa o Nowy Hobart przybrała dla nas niekorzystny obrót, a on obrócił się ku mnie z nożem w ręku. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie było takiej potrzeby.

– Nawet nie myśl o ucieczce – ciągnął Kobziarz. – Nawet jeśli uskokczysz przed moim nożem, Cass tego nie zrobi.

– Do jasnej cholery, zgaście przynajmniej tę latarnię! – krzyknął Zach. – W niektórych z tych rur płynie siarkowodór! Wybuch oderwie ci rękę!

Nie rozumiałam wszystkich jego słów, ale panika, z jaką spoglądał to na latarnię, to znów na rury, nie była udawana. Otworzyłam drzwiczki latarni i zdmuchnęłam płomyk. Znów ogarnęła nas ciemna, zielona emanacja maszyn.

– Możesz sobie we mnie celować, jak długo chcesz – zawołał Zach do Kobziarza. – Ale z Arki nigdy się nie wydostaniesz.

– Wiem, co planujecie – powiedziałam. – Wiem o tej broni oraz o Zamorzu.

– Tylko ci się tak wydaje – odparł.

– Lata temu, jeszcze w Przechowalni, powiedziałeś mi, że chciałbyś coś zrobić ze swoim życiem. Że chciałbyś zmienić świat. Cóż, dzięki temu, co tu znalazłeś, raczej by ci się to udało, ale na pewno nie za pomocą maszyn, które ściągają nowy kataklizm. Co więcej, mógłbyś położyć kres bliźniactwu. Zamorzu się to udało.

– I miałbym doprowadzić do tego, byśmy wszyscy wyglądali tak jak wy? Jak jakieś cudaki? To właśnie osiągnąłbym, kończąc z bliźniactwem. Bynajmniej nie uwolnilibyśmy się od Omeg. Wszyscy byśmy się nimi stali!

– A więc wolisz, by nadal przychodziły na świat dzieci połączone ową feralną więzią? – spytał Kobziarz.

Zach z lekceważeniem machnął dłonią.

– Znaleźliśmy sposób, by ominąć ten problem – oznajmił. – Pozbędziemy się was dzięki zbiornikom. Nie potrzeba nam Zamorza. Przez ostatnie czterysta lat

zdołaliśmy jakoś ocalić ludzkość. Właściwą ludzkość, taką, jak należy. Przetrwaliśmy Wybuch, przeżyliśmy Długą Zimę i czterysta lat susz, nieurodzaju i wszelkich innych niedogodności. Zamorze, gdyby wciągnąć je w to wszystko, zniszczyłoby stan, jaki osiągnęliśmy. Przecież mamy już metodę na to, by uwolnić się od Omeg. Nie chcemy, by Zamorze zamieniło nas wszystkich w potwory.

Pokręciłam głową.

– Ty naprawdę uważasz, że twoja propozycja jest bardziej ludzka? Nie chcesz leczyć bliźniactwa, bo boisz się mutacji, ale za to chcesz wywołać kolejny kataklizm i zniszczyć Zamorze?

– Skoro naprawdę uważasz, że bycie Omegą to nie powód do wstydu – syknął Zach – to dlaczego to ukrywasz? Dlaczego kłamałaś przez całe nasze dzieciństwo? Dlaczego tak usilnie udawałaś jedną z nas?

– Bo chciałam pozostać z rodziną – odparłam. Nie spuszczałam z niego oczu. – Chciałam pozostać z tobą.

– Nie – odparł mój brat. – Ty chciałaś udawać Alfę. Chciałaś odebrać mi to, co moje.

Rozmowy z Zachem zawsze kończyły się tym samym. Rozmawialiśmy o Wybuchu, przyszłości świata, losie ludzi zarówno tu, jak i w Zamorzu, ale za każdym razem, gdy zagłębiałam się w jego argumentację, odkrywałam w nim przestraszone, niespokojne dziecko, które boi się tego, że ktoś odbierze mu to, co należy mu się z tytułu urodzenia. Że ludzie jego uznają za potwora, a nie mnie. Czyżby los całego naszego świata miał zależeć od tej drobnej rzeczy? Czułam jednak, że ów lęk jest źródłem wszystkiego. Gdyby odłożyć na bok zbiorniki, Radę, Arkę i maszyny wywołujące wybuchy, światu ukazałby się mój braciszek, mały chłopczyk pełen gniewu i lęku.

Kobziarz przerwał moje myśli:

– Czy ty naprawdę sądzisz, że tym nowym wybuchem będzie można jakoś sterować? Serio jesteś aż tak głupi? Chyba rozumiesz to, że jeśli uwolnisz ową moc na Zamorze, my również oberwiemy!

– Zamorze jest daleko stąd. – Zach pokręcił niecierpliwie głową.

– Czyli jeszcze go nie odnaleźliście – powiedziałam, lecz moje słowa były w tym samym stopniu stwierdzeniem co modlitwą.

– Ale odnajdziemy – rzekł Zach. – Co więcej, zrobimy to przed ruchem oporu. Wiemy, że oni gdzieś tam są. Wiemy, do czego są zdolni i czego już dokonali.

– No to zostaw ich w spokoju! – powiedziałam. – Czy to, co oni robią za morzami, ma dla nas jakieś znaczenie?

Zach wciągnął powietrze, zaciskając nozdrza.

– Oni nas szukają. Nawet jeśli wam i temu waszemu ruchowi oporu nie uda się ich znaleźć, nadal nas szukają. Natrafiliśmy tu na wiadomość od nich, zaledwie

kilka słów, wysłane tu setki lat temu. Dotarła do Arki, gdy wszystko się waliło, o wiele za późno, by w czymkolwiek pomóc jej budowniczym. Nie byli już w stanie odpowiedzieć, nie mówiąc już o wyruszeniu na poszukiwanie Zamorza, ale zachowali wiadomość. Wiemy o istnieniu Zamorza. Wiemy, że nadal dysponują maszynami. Nie dość, że byli w stanie wysłać tę wiadomość wiele lat temu, to jeszcze niemalże od razu uporali się z bliźniactwem.

– Nie możesz tego zrobić! – wykrzyknęłam.

– Nie mogę? – Zach parsknął śmiechem. – Już wszystko gotowe! Przenoszenie maszyn bojowych już prawie zakończone. Wszystko, co znalazłem przez lata, należało zebrać do kupy i poukładać, kawałek po kawałku. Nic nie było na swoim miejscu, nic nigdy nie działało, a do tego zawsze brakowało paliwa, ale na szczęście wszystko było tak dokładnie opisane, tak dobrze zachowane. Widziałas sama, co osiągnęliśmy ze zbiornikami, prawda? Z maszynami bojowymi uda się także, choć może nie tak gładko – bez Spowiedniczki nie jest to już takie proste.

Zach urwał i przełknął ślinę. Wspomnienie Spowiedniczki najwyraźniej martwiło go bardziej niż nóż Kobziarza, nadal wycelowany w niego.

– Miała prawdziwy talent do maszyn – podjął w końcu Zach. – Trudno uwierzyć, jak dobrze je rozumiała. Nie masz pojęcia, ile się od niej nauczyłem. Niemniej, choć jej zabrakło, nadal nie jesteś w stanie nas powstrzymać. Przed śmiercią nadzorowała większość prac, które teraz kontynuują moi najlepsi ludzie. Udało nam się już wynieść stąd większość tego, czego potrzebujemy.

Urwał na moment i podjął:

– W jakiś sposób tu się dostaliście. Zastanawiałem się, czy ci się to uda, bo wiedziałem, że te dokumenty znikły, a ty jesteś uparta jak kleszcz, którego nie da się wydłubać. Na szczęście to wszystko, czym jesteś. Nie masz szans nas powstrzymać.

Odwrócił się w stronę Kobziarza.

– Możesz mnie teraz zabić, ale wraz ze mną zginie ona, a nie powstrzymasz w ten sposób ani kolejnego wybuchu, ani też rozbudowy systemu zbiorników. Sądziś, że Pani Generał zrezygnuje z któregoś z tych planów, gdy zginę? To ona kazała mi postawić tu więcej zbiorników. Na tym poziomie ma powstać kompleks na pięć tysięcy Omeg! – Uśmiechnął się przy tych słowach. – Teraz, gdy wynieśliśmy stąd sprzęt obsługujący broń, to dla nich idealne miejsce. Widok stąd kiepski, ale chyba nie będą się tym przejmować.

Niespodziewanie poczułam się bardzo, bardzo zmęczona. Nie miałam już ochoty go słuchać.

– Zabierz mnie do Kimy – powiedziałam.

Widziałam, jak napina mięśnie szyi.

– Nie wiem, o czym ty mówisz – odparł.

Zeszłam po drabince na dół i znalazłam się wśród zbiorników. Ich zakrzywione, szklane ściany i przygaszone światło wypaczały przestrzeń w pomieszczeniu, które wydawało się ciężkie i mętne.

Bez słowa minęłam Zacha i pozostawiłam go w pieczy Kobziarza. Kierowałam się tam, skąd przyszedł Zach, gdy wkradliśmy się do sali. Już wiedziałam, czym się tu zajmował nocami, po tym, jak wszyscy żołnierze udali się już do obozów i na posterunki. Wiedziałam też, co tam ujrzę.

Niemalże na środku pokoju, wśród rzędów pustych zbiorników, znajdowały się dwa napełnione. Przycisnęłam twarz do szkła bliższego z nich.

Miałam wrażenie, że widzę go po raz pierwszy.

Tylko że było inaczej. Lata temu, gdy odcięto Kimie rękę, by mógł podawać się za Omegę, zszyto ranę tak starannie, że nawet ja nie zauważyłam blizny. Tym razem nikt już nie potraktował go z delikatnością. Jego pochlastany tors przypominał ochłap mięsa powiązany szpagatem. W stronę jego żołądka zbiegała blizna, która rozpoczynała się gdzieś na plecach, inna zaś przecinała jego klatkę piersiową na pół. Skórę głowy ściągały niezagojone jeszcze szwy, ściągnięte tak mocno, że jedno z uszu sterczało pod osobliwym kątem. Dopiero gdy dotknęłam palcami szkła, uświadomiłam sobie, że wyciągnęłam ku niemu ręce.

Blizny nie stanowiły jednakże jedynej różnicy. Tym razem jego oczy były zamknięte i nie otwierały się. Pochylałam się ku niemu, aż mój policzek zatrzymało nieubłagane szkło, ale na próżno. Wiedziałam, że Kima nie żyje. W jego zniszczonym ciele nie było już ani iskry życia. Jego ciało było statkiem, wyciągniętym z odmętów morskich, ale pozbawionym całej załogi.

W sąsiednim zbiorniku unosiła się Spowiedniczka. Na jej nagim ciele nie widziałam żadnych obrażeń, nie licząc miejsc, w których rurki wnikały w nadgarstki. Bałam się jej od lat, ale teraz nie wydawała mi się już wcale straszna. Unosiła się w płynie z kolanami podciągniętymi pod szyję. Nigdy nie sądziłam, że kiedykolwiek wyda mi się taka mała. Spojrzałam na jej kurczowo zaciśnięte pięści i wiedziałam, że jej dłonie już nigdy się nie otworzą.

– Musiałem ją zatrzymać – powiedział Zach, który podszedł tu za mną. Towarzyszył mu Kobziarz, nadal celujący w niego nożem. – Kryje się tam zbyt wiele intrygującej wiedzy – dodał, wskazując zbiornik Spowiedniczki. – Baza danych to nie tylko maszyna, ale również jej umysł. Poza tym to ona rozgryzła działanie maszyny wojennej i wymyśliła sposób, by ją stąd wyciągnąć. Była moim asem w rękawie. Bez niej Pani Generał bez trudu przejmuje kontrolę!

Jego głos stawał się coraz wyższy.

– Odbiera mi owoce mojej długotrwałej pracy! – powiedział, mijając mnie. Podszedł do zbiornika i przycisnął dłoń do szyby, jakby chciał ją osłonić.

– No i popatrz tylko, jak to się dla nas skończyło – rzekłam do niego.

– O czym ty mówisz? – spytał. Nawet nie spojrzał na mnie, nadal wpatrzony

w Spowiedniczkę.

– Robiłeś wszystko, by wypchnąć mnie ze swego życia – oznajmił. – I przy kim wylądowałaś na koniec?

– W niczym jej nie przypominasz.

– Tak. – Pokiwałam głową. – Ale była wizjonerką. A do tego przypuszczalnie jedyną osobą, której dzieciństwo było podobne do mojego.

Kiedyś powiedziałabym, że tą osobą był Zach, ale teraz znałam prawdę. Przeżywaliśmy ten czas razem, ale każde z nas przechodziło przez inne doświadczenia. Oboje byliśmy przerażeni, ale nasze lęki różniły się od siebie. Ja się bałam, że ktoś odkryje moją prawdziwą naturę i zostaniemy rozdzieleni, a on drżał ze strachu przed tym, że nigdy nie zostanie odesłana i będzie musiał spędzić ze mną całą wieczność.

– Nie tylko tobie się to przytrafiło – powiedziałam. – Ja również związałam się z kimś podobnym do ciebie. Tuż przed śmiercią Kimy Spowiedniczka opowiedziała mi o jego przeszłości. Niewiele się od ciebie różnił.

Zignorowałam obrzydzenie na twarzy Zacha, gdy spojrzał na zmasakrowane, unoszące się w wodzie ciało.

– Teraz już rozumiem – ciągnęłam. – Nim Kima trafił do zbiornika, nienawidził jej tak samo, jak ty nienawidziłeś mnie. Robił wszystko, by stawić jej czoła i doprowadzić do tego, by ją odesłano. Potem zaatakował ponownie, by doprowadzić do jej uwięzienia. Zrobiliśmy więc mniej więcej to samo. – Wzruszyłam ramionami. – Żadne z nas nie zdawało sobie z tego sprawy, ale w końcu każde związało się z kimś, kto przypominał drugie z nas.

Historia zataczała więc koło, równie okrągłe jak same zbiorniki. Zach i ja zostaliśmy rozdzieleni i znów się spotkaliśmy. Kima został wyzwolony ze zbiornika i do niego powrócił. Wybuch przebrzmiał i miał ponownie rozszarpać świat.

– Chcesz położyć kres zbiornikom – powiedział Zach. – Ale tylko dzięki nim Kima oraz Spowiedniczka nadal żyją.

– Oni nie żyją – powiedziałam.

Ciało Kimy nie było wcale rozdęte i pomarszczone jak trupy mieszkańców Arki w Sekcji A, ale nie było w nim też ani iskry życia.

– Może udało ci się odwlec ich ostateczny zgon, ale więcej nie uda ci się zdziałać. Sam dobrze wiedziałeś, że nie da się ich uratować. Wiedziałeś, że nie będziesz w stanie skorzystać z jej wiedzy. Trzymałeś ją w tym stanie dlatego, że nie miałeś odwagi jej pochować.

– Nie mów tak! – odezwał się Zach nieco wyższym głosem. Jego dłonie naparły na szybę, za którą unosiła się obojętna Spowiedniczka. – To nie koniec. Możesz mi przecież pomóc. Jeśli zewrzymy szeregi i naradzimy się z lekarzami, na pewno uda się znaleźć sposób, by ich uzdrowić! Nie możemy się od nich odwrócić!

Dobrze pamiętałam to, co pobyt w zbiorniku zrobił z Kimą. Pamiętałam jego myśli pozbawione wspomnień. Czy Zach naprawdę wierzył w to, że z ich umysłów miałyby cokolwiek pozostać po upadku i ponownym zamknięciu w zbiorniku? A może chciał ich więzić w ten sposób przez dziesiątki lat, aż zaczęliby przypominać ostatnich członków Rządu Tymczasowego?

– Liczysz na to, że uczepię się jakiejś nadziei? – spytałam.

Przyglądał mi się uważnie. Był to ten sam Zach, który robił wszystko, co było w jego mocy, by przekazać mi, że nadzieja jest czymś dla innych ludzi, żyjących w innych czasach. Odwróciłam się ponownie ku zbiornikowi Kimy.

– Tu nie chodzi o nadzieję ani też o to, że się od nich odwracamy – powiedziałam tak cicho, że niemalże bezgłośnie, ledwie poruszając ustami. – Tu chodzi o wybór. O to, czego on by pragnął. A na to nigdy by się nie zgodził. Nigdy więcej.

Przypomniałam sobie raz jeszcze owe groteskowe postacie unoszące się w płynie wysoko nad nami, w pomieszczeniach Sekcji A.

– Nawet Spowiedniczka nie zgodziłaby się na ten los – dodałam i podeszłam do metalowej drabinki, a potem wspięłam się na pomost, który biegł wzdłuż pokryw zbiorników.

– Naprawdę tego chcesz? – spytał Kobziarz, ale nie zatrzymywałam się, dopóki nie stanęłam nad Kimą. Odsunęłam pokrywę i wciągnęłam w płuca chorobliwy odór, który unosił się nad zbiornikiem. Kiedy po raz pierwszy odnalazłam Kimę w zbiorniku pod Wyndham, nie byłam w stanie go z niego wyciągnąć, ale przecież miało to miejsce po czterech latach spędzonych w Przechowalni. Byłam teraz silniejsza, a on o wiele lżejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Otoczyłam ramionami jego tors, czując pod palcami wypiętrzone brzegi ran, i pociągnęłam. Gdy wynurzył się ponad powierzchnię i stał się cięższy, musiałam wyteńczyć wszelkie siły, ale nic na świecie nie mogło mnie teraz powstrzymać.

W końcu przeciągnęłam go przez krawędź zbiornika i położyłam na plecach na pomoście. Twarz miał mokrą od lepkiego płynu. Jego ramię drgnęło dwukrotnie, bezładnie, niczym ryba wyrzucona na pokład kutra rybackiego. Płyn spływał z jego ciała i ściekał przez kratkę pomostu na betonową podłogę, w pierwszej chwili strużkami, lecz już po chwili pojedynczymi kroplami. Wyrwałam rurę z jego nadgarstka i patrzyłam, jak dziura wypełnia się powoli, niemrawo, krwią. Z ust wyjęłam mu kolejną rurkę, przypominającą drugi język.

Zach skoczył ku drabinie, ale Kobziarz złapał go i unieruchomił na podłodze. Nie wiem, czy coś powiedział, bo nie słuchałam. Pochyliłam się nad twarzą Kimy. Odetchnął dwukrotnie, a ja dwa razy poczułam drobne błogosławieństwo ciepłego powietrza na policzku. Trzeci oddech nie był już oddechem – Kima po prostu otworzył usta. Powieki na szczęście nadal miał zamknięte.

Przycisnęłam policzek do jego klatki piersiowej. Nie udawałam – nawet przed sobą – że go pocieszam. Wiedziałam, że w jego ciele nie ma już życia. Jeśli kogokolwiek pokrzepił na duchu nasz ostatni uścisk, byłam to ja. Ścisnęłam jego zniszczone, puste ciało, wpatrywałam się w jego zamknięte oczy i smukłe palce. Wsunęłam dłoń pod jego szyję i znów poczułam dobrze mi znany ciężar jego głowy. Nie było już kolejnych oddechów. Po raz pierwszy od wydarzeń w silosie wybuchłam płaczem.

Wstałam i spojrzałam na Spowiedniczkę, która opadła na dno zbiornika. Jej głowa była wygięta do tyłu, oczy miała otwarte, ale twarz nie wyrażała żadnych emocji. Po śmierci była równie nieprzenikniona jak za życia. Zach siedział, oparty o jej zbiornik, z głową odrzuconą w tył. Nawet nie krył łez.

– Nigdy się stąd nie wydostaniecie! – oznajmił.

Kobziarz pozwolił mu wstać, ale nadal w niego mierzył.

– Wszystkie wyjścia są pod strażą! – ciągnął Zach. – Zostaniecie pojmani, a ten tu znów wyląduje w zbiorniku. Potem znajdziemy sposób, by ich przywrócić do życia.

– To nie jest życie – powiedziałam i przestąpiłam nad ciałem Kimy. Podeszłam do latarni, szukając w kieszeni zapalek. Nie udało mi się za pierwszym razem, gdyż patyczek się złamał, ale za drugim zapalka zapłonęła jasnym promykiem.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz? – spytał Zach, gdy przysunęłam płomień do knota. – Już ci mówiłem! To niebezpieczne!

Tym razem parsknęłam głośnym śmiechem. „Niebezpieczeństwo” stało się dla mnie pustym słowem. Cóż ono tak na dobrą sprawę oznaczało tu w Arce, w labiryncie kości, gdzie leżał martwy Kima i czekały puste zbiorniki?

– Co ty robisz? – spytał Zach, gdy uniosłam zapaloną latarnię.

Bulgot rzeki w rurach wydawał się nabierać mocy w mojej głowie. Kobziarz stał za Zachem i celował w niego nożem. Ostrożnie zważyłam latarnię w dłoni i spojrzałam na brata.

– Gdy nas rozdzielono – zaczęłam – zostałam naznaczona i dla ciebie udałam się na wygnanie. Wiedziałeś, że to zrobię. Wiedziałeś, że będę chciała cię chronić. I w ten czy w inny sposób chronię cię od tego czasu. Ale już wystarczy.

Uniosłam latarnię wysoko.

– Nie będzie tu już więcej zbiorników. Nie dostaniesz też ostatniej części maszyny wojennej! – Wbiłam wzrok w oczy Zacha. – Myślisz, że mnie znasz? Ba, pojęcia o mnie nie masz!

Zerknęłam na Kobziarza. Miałam głęboką nadzieję, że znamy się wystarczająco dobrze, by odczytał moje intencje.

– Uciekaj! – zawołałam.

A potem rzuciłam latarnią.

Nie celowałam w Zacha ani nawet w zbiorniki, ale w sufit, w cieńsze rurki biegnące wzdłuż głównej rury z wodą.

Powietrze nad naszymi głowami eksplodowało dźwiękiem i oślepiającym światłem. Pchnięta eksplozją, padłam na plecy, osłaniając twarz ramieniem. Kobziarz, widząc trajektorię lotu latarni, uskoczył w bok. Zach, który zareagował wolniej, został odrzucony prosto na zbiorniki.

Najpierw uderzyła we mnie fala gorąca, a potem usłyszałam zgrzyt pękającego szkła, gdy dwa zbiorniki w epicentrum wybuchu wpadły na siebie. Trzeci ani drgnął, ale szkło zmatowiało od rozlicznych pęknięć. Spojrzałam na centralną rurę i dostrzegłam ciemną linię pęknięcia, z której już ciekła woda. Krople padały coraz szybciej, w rytmie mego pulsu.

Zach podniósł się z trudem na równe nogi. Któryś okruch szkła pozostawił niewielkie nacięcie na jego skroni, a twarz była brudna od kurzu.

– I to tyle?! – wrzasnął, ale ja ledwie słyszałam jego słowa. W mojej głowie wciąż tętniła eksplozja. – Udało ci się rozbić trzy zbiorniki. Brawo! I to wszystko, na co cię stać?

Wtedy rura pękła i huk wody zagłuszył jego śmiech. Przybyła rzeka, by nas pochłonać.

Rozdział trzydziesty siódmy

Odrzucony strumieniem wody Zach poleciał w tył, ku drzwiom. Złapał klamkę i zdołał dźwignąć się na nogi, z trudem łapiąc oddech. Wystarczyło mu kilka sekund, by wpisać właściwy kod, a wówczas zielone światło zajaśniało i cofnęły się zasuw. Jednak gdy na nie napał, siła wody wyrwała mu klamkę z ręki i uderzyła drzwiami o ścianę. Spojrzał na mnie raz jeszcze, ale woda sięgała mu już do pasa. Wtedy od sufitu oderwał się kolejny duży fragment rury, która strzaskała dwa następne zbiorniki. Na panelach jednocześnie zajaśniały zielone światełka, których blask wypełnił całe pomieszczenie. Przypominały teraz zielone gwiazdy na czarnej wodzie. Potem niespodziewanie zapłonęły na czerwono i zgasły. Jedynym światłem było teraz to, które wpadało przez drzwi, którymi uciekł Zach.

Nie było już nic więcej do zrobienia. Nasze kroki na metalowym pomoście zagłuszył wściekły huk wody. Gdy dotarliśmy do usuniętej kratki, woda sięgała już nam niemalże do stóp. Gdzieś za nami ciemna kipiela porывała już ciało Kimy. Nie spojrzałam za siebie. Wciągnęłam się do tunelu, a potem usłyszałam łomot, z jakim podążył za mną Kobziarz.

Przez cały czas, jaki spędziłam w Arce, czułam nad nami rzekę. Teraz, gdy czołgaliśmy się przez tunel na wyższy poziom, czułam ją również pod nami. Wiedziałam, że wody wypełniają każdą możliwą przestrzeń.

Dotarliśmy na wyższe piętro tuż przed nadciągającą powodzią, ale wiedziałam już, że pełznąc przez tunele, nie zdołamy ocalić życia. Byliśmy za wolni. Gdy dotarliśmy do odkręconej wczoraj kratki, zeskoczyłam do korytarza. Światła nadal się paliły, ale woda już omywała mi kostki. Nawet przez buty czułam jej chłód. Potem z lamp na suficie buchnęły niebieskie iskry i wszystko zgasło. Jedynym dowodem na to, że Kobziarz nadal mi towarzyszył, był plusk wody za moimi plecami.

Gdy dotarliśmy do kolejnych schodów, woda sięgała mi już do bioder. Parliśmy naprzód co sił w nogach, ale czułam, że nie ma to wielkiego znaczenia. Gdzieś w Arce Zach również uciekał i wiedziałam, że jeśli mu się nie powiedzie, ja również zginę. On jednakże znał te korytarze i wiedział, którędy dotrzeć do głównego wejścia, i nie musiał się bać strażników, o ile jacyś tam jeszcze zostali.

Biegliśmy. Światła na górnych piętrach nie paliły się, a ciemność pogłębiał huk nacierającej wody. Dogoniła nas na najwyższym piętrze, gdzie wdarła się do głównego korytarza. Z sufitu strzelały iskry, które wpadały do wody z sykiem zanurzanej, rozżarzonej stali. W jednym z rozbłysków światła ujrzałam czaszkę dryfującą obok mej nogi. Kościana łódź. Potem powróciła ciemność, a ja próbowałam się skupić i odnaleźć główny tunel wentylacyjny. Niestety, chaotyczne, gwałtowne strumienie wody zaburzyły moją percepcję korytarzy.

Pędziliśmy przez Sekcję F, przez jej milczące sale, które nagle wezbrały hukiem wody. W pewnym momencie skręciłam w złym kierunku i musieliśmy się cofnąć o dwadzieścia metrów pod prąd. Woda sięgała już nam do piersi i nieomal płynęliśmy, a jej zimno było tak przenikliwe, że płuca kurczyły się i nie przyjmowały powietrza. Coraz słabiej słyszałam Kobziarza. Miał tylko jedno ramię, przez co przebijanie się przez wodę przychodziło mu o wiele trudniej.

Gdyby prąd nie popychał nas we właściwym kierunku – w stronę głównego korytarza – nigdy byśmy nie dotarli do otwartego wjazdu wentylacyjnego, prowadzącego do głównego szybu. Nie czułam już gruntu pod nogami i choć wymachiwałam rękami, brnęłam naprzód raczej dzięki naporowi wody. Jednakże gdy złapałam brzegi otwartego wjazdu i spróbowałam się podciągnąć, prąd nagle przestał być moim sojusznikiem. Nie puszczał mnie i ciągnął w dół bez litości. Był tak zaciekły, że gdy ostatecznie udało mi się wciągnąć przez wjazd, nogi miałam zdarte do krwi na stalowych krawędziach.

Znalazłam się w węższym miejscu, gdzie mogłam wspinać się dalej po drabinie, choć przemarznięte stopy ześlizgiwały się ze szczebli. Kobziarz pode mną złapał mnie za stopę, ale po chwili i on odnalazł szczeble.

Wciągnęliśmy się do pomieszczenia kontrolnego. Nad nami wisiało koło z ostrymi łopatkami, a woda nie przestawała nadciągać. Za każdym razem, gdy iskra opromieniała pomieszczenie, widziałam, że poziom podnosi się szybko. Jeden z zamkniętych wjazdów ustąpił pod naporem wody i uderzył mnie mocno w udo. Do środka wtargnął nowy strumień wody.

Odległość między łopatkami a poziomem wody, który sięgał nam już do pasa, stopniała do niecałych dwóch metrów. Kurcząca się przestrzeń potęgowała wszelkie odgłosy, każdy oddech przypominał zgrzyt piły przedzierającej się przez drewno.

Było za późno, by się martwić o Elektrykę czy ostre łopatki, tym bardziej że w tej chwili wirnik wydawał się zagrożeniem o wiele mniejszym od wody. Kobziarz uklęknął, bym mogła wspinać się na jego kolano – widziałam, jak kiedyś w ten sam sposób pomógł Zoe. Wykorzystałam moment, by namacać najbliższą łopatkę. Nadał było ciemno i wirnik ani drgnął, nawet iskry już nie strzelały – być może rzeka zrobiła to, co nie powiodło się czterem minionym stuleciom, i ostatecznie zatopiła Elektrykę.

Kobziarz nie miał nikogo do pomocy. Podskoczył dwukrotnie, ale nie dosięgnął wirnika, usłyszałam tylko plusk wody, gdy spadał. Uklękałam na skraju dziury i próbowałam ustalić, jak szybko przybiera poziom wody i ile zostało powietrza.

„Ile nam pozostało oddechów? – myślałam. – Zaczekam na niego, jeśli znów mu się nie uda?”.

Na szczęście nie musiałam tej kwestii rozstrzygać. Za trzecim razem

Kobziarz zdołał pochwycić skraj betonowej podłogi. Złapałam jego przedramię obiema dłońmi i padłam na ziemię, by zrównoważyć w ten sposób ciężar jego ciała. Jego skóra była śliska i odrętwiała od zimnej wody, moja zresztą również. Jego ramię drżało, gdy wciągałam go na górę, a jego dłoń ścisnęła mój nadgarstek z mocą imadła. W dopiero co zaleczonej ręce odezwał się zapomniany już ból. Jęknęłam głośno, ale odgłos utonął w huku wzbierającej wody.

Kobziarz przecisnął się przez szczelinę. Nie zamieniliśmy ani słowa, nie było czasu, brakowało też już powietrza, a przybierająca woda szemrała do nas. Wiedziałam, że za parę minut zrówna się z wirnikiem i doścignie nas w ostatnim pomieszczeniu. Wczołgałam się do tunelu. Nie było czasu na wahanie, nie było czasu na roztrząsanie dylematów. Pod nami była woda, a nad nami powietrze. Oparłam mokre stopy o ścianki tunelu i zaczęłam brnąć naprzód. Najbardziej stromy odcinek, choć daleki od pionowego, pochłonał większość moich sił. Posuwałam się gwałtownymi wyrzutami kończyn, ale każdy ruch przesunął mnie jedynie o kilkanaście centymetrów, co chwila też moje dłonie lub stopy ześlizgiwały się po obłych ścianach tunelu. Zziębnięte ciało przeszywały dreszcze, a każdy kolejny zakręt stanowił coraz większe wyzwanie. Jedynym pocieszeniem było to, że Kobziarz wciąż podążał za mną. Wtem do wydawanych przez nas odgłosów dołączył kolejny – szum wody. Z początku był słaby i tłumiał jedynie echo uderzeń naszych łokci i kolan o stal, ale już po kilku minutach każdemu ruchowi nóg Kobziarza towarzyszył plusk. Nie tak dawno temu cieszyłam się z tego, że tunel nie biegnie pionowo. Teraz uświadomiłam sobie, co to dla nas oznacza. Znajdowałam się wyżej od Kobziarza, a mimo to nie byłam w stanie utrzymać się na powierzchni wody ani też pozwolić, by mnie poniosła. Powyginana rura szybko zamieniłaby się bowiem w pułapkę.

Przez chwilę żałowałam, że nie zostaliśmy na dole, wśród zbiorników, gdzie śmierć byłaby szybsza i łatwiejsza. Mogłabym wówczas przytulić się do ciała Kimy i wraz z nim doczekać końca. Nie chciałam ginąć w tej rurze, nie chciałam słuchać, jak Kobziarz topi się pode mną. Nie chciałam słyszeć jego śmierci i wiedzieć, że w tej samej chwili gdzieś umiera Zoe. Czekala mnie śmierć w tunelu tak ciasnym, że nie mogłam nawet otulić się ramionami w oczekiwaniu na ostatnią chwilę. Nie było znikąd pokrzepienia, jedynie lodowaty uścisk stali.

Dziwnie było umierać w wodzie po tyłu snach wypełnionych ogniem.

Mój puls przeistoczył się w krzyk, który tylko ja słyszałam: „Zach! Kima! Zach! Kima!”.

Przed moimi oczami pojawiły się dwie plamki bieli. Czyżbym już umierała? Czyżby moje ciało było tak odrętwiałe z zimna, że nie czułam, jak pochłania je woda? A może to Zach zginął w powodzi gdzieś w podziemiach Arki?

Ale światełka ani drgnęły. Nie były to złudzenia, nie były to również ostatnie przebłyski świadomości.

Patrzyłam na gwiazdy.

Rozdział trzydziesty ósmy

Znaleźliśmy się już wyżej niż poziom rzeki i woda nie ścigała nas przez ostatnie kilkaset metrów. Pięliśmy się coraz wyżej, wpatrzeni w gwiazdy. Nie słyszałam już plusków za sobą, jedynie stłumione uderzenia o metal osadzony w betonie.

Światło księżyca nie było w stanie wnikać do wnętrza tunelu, ale ciemność wokół mnie zaczęła się zmieniać. Widziałam już łączenia pomiędzy poszczególnymi elementami rury, a nad krawędzią otworu wylotowego widniały źdźbła wysokiej trawy, poruszające się wraz z wiatrem, którego nigdy już nie spodziewałam się poczuć.

Byłam zaskoczona tym, że po wszystkim, co się wydarzyło w Arce, powierzchnia nadal wyglądała tak samo. Na kamieniach leżał śnieg, a wiatr gnał chmury po rozgwieżdżonym niebie. Księżyc, obojętny na powódź, Arkę czy Wybuch, nadal płynął po niebie. Ja jednakże, gdy padłam na łokcie i kolana na śnieg, nadal słyszałam huk rzeki, która wybijała dla siebie nowy nurt w podziemiach.

Byliśmy przemoczeni, a zimne powietrze nocy uderzyło w nas niczym młot. Moje dłonie drżały tak bardzo, że wręcz rozmazywały się w oczach. Kobziarz osunął się na kolana. Ja zaś patrzyłam ponad jego plecami na ciemną paszczę ziemi i myślałam o wszystkim, co utonęło, gdy uwolniłam gniew rzeki. Widmowy głos Zamorza. Pozostałości maszyny wojennej, której Zach nie zdołał wydobyć. Tysiące zbiorników, omywanych teraz wodą niosącą kości. Oraz Kimę, uwolnionego ze zbiornika i swego okaleczonego ciała.

Następne godziny upłynęły wśród lodowatej mgły. Gdy wyciągaliśmy nasze plecaki, gdzieś na wschodzie, w pobliżu najbliższego wejścia do Arki, rozległo się wołanie. W ciemnościach przemieszczały się lampy. Rzuciliśmy się do biegu, ślizgając się na spłachetkach śniegu wśród gładów. Po chwili pędziliśmy już wśród wysokich traw, zostawiając wzgórze za plecami. Nie zwalnialiśmy, choć nadal nie było ani śladu pościgu. Nocleg w śniegu, w naszych przemoczonych ubraniach, oznaczał wyrok śmierci. Brzegi nogawek mokrych spodni zamarzyły i przy każdym kroku ocierały mi kostki. Wkrótce wstało słońce, a wówczas ujrzałam swą bladą skórę. Gdy wreszcie dotarliśmy do zagajnika, w którym czekały na nas konie, znów zaczął padać śnieg. Powinnam się cieszyć z tego, że zakryje nasze ślady, ale w tej chwili zimno było dla nas o wiele poważniejszym zagrożeniem niż pościg. Jechałam pochylona do przodu, wtulona w ciepły koński kark. Kobziarz jechał przede mną, prowadząc konia żołnierza, którego zabił na drodze do Arki. Miałam wrażenie, że nastąpiło to wieki temu – wszak tyle się zmieniło podczas tych kilku dni i nocy pod ziemią.

Spojrzałam na południe. Widziałam wzgórze, które wznosiło się nad Arką,

i pozostałości obozu przy zachodnim wejściu, zmiecionego nagłym atakiem rzeki. Płótno z pozrywanych namiotów oblepiało pnie drzew.

Zwolniłam i prawie zsunęłam się z siodła, ale Kobziarz krzyknął, bym się nie poddawała. Podjechał bliżej i potrząsnął mnie za ramię. Chciałam go odepchnąć, ale dłonie miałam tak przemarznięte, że nie mogłam już poruszać palcami. Moje ciało stało się już tylko ciężarem, zamarznętym mięsem dźwiganym przez konia.

Niedługo po świcie, gdy opuściliśmy równinę i wjechaliśmy do lasu, Kobziarz zaprowadził mnie do niewielkiej, płytkiej jaskini, a potem spętał konie, gdyż ja nie byłam nawet w stanie chwycić za wodze. Skryci w kamiennej pieczarze, ściągnęliśmy z siebie zeszywniałe od lodu ubranie i skuliliśmy się pod suchymi kocami, ubrani jedynie w bieliznę. Bliskość Kobziarza nie przynosiła mi jednak ulgi, gdyż jego ciało było równie zimne jak moje. Jego chłód wydawał się przejmująco surowy, jakby został odarty nie tylko z ubrań, ale również ze skóry. Wkładałam przemarznięte palce, jeden po drugim, do ust i ssałam je, by przywrócić je do życia, ale wraz z ciepłem pojawił się ból, gdy krew na powrót wdzierała się do zziębniętego ciała.

„Czy Zach również to czuje? – myślałam. – Jak bliska muszę być śmierci, by ciało Zacha zaczęło dygotać z bólu tak jak moje?”

Zamknęłam oczy, odgradzając się od świata, i wślizgnęłam się do krainy snów. Śniłam o wybrzeżu. Kiedyś, gdy towarzyszyła nam Zoe, wielokrotnie uczestniczyłam w jej snach o obojętnych falach, ale tym razem wyglądało to inaczej. Zamiast bezkresnej toni ujrzałam biały klif, mur oddzielający ziemię od morza. Potem ujrzałam żagiel popychany przez wiatr. Słone bryzgi na drewnie.

Nigdy wcześniej nie widziałam tych klifów, ale o wiele bardziej poruszyło mnie to, co wiózł statek. Zbudziłam się, krzycząc o Zamorzu. Kobziarz odwrócił się od wejścia do jaskini, gdzie klęczał nad niewielkim ogniskiem.

– Byłaś ze mną przed Nowym Hobartem – powiedział, gdy się ubrałam i opowiedziałam mu o tym, co ujrzałam. – Zach pokazał nam głowy galionów, które na pewno pochodziły z „Rosalind” i „Evelyn”. Znam każdy okręt w mojej flocie. Mają Hobba i załogi, Pani Generał wymieniła przecież Hobba z nazwiska. „Rosalind” oraz „Evelyn” wpadły w ręce Rady, Cass.

Nie byłam w stanie przeciwstawić mu żadnego argumentu. Nie potrafiłam nawet przedstawić żadnych szczegółów statku, który zauważyłam. Widziałam jedynie biały żagiel na tle białego klifu oraz ponurą krzywiznę horyzontu. Niemniej jednak czułam, że musimy się tam udać.

Gdy opisałam Kobziarzowi biały klif, ten pokiwał głową.

– Wygląda na to, że to Ponury Przyłodek, ale nie mamy już statków, by tam się udać. Musimy wracać do Nowego Hobartu i opowiedzieć Simonowi oraz Prowodyrowi o tym, co znaleźliśmy w Arce. Teraz, gdy poznaliśmy plany Rady,

musimy zjednoczyć oraz wzmocnić ruch oporu, jeśli chcemy stawić im czoło. Już zapomniałaś o innych mieszkańcach miasta? O groźbie Prowodyra?

Ja również myślałam o Elsie, Sally i Xanderze, których pozostawiliśmy na łasce Prowodyra.

– Zrobiliśmy dokładnie to, czego Prowodyr by sobie życzył – powiedziałam. – Jeśli ma tu w okolicy jakichś szpiegów, dowie się przede wszystkim o tym, że zniszczyliśmy Arkę oraz wszystkie maszyny, które w niej pozostały. Trudno, by oczekiwał czegoś więcej. Nie zdradzi nas, póki sądzi, że wspieramy go w walce przeciwko maszynom.

Zacisnęłam pięści. Od chwili, gdy dowiedziałam się, że Zach odbudowuje machinę wojenną, wydawało mi się, że czas się skończył. Uciekał niczym powietrze nad nami w zatapianej Arce. Być może zalanie ostatnich brakujących elementów maszyny wojennej oraz zniszczenie wielkiej liczby zbiorników spowodowało nieco jego plany, ale to nie wystarczało. Zamorze istniało i jeśli Zach oraz Pani Generał znajdą je przed nami, spłonie.

– Nadciąga jakiś statek – kontynuowałam. – Nie wiem jaki ani kiedy dotrze, ale wiem, że ma to związek z Zamorzem. Czuję to.

Nie potrafiłam wyrazić w słowach tego, co czułam, gdy statek pojawił się w mojej wizji. Nawiedziła mnie wówczas świadomość równie niewzruszona jak skalna ściana za moimi plecami, że wiezie ze sobą ślad Zamorza. Gdzieś pod tymi pełnymi żaglami spoczywało coś, co było całkowicie obce, co mnie jednocześnie fascynowało i odrzucało.

– Niedługo tu będzie – powiedziałam. – I musimy go odnaleźć, zanim zrobi to Rada, gdyż w przeciwnym razie stracimy tę szansę na zawsze. Nie ma czasu na powrót do Nowego Hobartu.

Wstałam przy tych słowach.

– Nie proszę cię o zgodę. Wyruszam na spotkanie tego statku, z tobą lub bez ciebie.

Kobziarz wpatrywał się w swe poznaczone bliznami kłykcie.

„Ciekawe, ile razy te palce ciskały nożem? – pomyślałam. – Ile żywotów odebrały? Czy zatrzyma mnie, gdy będę chciała odejść?”

– Jeśli chcemy powstrzymać Radę, ruch oporu będzie cię potrzebował bardziej niż kiedykolwiek wcześniej – powiedział Kobziarz z poważną miną. – O mały włos nie pozabijałaś nas w Arce. Nie możesz po prostu odejść i dalej ryzykować życia.

– Twierdzisz, że ruch oporu mnie potrzebuje – odparłam. – Niby z tego powodu oszczędziłeś mi życie na Wyspie. Niemniej nie zapominaj o tym, że jestem potrzebna ze względu na moje wizje. A więc mnie posłuchaj.

– Ruch oporu potrzebuje również mnie – rzekł Kobziarz cichym głosem i przerwał. – Wymaga, bym zajmował się tysiącami rzeczy. Bym podejmował

decyzje. Bym okazywał pewność siebie, nawet gdy wcale jej w sobie nie mam.

Spojrzał na mnie. Płomienie opromieniły dolną część jego twarzy, przez co oczy nadal spowijała ciemność. Śnieg na zewnątrz przestał padać. Noc była cicha.

Przypomniały mi się słowa, które kilka miesięcy temu powiedziałam Leonardowi: „Istnieją różne rodzaje odwagi”. Widziałam, jak Kobziarz walczy. Widziałam, jak staje przed naszymi oddziałami i wiedzie je do boju. Niemniej decyzja, by pójść za mną, wymagała całkiem innego rodzaju odwagi.

– Jeśli wyruszę teraz – powiedziałam – będę w stanie pokonać zachodni łańcuch gór, nim stopnieje śnieg.

– Ruszam z tobą.

– Cieszę się – odparłam i natychmiast zrozumiałam, że naprawdę tak myślę.

Droga na zachód zabrała wiele dni, które zajęły mi rozmyślania. Często wracałam myślą do ostatnich chwil w przewodzie wentylacyjnym. Przypominałam sobie, jak przywołałam imiona Kimy i Zacha, co przyszło mi równie odruchowo jak oddychanie.

Często myślałam o Zoe, choć Kobziarz nigdy nie wymienił jej imienia. Wiedzieliśmy tylko tyle, że żyje. Złapałam się na tym, że brakuje mi nawet cichych zgrzytnięć, z jakimi obcinała sobie nożem paznokcie, ale doszłam do wniosku, że gdziekolwiek jest, wolałaby nie wiedzieć tego, czego dowiedzieliśmy się w Arce. Miała wystarczająco własnych zgryzot.

W nocy znów śniłam o Wybuchu i klifie oczekującym na przybycie statku. Nie nawiedzały mnie już wizje Kimy w zbiornikach, co przyniosło mi wielką ulgę, ale teraz, gdy poznałam prawdziwe znaczenie snów o Wybuchu, nabrały one mocy.

– Kiedyś myślałam, że wizje mnie zawiodą – powiedziałam do Kobziarza pewnej nocy, gdy przyśnił mi się Wybuch i zamienił mój sen w sterty popiołów. – Były bowiem niejasne, pozbawione sensu. Nie spełniały moich oczekiwań. Teraz już wiem, że było inaczej. To ja je zawodziłam. Widziałam w nich tylko to, co sama chciałam zobaczyć.

– Może ujrzałaś to, co chciałaś zobaczyć.

Wpatrywałam się w nocne niebo.

– Może miałaś wówczas dość problemów na głowie – ciągnął Kobziarz. – Gdybyś od początku znała prawdę o Wybuchu, mogłoby to okazać się zbyt wielkim ciężarem. Może oszalałabyś od tego. Może zrezygnowałabyś z walki.

Czasami wydawało mi się, że moje szaleństwo było niczym Arka, zakopane głęboko w moim wnętrzu. Wyczuwałam jego obecność, choć on jeszcze o nim nie wiedział. Wiedziałam jednakże, że wkrótce zostanie odkryte.

Nasza dramatyczna ucieczka z Arki, w mokrych ubraniach przez mroźną noc, skończyła się dla nas obojga chorobą. Przez trzy dni dygotałam i oblewałam się potem, a spuchnięte gardło płonęło bólem. Kobziarz nie chciał się do tego przyznać, ale również czuł się kiepsko – pobladł i nie mógł się pozbyć rżężącego kaszlu. Tymczasem wędrówkę przez górskie przełęcze utrudniały nam zasy tak wysokie, że miejscami trzeba było schodzić z koni i prowadzić je przez śnieg. Gdy dotarliśmy na drugą stronę przełęczy, szczękałam głośno zębami, a Kobziarz nie był w stanie ukryć gwałtownych dreszczy.

Oboje wiedzieliśmy, że w tym stanie nie będziemy mogli długo kontynuować naszej podróży. Po północy dotarliśmy do niewielkiego osiedla przy strumieniu. W oknach nie było żadnych świateł, a więc zdecydowaliśmy się na ryzyko – przywiązaliśmy konie w lesie w górze strumienia i zakradliśmy się do stodoły na skraju wsi. Wspięliśmy się na stryszek i ułożyliśmy na sianie. Ignorując klucie i łaskotanie źdźbeł, zagrzebałam się w stosie, szukając ciepła. Kobziarz obok mnie próbował uciszyć swój kaszel. Było mi jednocześnie gorąco i zimno, a gardło pulsowało mi bólem. Nie wiem, czy spaliśmy, czy po prostu straciliśmy przytomność.

Choroba sprawiła, że straciliśmy czujność. Zapomnieliśmy o tym, że któreś z nas musi stać na warcie, i o świcie obudził nas odgłos zatraskiwanych drzwi pod nami. Usłyszałam cichy zgrzyt, z jakim Kobziarz wyciągnął nóż, ale nikt nie wszedł na stryszek. Z dołu zaś dobiegały zwykłe odgłosy niespiesznej pracy, najpierw zgrzyt wprowadzanej taczki, a potem stukot szczapek drewna. Leżałam twarzą w dół i powoli, ostrożnie odsuwałam siano, by móc zerknąć w dół przez szczeliny w podłodze. Wrota do stodoły stały otworem i wpuszczały zimne powietrze świtu, a jednooka kobieta ładowała taczkę drewnem na opał, złożonym w rogu.

Potem usłyszałam pogwizdywanie. Zimne powietrze zniekształcało nieco nuty, ale natychmiast rozpoznałam melodię – była to pieśń Leonarda. Kobieta pogwizdywała refren, przerywając między wersami, by złapać kolejne naręcze drewna. Posapywała też z zimna, przez co przynajmniej połowę dźwięków zastąpiły głośniejsze oddechy, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości i odruchowo dopasowywałam słowa do dźwięków:

Nie grozi ci tam zimno, zapomnij o zmęczeniu

Nie ma nawet mowy o starzeniu

Lecz ceną do zapłacenia

Będzie twe życie, jedyna rzecz do stracenia

Kobziarz obok mnie również się uśmiechał. Zamknęłam oczy i odnalazłam jego dłoń. Rozstaliśmy się z Leonardem przynajmniej sto mil na północny zachód stąd, a mimo to pieśń tu dotarła. Była zaledwie garstką nut, która przez moment wisiała w zimnym powietrzu. Zdawać by się mogło, że jest zbyt ulotna i zbyt nietrwała, by nieść ostrzeżenie przed zbiornikami, a mimo to wędrowała po świecie.

Ześlizgnęliśmy się ze stryczku zaraz po zniknięciu kobiety i umknęliśmy z osady w nikłym świetle brzasku. Myślałam o Leonardzie, o jego chłodnym ciele i strzaskanej gitarze, zawieszanej na jego szyi. Przez ostatnie miesiące naoglądałam się śmierci i nauczyłam się sporo o jej bezwzględności i obojętności. Widziałam trupy na Wyspie oraz na poboju pod Nowym Hobartem. Na podłodze silosu widziałam trupa Kimy, okaleczonego i powykrzywianego pod nienaturalnymi kątami, a potem byłam świadkiem jego drugiej śmierci po wyciągnięciu ze zbiornika. Zgon nie miał w sobie nic z romantyzmu. Nie było siły, która byłaby w stanie przywrócić zmarłych do życia. Nie podołały temu zbiorniki, nie potrafiły tego dokonać ani łyzy, ani pieśni. Słyszając fragment pieśni Leonarda w stodole, nabrałam jednak pewności, że przynajmniej część jego osoby wymknęła się spod stryczka.

Dotarcie do Ponurego Przylądka zajęło dwa tygodnie. Śnieg zaczął topnieć, a nasza choroba ustąpiła. Mieliśmy ze sobą luzaka, dzięki czemu mogliśmy zmieniać konie i pokonywaliśmy dystans w szybkim tempie, choć zmuszeni byliśmy podróżować w nocy – mieliśmy wszak do pokonania terytorium Alf. Przez ponad tydzień przemierzaliśmy wzgórza, wśród których leżały liczne miasta i wsie. Jechaliśmy nocą, niespostrzeżeni przez nikogo, i nie czułam lęku, choć Kobziarz wspominał, że przejeżdżamy tuż obok największego garnizonu Rady na zachodzie. Widziałam Arkę i znałam jej sekrety. Każdy mój sen nawiedzał Wybuch. Po tym wszystkim niewiele było w stanie mnie przerazić. Kawalek piosenki usłyszanego w stodole podtrzymywał mnie na duchu i przywracał mi siły skuteczniej niż mięso żyłastych zajęcy łapanych przez Kobziarza.

Wkrótce okolica znów stała się dzika i nieujarzmiona, chłostana morskimi wichrami. Nie musieliśmy już unikać Alf, a niebawem naszym oczom ukazało się morze. Natychmiast rozpoznałam niegościnnie klify wyrastające z jego fal. To one pojawiały się w moich snach. Były białe niczym cięte mięso na ułamek sekundy przed pojawieniem się krwi.

Tam śniłam o morzu, ale po przebudzeniu natychmiast uświadomiłam sobie, że fale, które załamywały się w moich snach, nie były wytworem mojego umysłu. Usiadłam szybko, niemalże przekonana, że zaraz ujrzę śpiącą obok mnie Zoe, ale mój wzrok padł na plecy Kobziarza. Mój towarzysz siedział przy wyjściu z jaskini

i przyglądał się zachodowi słońca nad falami.

– Widzisz ten cypel? – spytał i wskazał coś ruchem głowy na północy. Ujrzałam wąski pasek lądu, przypominający palec oskarżycielsko wycelowany w morze. – To Ponury Przylądek. Z tej odległości tego nie widać, ale na jego północnym brzegu znajduje się ścieżka, która wiedzie w dół do niewielkiej zatoczki. Gdy nasze statki z Wyspy zbliżały się do brzegu, obserwatorzy na stałym lądzie zapalali ogień sygnałowy, by dać załogom znać, że nie grozi im żadne niebezpieczeństwo i mogą opuszczać szalupy.

Gdy dotarliśmy na koniec cypla, zrobiło się już ciemno. Zebrane przez nas drewno było wilgotne i Kobziarz musiał je oblać ostatnimi kroplami oleju, by wreszcie złapało ogień. Czekaliśmy przez całą noc, ale ciemnego horyzontu nie rozświetlił żaden sygnał. Od czasu do czasu widzieliśmy jedynie nikły rozbłysk bieli, gdy kolejna fala rozbijała się pod klifem. W nocnym powietrzu niosły się krzyki mew.

O świcie ognisko zamieniło się w stertę popiołu.

Kobziarz westchnął i potarł twarz dłonią.

– Spróbujemy znów dziś wieczorem – powiedział, ale zauważyłam zniechęcenie na jego twarzy i zwieszona ramiona. Zbiorniki pełne martwych dzieci, głowy galionów rzucone przez Zacha pod nasze stopy oraz Arka zawierająca obietnicę kolejnego Wybuchu powinny już były nas nauczyć, że nie ma rzeczy bardziej niebezpiecznej od nadziei.

Siedzieliśmy przez parę godzin. Powinniśmy udać się na spoczynek, ale żadne z nas nie chciało wracać do ciasnej jaskini, gdzie jedynym tematem, który mogliśmy poruszyć, był statek, który przypuszczalnie nigdy nie powróci. Czekaliśmy więc na klifie i wpatrywaliśmy się w światło, rozlewające się po tafli morza.

W mojej wizji statek zgrabnie ciął morskie fale. Ten, który na naszych oczach wypłynął zza cypla, poruszał się ociężale. Zadrzał, gdy wiatr nabrał siły, i przechylił się na lewą burtę. Maszt był przechylony, a połatany żagiel marszczył się. Galion nie był jedynym brakującym elementem – dziób był okaleczony na całej długości. Część uszkodzeń załatano deskami i smołą, ale nadal widać było pęknięcia.

Marynarze uwijali się na pokładzie, ktoś piął się po takielunku, ale jedna osoba stała nieruchomo na dziobie, oparta o reling.

Wtedy usłyszeliśmy gwizd. Porywisty wiatr nad cyplem rozciągał dźwięki i je zniekształcał, ale wystarczyło kilka taktów, bym rozpoznała melodię. Kobziarz poderwał się i oboje pobiegliśmy ścieżką na klifie, a wiatr nad naszymi głowami niósł fragmenty pieśni Leonarda.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Zejscie na brzeg zatoczki zabrało nam nieco czasu i łódź, opuszczona przez załogę statku, zdążyła pokonać połowę drogi. Kobziarz wszedł do wody po pas, by ją powitać. Patrzyłam, jak obejmuje ramieniem Zoe i podnosi ją, a reszta żeglarzy rusza, by wciągnąć łódkę na brzeg. Potem Kobziarz opuścił bliźniaczkę do wody, a ta ruszyła w stronę brzegu, ku mnie. Patrzyłam na jej uśmiechniętą twarz i rozpromienione oblicze idącego za nią Kobziarza i żałowałam, że nie potrafię w tym momencie zatrzymać czasu. Nie chciałam się odzywać – wieści, które miałam do przekazania, były zbyt ponure, a przecież trwał cudowny poranek. Przecież wreszcie udało nam się spotkać.

– Sądziłam, że udałaś się na wschód – powiedziałam. – Jak najdalej od tego wszystkiego.

„Czyli ode mnie” – dodałam w duchu, ale Zoe pokręciła głową.

– Taki miałam zamiar – odparła lekko. – Przez pierwszy dzień w istocie wędrowałam na wschód. – Urwała i mrużąc oczy, wbiła wzrok w słońce nad horyzontem. – Ale nie przestawałam myśleć o Xanderze.

Kobziarz również przysłuchiwał się jej słowom, ale Zoe nie spoglądała na żadne z nas. Patrzyła daleko poza „Rosalind”, zakotwiczoną wśród niskich fal.

– Myślałam o tym, że bez przerwy mówił nam o przybyciu „Rosalind”, a myśmy go ignorowali – ciągnęła cichym głosem. – Uznałam więc, że powinnam przynajmniej spróbować. Że choć jedna osoba powinna mu uwierzyć.

Spoglądałam na zapatrzoną w fale Zoe i wiedziałam, że nie tylko otworzyła serce dla Xandera, ale również dochowała w ten sposób wierności Lucii, której pod koniec życia również nikt nie słuchał.

Trzech marynarzy wciągało właśnie łódź na ląd, a czwarty, utykając, podszedł do Kobziarza. Obiema dłońmi uściśnął jego wyciągniętą rękę.

– Oto Thomas. – Kobziarz odwrócił się ku mnie. – Kapitan „Rosalind”.

– Dostrzeżliśmy wasz ogień dopiero przed świtem – oznajmił żeglarz. – Spieszyliśmy się, by zdążyć się z wami spotkać. Baliśmy się, że odejdziecie.

– Sądziliśmy, że „Rosalind” została przejęta przez Radę – powiedziałam.

– O mały włos by do tego doszło – rzekł Thomas. – W zachodnich cieśninach dopadł nas potężny letni sztorm, ledwie miesiąc po opuszczeniu Wyspy. Wyszliśmy z niego bez większych uszkodzeń, ale „Evelyn” weszła na rafę. Oberwało się kadłubowi, popękała też połowa zbiorników wody słodkiej i Hobb musiał zawrócić.

Thomas skrzywił się ponuro.

– Zoe opowiedziała nam o wszystkim. O Wyspie. O galionach. O tym, co Pani General powiedziała o Hobbie i jego ludziach. Przypuszczalnie wrócili na Wyspę tuż po tym, jak ta wpadła w ręce Rady. Niewykluczone, że wpłynęli prosto

na ich flotę.

– A wasz galion? – Kobziarz spojrział na połatany dziób statku. – Widziałem go przecież na własne oczy. Skąd oni go mieli?

– Gdy ruszyliśmy w drogę powrotną, nie dotarliśmy do samej Wyspy. Okręt Rady zaczął nas ścigać na zewnątrz pierścienia raf. Jego załoga zdołała nam uszkodzić maszt, ale jakoś ich zgubiliśmy. Wiedzieliśmy już, że Wyspa wpadła w ręce wroga, a więc z trudem pozęglowaliśmy w stronę lądu stałego, tak jak ustalaliśmy na początku. Nie było jednak żadnego sygnału od ruchu oporu. Sprawdziliśmy inne punkty kontaktowe, ale nadal nie widzieliśmy żadnych ogni, a wokół kręciło się coraz więcej okrętów Rady. W Zatoce Chantlera stały na kotwicy aż trzy. Gdyby nie ciemności, nigdy byśmy się obok nich nie prześlizgnęli. Rozpoczęły się już wówczas zimowe burze, a nas ogarnęła rozpacz. Rzuciłem nawet kotwicę przy Cyplu Atkin i posłałem czterech zwiadowców na ląd, by sprawdzili kryjówkę, ale okazało się, że jest spalona. Trzeba było więc ruszać dalej, bo Rada zacieśniła sieć patroli wzdłuż wybrzeża. Jakiś miesiąc temu znów zostaliśmy zauważeni przez jeden z ich brygów, który podjął pościg. Z północy nadszedł jednak potężny sztorm – nigdy nie widziałem tak wysokich fal! – i udało nam się jakoś go zgubić, ale straciłem dwóch ludzi załogi. Potem niedaleko Zatoki Chantlera weszliśmy na mieliznę i zaczęliśmy nabierać wody. To wtedy odpadł nam galion wraz z połową dziobu. Przypuszczam, że ów ścigający nas bryg musiał się na niego natknąć. Może uznali, że zatonęliśmy, a może po prostu chcieli odebrać wam nadzieję. Któż to odgadnie? W każdym razie sztorm dobiegł wkrótce końca, ale my nie byliśmy nawet w stanie znaleźć bezpiecznego miejsca, by wyciągnąć okręt na brzeg i naprawić kadłub. Moi ludzie musieli całymi dniami i nocami wypompowywać wodę.

– Ja w pierwszej kolejności przybyłam tu – przejęła opowieść Zoe. – Niedługo po naszym rozstaniu. Czekałam przez kilka nocy, ale bez rezultatu. Potem spróbowałam szczęścia w Zatoce Chantlera, ale też niczego nie osiągnęłam. Na szczęście w tawernie natknęłam się na rybaczkę, która opowiedziała mi o jakimś kiepsko żeglującym statku, który brnął na południe. Jej zdaniem nie należał do Rady, ale był zbyt wielki jak na miejscowy kuter. Udałam się więc na Cypel Siddle i przez trzy noce paliłam ogień sygnałowy na naszym starym punkcie obserwacyjnym. Drugiego dnia w okolicy pojawił się patrol, który przeszedł w odległości kilkuset kroków od mojej kryjówki. Nachodziły mnie różne myśli i już chciałam się poddać, ale trzeciej nocy dostrzegłam latarnię na morzu. Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Gdy dostałam się już na pokład, pozęglowaliśmy tu.

Przypomniały mi się sny Zoe. Dobrze wiedziałam, z jakim trudem przyszło jej wejść znów na pokład statku.

– Okręty patrolowe rzadko docierają tak daleko na północ – ciągnęła. –

Udało nam się więc wyciągnąć „Rosalind” na brzeg Zimnej Zatoki. Naprawa kadłuba zajęła prawie tydzień.

Spojrzała na Kobziarza.

– Gdybyście przybyli tu kilka dni wcześniej, nie udałoby nam się spotkać. Chciałam udać się do Nowego Hobartu, do Simona, a załogę zostawić tu, by pilnowała Palomy.

– To kolejny statek? – spytałam.

Zoe pokręciła głową.

Udaliśmy się łodzią na „Rosalind”. Dwóch żeglarzy spuściło nam na dół sznurową drabinkę. Na widok Kobziarza poderwali się, wyprężyli i zasalutowali. Stali, milcząc, i patrzyli, jak Thomas prowadzi nas na dziób. Ich ubrania były wyblakłe od słońca i soli, a wydawali się równie znużeni i wycieńczeni jak ich jednostka. Większość była wychudzona, a na ramionach i dłoniach wielu ujrzałam sinoczerwone ślady po szkorbucie.

Grupa marynarzy siedziała przy dziobie, z którego sterczał ku niebu kikut ułamanego galionu. Z ich grona podniosła się jedynie jedna kobieta, która ruszyła ku nam, utykając lekko. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że ma bosą stopę, co nie miałoby sensu, gdyż pokład był oblodzony. Gdy podeszła bliżej, zauważyłam, że noga zakończona rzekomą bosą stopą jest sztuczna. Nie był to jednakże drewniany kikut, który tak często widywałam – jej noga wykonana była z gładkiego, twardego materiału przypominającego teksturę ludzkie ciało. Tworzywo zostało uformowane na podobieństwo stopy, choć nie zginało się w kostce, gdy robiła krok.

Replika stopy była czymś niezwykłym, ale to nie ona sprawiła, że nie mogłam oderwać wzroku od kobiety. Nie zdziwiło mnie również to, że w przeciwieństwie do reszty nie miała na sobie błękitnej tuniki straży Wyspy. Wykryłam w niej bowiem coś odmiennego, jakąś niematerialność bądź niepełność, której nie umiałam pojąć, zupełnie jakby nieznajoma nie rzucała cienia.

Nie była jednak duchem – uścisk jej dłoni był mocny.

– Mam na imię Paloma – powiedziała i odwróciła się, by uścisnąć dłoń Kobziarza.

Nadal wpatrywałam się w nieznajomą. Kobziarz najwyraźniej nie zdawał sobie z niczego sprawy. Dlaczego nie wzdrygnął się tak jak ja?

– Ona nie ma bliźniaka – powiedziałam.

Usłyszałam strach we własnym głosie. Nie chciałam, by było to aż tak zauważalne, ale miałam wrażenie, że dostrzegam u Palomy ranę, której nie widzi nikt inny. Była kimś niekompletnym. Połową człowieka.

– U nas, na Rozrzuconych Wyspach, nikt nie ma bliźniaka – odparła kobieta.

– Choć z tego, co zauważyłam, wolicie nazywać to miejsce Zamorzem.

Thomas i Paloma opowiedzieli nam swoją historię. „Rosalind” odbyła morderczą podróż przez północne cieśniny lodowe, ale nie odnalazła Zamorza, choć dotarła dalej niż jakikolwiek statek ruchu oporu. Zostali natomiast odnalezieni przez okręt Palomy.

– Kiedyś istniały maszyny, które służyły do wysyłania i odbierania wiadomości – powiedziała Paloma. – Działały nawet po wybuchach. Nigdy jednakże nie usłyszeliśmy niczego od was i nie mieliśmy pojęcia, czy wy odebraliście nasze komunikaty, a niedługo potem komunikacja przestała działać. Konfederacja zaczęła więc wysyłać statki, niemalże rok po roku, co trwa od niepamiętnych czasów.

Nigdy nie słyszałam takiej intonacji, co w sumie nie powinno mnie dziwić. Nawet na kontynencie istniały różnice w akcentach. Wymowa ludzi ze wschodu, mieszkających blisko martwych krain, wyróżniała ich w tym samym stopniu co złachmanione ubrania i wychudzone twarze. Mieli tendencję do rozciągania dźwięków, przez co niektóre słowa nabierały muzycznego brzmienia. Na północy ludzie skracali samogłoski. Tak mówił mój ojciec, który przyszedł tam na świat. Akcent Palomy był o wiele silniejszy od wcześniej przeze mnie napotkanych, przez co nawet znajome słowa brzmiały dziwnie, rozciągnięte w nieoczekiwany sposób.

– Gdy natknęliśmy się na „Rosalind”, moja załoga powróciła do Zniszczonego Portu, by złożyć meldunek – powiedziała. – Dwoje z nas zabrało się jednak z wami jako pierwsi emisariusze. Niestety, Caleb zginął podczas sztormu. – Paloma opuściła głowę i dodała: – Pozostałam tylko ja.

Zapadła cisza. Od czego w ogóle zacząć? Jakie pytania należy zadawać, gdy człowiek natrafia na całkowicie obcy świat?

Jeszcze niedawno nawet marzenia o Zamorzu wydawały się czymś niestosownym i zuchwałym, przez co nigdy nie zastanawiałam się nad przebiegiem pierwszego kontaktu. Nigdy sobie nie wyobrażałam ludzi z Zamorza. Owa pozbawiona bliźniaka kobieta, blada i samotna, przypominała nas bardziej, niż mogłabym przypuszczać, ale z drugiej strony była bardziej obca, niż potrafiłam pojąć.

Thomas pokazywał Kobziarzowi mapę. Wraz z Palomą pochylali się nad nią i wskazywali mu lokalizację Zamorza gdzieś poza jej krawędzią. Zoe stała w pobliżu i przyglądała się.

Nie chciałam być przy tym, jak Kobziarz będzie opowiadał Zoe i Palomie o tym, co odkryliśmy w Arce. Być może to dowód na to, że jestem tchórzem. Świadomość, że Paloma nie ma bliźniaka, przypominała wysoki dźwięk, który tylko ja jestem w stanie usłyszeć, i gdy stałam blisko niej, nie mogłam złapać tchu

ani rozewrzeć zębów. Pozostawiłam ich samych i wróciłam na rufę, by ukoić niepokój widokiem wzburzonego morza.

Po chwili usłyszałam za sobą kroki Zoe.

– Kobziarz opowiedział nam o tym, co znaleźliście w Arce – powiedziała. – O kolejnym wybuchu.

Pokiwałam głową, wciąż wpatrzona w wodę.

– Cieszę się – rzekła i stanęła przy relingu obok mnie.

Uniosłam brwi.

– Nie z powodu wybuchu, rzecz jasna – ciągnęła. – Cieszę się z tego, że już wiem. Lepiej rozumiem sposób myślenia Lucii. – Urwała na moment. – Chyba już wiem, dlaczego wizje wybuchu wyrządziły jej tak wielką krzywdę – ciągnęła. – Ona chyba również zdawała sobie sprawę z tego, na co się zanosi.

Pokiwałam głową, myśląc o Xanderze i jego rozbieganych, na pół oszalałych myślach. On, Lucia i ja nosiliśmy w sobie świadectwo tego, co ma nadejść.

– Kobziarz opowiedział mi też o Kimie. Powiedział, że go znaleźliście.

– Nie znalazłam Kimy – odparłam. – A jedynie jego ciało.

Nie próbowała nawet mnie pocieszyć, za co skrycie byłam jej wdzięczna. Zabiła w życiu tylu ludzi, iż sama dobrze wiedziała, że śmierci nie da się załagodzić. Zamiast tego stała po prostu przy mnie i wpatrywała się w fale.

– Wyglądał wówczas zupełnie inaczej – ciągnęłam. – Mimo to po raz pierwszy, odkąd Spowiedniczka opowiedziała mi o jego przeszłości, ujrzałam go takim, jakim naprawdę był.

– To nie o Kimie ci opowiadała – odparła niecierpliwie Zoe. – Tak jak nie Kimę znalazłaś w Arce. Nie rozumiesz? Nie wiem, kim był, nim wsadzili go do zbiornika, ale gdy go wyciągnęli, nie był tą samą osobą. Nikt nie jest w stanie przetrwać czegoś takiego.

Odwróciła się ku mnie.

– Spowiedniczka go nie знаła – powiedziała. – Na tym polegał jej wielki błąd. Pozwoliła na to, byście ją znaleźli owej nocy w silosie, bo sądziła, że nic jej nie zrobisz. Przecież była bliźniakiem Kimy. Sądziła, że wciążą was w pułapkę. Ten Kima, z którym się wychowała, nie byłby w stanie dopuścić się czynów, na które się zdobył. Nie skoczyłby w przepaść, by cię ocalić.

Mewa przemknęła nisko nad powierzchnią wody.

– Jeśli sądzisz, że przeszłość Kimy decyduje o tym, kim naprawdę był – mówiła Zoe – popełniasz ten sam błąd co Spowiedniczka i pozwalasz, by ci go dwa razy odebrała.

Daleko za załamującymi się falami widać było chmury, odbite na powierzchni morza. Podwójne niebo.

– Skupiasz się na przeszłości Kimy, a ja wiem, co to oznacza – oznajmiła. – Ponieważ robiłam to samo. Koncentrowałam się na tym, co negatywne, by nie musieć opłakiwać Lucii.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Żałowałam, że co noc śnię o morzu. Chciałabym mieć sny o niej. Nie o jej śmierci czy szaleństwie, ale o tym, kim naprawdę była. O tym, jak marszczyła nos, gdy się uśmiechała. O tym, że potrafiła zasnąć zawsze i wszędzie. O tym, że gdy się spociła, jej szyja pachniała żywicą.

Uśmiechnęła się lekko.

– Najpierw odebrało mi ją szaleństwo, a potem morze. Niemniej jednak sama również ją zdradziłam, gdy pamiętałam jedynie złe rzeczy. Powinnam pamiętać ją tak, jak należy, choć to trudniejsze.

Słońce stało wysoko na niebie, gdy Kobziarz podszedł do relingu przy nas. Stał obok mnie i rozstawił szeroko stopy, by zrównoważyć kołysanie statku.

– Paloma powiedziała ci o wszystkim? – spytała Zoe.

Kobziarz pokiwał głową i spojrzał na mnie.

– Potwierdziła to, czego dowiedzieliśmy się w Arce. Ci ludzie znaleźli sposób na położenie kresu bliźniactwu, ale w przeciwieństwie do mieszkańców Arki wprowadzili go w życie. To nie jest łatwe zadanie i nie ma nic wspólnego z magią. Sytuacja wygląda teraz dokładnie tak, jak przedstawiają to papiery Joego: nie ma śmiertelnej więzi, ale wszyscy mają mutacje. Może zawsze będą je mieć. Co więcej, terapia wpłynie dopiero na kolejne pokolenia, a nie na już żyjących bliźniaków, ale o tym już wiemy.

– A opowiedziałeś jej o Radzie i ich planach?

– Tak. – Kobziarz pokiwał głową. – Ale nie wiem, czy zrozumiała to, jak należy. Powiedziała jednakże, że chce zostać. Chce pomóc.

Moje życie przypominało mapę poświęceń innych ludzi, na której sterty trupów były punktami orientacyjnymi. Teraz wszyscy mieszkańcy Zamorza byli w niebezpieczeństwie.

– To nie wszystko – rzekł Kobziarz. – Thomas powiedział mi coś ciekawego o pieśni Leonarda. Pamiętasz, że posłał kilku ludzi na ląd, by poszukali kryjówki? Usłyszeli pieśń w pewnej osadzie w połowie drogi. Dowiedzieli się w ten sposób o bitwie pod Nowym Hobartem. Jeden z wersów mówi o tym, jak Rada została pokonana.

– W pieśni nie ma o tym ani słowa – zaprotestowałam. – Leonard napisał ją miesiąc przed wyzwoleniem miasta.

– Pieśń ulega zmianom – odparł z uśmiechem Kobziarz. – Rozrasta się, tak jak przewidział to Leonard. Wciąż dociera do nowych ludzi, a ci dodają kolejne

części.

– Leonard jednakże nie ma już na nią wpływu – powiedziałam i uświadomiłam sobie, że wciąż musimy opowiedzieć Zoe o trupie barda zwisającym z drzewa.

Kobziarz ujrzał, jak zaciskam usta, i rzucił:

– Nasza sytuacja nie jest beznadziejna, Cass. Mamy sojusz z Prowodyrem i jego armią. Wyzwoliliśmy Nowy Hobart. Wieści o przytułkach i zbiornikach szybko się niosą. Poznaliśmy plany Rady, a ty zniszczyłaś Arkę, setki zbiorników i brakujące elementy maszyny wojennej, a w końcu znaleźliśmy drogę do Zamorza.

Wygłosił same prawdy, ale każda z nich miała swoje drugie dno. Nowy Hobart był na razie wolny od wojsk Rady, ale nie wiedziałam, jak długo będziemy mogli ufać Prowodyrowi. Na pewno ucieszy się ze zniszczenia Arki, ale nie byłam pewna, jak zareaguje na Palomę czy wieści o sposobach leczenia bliźniactwa. Odnaleźliśmy Zamorze, ale Rada również prowadziła poszukiwania, jednocześnie konstruując maszyny wojenne. Mieliśmy nadzieję na to, że mieszkańcy Zamorza staną się naszymi wybawcami, ale trzeba też było liczyć się z tym, że to my przyniesiemy im zgubę.

Spojrzałam na swoje dłonie, zaciśnięte na drewnianym relingu rufowym „Rosalind”. Od wydarzeń w silosie bywało, że spoglądałam na własne ciało z niedowierzaniem. Choć to Zach był moim bliźniakiem, miałam wrażenie, że to śmierci Kimy nie przeżyję. Mimo to udało się. Te same dłonie. To samo serce, wciąż pompujące krew. Od chwili gdy Kima odbił się i wyskoczył, co rano karałam swe zdradzieckie ciało kolejnym dniem życia. Z pokorą znosiłam zimno, głód i wycieńczenie, które uznawałam za coś nieuniknionego i mnie pisanego, aż do owych dramatycznych chwil w zalewanej wodą Arce, kiedy uświadomiłam sobie, że walczę o życie. Nie znalazłam żadnych szlachetnych uzasadnień dla tego odruchu. Ja po prostu chciałam ocalić życie. Nadzieja nie była świadomą decyzją, lecz jedynie upartym odruchem. Ciało wilo się ku powietrzu, chcąc zaczerpnąć tchu, a potem znów i znów.

Kilka miesięcy temu, gdy patrzyłam na odległe morze z Przełęczą McCarthy’ego, Kobziarz powiedział mi, że nie wszystko na świecie jest paskudne. Wątpiłam w to równie mocno jak w Zamorze. Ale w zalewanej Arce walczyłam o życie i zwyciężyłam. Cieszyłam się z tego. Cieszyłam się również z tego, że czułam drewniany reling w rękach i spoglądałam na horyzont, mając po obu stronach Zoe i Kobziarza.

Wiedziałam, że Paloma czeka na nas na dziobie, by podzielić się kolejnymi informacjami i ułożyć następne plany. Wieść o naszej wojnie przypuszczalnie rozniosła się po całym świecie, a ja, choć byłam wizjonerką, nie wiedziałam, co się teraz ze mną stanie. Postanowiłam jednak, że nie będę próbować tego przewidzieć. Skupię się na swym celu. Przypomniałam sobie, co mówiłam do siebie

w dzieciństwie, gdy próbowałam pogodzić się ze znamieniem na twarzy: „To teraz jest moje życie”. Tu, na pokładzie „Rosalind”, słowa te pojawiły się wśród moich myśli ponownie. To było teraz moje życie. Od tej pory będę się przejmować innymi rzeczami.

I wtedy powiedziałam do Kobziarza i Zoe słowa, których dotąd nie odważyłam się rzec sobie samej:

– W przeszłości nie chciałam odebrać sobie życia, bo chroniłam Zacha. Teraz nie o niego chcę się martwić. – Spojrzałam na nich. – Teraz będę się przejmować sobą. Chcę kolejnych takich dni. Chcę ujrzeć więcej takich rzeczy – oznajmiłam, wskazując morze i mewy unoszące się na prądach powietrznych nadciągających od klifów. – Chcę słuchać pieśni bardów. Chcę się zestarzeć tak jak Sally. Chcę dożyć tego wieku z głową pełną wspomnień, a nie wizji.

Uśmiech wydawał się zupełnie nie na miejscu. Owa skromna deklaracja, pragnienie przeżycia kolejnych dni, wydawała się niebywale śmiała w świetle tego, co odkryliśmy w czeluściach Arki. Wszystkie moje wspomnienia splątane były ze śmiercią, ale postanowiłam, że nie będę się ich wypierać. Będę je zbierać tak, jak pozbierałam szczątki gitary Leonarda. Wpatrzona w morze, zamknęłam oczy i oddałam się wspomnieniom.

Podziękowania

Nie jestem w stanie wyobrazić sobie pracy nad tą serią bez mojej wyjątkowej agentki Juliet Mushens. Nieocenione wsparcie okazały mi również Sarah Manning oraz Sasha Raskin w USA. Dziękuję również gorąco moim redaktorom, Natashy Bardon w HarperVoyager (UK) oraz Adamowi Wilsonowi z Gallery Books (USA), za wnikliwą pracę nad tekstem i cenne rady, a także cudownym redaktorom technicznym, Joy Chamberlain i Erice Ferguson. Przez cały czas pisania powieści mogłam liczyć na cierpliwość i pomysłowość Clary Haig-White oraz Andrew Northa. Sarah Heaton z kolei pomogła mi wymyślić tytuł. Jestem również nieskończenie wdzięczna Florence Laty, Aysel Durmaz i Julie Bonaparte, które wsparły mnie w opiece nad moim synem, gdy pisałam tę książkę.

Przekład: Marcin Mortka

Redakcja: Magdalena Adamska

Korekta: Anna Jagiełło, Zuzanna Żółtowska

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie wykorzystane na okładce: © Francesco Ormando/arcangel.com

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12

tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08

biuro@gwfoksal.pl

www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4304-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal
Sp. z o.o.
i Michał Latusek / Virtualo Sp. z o.o.

The logo for Virtualo, featuring the word "virtualo" in a bold, blue, lowercase sans-serif font. The letter "v" is slightly larger and more prominent than the others.

